

DISTRESS

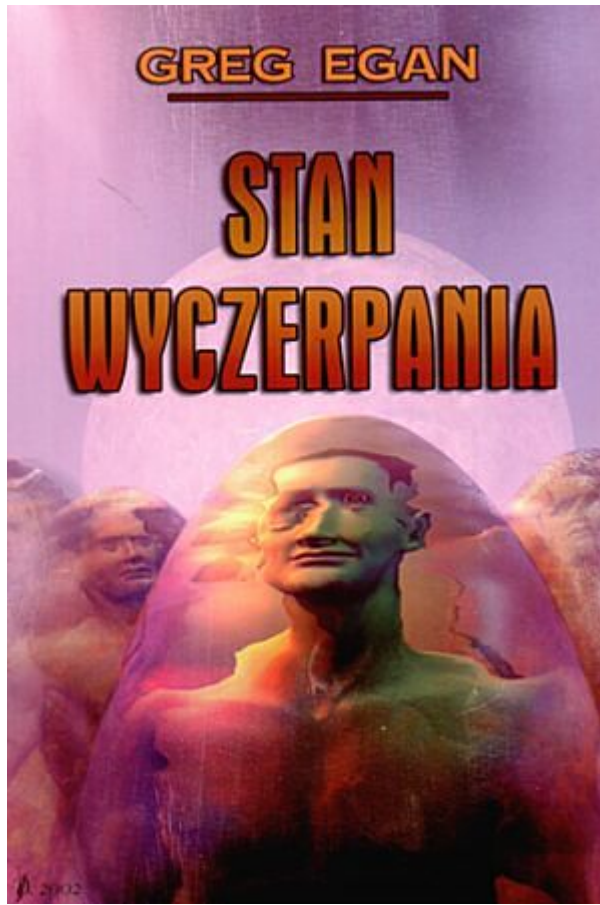
'One of the genre's great ideas men'
THE TIMES



**GARRETT
BEGZAN**

GREG EGAN

**STAN
WYCZERPANIA**



GREG EGAN

**STAN
WYCZERPIANIA**

(Distress)

Kosmologia (tom: III)

Przełożył: Paweł Wieczorek

**ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO**

2003

Spis treści

Stan wyczerpania

Karta tytułowa

Podziękowania

To nieprawda że mapa wolności...

CZEŚĆ PIERWSZA

CZEŚĆ DRUGA

CZEŚĆ TRZECIA

CZEŚĆ CZWARTA

..EPILOG..

..Od Autora..

Dziękuję

*Caroline Oakley,
Deborah Beale,
Anthony'emu Cheethamowi,
Peterowi Robinsonowi,
Lucy Blackburn,
Annabelle Ager
i Claudii Schaffer*

To nieprawda że mapa wolności zostanie skompletowana po zatarciu ostatniej krzywdzącej granicy jeśli dalej będziemy musieli zapisywać co pioruny ściągają i arytmie suszy wyznacza by ujawnić molekularne dialekty lasów i sawanny bogate jak tysiące ludzkich języków i pojąć najgłębszą historię naszych pasji starszą niż sięga mitologia. Oświadczam więc że żadna korporacja nie posiada monopolu na liczby żaden patent nie może obejmować zera i jedynki żaden naród nie ma władzy nad adeniną i guaniną żadne imperium nie rządzi kwantowymi falami.

Musi pozostać przestrzeń na świętowanie zrozumienia istnieje bowiem prawda której nie można kupić ani sprzedać narzucić siłą oprzeć się jej albo przed nią uciec.

Z Technoliberation Muteby Kazadięgo, 2019

CZĘŚĆ PIERWSZA

– W porządku. Nie żyje. Porozmawiaj z nim. Bioetyko było lakonicznym młodym aseksem z blond dreadami i w T-shircie, na którym między płatnymi reklamami raz za razem pojawiał się napis: *NIE DLA TW!* Parafowało formularz zgody na notepadzie patolog sądowej, po czym wycofało się do kąta. Traumatolog i sanitariusz odsunęli na bok sprzęt reanimacyjny, patolog zrobiła kilka szybkich kroków do przodu. W dłoniach trzymała strzykawkę z pierwszą porcją neurozachowacza. Nieużyteczny do chwili śmierci – powodujący w kilka godzin potężne toksyczne uszkodzenia szeregu narządów – koktajl z antagonistów glutaminianu, blokerów kanału wapniowego i przeciwutleniaczy niemal natychmiast zahamuje najpoważniejsze zmiany biochemiczne, które uszkodziłyby mózg.

Asystent pani patolog szedł tuż za nią, popychając kilkupółkowy wózek mieszczący wszystkie akcesoria pośmiertnego ożywienia: tacę jednorazowych narzędzi chirurgicznych, różne elektroniczne aparaty, pompę dotętniczą podłączoną do trzech kilkilitrowych szklanych butli i coś, co przypominało siatkę na włosy z szarego, nadprzewodzącego drutu. Łukowski, detektyw z wydziału zabójstw, stał tuż obok mnie.

– Gdyby każdy był wyposażony jak pan, Worth, nie musielibyśmy bawić się w coś takiego – stwierdził z zadumą. – Moglibyśmy odtworzyć przestępstwo od początku do końca. Jak byśmy czytali zawartość czarnej skrzynki z rozbitych samolotów...

Odpowiedziałem, nie podnosząc wzroku znad stołu operacyjnego – bez problemu mógłbym wyciąć nasze głosy, nie chciałem jednak przerwać filmowania, jak pani patolog podłącza zastępczą krew.

– Nie sądzi pan, że gdyby każdy miał podłączony sprzęt nagrywający do nerwu wzrokowego, mordercy zaczęliby wycinać ofiarom procesory pamięci?

– Czasami pewnie tak, ale tu chyba nikogo nie było, kto by narozrabiał chłopakowi w mózgu...

– Zaczekajmy, aż zobaczymy zapis.

Asystent prysnął na czołowie ofiary enzymem depilacyjnym i dwoma ruchami chronionej rękawiczką dłoni ściągnął z czołowa ostrzyżone tuż przy skórze czarne włosy. Kiedy strząsał je do plastikowego worka na próbki, zrozumiałem, dlaczego trzymały się razem, a nie rozsypały jak śmieci u fryzjera: razem z włosami zdjął dość grubą warstwę skóry. Przykleił do łysej, różowej głowy „siatkę na włosy” – plecionkę z elektrod i czujników... Patolog skończyła obserwować działanie urządzenia wprowadzającego zastępczą krew, po czym zrobiła zmarłemu niewielkie nacięcie w tchawicy i wprowadziła cienką rurkę podłączoną do pompy, która miała zastąpić zapadnięte płuca. Nie chodziło o oddychanie, lecz o umożliwienie mówienia. Można było co prawda monitorować docierające do krtani impulsy nerwowe i elektronicznie zsynchronizować zamierzone dźwięki, najwyraźniej jednak mowa była mniej zniekształcona, jeżeli ofiara mogła odczuwać coś przypominającego naturalną dotykową i słuchową informację zwrotną, wytwarzaną przez wibrujący strumień powietrza. Asystent zakrył ofierze oczy grubym, wyprofilowanym nieco jak okulary opatrunkiem – choć rzadko, zdarzało się, że skóra twarzy odzyskiwała czucie, a ponieważ z rozmysłem nie ożywiają komórek siatkówki oka, najłatwiejszym

kłamstwem, mogącym wyjaśnić ślepotę, było powiedzenie ofierze, że ma uraz oczu.

Zacząłem się zastanawiać nad komentarzem.

„W 1888 roku chirurdzy policyjni sfotografowali siatkówkę jednej z ofiar Kuby Rozpruwacza – w ułudnej nadziei, że we wrażliwych na światło pigmentach zawartych w ludzkim oku uda im się odkryć twarz mordercy...”.

Nie. Zbyt przewidywalny. Do tego wprowadzający w błąd – ozywianie nie było wydobywaniem informacji z biernych zwłok. Jakie były w takim razie inne odniesienia? Orfeusz? Łazarz? *Małpia łapka! Zdradzieckie serce!* Reanimator? Nic w mitologii ani literaturze nie przewidziało rzeczywistości. Lepiej nie robić łatwych porównań. Niech zwłoki przemówią same za siebie.

Ciało ofiary przeszył dreszcz. Tymczasowy stymulator zmuszał zniszczone serce do bicia – działał prądami o takiej sile, że w ciągu piętnastu, góra dwudziestu minut każdy kawałek mięśnia sercowego byłby zatruty elektrochemicznymi produktami ubocznymi. Z braku dopływu płucnego wprowadzano natlenowaną zastępczą krew do lewego przedsionka, przepompowywano ją raz przez ciało, po czym usuwano arterią płucną i wylewano. Krótko mówiąc – układ otwarty był mniej kłopotliwy od recyrkulacyjnego. Jako tako pozaszywane rany po ciosach nożem w brzuch i klatkę piersiową wyglądały jak pobojuwisko i wylewał się z nich na stół operacyjny jasnoczerwony płyn, nie stanowiło to jednak niebezpieczeństwa – co sekundę planowo usuwano z organizmu sto razy więcej krwi. Nikt nie uznał za warte zachodu usunąć chirurgiczne larwy, pracowały więc w dalszym ciągu jak gdyby nigdy nic – szyjąc i chemicznie przypalając mniejsze naczynia krwionośne szczękami, czyszcząc i

dezynfekując rany, wyszukując na ślepo martwą tkankę i skrzepy, które dałoby się pożreć.

Zasadniczą wagę miało utrzymanie dopływu do mózgu tlenu i środków odżywczych, nie odwracało to jednak rozpoczętego procesu rozpadu. Faktycznymi katalizatorami ożycia były miliardy liposomów – mikroskopijnych kapsułek z lekami, zrobionych z błon tłuszczowych, które włączano do organizmu wraz z zastępczą krwią. Jedno zawarte w błonie kluczowe białko otwierało barierę krew–mózg i pozwalało liposomom wypłynąć z naczyń włosowatych do przestrzeni międzynerwowej. Inne białka powodowały, że membrana łączyła się ze ścianą komórki pierwszego napotkanego neuronu i wyrzucała maszynę biochemiczną na tyle sprawną, by zreenergetyzowała komórkę, sprzątnęła część śmieci powstałych w trakcie niedokrwienego procesu rozpadu i ochroniła ją przed wstrząsem spowodowanym powtórным natlenieniem.

Inne liposomy były przeznaczone dla innych rodzajów komórek: włókien mięśniowych w fałdzie głosowym, szczęce, wargach, języku, dla receptorów w uchu wewnętrznym. Wszystkie zawierały odpowiednie leki i enzymy, a wszystkie miały służyć temu samemu: dostaniu się do wnętrza umierających komórek i zmuszeniu ich – na krótko – do zmobilizowania zgromadzonej energii do ostatniego – niemożliwego do podtrzymania – wybuchu aktywności.

Ożywienie nie było posunięta do heroicznej krańcowości reanimacją. Było dozwolone tylko wtedy, gdy nie wchodziło w rachubę dłuższe przeżycie pacjenta, ponieważ każda metoda, która mogłaby do tego doprowadzić, poniosłaby fiasko.

Patolog patrzyła na ekran znajdujący się na jej wózku sprzętowym. Podążyłem za jej spojrzeniem – po ciemnym prostokącie latały wykresy chaotycznych fal mózgowych, a zmieniające wysokość słupki podawały

ilość wyplukiwanych z ciała toksyn i produktów rozpadu. Łukowski z oczekiwaniem postąpił dwa kroki naprzód. Zrobiłem to samo.

Asystent wcisnął klawisz. Ofiara zadygotała i zakaszła krwią – po części własną, ciemną i pełną skrzepów. Wykresy nabrały wyraźniej szczytów, ostrzejszych szczytów, zaraz jednak szpice się spłaszczyły, nabrały równiejszego rytmu.

Łukowski ujął dłoń ofiary i ścisnął ją – gest wydał mi się cyniczny, choć wiedziałem, że mógł być wyrazem impulsu prawdziwego współczucia. Popatrzyłem na bioetyko. Na jego T-shircie widniał teraz napis: *WIARYGODNOŚĆ TO TOWAR*. Nie umiałem ocenić, czy była to sponsorowana wiadomość czy osobista opinia.

– Daniel? Danny? Słyszysz mnie? – spytał Łukowski.

Nie nastąpiła po tym widoczna reakcja fizyczna, jednak fale mózgowe zatańczyły. Daniel Cavolini studiował muzykę i miał dziewiętnaście lat. Znalaziono go około godziny jedenastej wieczór, nieprzytomnego i zakrwawionego, w kącie budynku stacji kolejowej Town Hali – z zegarkiem na rękę, notesem w kieszeni i w butach, co było mało logiczne, gdyby chodziło o nieudany napad rabunkowy. Od dwóch tygodni spędzałem każdą noc w wydziale zabójstw, czekając na podobną okazję. Zezwolenia na ożywienie wydawano tylko w przypadkach, gdy dowody wskazywały na to, że ofiara może wymienić nazwisko sprawcy – uważano, że metoda nie daje wielkich szans ani uzyskania użytecznego werbalnego opisu obcej osoby, ani sporządzenia jej portretu pamięciowego. Łukowski obudził sędziego pokoju tuż po północy – w tej samej chwili, gdy prognoza była jasna.

Im więcej ożywionych komórek zaczynało absorbować tlen, tym bardziej skóra Cavoliniego nabierała dziwnego odcienia szkarłatu. Nienaturalnej barwy molekuły transportowe zastępczej krwi były

skuteczniejsze od hemoglobiny, ale tak samo jak pozostałe leki ożywiające – śmiertelnie toksyczne.

Asystent pani patolog wcisnął kilka kolejnych klawiszy. Cavolini znów się skręcił i zakaszłał. Cała operacja była balansowaniem na krawędzi – dla skoordynowania rytmu fal mózgowych potrzebne były lekkie uderzenia mózgu prądem, nadmiar bodźców z zewnątrz mógłby jednak wymazać zawartość pamięci krótkotrwałej. Po przekroczeniu granicy uznawanej przez prawo za śmierć głęboko w mózgu przy życiu mogą pozostać pojedyncze neurony, zachowując przez kilka minut schematy pobudzeń, reprezentujące ostatnie przeżycia. Ożywienie może chwilowo przywrócić infrastrukturę neuronalną, konieczną do wydobycia tych śladów, jeżeli jednak już zdążyły całkowicie zamrzeć – albo zostały zatarte próbami reanimacji – przesłuchanie nie miało sensu.

– Wszystko w porządku, Danny – powiedział uspokajającym tonem Łukowski. – Jesteś w szpitalu. Jesteś bezpieczny, musisz mi tylko powiedzieć jedno: kto ci to zrobił. Powiedz mi, kto trzymał nóż.

Z ust Cavoliniego wydobył się chrapliwy szept: pojedyncza, wypchnięta z gardła z przydechem sylaba, po której zapadła cisza.

Moja skóra skurczyła się w oczekiwaniu czegoś przerażającego, równocześnie jednak poczułem idiotyczny przypływ rozradowania – jakby coś we mnie nie chciało przyjąć do wiadomości, że ta oznaka życia nie jest oznaką nadziei.

Cavolini znów spróbował i druga próba okazała się bardziej udana. Sztuczny wydech, oddzielony od wolicjonalnej kontroli, sprawił, że dźwięk, który z siebie wydał, zabrzmiał jakby chwycił łapczywie powietrze. Efekt był żalony – choć nie brakowało mu tlenu. Dźwięki, które wydobyły się z ust, były tak pokawałkowane i wymęczone, że nie umiałem odróżnić żadnego słowa, na szczęście Cavolini miał przyczepione do szyi

czujniki piezoelektryczne podłączone do komputera. Odwróciłem się do ekranu.

DLACZEGO NIE WIDZĘ?

– Masz opatrunek na oczach – odpowiedział Łukowski. – Pękło ci kilka naczyń krwionośnych, zostały pozszywane, ale możesz mi wierzyć, że nie zostaną trwałe ślady. Musisz jednak... spokojnie leżeć i odpoczywać. Opowiedz mi, co się stało.

KTÓRA GODZINA? PROSZĘ... POWINIENEM ZADZWONIĆ DO DOMU I POWIEDZIEĆ...

– Rozmawialiśmy z twoimi rodzicami. Są właśnie w drodze, przyjadą najszybciej, jak im się uda.

Było to prawdą – gdyby jednak przybyli w ciągu najbliższej półtorej minuty, nie zostaliby wpuszczeni na salę.

– Czekałeś na pociąg do domu, prawda? Na czwartym peronie. Pamiętasz? Na pociąg do Strathfield o wpół do jedenastej. Nie wsiadłeś jednak do niego. Co się stało? – Wzrok Łukowskiego przesunął się pod ekran z transkrypcjami mowy, gdzie komputer wypunktowywał kilka krzywych, ukazujących najważniejsze oznaki życia. Za mniej więcej minutę wszystkie dotrą do apogeum, po czym zaczną opadać.

MIAŁ NÓŻ. Prawa ręka Cavoliniego zaczęła podrygiwać, a martwe mięśnie twarzy po raz pierwszy ożyły, układając się w grymas bólu. *CIĄGLE MNIE BOLI. POMÓŻCIE MI.* Bioetyko spokojnie popatrzyło na szereg cyfr na ekranie, nie zamierzało jednak interweniować. Jakiegokolwiek skuteczne działanie znieczulające stłumiłoby aktywność neuronalną tak mocno, że dalsze przesłuchanie nie byłoby możliwe. Gra szła o wszystko albo nic – można było albo brnąć dalej, albo zakończyć procedurę.

– Pielęgniarka zaraz ci poda środki przeciwbólowe – powiedział łagodnie Łukowski. – Wytrzymaj jeszcze trochę, to długo nie potrwa.

Powiedz mi jedno: kto trzymał nóż? – Twarze obu mężczyzn świeciły od potu, ręka Łukowskiego była do łokcia ciemnoczerwona. Moim zdaniem, gdyby znalazł leżącego w kałuży krwi, konającego na asfalcie człowieka, zadałby mu te same pytania. Ciekawe, czy zaserwowałyby mu te same uspokajające kłamstwa? – Kto to był, Danny?

MÓJ BRAT.

– Twój brat miał nóż?

NIE. NIE MIAŁ. NIE PAMIĘTAM, CO SIĘ STAŁO. SPYTAJ PÓŹNIEJ. ZA BARDZO KRĘCI MI SIĘ W GŁOWIE.

– Dlaczego powiedziałeś, że to był twój brat? Miał nóż czy nie miał?

OCZYWIŚCIE, ŻE TO NIE BYŁ ON. NIE MÓW NIKOMU, ŻE TAK POWIEDZIAŁEM. JEŻELI NIE BĘDZIESZ MI MĄCIŁ W GŁOWIE, ZARAZ SIĘ POZBIERAM. MOGĘ DOSTAĆ COŚ PRZECIWBÓLOWEGO? NATYCHMIAST?

Jego twarz rozmywała się i tężała, miękła i twardniała, jakby wyświetlano na niej film ukazujący sekwencję masek, przez co cierpienie stawało się stylizowane, abstrakcyjne. Zaczął poruszać głową do przodu i do tyłu – początkowo słabo, wkrótce jednak z szaleńczą prędkością i energią. Podejrzewałem, że ma jakiś uraz, a leki ożywiające nadmiernie pobudzają którąś uszkodzoną ścieżkę przekazu nerwowego.

W pewnym momencie sięgnął ręką do twarzy i zerwał zasłonę z oczu.

Natychmiast zamarł. Może w którymś momencie skóra twarzy zrobiła się nadwrażliwa i zasłona na oczach drażniła w niemożliwy do wytrzymania sposób? Zamrugał kilka razy, zmrużył oczy i popatrzył na jasne światła sali operacyjnej. Widziałem, jak zwężają się źrenice, a oczy zaczynają planowy ruch. Lekko uniósł głowę i popatrzył na Łukowskiego, następnie na siebie oraz swe niecodzienne ozdoby: jaskrawy przewód stymulatora serca; grube, plastikowe rury, którymi płynęła zastępcza krew;

rany po ciosach nożem, pełne połyskujących, białych robaków. Wszyscy zamarli, nikt się nie odzywał, a Cavolini przyglądał się powbijanym w swą klatkę piersiową igłom i elektrodom, wypływającej z niego fali różowego płynu, sztucznemu otworowi do oddychania. Ekran z transkrypcją mowy był za nim, ale wszystko inne dało się objąć jednym spojrzeniem. W dwie sekundy wiedział – wyraźnie było widać, jak opada na niego ciężar zrozumienia. Otworzył usta, zaraz jednak je zamknął. Jego mina błyskawicznie się zmieniała – przez ból przebił się nagły błysk totalnego zaskoczenia, zastąpiony niemal natychmiast zrozumieniem absurdalnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Przez ułamek sekundy wyglądał jak ktoś, kto podziwia błyskotliwy, złośliwy, krwawy żart, jaki zrobiono sobie jego kosztem. Potem zaczął mówić. Bardzo wyraźnie – przedzielając sylaby wymuszonymi, mechanicznymi westchnieniami. Powiedział: – Nie... są... dzę... że... to... dob... ry... po... myśl... nie... chcę... nic... wię... cej... mó... wić...

Zamknął oczy i opadł na stół. Oznaki życia szybko zanikały. Łukowski odwrócił się do patolog. Był szary jak popiół, ciągle jednak trzymał dłoń chłopaka.

– Jak mogła zadziałać siatkówka? Co ty zrobiłaś? Ty głupia... – Uniósł wolną dłoń, jakby chciał uderzyć, zatrzymał się jednak w pół ruchu. Na T-shircie bioetyko widniał napis: *WIECZNA MIŁOŚĆ TO UKOCHANE ZWIERZĄTKO. ZROBIONE Z DNA TWOICH UKOCHANYCH*. Patolog, która nie cofnęła się o krok, od wrzasnęła Łukowskiemu: – Musiałeś go naciskać, tak?! Musiałeś naciskać, o bracie, choć wskaźnik hormonu stresu wchodził w czerwoną strefę?!

Zastanawiałem się, kto decyduje, jaki jest normalny poziom adrenaliny u człowieka, który zmarł od ciosów noża, ale poza tym jest rozluźniony. Ktoś za moimi plecami wyrzucił z siebie długi ciąg niezbornych obscenizmów.

Odwrociłem się i ujrzałem sanitariusza, który jechał z Cavolinim karetką – nie zauważyłem, że był cały czas na sali. Wbijał wzrok w podłogę, zaciskał pięści i trząsał się ze złości.

Łukowski złapał mnie za łokieć, brudząc mi ubranie syntetyczną krwią.

– Nakręcisz następnego, dobra? – powiedział szeptem, jakby miał nadzieję, że jego słowa nie trafią na ścieżkę dźwiękową. – Coś takiego jeszcze nigdy się nie wydarzyło – nigdy – a jeżeli pokażesz ludziom przypadek jeden na milion, tak jakby...

– Wydaje mi się, że wytyczne Komitetu Taylora dotyczące opcjonalnych ograniczeń wyraźnie mówią... – odezwało się nieśmiało bioetyko.

– Ktoś cię pytał o zdanie?! – wrzasnął na niego wściekły asystent. – Procedura to nie twój biznes, ty nieszczęsny...

W tym momencie gdzieś w głębi elektronicznych trzewi aparatury ożywiającej ryknął rozrywający uszy alarm. Asystent pochylił się nad sprzętem i zaczął walić w klawiaturę jak atakujące zepsuta zabawkę, sfrustrowane dziecko, aż hałas umilkł.

W ciszy, która nastąpiła, niemal zamknąłem oczy, wezwałem Świadka i zatrzymałem nagranie. Dość się napatrzyłem.

David Cavolini odzyskał przytomność i zaczął krzyczeć.

Patrzyłem, jak pompują go morfiną i czekają, aż wykończą go leki ożywiające.

Kiedy zacząłem schodzić ze wzgórza, na którym stoi stacja Eastwood, właśnie minęła piąta. Niebo było blade i bezbarwne, na wschodzie powoli znikająca Wenus, sama ulica wyglądała jednak znów tak samo jak przy świetle dziennym: niesamowicie pusto. Przedział, w którym jechałem, też był pusty. Czas ostatniego człowieka na Ziemi.

W soczystym buszu tworzącym korytarz, którym biegły tory, i w labiryncie gęsto zarośniętych drzewami parków, wplecionych w

przedmieścia, śpiewały ptaki. Głośno. Wiele parków przypominało nietknięty ręką ludzką las – każde drzewo i każdy krzew były jednak wytworami bioinżynierii: wymagano od nich (przynajmniej) odporności na suszę i ogień oraz niezrucania mogących się zapalić liści, gałęzi i kory. Martwa tkanka była przez roślinę wchłaniana i „zjadana” – oczami wyobraźni widziałem obraz tego, co się działo, w zdjęciu poklatkowym (czego sam nigdy nie robiłem): zbrązowieła, zwiędła gałąź kurczy się i znika w pniu. Większość drzew wytwarzała niewielkie ilości prądu elektrycznego, przetwarzając światło słoneczne za pomocą bardzo skomplikowanego procesu chemicznego, przy czym zmagazynowana energia była uwalniana przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Odpowiednio wykształcone korzenie wyszukiwały wijące się w ziemi nadprzewodniki, przekazując do sieci swój wkład. Dwa i ćwierć wolta to całkiem bezpieczne napięcie, aby jednak przekaz był skuteczny, potrzeba zerowego oporu.

Zmodyfikowana została także część fauny: sroki były potulne nawet na wiosnę, komary stroniły od ludzkiej krwi, a najbardziej jadowite węże nie mogły zagrozić dzieciom. Drobne przewagi nad dzikimi kuzynami, związane z biochemią przetworzonej bioinżynieryjnie roślinności, gwarantowały przetworzonym gatunkom dominację w tym mikroekologicznym systemie, a niewielkie niedostatki powstrzymałyby ich rozkwit, gdyby udało im się uciec do naprawdę dzikich, oddalonych od miejskich siedzib rezerwatów.

Wynajmowałem niewielki, wolno stojący domek, otoczony ogrodem nie wymagającym pielęgnowania, łączącym się płynnie z wypustką lasu na końcu ślepego zaułka. Mieszkałem tam od ośmiu lat, od pierwszego zlecenia dla SeeNetu, ciągle jednak czułem się, jakbym wchodził bez zezwolenia na cudzy teren. Eastwood znajduje się dwadzieścia dziewięć

kilometrów od centrum Sydney, gdzie – choć coraz mniej ludzi ma po co tam jeździć – ceny nieruchomości z trudnych do wyjaśnienia powodów wciąż wahają się jak pijak na wietrze. Za sto lat nie byłoby mnie stać na kupienie tego domu. Czynniki, na który też ledwie było mnie stać, był szczęśliwym produktem ubocznym taktyki unikania przez właściciela podatków i należało się spodziewać, że jest jedynie sprawą czasu, by lekkie uderzenie motyli skrzydeł na rynkach finansowych sprawiło, iż sieci telewizyjne staną się mniej hojne albo właścicielowi mojego mieszkania zmniejszy się potrzeba odpisu i zostaną pochwycony podmuchem, by pofrunąć pięćdziesiąt kilometrów na zachód – na peryferie, gdzie moje miejsce.

Podchodziłem do domu niezbyt żwawo. Po tym, co się działo w nocy, dom powinien emanować atmosferą sanktuarium, ja jednak stanąłem z kluczem w dłoni przed frontowymi drzwiami i wahałem się przynajmniej przez minutę.

Gina już wstała, zdążyła się ubrać i była w połowie śniadania. Ostatni raz widzieliśmy się dołą wcześniej – o tej samej porze. Jakbym nie wychodził z domu.

– Jak nagranie? – spytała. Wysłałem jej ze szpitala wiadomość, że wreszcie „mieliśmy szczęście”.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Uciekłem do salonu i opadłem ciężko na fotel. Akt siadania zdawał się powtarzać w moim uchu wewnętrznym: opadałem, opadałem, opadałem. Zatrzymałem wzrok na wzorze na dywanie i iluzja powoli zniknęła.

– Andrew? Co się stało? – Przyszła za mną do pokoju. – Coś poszło nie tak? Musisz kręcić wszystko jeszcze raz?

– Powiedziałem, że nie chcę o tym... – Ugryzłem się w język. Popatrzyłem na Ginę i zmusiłem się do skupienia. Była zaskoczona, ale

jeszcze nie zła. Zasada numer trzy: mów jej przy pierwszej okazji o wszystkim, nawet jeżeli jest nieprzyjemne. Niezależnie od tego, czy masz nastrój, czy nie. Wszystko inne zostanie potraktowane jako świadome wykluczanie jej i uznane za osobisty afront. – Nie będę musiał kręcić ponownie. Jest po wszystkim. – Streściłem, co się stało.

Gina wyglądała, jakby miała z wymiotować.

– Czy coś, co powiedział, było warte... ożywiania? Wzmianka o bracie miała sens, czy tylko doznał urazu mózgu i bredził?

– Jeszcze nie wiadomo. Brat ma na koncie przemoc – dostał wyrok w zawieszeniu za napaść na matkę. Wzięli go na przesłuchanie, ale może się to skończyć niczym. Jeżeli jego pamięć krótkotrwała została wymazana, mógł błędnie poskładać napad z kawałków, korzystając z imienia osoby, która pierwsza wpadła mu do głowy jako zdolna do czegoś podobnego. Zmieniając wersję, niekoniecznie tuszował fakty – mógł po prostu zauważyć, że ma amnezję.

– Ale nawet jeśli to brat go zabił... żadna ława przysięgłych nie przyjmie za dowód kilku słów wydobytych ad hoc. Jeżeli dojdzie do skazania, nie będzie miało związku z ożywieniem.

Trudno było się z tym spierać; mimo to musiałem mocno się wysilić, by spojrzeć z dystansu.

– Masz rację, w tym wypadku na pewno, bywało jednak tak, że ożywienie decydowało. Choć samo oskarżenie przez ofiarę nie utrzymałoby się w sądzie, dochodziło dzięki nim do procesów ludzi, których w innych warunkach nigdy nie zaczęto by podejrzewać. Było kilka spraw, w których wystarczające do skazania dowody zebrano tylko dzięki temu, że zeznanie ożywionego pchnęło śledztwo na odpowiednie tory.

Gina machnęła ręką.

– Można takie przypadki policzyć na palcach jednej ręki, nie uzasadnia to stosowania tej procedury. Powinni jej zakazać, jest obrzydliwa... – zawahała się. – Nie zamierzasz chyba wykorzystać tych zdjęć?

– Oczywiście, że je wykorzystam.

– Chcesz pokazać człowieka umierającego na stole operacyjnym – sfilmowanego w chwili, gdy dociera do niego, że to, co przywróciło mu życie, zaraz go zabije? – Mówiła bardzo spokojnie, była bardziej zdziwiona niż oburzona.

– A co mam, twoim zdaniem, zrobić? Pokazać sztukę, w której wszystko odbywa się zgodnie z planem?

– Nie – może sztukę, w której wszystko dzieje się wbrew planowi? Tak jak w nocy.

– Dlaczego? Wszystko już się stało i mam to na taśmie. Komu coś da rekonstrukcja?

– Rodzinie ofiary. Tak na początek.

Możliwe. Czy jednak rekonstrukcja naprawdę oszczędzi ich uczucia? Poza tym nikt ich nie będzie zmuszał do oglądania ujęć dokumentalnych.

– Bądź rozsądna. To mocny materiał, nie mogę go ot tak sobie wyrzucić. Poza tym mam wszelkie prawo go użyć. Dostałem pozwolenie na pobyt na sali – od glin, od szpitala. Uzyskam też zgodę rodziny...

– Chcesz powiedzieć, że prawnicy sieci wymuszą na nich podpisanie zrzeczenia się roszczeń „w interesie publicznym”?

Nie miałem na to odpowiedzi, choć spodziewałem się takiej reakcji.

– Właśnie stwierdziłaś, że ożywianie jest obrzydliwe – powiedziałem. – Chcesz, żeby go zakazano? Nie zapominaj jednak, że może ci tylko pomóc. Lepszej dawki frankensteinonauki nie mógłby sobie zażyczyć żaden tępy luddyta.

Gina sprawiała wrażenie ugodzonej. Nie umiałem oszacować, czy udaje.

– Mam doktorat z nauk materiałowych, wieśniaku, nie nazywaj mnie więc...

– Nie nazwałem cię tak – wiesz, o co mi chodzi.

– Jeżeli ktokolwiek jest luddytą, to ty. Cały ten projekt zaczyna wyglądać jak edenicka propaganda. *Śmieciowy DNA!* Jaki będzie podtytuł? *Koszmar biotechnologii!*

– Mniej więcej.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możesz włączyć w to żadnej pozytywnej historii...

– Już o tym rozmawialiśmy... – odpowiedziałem zmęczony. – To nie zależy ode mnie. Sieci nie kupią nic, co nie ma zawieszki. Tu jest to ciemna strona biotechnologii. Tematy wybrano pod tym kątem, bo program ma być właśnie o tym. Nie ma być „wyważony”, bo wyważenie mąci w głowie chłopcom od marketingu. Nie da się zrobić szumu wokół czegoś, co zawiera sprzeczne przekazy. Ten przynajmniej może przeciwstawić się wszelkim peanom nad inżynierią genetyczną, którymi ostatnio się dławimy. Poza tym – dodany do tego, co było dotychczas – tworzy pełen obraz. Uzupełnia to, co opuścili poprzednicy.

Gina była niewzruszona.

– To obłudne. Nasz pęd do sensacji równoważy ich pęd do sensacji. Tak się nie dzieje. Dochodzi jedynie do polaryzacji opinii. Co jest złego w chłodnej, rozsądnej prezentacji faktów – która mogłaby pomóc wypchnąć poza granice prawa ożywianie i kilka innych rażących okrucieństw, do tego bez wykorzystywania pieprzenia pod hasłem „przekraczanie granic a natura”?

W pokazaniu wynaturzeń, ale umieszczonych w kontekście? Powinieneś pomagać ludziom podejmować oparte na rzetelnej informacji decyzje w kwestii tego, czego powinni żądać od władzy regulacyjnej. *Śmieciowy DNA*

brzmi bardziej jak zachęta do wyjścia na ulicę i obrzucenia bombami najbliższego laboratorium biotechnologicznego.

Zwinąłem się na fotelu i oparłem głowę na kolanach.

– Niech ci będzie, poddaję się. Wszystko, co mówisz, to racja. Jestem manipulującym informacją, wzbudzającym w ludziach odruch motłochu, wrogim nauce pismakiem.

Zmarszczyła czoło.

– Wrogim nauce? Tak daleko bym się nie posunęła. Jesteś przekupny, leniwy i nieodpowiedzialny, ale jeszcze nie jesteś materiałem na członka Kultów Ignorancji.

– Twoja wiara jest wzruszająca.

Pchnęła mnie poduszką – zdawało mi się, że z czułością – i wróciła do kuchni. Zasłoniłem twarz dłońmi i pokój zaczął się przechylać.

Powinienem się cieszyć. Skończyło się. Ożywianie było ostatnim kawałkiem *Śmieciowego DNA*. Koniec z paranoidalnymi miliarderami, przemieniającymi się w zamknięte, chodzące systemy ekologiczne. Koniec z firmami ubezpieczeniowymi, projektującymi osobiste implanty kontrolujące dietę, wkładany w ćwiczenia sportowe wysiłek, kontakt z zanieczyszczeniami, których celem jest stałe uaktualnianie najprawdopodobniejszej daty i przyczyny śmierci. Koniec z Dobrowolnymi Autystami, prowadzącymi lobbing na rzecz prawa do chirurgicznego uszkodzenia mózgu, by móc osiągnąć stan, którego nie zapewniła im natura...

Poszedłem do gabinetu i rozwinąłem wychodzącą ze stołu montażowego światłowodową pępowinę. Podciągnąłem koszulę i wyjąłem z pępka trochę trudnych do określenia śmieci, potem wyciągnąłem paznokciami zatyczkę w kolorze skóry, odsłaniając krótką rurkę z nierdzewnej stali, zakończoną opalizującym portem lasera.

– Znów dokonujesz z tą maszyną aktów pozostających w niezgodzie z naturą? – krzyknęła z kuchni Gina.

Byłem zbyt zmęczony, aby wymyślić inteligentną odpowiedź. Włożyłem wtyczkę w gniazdo i ekran pojaśniał.

Podczas przekazywania materiału ekran pokazywał każdą sekundę. Osiem godzin zostało skompresowanych do sześćdziesięciu sekund i choć praktycznie widać było jedynie niemożliwe do rozpoznania, rozmazane smugi – odwróciłem wzrok. Nie czułem się na siłach, by nawet przez kilka sekund ponownie przeżywać nocne wydarzenia.

Weszła Gina z tacą tostów i wcisnąłem klawisz ukrywający obraz.

– Ciągle nie umiem pojąć, jak możesz mieć w jamie otrzewnej cztery tysiące terabajtów RAM-u bez widocznych blizn.

Popatrzyłem w dół, na gniazdo.

– Jak na to mówisz? Niewidoczne?

– Za małe. Ośmiusetterabajtowy procesor ma trzydzieści milimetrów średnicy. Sprawdzalam w katalogu.

– Sherlock znów w akcji. A może powinienem powiedzieć: Shylock? Blizny można przecież usuwać, nie?

– Tak, ale... chciałbyś zatrzeć ślady po twoim najważniejszym rytuale inicjacyjnym?

– Oszczędź mi tego antropologicznego bełkotu.

– Mam jeszcze inną teorię.

– Niczego nie potwierdzę ani niczemu nie zaprzeczę.

Przesunęła wzrokiem po pustym ekranie i spojrzała w końcu na wiszący nad nim na ścianie plakat z filmu *Repo Man*: policjant, który zsiadł właśnie z motocykla stoi za rozsypującym się samochodem. Uchwyciła moje spojrzenie, po czym wskazała na podpis: **NIE ZAGLĄDAJ DO BAGAŻNIKA!**

- Dlaczego? Co tam jest? Roześmiałem się.
- Nie wytrzymasz dłużej, co? Będziesz musiała obejrzeć ten film.
- Hm... chyba tak.

Ekran zapiszczał i rozłączyłem się. Gina przyglądała mi się z uwagą – moja mina musiała coś zdradzać.

- To jak seks czy bardziej jak wypróżnianie się? – spytała.
- Raczej jak spowiedź.
- Nigdy w życiu nie byłeś u spowiedzi.
- Nie byłem, ale widziałem ją w kinie. Zresztą i tak żartowałem. To nie jest podobne do czegokolwiek innego.

Gina popatrzyła na zegarek, po czym pocałowała mnie w policzek, pozostawiając na nim okruchy tosta.

- Muszę lecieć. Prześpij się trochę, głupku. Wyglądasz okropnie.

Siedziałem i słuchałem jej krzątaniny. Co rano odbywała trwającą dziewięćdziesiąt minut podróż pociągiem do mieszczącej się na zachód od Blue Mountains stacji badawczej turbin powietrznych CSIRO. Zazwyczaj budziłem się razem z nią – na pewno to lepsze od budzenia się samemu.

Kocham ją. Jeżeli się skoncentruję, jeżeli będę działał wedle zasad, nie ma powodu, dla którego nie miałyby to trwać. Zbliżałem się do mojego półtorarocznego rekordu, ale nie było w tym nic, czego trzeba by się bać. Poradzimy sobie – bez problemu.

Znów pojawiła się w drzwiach.

- Kiedy masz to mieć gotowe? – spytała.
- Dokładnie za trzy tygodnie. Licząc od dziś. – Nie miałem ochoty, by mi o tym przypominano.
- Dziś się nie liczy. Prześpij się trochę. Pocałowaliśmy się i wyszła. Przekręciłem krzesło i wbiłem wzrok w pusty ekran.

Nic się nie skończyło. Zanim uda mi się wyrzec Daniela Cavoliniego, będę musiał jeszcze sto razy oglądać, jak umiera.

Pokuśtykałem do sypialni i rozebrałem się. Powiesiłem ubranie na stelażu czyszczącym i włączyłem go. Polimery we włóknach pozbyły się wilgoci w słabym wydechu, związały potem resztę brudu i wysuszyły pot, tworząc z niego drobny, luźny pył, po czym pozbyły się go elektrostatycznie. Patrzyłem na sypiącą się do pojemnika strużkę – jak zwykle była nieprzyjemnie niebieska, co ma ponoć związek z wielkością cząstek. Wziąłem szybki prysznic, po czym wlałem do łóżka.

Ustawiłem budzik na drugą po południu. Jednostka farmako przy łóżku zapytała: – Przygotować serię melatoninową, żebyś miał jutro po południu synchro?

– Może być.

Włożyłem kciuk do rurki z próbnikiem, kiedy pobierał krew, poczułem delikatne ukłucie. Od kilku lat były w sklepach nieinwazyjne aparaty, działające na zasadzie magnetycznego rezonansu jądrowego, ciągle jednak były zbyt drogie.

– Chcesz czegoś, co pomogłoby ci zasnąć?

– Chcę.

Farmako zaczęło cicho mruzczyć – tworzyło środek uspokajający, dostosowany do mojego aktualnego stanu biochemicznego, w dawce odpowiedniej do zaplanowanego przeze mnie czasu spania. Mieszczący się w urządzeniu syntetyzator wykorzystywał szeroką paletę programowanych katalizatorów, a półprzewodnikowy procesor miał zmagazynowane wzorce dziesięciu miliardów enzymów, które można było elektronicznie konfigurować. Zanurzony w zbiorniczku z molekułami prekursorowymi mógł stworzyć kilka miligramów każdego leku z listy obejmującej dziesięć

tysięcy pozycji. No, przynajmniej tych, dla których miałem program, i tak długo, jak będę uiszczal opłatę licencyjną.

Maszyna wypluła niedużą, jeszcze ciepłą tabletkę. Wbiłem w nią zęby.

– Po ciężkiej nocy pomarańczowy smak! Pamiętałaś!

Opadłem na plecy i zacząłem czekać, aż lek zadziała.

Obserwowałem wyraz jego twarzy, ale jej mięśnie były porażone, pozbawione kontroli. Słyszałem jego głos, ale oddech, dzięki któremu mówił, nie był jego. Nie miałem możliwości dowiedzieć się, co naprawdę czuł.

Nie była to *Małpia łapka* ani *Zdradzieckie serce*.

Raczej *Przedwczesny pogrzeb*.

Nie miałem jednak prawa opłakiwać Davida Cavoliniego. Zamierzałem sprzedać światu jego śmierć. Nie miałem nawet prawa do empatii, wyobrażania sobie siebie na jego miejscu. Jak zauważył Łukowski, mnie coś takiego nie mogłoby się przydarzyć.

Moviolę z lat pięćdziesiątych XX wieku widziałem raz – w muzealnej gablocie. Trzydziestopięciomilimetrowy pasek celuloideu przebywał pełną tortur drogę przez trzewia maszyny, wędrując w tę i z powrotem między dwoma poruszonymi za pomocą pasków szpulami, umieszczonymi na cienkich, pionowych ramionach za maleńkim ekranem. Wycie silniczka, chrzęst zębatek przypominający startujący helikopter, szum blaszek migawki – dźwięki dochodzące z wyświetlanego na ekranie obok gabloty filmu, ukazującego maszynę w działaniu, sprawiały, że kojarzyła się nie z narzędziem montażowym, lecz z niszczarką.

Pociągająca perspektywa: „Bardzo mi przykro, ale... scena została stracona. Moviola ją zjadła”. Oczywiście, standardową praktyką było montowanie tylko i wyłącznie kopii oryginalnego materiału (zresztą zazwyczaj i tak był to niemożliwy do oglądania negatyw), ale od tamtej

chwili w głowie tkwiła mi niczym wspaniała, choć równocześnie zakazana fantazja, myśl o szarpnięciu zębarki i przerobieniu w ten sposób metrów cennego celuloиду na konfetti.

Moja trzyletnia konsola montażowa 2025 Affine Graphics nie była zdolna zniszczyć czegokolwiek. Każde zdjęcie, które wpisywałem, było wypalane w dwóch niezależnych, jednorazowo zapisywalnych procesorach pamięci, równocześnie kodowane i automatycznie wysyłane do archiwów w Mandeli, Sztokholmie i Toronto. Każda montażowa zmiana, która potem następowała, była jedynie zmianą odnośników do nienaruszalnego oryginału. Mogłem cytować z surowego materiału filmowego (filmowego! – tylko dyletanci używali pretensjonalnych neologizmów w stylu „materiał bitowy”) tak selektywnie, jak miałem ochotę. Mogłem parafrazować, zastępować i improwizować, ani jedna klatka oryginału nie mogła jednak zostać zniszczona ani zagubiona – tak, by nie dała się naprawić, odzyskać.

Mimo to nie czułem zbyt zżymy z zazdrości wobec kolegów z ery analogowej – upierdliwe, starannie zaplanowane etapy, jakich wymagało ich rzemiosło, szybko doprowadziłyby mnie do szału. Najwolniejszym etapem cyfrowego montażu było podejmowanie decyzji przez człowieka i nauczyłem się dokonywać prawidłowych osądów przy dziesiątym albo góra dwunastym podejściu. Program komputerowy mógł odpowiednio skombinować rytm sceny, zoptymalizować każde cięcie, poprawić dźwięk, usunąć niepotrzebne przechodnia, w razie konieczności nawet przesunąć całe budynki. Komputer dbał o wszystkie elementy mechaniki – nie pozostawało nic, co odwróciłoby uwagę od treści.

Jedynę, co musiałem zrobić ze *Śmieciowym DNA*, to przetworzyć sto osiemdziesiąt godzin czasu rzeczywistego na pięćdziesiąt minut sensu.

Nakręciłem cztery historie i wiedziałem już, w jakiej kolejności je ustawię: tak, by następowało stopniowe przejście od szarości do czerni.

Chodząca biosfera Ned Landers. Ubezpieczalniany implant StrzeżZdrowie. Grupa lobbingowa Dobrowolni Autyści. Ożywienie Daniela Cavoliniego. SeeNet chciała mieć eksces, przekraczanie granic, frankensteinonaukę. Nie miałem żadnego problemu z dostarczeniem tego, o co im chodziło.

Landers dorobił się na suchych komputerach, czyli nie na biotechnologii, zaczął jednak potem kupować kolejne korporacje zajmujące się intensywnie badaniami z zakresu genetyki molekularnej, co miało zagwarantować sukces jego osobistej przemiany. Błagał mnie o to, bym filmował go w szczelnej podziemnej kopule, pełnej dwutlenku siarki, tlenków azotu i cząstek benzytowych – ja miałem być w skafandrze ciśnieniowym, on w kąpielówkach. Spróbowaliśmy, niestety wizjer mojej maski ciągle zaparowywał oleistymi rakotwórczymi odpadami, musieliśmy się więc spotkać w centrum Portland. O ile wypełniona truciznami kopuła wydawała się obiecująca, to nieskalane błękitne niebo stanu, który doganiał Kalifornię w zakresie całkowitego zakazu wprowadzania do atmosfery każdego znanego zanieczyszczenia, okazało się jak na razie najbardziej surrealistycznym tłem.

„Kiedy nie chcę, nie muszę oddychać”, zdradził Landers, otoczony nieprzebraną ilością czystego, świeżego powietrza. Namówiłem go na udzielenie wywiadu w niedużym, trawiastym parku, mieszczącym się naprzeciwko skromnej centrali NL Group. (W tle dzieci grały w piłkę nożną, konsolata zajmie się jednak nawet najmniejszym śladem problemów z ciągłością, które da się rozwiązać jednym ruchem klawisza). Landers był tuż przed pięćdziesiątką, mógł jednak uchodzić za dwudziestopięciolatka. Ze swoją krępą budową, złotymi włosami, błękitnymi oczami i niemal jarzącą się różową skórą wyglądał nie jak bogaty ekscentryk, w którego ciele kłębiły się wytworzone za pomocą inżynierii genetycznej algi i geny, ale jak hollywoodzka wersja rolnika z Kansas (w dobrych czasach).

Przyglądałem mu się na płaskim ekranie konsoli i słuchałem, co mówi, przez proste stereofoniczne głośniki. Mogłem podłączyć obraz bezpośrednio do moich nerwów wzrokowych i słuchowych, należało się jednak spodziewać, że większość widzów będzie korzystała z ekranu albo hełmu, więc musiałem mieć pewność, że z mocno skompresowanych wizualnych skrótów, jakie powstawały na moich siatkówkach, program stworzył równomierny, logiczny i zgodny z zasadami perspektywy zestaw pikseli.

„Żyjące w moim krwiobiegu symbionty mogą bez końca przetwarzać tlenek węgla w tlen. Otrzymują pewną ilość energii przez skórę i uwalniają każdą cząstkę glukozy, która nie jest im niezbędna – jest jej jednak za mało, bym mógł żyć, poza tym potrzebują innego źródła energii, kiedy są w ciemności. Tu włączają się symbionty żyjące w moim żołądku i trzewiach – mam ich trzydzieści siedem typów i radzą sobie ze wszystkim. Mogę się żywić trawą. Mogę jeść papier. Gdybym znalazł sposób cięcia ich na możliwe do połknięcia kawałki, mógłbym utrzymać się przy życiu na zużytych oponach. Gdyby jutro z powierzchni Ziemi zniknęła cała fauna i flora, mógłbym przeżyć tysiąc lat na oponach. Mam mapę, na której zaznaczone są wszystkie składowiska zużytych opon na kontynencie amerykańskim. Większość z nich ma zostać zrekultywowana, prowadzę jednak kilka procesów sądowych, by zagwarantować, że niektóre pozostaną. Pomijając powody osobiste, uważam, że składowiska opon to część naszego dziedzictwa i winni jesteśmy przyszłym pokoleniom pozostawienie ich w nienaruszonym stanie”.

Cofnąłem się i wmontowałem krótki filmik, zrobiony pod mikroskopem, a ukazujący sztucznie stworzone algi i bakterie zamieszkujące w krwiobiegu i przewodzie pokarmowym Landersa, następnie mapę ze składowiskami opon, którą naszkicował mi na notepadzie. Zastanawiałem

się, czy wykorzystać animację, którą przygotowałem – demonstrującą jego cykle węgla, tlenu i energii, nie byłem jednak do końca pewny, gdzie jest jej miejsce.

„Jest pan więc odporny na klęskę głodu i masowe wymieranie gatunków, a co z wirusami?”, zapytałem podczas wywiadu. „Co z bronią biologiczną albo jakąś przypadkową plagą?”. Wyciąłem moje słowa – były zbędne, a wolałem jak najmniej się wtrącać. Tak jak sprawy stały, zmiana tematu była nieco *non sequitur*, zsyntetyzowałem więc ujęcie Landersa mówiącego: „Tak samo jak stosuję symbionty...” i dołączyłem je w płynny sposób do dalszej wypowiedzi: „Stopniowo zastępuję te tkanki w moim ciele, które cechują się największym potencjałem zakażenia wirusowego. Wirusy składają się z DNA albo RNA i mają taką samą budowę chemiczną co pozostałe organizmy żyjące na planecie. Dzięki temu mogą wnikać do komórek w celu rozmnażania się. Można jednak stworzyć DNA i RNA o całkiem odmiennej budowie chemicznej – miejsce normalnych par nukleotydów zajmują niestandardowe. Powstaje nowy alfabet kodu genetycznego: zamiast guaniny z cytozyną albo adeniny z tyminą. GzC, AzT – można mieć X z Y i W z Z”.

Słowa po „tyminą” zamieniłem na: „...można zastosować cztery inne molekuly, nie występujące w przyrodzie”. Sens był taki sam, lecz dobitniej ilustrował ideę. Kiedy obejrzałem scenę, nie zabrzmiało to jednak prawdziwie, powróciłem więc do oryginału.

Każdy dziennikarz musi parafrazować swoje obiekty – gdybym nie godził się na stosowanie tej techniki, straciłbym pracę. Sztuka polegała na tym, aby robić to szczerze, a było to tak samo trudne jak próba bycia uczciwym w trakcie całego procesu montażowego.

Włączyłem kawałek grafiki ukazującej molekularny schemat zwykłego DNA – ukazywał każdy atom w sparowanych nukleotydach, łączących

łańcuchy podwójnego heliksu, po czym pokolorowałem i opisałem po jednym z każdego nukleotydu. Landers co prawda odmówił wyjaśnienia, jakich niestandardowych nukleotydów używa, znalazłem jednak mnóstwo możliwości w literaturze. Uruchomiłem grafikę tak, że nukleotydy w heliksie zostały zastąpione czterema prawdopodobnymi nowymi, po czym z tym hipotetycznym DNA Landersa powtórzyłem powolny najazd i obrót heliksu z początku wstawki graficznej. Przełączyłem następnie na jego gadającą głowę.

„Prosta zamiana nukleotydu na inny nukleotyd w łańcuchu DNA oczywiście nie wystarczy. Aby móc syntetyzować nowe nukleotydy, komórki potrzebują nowych enzymów – większość wchodzących w interakcję z DNA i RNA białek musi się dostosować do zmian, nie wystarczy więc jedynie zapisać geny odpowiedzialne za wytwarzanie tych białek w nowym alfabecie – muszą zostać poddane translacji”. Zaimprovizowałem kilka mających to ilustrować rysunków. Z artykułu, który przeczytałem, przygotowując się do tematu, ukradłem przykład pewnego jądrowego białka wiążącego – oczywiście tak je rysując, by uniknąć zarzutu o łamanie praw autorskich. „Nie udało nam się zająć każdym wymagającym translacji ludzkim genem, stworzyliśmy jednak szereg tkanek, które dobrze działają dzięki minichromosomom zawierającym jedynie potrzebne im geny. Sześćdziesiąt procent komórek macierzystych układu krwionośnego w szpiku kostnym i grasicy zostało zastąpionych wersjami używającymi neo-DNA. Komórki macierzyste układu krwionośnego zamieniają się w komórki krwi – w tym także komórki układu odpornościowego. Aby umożliwić płynne przejście, musiałem okresowo przełączyć mój układ odpornościowy z powrotem na stan niedojrzały – dla usunięcia wszystkiego, co mogłoby spowodować reakcję autoimmunologiczną, znów musiałem przejść część następujących

w dzieciństwie etapów delecji klonalnej, ale generalnie mówiąc, mogę sobie wstrzykiwać teraz czysty HIV i śmiać się z tego”.

„Ale przecież istnieje idealna szczepionka...”.

„Oczywiście”. Wyciąłem moje słowa i włożyłem w usta Landersa dalszy kawałek tekstu: „Oczywiście, że istnieje szczepionka przeciwko HIV”. Potem szło to, co powiedział w trakcie wywiadu: „Mam symbionty, które tworzą drugi, niezależny układ odpornościowy, kto jednak wie, co pojawi się w przyszłości? Nieważne, co to będzie, jestem przygotowany. Nie poprzez antycypację konkretnych substancji – czego i tak nie da się nigdy zrobić – ale przez zagwarantowanie, że ani jedna możliwa do zaatakowania komórka w moim ciele nie mówi tym samym biochemicznym językiem co dowolny istniejący na Ziemi wirus”.

„A co z perspektywą długoterminową? Zapewnienie panu tych wszystkich strażników oznaczało stworzenie bardzo skomplikowanej i drogiej infrastruktury. Co będzie, jeżeli technologia nie przetrwa na tyle długo, by mogły z jej osiągnąć korzystać pańskie dzieci i wnuki?”. Było to zbędne, więc skasowałem.

„W perspektywie długoterminowej moim celem jest oczywiście modyfikacja komórek macierzystych wytwarzających nasienie. Moja żona Carol rozpoczęła już program magazynowania jajeczek. Kiedy dokonamy translacji całego genomu człowieka i zastąpimy wszystkie dwadzieścia trzy chromosomy w spermie i jajczkach... wszystko, czego dokonaliśmy, będzie dziedziczne. Każde nasze dziecko będzie miało stuprocentowy neo-DNA, a wszystkie symbionty będą przekazywane dziecku przez matkę w łonie. Dokonamy także translacji genomów symbiontów – w trzeci alfabet genetyczny – aby ochronić je przed wirusami oraz wyeliminować ryzyko przypadkowej wymiany genów. Staną się naszymi plonami i trzodą, naszym prawem krwi, niezbywalnym dominium żyjącym po wsze czasy w naszej

krwi. Nasze dzieci staną się nowym gatunkiem. Więcej – nowym królestwem!”.

Grające w piłkę dzieci zaczęły radośnie wrzeszczeć – musiała paść bramka. Zostawiłem odgłos.

Landers nagle się rozpromienił – jakby kontemlował swoją Arkadię po raz pierwszy.

„To właśnie tworzę. Nowe Królestwo”.

Siedziałem przy konsolce osiemnaście godzin na dobę i zmuszałem się do takiego życia, jakby świat się skurczył – nie do wielkości gabinetu, ale do miejsc i czasów uchwyconych przez moje filmy. Gina dała mi spokój – przeżyła montaż *Analizy płci do przesady* i wiedziała, czego może się spodziewać.

– Będę po prostu udawać, że wyjechałeś z miasta – powiedziała beztrąsko – i że leżąca w łóżku bryła to wielki termofor.

Farmako zaprogramowało mi plaster do naklejania na barku, uwalniający w starannie dobranych momentach odpowiednie porcje melatoniny albo blokera melatoniny – wzmacniając albo osłabiając normalny sygnał biochemiczny wytwarzany przez moją szyszynkę i w ten sposób zmieniając sinusoidę czuwania – spłaszczając ją, a następnie wywołując głęboki, głęboki spadek. Budziłem się rano po pięciu godzinach snu wzbogaconego o fazę REM – z rozszerzonymi oczami, naładowany energią jak nadpobudliwe dziecko i z głową, w której wirowało od tysięcy rozpadających się na kawałki snów (większość z nich była rozwiniętymi remiksami dokonywanych poprzedniego dnia cięć montażowych). Do za piętnaście dwunasta w nocy jedynie kilka razy ziewałem, kwadrans później gasłem jednak jak zdmuchnięta świeca. Melatonina to naturalny hormon regulujący rytm dobowy i jest znacznie bezpieczniejsza oraz precyzyjniejsza od brutalnych stymulantów typu kofeina czy amfetaminy.

(Kilka razy próbowałem kofeiny i choć wydawało się, że jestem po niej skoncentrowany i pełen energii, paprała mi zdolność dokonywania osądów. Powszechne używanie kofeiny w XX wieku dużo mówi o tamtych czasach). Po odstawieniu melatoniny w wyniku przesadnych wysiłków mózgu, aby przeciwdziałać narzuconemu rytmowi, przez krótki czas cierpiałbym na bezsenność i ospałość w ciągu dnia, ale efekty uboczne pracy bez niej byłyby gorsze.

Carol Landers odmówiła udzielenia wywiadu, co było paskudne – pogawędka z następną Ewą Mitochondrialną mogła być niezłym numerem. Odmówiła komentarza na temat tego, czy stosuje aktualnie symbionty – może czekała, czy mąż będzie rozkwitał, czy też nastąpi u niego gwałtowny rozród jakiegoś szczepu zmutowanych bakterii i dostanie wstrząsu toksycznego.

Pozwolono mi porozmawiać z kilkoma pracownikami wyższego szczebla firmy Landersa – w tym obydwoma genetykami, którzy prowadzili najwięcej działań badawczo-rozwojowych. Kiedy zaczynała być mowa o czymkolwiek wykraczającym poza zagadnienia natury technicznej, robili się nieśmiali; generalnie biorąc, ich nastawienie było takie, że każda dobrowolnie wybrana metoda, która może zabezpieczyć komuś zdrowie – a nie stanowi ogólnego zagrożenia publicznego – jest nieatakowalna z etycznego punktu widzenia. Mieli rację – przynajmniej w kontekście zagrożenia biologicznego – gdyż praca z neo-DNA oznaczała, że nie istnieje ryzyko przypadkowej rekombinacji. Nawet gdyby wylali wyniki wszystkich swoich nieudanych eksperymentów do najbliższej rzeki, żadna naturalna bakteria nie byłaby w stanie przejąć genów i ich wykorzystać.

Wprowadzanie w życie wizji Landersa o idealnej (pod względem możliwości przeżycia) rodzinie stawało się jednak czymś więcej niż pracą badawczo-rozwojową. Dokonywanie możliwych do dziedziczenia zmian w

jakimkolwiek ludzkim genie było obecnie w USA (i większości miejsc) nielegalne – wyjątki obejmowała lista „autoryzowanych działań naprawczych”, służących wyeliminowaniu takich schorzeń, jak zanik mięśni czy mukowiscydoza. W każdej chwili mogło dojść do uchYLENIA zezwolenia na prowadzone przez Landersa badania – choć jego specjalizujący się w bioetyce adwokat twierdził, że zmiana par nukleotydów, a nawet translacja kilku genów w celu uzyskania tej zmiany, nie jest łamaniem antyeugenicznego ducha istniejącego prawa. Nie zmienia to zewnętrznych cech dzieci (wzrostu, budowy ciała, pigmentacji), nie ma wpływu na ich iloraz inteligencji ani osobowość. Kiedy zadałem pytanie o bezpłodność, której należało się spodziewać (z wyjątkiem kazirodztwa), zajął ciekawe stanowisko, że nie będzie raczej winą Neda Landersa, jeżeli dzieci innych ludzi będą w związku z nim bezpłodne. W końcu nie ma bezpłodnych ludzi – jedynie bezpłodne pary.

Ekspert w tej dziedzinie z uniwersytetu Columbia stwierdził, że to wszystko bzdety: zastępowanie całych chromosomów, niezależnie od skutków fenotypowych, jest nielegalne. Inny ekspert – z Uniwersytetu Waszyngtońskiego – nie był aż taki pewny. Gdybym miał czas, prawdopodobnie mógłbym zebrać sto bajtów głosów znakomitych prawników, wyrażających na ten temat opinie o każdym wyobrażalnym odcieniu.

Rozmawiałem z wieloma krytykami Landersa, w tym z Jane Summers, niezależną konsultantką biotechnologii z San Francisco i wybitnym członkiem Stowarzyszenia Biologów Molekularnych na rzecz Odpowiedzialności Społecznej. Pół roku przedtem (pisząc w półoficjalnym net-zinie SBMOS, który mój kopacz wiadomości zawsze pilnie studiuje), twierdziła, iż jest w posiadaniu dowodów, że kilka tysięcy bogatych ludzi ze Stanów Zjednoczonych i innych krajów kazało dokonać u siebie

translacji DNA – we wszystkich typach komórek po kolei. Twierdziła, że Landers jest jedynym, który musiał się ujawnić – jako coś w rodzaju przynęty: samotny ekscentryk, rozładowujący związane ze sprawą napięcie i sprawiający, że problem zaczyna wyglądać jak śmieszna (niemal donkiszoteryjna) fantazja pojedynczego człowieka. Gdyby ujawniono badania w mediach bez skojarzenia ich z konkretną osobą, zapanowałaby paranoja: nie byłoby granic w przypisywaniu ludzi do anonimowej elity planującej rozwieść się z biosferą. Ponieważ jednak sprawę ujawniono i przypisano nieszkodliwemu Nedowi Landersowi, nie trzeba się było niczego bać.

Teoria ta miała sporo sensu, lecz Summers nie przedstawiła dowodów. Z wahaniem skontaktowała mnie ze „źródłem z kręgów przemysłu”, które miało podobno uczestniczyć w programie translacji genów u całkiem innego pracodawcy – „źródło” wszystkiemu zaprzeczyło. Naciskana o dalsze dowody, Summers zaczęła się zachowywać wymijająco. Albo nigdy nie miała w ręku nic konkretnego, albo dogadała się z innym dziennikarzem, że będzie trzymać konkurencję z dala. Było to frustrujące, ale w końcu nie miałem czasu ani możliwości, by zajmować się tą historią niezależnie. Jeżeli naprawdę istniał spisek separatystów genetycznych, pozostawało mi – jak wszystkim innym – poczekać na artykuł napisany na prawach wyłączności dla „Washington Post”.

Zakończyłem składanką wypowiedzi innych komentatorów – bioetyków, genetyków, socjologów – raczej lekceważących szum wokół sprawy. „Pan Landers ma prawo żyć swoim życiem i wychowywać własne dzieci w sposób, jaki uważa za stosowny. Nie oskarżamy Amiszów za endogamię, dziwaczne technologie i dążenie do niezależności. Dlaczego mamy oskarżać pana Landersa za – ogólnie mówiąc – te same »przestępstwa«?”.

Ostateczna wersja trwała osiemnaście minut, dostałem jednak tylko dwanaście. Ciąłem więc bezlitośnie, streszczałem i upraszczałem – dbając o profesjonalizm, ale niezbyt przejmując się utratą szczegółów. Większość programów w czasie rzeczywistym SeeNet nie służyło innemu celowi niż skupieniu uwagi opinii publicznej i zagwarantowaniu recenzji w kilku bardziej konserwatywnych mediach. *Śmieciowy DNA* miał zostać nadany w środę o 23:00 – znakomita większość widzów załoguje się w wygodnej chwili do pełnej wersji interaktywnej. Tak samo jak nieco dłuższa wersja liniowa, wersja interaktywna będzie doprawiona opcjonalnymi linkami do innych źródeł: artykułów z czasopism technicznych, które przeczytałem, przygotowując program (i wszystkich cytowanych w nich artykułów), innych artykułów i programów o Landersie (oraz o teorii spisku Summers), odpowiednich przepisów amerykańskich i nieamerykańskich, a nawet tropów prowadzących do gąszczu spraw, potencjalnie wynikających ze spraw sądowych.

Wieczorem piątego dnia montażu – dokładnie według planu, co już samo w sobie było powodem do świętowania – połączyłem wszystkie poszarpane wątki i po raz ostatni zacząłem oglądać gotowy reportaż. Spróbowałem pozbyć się wspomnień z filmowania oraz zapomnieć o koncepcjach wstępnych i oglądać materiał jak widz SeeNetu, który ogląda wszystko po raz pierwszy (pomijając kilka wprowadzających w błąd promocji programu).

Landers wypadł zaskakująco sympatycznie – sądziłem, że byłem surowszy. Wydawało mi się, że dałem mu stuprocentową okazję, by potępił się za pomocą poważnego wyjaśniania swoich surrealistycznych ambicji, ale robił wrażenie nie tyle Pana Narzekalskiego, ile osoby w dobrym humorze. „Utrzymać się przy życiu, jedząc opony? Wstrzykiwać sobie HIV?” Patrzyłem zdziwiony. Nie umiałem ocenić, czy w jego zachowaniu

tkwi podskórny nurt świadomej autoironii, którego jakimś sposobem dotychczas nie zauważyłem – czy po prostu temat sprawiał, że zdrowy na umyśle widz nie mógł inaczej interpretować jego słów.

A jeżeli Summers się nie myliła? Jeżeli Landers naprawdę był przynętą, elementem służącym odwróceniu uwagi, doskonale grającym kłownem? Jeżeli tysiące spośród najbogatszych ludzi na planecie naprawdę planowały zagwarantować sobie i swoim potomkom idealną izolację genetyczną i całkowitą odporność na wirusy?

Czy miało to jakiekolwiek znaczenie? Bogaci w ten czy inny sposób zawsze odcinali się od motłochu. Poziom zanieczyszczeń miał dalej opadać – niezależnie od tego, czy algowe symbionty uczynią czyste powietrze czymś przestarzałym, a każdy, kto postanowi pójść w ślady Landersa, będzie wielką stratą dla ludzkości.

Bez odpowiedzi pozostawało tylko jedno drobne pytanko, ale próbowałem nie poświęcać mu zbyt wiele uwagi.

Całkowita odporność wirusowa... na co?

Jak na razie Delphic Biosystems zachowywała się aż nazbyt szczerze. Nie tylko zorganizowano dziesięć razy więcej spotkań z pracownikami biura *public relations*, niż byłbym w stanie wykorzystać, to jeszcze zasypano mnie CD-ROM-ami, pełnymi uwodzicielskich mikrografik i olśniewających animacji. Blokowe schematy działania implantu StrzeżZdrowie były namalowanymi pistoletem retuszera impresjami na temat nierealnych, chromowanych maszyn i kruczoczarnych pasów transmisyjnych, po których od podprocesu do podprocesu przesuwają się jaskrawo-srebrne bryłki „danych”. Molekularne schematy wchodzących w interakcje atomów były okryte delikatnym całunem pięknych – i kompletnie niepotrzebnych – map gęstości elektronicznej, rozplywającymi się i przechodzącymi jeden w drugi welonami różowych i niebieskich

aureol, przetwarzających najskromniejszy chemiczny związek w fantazję mikrokosmosu. Mógłbym wszystko zilustrować Wagnerem albo Blake'em i wcisnąć członkom Renesansu Mistycznego, by puszczała to sobie na zapętlonej taśmie za każdym razem, kiedy będą mieli ochotę, by opadła im szczeka w nadnaturalnym niezrozumieniu.

Przebiłem się przez gęstwiny – i opłacało się. Między technopornografią a traktowaniem nauki jako psychodelicznego przeżycia skryło się kilka ujęć wartych ocalenia.

W implantacji StrzeżZdrowie pracował najnowszy programowalny procesor analityczny: macierz złożonych białek związanych z silikonem – pod wieloma względami było to urządzenie podobne do farmakosyntetyzera, jego celem nie było jednak tworzenie molekuł, a ich liczenie. Poprzednia generacja procesorów używała mnóstwa wysoce specyficznych przeciwciał, białek w kształcie litery Y, wszczepionych w półprzewodnik w naprzemiennym schemacie, co przypominało szachownicę sąsiadujących ze sobą pól uprawnych. Kiedy molekula cholesterolu, insuliny czy czegoś innego trafiła dokładnie w odpowiednie pole i zderzyła się z odpowiednim przeciwciałem, wiązała się z nim na czas wystarczający do spowodowania minimalnej zmiany w pojemności elektrycznej układu, którą notowano i zapisywano w procesorze. Po określonym czasie zapis szczęśliwie odkrytych zderzeń pozwalał ustalić zawartość każdej substancji we krwi.

Nowe czujniki używały białka, które przypominało nie bierny, służący jednemu celowi szablon przeciwciał, a muchołówkę z mózgiem. „Analizatorem” w stanie receptywnym była długa, mająca kształt dzwonu molekula – przewód z wyjściem na szeroki „komin”. Konstrukcja była metastabilna, a rozkład ładunku na jej powierzchni sprawiał, że była znakomicie czuła i gotowa do działania jak ściśnięta sprężyna. Każda

cząstka o odpowiedniej wielkości, która uderzyła w wewnętrzną powierzchnię „komina”, powodowała reakcję z prędkością światła – powierzchnia się deformowała, obejmowała intruza i ciasno go otaczała. Mikroprocesor, zauważywszy zadziałanie „sprężynowej” pułapki, mógł zbadać pojmaną molekułę poprzez określenie kształtu, jaki przyjmował obejmujący ją coraz ciasniej analizator. Nie było zmarnowanych zderzeń – cząsteczki insuliny nie uderzały w przeciwciała cholesterolu, nie było działań, z których nie uzyskiwano informacji. Analizator zawsze wiedział, co w niego trafiło.

Był to wart uwagi postęp techniczny – wart wyjaśnienia i demistyfikacji. Niezależnie od społecznych implikacji implantu StrzeżZdrowie, nie można go było przedstawiać w próżni, z pominięciem technologii, która umożliwiła stworzenie urządzenia. W chwili gdy ludzie zaczęli przestawać rozumieć, jak działają otaczające ich maszyny, świat, który zamieszkują, zaczął się rozplýwać w niezrozumiały krajobraz ze snów. Technika przekroczyła barierę kontroli, granicę dyskusji i stała się źródłem uwielbienia albo obrzydzenia, zależności albo wyobcowania. Arthur C. Clarke stwierdził, że każda wystarczająco rozwinięta technologia będzie nie do odróżnienia od magii (miał na myśli możliwe spotkanie z obcą cywilizacją); jeżeli jednak istniała jakaś odpowiedzialność dziennikarza zajmującego się nauką, było nią dbanie o to, by Prawo Clarke’a nie dało się zastosować wobec ludzi i ludzkiej technologii.

(Wzniosłe sentymenty... a w rzeczywistości zajmowałem się popularyzacją frankensteinonauki, była to bowiem nisza, którą należało wypełnić. Próbowałem uspokajać sumienie – raczej na chwilę je zagłuszałem – tekstami o koniach trojańskich i zmienianiu systemu od wewnątrz).

Wykorzystałem sporządzone przez Delphic Biosystems grafiki działającego analizatora, zaprogramowałem przy tym konsolę tak, by wycięła przesadne ozdobniki i dało się wyraźnie zobaczyć, co naprawdę się dzieje. Wyrzuciłem barokowe komentarze i napisałem własny. Konsola stworzyła głos o profilu dykcji, który wybrałem do narracji wszystkich części *Śmieciowego DNA* – sklonowany na podstawie próbek głosu angielskiej aktorki Juliet Stevenson. Dawno już nieistniejąca „standardowa wymowa angielska” pozostawała – w odróżnieniu od wszystkich aktualnie występujących w Wielkiej Brytanii akcentów – łatwo rozpoznawalna w całym anglojęzycznym świecie. Każdy widz, który zażyczyłby sobie innego głosu, mógł kazać przetłumaczyć oryginał wedle woli – często oglądałem programy zdubbingowane w regionalnych akcentach, które ledwie rozumiałem: w południowo-wschodnim amerykańskim, północnoirlandzkim czy wschodnio-centralno-afrykańskim (w nadziei, że wyostrzę sobie na nie ucho).

Hermes – mój program komunikacyjny – był tak ustawiony, żeby w czasie, gdy montuję, zbywał niemal każdego mieszkańca Ziemi. Jednym z niewielu wyjątków była Lydia Higuchi, dyrektor wykonawczy do spraw produkcji SeeNetu na rejon zachodniego Pacyfiku. Zadzwonił mój notepad, przełączyłem jednak rozmowę na konsolę – miała większy i lepszy ekran, a przy każdym „dzwonku” pojawiał się na nim napis *AFFINE GRAPHICS EDITOR MODEL 2052-KL* i czas. Nie było to zbyt subtelne, ale nikomu na tym nie zależało. Lydia przeszła od razu do sedna.

– Widziałam ostateczną wersję materiału o Landersie. Jest dobry, ale chcę porozmawiać o twojej następnej rzeczy.

– O implancie StrzeżZdrowie? Jakiś problem? – Nie ukrywałem irytacji. Widziała wstępnie wyselekcjonowany materiał i moje notatki

postprodukcyjne. Jeżeli chciała zmienić coś istotnego, zabrała się za to cholernie późno.

– Andrew, zrób krok do tyłu – powiedziała ze śmiechem. – Nie o następnym odcinku *Śmieciowego DNA*. O twoim następnym programie.

Przyglądałem jej się, jakby ot tak sobie wspomniała o perspektywie podróży na inną planetę.

– Nie rób mi tego, Lydio – odparłem. – Proszę... wiesz, że nie jestem teraz w stanie myśleć racjonalnie o niczym.

Kiwnęła ze zrozumieniem głową.

– Zakładam, że śledzisz tę nową chorobę? Nie mamy już do czynienia z przypadkowymi statystykami; nadeszły oficjalne raporty z Genewy, Atlanty, Nairobi.

Poczułem, jak ściska mi się żołądek.

– Masz na myśli ostry kliniczny zespół lęku?

– Znany jako *STAN WYCZERPANIA*. – Miałem wrażenie, że delektuje się tym określeniem, jakby włączyła je do słownika „bardzo telegenicznych elementów”. Jeszcze bardziej podupadłem na duchu.

– Mój kopacz wiedzy logował się do wszystkiego, co ma z tym związek, ale jak na razie nie miałem czasu uaktualnić swej wiedzy.

Prawdę mówiąc, akurat teraz...

– Andrew, zdiagnozowano ponad czterysta przypadków. To wzrost o trzydzieści procent w ciągu pół roku.

– Jak można cokolwiek zdiagnozować, nie mając pojęcia, z czym ma się do czynienia?

– Poprzez eliminację.

– Hm... pieprzenie w bambus. Zrobiła sarkastyczną minę.

– Bądź poważny. To zupełnie nowa choroba. Prawdopodobnie zakaźna. Prawdopodobnie powodowana przez patogen pochodzenia militarnego,

który wy dostał się spod kontroli...

– I spadł na Ziemię z komety. Nie – prawdopodobnie jest karą boską. Zadziwiające, ile istnieje różnych możliwości.

Wzruszyła ramionami.

– Bez względu na przyczynę, choroba się rozprzestrzenia. Jej przypadki zanotowano wszędzie, poza Antarktyką. Zarząd postanowił wczoraj wieczór, że robimy o *STANIE WYCZERPANIA* półgodzinny program specjalny. Dużo szumu, błyskawiczna promocja, ogólnoświatowa synchronizacja emisji w czasie najlepszej oglądalności.

W języku sieci „synchronizacja” nie oznacza tego, co pojęcie może sugerować, lecz identyczną dla każdego widza lokalną datę i godzinę.

– Ogólnoświatową? Masz na myśli świat anglojęzyczny, tak?

– Nie: świat świat. Kończymy załatwiać sprzedaż do sieci obcojęzycznych.

– Hmm... niezłe.

Lydia uśmiechnęła się niecierpliwie, zaciskając usta.

– Opanowała cię nieśmiałość, Andrew Worth? Muszę to powiedzieć głośno? Chcemy, byś to zrobił. Jesteś naszym specem od biotechnu i logicznym kandydatem. Poza tym świetnie sobie radzisz. Więc...?

Zakryłem dłonią czoło i próbowałem określić, dlaczego nagle poczułem klaustrofobię.

– Ile mam czasu na decyzję?

Uśmiechnęła się szerzej, co oznaczało, że albo jest zaskoczona, albo oburzona – albo jedno i drugie.

– Nadajemy dwudziestego czwartego maja – to dziesięć tygodni od poniedziałku. Powinieneś zacząć preprodukcję natychmiast po skończeniu *Śmieciowego DNA*, potrzebujemy więc odpowiedzi jak najszybciej.

Zasada numer cztery: wszystko omawiaj najpierw z Gina. Niezależnie od tego, czy poczuje się urażona czy będzie jej obojętne, że tego nie zrobiłeś.

– Jutro rano – powiedziałem.

Lydia nie była zadowolona, stwierdziła jednak: – Świetnie.

Zebrałem się w sobie i spytałem:

– Czy jeśli odmówię, jest coś jeszcze?

Lydia znów sprawiała wrażenie mocno zaskoczonej.

– Co się z tobą dzieje? Ogólnoświatowa emisja w czasie największej oglądalności! Zarobisz na tym pięć razy tyle co na *Pici*.

– Wiem i uwierz mi, że jestem wdzięczny za ofertę, chciałem się tylko dowiedzieć, czy... jest wybór.

– Zawsze możesz wziąć wykrywacz metalu, iść na plażę i zacząć szukać drobnych. – Na widok mojej miny nieco zmiękła. Odrobinę. – Zaczynamy fazę wstępną jeszcze jednego projektu, choć w zasadzie obiecałam go Sarah Knight.

– Opowiedz.

– Słyszałeś kiedyś o Violet Mosali?

– Oczywiście. Jest... fizykiem? Z Afryki Południowej?

– Dwa na dwa, gratulacje. Sarah jest jej wielkim fanem, gadała o niej przez godzinę.

– Więc co to za projekt?

– Portret Mosali... która ma dwadzieścia siedem lat i dwa lata temu dostała Nagrodę Nobla – ale to wszystko przecież wiesz, nie? Wywiady, biografia, pochwały ze strony kolegów, bla bla bla. Jej prace są czysto teoretyczne, nie da się więc dużo pokazać poza symulacjami komputerowymi – a zaoferowała nam własne. Sednem programu będzie konferencja Stulecie Einsteinowskie...

– Nie obchodziliśmy stulecia jego urodzin w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku? – Lydia spiorunowała mnie omdlewającym uśmiechem. – A! Chodzi o stulecie jego śmierci... czarujące.

– Mosala będzie uczestniczyć w tej konferencji i ostatniego dnia trójka najlepszych fizyków teoretycznych świata ma przedstawić konkurencyjne wersje Teorii Wszystkiego. Nie musisz trzy razy zgadywać, czyja jest uważana za kandydata na zwycięzcę.

Zgrzytnąłem zębami i stłumiłem w sobie chęć powiedzenia, że „to nie gonitwa na wyścigach, Lydio. Może minąć pięćdziesiąt lat, zanim się okaże, czyja TW była prawidłowa”.

– Kiedy jest ta konferencja?

– Od piątego do osiemnastego kwietnia. Zbladłem.

– Trzy tygodnie od poniedziałku.

Lydia chwilę się zastanawiała, zaraz jednak przybrała zadowoloną minę.

– Nie masz czasu się przygotować, prawda? Sarah szykuje się od miesięcy...

– Pięć sekund temu namawiałaś mnie, żebym za niecałe trzy tygodnie zaczął preprodukcję *STANU WYCZERPANIA* – powiedziałem z irytacją.

– W to nie możesz wejść z marszu. Co wiesz o współczesnej fizyce?

– Dość! – rzuciłem z udawanym oburzeniem. – Nie jestem głupi. Mogę się podciągnąć.

– Kiedy?

– Nadrobię czas. Przyspieszę. Skończę *Śmieciowy DNA* przed terminem. Kiedy program o Mosali ma iść na antenę?

– Na początku przyszłego roku.

Oznaczało to pełnych osiem miesięcy życia po tej stronie zdrowia psychicznego – od skończenia konferencji. Lydia kolejny raz spojrzała na zegarek.

– Nie rozumiem cię. Rozreklamowany program specjalny o *STANIE WYCZERPANIA* byłby logicznym zakończeniem wszystkiego, co robiłeś przez ostatnie pięć lat. Mógłbyś po nim zacząć poważnie myśleć o skończeniu z zajmowaniem się biotech. Kogo poza tym mam dać zamiast ciebie?

– Sarah Knight.

– Nie bądź ironiczny.

– Powiem jej, że tak uznałaś.

– Bardzo proszę. Nie interesuje mnie, co wie o polityce – dla nas zrobiła tylko jeden program naukowy, do tego o ekstremach kosmologii. Był dobry, ale nie na tyle, żeby stawiać ją w blasku reflektorów. Zasłużyła na dwa tygodnie z Violet Mosalą, ale nie na emisję programu o wirusie numer jeden w czasie największej oglądalności.

Jak na razie nikt nie odkrył wirusa mającego jakiś związek ze *STANEM WYCZERPANIA* – co prawda od tygodnia nie czytałem biuletynów, ale gdyby doszło do przełomu o tak wielkim znaczeniu, mój kopacz informacji by mnie o tym poinformował. Zaczynałem mieć dziwne podejrzania, że jeżeli nie zrobię programu osobiście, pojawi się na antenie z podtytułem: *Jak militarny patogen, który wyrwał się spod kontroli, stał się AIDS umysłu XXI wieku.*

Czcza próżność. Na jakiej podstawie sądziłem, że jestem jedyną osobą na planecie zdolną zredukować plotki i histerię związane ze *STANEM WYCZERPANIA*?

– Jeszcze nie podjąłem decyzji. Muszę porozmawiać z Gina. Lydia była sceptyczna.

– W porządku. Jak uważasz. Porozmawiaj z Gina i zadzwoń rano. – Znów popatrzyła na zegarek. – Przepraszam, ale naprawdę muszę lecieć. Ktoś z nas musi popracować. – Otworzyłem usta, żeby z oburzeniem

zaprotestować, ale słodko się uśmiechnęła i wycelowała do mnie z dwóch palców. – Mam cię. Żadnego poczucia humoru, panowie *auteurs*. Cześć.

Odwrociłem się od konsolety i usiadłem ze wzrokiem wbitym w zaciśnięte pięści, próbując rozwikłać płataninę kłębiących się we mnie emocji – na tyle, by móc odłożyć wszystko na chwilę i wrócić do *Śmieciowego DNA*.

Kilka miesięcy temu widziałem krótki materiał o kimś, kto właśnie zachorował na *STAN WYCZERPANIA*. Byłem wtedy w pokoju hotelowym w Manchesterze i przerzucałem kanały między dwoma programami. Młoda kobieta – sprawiająca wrażenie zdrowej, choć wycieńczonej – leżała na plecach na korytarzu budynku z mieszkaniami do wynajęcia w Miami. Dziko machała rękami, kopała na prawo i lewo, rzucała na boki głową i całe jej ciało skręcało się we wszystkie strony. Objawy nie wyglądały na efekt poważnego uszkodzenia neurologicznego – ruchy były zbyt skoordynowane, zbyt celowe.

Zanim policjanci i sanitariusze ją unieruchomili – przynajmniej na tyle, aby zrobić zastrzyk i napompować ją silnym środkiem paraliżującym podawanym na polecenie sądowe, typu *Kaft-Bezp.* albo *Meduza* – waliła rękami i nogami i darła się jak zwierzę w agonii, jak dziecko w solipsystycznym szale, jak dorosły w objęciach najczarniejszej desperacji.

Patrzyłem i słuchałem z niewiarą, a kiedy doznała łaski, zapadła w śpiączkę i ją zabrano, zacząłem się przekonywać, że nie stało się nic niezwykłego: dostała ataku padaczki, psychotycznego napadu złości, w najgorszym przypadku ataku nieznośnego bólu, którego przyczyna zostanie wkrótce rozpoznana i usunięta.

Nic z tego nie okazało się prawdą. Ofiary *STANU WYCZERPANIA* rzadko miały za sobą przebyte choroby neurologiczne albo psychiczne, nie wykazywały oznak urazów ani innych chorób. Nikt także nie miał

zielonego pojęcia, jak się nimi zajmować – jedyne „leczenie” polegało na utrzymywaniu pacjenta w stanie słumienia lękowego.

Wziąłem notepad i dotknąłem ikony Syzyfa, mojego kopacza wiadomości.

– Sporządź raport o Violet Mosali, konferencji Stulecie Einsteinowskie i postępkach w zakresie Zunifikowanej Teorii Pola z ostatnich dziesięciu lat. Muszę to przetrwać w ciągu mniej więcej... stu dwudziestu godzin. Czy to wykonalne?

Zapadła chwila ciszy, podczas której Syzyf przeglądał źródła. Wreszcie się odezwał.

– Wiesz, co to jest MWT?

– Maszyna Wielkich Tajemnic?

– Nie. W tym kontekście MWT to Model Wszechtopologii.

Zwrot wydawał mi się jako tako znajomy. Prawdopodobnie pięć lat temu przejrzałem pobieżnie jakiś artykuł na ten temat.

Znów zapadła chwila milczenia, w trakcie której ładowany był i analizowany dalszy materiał.

– Sto dwadzieścia godzin wystarczy do słuchania i kiwania głową. Nie do zadawania inteligentnych pytań.

Jęknąłem.

– Więc ile...?

– Sto pięćdziesiąt.

– Działaj. Wcisnąłem ikonę farmako.

– Zrewiduj dawki melatoniny – powiedziałem. – Dodaj dwie godziny szczytowej aktywności na dzień i zacznij od razu.

– Do kiedy?

Konferencja zaczynała się piątego kwietnia i jeżeli do tego czasu nie będę ekspertem od Violet Mosali, będzie źle. Nie mogłem jednak w środku

filmowania ryzykować oderwania się od wymuszonego rytmu melatoninowego i powrócić do chaotycznych schematów spania.

– Do osiemnastego kwietnia.

– Pożałujesz tego – odparło farmako.

Nie było to ogólne ostrzeżenie, lecz prognoza oparta na pięcioletniej dokładnej znajomości mojej biochemii. Nie miałem jednak wielkiego wyboru – poza tym tydzień ostrej arytmii po zakończeniu konferencji będzie nieprzyjemny, ale mnie nie zabije.

Dokonałem paru obliczeń w pamięci. Jakimś sposobem udało mi się wyczarować z niczego pięć albo i sześć dodatkowych godzin.

Był piątek. Zadzwoiłem do Giny do pracy. Zasada numer sześć: bądź nieprzewidywalny, ale nie za często.

– Pieprzę *Śmięciowy DNA*. Masz ochotę iść potańczyć? – spytałem.

To Gina wpadła na pomysł, aby iść w miasto. W Ruinach nie było dla mnie nic atrakcyjnego – na dodatek bliżej domu były znacznie lepsze możliwości zabawienia się – ale (zasada numer siedem) nie było się o co spierać. Kiedy pociąg wjechał na stację Town Hali i mijaliśmy miejsce, gdzie zasztyletowano Davida Cavoliniego, oczyściłem swój umysł i uśmiechnąłem się.

Gina wzięła mnie pod ramię.

– Jest tu coś, czego nie czuję nigdzie indziej. Energia, czad. Też to czujesz?

Rozejrzałem się po wykafelkowanych w biało–czarną szachownicę ścianach stacji, odpornych na graffiti i dosłownie aseptycznych.

– Nie więcej niż w Pompejach.

Demograficzne centrum wielkiego Sydney znajdowało się od pół wieku na zachód od Parramatty i prawdopodobnie do dziś dotarło do Blackburn. Zanik historycznego rdzenia miasta zaczął się jednak na poważnie w latach

trzydziestych, kiedy w mniej więcej tym samym czasie biura, kina, teatry, galerie fizyczne i ogólnodostępne muzea stały się przeżytkiem. Od lat dziesiątych podłączano szerokopasmowe światłowody do większości budynków mieszkalnych, dojrzewanie zajęło jednak sieciom mniej więcej dwadzieścia lat. Chwiejące się gmachy o nieodpowiednim standardzie, nieskuteczny sprzęt komputerowy i archaiczne systemy operacyjne, poskładane do kupy przez fin-de-siecle'owych dinozaurów komputeryzacji i komunikacji, zostały zrównane z ziemią w latach dwudziestych i dopiero wtedy – po okresie przedwczesnego szumu i zasłużonych nawrotów cynizmu oraz kpin – można było zamienić wykorzystanie sieci do rozrywki i telepracy z czegoś na kształt psychicznych tortur w naturalną i wygodną alternatywę dla dziewięćdziesięciu procent fizykalnych podróży.

Wyszliśmy na George Street. Nie była wyludniona, widziałem jednak filmy z okresów, kiedy populacja kraju była dwa razy mniejsza. Gina podniosła głowę i zapatrzyła się w światła – wiele dawnych biurowców ciągle jeszcze olśniewało – okna udekorowano na użytek turystów tanimi, magazynującymi światło słoneczne, luminescencyjnymi osłonami. Nazwa „Ruiny” była żartem – wandalizm oraz czas ledwie pozostawiły po sobie jakiegokolwiek ślady – ale wszyscy byliśmy tu turystami i przyjechaliśmy się pogapić na monumenty pozostawione nie przez naszych przodków, a starsze rodzeństwo.

– Jedyne kilka budynków przerobiono na użytek mieszkalny architektura i ekonomia nigdy się nie komponowały, poza tym wielu zwolenników zachowania miast prowadziło aktywną kampanię przeciwko temu. Istnieli oczywiście dzicy lokatorzy może kilka tysięcy – rozrzućeni po miejscu, które do dziś określano mianem Central Business District, i dodawali okolicy apokaliptycznego nastroju. Daleko na przedmieściach przeżyły teatry, w których wystawiano spektakle i grano muzykę na żywo;

teatr głównego nurtu był jednak pokazywany na wideo w czasie rzeczywistym i emitowany w sieciach. (Opera, której fundamenty gniły, miała się zsunąć do Sydney Harbour w 2065 roku i była to pyszna perspektywa, choć podejrzewałem, że jakaś grupa speców od psucia dobrej zabawy zbierze w ostatniej chwili pieniądze, by uratować bezużyteczny monument). Sklepy detaliczne, do których można było wejść, już dawno przeniosły się do ośrodków regionalnych. Na obrzeżach miasta było jeszcze otwartych kilka hoteli, ale w martwym sercu pozostało jedynie kilka restauracji i nocnych klubów, rozproszonych między pustymi wieżowcami jak stragany z pamiątkami rozrzucone wokół piramid w Dolinie Królów.

Szliśmy na południe i wkrótce znaleźliśmy się w okolicy znanej dawniej jako Chinatown – choć kuchnia tego nie potwierdzała, przypominały o tym kruszące się, dekoracyjne fasady opuszczonych, wielobranżowych magazynów.

Gina delikatnie mnie dźgnęła i skierowała moją uwagę na grupę ludzi idących powoli po drugiej stronie ulicy na północ. Kiedy nas minęli, spytała: – Czy to były...?

– Co? Aseksy? Tak sądzę.

– Nigdy nie jestem pewna. Istnieją naturalni ludzie, którzy niczym się od vich nie różnią.

– W tym właśnie rzecz. Nigdy nie można być pewnym – dlatego jednak zawsze sądzimy, że jesteśmy w stanie odkryć na pierwszy rzut oka cokolwiek u obcej osoby?

„Aseks” było niczym innym jak określeniem–parasolem dla dużej grupy filozofii, sposobów ubierania się, zmian dokonywanych za pomocą chirurgii plastycznej i głębokich zmian biologicznych. Jedyne, co bezwarunkowo łączyło wszystkich aseksów, był pogląd, że vich parametry płciowe (neuralne, endokrynologiczne, chromosomalne i genitalne) są

tylko i wyłącznie w ich sprawą, zazwyczaj (choć nie zawsze) w ich partnerów, prawdopodobnie w ich lekarzy i czasami kilku bliskich przyjaciół. To, co konkretny asek robił w ramach swojej postawy, sięgało od zaznaczania „A” na formularzach w trakcie spisów ludności, przez zmianę nazwiska na aseksove, zmniejszenie piersi albo redukcję owłosienia ciała, dostrojenie tonu głosu, przemodelowanie twarzy, utorbienie (zabieg chirurgiczny umożliwiający wciąganie męskich narządów płciowych do wnętrza), po doprowadzanie do pełnej fizycznej i/albo nerwowej aseksualności, hermafrodytyzmu albo egzotyzyzmu.

– Po co się trudzić gapieniem się na ludzi i zgadywaniem? – spytałem. – En–mężczyzna, en–kobieta, asek... kogo to obchodzi?

Gina jęknęła.

– Nie rób ze mnie obłudnicy. Jestem po prostu ciekawa.

– Przepraszam, nie sugerowałem tego. – Ścisnąłem jej dłoń, ale ją wyrwała.

– Spędziłeś rok, nie myśląc o niczym innym, mogłeś przy tym podglądać, ile ci się chciało, i narzucać się, ile tylko miałeś ochotę. Na dodatek ci za to płacili. Ja widziałam jedynie gotowy dokument. Nie rozumiem, dlaczego miałabym dojść do tych samych wniosków o migracji międzypłciowej tylko dlatego, że ty robiłeś napisy.

Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

– A to za co?

– Za bycie idealnym widzem – poza twoimi innymi zaletami.

– Chyba zaraz wymiotuję.

Poszliśmy na wschód, w kierunku Surry Hills, jeszcze spokojniejszą ulicą. Minął nas ponury samotny mężczyzna – mocno umięśniony i prawdopodobnie z przekonstrowaną sztucznie twarzą, ale... znów nie było

pewności. Gina wbijała we mnie wzrok, w dalszym ciągu była zła, ale nie mogła się oprzeć.

– To – zakładając, że był umęski – jeszcze mniej rozumiem. Jeżeli ktoś chce mieć taką budowę... w porządku, ale po co jeszcze twarz? Mało prawdopodobne i bez niej, by ktoś go wziął za en-mężczyznę.

– Masz rację, ale uznanie go za en-mężczyznę byłoby dla niego obrazą, ponieważ wyemigrował z tej płci tak samo ostatecznie jak każdy aseks. Sedno bycia umęskim to zdystansowanie się od słabości dostrzeganej u obecnych naturalnych mężczyzn. Oświadczenie, że ich „kompromisowa tożsamość” – przestań się śmiać – jest tak znacznie mniej męska od mojej, że należymy do dwóch różnych płci. Stwierdzenie, że żaden zwykły en-mężczyzna nie może występować w jego imieniu – nie bardziej od kobiety.

Gina zrobiła gest, jakby rwała sobie włosy.

– Jeżeli o mnie chodzi, żadna kobieta nie ma prawa występować w imieniu wszystkich kobiet, nie czuję się jednak zobowiązana do przekonstruowania się na ukobietę albo ikobietę, aby to udowodnić.

– Cóż... dokładnie. Czuję to samo. Za każdym razem, kiedy jakiś Żelazny John pisze manifest „w imieniu wszystkich mężczyzn”, wolałbym powiedzieć mu w twarz, że ma gówno zamiast mózgu, niż opuścić płęć en-męską i pozostawić go w wierze, że mówi w imieniu wszystkich, którzy pozostali. Z tym że... to najpowszechniejszy powód, jaki ludzie wymieniają na uzasadnienie migracji międzypłciowej: rzygać im się chce od samozwańczych płciopolitycznych marionetek i pretensjonalnych guru z kręgu Renesansu Mistycznego twierdzących, że ich reprezentują. Mają też po dziurki w nosie bycia zniesławianymi z powodu prawdziwych i wymyślonych przestępstw płciowych. Jeżeli wszyscy mężczyźni są gwałtowni, samolubni, dominujący, hierarchiczni, to co można zrobić poza podcięciem sobie żył albo migracją z męskości do imęskości albo aseksu?

Jeżeli wszystkie kobiety to słabe, bierne, nieracjonalne ofiary... Gina upomniała mnie uderzeniem w ramię.

– Teraz karykaturujesz karykaturzystów. Nie wierzę, by ktokolwiek coś takiego twierdził.

– Tylko dlatego, że obracasz się w nieodpowiednich kręgach. Może powinienem powiedzieć: odpowiednich? Wiele osób spośród tych, z którymi robiłem wywiady, właśnie tak twierdziło – słowo w słowo.

– W takim razie to wina mediów, że robią wokół nich za dużo szumu.

Doszliśmy do restauracji, ale zatrzymaliśmy się na zewnątrz.

– Po części to racja, nie wiem jednak, jak to rozwiązać. Czy ktoś, kto oświadczy, że mówi jedynie za siebie, wzbudzi większe zainteresowanie niż ktoś, kto twierdzi, że przemawia za pół populacji?

– To zależy, którego z nich tacy jak ty obdarzą zaufaniem.

– Sama dobrze wiesz, że to nie takie proste. Poza tym wyobraź sobie, co by się stało z feminizmem – albo ruchem na rzecz praw obywatelskich – gdyby nikomu nie pozwalano mówić „w czyimś imieniu” bez poświadczzonego, jednogłośnego potwierdzenia? Chociaż paru szaleńców to parodie dawnych przywódców, nie oznacza to, że lepiej by było, gdyby producenci telewizyjni stwierdzili: „Przykro mi, panie King, niech pan wybaczy, panie Greer, *sorry*, panie Perkins, ale jeżeli nie umiecie panowie uniknąć daleko idących uogólnień i ograniczyć swoich oświadczeń do przeżyć osobistych, będziemy musieli zdjąć was z anteny”.

Gina przyglądała mi się sceptycznie.

– To prastara historia i argumentujesz tak jedynie po to, by zrzucić z siebie odpowiedzialność.

– Oczywiście, sedno leży jednak w tym, że migracja międzypłciowa jest w dziewięćdziesięciu procentach przypadków sprawą polityczną. Niektóre doniesienia w dalszym ciągu traktują to zjawisko jako dekadentkie,

nieuzasadnione, modne naśladownictwo zmiany płci u transseksualistów; większość migrantów płciowych nie wykracza jednak poza powierzchowny aseks. Nie przechodzą na drugą stronę – nie mają ku temu powodu. Jest to akcja protestacyjna podobna do wystąpienia z partii politycznej albo zrzeczenia się obywatelstwa... albo dezercji z pola walki. Nie mam pojęcia, czy zjawisko to ustabilizuje się na niskim poziomie i na tyle potrząśnie społeczeństwem, by usunąć przyczyny migracji, czy też populacja za kilka pokoleń skończy się równym podziałem na wszystkie siedem płci.

Gina skrzywiła się.

– Siedem płci – a każda jest uważana za monolit. Na pierwszy rzut oka każdy jest stereotypowy. Siedem szuflad zamiast dwóch to żaden postęp.

– Zgoda, ale na dłuższą metę mogą pozostać jedynie aseksy, umężczyźni i ukobiety. Ci, którzy dadzą się zaszufładkować – będą, a ci, którzy nie zechcą – pozostaną tajemnicą.

– Nie sądzę. Na dłuższą metę będziemy mieli jedynie zmiennie reagujące ciała i wszyscy będziemy albo tajemniczy, albo wprost przeciwnie – jak nam przyjdzie ochota.

– Nie mogę się doczekać.

Weszliśmy do środka. Restauracja „Nienaturalne Gusty” została urządzona w dawnym domu towarowym – potężnej, choć jaskrawo oświetlonej jaskini, gdzie stworzono dużą przestrzeń, wycinając w podłodze każdego piętra wielką, eliptyczną dziurę.

Machnąłem notepadem w kierunku kołowrotka przy wejściu, który potwierdził głosowo rezerwację, dodając: – Stolik 519. Czwarte piętro. Gina chytrze się uśmiechnęła.

– Czwarte piętro: wypchane zabawki i bielizna. Popatrzyłem na gości: były tu głównie pary umężczyzn i ukobiet.

– Zachowuj się, wieśniaczko, albo następnym razem będziemy jedli w Epping – stwierdziłem.

Restauracja była wypełniona minimum w trzech czwartych, choć liczba stolików była mniejsza, niż mogłoby się wydawać, gdyż gros kubatury zabierała centralna „studnia”. Na resztkach każdego piętra kelnerzy–ludzie we frakach przemykali między chromowanymi stolikami, a wszystko wyglądało dla mnie archaicznie i stylowo – niemal jak w filmach braci Mara. Nie byłem wielkim miłośnikiem Kuchni Eksperymentalnej – generalnie mówiąc, mieliśmy być królikami doświadczalnymi, próbującymi bezpiecznych medycznie, ale poza tym nie testowanych, wyhodowanych za pomocą bioinżynierii produktów. Gina podkreślała, że mięso jest dotowane przez producentów, nie byłem jednak tego pewien; Kuchnia Eksperymentalna stała się ostatnio tak modna, że prawdopodobnie mogła zainteresować każdą nowością statystycznie znaczącą liczbę klientów – nawet za pełną cenę.

Kiedy usiedliśmy, blat stolika zaczął wyświetlać kartę dań, a ceny potwierdzały moje wątpliwości co do subsydiowania. Jęknąłem.

– „Sałatka z purpurowej fasoli”? Nie obchodzi mnie, jakiego jest koloru – chcę wiedzieć, jak smakuje. Ostatnią rzeczą, jaką tu jadłem, było coś, co wyglądało jak fasola, a smakowało jak gotowana kapusta.

Gina nie spieszyła się, naciskała palcem na kolejne nazwy, by obejrzeć gotowy produkt i dane dotyczące składników.

– Jeżeli wiadomo, na co zwracać uwagę, wszystkiego można się dowiedzieć. Jeżeli się wie, jakie geny skąd przeniesiono i dlaczego, da się dość dokładnie przewidzieć smak i konsystencję.

– Mów dalej, olśniewaj mnie erudycją.

Wcisnęła klawisz *POTWIERDŹ ZAMÓWIENIE*.

– Zielone liściaste będzie smakować nieco jak makaron o smaku szpinakowym, ale zawarte w tym żelazo będzie wchłaniane przez twój organizm z taką samą łatwością jak żelazo z hemoglobiny zawartej w zwierzęcym mięsie, przez co możemy zapomnieć o szpinaku. Żółte coś, co przypomina ziarno zboża, będzie smakować jak skrzyżowanie pomidora z zieloną papryką przyprawioną oregano – choć zawarte w tym substancje odżywcze i zapach lepiej wytrzymują składowanie w złych warunkach i gotowanie. Niebieskie piure będzie smakować prawie jak parmezan.

– Dlaczego jest niebieskie?

– W nowych, samofermentujących laktogronach jest niebieski pigment, fotoaktywowany enzym. Można by go usunąć podczas przetwarzania, ale okazało się, że metabolizujemy go, w wyniku czego powstaje bezpośrednio witamina D, co jest bezpieczniejsze od syntetyzowania jej w dotychczasowy sposób – poprzez naświetlanie skóry ultrafioletem.

– Jedzenie dla ludzi, którzy nigdy nie widzieli słońca. Jak mógłbym się oprzeć? – Zamówiłem to samo.

Obsługa była szybka, a przewidywania Giny okazały się mniej więcej prawidłowe. Kombinacja potraw była dość przyjemna.

– Marnujesz się przy turbinach powietrznych. Mogłabyś projektować kolekcję wiosenną dla Zjednoczonych Rolników.

– Blee... dzięki. Już mam tyle stymulacji intelektualnej, ile jestem w stanie znieść.

– Tak poza tym, jak radzi sobie Wielki Harold?

– W dalszym ciągu raczej jak Mały Harold i wygląda na to, że na dłuższy czas tak zostanie. – Mały Harold był skonstruowanym w skali jeden do tysiąca prototypem dwustumegawatowej turbiny. – Pojawiają się chaotyczne rezonancje, których nie zauważyliśmy podczas symulacji.

Prawdopodobnie będziemy musieli zrewidować połowę założeń modelu komputerowego.

– Nie rozumiem. Znacie podstawy fizyki, podstawowe równania dynamiki przepływu powietrza, macie nieograniczony dostęp do komputera...

– Więc jak mogliśmy to spieprzyć? Ponieważ nie umiemy przewidzieć zachowania tysięcy ton powietrza przepływającego pojedynczymi molekułami przez skomplikowaną strukturę. Wszystkie równania dotyczące przepływu dużych mas to przybliżenia, a celowo pracujemy w zakresach, w których przestają funkcjonować najlepsze z nich. Nie zaczyna wtedy obowiązywać żadna nowa, magiczna fizyka, jesteśmy jednak w szarej strefie między dwoma zestawami wygodnie upraszczających założeń. Jak na razie, najlepszy zestaw kompromisowych założeń nie jest ani wygodny, ani prosty. Jak się okazuje – nie jest nawet prawidłowy.

– Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

– To dość frustrujące – jednak w na tyle interesujący sposób, że nie da się przy tym zwariować.

Poczułem ukłucie tęsknoty – tak mało rozumiałem tę część jej życia. Wyjaśniała, ile mogłem zrozumieć, ale w dalszym ciągu nie wiedziałem, co chodzi jej po głowie, kiedy siedzi w pracy przy komputerze i żongluje symulacjami przepływu powietrza albo gramoli się po kanale powietrznym i dokonuje poprawek w Małym Haroldzie.

– Chętnie bym sfilmował coś z tego, co robisz. Popatrzyła ze złością.

– Nie ma szansy, panie frankensteinonaukowy. Nie do momentu, aż mi zdecydowanie powiesz, czy turbiny powietrzne są dobre czy złe.

Skuliłem się nieco.

– Wiesz, że to nie ode mnie zależy. Poza tym ocena zmienia się co rok. Publikuje się wyniki nowych badań, odmienne systemy zdobywają łaskę albo ją tracą...

Przerwała mi z goryczą.

– Odmienne systemy? Sadzenie bioinżynieryjnie konstruowanych lasów fotowoltowych na dziesięć tysięcy razy większym areale na megawat brzmi dla mnie jak wandalizm środowiskowy.

– Nie spieram się. Mógłbym nakręcić dokument o Dobrej Turbinie... a jeżeli nie uda się go od ręki sprzedać, można by poczekać, aż fala kolejny raz się odwróci.

– Nie stać cię na zrobienie czegokolwiek w ciemno.

– Masz rację, musiałbym to wsadzić między inne programy. Gina roześmiała się.

– Nie próbowałabym. Nawet nie jesteś w stanie...

– Czego?

– Niczego. Zapomnijmy o tym. – Machnęła ręką, jakby chciała wymazać ten komentarz. Mogłem ją nacisnąć, ale tylko marnowałbym czas.

– Mówiąc zaś o filmowaniu... – powiedziałem więc, po czym opisałem oba projekty, które zaoferowała mi Lydia. Gina słuchała cierpliwie, kiedy jednak spytałem ją o opinię, zdawała się zaskoczona.

– Jeżeli nie chcesz robić *STANU WYCZERPANIA*... to go nie rób. To naprawdę nie moja sprawa.

Zakłuło.

– Ale ciebie też dotyczy – zaproponowałem. – Oznaczałoby to sporo pieniędzy. – Gina zrobiła obrażoną minę. – Chcę powiedzieć, że stać by nas było wtedy na wakacje albo coś innego. Podczas następnego urlopu moglibyśmy daleko wyjechać. Gdybyś chciała.

– Nie będę miała wolnego przez najbliższe półtora roku – odrzekła sztywno. – Poza tym sama mogę zapłacić za swoje wakacje.

– W porządku, dajmy z tym spokój. – Sięgnąłem po jej dłoń, ale zabrała ją z irytacją.

Jedliśmy w milczeniu. Wpatrywałem się w talerz, przeglądałem „zasady” i zastanawiałem się, gdzie popełniłem błąd. Czyżbym naruszył jakieś tabu dotyczące pieniędzy? Mieliśmy osobne konta, czynsz dzieliliśmy pół na pół; wielokrotnie sobie jednak nawzajem pomagaliśmy i obdarowywaliśmy się drobnymi luksusami. Co miałem robić? Przeć do przodu i zabrać się za *STAN WYCZERPANIA* – wyłącznie dla pieniędzy – i dopiero wtedy spytać, czy możemy je wydać razem na coś, na co by było warto?

Może zabrzmiało to, jakbym sądził, że Gina chce mieć decydujący głos w sprawie mojej pracy, i obraziłem ją, nie dostrzegając, ile zostawia mi niezależności. Wirowało mi w głowie. Prawda była taka, że nie miałem pojęcia, o czym Gina myśli. To wszystko było zbyt trudne, zbyt śliskie. Poza tym nie umiałem sobie wyobrazić, co mógłbym powiedzieć dla uratowania sytuacji, nie ryzykując, że jeszcze bardziej ją pogmatwam.

– Więc gdzie ma się odbywać ta wielka konferencja? – spytała po jakimś czasie Gina.

Otworzyłem usta, zorientowałem się jednak, że nie wiem. Wziąłem notepad i szybko przejrzałem przygotowany przez Syzyfa materiał.

– O! Na Bezpaństwie.

– Na Bezpaństwie? – Roześmiała się. – Jesteś wypalony w biotechu, posyłają cię więc na największą na świecie sztuczną wyspę koralową?

– Jedynie uciekam od złego biotechu. Bezpaństwo jest dobre.

– Naprawdę? Powiedz to rządowi, które nałożyło embargo. Jesteś pewien, że po powrocie do domu nie pójdziesz do pierdła?

– Nie zamierzam handlować z podłymi anarchistami. Nawet nie będę ich filmował.

– Mów poprawnie: anarchosyndykalistami. Choć oni sami na siebie chyba tak nie mówią?

– Którzy „oni”? To zależy, kogo zapytasz.

– Powinieneś włączyć do *Śmieciowego DNA* odcinek o Bezpaństwie. Embargo czy nie embargo – prosperują dzięki biotechnologii. Zrównoważyłoby to gadające zwłoki.

– Tyle że wtedy program nie mógłby się nazywać *Śmieciowy DNA*, prawda?

– Dokładnie. – Uśmiechnęła się. Bez względu na to, co zrobiłem, zostało mi wybaczone. Czułem, jak wali mi serce – jakbym w ostatniej chwili został ściągnięty znad brzegu przepaści.

Deser, który wybraliśmy, smakował jak śnieg zmieszany z tekturą, przed wyjściem wypełniliśmy jednak uczynnie kwestionariusze, które wyświetlił blat.

Poszliśmy George Street do Placu Martina. W starym budynku poczty był lokal o nazwie „Sortownia”. Grano tam muzykę *njari* z Zimbabwe – wielowarstwową, hipnotyzującą, dudniącą, choć ani przez chwilę nie metronomiczną, pozostawiającą w mózgu odpryski rytmu przypominające ślady przeciąganych po skórze paznokci. Gina tańczyła z ekstazą, a muzyka była tak głośna, że nie dało się – na szczęście – rozmawiać. W tym pozbawionym słów miejscu nie mogłem nic spać.

Wyszliśmy tuż po pierwszej. W pociągu powrotnym do Eastwood siedzieliśmy w kącie przedziału i całowaliśmy się jak nastolatki. Zastanawiałem się, jak pokoleniu naszych rodziców udawało się w takim stanie prowadzić cenne samochody. (Bez wątplenia słabo im szło). Droga

do domu trwała dziesięć minut – niemal za krótko. Chciałem, by wszystko działało się jak najwolniej. Chciałem, by trwało to wiele godzin.

W drodze od stacji zatrzymywaliśmy się kilkanaście razy. Staliśmy tak długo przed frontowymi drzwiami, aż system zabezpieczający spytał, czy zgubiliśmy klucze.

Kiedy się rozebraliśmy i padliśmy na łóżko, a wszystko, co widziałem uciekło nagle w bok, uznałem, że to efekt uboczny namiętności. Kiedy zaczęły mi drętwieć ramiona, zrozumiałem, co się dzieje.

Posunąłem się za daleko z blokerami melatoniny, za bardzo naruszyłem rezerwy neuroprzekaźników w okolicy kontrolującego stan czuwania podwzgórza. Pożyczyłem zbyt wiele czasu i szczyt krzywej się załamywał.

Porażony, powiedziałem:

– Nie mogę w to uwierzyć. Przykro mi.

W co? – W dalszym ciągu miałem wzwód. Zmusiłem się do skupienia, wyciągnąłem rękę i wcisnąłem klawisz farmako.

– Daj mi pół godziny.

– Nie. Granice bezpieczeństwa...

– Piętnaście minut. To sytuacja wyjątkowa.

Farmako zawahało się i skonsultowało z systemem bezpieczeństwa.

– Nie stwierdzono sytuacji wyjątkowej. Leżysz bezpiecznie w łóżku, domowi nic nie grozi.

– Jesteś skończone. Idziesz na złom!

Gina wyglądała nie tyle na rozczarowaną, ile rozbawioną.

– Widzisz, co się dzieje, kiedy przekracza się naturalne granice? Mam nadzieję, że nagrywasz to do *Śmieciowego DNA*. – Jej złośliwość sprawiała, że moje pożądanie rosło, zapadałem już jednak w mikrosekundowe fazy snu. – Wybacz mi – powiedziałem smętnie. – Może... jutro... moglibyśmy...

– Nie sądzę. Jutro pracuję do pierwszej w nocy i nie zamierzam czekać.
– Wzięła mnie za ramiona, przewróciła na plecy, po czym usiadła mi na brzuchu.

Jęknąłem w proteście, pochyliła się jednak i czule pocałowała mnie w usta.

– No, weź się w garść... chyba nie chcesz zmarnować rzadkiej okazji? – Wyciągnęła rękę i pogłaskała mojego penisa. Czułem, że reaguje na dotyk, ale przestał być częścią mojego ciała.

– Gwałcicielka... nekrofilka... – mruczałem. Chciałem długo i poważnie porozmawiać o seksie i porozumieniu, Gina zdawała się jednak mieć ochotę na obalenie moich tez, jeszcze zanim zacząłem. – Pogadajmy o złym doborze chwili.

– To znaczy tak czy nie? Przestałem walczyć z powiekami.

– Działaj.

Zacząło się ze mną dziać coś przyjemnego, ale jakby bardzo oddalonego. Moje zmysły odpływały, ciało zaczynało spadać w przepaść.

Usłyszałem głos – oddalony o lata świetlne – który coś powiedział o „przyjemnych snach”.

Gnałem w ciemność, nie czułem absolutnie nic. Śniły mi się milczące głębie oceanu.

Spadałem coraz głębiej w ciemną wodę. Sam.

Słyszałem, że Londyn poważnie ucierpiał, odkąd zapanowały sieci, nie był jednak aż takim miastem duchów jak Sydney. Miał większe Ruiny, ale były znacznie intensywniej wykorzystywane. Używano nawet ostatnich szklano–aluminiowych wieżowców, zbudowanych na przełomie tysiącleci dla bankierów i maklerów giełdowych, a ostatnie, „wysoko technicyzowane” maszyny drukarskie, które „zrewolucjonizowały”

produkcję prasy (zanim stały się całkowicie zbędne), zostały opatrzone etykietą „historyczne” i wzięte pod skrzydła przemysłu turystycznego.

Nie miałem czasu, by odwiedzić ciche krypty Bishopsgate albo Wapping. Poleciałem prosto do Manchesteru, który sprawiał wrażenie rozkwitającego. Zgodnie z zawekowaną historią Syzyfa, równowaga między cenami nieruchomości a kosztami infrastruktury działała w latach dwudziestych na korzyść miasta, a tysiące firm związanych z przekazem informacji – zatrudniających ludzi w telepracy i nie potrzebujących dużego biura – przeprowadziło się tu z południa. To ożywienie przemysłowe dało także wsparcie sektorowi akademickiemu i Uniwersytet Manchesterski został powszechnie uznany za wiodącą na świecie jednostkę w przynajmniej kilkunastu dziedzinach – w tym w neurolingwistyce, chemii neobiałek i rozwiniętej animacji medycznej.

Jeszcze raz puściłem film, który zrobiłem w centrum miasta – pełnym przechodniów, rowerów i czterokołów – i wybrałem kilka wprowadzających ujęć. Na automatycznym postoju tuż przy Victoria Station wynająłem rower – dziesięć ecu i był mój na cały dzień. Był to nowy model o nazwie *Whirlwind*. Piękna maszyna: lekka, elegancka i niemal nie do zniszczenia, wyprodukowana w niedalekim Sheffield. Na życzenie mogła symulować rower pedałowy (włączenie tej opcji było trywialne, a zadowalało masochistycznych purystów), nie miała jednak mechanicznego połączenia między pedałami a kołami; w zasadzie był to elektryczny motorower napędzany ludzką energią. Ukryte w ramie nadprzewodnikowe obwody działały jako krótkoterminowy zbiornik energii, łagodzący wymagania stawiane prowadzącemu i wykorzystujący w pełni potrzebującą energię hamulce. Poruszanie się z prędkością 40 kilometrów na godzinę nie wymagało większego wysiłku niż żwawy marsz, a nierówności terenu praktycznie nie przeszkadzały – zysk i strata energii w

wyniku zjazdów i wjazdów prawie w stu procentach się kompensowały. Pojazd musiał być wart ze dwa tysiące ecu, ale system nawigacyjny, czujniki i zamki były tak zabezpieczone przed majstrowaniem, że aby go ukraść, trzeba by mieć małą fabryczkę i doktorat z kryptologii.

Niemal wszędzie docierały miejskie tramwaje, tak samo ścieżki rowerowe; pojechałem więc na popołudniowe spotkanie rowerem.

Rzecznikiem prasowym Stowarzyszenia Dobrowolnych Autystów był James Rourke – chudy, kanciasty mężczyzna tuż po trzydziestce, w ciele, które od razu wydało mi się boleśnie dziwaczne. Nie nawiązywał kontaktu wzrokowego, a mowa jego ciała była stłumiona. Wyrażał się poprawnie werbalnie, ale dużo mu brakowało do telegeniczności.

Oglądając go na ekranie konsoli montażowej, stwierdziłem, jak bardzo się myliłem. Ned Landers dał olśniewający występ – gładki i tak bardzo pozbawiony rys, że nie pozostawiał miejsca na jakiegokolwiek pytania o to, co dzieje się pod powierzchnią. Rourke w najmniejszym stopniu nie grał – w obu wypadkach efekt był fascynujący, a zarazem poważnie niepokojący. Oglądanie tej części zaraz po eleganckich, pewnych siebie rzecznikach Delphic Biosystems (zęby i skóra od Masariniego z Florencji, szczerść z Warunkowanie Sprawcze Sp. z o.o.) będzie niczym gwałtowne przebudzenie ze snu za pomocą kopniaka w głowę.

Jakoś musiałem go stonować.

Miałem całkowicie autystycznego kuzyna – Nathana. Spotkałem się z nim tylko raz, w dzieciństwie. Należał do nielicznej grupy szczęśliwców, którzy nie cierpieli na inną wrodzoną wadę mózgu i obecnie mieszkał z rodzicami w Adelajdzie. Kiedy pokazywał mi swój komputer i wyliczał jego konfiguracje, nie różnił się praktycznie niczym od każdego trzynastoletniego entuzjastycznego technofila, który dostał nową zabawkę. Kiedy jednak zaczął pokazywać kolejne programy – absurdalne gry w karty

dla jednej osoby, dziwaczne łamigłówki i układanki geometryczne, które wyglądały nie na rozrywkę, a na skomplikowane testy inteligencji, moje sarkastyczne komentarze spływały po nim jak woda. Stałem i obrzucałem go obelgami, robiłem się coraz gwałtowniejszy, a on jedynie wbijał wzrok w ekran i się uśmiechał. Nie tolerancyjnie – nic nie rozumiał.

Spędziłem trzy godziny, rozmawiając z Rourke'em w jego maleńkim mieszkaniu. DA nie mieli ani w Manchesterze, ani nigdzie indziej „centralnego biura”. Członkowie stowarzyszenia rekrutowali się z czterdziestu siedmiu krajów (było ich na świecie niemal tysiąc), ale tylko Rourke zgodził się ze mną rozmawiać – dlatego, że taką miał robotę. Nie był oczywiście całkowicie autystyczny, pokazał mi jednak obraz tomograficzny swojego mózgu.

Puściłem ponownie surowy materiał.

– Widzi pan tę niewielką bliznę w lewym przednim płacie czołowym? – Tuż nad strzałką wskaźnika widać było maleńką ciemną plamkę, ledwie zauważalną przerwę w materii szarej. – Teraz niech pan się przyjrzy temu samemu obszarowi u dwudziestodziewięcioletniego, w pełni autystycznego mężczyzny. – Pojawiła się kolejna ciemna plamka – trzy albo cztery razy większa. – A to jest obiekt nieautystyczny w tym samym wieku i tej samej płci. – Nie było urazu. – Patologia nie zawsze jest tak oczywista; struktura może zostać zniekształcona, ale nie zniknąć – te przypadki dokumentują jednak, że istnieje dokładna morfologiczna podstawa naszych żądań.

Obraz przeniósł się z notepadu na jego twarz. Świadek płynnie przeszedł z jednego nieruchomego ujęcia kamery do następnego – tak samo jak wyglądał drgania gałek ocznych, nie ustających na chwilę nawet wtedy, gdy mogło się wydawać, że wzrok patrzy nieruchomo.

– Nikt nie zakwestionuje, że doznał pan uszkodzeń w tej samej części mózgu, dlaczego jednak nie jest pan wdzięczny, że były niewielkie?

Dlaczego nie uważa się pan za szczęściarza, że może funkcjonować w społeczeństwie?

– To skomplikowane pytanie. Odpowiedź zależy od tego, co rozumie się pod pojęciem „funkcjonować”.

– Życie poza murami szpitala. Może pan wykonywać zawód wymagający kwalifikacji. – Głównym zajęciem Rourke’a była praca na stanowisku asystenta badawczego uniwersyteckiego profesora lingwistyki. Nie była to praca chroniona.

– Oczywiście – odparł. – Gdybyśmy nie mogli, bylibyśmy klasyfikowani jako w pełni autystyczni. To właśnie jest kryterium częściowego autyzmu: możemy przeżyć w zwykłym społeczeństwie. Nasze niedostatki nie są wszechogarniające i zazwyczaj możemy udawać sporo z tego, czego nie mamy. Czasami możemy nawet siebie samych przekonać, że wszystko jest w porządku. Na jakiś czas.

– Na jakiś czas? Macie pracę, pieniądze, niezależność. Co jeszcze jest potrzebne do „funkcjonowania”?

– Związki międzyludzkie.

– Ma pan na myśli seksualne?

– Niekoniecznie, ale one są najtrudniejsze. I najbardziej... oświecające. – Dotknął klawisza na notepadzie i pojawiła się skomplikowana mapa neuronów. – Każdy – albo niemal każdy – instynktownie próbuje zrozumieć inne istoty ludzkie. Zgadnąć, co myślą. Przewidzieć ich działania. „Poznać” je. Ludzie tworzą w swoich mózgach symboliczne modele innych ludzi, zarówno po to, aby posiadać spójne reprezentacje rzeczywistości, wiążące w całość wszystkie informacje, które można uzyskać na podstawie obserwacji – mowy, gestów, dotychczasowych działań – jak i po to, aby dokonywać logicznych przewidywań aspektów, których nie da się poznać bezpośrednio: motywów, intencji, emocji. – Podczas gdy mówił,

neuronowa mapa zaczęła się rozplýwać i przekształcać w funkcyjny diagram modelu „trzeciej osoby” – skomplikowaną sieć kwadracików, poetykietowanych nazwami obiektywnych i subiektywnych cech. – U większości ludzi wszystko to odbywa się albo w ogóle bez świadomego wysiłku, albo z niewielkim wysiłkiem. Mamy wrodzoną zdolność tworzenia modeli innych ludzi. Jest ona dodatkowo rozwijana w dzieciństwie. Całkowita izolacja spowodowałaby zanik tej umiejętności... w ten sam sposób, w jaki całkowita ciemność doprowadziłaby do zaniku ośrodków wzrokowych. Pomijając tego rodzaju krańcowe przypadki, wychowanie nie ma na to wpływu. Autyzm może zostać spowodowany wyłącznie wrodzonym uszkodzeniem mózgu albo późniejszymi jego urazami. Istnieją genetyczne czynniki ryzyka, zwiększające podatność na infekcje wirusowe w fazie wewnątrzłonowej, ale autyzm nie jest chorobą dziedziczną.

Miałem sfilmowanego eksperta w białym kitlu, który mówił mniej więcej to samo, ale szczegółowa wiedza członka DA na temat własnego stanu była ważniejszą częścią materiału... zwłaszcza że wyjaśnienie Rourke’a było klarowniejsze od tego, co powiedział neurolog.

– Struktura mózgu, o której mowa, zajmuje niewielki fragment lewego płata czołowego. Szczegóły opisujące określoną osobę są porozrzucane po całym mózgu – tak jak wszystkie wspomnienia – ta struktura jest jednak jedynym miejscem, gdzie szczegóły te są automatycznie integrowane i interpretowane. Jeżeli zostanie zniszczona, w dalszym ciągu można postrzegać i pamiętać działania innych ludzi, ale tracą one specyficzne znaczenie. Przestaną generować ten sam rodzaj „oczywistych” implikacji, przestaną uzyskiwać ten sam rodzaj natychmiastowego sensu. – Znów pojawiła się mapa neuronalna z zaznaczonym urazem. Przekształciła się w diagram funkcjonalny, wyraźnie przerwany, pocięty dziesiątkami

przerywanych czerwonych linii ilustrujących brak połączeń. – Choć struktura, o której mówimy, ma prekursorów u niższych ssaków, prawdopodobnie zaczęła ewoluować w kierunku współczesnej, występującej u ludzi postaci, u małp naczelnych. Odkrył ją i jako pierwszy zbadał – u szympanów – badacz mózgu Lamont w 2014 roku. Odpowiednia wersja u ludzi została zlokalizowana kilka lat później. Być może pierwszą ważną rolą, jaką spełniała strefa Lamonta, było umożliwienie oszukiwania – ukrywanie prawdziwych motywów dzięki zrozumieniu, jak jesteśmy postrzegani przez innych. Kiedy się wie, jak należy wyglądać, by zostać uznanym za służalczego albo chętnego do współpracy – niezależnie od tego, co się naprawdę myśli – ma się lepsze możliwości kradzieży jedzenia albo szybkiego bzyknięcia czyjegoś partnera. Tyle tylko, że... dobór naturalny podniósł stawkę i zaczęły być preferowane osobniki, które umiały przejrzeć podstęp. W chwili gdy wymyślono kłamstwo, nie było już drogi powrotu.

– To znaczy, że osoba w pełni autystyczna nie umie kłamać – ani stwierdzać, że ktoś kłamie. Częściowo autystyczni zaś...

– Niektórzy umieją, niektórzy nie. To zależy od specyfiki uszkodzenia. Nie jesteśmy identyczni.

– Rozumiem. Co ze związkami międzyludzkimi?

Rourke spojrział w bok, jakby temat był nazbyt bolesny, kontynuował jednak bez wahania. Brzmiał jak wytrawny mówca, wygłaszający odczyt, którego tekst dobrze zna.

– Skuteczne naśladowanie ludzi może pomóc zgodnie współżyć, lecz także oszukiwać. Empatia może zwiększać spójność społeczną na każdym poziomie, ale kiedy wcześnie ludzie zaczęli się stawać coraz bardziej monogamiczni – przynajmniej w porównaniu ze swoimi bezpośrednimi przodkami – cały klaster procesów poznawczych, mających związek z

tworzeniem par, stawał się coraz bardziej skomplikowany. Empatia wobec partnera, który wychowuje nasze dziecko, osiągnęła specjalny status: w określonych warunkach jego życie mogło się stać dla przekazania naszych genów tak samo ważne jak nasze własne. Większość zwierząt ochrania oczywiście młode albo partnerów własnym kosztem – altruizm jest prastarą strategią behawioralną, jak jednak porównać instynktowny altruizm zwierzęcia z ludzką samoświadomością? Od chwili kiedy pojawiło się ogromne ego na pierwszym planie każdego działania znajdowało się coraz bardziej rosnące poczucie ja – jak można było zapobiec, by zaćmiło wszystko inne? Odpowiedź jest taka, że ewolucja stworzyła intymność. Intymność umożliwia przypisanie niektórych albo nawet wszystkich cech kojarzących się z ego – modeli ja do modeli innych ludzi. Jest to nie tylko możliwe, ale i przyjemne. Przyjemność wzmacniał seks, ale nie ograniczony do aktu seksualnego, jak na przykład orgazm. U ludzi nie było to nawet ograniczane do partnerów seksualnych. Intymność jest jedynie wiarą – nagradzaną przez mózg – w to, że ludzi, których kochamy, znamy mniej więcej tak samo jak siebie samych.

Słowo „kochać” było w tym zalewie socjobiologii szokujące, użył go jednak bez śladu ironii ani skrepowania – płynnie łączył słownictwo emocji i ewolucji w spójny język.

– A nawet częściowy autyzm uniemożliwia to, prawda? – spytałem. – Ponieważ nie da się stworzyć modelu kogokolwiek na tyle dobrze, by go dogłębnie poznać?

Rourke nie był zwolennikiem jednoznacznych odpowiedzi.

– Znów powtórzę, że nie jesteśmy identyczni. Czasami modelowanie jest wystarczające – dokładne jak u każdego – ale nie nagradzane: brakuje tych części strefy Lamonta, które powodują, że większość ludzi czuje się dobrze w sytuacjach intymnych i aktywnie ich szuka. Ludzi takich uważa się za

„zimnych” albo „powściągliwych”. Czasami mamy do czynienia z przypadkiem odwrotnym: ludzie czują pęd do intymności, ale ich modelowanie jest tak słabe, że nie mogą mieć nadziei, by kiedykolwiek ją uzyskać. Może im brakować umiejętności społecznych pozwalających wykształcić trwałe związki seksualne – albo nawet jeżeli są wystarczająco inteligentni i posiadają potencjalne możliwości ominięcia trudności społecznych, mózg może uznać model za błędny i odmówić nagradzania go. W efekcie popęd nie jest zaspokajany, ponieważ brak fizycznej możliwości zaspokojenia go.

– Związki seksualne są trudne dla każdego – stwierdziłem.

– Ktoś zasugerował nawet, że wymyśliliście sobie zespół neurologiczny, aby móc pozbyć się odpowiedzialności za problemy, z którymi każdy się boryka.

Rourke zapatrzył się w podłogę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– I powinniśmy po prostu wziąć się mocniej w garść i lepiej postarać...

– Albo tak, albo zacząć robić sobie autoprzeszczepy, żeby naprawić uszkodzenia.

Można było bez szkody dla mózgu pobrać z niego niewielką liczbę neuronów i komórek glijowych, zregresować je do stadium rozwoju embrionalnego, pomnożyć w kulturze tkankowej i wszczepić w uszkodzone miejsce. Sztucznie utrzymywane gradienty embrionalnych markerów hormonalnych mogły oszukać komórki i sprawić, że uznają, iż znajdują się w rozwijającym się mózgu, i podejmą nową próbę wytworzenia koniecznych połączeń synaptycznych. W przypadku osobników w pełni autystycznych prawdopodobieństwo sukcesu było statystycznie nikłe, ale u osób z niewielkimi uszkodzeniami dochodziło do czterdziestu procent.

– Dobrowolni Autyści nie kwestionują tej opcji. Prowadzimy jedynie kampanię na rzecz legalizacji alternatywy.

– Powiększenia uszkodzenia?

– Tak jest. Aż do możliwości całkowitego usuwania strefy Lamonta.

– Dlaczego?

– To znów skomplikowane pytanie. Każdy ma inny powód. Zaczniemy od tego, że jeżeli chodzi o zasadę, powinniśmy mieć jak najwięcej możliwości wyboru. Jak transseksualiści.

Miał na myśli chirurgiczny zabieg na mózgu, który jakiś czas temu był jeszcze bardzo kontrowersyjny: NPPP. Neuronalne ponowne przypisanie płci. Ludzie urodzeni z niedopasowaniem płci nerwowej i fizycznej mogli od niemal stu lat występować o przekształcenie swojego ciała – z rosnącą dokładnością. W latach dwudziestych osiągalna stała się jeszcze inna opcja: zmiana płci mózgu; alteracja nerwowej mapy obrazu ciała w celu ujednoczenia jej z istniejącym ciałem. Wielu ludzi – w tym liczni transseksualiści – prowadziło gorącą kampanię przeciwko legalizacji NPPP, bało się bowiem wprowadzenia przymusu i pojawienia się nacisków, by operować dzieci. W latach czterdziestych wyjście to stało się jednak ogólnie akceptowaną drogą, wybieraną dobrowolnie przez mniej więcej dwadzieścia procent transseksualistów. Robiąc *Analizę płci do przesady*, prowadziłem wywiady z ludźmi, którzy przechodzili wszelkie możliwe rodzaje zabiegu ponownego przypisywania płci. Pewien neuralny mężczyzna, urodzony z ciałem kobiety, ekstatycznie stwierdził – po przetworzeniu na en-mężczyznę: „To jest to! Jestem wolny, jestem w domu!”. Inna osoba, która wybrała NPPP, wpatrywała się w lustro na swą nie zmienioną twarz i mówiła: „To tak, jakbym wyrwała się z czegoś w rodzaju snu, jakiejś halucynacji, i wreszcie mogę się oglądać taką, jaką naprawdę jestem”.

– Punktem końcowym każdej operacji na transseksualistach jest jednak zdrowy mężczyzna albo zdrowa kobieta – powiedziałem. – Trudno tak

określić zostanie autystą.

Rourke bez wahania skontrował:

– Cierpimy z powodu niedopasowania – jak transseksualiści. Nie z powodu dysharmonii między ciałem a mózgiem, lecz między popędem intymności a niemożliwością jej osiągnięcia. Nikt – z wyjątkiem kilku fundamentalistów religijnych – nie byłby na tyle okrutny, aby kazać transseksualiście nauczyć się żyć z tym, co ma, i twierdzić, że interwencja medyczna jest jedynie paskudną pobłażliwością wobec swoich zachcianek.

– Ale przecież nikt was nie powstrzymuje przed decydowaniem się na interwencję medyczną. Przeszczep jest legalny. Odsetek sukcesów rośnie.

– Jak powiedziałem: DA nie przeciwstawiają się temu. Dla niektórych ludzi jest to prawidłowy wybór.

– Jak w jakimkolwiek przypadku mógłby być zły? Rourke chwilę się wahał. Bez najmniejszej wątpliwości spisał i przećwiczył na głos wszystko, co miał do powiedzenia, to pytanie było jednak najważniejsze. Ażeby uzyskać poparcie dla swojej sprawy, musiał doprowadzić do tego, by widzowie zrozumieli, dlaczego nie chciał zostać wyleczony. Zaczął ostrożnie: – Wiele w pełni autystycznych osób cierpi na dodatkowe uszkodzenia mózgu i różne rodzaje opóźnień w rozwoju umysłowym. Generalnie biorąc – my nie. Niezależnie od tego, jakich doznaliśmy uszkodzeń strefy Lamonta, większość z nas jest wystarczająco inteligentna, by rozumieć swój stan. Wiemy, że ludzie nieautystyczni są w stanie uważać, iż osiągnęli intymność. W ruchu DA uznaliśmy jednak, że lepiej nam będzie bez tej umiejętności.

– Dlaczego?

– Ponieważ służy samooszukiwaniu się.

– Jeżeli autyzm jest brakiem rozumienia innych ludzi... a wyleczenie uszkodzenia zagwarantowałoby, że ten brak...

– Co jest jednak rozumieniem a co ułudą rozumienia? – przerwał mi Rourke. – Czy intymność jest rodzajem wiedzy, czy jedynie uspokajającą fałszywą wiarą? Ewolucji nie interesuje, czy docieramy do prawdy – z wyjątkiem najbardziej pragmatycznego jej znaczenia. Wynika z tego, że mogą istnieć tak samo pragmatyczne fałszywe stwierdzenia. Jeżeli mózg musi dać nam przesadne poczucie znajomości innych ludzi – by dopasować łącznie się w parę do samoświadomości – będzie bezwstydnie kłamać. Posunie się tak daleko, jak będzie to konieczne do sprawienia, by jego strategia zadziałała.

Zamilkłem, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Obserwowałem Rourke'a, w nadziei że powie więcej. Choć wydawał się zawstydzony i dziwaczny jak zwykle, w jego postawie było coś, co mnie mroziło. Naprawdę wierzył, że jego stan pozwala mu rozumieć coś, czego nie mogą pojąć zwykli ludzie – i choć nie żałował nas za wszczepiony w nasze mózgi mechanizm błędnego samooszukiwania się, nie umiał się powstrzymać przed uważaniem siebie za osobę o spojrzeniu szerszym i jaśniejszym.

– Autyzm to... tragiczna, uniemożliwiająca życie choroba... – odezwałem się powoli. – Jak może pan... romantyzować ją, twierdząc, że jest... osiągalnym za pomocą sztucznych zabiegów, alternatywnym stylem życia?

Rourke był grzeczny, ale wyraźnie lekceważący.

– Nie robię tego. Spotkałem ponad stu w pełni autystycznych ludzi oraz ich rodziny. Wiem, ile za tym kryje się bólu. Gdybym umiał ten stan usunąć, zrobiłbym to jeszcze dziś. Mamy jednak nasze życiorysy, problemy, aspiracje. Nie jesteśmy w pełni autystyczni, a wycięcie strefy Lamonta w wieku dorosłym nie uczyni nas takimi samymi jak ci, którzy się z tym stanem urodzili. Większość z nas nauczyła się kompensować niedobory za pomocą świadomego, otwartego tworzenia modeli ludzi – co kosztuje

znacznie więcej wysiłku niż wrodzona umiejętność – jeżeli jednak utracimy tę zdolność, nie staniemy się bezradni. Nie będziemy także „egoistyczni”, „bezlitośni”, „niezdolni do współczucia” – czy co tam twierdzą magnaci prasowi. Jeżeli pozwoli się nam na zabieg, o który prosimy, nie stracimy pracy ani nie będziemy potrzebować zamkniętej opieki medycznej, tak więc społeczeństwo nie poniesie żadnych kosztów.

– Koszty to najmniejszy problem – odrzekłem ze złością. – Mówi pan o rozmyślnym, chirurgicznym, pozbyciu się czegoś, mającego zasadnicze znaczenie, aby być... ludzkim.

Rourke podniósł głowę i spokojnie nią kiwnął, jakbym wreszcie powiedział coś, w czym idealnie się zgadzamy.

– Dokładnie. Przez dziesięciolecia żyliśmy ze świadomością fundamentalnej prawdy o związkach międzyludzkich, z której postanowiliśmy nie rezygnować na rzecz wygodnych skutków przeszczepu części mózgu, a jedyne, czego chcemy teraz, to możliwości wyboru. Chcemy, by nie karano nas dłużej za odmowę bycia oszukiwanymi.

Jakimś sposobem zrobiłem z tego wywiadu spójną całość. Z przerażeniem myślałem o parafrazowaniu Jamesa Rourke'a; w przypadku większości ludzi łatwo dało się ocenić, co jest dobre, a co nie, w jego przypadku poruszałem się jednak po zdradliwym gruncie. Nie byłem nawet przekonany, czy konsolista umiałaby przekonująco go udawać. Kiedy próbowałem, mowa ciała wydawała się kompletnie nie na miejscu – jakby symulacje programu komputerowego (zazwyczaj stosowane w celu skompletowania charakterystycznych gestów obiektu) zostały wyssane z palca dla wypełnienia próżni. Skończyło się na tym, że niczego nie zmieniłem; wybierałem najlepsze kwestie i łączyłem je z innym materiałem – w chwilach, gdy nie było innej możliwości, przechodziłem na narrację.

Kazałem konsolercie, by pokazała diagram segmentów użytych w gotowej wersji – plasterki, rozrzucone wzdłuż liniowej sekwencji materiału surowego. Każde ujęcie, każda nieprzerwana sekwencja, były wyraźnie „połupane”: opatrzone informacją o godzinie i miejscu nagrania i jedną klatką na początku i końcu. Praktycznie nie było ujęć, z których niczego nie wyrzuciłem – puściłem materiał po raz ostatni, by się upewnić, że nie usunąłem niczego ważnego.

W którymś ujęciu Rourke pokazywał mi swoje „biuro” – kąć dwupokojowego mieszkania. Zauważyłem wtedy jego zdjęcie – wyglądał na dwadzieścia kilka lat – z kobietą w podobnym wieku.

Spytałem, kto to jest.

– Moja była żona.

Oboje stali na zatłoczonej plaży, sądząc po jej wyglądzie – gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Trzymali się za ręce i próbowali patrzeć w obiektyw, zostali jednak zdemaskowani, nie umieli bowiem powstrzymać się od konspiracyjnego rozglądania się na boki. Byli bez dwóch zdań napięci seksualnie, ale... także wiedzieli. Jeżeli nie był to portret intymności, to jej znakomitej imitacji.

„Czasami możemy nawet siebie samych przekonać, że wszystko jest w porządku. Na jakiś czas”.

– Jak długo byliście małżeństwem?

– Prawie rok.

Byłem ciekaw, ale nie drążyłem tematu, by wydobyć szczegóły. *Śmieciowy DNA* nie był obskurnym manifestem, lecz naukowym filmem dokumentalnym. Prywatne życie bohaterów nie było moją sprawą.

Dzień po wywiadzie odbyłem z Rourke’em prywatną rozmowę. Spacerowaliśmy po terenie uniwersytetu – tuż po tym jak nakręciłem kilkuminutową sekwencję ukazującą go przy pracy: pomagał komputerowi

przeszukiwać sieci mówiące w językach hinduskich pod kątem przesunięć samogłosek (co zazwyczaj robił w domu, zależało mi jednak rozpaczliwie na tym, aby zmienić tło – nawet za cenę zmiany rzeczywistości). Uniwersytet Manchesterski ma osiem porzrzucanych po mieście oddzielnych kampusów; byliśmy w najnowszym, gdzie architekci zaszaleli z bioinżynierijnie wytworzoną zielenią. Nawet trawa była niemożliwie bujna i zielona; wyglądało to jak źle sfałszowana kompozycja: niebo filmowane w Anglii, ziemia w Brunei.

– Wie pan co? – powiedział Rourke. – Zazdroszczę panu pracy. Zajmując się DA, muszę koncentrować się na wąskim zakresie zmian, ale pan ma widok z lotu ptaka na wszystko.

– To znaczy na co? Ma pan na myśli postępy biotechnologii?

– Biotechnologię, tworzenie obrazów, SI... wszystko. Całą bitwę o słowa na L.

– Słowa na L? Uśmiechnął się tajemniczo.

– Wielkie i małe. Te, dzięki którym będzie się pamiętało to stulecie. Za bitwę o dwa słowa. Dwie definicje.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi. – Mijaliśmy właśnie miniaturowy las umieszczony pośrodku prostokąta. Był gęsty i egzotyczny, krnąbrny i refleksyjny jak namalowana przez surrealistę dżungla.

Rourke odwrócił się do mnie.

– Co możemy zaoferować ludziom, z którymi się nie zgadzamy albo których nie rozumiemy?

– Nie wiem. Co?

– Wyleczyć ich. To pierwsze słowo na L. Leczenie.

– O!

– Technologia medyczna niedługo eksploduje jak supernowa. Mówię to, gdyby pan jeszcze nie zauważył. Do czego zostanie wykorzystana uzyskana siła? Do utrzymania – albo tworzenia – „zdrowia”. Co to jednak jest? Zapomnijmy o oczywistych bzdetach, co do których istnieje powszechna zgoda. Jaki będzie ostateczny cel „leczenia”, kiedy zostaną zniszczone ostatni wirus, pasożyt i onkogen? Czy wszyscy mamy grać z góry wyznaczone role w edenickim „naturalnym porządku”... – przerwał, aby ironicznym gestem wskazać na kwitnące wokół nas orchidee i lilie – ...i powrócić do stanu, dla którego zoptymalizowano naszą biologię: polowania, zbieractwa i umierania w wieku trzydziestu albo czterdziestu lat? O to chodzi? A może o... wykorzystanie każdego technicznie możliwego sposobu życia? Każdy, kto żąda prawa do zdefiniowania granicy między zdrowiem a chorobą, żąda... wszystkiego.

– Ma pan rację – stwierdziłem. – Słowo jest podstępne, niejednoznaczne i prawdopodobnie zawsze pozostanie kontrowersyjne. – Renesans Mistyczny nieustannie proponował ludziom tego świata, że „wyleczy” ich z „odrętwienia psychicznego” i zrobi z nich „idealnie zrównoważone” istoty ludzkie. Innymi słowy: robi idealne kopie – wierzące w to samo, mające te same priorytety, te same nerwice i przesady. – Więc jak brzmi drugie słowo na L? To wielkie?

Stuknął się palcem w głowę i chytrze na mnie popatrzył.

– Naprawdę nie może pan zgadnąć? W takim razie podpowiem: jaki jest intelektualnie najbardziej leniwy sposób na wygranie sporu?

– Musi mi pan powiedzieć wprost. Nie jestem dobry w szaradach.

– Należy powiedzieć, że pańskiemu adwersarzowi brakuje ludzkich cech.

Zamilkłem. Nagle zrobiło mi się wstyd – przynajmniej poczułem zażenowanie – i zacząłem się zastanawiać, jak bardzo go obraziłem

niektórymi swoimi wypowiedziami z poprzedniego dnia. Problem przy spotykaniu się z ludźmi po zrobieniu z nimi wywiadu polega często na tym, że między spotkaniami ciągle zastanawiają się w najdrobniejszych szczegółach nad tym, co powiedzieli – i dochodzą do wniosku, że źle wypadli.

– Jest to najstarsza znana broń semantyczna. Niech pan pomyśli o wszystkich kategoriach ludzi, których kwalifikowano jako nie ludzi w różnych czasach i kulturach. Ludzie z innych plemion. Ludzie o innym kolorze skóry. Niewolnicy. Kobiety. Chorzy psychicznie. Głusi. Homoseksualiści. Żydzi. Bośniacy, Chorwaci, Serbowie, Armeńczycy, Kurdowie...

– Nie uważa pan, że istnieje pewna różnica między wsadzaniem kogoś do komory gazowej a retorycznym używaniem frazy?

– Oczywiście, ale załóżmy, że zechce mi pan zarzucić „brak cech ludzkich”. Co to w zasadzie znaczy? Jakie działania mi się przez to imputuje? Zamordowałem kogoś z zimną krwią? Utopiłem szczeniaka? Jadłem mięso? Nie poruszyła mnie Piąta Symfonia Beethovena? A może nie udało mi się prowadzić – albo starać się prowadzić – życia emocjonalnego podobnego pod każdym względem do pańskiego? Nie udało mi się mieć takich samych aspiracji i wartości?

Nie odpowiedziałem. W ciemnej dżungli za moimi plecami przemykali rowerzyści; zaczęło padać, ale chroniły nas korony drzew. Rourke radośnie kontynuował.

– Odpowiedź brzmi: „dowolną rzecz z wymienionych”. Dlatego jest to tak cholernie leniwe. Powątpiewanie w czyjeś człowieczeństwo stawia tę osobę w jednym rzędzie z seryjnymi zabójcami, co oszczędza kłopotu powiedzenia czegokolwiek inteligentnego o jej poglądach. Prócz tego kryje się za tym założenie istnienia ogólnej zgody oburzonej większości stojącej

za twierdzącym coś takiego człowiekiem, cały czas go wspierającej. Jeżeli twierdzi pan, że Dobrowolni Autyści próbują się pozbyć cech ludzkich, nie tylko definiuje pan bycie ludzkim tak, jakby miał pan ku temu jakieś boskie prawo, ale także implikuje pan, że wszyscy inni na planecie – pomijając reinkarnacje Adolfa Hitlera i Pol Pota – zgadzają się z panem w każdym szczególe. – Rozłożył ręce i wygłosił do drzew: – Zaklinam cię: odłóż ten skalpel... w imię ludzkości!

– W porządku. Może powinienem był wczoraj to i owo inaczej ująć – powiedziałem drętwo. – Nie zamierzałem pana obrażać.

Rourke pokręcił z rozbawieniem głową.

– Nie obraziłem się. W końcu to bitwa i nie mogę się spodziewać, by natychmiast mi się poddawano. Jest pan zwolennikiem wąskiej definicji wielkiego L – i może nawet szczerze wierzy pan w to, że każdy podziela ten pogląd. Ja popieram szerszą definicję. Zgódźmy się co do tego, że się nie zgadzamy. Do zobaczenia w okopach.

Wąskiej definicji? Otworzyłem usta, aby odeprzeć oskarżenie, nagle stwierdziłem jednak, że nie wiem, jak się bronić. Co mogłem powiedzieć? Że kiedyś zrobiłem program sympatyzujący z migrantami płciowymi (jakie to wspaniałomyślne), a teraz mam to zbilansować frankensteinonaukową opowieścią o Dobrowolnych Autystach?

Tak więc ostatnie słowo należało do niego (w czasie rzeczywistym). Podaliśmy sobie ręce i rozeszliśmy się.

Puściłem wszystko jeszcze raz. Rourke był zadziwiająco elokwentny – i w swój dziwny sposób wręcz charyzmatyczny – a wszystko, co mówił, miało znaczenie. Jednak jego indywidualna terminologia, maniackalne wybuchy... wszystko było zbyt dziwaczne, za pokrętne, nadmiernie konfrontacyjne.

Zostawiłem ujęcie niewykorzystane, nic z niego nie cytując.

Poszedłem potem na inne spotkanie na uniwersytecie: ze sławną manchesterską GBOM – Grupą Badawczą Obrazowania Medycznego. Była to zbyt dobra okazja, aby dać jej umknąć – w końcu dzięki obrazowaniu odkryto częściowy autyzm.

Szybko przeglądałem materiał. Było sporo świetnych momentów – prawdopodobnie uda się zmontować z niego osobną pięciominutówkę dla SeeNetu – z tym że szybko stało się jasne, iż krótka demonstracja z użyciem notepadu Rourke’a dostarczyła wszystkich obrazów mózgu, jakich potrzebował *Śmieciowy DNA*.

Główny eksperyment, który sfilmowałem, dotyczył ochotniczki, studentki, która czytała w milczeniu poezję, podczas gdy skaner pokazywał obraz jej mózgu, przedstawiając w formie napisów kolejne wersy, które czytała. Były trzy niezależnie tworzone przez komputer napisy, a powstawały na podstawie pierwotnych danych wzrokowych, rozpoznawanych kształtów słów i ostatecznych reprezentacji semantycznych – przy czym te ostatnie czasami tylko krótko pasowały do pozostałych dwóch, potem rozplływały się w chmurę skojarzeń. Choć było to upiornie fascynujące, nie miało nic wspólnego ze strefą Lamonta.

Pod koniec dnia jedna z badaczek – Margaret Williams, kierowniczka zespołu rozwoju programów komputerowych – zaproponowała, bym wszedł do wnętrza skanera. Może chciały, abym poczuł na sobie ostrze własnej broni – przebadać mnie swoim sprzętem i ponagrywać, co robiłem przez kilka godzin z nimi. Williams zachowywała się, jakby naprawdę uważała, że w ten sposób sprawiedliwości stanie się zadość.

– Pan mógł filmować to, co widzi badana osoba, teraz my moglibyśmy zajrzeć w pana ukryte zdolności.

Odmówiłem.

– Nie wiem, czy pole magnetyczne nie uszkodzi mi sprzętu.

– Na pewno nie, obiecuję. Większość jest na pewno optyczna, reszta musi być osłonięta. Lata pan stale samolotami, prawda? Przechodzi pan przez bramki detekcyjne?

– Tak, ale...

– Pola, które wykorzystujemy, nie są silniejsze. Możemy nawet spróbować sczytywać skanerem aktywność pańskiego nerwu wzrokowego i porównać dane z pańskim bezpośrednim nagraniem.

– Nie mam przy sobie modułu przekazującego. Został w hotelu.

Wydęła wargi. Była wyraźnie rozczarowana; ledwie wytrzymała, by nie powiedzieć, żebym się przymknął, robił, co mi się każe, i włąził do skanera.

– Szkoda. Podejrzewam też, że gdybyśmy musieli improwizować, miałby pan problemy z gwarancją – kabel i interfejs są pańską własnością?

– Obawiam się, że tak. Program zapisałby użycie niestandardowego sprzętu i miałbym poważne kłopoty podczas corocznego serwisu.

W dalszym ciągu nie chciała się poddać.

– Mówił pan o Dobrowolnych Autystach. Jeżeli chciałby pan zdobyć coś spektakularnego do zilustrowania materiału o nich... moglibyśmy obrazować pańską strefę Lamonta, podczas gdy myślałby pan o różnych ludziach. Nagralibyśmy wszystko i puścili panu. Mógłby pan pokazać widzom pracującą w czasie rzeczywistym kopię tej strefy. Nie błyszczącą animację, a ciało i krew przyłapane w akcji. Neurony pompujące jony wapnia, strzelające synapsy. Moglibyśmy nawet przetworzyć architekturę neuronalną w diagram funkcyjny, wykalibrować go, określić symbole cech. Mamy wszystkie potrzebne programy...

– To bardzo miła propozycja, ale cóż byłby ze mnie za tuzinkowy dziennikarzyna, gdybym zaczął się uciekać do wykorzystywania siebie jako tematu własnych programów...

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem się konferencji o nazwie Stulecie Einsteinowskie podpisałem z SeeNetem umowę na nakręcenie programu pod tytułem *Violet Mosala: mistrzyni symetrii*. Kiedy podpisywałem elektroniczny dokument rysikiem na notepadzie, próbowałem się przekonać, że dostałem tę robotę, ponieważ dobrze ją wykonam – a nie dlatego, że argumentowałem wyższej pozycji i błagałem o przysługę. Nie było wątpliwości, że Sarah Knight jest niedoświadczona – była pięć lat młodsza ode mnie i pracowała głównie w dziale politycznym. To, że była „fanką” Violet Mosali, mogło wręcz zadziałać przeciwko niej, gdyż nikt w SeeNecie nie potrzebował rozwlekłej hagiografii. Jeśli zaś chodziło o mój rzekomy profesjonalizm, jak na razie tylko raz rzuciłem okiem na przygotowany przez Syzyfa raport nie miałem pojęcia, za co się zabieram.

Prawda była taka, że nie dbałem o szczegóły; liczyło się jedynie to, żeby pozostawić za sobą *Śmieciowy DNA* i uciec jak najdalej od *STANU WYCZERPANIA*. Po najgorszych wynaturzeniach biotechnologii, w jakich tonąłem przez rok, nieskazitelny świat fizyki teoretycznej lśnił w moich oczach jak nasączony środkiem znieczulającym matematyczny raj, gdzie wszystko jest chłodne, abstrakcyjne i wspaniale niekonsekwentne... a obraz płynnie zlewał się z białą koralową śnieżynką Bezpieństwa, wyrastającą z błękitnego Pacyfiku niczym idealna fraktalna gwiazdeczka. Jedna część mnie doskonale rozumiała, że jeżeli wezmę sobie do serca te piękne miraż, na pewno się rozczaruję – starałem się nawet wyobrazić sobie najbardziej niemiłe sposoby, w jakie zostaną ściągnięty na ziemię. Mogłem dostać ataku jakiejś lekoodpornej choroby: malarii albo zapalenia płuc – powodowanych wirusem, na który odporni są miejscowi mieszkańcy. Z powodu bojkotu niedostępne będą nowocześniejsze farmako zdolne przeanalizować patogeny i natychmiast wytworzyć lek, a będę zbyt słaby,

aby uciec do cywilizacji... Scenariusz nie był aż tak bardzo nierealny – w ciągu minionych lat bojkot spowodował śmierć sporej liczby ludzi.

Wszystko było jednak lepsze od stanięcia twarzą w twarz z ofiarami *STANU WYCZERPANIA*.

Zostawiłem Violet Mosali wiadomość. Choć program komputerowy, który odpowiadał na kierowane do niej telefony, nic nie zdradził, uznałem, że jest jeszcze w swoim domu w Cape Town. Przedstawiłem się, podziękowałem za uprzejmość, że zgodziła się poświęcić czas programowi, i paplałem grzeczne frazesy. Nie powiedziałem nic, co miałoby ją zachęcać do oddzwonienia. Wiedziałem, że nie trzeba będzie wiele czasu rzeczywistego, by dostrzegła moją ignorancję na temat jej życia i pracy. Malaria, zapalenie płuc... robienie z siebie idioty. Nie obchodziło mnie to. Myślałem jedynie o ucieczce.

Nastawiłem się psychicznie, by ponownie obejrzeć ożywienie Daniela Cavoliniego; powinienem jednak z góry wiedzieć, że to absurd. Montaż nigdy nie jest tworzeniem przeszłości na nowo – jest raczej robieniem jej sekcji. Pracowałem nad fragmentem beznamiętnie, a każda godzina, którą spędzałem na nadawaniu programowi kształtu, wyobrażając sobie reakcje widzów oglądających wszystko po raz pierwszy, sprawiała, że rosła siła kalkulacji i instynktu, a nikło to, co odczuwałem wobec wydarzenia. Ostateczny montaż, powierzchownie płynny i ciągły, był jak pośmiertne ożywienie pośmiertnego ożywienia. Stało się, było po wszystkim i bez względu na to, że technice udało się stworzyć krótką iluzję życia, nie mogła wyjść poza ekran i pomaszerować ulicą jak każde inne skręcające się zwłoki.

Brat Daniela, Lukę, został oskarżony o morderstwo i przyznał się do winy. Załogowałem się do akt sądowych i przejrzałem zapis trzech przesłuchań, które dotychczas przeprowadzono. Magistrat zażądał

sporządzenia ekspertyzy psychiatrycznej, z której wynikało, że Lukę Cavolini cierpiał na napady „niestosownej złości”, w ich wyniku nie oderwał się jednak kiedykolwiek na tyle od rzeczywistości, by uznano go za chorego psychicznie i zaczęto leczyć wbrew woli. Był poczytalny, winny i doskonale rozumiał, co zrobił – i miał nawet „motyw”: poprzedniego wieczora pokłócił się z Danielem o kurtkę, którą od niego pożyczył. Wiadomo było, że skończy w zwykłym więzieniu; spędzi w nim minimum piętnaście lat.

Materiał filmowany w sądzie był własnością publiczną, ale nie zmieściłby się w wersji przeznaczonej do emisji ze względów czasowych. Napisałem więc krótkie posłowie, wymieniając fakty: przedstawiono oskarżenie, podejrzany się przyznał. Nie wspomniałem o ekspertyzie psychiatrycznej, bo nie chciałem mącić wody. Konsoleta przetworzyła końcowy tekst na napisy, które zostały nałożone na stopklatkę ukazującą krzyczącego Daniela Cavoliniego.

– Wygaszaj obraz – powiedziałem. – Puszczaj listę płac.

Był wtorek, 23 marca, godzina 16:07.

Śmieciowy DNA został zmontowany.

Zostawiłem w holu notatkę dla Giny i poszedłem do Epping, by zaszczepić się przed podróżą. Naukowcy z Bezpieństwa przekazywali do sieci „lokalne prognozy pogodowe” – zarówno meteorologiczne, jak i epidemiologiczne – i mimo wszystkich dziwacznych aktów politycznego ostracyzmu odpowiednie organy Narodów Zjednoczonych traktowały te dane, jakby pochodziły z państwa będącego usankcjonowanym członkiem. Jak się okazało, niekonieczne było szczepienie zarówno przeciwko malarii, jak i zapaleniu płuc, doszło jednak ostatnio do wybuchu chorób spowodowanych nowymi szczepami adenowirusa – i choć żadna nie była groźna dla życia, były na tyle poważne, że mogły uniemożliwić pobyt na

wyspie. Alice Tomasz, moja lekarka, ściągnęła z bazy danych sekwencje kilku drobnych peptydów, które imitowały odpowiednie białka na powierzchni wirusa, zsyntetyzowała ich RNA, po czym dokonała splajsingu fragmentów, tworząc odpowiednio przykrojony – i nieszkodliwy – adenowirus. Cała procedura zajęła mniej więcej dziesięć minut.

Kiedy wdychałem żywą szczepionkę, Alice stwierdziła: – Podobała mi się *Analiza płci do przesady*.

– Dziękuję.

– Choć końcówka... wypowiedź Elaine Ho o płci i ewolucji... naprawdę jej uwierzyłeś?

Ho stwierdziła, że ludzie spędzili ostatnich kilka milionów lat na odwracaniu prastarych, typowych dla ssaków krańcowości w zakresie dymorfizmu płci i różnic w zachowaniu. Jej zdaniem stopniowo wykształcali biochemiczne dziwactwa, które w aktywny sposób wchodziły w interakcje z prastarymi programami genetycznymi, decydującymi o specyficznych płciowo ścieżkach przebiegu impulsów nerwowych. Co prawda oddzielne programy były w dalszym ciągu dziedziczone, oddziaływania hormonalne w łonie powstrzymywały je jednak przed pełnym zadziałaniem, w efekcie czego dochodziło do „maskulinizacji” mózgu każdego żeńskiego płodu oraz „feminizacji” mózgow płodów męskich. (Jeżeli proces posuwał się nieco dalej niż normalnie, dochodziło do homoseksualizmu). W perspektywie długoterminowej płcie się upodabniały. Niezależnie od naszego majstrowania w naturze natura majstrowała sama ze sobą.

– Wydało mi się to dobrym zakończeniem programu – stwierdziłem. – Przecież wszystko, co powiedziała, było prawdą, nie?

Alice odpowiedziała wymijająco.

– Nad czym pracujesz teraz?

Nie chciałem przyznać się do *Śmieciowego DNA*, równocześnie bałem się wspomnieć o Violet Mosali, by nie okazało się, że moja lekarka wie więcej ode mnie o tworzonych przez nią TW. Obawa nie była to bezzasadna, gdyż Alice była obrzydliwie odczytana.

– Właściwie nad niczym – odparłem. – Mam wakacje. Popatrzyła na moje dane wyświetlane przez ekran w blacie biurka, wśród których musiały być informacje z mojego farmako.

– Dobrze masz – stwierdziła po chwili. – Tylko nie odpręż się za mocno.

Czułem się jak idiota przyłapanym na oczywistym kłamstwie, kiedy jednak wychodziłem, przestało mnie to obchodzić. Ulicę pokrywały plamki cieni rzucanych przez liście, bryza z południa była chłodna i łagodna. *Śmieciowy DNA* przeszedł do historii i czułem się tak lekki, jakby właśnie mi powiedziano, że jednak nie mam śmiertelnej choroby. Epping było spokojnym centrum handlowo-usługowym na przedmieściach; można tu było iść do lekarza, dentysty, niedużego supermarketu, kwaciarni, fryzjera i paru (nieeksperymentalnych) restauracji. Nie było Ruin – kwartał komercyjny został piętnaście lat temu wyburzony, a na jego miejscu posadzono bioinżynieryjny las. Nie było billboardów (choć reklamowe T-shirty niemal kompensowały stratę). W niektóre niedzielne popołudnia, kiedy nic innego nie absorbowало naszego czasu, przychodziliśmy tu z Gina i siadaliśmy pod fontanną. Kiedy wrócę z Bezpieństwa – mając osiem miesięcy na montaż *Violet Mosali* – takich popołudni będzie więcej niż przez wiele ostatnich miesięcy.

Gdy otworzyłem frontowe drzwi, Gina stała w holu, jakby na mnie czekała. Wyglądała na podnieconą. Mocno zdenerwowaną. Podeszedłem, by spytać, co się stało, ale cofnęła się, unosząc ręce, jakby chciała odeprzeć atak.

– Andrew, wiem, że nie jest to dobry moment, ale czekałam...

Na końcu korytarza stały trzy walizki. Świat przekreślił się, uciekając ode mnie. Wszystko cofnęło się o krok.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Nie złość się.

– Nie złość się. – Mówiłem prawdę. – Po prostu nie rozumiem.

– Dałam ci szansę wszystko naprawić, ale parłeś dalej przed siebie jakby nigdy nic.

Coś dziwnego działo się z moim zmysłem równowagi. Miałem wrażenie, że dziko się chybczę, choć doskonale wiedziałem, że stoję bez najmniejszego ruchu. Gina wyglądała okropnie. Wyciągnąłem do niej rękę, jakbym chciał ją uspokoić.

– Nie mogłaś powiedzieć, że coś jest nie tak?

– Musiałam? Jesteś ślepy?

– Może jestem.

– Ale nie jesteś dzieckiem. Nie jesteś głupi.

– Naprawdę nie mam pojęcia, co powinienem był zrobić. Roześmiała się gorzko.

– Oczywiście, że nie. Zacząłeś mnie traktować jak... żmudny obowiązek. Dlaczego miałeś uważać, że coś w tym złego?

– Zacząłem cię traktować jak... kiedy? Masz na myśli ostatnie trzy tygodnie? Przecież wiesz, jak jest, kiedy montuję. Sądziłem...

– Nie mówię o twojej pierdolonej robocie!

Chciałem usiąść na podłodze i uspokoić się, wziąć w garść, ale obawiałem się, że Gina może to nieodpowiednio zinterpretować.

– Nie zastawiaj mi drogi – powiedziała zimno. – Denerwuje mnie to.

– Co twoim zdaniem zrobię? Zamknę cię na klucz?

Nie odpowiedziała. Przepchnąłem się obok niej i wszedłem do kuchni. Odwróciła się i zatrzymała w drzwiach, uważnie się we mnie wpatrując.

Nie miałem zielonego pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Kocham cię.

– Ostrzegam cię, nie zaczynaj.

– Jeżeli dałem dupy, daj mi szansę wszystko naprawić. Postaram się bardziej...

– Nie ma nic gorszego niż twoje usilne starania. Tak kurewsko wyraźnie widać przy tym, jak się wysilasz...

– Zawsze sądziłem, że... – Popatrzyłem jej w oczy: ciemne, pełne wyrazu, przepiękne. Nawet w takiej chwili ich widok przebijał pancerz moich myśli i emocji i przemieniał jakąś część we mnie w bezradne, zadurzone dziecko. Ciągłe przecież byłem skoncentrowany, uważałem na siebie, więc jak do tego doszło?! Jakich sygnałów nie dostrzegłem... kiedy, gdzie? Miałem ochotę zażądać podania dat, godzin i miejsc. Gina odwróciła się.

– Za późno, by cokolwiek zmienić – powiedziała. – Znalazłam kogoś innego. Widuję się z kimś od trzech miesięcy. Jeżeli tego nie zauważyłeś, to... jakiego komunikatu potrzebujesz? Miałam przyprowadzić go do domu i pieprzyć się z nim na twoich oczach?

Zacisnąłem powieki. Nie chciałem tego słuchać; był to jedynie hałas, który wszystko komplikował.

– Nie interesuje mnie, co zrobiłaś. Mimo wszystko możemy... Zrobiła krok do przodu i wykrzyczała mi prosto w twarz: – Ale mnie interesuje! Ty samolubny debilu! Mnie interesuje!! – Po policzkach spływały jej łzy. Starłem się z całych sił zrozumieć, o co jej chodzi, cały byłem obolały z chęci objęcia jej; w dalszym ciągu nie docierało do mnie, że to ja jestem przyczyną jej bólu.

– Popatrz na siebie – stwierdziła pogardliwie. – Właśnie ci powiedziałam, że pieprzyłam się z kimś za twoimi plecami! To ja wychodzę – i nadal boli mnie to tysiąc razy więcej, niż kiedykolwiek cokolwiek będzie boleć ciebie!

Musiałem pomyśleć o tym, co zrobiłem potem, musiałem to zaplanować, nie pamiętam jednak, jak odwróciłem się do zlewu, złapałem nóż i rozpiąłem koszulę. Oprzytomniałem w drzwiach do kuchni, tnąc ostrzem noża linie na brzuchu.

– Zawsze chciałaś blizn – powiedziałem spokojnie. – Oto blizny.

Gina rzuciła się na mnie i zwała mnie z nóg. Pchnąłem nóż na bok, pod stół. Zanim zdążyłem wstać, usiadła na mnie, waliła mnie po głowie i łomotała pięściami gdzie popadło.

– Myślisz, że to boli?! Wydaje ci się, że to to samo? Nawet nie wiesz, na czym polega różnica! Nie wiesz!

Leżałem na podłodze, z odwróconą na bok głową, podczas gdy obijała mi twarz i ramiona. Nic nie czułem, czekałem jedynie, aż wszystko się skończy. Kiedy wstała i zaczęła się zbierać do wyjścia, potykała się po kuchni, pociągając nosem, nagle zachciało mi się ją zranić – jak najmocniej.

– A czego się spodziewałaś? Nie umiem tak jak ty płakać na zawołanie. Mam niewystarczający poziom prolaktyny.

Wlokła walizki po korytarzu. Wyobraziłem sobie, że wychodzę za nią na zewnątrz, proponuję pomoc w niesieniu walizek, robię scenę. Przeszła mi ochota na zemstę. Kochałem ją, chciałem ją odzyskać... a wszystko, co umiałem sobie wyobrazić, by to udowodnić, wyglądało jak gwarancja dalszego jej ranienia, dalszego pogorszenia sytuacji.

Trzasnęły frontowe drzwi.

Zwinąłem się na podłodze. Paskudnie krwawiłem, zgrzytałem zębami, by wytrzymać metaliczny odór w ustach, miałem poczucie bezradnej nieciągłości i bolało mnie. Doskonale jednak wiedziałem, że nie jestem poważnie ranny. Nie oszalałem z zazdrości i wściekłości i nie przeciąłem żadnej tętnicy – jak zawsze, wiedziałem, co robię.

Czy miałem się z tego powodu wstydzić? Miałem czuć się winny, że nie połamane mebli ani nie wyprułem sobie flaków – ani nie spróbowałem jej zabić? Czułem ukłucie spowodowane jej zadowoleniem. Jeżeli dotychczas nie znałem jej myśli, to w chwili, gdy przewracała mnie na podłogę, zrozumiałem jedno: ponieważ nie ogarnęły mnie całkowicie emocje, ponieważ nie straciłem panowania nad sobą... w jej oczach nie byłem w pełni ludzki.

Owinąłem powierzchowne rany ręcznikiem, po czym poinformowałem farmako o tym, co się stało. Maszyna kilka minut buczała, a potem wysunęła się z niej porcja pasty złożonej z antybiotyków, koagulantów i podobnego do kolagenu środka lepiącego. Specyfik wysechł na skórze, tworząc coś w rodzaju ciasno przylegającego bandaża.

Farmako nie miało „oka”, stanąłem jednak przy telefonie i pokazałem mu jego dzieło.

– Unikaj silnych ruchów jelit – odezwała się maszyna. – I nie próbuj bardzo się śmiać.

..8..

– Zostałem przysłany – powiedział ponuro Angelo.

– Więc wchodź.

Poszedł za mną korytarzem do salonu.

– Jak dziewczynki? – spytałem.

– Dobrze. Męczące.

Maria miała trzy lata, Louise dwa. Angelo i Lisa pracowali w domu – w dźwiękoszczelnych gabinetach – zajmując się opieką nad dziećmi „na zakładkę”. Angelo był matematykiem na połączonym z sieciami, nominalnie kanadyjskim, uniwersytecie, Lisa zajmowała się chemią polimerów w firmie z siedzibą w Holandii.

Przyjaźniliśmy się od uniwersytetu, jego siostrę poznałem dopiero po urodzeniu się Louise. Gina przyjechała do szpitala odwiedzić młodą matkę i obejrzeć dziecko i zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia w windzie, jeszcze nie wiedząc, kim jest.

Angelo usiadł.

– Wydaje mi się, że chce po prostu wiedzieć, jak się czujesz.

– Wysłałem jej przez dziesięć dni dziesięć wiadomości. Wie, jak się czuję.

– Powiedziała, że nagle przestałeś.

– Nagle? Dziesięć aktów rytualnego poniżania się to wszystko, co dostanie. – Nie chciałem, by to zabrzmiało gorzko, Angelo zaczynał jednak wyglądać jak wysłannik pokoju, który jakimś sposobem trafił na pole bitwy. Roześmiałem się. – Powiedz jej to, co chce usłyszeć. Powiedz, że

jestem załamany, ale... szybko wracam do normy. Nie chcę, by poczuła się obrażona, nie chcę też, by czuła się winna.

Uśmiechnął się niepewnie, jakby usłyszał niesmaczny żart.

– Ciężko to przeżywa. Zacisnąłem pięści i odrzekłem powoli: – Wiem. Ja też, ale nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli powiesz jej, że... Co kazała ci powiedzieć, gdybym zapytał, czy istnieje szansa, by wróciła?

– Kazała powiedzieć, że nie.

– Oczywiście, ale... miała to na myśli? Co kazała powiedzieć, gdybym zapytał, czy naprawdę miała to na myśli?

– Andrew...

– Zapomnij o tym.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Zastanawiałem się, czy zapytać, gdzie jest, z kim jest, wiedziałem jednak, że nie usłyszę odpowiedzi. Tak naprawdę nie chciałem wiedzieć.

– Mam jutro lecieć do Bezpaństwa – poinformowałem.

– Wiem, słyszałem. Dużo szczęścia.

– Jest pewien dziennikarz, który chętnie przejąłby tę robotę. Wystarczy, że zadzwonię...

Pokręcił głową.

– Nie ma potrzeby. Niczego by to nie zmieniło.

Znów zapadła cisza. Po jakimś czasie Angelo sięgnął do kieszeni i wyjął małą, plastikową fiolkę z tabletkami.

– Mam parę OH – stwierdził. Jęknąłem.

– Nigdy nie brałeś tego gówna. Popatrzył na mnie, wyraźnie urażony.

– To nieszkodliwe. Czasami lubię się wyłączyć. Co w tym złego?

– Nic.

OH nie były toksyczne i nie uzależniały. Wywoływały dobre samopoczucie i zwiększały poziom wysiłku koniecznego do rozsądnego

myślenia – jak niewielka dawka alkoholu albo cannabisu, ale ze znacznie mniejszymi skutkami ubocznymi. Miały wbudowany mechanizm ograniczający ich poziom we krwi; przy określonym stężeniu cząsteczka katalizowała swoją destrukcję, tak że wzięcie jednej tabletki dawało ten sam efekt co całej fiolki.

Angelo podał mi opakowanie. Wziąłem jedną tabletkę z wahaniem i położyłem ją we wnętrzu dłoni.

Alkohol praktycznie wyszedł z użycia, kiedy miałem dziesięć lat; jego stosowanie jako „smaru społecznego” było retrospektywnie uważane za jednoznacznie korzystne – za patologię uznawano jedynie powodowaną przez niego przemoc i uszkodzenia organiczne. Dla mnie jednak magiczny pocisk, który zajął jego miejsce, był krystalizacją zasadniczego problemu. Co prawda łaskawie usunięto marskość wątroby, uszkodzenia mózgu, różne rodzaje raka, najgorsze wypadki samochodowe i spowodowane oszołomieniem przestępstwa, ale... nie byłem gotów przyznać, że istoty ludzkie nie mogą się porozumiewać oraz odprężyć bez pomocy środków psychoaktywnych.

Angelo połknął tabletkę.

– Bierz, nie zabije cię – powiedział tonem upomnienia. – Każda znana ludzka kultura stosowała jakiś rodzaj...

Udałem, że wkładam tabletkę do ust, lecz zatrzymałem ją w dłoni. Pieprzyć każdą znaną ludzką kulturę. Przez chwilę czułem się winny oszustwa, brakowało mi jednak energii, by podjąć dyskusję. Poza tym moja nieuczciwość służyła określonemu celowi. Mogłem sobie mniej więcej wyobrazić, co Gina mu kazała: „Daj mu OH, to jedyny sposób, by zaczął mówić”. Przysłała Angela w nadziei, że się wywnętrzę, wyrzygam bebechy i będę WYLECZONY. Był to czuły gest – po części także z jego strony –

przynajmniej mogłem się odwdziżyć zmniejszeniem liczby kłamstw, które będzie jej musiał zaserwować, by uwierzyła, że zrobiła coś dobrego.

Kiedy chemikalia zamknęły szereg ścieżek w jego mózgu, oczy Angela zaczęły lekko błyszczeć. Przyszło mi na myśl, że James Rourke powinien dodać do swoich słów na L słowo na U: uczciwość. Freud obarczył kulturę Zachodu dziwacznym stwierdzeniem, że „najmniej brane pod rozwagę wypowiedzi są w magiczny sposób najprawdziwsze, refleksja nic nie dodaje, a ego albo cenzuruje, albo kłamie. Pomysł ten powstał głównie z wygody”. Freud odkrył tę część umysłu, którą najłatwiej obejść – za pomocą takich sztuczek jak wolne skojarzenia – po czym oświadczył, że twór złożony z tego, co pozostało, jest „uczciwy”. Ponieważ teraz moje słowa były chemicznie uświęcone i zostaną wzięte poważnie, od razu przeszedłem do sedna.

– Posłuchaj: powiedz Ginie, że nic mi nie będzie. Przykro mi, że ją zraniłem. Wiem, że zachowałem się egoistycznie. Spróbuję się zmienić. W dalszym ciągu mi na niej zależy, ale... wiem, że jest po wszystkim. – Chciałem dodać coś jeszcze, ale nie musiała wiedzieć więcej.

Angelo skinął znacząco głową, jakbym powiedział coś nowego i głębokiego.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego stale zrywasz z kobietami. Wydawało mi się, że po prostu nie masz szczęścia. Masz jednak rację: jesteś egoistycznym draniem. Jedyne, na czym ci zależy, to praca.

– Zgadza się.

– I co zamierzasz? Znaleźć sobie inną?

– Nie. Mieszkać samemu. Skrzywił się.

– To jeszcze gorsze. Czyni cię to podwójnie egoistycznym. Roześmiałem się.

– Naprawdę? Możesz wyjaśnić, dlaczego?

– Ponieważ nawet nie próbujesz!

– A jeżeli próbowanie jest na czyjś koszt? Jeżeli mam dość ranienia ludzi i postanowiłem więcej tego nie robić?

Ten prosty pomysł zdawał się zbijać go z tropu. Zaczął brać OH dość późno i może mąciły mu w głowie bardziej niż komuś, kto w wieku dorastania wykształcił tolerancję na preparat.

– Naprawdę zawsze wierzyłem, że mogę kogoś uszczęśliwić. No i siebie też. Po sześciu próbach zostało chyba jednak udowodnione, że to niemożliwe. Biorę więc do siebie przysięgę Hipokratesa: nie szkodzić. Co w tym złego?

– Nie bardzo mogę sobie wyobrazić ciebie żyjącego jak mnich.

– Zdecyduj się: najpierw jestem egoistą, teraz mnichem. Mam nadzieję, że nie kwestionujesz moich umiejętności masturbacyjnych.

– Nie, ale jest pewien problem z fantazjami seksualnymi: sprawiają, że chce się tego w naturze.

Wzruszyłem ramionami.

– Zawsze mogę zostać neuronowym aseksem.

– Bardzo śmieszne.

– Cóż, możliwość w każdym razie jest. – Zaczynało mi się powoli robić niedobrze od tego idiotycznego rytuału, gdybym jednak wyrzucił go za wcześnie, istniałoby ryzyko, że złoży Ginie za mało zadowolający raport o katharsis. Szczegóły nie były istotne, pozwoli mu zachować je dla siebie, musiał jednak móc powiedzieć, patrząc jej prosto w oczy i bez wahania, że obnażaliśmy dusze do rana.

– Zawsze twierdziłeś, że nigdy się nie ożenisz – powiedziałem. – Monogamia miała być czymś dla słabeuszy. Znacznie uczciwszy był przypadkowy seks, do tego znacznie lepszy dla obu stron...

Angelo roześmiał się, zgrzytnął jednak zębami.

– Kiedy to mówiłem, miałem dziewiętnaście lat. Ciekawe, co byś zrobił, gdybym skądś wydobył parę twoich wspaniałych filmów?

– Jeżeli masz kopie... wymień cenę.

Mogło się to wydawać niepojęte, ale spędziłem cztery lata życia – i wydałem tysiące dolarów zarobionych przeróżnymi dorywczymi pracami – na ekranizację kilkunastu śmiertelnie pretensjonalnych eksperymentalnych dramatów. Moja podwodna wersja *Czekając na Godota* w konwencji japońskiego tańca buto była prawdopodobnie najgorszym wytworem epoki cyfrowego wideo.

Angelo wpatrywał się w dywan, nagle zamyślony.

– Tak uważałem. Wtedy. Idea posiadania rodziny... – wzdrygnął się – ...brzmiała jak zakopanie się żywcem w grobie. Nie mogłem wyobrazić sobie nic gorszego.

– Więc dorosłeś. Gratulacje. Wbił we mnie wściekłe spojrzenie.

– Uważaj, co mówisz.

– Przepraszam. – Wyraźnie nie żartowałem, musiałem dotknąć czułego punktu.

– Nikt nie dorasta. To jedno z najpaskudniejszych kłamstw, jakie się nam wmawia. Ludzie się zmieniają. Godzą się na kompromisy. Znajdują się w sytuacjach, w których wcale nie chcieli się znaleźć... i robią z tego, co da się najlepszego. Nie próbuj mi jednak wmawiać, że istnieje coś w rodzaju... chwalebego, predestynowanego wznoszenia się ku emocjonalnej dojrzałości.

– Coś się stało? – spytałem z niepokojem. – Między tobą i Lisa?

Pokręcił przepaszająco głową.

– Nie. Wszystko gra. Życie jest wspaniałe. Wszystkie je kocham, ale... – odwrócił się, cały wyraźnie stężał – ...jedynie dlatego, że zwariowałbym, gdybym przestał. Jedynie dlatego, że muszę sprawiać, by wszystko działało.

– Ale przecież to robisz. Sprawiasz, że wszystko działa.

– Tak jest! – zawył, zły, że nie zauważam sedna. – Nie jest to już nawet trudne. Zrobił się z tego nawyk, choć... zdawało mi się, że będzie coś więcej. Sądziłem, że przestajemy cenić jedno, a zaczynamy coś innego, ponieważ dowiadujemy się czegoś nowego, co lepiej rozumiemy. Wcale tak nie jest! Cenię to, w czym tkwię. Na tym cała sprawa polega. Ludzie są cnotliwi z konieczności. Sankcjonują to, przed czym nie mogą uciec. Kocham Lisę i kocham dziewczynki tylko dlatego, że to najlepsza rzecz, jaką w obecnej chwili mogę zrobić ze swojego życia. Nie mogę zakwestionować niczego z tego, co mówiłem, jako dziewiętnastolatek, ponieważ nic poza tym nie wiem. Nie jestem mądrzejszy. O to właśnie mam pretensje: o wszystkie jebane pretensjonalne kłamstwa, którymi karmiono nas na temat rośnięcia i dojrzałości. Nikt nie przyznał otwarcie, że „miłość” i „poświęcenie” to jedynie to, co się robi, żeby pozostać zdrowym na umyśle, kiedy człowiek czuje się przyparty do muru.

– Naprawdę masz nasrane we łbie – stwierdziłem. – Mam nadzieję, że nie żresz OH na przyjęciach.

Przez chwilę był dotknięty, ale zaraz zrozumiał: obiecywałem, że będę trzymał gębę na kłódkę. Nie powiem nic za jego plecami, kiedy będzie trzeźwy.

Odprowadziłem go na stację tuż przed północą. Wiał ciepły wiaterek, świeciło dziesięć tysięcy gwiazd.

– Życzę ci szczęścia na Bezpaństwie.

– A ja tobie z raportem.

– E tam... powiem Ginie, że... – przerwał w pół zdania, jakby miał afazję.

– Myślisz o czymś.

– Aha.

Patrzyłem za pociągiem, aż zniknął, myśląc przy tym, że koniec końców mi pomogła. Na jakiś czas zapomniałem o „nas”. Gina przeżyje i ja przeżyję. Jutro będę na wyspie na południowym Pacyfiku... próbując przez dwa tygodnie blefować, by omamić Violet Mosalę.

Postawiony plecami pod kolejną ścianą.

Czego jeszcze mógłbym chcieć?

CZĘŚĆ DRUGA

Żywa, sztuczna wyspa, na której znajdowało się Bezpaństwo, była zakotwiczona do anonimowej podwodnej góry – szczytu wulkanu ze ściętym wierzchołkiem – znajdującej się pośrodku południowego Pacyfiku. Unosząc się na wodzie za trzydziestym drugim stopniem szerokości geograficznej, leżała poza wodami narodów polinezyjskich, na niekwestionowanych wodach międzynarodowych (pomijając śmieszne żądania dzikich mieszkańców Antarktyki). Mogło się wydawać, że to gdzieś na końcu świata, ale było stamtąd jedynie 4000 kilometrów do Sydney; bezpośredni lot trwałby niecałe dwie godziny.

Siedziałem w hali dla przesiadających się w Phnom Penh i próbowałem rozsupłać gruzły mięśni na karku. Klimatyzacja wyrzucała lodowate powietrze, ale nie przeszkadzało to wilgoci z taką samą intensywnością wnikać do wnętrza budynku. Zastanawiałem się, czy nie wyjść do miasta, którego nigdy nie widziałem, miałem jednak do odlotu tylko czterdzieści minut, a pewnie ze dwadzieścia zajęłoby samo uzyskanie wizy.

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego rząd australijski tak zażarcie popierał bojkot Bezpaństwa. Od dwudziestu trzech lat kolejni ministrowie spraw zagranicznych wygłaszali tyrady o jego „destabilizującym wpływie w regionie”, choć tak naprawdę miało ogromny wkład w rozluźnianie napięć, przyjmując więcej uciekinierów z Cieplarni niż jakikolwiek inny kraj świata. Fakt – twórcy Bezpaństwa złamali niezliczone prawa międzynarodowe i wykorzystywali bez pozwolenia tysiące opatentowanych sekwencji DNA, ale... naród stworzony na fundamentach inwazji i masowego morderstwa (za co dwieście pięćdziesiąt lat później skromnie

przepraszono w podpisanym traktacie) nie może chyba twierdzić, że stoi na wyższych moralnie podstawach.

Było jasne, że Bezpaństwo jest poddane ostracyzmowi wyłącznie z powodów politycznych, nikt u władzy nie wydawał się jednak zobowiązany do otwartego ich wyłożenia.

Siedziałem więc w sali tranzytowej, sztywny po czterogodzinnym locie plecami do przodu, i próbowałem czytać kawałki lekcji fizyki, przygotowanej przez Syzyfa, którą dotychczas jedynie pobieżnie przejrzałem. Tekst kolejnych akapitów wybijał się automatycznie na niebiesko – analiza ruchów gałek ocznych była drażniąco dokładna.

„Do T , przestrzeni wszystkich przestrzeni topologicznych z obliczalną podstawą, można zastosować przynajmniej dwie sprzeczne, zgeneralizowane miary. Zarówno miara Perriniego [Perrini, 2012], jak i miara Saupego [Saupe, 2016] są zdefiniowane dla wszystkich ograniczonych podzbiorów T i ekwiwalentne w przypadku ograniczenia do M – przestrzeni n -wymiarowej, paraspójnej różnorodności Hausdorffa – dają jednak sprzeczne wyniki dla zbiorów bardziej niezwykłych. Fizyczne znaczenie tej różnicy (jeżeli istnieje) pozostaje niejasne...”

Nie mogłem się skoncentrować. Podałem się, zamknąłem oczy i próbowałem drzemać; sjesta była jednak niemożliwa z powodów biochemicznych. Po jakimś czasie zapiszczał mój notepad i – przechwytyjąc informację na podczerwieni nadawaną kilka sekund przed wielojęzycznym komunikatem przez głośniki – poinformował, że mam połączenie do Dili. Skierowałem się do bramki kontrolnej i kiedy przez nią przechodziłem, przypomniała mi się studentka z Manchesteru, której skaner czytywał z mózgu poezję. Bez wątpienia za dwadzieścia lat maszyny będą w stanie ujawniać zamiary pozbawionych broni porywaczy tak samo dokładnie jak dziś posiadanie pistoletu albo noża. Mój paszport zawierał

informacje o podejrzanych anomaliach moich wnętrzności, aby uspokoić podejrzliwych agentów ochrony, że nie jestem chodzącą bombą. Być może w przyszłości ludzie, których nachodzą sny o napadach szału na wysokości dwudziestu tysięcy metrów, też będą musieli mieć certyfikaty niewinności.

Z Kambodży nie latały samoloty na Bezpaństwo. Chiny, Japonia i Korea popierały bojkot, więc Kambodża dostosowała się do polityki swoich głównych partnerów handlowych. Tak samo zrobiła Australia, tyle że entuzjastyczne karanie przez nią „anarchistów” wykraczało daleko poza wymogi *Realpolitik*. Z Phnom Penh latały jednak samoloty do Dili, skąd mogłem dotrzeć na miejsce przeznaczenia.

Nie było tajemnicą, dlaczego nie wchodziło w rachubę połączenie Sydney–Dili. Po tym jak Indonezja zaanektowała w 1976 roku Timor Wschodni, dzieliła się zyskami – z pól naftowych na przesmyku Timor – ze swoim cichym wspólnikiem, Australią. W 2036 roku – gdy wytrzebiono pół miliona mieszkańców Timoru Wschodniego, a źródła ropy naftowej utraciły znaczenie (po tym jak bioinżynierijnie wyhodowane algi zaczęły wytwarzać cząsteczki węglowodorowe o dowolnym kształcie i wielkości ze światła słonecznego za jedną dziesiątą ceny mleka) – rząd indonezyjski, bardziej pod naciskiem własnych obywateli niż któregośkolwiek ze swoich sojuszników, wreszcie, niechętnie, ale zgodził się na autonomię prowincji Timor Timur. Formalną niepodległość ogłoszono w 2040 roku. Piętnaście lat później pozwy przeciwko złodziejom ropy nie zostały jednak jeszcze rozpatrzone.

Wszedłem na pokład rękawem i zająłem miejsce. Kilka minut później usiadła obok mnie kobieta w jasnoczerwonym sarongu i białej bluzce. Wymieniliśmy ukłony i uśmiechy.

– Nie uwierzy pan, jakie przechodzę korowody – powiedziała. – Raz od wielkiego dzwonu moi ludzie decydują się na konferencję poza sieciami i

muszą wybrać na nią najtrudniejsze do osiągnięcia miejsce na świecie.

– Ma pani na myśli Bezpaństwo?

Popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– Pan też? Kiwnąłem głową.

– Biedaku... skąd pan jest?

– Z Sydney.

Miała wyraźnie bombajski akcent, odrzekła jednak: – Ja z Kuala Lumpur. Pan miał gorzej. Nazywam się Indrani Lee.

– Andrew Worth. Podaliśmy sobie ręce.

– Oczywiście nie wygłaszam prelekcji, a materiały konferencyjne będą dzień po jej zakończeniu w sieciach, ale... jeżeli człowiek się nie zjawi osobiście, straci wszystkie plotki, prawda?

– Uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Ludzie coraz chętniej mówią poza sieciami, wiedząc, że nie będzie się ich nagrywać i nie pozostawią śladu audytowego. Kiedy dochodzi do spotkania twarzą w twarz, są gotowi w pięć minut opowiedzieć wszystkie swoje sekrety. Nie uważa pan?

– Mam nadzieję. Jestem dziennikarzem, będę relacjonował konferencję dla SeeNetu. – Było to ryzykowne wyznanie, lecz nie zamierzałem udawać fachowca od TW.

Lee nie okazała pogardy. Samolot wkrótce zaczął niemal pionowy wzlot. Siedziałem w tanim rzędzie foteli wzdłuż przejścia, mój ekran pokazywał przesuwane się pod nami Phnom Penh – zachwycający konglomerat stylów, od pokrytych winoroślą kamiennych świątyń (prawdziwych i kopii), przez wyblakłe francuskie budowle kolonialne (tak samo), po błyszczącą czarną ceramikę. Ekran Lee zaczął prezentować czynności na wypadek awarii – liczba lotów, jakie odbyłem ostatnimi czasy maszynami tego typu, kwalifikowała mnie do zwolnienia z obowiązku oglądania.

Kiedy skończył się pokaz audiowizualny, podjąłem rozmowę.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli spytam, czym się pani zajmuje? To oczywiste, że TW, ale którym podejściem...

– Nie jestem fizykiem. Działam na własny rachunek.

– Jest pani dziennikarką?

– Socjologiem. Jeżeli chce pan znać pełną odpowiedź: badam dynamikę współczesnych idei. Jeśli na tej konferencji ma się skończyć fizyka, chciałabym być tego świadkiem.

– Chce pani być na miejscu, aby przypomnieć naukowcom, że są jedynie „księżmi i bazarzami”? – Miał to być dowcip, jej komentarz też był żartem i spróbowałem dobrać ten sam ton, jednak moje słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

Popatrzyła na mnie z wyrzutem.

– Nie jestem członkiem żadnego Kultu Ignorancji i obawiam się, że jeżeli sądzi pan, iż socjologia jest czymś w rodzaju wylęgarni Skromnej Nauki! albo Renesansu Mistycznego, to jest pan przynajmniej dwadzieścia lat nie w kursie. Na uniwersytetach jest ona obecnie częścią wydziałów historii. – Jej mina złagodniała, zaczęła wyrażać zmęczoną rezygnację. – Mimo wszystko w dalszym ciągu jesteśmy ostro krytykowani. To nie do wiary: badacze medyczni nieustannie wytykają mi kilka źle przeprowadzonych badań z lat osiemdziesiątych XX wieku, jakbym osobiście była za nie odpowiedzialna.

Przeprosiłem, ale machnęła ręką. Zrobotyzowany wózek zaoferował nam napoje i coś do zjedzenia. Odmówiłem. Było to absurdalne, ale pierwszy etap zygzakowatego lotu do Bezpaństwa sprawił, że czułem się gorzej niż po jakimkolwiek locie w poprzek Pacyfiku.

Bujną wietnamską dżunglę zastąpiła spieniona szara woda, wymieniliśmy kilka grzecznościowych uwag o widoku i kilka dalszych wyrazów współczucia związanych z trudami dotarcia na konferencję.

Intrygował mnie zawód Lee, więc mimo gafy, jaką popełniłem, wkrótce zebrałem się na odwagę i wróciłem do przerwane go tematu.

– Co pociąga panią w badaniu fizyków? Rozumie pani... gdyby to była nauka sama w sobie, zostałyby pani fizykiem. Nie trzymałaby się pani z tyłu, tylko ich obserwując, prawda?

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Czy właśnie to zamierza pan zrobić przez najbliższe dwa tygodnie?

– Tak, ale moja praca dość mocno różni się od pani. Tak naprawdę jestem tylko technikiem z wozu transmisyjnego.

Popatrzyła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Tym zajmę się później”.

– Fizycy obecni na tej konferencji ulepszą w jej trakcie TW, tak? – kontynuowała. – Wyrzucą na śmietnik złe wątki i poprawią dobre. Interesuje ich jedynie produkt końcowy: teoria pasująca do posiadanych danych. Zgadza się?

– Mniej lub bardziej.

– Oczywiście zdają sobie sprawę z procesu, jaki prowadzi do osiągnięcia tego celu: przedstawiają idee i zachowują je dla siebie, dokonują aktów współpracy i rywalizacji. Wiedzą wszystko o polityce, klikach, sojuszach. – Uśmiechnęła się, by zademonstrować swą niewinność. – Nie używam żadnego z tych określeń w pejoratywnym sensie. Fizyka nie jest „obalona” – jak cały czas twierdzą grupy w rodzaju Kultura Najpierw – tylko dlatego, że występują wśród uprawiających ją ludzi najnormalniejsze w świecie zjawiska, jak nepotyzm, zazdrość czy okazjonalnie akty skrajnej przemocy. Trudno oczekiwać, by fizycy marnowali czas na spisanie tego wszystkiego dla potomności. Ich zadaniem jest czyszczenie i polerowanie złotych bryłek teorii, a następnie opowiadanie krótkich, eleganckich kłamstw o tym, jak je odkryli. Kto by robił inaczej? Tak naprawdę to nieistotne – większość zdobyczy nauki da się oceniać bez jakiegokolwiek wiedzy o ich

szczegółowym, ludzkim pochodzeniu. Moim zadaniem jest poznanie jak najlepiej historii tego, co się działo. Nie po to, aby „detronizować” fizykę, ale dla dobra historii jako osobnej dziedziny nauki. Niech pan mi uwierzy – dodała z udawaną naganą – nie chorujemy już na zazdrość o równania. Lada dzień sami będziemy mieli lepsze. Fizycy albo łączą swoje, albo je wyrzucają; my ciągle wymyślamy nowe.

– Jak by się pani jednak czuła, gdyby stale zaglądali pani przez ramię metasocjologowie i zapisywali pani codzienne nędzne kompromisy? Nie pozwalali, by uszły pani na sucho eleganckie kłamstwa?

– Oczywiście, że bym ich znienawidziła – przytaknęła bez wahania Lee.
– Próbowalabym także wszystko ukryć, ale przecież na tym polega gra, prawda? Fizycy mają łatwe życie, jeżeli nie ze mną, to ze swoim tematem. Wszechświat niczego nie ukryje; niech pan zapomni o antropomorfizującym wiktoriańskim nonsensem o „wyrwaniu naturze jej tajemnic”. Wszechświat nie umie kłamać: robi to, co robi, i koniec. Ludzie są całkiem inni. Niczemu nie poświęcamy tyle energii, czasu i sprytu co ukrywaniu prawdy.

Z powietrza Timor Wschodni wyglądał jak gęsta układanka biegnących wzdłuż brzegu pól, oddalone wyżyny były pokryte pierwotną dżunglą i sawanną. Na zboczach gór widać było kilkanaście małych ogników, poczerńiałe nacięcia pod smugami dymu wydawały się jednak maleńkie w stosunku do blizn pozostałych po starych kopalniach odkrywkowych. Zatoczyliśmy nad wyspą podobne do helisy półkole o promieniu stu osiemdziesięciu stopni, mijając setki maleńkich wiosek, które pojawiały się i znikwały.

Na polach nie było widać pigmentacji używanej do oznaczania produktów określonych firm (ani nawet logo biotechnu czwartej generacji); na oko rolnicy opierali się pokusie zostania renegatami i uprawiali

wyłącznie stare, nie patentowane rośliny. Rolnictwo na eksport praktycznie zamarło na świecie; nawet tak gęsto zamieszkane kraje jak Japonia były w stanie same wyżywić swą ludność. Jedynie najbiedniejsze kraje, których nie było stać na opłacenie licencji za najnowsze produkty, jeszcze walczyły o samowystarczalność. Timor Wschodni importował żywność z Indonezji.

Kiedy koła samolotu dotknęły ziemi w maleńkiej stolicy, było tuż po południu. Między samolotem a budynkiem nie było rękawa – szliśmy po rozpalonym asfalcie. Plaster z melatoniną na moim barku, przeprogramowany przez moje farmako, bezlitośnie ściągał mnie w czas Bezpaństwa, późniejszy o dwie godziny od czasu Sydney, niestety Dili leżało dwie godziny w przeciwnym kierunku. Po raz pierwszy w życiu odczuwałem sensacje typowe dla długodystansowych przelotów samolotowych, widok jaskrawego południowego słońca raził mnie fizycznie – i dotarło do mnie gwałtownie, jak upiornie skuteczny jest plaster, jeżeli można wysiąść we Frankfurcie albo Los Angeles bez najmniejszego poczucia, że coś jest nie tak. Ciekaw byłem, jak bym się czuł, gdybym niewolniczo synchronizował zegar podwzgórzowy z lokalnymi strefami czasowymi – wzdłuż całej absurdalnej pętli lotu. Lepiej, gorzej czy... jedynie przerażająco normalnie, obnażając percepcję czasu jako proste zjawisko biochemiczne?

Parterowy budynek terminalu był zatłoczony: więcej ludzi kogoś żegnało i witało niż w Bombaju, Szanghaju czy Meksyku, było tu także więcej umundurowanego personelu niż widziałem na jakimkolwiek innym lotnisku świata. Stałem w kolejce za Indrani Lee, by zapłacić dwieście dolarów podatku tranzytowego za możliwość skorzystania z właściwie jedynej szansy dotarcia na Bezpaństwo. Było to czyste wymuszenie, choć trudno było się z nim nie zgodzić. W jaki inny sposób kraj tej wielkości

mógłby zdobyć dewizy konieczne do zakupu jedzenia? Wcisnąłem kilka klawiszy notepada i Syzyf dał mi odpowiedź: byłoby im bardzo trudno.

Timor Wschodni nie posiadał zasobów nielicznych rzadkich minerałów, które ciągle jeszcze należało wydobywać, aby uzupełnić zapotrzebowanie światowe mimo stosowanego powszechnie recyklingu, i już dawno został pozbawiony wszystkiego, co mogłoby się przydać miejscowemu przemysłowi. Prawo międzynarodowe zakazywało handlu naturalnym drewnem sandałowym, a gatunki poprawione za pomocą bioinżynierii dawały lepszy i tańszy produkt. W krótkim okresie, kiedy wydawało się, że ruch niezależny został stłumiony, kilka wielonarodowych firm elektronicznych zbudowało w Dili montażownię, zamknięto je jednak wszystkie w latach dwudziestych, kiedy automatyczna produkcja stała się tańsza od najtańszego pocącego się robotnika. Pozostawały turystyka i kultura – lecz ile hoteli można tu było zapełnić? (Dwa niewielkie, razem 300 łóżek). Ilu tutejszych ludzi mogło się utrzymać z pracy w światowych sieciach jako pisarze, muzycy i innego rodzaju artyści? (407).

Teoretycznie Bezpaństwo borykało się zasadniczo z tymi samymi problemami i jeszcze innymi. Od początku było jednak renegatem; całą wyspę zbudowano przy wykorzystaniu nielicencjonowanego biotechnu. Mimo to nikt nie chodził tu głodny.

Musiał to być wynik otumanienia lotem, gdyż dopiero po dłuższym czasie dotarło do mnie, że większość obecnych na lotnisku ludzi nie przyszła witać przyjaciół. To, co wziąłem za bagaż i prezenty, było towarem, a obecni tu ludzie byli sprzedawcami i klientami: turystami, podróżnymi i miejscowymi mieszkańcami. W rogu hali znajdowało się kilka małych lokali wyglądających na oficjalne sklepiki, cały budynek był jednak jednym wielkim jarmarkiem.

Ciągle jeszcze stojąc w kolejce, wywołałem Świadka – określona sekwencja ruchów gałek ocznych włączała program, który nosiłem w brzuchu. Generował on obraz panelu sterującego i wpisywał go do mojego nerwu wzrokowego. Popatrzyłem na rubrykę *LOKALIZACJA*, w której nadal uczynnie migąło: *SYDNEY*. Poruszyłem palcami, jakbym pisał na klawiaturze, i wpisałem: *DILI*. Potem popatrzyłem w bok, na napis *ROZPOCZĘCIE NAGRYWANIA*, podświetliłem hasło i otworzyłem oczy.

Świadek potwierdził: *Dili, niedziela, 4 kwietnia 2055.4:34:17 GMT*. Bip.

Podatek tranzytowy zbierał Urząd Celny – i prawdopodobnie zepsuł im się komputer. Zamiast załatwienia wszystkiego przez krótką wymianę sygnałów podczerwonych z naszymi notepadami, każdy musiał pokazać fizyczny dokument identyfikacyjny, podpisać jakieś papiery i odebrać kartonik z oficjalnym stemplem. Niemal spodziewałem się napaści, gdyby urzędnicy mieli ku temu okazję, jednak celniczka – cicho mówiąca kobieta z gęstymi, papuaskimi lokami pod czapką – obdarzyła mnie tym samym cierpliwym uśmiechem co wszystkich pozostałych i tak samo gładko mnie obsłużyła.

Zacząłem spacerować po hali; nie szukałem niczego, jedynie filmowałem. Krzyczano i targowano się po portugalsku, w bahasa i po angielsku, także – zdaniem Syzyfa – w językach tetum i vaiqueno, lokalnych, powoli odradzających się dialektach. Klimatyzacja prawdopodobnie działała, ciepło ciał tłumu unicestwiało jednak efekt jej działania i po pięciu minutach spływałem potem.

Handlarze sprzedawali dywany, T-shirty, ananasy, obrazy olejne, figurki świętych. Kiedy minąłem stoisko, na którym sprzedawano suszoną rybę, musiałem się mocno skupić, by żołądek nie podszedł mi do gardła. Nie chodziło o zapach; nieważne, jak często je oglądałem, martwe zwierzęta wystawione na sprzedaż w celach spożywczych poruszały mną bardziej niż

widok trupa człowieka. Bioinżynierijnie wytworzone rośliny doganiały – jeżeli nie przeganiały – mięso pod względem wartości odżywczych. W Australii co prawda do dziś istniał rynek mięsny, był jednak bardzo skromny i poddany mocnej kosmetyce.

Dostrzegłem stelaż, na którym wisiały chyba kurtki Masariniego, za jedną dziesiątą ceny z Nowego Jorku albo Sydney. Pomachałem w ich kierunku notepadem – znalazł mój rozmiar, sprawdził etykietę w kołnierzyku i akceptująco pisnął, miałem jednak w dalszym ciągu wątpliwości. Podeszedłem do chudego chłopaka przy stelażu.

– To prawdziwe procesory identyfikujące? – spytałem; uśmiechnął się niewinnie i nic nie odpowiedział. Kupiłem kurtkę, wyrwałem procesor i oddałem mu go. – Chyba tobie bardziej się przyda.

Przy stoisku z programami komputerowymi natknąłem się na Indrani Lee.

– Chyba zobaczyłam jeszcze kogoś, kto leci na konferencję – stwierdziła.

– Gdzie? – Poczułem mieszaninę podniecenia i przerażenia; gdyby to była Violet Mosala, nie byłem jeszcze przygotowany na spotkanie z nią.

Podążyłem za spojrzeniem Indrani, która patrzyła na starszą białą kobietę, ostro się targującą ze sprzedawcą chust. Jej twarz była mi znajoma, lecz nie umiałem jej skojarzyć z nazwiskiem.

– Kto to?

– Janet Walsh.

– Żartuje pani.

Była to jednak faktycznie Janet Walsh.

Walsh była angielską pisarką, laureatką Nagrody Nobla i jedną z najwybitniejszych przedstawicielek Skromnej Nauki! Stała się sławna w latach dwudziestych dzięki powieści *Skrzydła pożądania* („Wyśmienita,

figlarna, cięta fabuła” – „The Sunday Times”), rozgrywającej się wśród „Obcych”, którzy przypadkiem wyglądają dokładnie jak ludzie... tyle że męskie osobniki rodzą się z wyrastającymi im z członków wielkimi, podobnymi do motyli skrzydłami, które są krwawo odrywane, gdy tracą cnotę. Osobniki żeńskie (pozbawione błon dziewiczych) są bezduszne i brutalne. Po zgwałceniu i wykorzystaniu przez niemal każdą pojawiającą się na kartach powieści postać główny bohater odkrywa sposób, jak sprawić, by odrosły mu stracone skrzydła – na plecach – i odlatuje ku zachodzącemu słońcu. („Radośnie podkopuje wszystkie stereotypy płciowe” – „Playboy”).

Od tamtego czasu Walsh wyspecjalizowała się w opowiastkach moralnych dotyczących wynaturzeń „męskiej nauki” (sic!), czyli bliżej nie określonej, ale zawsze katastrofalnej działalności, którą co prawda mogły wykonywać także kobiety (jeżeli zostały wystarczająco sprowadzone na manowce), najwyraźniej nie było to jednak powodem do zmiany etykiety. Jej najzwzięjszy komentarz na ten temat zacytowałem w *Analizie płci do przesady*: „Jeżeli coś jest aroganckie, zadufane w sobie, dominujące, redukcjonistyczne, wykorzystujące, duchowo zubożające i dehumanizujące – jak można by to nazwać inaczej niż »męskie«?”.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego ona tu jest?

– Nie słyszał pan? Prawdopodobnie był pan akurat w podróży, bo pokazywali to w sieciach tuż przed moim wylotem. Jeden z magnatów prasowych zatrudnił ją jako specjalną korespondentkę z Konferencji Einsteinowskiej. Chyba Planet News.

– Janet Walsh będzie nadawać korespondencje o postępach tworzenia Teorii Wszystkiego? – Było to surrealistyczne, nawet gdyby miała to robić dla Planet News. Wysyłanie członków angielskiej rodziny królewskiej jako korespondentów donoszących o wydarzeniach w strefach opanowanych

kłeską głodu oraz gwiazd oper mydlanych jako korespondentów z konferencji naukowych na szczycie było czymś całkiem odmiennym.

– „Nadawanie korespondencji” nie jest chyba odpowiednim określeniem – sucho powiedziała Indrani.

Wahałem się przez chwilę.

– Mogę panią o coś spytać? Przed wyjazdem nie miałem okazji zapoznać się z reakcjami kultów na konferencję... – Syzyf mógł zrobić zestaw wszystkich artykułów, kazałem mu się jednak ograniczyć do samego sedna. – Słyszała pani może, czy wykazują... duże zainteresowanie?

Lee popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Od tygodnia czarterują bezpośrednie loty z każdego zakątka świata. To, że Walsh pojawia się okrężną drogą, do tego w ostatniej chwili, wynika jedynie z chęci zachowania przez jej pracodawcę pozorów, że nie działa po partyzancku. Janet Walsh! – dodała z radością. – Już samo to czyni wyprawę opłacalną!

Poczułem smrodek zdrady.

– Powiedziała pani, że nie jest...

– Nie dlatego, że jestem ich zwolennikiem! – zawyła. – Janet Walsh to moje hobby. Za dnia badam racjonalistów, nocą ich przeciwstawny biegun.

– Jakie to... manichejskie.

Walsh kupiła chustę i zaczęła się oddalać od straganu. Choć nie szła w naszym kierunku, odwróciłem się, by mnie nie rozpoznała. Spotkaliśmy się raz, na konferencji bioetycznej w Zambii, i nie było to miłe. Drętwo się roześmiałem.

– Czyli będą to pani wymarzone pracowite wakacje? Lee nie bardzo zrozumiała.

– Pańskie chyba też. Na pewno liczył pan na to, że uda się sfilmować coś więcej niż parę sennych wykładów. Teraz ma pan starcie Violet Mosali z

Janet Walsh. Fizyka kontra Kultury Ignorancji. Może nawet dojdzie do zamieszek ulicznych – anarchia dotarła wreszcie na Bezpaństwo. Czego więcej mógłby pan chcieć?

Ponieważ zarejestrowany w Portugalii samolot miał zakaz wstępu do przestrzeni powietrznej Australii, Indonezji i Papui–Nowej Gwinei, poleciliśmy na południowy zachód nad Oceanem Indyjskim. Choć niebo było czyste, woda w dole wyglądała, jakby mierzwił ją silny wiatr, groźnie i granatowoszaro. Skończyliśmy oblatywać kontynent australijski i następny ład mieliśmy zobaczyć dopiero tuż nad celem.

Siedziałem obok dwóch Polinezyjczyków w średnim wieku ubranych w oficjalne biznesowe garnitury, rozmawiających głośno i bez chwili przerwy po francusku. Na szczęście ich dialekt był mi tak nieznan, że niemal udało mi się wyłączyć. W pokładowych słuchawkach nie było nic wartego słuchania, a wyłączone były dość kiepskim substytutem zatyczek do uszu.

Szyf mógł podłączyć się do sieci na podczerwieni poprzez satelitarne łącze samolotu i przez chwilę się zastanawiałem, czy nie ściągnąć materiału o obecności kultów w Bezpaństwie, stwierdziłem jednak, że wkrótce będę na miejscu, a antycypacja jest masochizmem. Zmusiłem się do skierowania uwagi na Modele Wszechtopologii.

Koncepcję MWT można było określić w jednym zdaniu: na najgłębszym poziomie wszechświat zawiera mieszankę każdej matematycznie możliwej topologii.

Nawet w najstarszych teoriach kwantowych grawitacji „próżnia” pustej czasoprzestrzeni była uważana za kipiącą masę wirtualnych dziur i innych, bardziej niezwykłych zakłóceń topologicznych, pojawiających się i znikających. Gładkie pojawianie się na odcinkach makroskopowych i w ludzkich skalach czasowych było jedynie widoczną średnią ukrytego wrzenia kompleksowości. W pewnym znaczeniu było to podobne do

zwykłej materii: płyta elastycznego plastiku nie ujawnia nie uzbrojonemu oku nic ze swojej mikrostruktury – cząstek, atomów, elektronów czy kwarków – wiedza o istnieniu tych składowych pozwala jednak na komputerowe przetworzenie właściwości fizycznych substancji, na przykład określenie parametrów jej elastyczności. Czasoprzestrzeń nie składała się z atomów, ale można było zrozumieć jej właściwości, traktując ją, jakby była „zbudowana” z hierarchii jeszcze bardziej zagmatwanych odchyień od rzekomego stanu trwałości i łagodnego zakrzywienia. Teoria grawitacji kwantowej wyjaśniała, dlaczego obserwowalna czasoprzestrzeń, podtrzymywana przez niezliczoną ilość węzłów i obejść, zachowuje się tak jak w obecności masy (albo energii): zakrzywia się dokładnie w taki sposób, jaki jest potrzebny do wytworzenia siły grawitacyjnej.

Teoretycy MWT dążyli do generalizacji tych wyników: opisanie za ich pomocą (stosunkowo) płynnej, dziesięciowymiarowej „totalnej przestrzeni” Standardowej Zunifikowanej Teorii Pola – której właściwości wyjaśniają wszystkie cztery siły: silne, słabe, grawitacyjne i elektromagnetyczne – jako sieciowy efekt nieskończonej liczby złożonych struktur geometrycznych.

Jeżeli totalną przestrzeń badało się niewystarczająco dokładnie, wydawała się jedynie dziewięcioma wymiarami przestrzennymi (sześć z nich było ciasno zwiniętych) i jednym czasowym. Kiedy dwie cząstki subatomowe wchodziły w interakcję, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że totalna przestrzeń, którą zajmują, zachowa się jednak jak część dwunastowymiarowej hipersfery, trzynastowymiarowego obwarzanka albo czternastowymiarowej ósemki – albo czegoś jeszcze innego. Tak jak pojedynczy foton może równocześnie poruszać się dwoma odmiennymi drogami, mogło dochodzić do jednoczesnego wystąpienia dowolnej liczby powyższych możliwości, które „interferowały ze sobą” w celu osiągnięcia efektu końcowego. Dziewięć przestrzeni i jeden czas było jedynie średnią.

Teoretycy MWT spierali się ciągle na dwa tematy.

Co dokładnie oznacza pojęcie „wszystkie topologie”? Jak nietypowe mogą być możliwości składające się na przeciętną totalną przestrzeń? Czy muszą być – generalnie mówiąc – takie, które da się wymodelować za pomocą poskręcanego, splątanego arkusza wielowymiarowego plastiku, czy też mogą zawierać stany podobne do (prawdopodobnie nieskończonej) garści rozrzuconych ziaren albo piasku – w przypadku czego określenia takie, jak „liczba wymiarów” czy „zakrzywienie czasoprzestrzeni” przestaje istnieć?

Jak ma być przetwarzany komputerowo przeciętny efekt tych różnych struktur? Jak w chwili, gdy nadejdzie czas przetestowania teorii, zapisać i stworzyć sumę nieskończonej liczby możliwości: gdy trzeba będzie dokonać predykcji oraz obliczyć kilka namacalnych, fizycznych danych ilościowych, które można by zmierzyć eksperymentalnie?

Z jednej strony oczywista odpowiedź na oba pytania brzmiała: „wykorzystać to, co przynosi prawidłowe odpowiedzi”, trudno było je jednak znaleźć, zwłaszcza że wiele okazywało się dość podstępnych. Nieskończone sumy mają złą sławę, gdyż (przynajmniej na razie) są zbyt sztywne albo zbyt giętkie. Oto przykład – ma niewiele wspólnego z równaniami tensorowymi MWT, ale dobrze ilustruje myśl:

Jeżeli:

$$S = 1 - 1 + 1 - 1 + 1 - 1 + 1 - \dots$$

To

$$S = (1 - 1) + (1 - 1) + (1 - 1) + \dots = 0 + 0 + 0 \dots$$

Ale

$$S = 1 + (-1 + 1) + (-1 + 1) + (-1 + 1) \dots = 1 + 0 + 0 + 0 \dots = 1$$

Jest to matematycznie naiwny „paradoks”; prawidłowa odpowiedź brzmi oczywiście, że ta częściowo nieskończona sekwencja nie tworzy żadnej określonej sumy. Matematycy zawsze z radością przyjmowali taki werdykt i znają zasady uniknięcia wszelkich pułapek, a programy komputerowe mogą przeliczać jeszcze bardziej skomplikowane przypadki, jeśli jednak podobnie dwuznaczne równania zaczynały wynikać z wypracowanej z trudem teorii fizycznej i pojawiał się wybór, czy zastosować odpowiedni rygor matematyczny (i otrzymać teorię bez jakiegokolwiek mocy predykcyjnej), czy lekko odstąpić od zasad w imię pragmatyki uzyskując dzięki temu teorię tworzącą przepiękne wyniki, zgodne z każdym eksperymentem – cóż... nic dziwnego, że ten i ów czuł pokusę. W końcu większość tego, co robił Newton, by obliczyć orbity planet, doprowadzało współczesnych mu matematyków na skraj apopleksji...

Podejście Violet Mosali było kontrowersyjne z odmiennego powodu. Nagrodzono ją Noblem za przeprowadzenie rygorystycznych dowodów szeregu twierdzeń ogólnej topologii – twierdzeń, które szybko zaczęły stanowić standardowe matematyczne narzędzie fizyków MWT, redukując przeszkody i wyjaśniając dwuznaczności. Zrobiła więcej niż ktokolwiek dla zapewnienia tej dziedzinie solidnych fundamentów oraz wyposażenia jej w środki pozwalające na dokonywanie ostrożnych, wyważonych postępów. Nawet najzagorzalsi krytycy zgadzali się co do tego, że jej matematyka jest skrupulatna i poza krytyką. Problem polegał na tym, że powiedziała swoim równaniom zbyt wiele o świecie.

Ostatecznym testem TW było odpowiedzenie na pytanie typu: „Jakie jest prawdopodobieństwo, że neutrino o masie dziesięciu gigaelektronowoltów, wystrzelone w kierunku stacjonarnego protonu, odchyli dolny kwark i pojawi się pod określonym kątem?” albo po prostu: „Jaka jest masa elektronu?”. Mosala generalnie zaopatrywała takie pytania w komentarz:

„Zakładając, że wiemy, iż czasoprzestrzeń jest mniej więcej czterowymiarowa, a totalna przestrzeń mniej więcej dziesięciowymiarowa, zaś urządzenie, za pomocą którego przeprowadzono eksperyment, składa się z...”.

Jej zwolennicy twierdzili, że po prostu umieszcza wszystko w kontekście. Żaden eksperyment nie został przeprowadzony w izolacji; mechanika kwantowa uczyniła z tego standard obowiązujący przez ostatnie sto dwadzieścia lat. Zażądanie od Teorii Wszystkiego, by przewidywała prawdopodobieństwo wystąpienia jakiegoś mikroskopijnego wydarzenia – bez dodania zastrzeżenia, że „istnieje wszechświat, który między innymi zawiera urządzenia umożliwiające stwierdzenie istnienia omawianego wydarzenia” – było tak samo nonsensowne jak zapytanie: „Jakie jest prawdopodobieństwo, że wyjęta z worka kulka będzie zielona?”.

Jej krytycy twierdzili, że stosuje zamknięte wnioskowanie, od samego początku zakładając wyniki, które próbuje udowodnić. Szczegóły, które włączała do procesu obliczeniowego, zawierały tyle informacji o fizyce aparatu eksperymentalnego, że – pośrednio, ale w nieunikniony sposób – ujawniały całą grę.

Byłem niewystarczająco kompetentny, aby stawać po którejś stronie, odnosiłem jednak wrażenie, że przeciwnicy Mosali są hipokrytami, stosowali bowiem tę samą sztuczkę pod innym płaszczykiem: wszystkie wysuwane przez nich odmienne twierdzenia powoływały się na determinację kosmologiczną. Oznajmiali, że „przed” Wielkim Wybuchem i stworzeniem czasu (albo – dla uniknięcia oksymoronu: równoległe z tym wydarzeniem) nie istniało nic poza doskonale symetryczną „praprzestrzenią”, w której wszystkie topologie miały tę samą wagę, a „przeciętna wielkość” większości znanych parametrów fizycznych była nieskończona. Praprzestrzeń określano czasami mianem „nieskończenie

gorącej”; można było myśleć o niej jak o czymś w rodzaju doskonale zrównoważonego chaosu, jakim stałaby się czasoprzestrzeń, gdyby wprowadzono do niej tyle energii, że dosłownie wszystko stałoby się tak samo prawdopodobne. Każde wydarzenie oraz ich przeciwieństwa – w wyniku tego nie działo się nic.

Jakaś lokalna fluktuacja zaburzyła jednak równowagę w taki sposób, że doszło do Wielkiego Wybuchu. W wyniku drobnego przypadku powstał nasz wszechświat. Kiedy to nastąpiło, początkowo „nieskończenie gorąca”, nieskończenie zrównoważona mieszanina topologii została zmuszona do stania się bardziej stronniczą, gdyż „temperatura” i „energia” zyskały znaczenie, a w rozszerzającym się, stygnącym wszechświecie większość starych, „gorących” symetrii straciła stabilność jak wlany do jeziora płynny metal. Kiedy stygły, kształty, w jakie zamarły, przypadkiem faworyzowały topologie zbliżone do dziesięciowymiarowej totalnej przestrzeni, tej, która spowodowała powstanie takich cząstek, jak kwarki i elektrony, oraz takich sił, jak grawitacja i elektromagnetyzm.

Jeżeli oprzeć się na tej logice, jedynym prawidłowym sposobem zsumowania wszystkich topologii było wzięcie pod uwagę faktu, że nasz wszechświat – przypadkowo – pojawił się w określony sposób z praprzestrzeni. Szczegóły złamanej symetrii należało wprowadzić do równań „ręcznie”, ponieważ nie istniał powód, dla którego nie mogłyby być całkowicie inne. Jeżeli wynikająca z tego przypadku fizyka wyglądała na nieprawdopodobnie sprzyjającą tworzeniu się gwiazd, planet i życia... to wszechświat ten był tylko jednym z olbrzymiej liczby podobnych, które wykształciły się z praprzestrzeni – każdy z odmiennym zestawem cząstek i sił. Jeżeli wypróbowano wszystkie możliwe zestawy, nic zaskakującego, że przynajmniej jeden okazał się sprzyjać życiu.

Była to stara zasada antropiczna, bzdet, który uratował tysiące kosmologii. Nie miałem przeciwko niej uzasadnionego argumentu, nawet jeżeli przeznaczeniem wszystkich innych wszechświatów było pozostać tworem hipotetycznym.

Metody argumentacyjne Violet Mosali nie wydawały się ani mniej, ani bardziej zamknięte. Aby wziąć pod uwagę wszechświat stworzony przez „nasz” Wielki Wybuch, jej oponenti musieli „doprecyzować” kilka parametrów w swoich równaniach. Mosala i jej zwolennicy tak dokładnie opisywali realne eksperymenty, dokonywane w realnym świecie, że „pokazywali równaniom” dokładnie to samo.

Wydawało mi się, że obie grupy fizyków przyznawały – aczkolwiek niechętnie – iż nie umieją dokładnie wyjaśnić budowy wszechświata... bez wspomnienia faktu, że się w nim znajdują i poszukują wyjaśnienia.

Lecieliśmy w ciemność; w kabinie panowała cisza. Gasły ekrany zasypiających po kolei pasażerów, każdy, niezależnie od tego, gdzie zaczął podróż, miał za sobą kawał drogi. Obserwowałem na swoim, jak ciemniej znajdujące się za nami formacje chmur – słońce zachodziło szybko, gwałtownie, metalicznie i sino – po czym przełączyłem się na mapę trasy przed nami: prowadziła na północny wschód, za Nową Zelandię. Pomyślałem o próbnikach kosmicznych krążących na orbitach wokół Jowisza, by dotrzeć do Wenus. Analogicznie dało się uznać, że robimy dodatkową drogę, aby się rozpędzić; jakby Bezpaństwo poruszało się za szybko, byśmy zdołali dotrzeć tam innym kursem.

Godzinę później pojawiła się wreszcie przed nami wyspa. Wyglądała jak błada, wyrzucona na brzeg rozgwiezda. Z centralnego płaskowyżu spływało łagodnie w dół sześć ramion – szare skały, przechodzące w rafy koralowe, zakończone cienkimi, koronkowymi formacjami, ledwie przebijającymi powierzchnię wody. Skomplikowane granice raf otaczała słaba błękitna

bioluminescencja, po której następowały kolejne barwne pasy – zakodowane kolorystycznie dane o głębokości na żywej mapie nawigacyjnej. Najbliższe ramię otaczała chmura migoczących pomarańczowo świetlików, nie umiałem jednak ocenić, czy to zakotwiczone w porcie łodzie, czy coś bardziej egzotycznego.

Światła migoczące na lądzie w regularnych wzorach wskazywały na miasto. Poczulem nagły przypływ niepokoju. Bezpaństwo było tak piękne jak każdy atol, tak spektakularne jak liniowiec oceaniczny... tyle że nie posiadało napawających spokojem cech jednego ani drugiego. Jak można ufać, że ten dziwaczny, sztuczny twór się nie rozkruszy, by zapaść się pod wodę? Byłem przyzwyczajony do stania na solidnej, mającej miliardy lat skale albo do poruszania się pojazdami w skromnej, ludzkiej skali. Przez całe moje życie ta wyspa nie była niczym innym jak chmurą minerałów dryfującą przez pół Pacyfiku; z tego punktu widzenia nie wydawało się aż tak nieprawdopodobne, że w każdej chwili ocean wniknie w nią przez tysiące niewidocznych porów i kanałów, by ją rozpuścić i odzyskać to, co do niego należy.

Im bardziej opadaliśmy, a ląd się powiększał i pojawiały się budynki, moja niepewność nikła. Milion ludzi uczyniło z tego miejsca swój dom. Jeżeli ludzie mogli sprawić, że miraż trwał, nie miałem się czego bać.

..10..

Samolot pustoszał bardzo powoli. Zaspani i zirytowani pasażerowie pchali się do przodu, wielu ścisnęło w dłoniach poduszki i kocyki, przez co wyglądali jak dzieci, których czas na pójście spać już minął, ale próbują nie iść do łóżka. Według lokalnego czasu była dopiero dziewiąta wieczór i choć zegary biologiczne większości obecnych by się z tym zgodziły, wszyscy byli lekko oszołomieni, mieli pościskane mięśnie i czuli znużenie. Rozejrzałem się za Indrani Lee, ale nie mogłem jej odnaleźć.

Na końcu rękawa znajdowała się bramka kontrolna, w pobliżu nie stał jednak nikt z obsługi lotniska ani żadne urządzenie do sprawdzania paszportów. Bezpaństwo nie ograniczało w żaden sposób imigracji, tym bardziej napływu gości, zabraniało tylko przywozu określonych rzeczy. Obok bramki stała wielojęzyczna plansza z następującą informacją:

*NIE MIEJ OPORÓW, JEŚLI CHCESZ WWIEŻĆ BROŃ
MY NIE BĘDZIEMY MIELI OPORÓW, BY SPRÓBOWAĆ JĄ ZNISZCZYĆ*

Syndykat Lotniska

Zawahałem się. Jeżeli bramka nie sprawdzi mi paszportu, a zauważy plombę na implantach... to co zrobi? Spali sprzęt za sto tysięcy dolarów, smażąc przy okazji pół mojego układu trawiennego?

Oczywiście, było to paranoidalne; nie byłem pierwszym dziennikarzem, który przybywał na wyspę, a komunikat był raczej skierowany do gości z pewnych, znajdujących się w rękach prywatnych wysp wokół Ameryki Południowej, „oaz liberalizmu”, założonych przez „emigrantów politycznych” zmuszonych do ucieczki z USA po reformie ustawy o

posiadaniu broni z lat dwudziestych, których część próbowała nieraz nagiąć Bezpaństwo do swego specyficznego stylu myślenia.

Mimo to kilka minut stałem przed bramką w nadziei, że pojawi się ktoś w mundurze i rozwieje moje obawy. Towarzystwo ubezpieczeniowe, w którym miałem polisę, stwierdziło, że od chwili, gdy znajdę się na terenie Bezpaństwa, stracę prawo do jakichkolwiek roszczeń; gdyby mój bank dowiedział się, że tu jestem, też nie byłby zadowolony, w dalszym ciągu był właścicielem większości mikroprocesorów w moim brzuchu. Z prawnego punktu widzenia ryzyko nie było moją prywatną sprawą.

Nikt się nie pojawił, więc przeszedłem. Obudowa skanera była luźna i lekko zadrzała; moje ciało przejęło niewielką część promieniowania magnetycznego, posłało je najpierw do przodu, potem na zewnątrz, co sprawiało wrażenie, jakby strzelono mi w środku z gumki; brzucha nie przeszyły jednak mikrofałe ani nie rozdzwoniły się alarmy.

Przez bramkę wchodziło się do nowoczesnego budynku, niewiele różniącego się od terminali, jakie widywałem w różnych europejskich miastach. Charakteryzowały go klarowne linie i ruchome fotele, które ludzie poustawiali sobie w kręgi skierowane siedziskami do środka. Były tu punkty obsługi tylko trzech towarzystw lotniczych, a nad każdym umieszczono logo znacznie mniejsze niż zazwyczaj, jakby nie chciano ściągać na siebie zbyt wiele uwagi. Kiedy w domu kupowałem bilet, nie znalazłem w sieciach żadnych reklam oferowanych lotów; aby uzyskać jakieś informacje, musiałem zadać wyszukiwarce konkretne pytanie. Federacja Europejska, Indie oraz szereg państw Afryki i Ameryki Południowej stosowały jedynie wymagane przez ONZ minimum bojkotu, czyli nie sprzedawały Bezpaństwu wybranych produktów *high-tech*, a towarzystwa lotnicze, utrzymujące komunikację z wyspą, działały zgodnie z prawem krajów, w których były zarejestrowane. Nie zmieniało to faktu, że

irytowanie rządów Japonii, Korei, Chin, a przede wszystkim USA – nie wspominając o multinacjonalnych koncernach biotechnologicznych – zawsze było ryzykowne.

Wziąłem walizkę i zatrzymałem się przy wyrzucającej bagaże karuzeli, próbując się zorientować w sytuacji. Patrzyłem, jak ludzie, z którymi leciałem, odchodzą – niektórzy witani przez przyjaciół, niektórzy sami. Większość rozmawiała po angielsku albo francusku. Nie było tu oficjalnego języka, choć prawie dwie trzecie zamieszkującej wyspę ludności przybyło z innych wysp Pacyfiku. Decyzja zamieszkania na Bezpaństwie była w końcu decyzją polityczną; część uciekinierów z Ciepłarni wolała spędzać lata w chińskich obozach przejściowych w nadziei, że kiedyś zostanie przyjęta do tej inwestycyjnej krainy marzeń. Nietrudno było sobie wyobrazić, że dla tych, którzy oglądali, jak ich dom spływa do oceanu, samonaprawiająca się (do tego rozrastająca się) wyspa mogła być szczególnie atrakcyjna. Bezpaństwo było dowodem na to, że los nie tylko kołem się toczy, ale czasem zatacza krąg: dzięki światłu słonecznemu i biotechnologii prowadzący ku katastrofie proces biegł w odwrotnym niż zwykle kierunku. Było to znacznie lepsze od wściekania się na sztorm. Fidzi i Samoa także utworzyły nowe wyspy, które nie nadawały się jeszcze do zamieszkania, choć oba rządy płaciły za ten przywilej miliardy dolarów – pod postacią opłat licencyjnych i honorariów dla konsultantów. Będą spłacać długi jeszcze w XXII wieku.

Teoretycznie patent chronił produkt jedynie siedemnaście lat, ale firmy biotech udoskonaliły strategię działania poprzez wysuwanie tuż przed wygaśnięciem okresu ochronnego żądań za to samo, ale z innego powodu: najpierw kazały sobie płacić za sekwencję DNA w genach i wszystkie ich zastosowania, następnie za korespondującą sekwencję aminokwasów, a na koniec za „kształt” i „funkcjonalność” (bez względu na konkretny skład

chemiczny) zmontowanego w pełni białka. Nie należałem do tych, którzy uważali kradzież wiedzy za przestępstwo, w którym nie ma ofiary. Zawsze przemawiał do mnie argument, że gdyby wytworzone za pomocą inżynierii genetycznej formy życia nie mogły być opatentowane, nikt nie marnowałby pieniędzy na badania. Było jednak coś chorego w tym, że najpotężniejsza broń przeciwko głodowi, zniszczeniu środowiska i biedzie kosztuje tyle, że jest poza zasięgiem wszystkich, którzy potrzebują jej najbardziej.

Kiedy zacząłem się przeciskać ku wyjściu, zauważyłem, że w tym samym kierunku podąża Janet Walsh, więc zwolniłem. Szła otoczona kilkoma ludźmi, wyraźnie poza grupą krążył mężczyzna – charakterystycznym, wyćwiczonym krokiem, pozwalającym gładko przesuwać się przez tłum – nie odwracając od niej wzroku. Natychmiast rozpoznałem technikę, po chwili człowieka: był to David Connolly, fotograf Planet Noise. Walsh potrzebowała oczywiście drugiej pary oczu; trudno oczekiwać, by pozwoliła napchać swoje ciało dehumanizującym sprzętem, zwłaszcza że – a byłoby to znacznie gorsze – gdyby miała własne OWO, nie mogłaby się filmować. Co za sens zatrudniać sławę, jeżeli nie ma jej na ekranie?

Podążyłem za nią w dyskretnej odległości. Na zewnątrz – noc była zaskakująco ciepła – stało czterdzieścioro, może pięćdziesięcioro jej zwolenników z luminescencyjnymi transparentami, które w ciemności były znacznie bardziej telegeniczne niż mogłyby być w holu. Napisy na transparentach zmieniały się synchronicznie – ze: *SKROMNA NAUKA!* na: *WITAMY, JANET!* i: *KRZYCZ GŁOŚNO BUU NA TW!* Kiedy Walsh pojawiła się w drzwiach, tłumek wrzasnął chórem. Oderwała się od wianuszka towarzyszących jej ludzi i podeszła ścisnąć ręce oraz odbierać całusy; Connolly stał nieco z tyłu i kręcił.

Wygłosiła krótką przemowę; bryza rozwiewała jej siwiejące włosy. Nie dało się zaprzeczyć, że umie mówić zarówno do kamery, jak i do dużych grup ludzi – miała talent pozwalający jej wyglądać zarówno dystyngowanie, jak i autorytatywnie, ale bez nadmiernej powagi czy powściągliwości. Chyliłem czoło przed jej kondycją: po tak długim locie emanowała energią większą, niż mógłbym wykrzesać z siebie, gdyby zagrożone było moje życie.

– Chciałabym podziękować wszystkim, którzy przybyli mnie powitać, naprawdę jestem wzruszona waszą wspaniałomyślnością. Chciałabym także podziękować wam za podjęcie długiej, żmudnej wyprawy na tę wyspę, by dołożyć swój głos do naszego cichego protest songu przeciwko siłom naukowej arogancji. Zbierają się tu ludzie, którzy uważają, że mogą pod ciężarem tego, co określają mianem „postępu intelektualnego”, zgnieść ostatnie źródło ludzkiej godności, ostatnią studnię duchowego pożywienia, ostatnią resztkę cennej, krzepiącej tajemnicy i wepchnąć nas w ramy jednego równania, które każą napisać na T-shirtach jak tani slogan. Ludzie, którzy uważają, że mogą zebrać wszystkie cuda przyrody oraz tajemnice serca i stwierdzić: „Proszę bardzo. To wszystko – więcej nie ma”. Jesteśmy tutaj, by powiedzieć im...

– NIE! – wrzasnął tłumek.

Ktoś obok mnie cicho się roześmiał.

– Jeśli nie są w stanie odebrać ci cennej godności, Janet... to po co tyle zamieszania?

Odwróciłem się. Powiedział to... dwudziestoparoletni?... a seks? Przechyliło głowę i uśmiechnęło się, na tle czarnej skóry błysnęły białe zęby, oczy miało tak ciemne jak Gina, a kości policzkowe wysokie jak u kobiety, poza tym, że nie było kobietą. Miało czarne džinsy i luźny czarny

T-shirt; na materiale pojawiały się pojedyncze kropki światła, przypadkowo, jakby miał powstać jakiś obraz, ale odcięto dopływ danych.

– Co za nadęta baba – powiedziało. – Wiedziałeś, że pracowała dla D–R–D? Z takim doświadczeniem powinna mieć bardziej zgryźliwą retorykę. – „Retorykę” wypowiedziało re–tor–ryk–kę z ironicznym (jamajskim?) akcentem. D–R–D to Dayton–Rice–Daley, największa agencja reklamowa anglojęzycznego świata. – Jesteś Andrew Worth.

– Tak. Skąd...?

– Masz filmować Violet Mosalę.

– Zgadza się. Pracujesz... z nią? – Co prawda wyglądało zbyt młodo, by robić doktorat, ale w końcu Mosala swój uzyskała, mając dwadzieścia lat.

Pokręciło głową.

– Nigdy jej nie widziałem na żywo.

W dalszym ciągu nie umiałem dokładnie określić tego akcentu, choć należało go chyba uplasować w strefie środkowego Atlantyku, gdzieś między Kingston a Luandą. Odstawiłem walizkę i wyciągnąłem dłoń. Ujęło ją pewnym chwytem.

– Akili Kuwale.

– Na Konferencję Einsteińską?

– A na co by innego? Wzruszyłem ramionami.

– Muszą się tu dziać jeszcze inne rzeczy. Nie odpowiedziało.

Walsh poszła dalej i jej klaka rozproszyła się. Spojrzałem na notepad i powiedziałem: – Mapa komunikacyjna.

– Hotel jest dwa kilometry stąd – wyjaśniło Kuwale. – Jeżeli ta walizka nie jest cięższa niż wygląda... można by się przejść, nie?

Nie miało bagażu, plecaka, niczego, musiało przylecieć wcześniej i wrócić na lotnisko... żeby spotkać się ze mną? Miałem wielką ochotę położyć się i nie wyobrażałem sobie, co mogło chcieć mi powiedzieć tak

pilnego, by nie dało się z tym zaczekać do jutra, ani czego nie można by powiedzieć w tramwaju – tym większy był powód, by usłyszeć, co ma mi do powiedzenia.

– Dobry pomysł. Przyda mi się nieco świeżego powietrza. Kuwale najwyraźniej wiedziało, dokąd idzie, schowałem więc notepad i poszedłem za vim. Był ciepły, wilgotny wieczór, ale dmąca cały czas bryza łagodziła duchotę. Bezpaństwo nie znajdowało się bliżej tropików niż Sydney, prawdopodobnie w sumie było tu wręcz chłodniej.

Rozkład centrum przypominał Sturt, znajdującą się w głębi Południowej Australii neopolię, budowaną mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zasiano Bezpaństwo. Ulice były szerokie i wyasfaltowane, budynki niskie, maksymalnie pięciopiętrowe, praktycznie we wszystkich mieszkaniach mieściły się nad szerokimi oknami sklepów. Zarówno domy, jak i ulice były chyba zrobione ze skały rafowej, czegoś w rodzaju wapienia, wzmocnianego i zabezpieczanego powierzchniowo organicznymi polimerami, „hodowanego” w samoistnie uzupełniających się „kamieniołomach” wewnątrz rafy. Żaden budynek nie był biały jak wyblakły koral, pierwiastki śladowe tworzyły wszelkie możliwe barwy, jakie widuje się w granicie: soczyste szarości, zielenie i brązy, czasami – dość rzadko – ciemny karmazyn przechodzący w czerni.

Ludzie wokół wyglądali na rozluźnionych i najwyraźniej nigdzie się nie spieszyli – jakby wyszli na spacer bez konkretnego celu. Nie widziałem rowerów, choć musiały tu być. Z centrum rozchodziły się promieniście tory tramwajowe, każda linia miała mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów i sięgała do połowy każdego „ramienia” wyspy.

– Sarah Knight była wielką miłośniczką Violet Mosali – powiedziało Kuwale. – Uważam, że zrobiłaby dobrą robotę. Staranną. Dokładną.

Zbiło mnie to niemal z nóg.

– Znasz Sarah?

– Byliśmy w kontakcie. Zmusiłem się do śmiechu.

– Po co to wszystko? Sarah Knight jest wielką miłośniczką Violet Mosali. A ja nie. I co z tego? Nie jestem członkiem Kultu Ignorancji, który przyjechał jej przyłożyć. Na pewno potraktuję ją uczciwie.

– Nie w tym problem.

– To jedyny problem, o jakim zamierzam z tobą dyskutować. Skąd pomyśl, że to twój interes, jak ta dokumentacja zostanie zrobiona?

– Nie uważam tak. Dokumentacja jest nieistotna – odrzekło spokojnie Kuwale.

– Oczywiście. Dzięki.

– Bez obrazy, ale nie o tym mówię.

Przeszliśmy kawałek w milczeniu. Postanowiłem sprawdzić, czy moje milczenie i udawanie obojętności spowodują wybuch rewelacji. Nie spowodowały.

– W takim razie co... co właściwie tu robisz? Jesteś dziennikarzem, fizykiem czy kim? Socjologiem? – Niemal powiedziałem „kultystą”, ale nawet członek rywalizującej grupy, na przykład Renesansu Mistycznego albo Kultura Najpierw, nigdy by się nie wyśmiewał z głębokiej wiedzy Janet Walsh.

– Jestem zainteresowanym obserwatorem.

– Tak? No, to wszystko wyjaśnia.

Kuwale uśmiechnęło się potakująco, jakbym powiedział dowcip. Na wprost, w oddali, widziałem zakrzywioną fasadę hotelu, rozpoznałem ją dzięki temu, że organizatorzy konferencji rozsyłali wszystkim materiały audiowizualne.

Kuwale spoważniało.

– Będziesz przez najbliższe dwa tygodnie dużo przebywał z Violet Mosalą. Może więcej niż ktokolwiek inny. Próbowaliśmy przekazywać jej wiadomości, ale nie traktuje nas poważnie. Czy... byłbyś gotów mieć oczy otwarte?

– Na co?

Zmarszczyło czoło i nerwowo się rozejrzało.

– Muszę mówić głośno? Jestem AK. Z głównego nurtu. Nie chcemy, by zrobiono jej krzywdę. Nie wiem, na ile z nami sympatyzujesz ani na ile byłbyś gotów nam pomóc, ale jedyne, co miałbyś robić, to...

Uniosłem rękę, by go powstrzymać.

– O czym ty gadasz? Nie chcesz, by zrobiono jej krzywdę? Kuwale było wyraźnie skonsternowane, nagle jakby oklapło.

– Główny nurt AK? Czy to ma coś dla mnie znaczyć? – Nie odpowiedziało. – Jeżeli Violet Mosala nie potraktowała was poważnie, dlaczego ja miałbym?

Kuwale chyba zaczęło mnie dopiero szacować. Ciekawe, co myślało sobie o mnie na początku.

– Sarah Knight nigdy na nic się nie zgadzała, przynajmniej nie w tak wielu słowach, ale przynajmniej rozumiała, co jest grane – odezwało się szyderczo. – Co z ciebie za dziennikarz?

Szukasz kiedykolwiek informacji, czy tylko łapiesz za elektroniczny smoczek i bierzesz to, co wypłynie, kiedy possiesz? Odeszło ode mnie i ruszyło przed siebie ulicą.

– Nie jestem jasnowidzem! – zawołałem. – Dlaczego mi nie powiesz, co się dzieje?

Stałem i patrzyłem, jak się oddala w tłumie. Mogłem podążyć za nim, żądać odpowiedzi, zaczynałem jednak powoli podejrzewać, że uda mi się odgadnąć prawdę. Kuwale było fanem Mosali, obrażonym przez samoloty

pełne kultystów, którzy przybywali, by naigrywać się z tego idola. I choć nie było tak całkiem nieprawdopodobne, by jakiś mocno zaburzony członek Skromnej Nauki! albo Renesansu Mistycznego zamierzał zrobić krzywdę Violet Mosali, to... najlogicznym wyjaśnieniem było, iż Kuwale po prostu ma bujną fantazję.

Postanowiłem zadzwonić rano do Sarah Knight. Prawdopodobnie miała mnóstwo dziwnych wiadomości od Kuwale i w końcu spławiła to powtarzaniem: „To już nie moja robota. Idź do kutasa, który mi ją ukradł, nazywa się Andrew Worth. Oto jego najnowsze zdjęcie”. Trudno było mieć do niej o to pretensję, zemsta i tak była niewielka.

Szedłem dalej w kierunku hotelu. Nie czułem nóg, poruszałem się jak we śnie.

– Co oznacza AK? – spytałem Syzyfa.

– W jakim kontekście?

– W każdym. Poza „afrykańska królowa”.

Zapadła długa cisza. Popatrzyłem w niebo i ujrzałem słabo widoczny łańcuszek równomiernie rozmieszczonych kropek światła, przesuwających się na wschód, ku gwiazdom. Tylko one łączyły mnie ze światem, który znałem.

– Jest pięć tysięcy siedemset znaczeń, obejmujących specjalistyczny żargon, slang subkulturowy, zarejestrowane firmy, organizacje dobroczynne i partie polityczne.

– W takim razie... znajdź coś, co mogłoby pasować do kontekstu, w jakim użyło go kilka minut temu Akili Kuwale. – Mój notepad zachowywał w pamięci wszystko, co przy mnie mówiono przez ostatnią dobę. – Kuwale to prawdopodobnie aseks.

Syzyf przetrwał naszą rozmowę, zrobił jej transkrypt na piśmie, po czym stwierdził: – Najprawdopodobniejsze znaczenia to Absolutna

Kontrola, firma ochroniarska z Fidżi działająca w całym regionie Południowego Pacyfiku, Aseks Katolicki, grupa z siedzibą w Paryżu, która opowiada się za reformą polityki Kościoła katolickiego wobec aseksowych migrantów płciowych, Automatyczna Kartografia, firma z Afryki Południowej zajmująca się redukcją danych satelitarnych...

Wysłuchałem trzydziestu nazw, potem następnych trzydziestu, nasuwające się związki były jednak tak absurdalne, że czułem się, jakbym słuchał majaczeń pijaka.

– Jak brzmi znaczenie, które ma sens, a którego nie znajdę w żadnej szacownej bazie danych? Jak brzmi odpowiedź, której nie można wyssać z mojego ulubionego elektronicznego cycka?

Szyyf nie raczył udzielić odpowiedzi.

O mało go nie przeprosiłem, ale w porę ugryzłem się w język.

Obudziłem się wpół do siódmej, kilka sekund przed włączeniem się alarmu. Udało mi się uchwycić ostatnie skrawki uciekającego snu: fale uderzały o rozpadającą się rafę koralową i wapien. Pokój wypełniało słoneczne światło, odbijało się od gładkich, srebrnoszarych ścian z polerowanej skały rafowej. Na ulicy w dole rozmawiali ludzie; nie rozróżniałem słów, ale ton był zrelaksowany, uprzejmy, cywilizowany. Jeżeli to miała być anarchia, biła na głowę budzenie się od ryków policyjnych syren w Szanghaju albo Nowym Jorku. Od dawna nie czułem się tak odświeżony i pełen optymizmu.

Wreszcie miałem spotkać bohaterkę mojego reportażu.

Wieczorem dostałem wiadomość od asystentki Violet Mosali, Karin De Groot. O ósmej Mosala miała konferencję prasową, potem była niemal cały dzień zajęta – od dziewiątej, kiedy Henry Buzzo z Caltechu wygłaszał referat, który jego zdaniem stawiał pod znakiem zapytania całą klasę MWT. Między konferencją prasową a wykładem Buzzo otrzymałem szansę omówienia reportażu z Mosalą. Nie było potrzeby kończenia czegokolwiek w Bezpaństwie. Gdyby okazało się to konieczne, mógłbym przeprowadzić z nią długi wywiad w Cape Town, bardzo bym się jednak zdziwił, gdybym został zmuszony do obsługiwania jej tak samo, jak każdy inny dziennikarz ze sfory.

Zastanowiłem się nad śniadaniem, ale jeszcze nie wrócił mi apetyt po posiłku w trakcie lotu z Dili. Leżałem więc na łóżku, ponownie czytałem notatki dotyczące biografii Mosali i sprawdzałem wstępny plan kręcenia na najbliższe dwa tygodnie. Pokój był funkcjonalny, w porównaniu z

większością hoteli niemal ascetyczny, ale czysty, nowoczesny, jasny i niedrogi. Sypiałem w mniej wygodnych łóżkach, z większą ilością pluszu i mniejszą światła – za podwójną cenę.

Jak na razie szło aż za dobrze. Spokojne otoczenie i nie traumatyzujący temat – czym sobie na to zasłużyłem? Nie miałem pojęcia, kogo Lydia zmusiła do zrobienia *STANU WYCZERPANIA*. Ciekawe, kto miał spędzić dzień w szpitalu psychiatrycznym w Miami albo Berne, by obserwować, jak odstawia się środki uspokajające kolejnym, zapiętym w kaftan bezpieczeństwa ofiarom, by sprawdzić działanie innych środków niż uspokajające oraz zdobyć obrazy patologii nerwów, nie zamęczone działaniem leków?

Odsunąłem od siebie tę wizję. Stan wyczerpania nie był sprawą, za którą byłem odpowiedzialny, nie ja stworzyłem tę chorobę. Tak samo nikogo nie zmuszałem do zajęcia mojego miejsca.

Zanim wyszedłem na konferencję prasową, zadzwoniłem – acz niezbyt chętnie – do Sarah Knight. Moje zaciekawienie Kuwale nie zmalowało, ale bez najmniejszej wątpliwości kryła się za tym bardzo smutna historia i perspektywa pierwszej rozmowy z Sarah po obrabowaniu jej z *Violet Mosali* nie była zbyt zachęcająca.

Niepotrzebnie się martwiłem. W Sydney była dopiero za dziesięć szósta i mój telefon przyjęła automatyczna sekretarka. Z ulgą zostawiłem krótką wiadomość, po czym ruszyłem na dół.

Główna sala była nabita ludźmi, powietrze drżało od pełnych oczekiwania rozmów. Przez chwilę mignęła mi przed oczami wizja setek przedstawicieli Skromnej Nauki!, pikietujących wejście do hotelu albo przepychających się na korytarzach z ochroniarzami i fizykami, nie było jednak widać ani jednego demonstranta. Stałem w wejściu i chwilę zajęło mi odnalezienie wśród publiczności Janet Walsh, lecz kiedy już ją

zlokalizowałem, bez trudu dostrzegłem w rzędzie przed nią Connolly’ego, usadowionego idealnie, tak by mógł odwracać głowę między Walsh a Mosalą bez nadwerężania sobie karku.

Usiadłem w głębi sali i wezwałem Świadka. Elektroniczne kamery na scenie miały filmować publiczność i gdyby w ich materiale znalazło się cokolwiek wartego wykorzystania, mogłem go potem kupić od organizatorów konferencji.

Marian Fox, przewodnicząca Międzynarodowej Unii Fizyków Teoretycznych, weszła na scenę i przedstawiła Mosalę. Wygłosiła pełną listę pochwał, które każdy na jej miejscu by wymienił: szanowana, inspirująca, oddana, wyjątkowa. Bez najmniejszej wątpliwości mówiła szczerze, choć język stosowany do chwalenia osiągnięć zawsze wydawał mi się nieco parodystyczny. Ilu mogło być na planecie „wyjątkowych” ludzi? Ilu „jedynych w swoim rodzaju”? Nie chciałem oczywiście, by Violet Mosalę portretowano bez podkreślania różnicy dzielącej ją od większości jej miernych kolegów po fachu, ale wszystkie te pochwalne klisze niczego nie wносиły. Były pozbawione znaczenia.

Mosala podeszła do podium, próbując mimo wypowiedzianych hiperbol wyglądać dystyngowanie. Część publiczności zaczęła dziko klaskać, kilka osób wstało. Zanotowałem sobie w myśli, by zapytać Indrani Lee, dlaczego jej zdaniem te dziwaczne rytuały wyrażania zachwyty – występujące niemal wszędzie w stosunku do aktorów i muzyków – zaczęły obowiązywać w stosunku do kilku sław ze świata nauki. Moim zdaniem był to wynik działań Kultów Ignorancji – tak walczyły o ściągnięcie na siebie uwagi opinii publicznej, że zaskakujące by było, gdyby nie skończyły na generowaniu podobnie namiętnych metod protestu. Istniało wiele warstw społecznych, dla których kulty stanowiły *establishment*, i trudno by im było wymyślić większy akt rebelii niż zrobienie idola z fizyka.

Moskala czekała, aż hałas ucichnie.

– Dziękuję, Marian, dziękuję wszystkim za przybycie na tę sesję. Może krótko wyjaśnię, co tu robię. Podczas konferencji wezmę udział w szeregu spotkań panelowych, by poznać zagadnienia techniczne. Osiemnastego wygłoszę referat i z przyjemnością podyskutuję na temat pytań, które się w związku z nim pojawią. Przy takich okazjach zawsze jest jednak mało czasu i chce się, by pytania były bardzo ukierunkowane, choć frustruje to dziennikarzy, którzy wolą zajmować się szerszą paletą tematów. W związku z tym komitet organizacyjny przekonał wielu referentów, by wzięli udział w konferencjach prasowych, podczas których nie będzie podobnych ograniczeń. Dziś rano przysłała kolej na mnie, jeśli więc macie pytania, które mogłyby waszym zdaniem zostać uznane w trakcie następnych sesji za nieistotne... oto wasza szansa.

Mosala była swobodna i nie narzucała się. Przy innych okazjach, w jakich ją widziałem – zwłaszcza podczas wręczania Nagrody Nobla – była wyraźnie nerwowa i choć trudno było ją teraz określić mianem starej wygi, na pewno zachowywała się swobodniej. Miała dość niski, dźwięczny głos. Gdyby kiedyś zdecydowała się przemawiać, określano by go mianem „elektryzującego”. Jej sposób mówienia nie był jednak oratorski, a konwersacyjny. Wszystko to wróżyło dobrze reportażowi *Violet Mosala*. Prawda – choć może się wydawać dziwna – jest taka, że większość ludzi nie nadaje się do pokazywania na ekranie telewizyjnym przez dużą część pięćdziesięciminutowego programu. Jakoś tam nie pasują i wydają się... skrzywieni – jak dźwięk, za głośny albo zbyt niewyraźny, by go nagrać. Mosala – byłem tego pewien – poradzi sobie z ograniczeniami telewizji. Oczywiście, o ile czegoś nie spieprzę.

Pierwsze pytania zadali korespondenci naukowci niespecjalistycznych serwisów informacyjnych, pilnie wskrzeszając wszystkie stare *non sequitur*.

Czy Teoria Wszystkiego oznacza koniec nauki? Czy sformułowanie TW sprawi, że przyszłość będzie całkowicie przewidywalna? Czy TW pozwoli rozwiązać wszystkie dotychczas nie rozwiązane problemy fizyki, chemii, biologii i medycyny... etyki i religii?

Mosala odpowiadała cierpliwie i zwięźle: – Teoria Wszystkiego to jedynie matematycznie najprostsze, jakie da się znaleźć, sformułowanie obejmujące cały ukryty porządek wszechświata. Z biegiem czasu, jeśli teoria kandydująca do miana TW przetrwa dogłębne badanie teoretyczne i eksperymentalne, powinniśmy stopniowo zdobywać pewność, że stanowi ona coś w rodzaju jądra wiedzy... na podstawie którego – przynajmniej w zasadzie, w najbardziej wyidealizowanym sensie – da się wyjaśnić wszystko wokół nas. Nie spowoduje to jednak, że „wszystko będzie całkowicie przewidywalne”. Wszechświat jest pełen systemów, które całkiem dobrze rozumiemy – na przykład tak prostych, jak układ dwóch gwiazd okrążających słońce – lecz których matematyczny opis jest chaotyczny albo trudny do wykonania, więc przewidywania długoterminowe są niemożliwe do obliczenia. Nie będzie też oznaczać „końca nauki”. Nauka to więcej niż poszukiwanie TW – to wyjaśnianie związków między porządkiem wszechświata na każdym poziomie. Sięganie ku fundamentom nie oznacza trafiania w sufit. Istnieje wiele problemów znajdujących się w stanie płynnej dynamiki – na przykład neurobiologia – dla których potrzebujemy całkiem nowych podejść albo lepszych przybliżeń, a nie ostatecznych, precyzyjnych opisów na poziomie subatomowym. Wyobrażałem sobie Ginę przy komputerze. Wyobrażałem ją sobie w jej nowym domu, opowiadającą nowemu kochankowi o swoich problemach i małych zwycięstwach. Przez chwilę poczułem się niezbyt pewnie, zaraz jednak mi przeszło.

– Lowell Parker, „Atlantica”. Profesor Mosala, powiedziała pani, że TW to „matematycznie najprostsze, jakie da się znaleźć, sformułowanie obejmujące cały ukryty porządek wszechświata”. Czy te koncepcje nie są jednak zdeterminowane kulturowo? „Prostota”, „porządek”, nawet dostępny współczesnej matematyce zakres sformułowań? – Parker był poważnym młodzieńcem z bostońskim akcentem, „Atlantica” wysokich lotów net-zinem, tworzonym głównie przez pracujących na pół etatu naukowców z uniwersytetów Wschodniego Wybrzeża.

– Oczywiście – odparła Mosala. – Wszystkie równania, które wybierzemy i nazwiemy TW, nie będą unikatowe. Będą czymś na kształt... powiedzmy równań Maxwella teorii pola elektromagnetycznego. Istnieje kilka równoważnych sposobów napisania równań Maxwella – można zmieniać stałą, użyć innych zmiennych... można je nawet wyrażać trój – albo i czterowymiarowo. Fizycy i inżynierowie do tej pory nie mogą jednoznacznie ustalić, które sformułowanie jest najprostsze. Zależy to bowiem od tego, do czego chce się zastosować równania: do konstrukcji radaru, skalkulowania zachowania wiatru słonecznego czy opisanie historii unifikacji elektrostatyki z magnetyzmem. W każdym konkretnym obliczeniu osiąga się jednak za pomocą odmiennych równań te same wyniki, dlatego że wszystkie opisują dokładnie to samo: istotę elektromagnetyzmu.

– Często twierdzono to samo o światowych religiach – odparł Parker. – Że wszystkie wyrażają te same podstawowe, uniwersalne prawdy, choć w odmienny sposób, po to aby pasować do różnych miejsc i czasów. Czy przyzna pani, że to, co pani robi, zasadniczo mieści się w tej samej tradycji?

– Nie. Nie sądzę, by tak było.

– Ale przyznała pani, że o tym, jaką TW przyjmujemy, zadecydują czynniki kulturowe. Jak więc może pani twierdzić, że to, co pani robi, jest

„obiektywniejsze” od religii?

Mosala chwilę się zastanowiła.

– Załóżmy, że jutro z powierzchni Ziemi znikną wszystkie ludzkie istoty i trzeba będzie zaczekać kilka milionów lat na pojawienie się następnego gatunku, posiadającego religię i kulturę naukową. Co, pańskim zdaniem, będzie miała wspólnego nowa religia ze starymi, religiami naszych czasów? Podejrzewam, że jedynie pewne zasady etyczne, których źródłem będą podobieństwa biologiczne: reprodukcja płciowa, wychowywanie dzieci, przewaga altruizmu, świadomość śmierci. Gdyby biologia miała się okazać odmienna, może nie być żadnych podobieństw. Jeśli jednak zaczekamy, aż nowa kultura naukowa zacznie formułować swoją TW, to uważam, że – niezależnie od tego, jak odmiennie będzie wyglądała „na papierze” – jej twórcy będą mogli wykazać, iż jest pod każdym względem matematycznie równoważna z naszą TW, tak jak każdy student pierwszego roku fizyki umie wykazać, że wszystkie postacie równań Maxwella opisują dokładnie to samo. Na tym polega różnica. Naukowcy mogą zaczynać od wściekłego kłócenia się i niezgadzenia ze sobą, niezależnie jednak od kultury, z jakiej się wywodzą, ich poglądy się zbiegają. Na konferencję, w której właśnie bierzemy udział, przybyli naukowcy z ponad stu krajów. Trzy tysiące lat temu ich przodkowie mogli mieć dwadzieścia albo trzydzieści wzajemnie się wykluczających wyjaśnień każdego zjawiska na tym świecie. Teraz przedstawione będą na konferencji trzy wykluczające się wersje, kandydujące do miana TW. Za dwadzieścia lat, jeśli nie wcześniej, pozostanie jedna.

Parker wyraźnie nie był zadowolony, ale usiadł.

– Lisbeth Weller, „Grn Weisheit”. Wygląda mi na to, że całe pani podejście odzwierciedla męski, zachodni, redukcjonistyczny, oparty na lewej półkuli styl myślenia. – Weller była wysoką, kostyczną kobietą i to,

co mówiła, brzmiało, jakby naprawdę się smuciła i była zaskoczona. – Jak może pani to pogodzić z walką, którą prowadzi pani jako Afrykanka z imperializmem kulturowym?

– Nie interesuje mnie rezygnacja z najlepszych narzędzi intelektualnych, jakie posiadam, z powodu istnienia dziwacznej, do tego błędnej koncepcji, że są własnością określonej grupy: mężczyzn, ludzi Zachodu czy kogokolwiek – odparła obojętnym głosem Mosala. – Jak powiedziałam, historia nauki to proces zbiegania się poglądów ku wspólnemu rozumieniu wszechświata i nie zamierzam z żadnego powodu być z niego wyłączana. Jeśli chodzi o „oparty na lewej półkuli styl myślenia”, obawiam się, że koncepcja jest dość przestarzała – i redukcjonistyczna. Osobiście wolę używać całego mózgu.

Rozległ się głośny aplauz, kiedy jednak oklaski umilkły, wydały mi się jakieś żałosne. Atmosfera na sali zmieniała się, robiła się napięta, spolaryzowana. Weller była dumnym członkiem Renesansu Mistycznego i choć większość obecnych dziennikarzy nie sympatyzowała z tym kultem, mniejszość z silnymi sentymentami antynaukowymi mogła dać odczuć swą obecność.

– William Savimbi, „Proteus Information”. Mówiła pani z aprobatą o konwergencji idei, zjawisku będącym wyrazem braku szacunku dla starodawnych kultur, jakby nie liczyło się dla pani własne dziedzictwo. Czy to prawda, że po tym jak oświadczyła pani, iż nie uważa się za Afrykankę, Panafrykański Front Obrony Kultury groził pani śmiercią? – „Proteus” był południowoafrykańską filią wielkiej kanadyjskiej firmy rodzinnej, Savimbi był solidnie wyglądającym, siwym mężczyzną, który mówił z pewną poufałością, jakby już od dłuższego czasu pisał o Mosali.

Mosala wyraźnie starała się zachować spokój. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła notepad i zaczęła wciskać klawisze. Nie przerywając pisania,

odpowiedziała: – Panie Savimbi, jeżeli używanie wymaganych w pańskiej pracy zdobyczy technologicznych przekracza pana możliwości, może powinien się pan rozejrzeć za mniej absorbującym zajęciem. Oto cytata z doniesienia Reutera, sporządzonego w Sztokholmie 10 grudnia 2053 roku. Znalezienie go zajęło mi piętnaście sekund. – Uniosła notepad i jej nagrany głos powiedział: „Nie budzę się co rano, by zadać sobie pytanie: »Jestem Afrykanką i jak ma się to odzwierciedlać w mojej pracy?« Wcale tak nie myślę. Zastanawiam się, czy ktokolwiek zadał doktorowi Wozniakowi pytanie, w jaki sposób to, że jest Europejczykiem, wpłynęło na jego prace z zakresu syntezy polimerów”.

Tym razem aplauz był silniejszy – i więcej osób zaklaskało, czułem jednak narastający podskórny, drapieżny prąd. Mosala coraz bardziej się podniecała i niezależnie od tego, jak – generalnie mówiąc – sympatyczna była dziennikarska sfera, nie miałem wątpliwości, że wszyscy byliby zachwyceni, gdyby udało się sprowokować Mosalę i doprowadzić ją do utraty panowania nad sobą.

– Janet Walsh, „Planet News”. Pani Mosala, może mi pani coś wyjaśni. Ta Teoria Wszystkiego, o której ciągle pani mówi i która ma się stać ostateczną prawdą o wszechświecie... brzmi to dla mnie wspaniale, ale chciałabym usłyszeć, na jakich dokładnie założeniach się opiera.

Mosala musiała wiedzieć, kim jest Walsh, nie okazała jednak najmniejszej oznaki wrogości. Zaczęła spokojnie mówić: – Każda TW jest próbą znalezienia głębszego wyjaśnienia tego, co określamy mianem Standardowej Zunifikowanej Teorii pola. Prace nad nią zostały zakończone w późnych latach dwudziestych i jak na razie wytrzymała wszystkie sprawdziany eksperymentalne. Mówiąc dokładnie, SZTP już jest „Teorią Wszystkiego” – pozwala w zunifikowany sposób brać pod uwagę wszystkie siły natury. Jest to jednak bardzo nieporządna, arbitralna teoria, oparta na

założeniu dziesięciowymiarowego wszechświata, z mnóstwem dziwnych kaprysów, które trudno brać za dobrą monetę. Większość z nas uważa, że istnieje prostsze wyjaśnienie i tylko czeka na to, by je odkryć.

– A na czym opierała się ta SZTP, którą próbujecie zastąpić?

– Na szeregu poprzedzających ją teorii, z których każda z osobna bierze pod uwagę jedną albo dwie z czterech podstawowych sił. Jeżeli chciałaby pani wiedzieć, skąd one się wzięły, musiałabym streścić pięć tysięcy lat nauki. Krótka odpowiedź brzmi, że TW będzie się opierać na obserwacjach każdego aspektu świata oraz poszukiwaniu ukrytych w tych obserwacjach schematów.

– To wszystko? – Walsh uśmiechnęła się niewinnie. – W takim razie wszyscy jesteśmy naukowcami! Wszyscy używamy zmysłów, dokonujemy obserwacji i dostrzegamy schematy. Ja na przykład za każdym razem, kiedy wychodzę na dwór, widzę schematy w chmurach nad moim domem. – Uśmiechnęła się skromnie, jakby chciała się skarcić.

– Początek zawsze na tym polega, różnicę stanowią dwa istotne kroki, pozwalające wykroczyć poza zwykłą obserwację – odparła Mosala. – Pierwszym jest zastępowanie obserwacji natury obserwacją zjawisk w ramach odpowiednio skonstruowanych eksperymentów, prowadzonych w kontrolowanych warunkach, drugim – prowadzenie obserwacji ilościowych, czyli dokonywanie pomiarów i próba znajdowania schematów w liczbach.

– Jak w numerologii?

Mosala pokręciła głową, jednak cierpliwie odpowiedziała: – Nie „jakichś” schematów, dla samego ich znajdowania. Trzeba zacząć od konkretnej hipotezy i wiedzieć, jak ją weryfikować.

– Ma pani na myśli... stosować odpowiednie metody statystyczne i tak dalej?

– Dokładnie.

– Ale nawet gdy zastosuje się odpowiednie metody statystyczne... uważa pani, że można ująć całą prawdę o wszechświecie w schematach, które da się znaleźć, obserwując nieskończone serie liczb?

Mosala zawahała się, prawdopodobnie rozważała, co będzie gorsze: próba wyjaśnienia czegoś bardziej skomplikowanego, czy zgodzenie się na takie określenie dzieła jej życia.

– Mniej więcej – odparła w końcu.

– Wszystko jest w liczbach? Liczby nigdy nie kłamią?

– Nie, nie kłamią – stwierdziła, wyraźnie tracąc cierpliwość.

– To bardzo ciekawe – uznała Walsh. – Kilka miesięcy temu natknęłam się na nedorzecznego – bardzo obraźliwego – pomysłu, rozpowszechnianego w którejś ultrapravicowej europejskiej sieci i uznałam, że należy go odpowiednio – naukowo! – obalić. Kupiłam więc pakiet statystyczny i kazałam mu sprawdzić hipotezę, że określona część – określony kontyngent – Nagród Nobla po roku 2010 był przyznawany wyłącznie z politycznych powodów obywatelom krajów afrykańskich. – Zapadła pełna zaskoczenia cisza, po czym w różnych miejscach sali zaczęły wybuchać oburzone krzyki. Walsh uniosła notepad i kontynuowała, przekrzykując tłum. – Uzyskałam odpowiedź, że z prawdopodobieństwem dziewięćdziesiąt pięć procent... – kilka osób z rządów, w których siedzieli zwolennicy Mosali, skoczyło na równe nogi i zaczęło wrzeszczeć na Walsh. Mężczyźni po obu moich stronach zaczęli syczeć. Walsh mówiła dalej z rozbawioną miną, jakby nie rozumiała, skąd całe zamieszanie – ...uzyskałam odpowiedź, że z dziewięćdziesięciosześciprocentowym prawdopodobieństwem jest to prawda.

Wstało kolejnych kilkanaście osób, by się na nią rzucić. Czterech dziennikarzy wybiegło z sali. Walsh stała dalej, z niewinnym uśmiechem na ustach czekała na odpowiedź. Marian Fox zbliżała się niepewnie do podium, ale Mosala dała jej znak, by wracała na miejsce.

Mosala zaczęła pisać coś na klawiaturze notepadu. Krzyki i posykiwania stopniowo się uciszały, wszyscy – poza Walsh – siadali.

Cisza nie mogła trwać dłużej jak dziesięć sekund, ale to wystarczyło, bym zauważył, jak łomocze mi serce. Miałem ochotę kogoś walnąć. Walsh nie była rasistką, za to znakomitym manipulatorem. Umiała wbijać szpilę, nie mogłaby wzbudzić gorętszych emocji, nawet przyprowadzając dwustu popleczników, którzy wyliby w głębi sali i machali plakatami.

Mosala uniosła głowę i słodko się uśmiechnęła.

– Renesans nauki afrykańskiej został dokładnie przebadany; w ciągu minionych dziesięciu lat opublikowano ponad trzydzieści artykułów na ten temat. Jeśli nie będzie pani w stanie znaleźć ich osobiście, chętnie podam tytuły. Znajdzie tam pani szereg dość skomplikowanych hipotez, próbujących wyjaśnić gwałtowny wzrost liczby publikacji afrykańskich naukowców w czasopiśmie fachowych, liczbę cytowań z tych artykułów, liczbę przyznanych afrykańskim naukowcom patentów i Nagród Nobla z fizyki i chemii. Jeżeli weźmiemy pod uwagę pani dziedzinę, obawiam się niestety, że jest pani pozostawiona sama sobie. Nie mogę znaleźć ani jednego artykułu naukowego, które oferuje jakiegokolwiek wyjaśnienie, dlaczego dane dowodzą, iż z dziewięćdziesięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem od chwili ustanowienia nagrody Bookera ustalono kontyngent nagród dla ściśle określonej, wątpliwej intelektualnie grupy: pismaków, którzy powinni zostać w reklamie.

Audytorium gruchnęło śmiechem. Walsh stała jeszcze kilka sekund, po czym usiadła z podkreślaną godnością: bez krztyny żalu, bez wstydu, bez

zażenowania. Nie było najmniejszej wątpliwości, że „Planet Noise” znajdzie sposób na przekręcenie tej wymiany zdań tak, by przedstawić ją jako zwycięstwo Walsh: *SŁAWA NAUKI, SKONFRONTOWANA Z FAKTAMI, OBRAŻA SZANOWANĄ AUTORKE*. Większość mediów doniesie jednak, że Mosala z umiarem odpowiedziała na rozmyślną prowokację.

Padło jeszcze kilka pytań – nieszkodliwych i technicznych – po czym ogłoszono koniec konferencji. Obszedłem scenę, gdzie czekała na mnie Karin De Groot.

Była bez wątpienia ikobietą, wyglądała wcale nie „w połowie androgynicznie”, w jej wyglądzie było coś znacznie bardziej specyficznego. Podczas gdy ukobiety i umężczyźni podkreślali specyficzne płciowo rysy twarzy, a aseksy je eliminowały, pierwsze ikobiety i pierwsi imężczyźni stworzyli model ludzkiego systemu wzrokowego i znaleźli całkiem nowe klastry parametrów, które mogły sprawić, by od pierwszego wejrzenia byli uznawani za coś całkowicie odmiennego – bez czynienia z nich jednorodnych tworów.

Uścisnęła moją dłoń, po czym poprowadziła mnie do jednej z mniejszych sal konferencyjnych.

– Obchodź się z nią delikatnie, dobrze? To, co się działo, nie było zbyt przyjemne.

– Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek lepiej sobie poradził.

– Nie chciałabym mieć Violet za wroga, nigdy nie odparowuje ciosu bez przemyślenia, nie znaczy to jednak, że jest z kamienia.

W sali ze stołem i krzesłami na dwanaście osób czekała na mnie Mosala – sama. Właściwie spodziewałem się osobistego ochroniarza, ale z drugiej strony, mimo posiadania fanklubu, nie była w tej samej lidze co piosenkarze

rockowi. Pomijając złowieszcze przepowiednie Kuwale, ochrona prawdopodobnie wcale nie była jej potrzebna.

Przywitała się serdecznie.

– Przykro mi, że nie mogliśmy spotkać się wcześniej, ale nie zarezerwowałam sobie czasu. Po tylu spotkaniach z Sarah Knight uznałam, że faza planowania została zakończona.

Po tylu spotkaniach z Sarah Knight? Bez zgody SeeNetu faza wstępna nigdy nie powinna zajść tak daleko.

– Przykro mi, że musi pani to znów przechodzić. Kiedy program przejmuje nowy reżyser, niektóre sprawy się dublują.

Skinęła głową, ale chyba myślała o czymś innym. Usiedliśmy i porównując notatki – przejrzelśmy plan konferencji. Poprosiła, by filmować ją nie więcej jak na pięćdziesięciu procentach sesji, w których będzie uczestniczyć.

– Zwariuję, jeśli będzie mnie pan cały czas obserwował i przyłapywał na krzywieniu się z powodu czegoś, z czym się nie zgadzam.

Zgodziłem się, jednak zaczęliśmy się spierać, o które pięćdziesiąt procent chodzi; zdecydowanie chciałem filmować reakcje w trakcie wszystkich dyskusji, podczas których miano omawiać jej pracę.

Zgodziliśmy się na trzy wywiady po dwie godziny każdy – pierwszy w środę po południu.

– W dalszym ciągu nie bardzo rozumiem, jaki jest cel tego programu – stwierdziła Mosala. – Jeżeli TW, to po co kierować uwagę na mnie, a nie zająć się konferencją?

– Widzowie łatwiej rozumieją teorie, jeżeli przedstawi się ją jako coś dokonanego przez konkretną osobę. – Wzruszyłem ramionami. – Tak przynajmniej uważa dyrekcja stacji, a publiczność w to uwierzyła. – SeeNet było skrótem od Science, Education and Entertainment Network [(ang.)

nauka, edukacja i rozrywka], ale „nauka” była częstym źródłem zażenowania wynikającego stąd, że rzadko bywa automatycznie ciekawa i wymaga polania grubą warstwą lukru. – Chodzi też o możliwość zahaczenia o szersze tematy, coś, co wpływa na pani codzienne życie. Na przykład Kultury Ignorancji.

– Nie uważacie, że już dość się o nich mówi? – stwierdziła oschle Mosala.

– Może, ale w większości przedstawiciele tych nurtów sami decydują o tym, jak. Ten reportaż może dać ludziom okazję spojrzenia na nich pani oczami.

Roześmiała się.

– Chce pan, bym powiedziała widzom, co sędzę o kultach? Jeśli zacznę, nie zostanie czasu na nic innego.

– Mogłaby się pani ograniczyć do wielkiej trójki. Mosala zawahała się. De Groot ostrzegawczo na mnie popatrzyła, zignorowałem ją jednak.

– Kultura Najpierw?

– Kultura Najpierw jest najżałośniejsza. To ostatnia kryjówka dla ludzi, którzy uważają się za „intelektualistów”, pozostając kompletnymi analfabetami naukowymi. Większość z nich tęskni za epoką, kiedy jedna trzecia planety była pod kontrolą ludzi, których definicja „cywilizowanej edukacji” oznaczała naukę łaciny, historii militarnej Europy i wierszoklectwa kilku wyrosniętych brytyjskich uczniów.

Aż wyszczerzyłem zęby.

– Renesans Mistyczny? Mosala ironicznie się uśmiechnęła.

– Zaczyna się u nich od bardzo dobrych intencji, prawda? Twierdzą, że większość ludzi jest ślepa na otaczający świat: jak lunatycy krążący niczym w tańcu żywych trupów między przyziemną pracą a ogłupiającą rozrywką. Zgadzam się z tym w stu procentach. Twierdzą następnie, że chcieliby, by

każdy człowiek na tej planecie „dostroił się” do wszechświata, w którym żyjemy, i poczuł ten sam zachwyt co oni, gdy „stykają się z niezwykłością wszystkiego”, zawrotną wielkością wszechświata oraz skalami czasu kosmologii, nieskończenie bogatą złożonością biosfery, dziwacznymi paradoksami mechaniki kwantowej. Cóż, wszystkie te rzeczy i we mnie budzą zachwyt – czasami – tyle tylko, że zwolennicy Renesansu Mistycznego traktują to jako cel sam w sobie. Chcą, by nauka wycofała się z badania czegokolwiek, co doprowadza ich do rauszu dzięki nieskazitelnej, nie wyjaśnionej postaci – na wypadek, gdyby miało się okazać, że jeśli coś zostanie lepiej zrozumiane, przestanie im dawać kopa. Wszechświat wcale ich jednak nie interesuje, nie więcej niż ludzi, którzy uromantyczniają życie zwierząt, tworząc komiksowy świat bez rozlewu krwi, albo tych, którzy zaprzeczają zniszczeniu środowiska, bo nie chcą zmienić trybu życia. Zwolennicy Renesansu Mistycznego poszukują tylko takiej prawdy, która im służy, czyli wywołuje „odpowiednie” emocje. Gdyby byli uczciwi, wsadziliby sobie do mózgów rozgrzany drut w miejsce dające wrażenie znajdowania się w stanie permanentnego objawienia – bo tak naprawdę o nic innego im nie chodzi.

Było to bezcenne, w żadnym oświadczeniu Mosala nie zaatakowała tak mocno kultów. Nie oficjalnie.

– Skromna Nauka!?

Oczy Mosali wściekle błysnęły.

– Są najgorsi, z dużym odstępem. Najbardziej protekcyjni, najbardziej cyniczni. Janet Walsh została wybrana jedynie z powodów taktycznych i tak naprawdę jest figurantem, większość faktycznych przywódców jest znacznie lepiej wykształcona. W swej kolektywnej mądrości postanowili, że kruchy kwiat, jakim jest kultura ludzka, nie przeżyje dalszych odkryć dotyczących tego, czym naprawdę są ludzkie

istoty albo jak funkcjonuje wszechświat. Jeżeli wypowiadają się przeciwko nadużywaniu biotechnologii, popieram ich w całości. Jeżeli protestują przeciwko badaniom nad nowymi systemami broni, robię to samo. Jeżeli opowiadają się za spójnym systemem wartości, który by sprawił, że większość bezlitosnych prawd naukowych stałaby się mniej obca dla zwykłych ludzi... oczywiście bez poddawania tych prawd w wątpliwość... nie zamierzam się z nimi kłócić, jeśli jednak postanawiają, że wszelka prawda – przekraczająca granicę, którą sami wyznaczają – jest wrogiem cywilizacji i normalności i jakaś samozwańcza elita kulturalna ma ad hoc stworzyć „afirmujące życie” mity, które zastąpią „niepożądane” prawdy naukowe w celu... wzniesienia ludzkiej egzystencji na wyższy – i politycznie wskazany – poziom... wtedy stają się najgorszego rodzaju cenzorami i reprezentantami inżynierii społecznej.

Nagle dostrzegłem, że szczupłe ramiona Mosali drżą. Była bardziej wściekła, niż okazywała.

– Zbliża się dziewiąta, może więc dokończymy po wykładzie Buzzo, jeśli będzie pani miała chwilę czasu? – spytałem.

De Groot dotknęła jej łokcia. Zbliżyły się głowami i długo, po cichu, rozmawiały.

– Mamy wyznaczony termin na środę, tak? – powiedziała w końcu Mosala. – Przykro mi, ale nie mam przed tym terminem czasu.

– Oczywiście, nie ma problemu.

– A te komentarze są nieoficjalne – dodała. – Nie do wykorzystania.

– Poważnie?

– Mieliśmy omawiać plan zdjęć. Nic z tego, co teraz powiedziałam, nie było planowane do publikacji.

– Umieszczę to w kontekście... – zacząłem błagać. – Janet Walsh postanowiła panią obrazić i w trakcie konferencji prasowej zachowała pani

spokój, powstrzymała się, ale potem przedstawiła szczegółowo swoją opinię. Co w tym złego? Chce pani, by Skromna Nauka! zaczęła panią cenzurować?

Mosala zamknęła na chwilę oczy, po czym odrzekła: – Zgadza się, to są moje opinie i mam do nich prawo. Mam także prawo decydować, kto ma ich wysłuchać, a kto nie. Nie zamierzam rozkręcać tego bałaganu, więc niech pan uszanuje moje życzenie i powie, że nic z tego materiału nie zostanie wykorzystane.

– Nie musimy teraz podejmować ostatecznej decyzji. Mogę przesłać wstępnie zmontowany materiał i...

Mosala odrzuciła to machnięciem ręki.

– Podpisałam z Sarah Knight porozumienie, że mogę zawetować wszystko natychmiast i nie będzie żadnych pytań.

– To umowa prywatna z nią, nie z SeeNetem. SeeNet ma od pani standardową zgodę.

Mosala nie wyglądała na zadowoloną.

– Wie pan, o co chciałam zapytać? Sarah powiedziała, że wyjaśni mi pan, dlaczego w ostatniej chwili musiał pan przejść program. Po włożeniu w przygotowanie tak wielkiej pracy zostawiła mi na sekretarce dziesięciosekundową wiadomość: „Zostałam zdjęta, nowym reżyserem jest Andrew Worth, wyjaśni ci, dlaczego”.

– Być może Sarah nie do końca dokładnie wszystko przedstawiła. SeeNet nigdy nie wyznaczyła jej oficjalnie do kręcenia programu, a rozmowy z panią zaczęła nie Sarah, lecz stacja. Nigdy nie był to projekt wykonywany przez niezależną osobę, która zamierza zaoferować go stacji telewizyjnej. Był to projekt SeeNetu, który Sarah chciała reżyserować, poświęciła więc sporo prywatnego czasu, aby go jej przydzielono.

– A dlaczego do tego nie doszło? – spytała De Groot. – Tyle badań, przygotowań, jej entuzjazm... dlaczego nie dało to efektu?

Co miałem powiedzieć? Że ukradłem program osobie, która najbardziej na niego zasługiwała? Żeby mieć wakacje na południowym Pacyfiku i móc trzymać się z dala od stresów poważnej frankensteinonauki?

– Kierownictwo SeeNetu żyje we własnym, zamkniętym świecie. Gdybym był w stanie zrozumieć, w jaki sposób podejmuje decyzje, prawdopodobnie bym do niego należał.

De Groot i Mosala potraktowały mnie z milczącą niewiarą.

..12..

TechnoLalia, główny rywal SeeNetu, upierała się przy określaniu Henry’ego Buzzo jako „ogólnie czczonego guru fizyki transmilenijnej” i często sugerowała, że powinien jak najszybciej odejść na emeryturę, pozostawiając pole do popisu młodszym kolegom, zajmującym się bardziej dynamicznymi komunałami: *Wunderkinder* i *enfants terrible* „surfującym po posiadającej nieskończoną liczbę wymiarów *nouvelle vague* praprzestrzeni”. (Lydia uważała TL za prostaków, „sam czad i zero mózgu”. Nie spierałem się z tym, choć często się obawiałem, że SeeNet tak samo skończy). Buzzo w 2036 roku został współlaureatem Nagrody Nobla – z siedmioma innymi twórcami Standardowej Zunifikowanej Teorii Pola – ale teraz próbował ją zniszczyć, a przynajmniej zastąpić nową teorią. Przypomniało mi się dwóch fizyków z początków XX wieku: J.J. Thomson, który odkrył swobodne elektrony, i George Thomson, jego syn, który wykazał, że mogą się zachowywać jak fale. Nie było to zaprzeczenie wizji, lecz jej poszerzenie i bez wątpienia Buzzo miał nadzieję dokonać czegoś podobnie wielkiego, tyle że w jednym pokoleniu.

Był wysokim, łysym, mocno pomarszczonym mężczyzną i choć miał osiemdziesiąt trzy lata, nie było po nim widać oznak słabości. Znakomicie mówił i zdawał się krzesać skry ze słuchających go ekspertów MWT, ale nawet jego wyszukane dowcipy, z których słuchacze tak się śmiali, aż dostawali kolki, przerastały mnie. We wprowadzeniu wypowiedział mnóstwo znajomych mi fraz i przedstawił masę równań, które już kiedyś widziałem, ale gdy zaczął pracować z tymi równaniami, moja mądrość się skończyła. Od czasu do czasu pokazywał wykresy: poskręcane szarobiałe

rury o pokratkowanych na zielono powierzchniach i przenikających je niczym węże, jasnoczerwonych izoliniach. Z jednego punktu wykwiwały tryplety wzajemnie prostopadłych do siebie wektorów, po czym przesuwały się wokół pętli albo węzła, po drodze przechylając się i skręcając. Kiedy zacząłem widzieć w tych diagramach jakiś sens, Buzzo machnął na nie pogardliwie ręką i stwierdził mniej więcej: – Nie mogę państwu pokazać najistotniejszego aspektu – tego, co się dzieje w wiązce ram liniowych – ale jestem pewien, że możecie to sobie wyobrazić: wystarczy umieścić tę płaszczyznę w dwunastu wymiarach...

Siedziałem dwa (puste) fotele na lewo od Mosali, ledwie miałem jednak odwagę na nią spoglądać. Kiedy to robiłem, zawsze patrzyła na Buzzo, ale z kamiennym wyrazem twarzy. Nie umiałem sobie wyobrazić, co jej zdaniem, uczyniłem, aby przejąć reżyserię programu. (Przekupstwo? Wymuszenie? Seks? Gdyby tylko SeeNet był tak bizantyński...). W sumie nie liczyło się, jak to zrobiłem – niesprawiedliwość rezultatu końcowego była ewidentna, jednoznaczna.

– Tak więc ta całka daje nam w efekcie stałą! – stwierdził Buzzo. Ostatni diagram, ukazujący wyraźne kontury splecionych rur, nagle się rozmazał, tworząc amorficzną szarozieloną mgłę – symbolizując przesunięcie z konkretnej czasoprzestrzeni do jej generalizacji w praprzestrzeni – ale trzy wektory, które posłał, by okrążyły symulowany wszechświat, pozostały takie same. We wszystkich MWT „stałe” to wielkości fizyczne, niezależne od takich zjawisk, jak zakrzywienie czasoprzestrzeni w interesującym nas miejscu czy liczba wymiarów. Znajdowanie stałych było jedynym sposobem na wydobywanie ze zniechęcającej nieokreśloności praprzestrzeni jakiegokolwiek spójnej fizyki. Skoncentrowałem wzrok na stałych wektorach Buzzo, w końcu nie całkiem się pogubiłem. – To jednak oczywiste. Teraz będzie skomplikowana część: wyobraźcie sobie państwo rozszerzenie tego

samego operatora do przestrzeni, w których zakrzywienie Ricciego nigdzie nie jest zdefiniowane...

Teraz się pogubiłem.

Zastanawiałem się poważnie nad kolejnym telefonem do Sarah i zapytaniem jej, czy nie chciałaby z powrotem przejąć *Violet Mosali*. Mógłbym oddać jej materiał, który do tej pory nakręciłem, wygładzić z Lydią administracyjne sprawy i odpełznąć dokądś, by zebrać się do kupy – po odejściu Giny, po *Śmieciowym DNA* – nie udając, że robię cokolwiek innego poza lizaniem ran. Wmawiałem sobie, że nie mogę sobie pozwolić na życie bez pracy – nawet na miesiąc – ale była to jedynie sprawa przyzwyczajień, nie braku pieniędzy, bo nie mając się z kim podzielić czynszem i tak musiałem się przeprowadzić. *STAN WYCZERPANIA* utrzymałby mnie w stanie spokojnego otumanienia przynajmniej przez rok, niezależnie jednak od tego, co zrobię z tym materiałem, wrócę na peryferie.

Nie mam pojęcia, co powstrzymało mnie przed wyjściem z tego niezrozumiałego wykładu i ucieczką przed uzasadnionym niesmakiem Mosali. Duma? Upór? Bezwład? Czyżby wszystko sprowadzało się do kultów? Taktyka Walsh mogła robić się już tylko bardziej obrzydliwa, a to sprawiało, że porzucenie projektu byłoby jeszcze większą zdradą. Zgodziłem się na żądanie SeeNetu, by w *Śmieciowym DNA* pokazać frankensteinonaukę – teraz miałem szansę to odpokutować, pokazując światu kogoś, kto opiera się kultom. Mimo gadania Kuwale, nic nie wskazywało na to, że retoryka będzie musiała ustąpić przemocy. To była fizyka, na poziomie jedynie dla kilku wtajemniczonych, a nie biotechnologia – i nawet na konferencji w Zambii, gdzie ostatni raz widziałem Walsh, to (jak zwykle) Obraz Boga, a nie Skromna Nauka! obrzuciła publiczność małpimi embrionami i oblała nie sympatyzujących z nią dziennikarzy ludzką krwią. Ani jedno ugrupowanie fundamentalistów

religijnych nie uznało za warte wysiłku zająć się Konferencją Einsteińską; TW były albo poza ich możliwościami intelektualnymi, albo niegodne ich pogardy.

– To nonsens – powiedziała cicho Mosala. Spojrzałem na nią zmęczony. Uśmiechała się. Odwróciła się do mnie i zapominając o wrogości, szepnęła: – On się myli! Uważa, że znalazł sposób na odrzucenie różnych topologii izolowanego punktu i wypichcił izomorfizm, który redukuje je do zestawu pomiarów o wartości zerowej. Tyle tylko, że stosuje błędną miarę. W tym kontekście powinien zastosować miarę Perriniego, nie Saupego! Jak mógł tego nie zauważyć?

Miałem bardzo niejasne pojęcie, o czym mówi. Topologie punktu izolowanego określały „przestrzenie”, które nie dotykały niczego innego. „Miara” oznaczała coś w rodzaju generalizacji długości, jakby powierzchnię albo objętość w wyższym wymiarze, tyle że zawierały znacznie bardziej skomplikowane abstrakcje. Kiedy sumowało się coś przez wszystkie topologie, mnożyło się każdy składnik nieskończonej sumy poprzez „miarę” tego, „jak wielka” była dana topologia. Przypominało to nieco wyważanie ogólnoświatowej średniej jakiegoś wskaźnika statystycznego w zależności od ludności poszczególnych krajów, ich powierzchni, produktu narodowego brutto albo innej stosunkowo ważnej zmiennej.

Buzzo sądził, że znalazł sposób na obliczenie każdej istniejącej wielkości fizycznej, co sprawiało, że efektywny wkład wszystkich wszechświatów punktu izolowanego sumował się do zera.

Mosala uważała, że się pomylił.

– Wytknie mu to pani, kiedy skończy? Odwróciła się do mównicy i uśmiechnęła pod nosem.

– Zaczekamy i zobaczymy. Nie chcę go wprawiać w zakłopotanie. Poza tym na pewno ktoś jeszcze to zauważy.

Nadszedł czas na zadawanie pytań. Wysłałem mózgownicę, by ocenić, czy któreś z przedstawionych zagadnień nie było pierwotnym pomysłem Mosali, i stwierdziłem, że chyba żadne. Kiedy wykład się skończył, a ona nie zadała ani jednego pytania, zapytałem wprost: – Dlaczego nic pani nie powiedziała? Zdenerwowało ją to.

– Może źle go zrozumiałam. Muszę się jeszcze zastanowić. To nie jest trywialne pytanie, może miał uzasadniony powód, dla którego dokonał akurat takiego wyboru.

– To było preludium do jego wykładu w niedzielę, prawda?

Przecieranie śladów wiekopomnemu dziełu? – Buzzo, Mosala i Yasuko Nishide mieli ostatniego dnia konferencji przedstawić – w porządku alfabetycznym prelegentów – swoje konkurencyjne TW.

– Zgadza się.

– Więc... jeżeli myli się co do wyboru miary, może... dać tam plamę?

Mosala długo, uważnie mi się przypatrywała. Może wreszcie udało mi się zepchnąć na nią decyzję: jeżeli całkowicie odmówi współpracy, pozostawiając mój program bez tematu, nie będę miał powodu dłużej tu siedzieć.

– Mam dość problemów z określaniem, czy moje własne techniki są rzetelne, i brakuje mi czasu na robienie ekspertyz czyjejś pracy – odparła chłodno i popatrzyła na swój notepad.

– Myślę, że wyczerpaliśmy limit zdjęć na dziś, jeśli więc pan wybaczy... jestem umówiona na obiad.

Poszła w kierunku jednej z hotelowych restauracji, odwróciłem się więc w przeciwnym i wyszedłem z hotelu. Południowe niebo było olśniewające; w cieniach markiz budynki miały subtelne barwy, ale w jaskrawym słońcu

przypominały najstarsze dzielnice niektórych miast w Afryce Północnej – wyłącznie biały kamień na tle błękitnego nieba. Ze wschodu wiała bryza, która przynosiła zapach oceanu – ciepła, ale nie nieprzyjemna.

Szedłem bocznymi uliczkami, nie wybierając trasy, aż doszedłem do prostokątnego placu. Na jego środku znajdował się mały, okrągły park, o średnicy może dwudziestu metrów: bujna trawa – dzika i nie koszona – na której rozrzucono niewysokie palmy. Pomijając hotel, była to pierwsza roślinność, jaką tu widziałem. Ziemia była na Bezpaństwie luksusem – wszystkie minerały, choć w ilościach śladowych, można było wydobyć z oceanu, ale próba dostarczenia na wyspę dobrej ziemi w ilości wystarczającej do celów rolniczych oznaczałaby przeczesanie kilka tysięcy razy wody potrzebnej do produkcji alg i planktonu, które zaspokajały takie same potrzeby żywieniowe.

Wpatrywałem się w skromną plamę zieleni i im dłużej patrzyłem, tym bardziej widok mnie denerwował. Chwilę potrwało, nim zrozumiałem, dlaczego.

Wyspa była sztucznym tworem, jak budynek z metalu i szkła. Utrzymywały ją na powierzchni zmodyfikowane za pomocą inżynierii genetycznej formy życia, których dzicy przodkowie tak się do nich mieli, jak prastare kawały wytopionej rudy do błyszczącego tytanowego stopu. Małe parki, którymi nie był niczym innym jak wielką rośliną w donicy, powinny bezlitośnie przebić się korzeniami przez swój dom i przekłuć iluzję, że stoję na czymś innym niż wielka maszyna.

Nie robił tego.

Widziałem Bezpaństwo z powietrza, rozkładające „ramiona” w Pacyfik i tak organicznie piękne jak każdy inny żywy twór na tej planecie. Wszystkie tutejsze cegły i kafelki nie zostały wypalone w piecu, a wyhodowane w morzu. Cała wyspa wyglądała – na swój sposób – tak „naturalnie”, że trawa

i drzewa wyglądały sztucznie. Ta łąka dzikiej, „autentycznej” przyrody wyglądała obco i nienaturalnie.

Siedziałem na ławce, oczywiście zrobionej ze skały rafowej, choć nieco miększej niż chodniki czy jezdnie. Mniej minerału, więcej polimeru? Skrywał mnie cień jednej z (na ironię?) ukształtowanych jak palma rzeźb otaczających park. Nikt nie chodził po trawie, więc też tego nie zrobiłem. Nie odzyskałem jeszcze apetytu, siedziałem więc tylko i owiewany ciepłym powietrzem, leniwie obserwowałem przechodzących ludzi.

Mimo woli napłynęły śmiechu warte marzenia o pozbawionych zmartwień, nie kończących się niedzielnych popołudniach z Gina. Dlaczego wpadłem na pomysł, że mogłaby mieć ochotę na siedzenie ze mną przez resztę życia przy fontannie w Epping? Jak mogłem tak długo wierzyć w to, że jest szczęśliwa... jeżeli w sumie sprawiłem jedynie, iż czuła się ignorowana i niedostrzegana, przyduszona i uwięziona?

Zapisał mój notepad; kiedy wyjąłem go z kieszeni, Syzyf oznajmił: – Właśnie opublikowano epidemiologiczne statystyki WHO za marzec. Zanotowano 523 przypadki *STANU WYCZERPANIA*. To trzydziestoprocentowy przyrost w ciągu miesiąca. – Na ekranie pojawiła się grafika. – W marcu zgłoszono więcej nowych przypadków niż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– Nie pamiętam, bym prosił cię o tę informację – mruknąłem tępo.

– W zeszłym roku, siódmego sierpnia o 21:43, w pokoju hotelowym w Manchesterze powiedziałeś: „Poinformuj mnie, jeżeli liczby zaczną rosnać”.

– Dobrze. Mów dalej.

– Od ostatniego razu, kiedy pytałeś, opublikowano dwadzieścia siedem nowych artykułów w prasie. – Pojawiła się lista tytułów. – Chcesz usłyszeć streszczenia?

– Raczej nie.

Podniosłem wzrok znad ekranu i zauważyłem, że po przeciwległej stronie parku siedzi przy sztalugach jakiś mężczyzna i maluje. Był krępy, człowiekiem białej rasy, miał mniej więcej pięćdziesiąt parę lat i opaloną, pomarszczoną twarz. Ponieważ nie jadłem, powinienem wykorzystać przyzwoicie czas i jeszcze raz wysłuchać wykładu Henry’ego Buzzo albo starannie przeszukać materiały. Po kilku minutach kontemplowania tej perspektywy wstałem i poszedłem obejrzeć powstające dzieło.

Obraz był impresjonistycznym ujęciem placu. No, może częściowo impresjonistycznym: palmy i trawa wyglądały jak plamy zielonego światła, odbijającego się na nierównej szybie okiennej, przez którą oglądało się resztę, budynki i nawierzchnie były odwzorowane tak realistycznie, jak zrobiłby to każdy komputer. Obraz został namalowany na materiale zwanym „Przejście”, który zmieniał barwę pod dotknięciem elektrycznego rysika. Różne napięcia i częstotliwości prądu sprawiały, że znajdujące się w materiale jony metalu przesuwały się z różną prędkością ku znajdującemu się na wierzchu białemu polimerowi, a efekt był taki, jakby z niczego pojawiał się olejny obraz. Słyszałem opinię, że stworzenie pożądanego koloru było tak samo wielką sztuką, jak mieszanie farb olejnych. Bez trudu dało się oczywiście odwrócić proces, zmiana polaryzacji prądu powodowała, że wszystkie pigmenty zniknęły.

Nie odwracając ku mnie głowy, malarz powiedział: – Pięćset dolarów. – Miał wiejski australijski akcent.

– Jeżeli mam być obrabowany, wolę, by zrobił to ktoś miejscowy – odparłem.

Popatrzył na mnie z udawaną urazą.

– Dziesięć lat mnie nie kwalifikuje? Czego pan chce? Książki genealogiczne?

– Dziesięć lat? Przepraszam. – Dziesięć lat oznaczało, że praktycznie był pionierem. Bezpaństwo zaczęło hodować w 2032 roku, niemal dekadę trwało jednak, nim nadawało się do zamieszkania i stało się samowystarczalne. Byłem zaskoczony, gdyż założyciele i większość pierwszych osadników pochodzili ze Stanów.

– Nazywam się Andrew Worth. Przyjechałem na Konferencję Einsteinowską.

– Bill Munroe. Przyjechałem tu ze względu na światło. – Nie wyciągnął ręki.

– Nie stać mnie na obraz, ale mogę panu postawić obiad, jeśli jest pan zainteresowany.

Zerknął na mnie kwaśno.

– Jest pan dziennikarzem.

– Obsługuję konferencję. Nic poza tym, choć jestem ciekaw... wyspy.

– To niech pan o niej poczyta. Wszystko jest w sieciach.

– Tak, ale przeczy sobie. Nie umiem oddzielić, co jest propagandą, a co nie.

– Dlaczego sądzi pan, że cokolwiek, co mógłbym powiedzieć, może być rzetelniejsze?

– Szczerze? Nie wiem.

– Dlaczego ja? – westchnął i odłożył rysik. – W porządku. Obiad i anarchia. W tej kolejności. – Ruszył przez plac.

Stałem w miejscu.

– Chyba nie zamierza pan tego tak zostawić? – Szedł dalej, dogoniłem go. – Pięćset dolarów plus sztalugi i rysik i zamierza pan zaufać ludziom, że nikt tego nie tknie?

Popatrzył na mnie z irytacją, po czym odwrócił się i pomachał notepadem w kierunku sztalug. Wydały krótki, rozrywający uszy pisk.

Kilka osób odwróciło się.

– Nie macie tam, skąd pan pochodzi, plakietek alarmowych? Poczułem, że się czerwienię.

Munroe wybrał tanio wyglądającą kafejkę z ogródkiem i z lady samoobsługowej wybrał parującą białą miksturę. Tak załatywało od niej rybą, że zebrało mi się na wymioty, co wcale nie oznaczało, że w środku było cokolwiek, co miało jakikolwiek związek z mięsem jakiegoś kręgowca. Znów straciłem wszelki ślad apetytu.

Zaczął opowiadać, kiedy wpisywałem aprobatę płatności za jego danie.

– Niech pan tylko nie mówi, że jest pan bardzo zaskoczony wykorzystywaniem przez nas do wymiany towarowej kredytów międzynarodowych, istnieniem wolnych instytucji żywieniowych, moim bezwstydnym przywiązaniem do własności prywatnej i wszystkimi innymi pułapkami kapitalizmu, które widzi pan wokół.

– Robił pan to już przedtem, więc jak brzmi szablonowa odpowiedź na szablonowe pytanie?

Munroe wyniósł talerz do stolika, skąd miał dobry widok na sztalugi.

– Bezpaństwo jest demokracją kapitalistyczną. Liberalną demokracją socjalistyczną. Związkiem kolektywów. I kilkoma setkami innych rzeczy, których nazw nie znam.

– Chce pan powiedzieć, że... tutejsi ludzie działają tak, jakby byli w każdym z wymienionych społeczeństw?

– Tak, ale to sięga głębiej. Większość ludzi dołącza do syndykatów, które de facto są modelami różnych społeczeństw. Ludzie chcą mieć wolność wyboru, ale także pewien stopień stabilizacji, wchodzą więc w umowne struktury, które dają im ramy pozwalające organizować sobie życie; możliwe jest oczywiście wyjście z danej struktury, ale w końcu większość demokracji dopuszcza emigrację. Jeżeli sześćdziesiąt tysięcy

ludzi jednego syndykatu zgodzi się – oblicza się to – że chce wpłacać część dochodu na fundusz zdrowotny, edukacyjny i dobroczynny, który jedzie dokładnie rozdysponowany przez komisję złożoną z wybranych delegatów, to choć nie mają parlamentu ani szefa państwa, dla mnie są demokracją socjalistyczną.

– Czyli wybrany w wolnych wyborach rząd nie jest zakazany, ale generalnie – jesteście anarchistami, tak? Są uniwersalne prawa, które każdy musi respektować?

Jest kilka zasad, które popiera większość mieszkańców, podstawowe zasady dotyczące niestosowania przemocy i przymusu. Są powszechnie znane i kto się z nimi nie zgadza, lepiej niech tu nie przyjeżdża. Nie chcę dzielić włosa na czworo – nazwijmy je prawami. Czy w takim razie jesteśmy anarchistami czy nie? – Munroe zrobił niezdecydowaną minę. – Anarchia oznacza „brak władcy”, a nie „brak praw”, ale na Bezpaństwie nikt nie będzie marnował snu po to, aby roztrząsać finezje greckiej semantyki – albo dzieł Bakunina, Proudhona czy Godwina. Osobiście uważam, że pojęcie to niesie ze sobą zbyt wiele balastu historycznego, by warto je było ratować. Żadna strata. Większość dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych ruchów anarchistycznych grzęzła – tak samo jak marksizm – na sprawie odebrania władzy klasom rządzącym. Na Bezpaństwie rozwiązano to bardzo prosto: w 2025 roku sześciu pracowników kalifornijskiej firmy biotechnologicznej o nazwie EnGeneUity uciekło ze wszystkimi informacjami koniecznymi do dokonania zasiewu. Większość była ich dziełem, jeśli nie wręcz własnością. Zabrali także szereg bioinżynierijnie wytworzonych komórek z różnych kultur, ale tylko tyle, by nie zauważono braku. Zanim świat się dowiedział, że Bezpaństwo rośnie, mieszkało już tu – na zmianę – kilkaset osób i wysterylizowanie tego miejsca narobiłoby sprawcom kiepskiej opinii. Tak

wyglądała nasza „rewolucja”. Rytm odmierzający nasze życie w koktajlach Mołotowa.

– Poza tym, że kradzież oznacza bojkot.

Munroe wzruszył ramionami.

– To duże utrudnienie, ale Bezpaństwo z bojkotem jest ciągle jeszcze lepsze od alternatywy – wyspy w prywatnych rękach, gdzie każdy metr kwadratowy jest czyjąś własnością. Wystarczy, że licencjonowane są wszystkie zbiory na planecie; niech pan sobie wyobrazi, że tak samo jest z ziemią pod pańskimi stopami.

– Rozumiem – odparłem. – Tak więc technologia pozwoliła wara stworzyć na skróty nowe społeczeństwo; wszystkie dotychczasowe modele się nie liczyły. Bez inwazji ani ludobójstwa, krwawych powstań, oziębłych reform społecznych. Jak na razie proste. Nie rozumiem, co spaja to miejsce.

– Małe bezkręgowce.

– Mam na myśli politycznie. Munroe wyglądał na zdziwionego.

– Spaja przeciwko czemu? Przed wybuchem anarchii?

– Przed przemocą. Grabieżami. Prawem tłuszczy.

– Po co trudzić się podróżą na środek Pacyfiku, by osiągnąć coś, co da się uzyskać w każdym mieście świata? Uważa pan, że wzięliśmy na siebie te wszystkie niewygodności, aby pobawić się we „władcę much”?

– Nie z rozmysłem. Jeżeli coś wybucha w Sydney, wysyła się oddziały do tłumienia zamieszek. W Los Angeles na ulice wychodzi Gwardia Narodowa.

– Mamy wyszkoloną milicję dysponującą niemal nieograniczonym prawem do stosowania rozsądnej siły, by w sytuacjach zagrożenia chronić ludzi i ważne dla istnienia wyspy zasoby. – Uśmiechnął się. – „Ważne zasoby”, „siły reagowania w sytuacjach zagrożenia”... brzmi jak w domu, prawda? Tyle tylko, że sytuacja zagrożenia jeszcze nigdy nie zaistniała.

– Dlaczego?

Munroe pomasaował czoło i kiedy odpowiedział, wyraźnie potraktował mnie jak przesadnie ciekawskie dziecko.

– Dobra wola? Inteligencja? Inna dziwna siła z zaświatów?

– Pytam poważnie.

– Jest kilka oczywistych spraw. Przybywający tu ludzie odznaczają się idealizmem nieco większym od przeciętnego. Chcą, żeby Bezpaństwo funkcjonowało – inaczej by tu nie przyjeżdżali, oczywiście pomijając zdarzających się *agent provocateurs*. Są przygotowani do konieczności współpracy. Nie mam na myśli mieszkania w zbiorowych sypialniach, udawania, że wszyscy są jedną wielką rodziną i śpiewania na przyjęciach zakładowych podnoszących nastrój hymnów – choć coś w tym jest – ale to, że są gotowi zachowywać się elastyczniej i tolerancyjniej niż ktokolwiek, kto decyduje się zamieszkać gdziekolwiek indziej... i w tym kryje się cała tajemnica. Jest mniejsza koncentracja majątku i władzy. Może to tylko sprawa czasu, ale przy wielkiej decentralizacji dużej ilości władzy trudno ją kupić. Oczywiście, mamy własność prywatną, ale wyspa, rafy i wody są wspólne. Syndykaty, które zbierają i przetwarzają żywność, sprzedają ją za pieniądze, ale nie mają monopolu – masa ludzi odżywia się prosto z morza.

Rozejrzałem się z rozczarowaniem po placu.

– Rozumiem. Nie wyrzyniecie się ani nie macie zamieszek na ulicach, ponieważ nikt nie głoduje i nikt nie jest obrzydliwie bogaty – na razie. Naprawdę pan jednak uważa, że to się długo utrzyma? Następne pokolenie będzie tu już nie z wyboru. Co zrobicie – zindoktrynujecie je tolerancją i będziecie liczyli na optymalny rozwój wydarzeń? Nigdy jeszcze coś takiego się nie udało. Każdy eksperyment podobny do tego kończył się falą przemocy, podbiciem albo wchłonięciem... albo zawieszano go i zamieniano w państwo narodowościowe.

– Oczywiście, próbujemy przekazać dzieciom nasze wartości – jak każdy. I z mniej więcej takim samym efektem. Większość dzieci jest u nas jednak od wczesnych lat uczona socjobiologii.

– Socjobiologii? Uśmiechnął się.

– Niech pan mi wierzy – to przydatniejsze od Bakunina. Ludzie nigdy się nie zgodzą co do szczegółów organizacji społeczeństwa – i dlaczego miałyby tak być? – ale dopóki nie jest się edenitą wierzącym w to, że istnieje jakiś „naturalny”, dany od Matki–Ziemi, utopijny stan, do którego powinniśmy wszyscy powrócić, to przyjęcie jakiegokolwiek formy cywilizacji oznacza wybór swoistego rodzaju kulturowej odpowiedzi, nie pasywną akceptację, na fakt, że jesteśmy zwierzętami z określonymi, wrodzonymi popędami w zakresie zachowania. Czy reakcja będzie polegała na subtelny kompromisie, czy gwałtownym oporze, w jej wyborze pomaga dokładna wiedza, co chce się przyswoić albo przeciwko czemu zaoponować. Jeżeli ktoś rozumie biologiczne siły oddziałujące na niego oraz na otaczających go ludzi, przynajmniej ma szansę przyswoić sobie inteligentne strategie uzyskiwania tego, co chce, z minimalizacją konfliktów – zamiast szamotać się, mając w głowach romantyczne mity i życzeniowe myślenie, dar dawno zmarłych politycznych filozofów.

Zastanowiłem się nad tym. Spotykałem się z niezliczonymi szczegółowymi opisami śmiechu wartych „naukowych” utopii i planami społeczeństw, organizowanych na rzekomo „racjonalnych” podstawach, ale po raz pierwszy słyszałem, by ktoś w tym samym zdaniu opowiadał się za różnorodnością i akceptował istnienie sił biologicznych. Zamiast wykorzystywać socjobiologię do sankcjonowania sztywnej, narzuconej z góry, doktryny politycznej – co działało się od marksizmu po ideę rodziny–jądra, od zasady czystości rasowej po separatyzm płciowy: „Musimy tak żyć, ponieważ natura ludzka tego wymaga...” – Munroe sugerował, że

ludzie mogą używać wiedzy o własnym gatunku do podejmowania lepszych decyzji w osobistych sprawach.

Anarchia doinformowana. Było to ponętne, jednak w dalszym ciągu czułem się zobowiązany do sceptycyzmu.

– Z pewnością nie każdy uczy swoje dzieci socjobiologii, nawet tutaj musi być kilku kulturowych i religijnych fundamentalistów, którzy uznają ją za zbyt groźną. Co z dorosłymi imigrantami? Jeżeli ktoś przybywa tutaj, mając dwadzieścia lat, będzie tu mieszkał jeszcze mniej więcej sześćdziesiąt. Mnóstwo czasu, by stracić idealizm. Naprawdę pan uważa, że wszystko się utrzyma, po tym jak pierwsze pokolenie się zestarzeje i straci złudzenia?

Munroe był rozbawiony.

– Czy to ważne, co uważam? Jeśli naprawdę zależy panu na uzyskaniu odpowiedzi, niech pan pokręci się po wyspie, porozmawia z ludźmi, wyrobi sobie własne zdanie.

– Ma pan chyba rację. – Nie przybyłem tu jednak badać wyspy ani wyrabiać sobie opinii o jej politycznej przyszłości. Popatrzyłem na zegarek, było po pierwszej. Wstałem.

– W tej właśnie chwili dzieje się coś, co może chętnie by pan obejrzał – powiedział Munroe. – Może nawet... spróbował. Spiesz się pan?

Zawahałem się.

– To zależy.

– Myślę, że można to najlepiej określić mianem ceremonii dla nowych mieszkańców. – Musiałem nie wyglądać na zachwyconego, bo Munroe dodał: – Obiecuję, nie będzie hymnów, przysięg, złożonych zwojów. Poza tym to nic obowiązkowego – po prostu stało się modne wśród nowo przybyłych. Zwyczajni turyści też są mile widziani.

– Powie pan, o co chodzi, czy mam zgadywać?

– Mogę powiedzieć, że nazywamy to nurkowaniem lądowym, żeby jednak zrozumieć, o co chodzi, musi pan to sam obejrzeć.

Munroe spakował sztalugi i poszliśmy. Podejrzewałem, że po cichu bawiła go rola weterana oprowadzającego turystów po ekstremalnych trasach. Kiedy tramwaj jechał ku północnemu ramieniu wyspy, staliśmy w otwartych drzwiach, by maksymalnie skorzystać z bryzy. Tor przed nami był ledwie widoczny – dwa równoległe wykopy w skale, między którymi biegła szara taśma nadprzewodnika, schowana pod warstwą drobnego, kredowego pyłu.

Kiedy przejechaliśmy piętnaście kilometrów, zostaliśmy sami w wagonie.

– Kto płaci za utrzymanie tramwajów?

– Częściowo koszty pokrywają wpływy z biletów, resztę płacą syndykaty.

– A jeśli któryś syndykat postanowi nie zapłacić? Zechce naciągnąć pozostałe?

– Wtedy wszyscy się o tym dowiadują.

– A jeśli nie ma realnie z czego zapłacić? Zbiednieje?

– Większość spraw finansowych syndykatów jest podawana do wiadomości publicznej. To ich wybór, ale gdyby trzymały dane w tajemnicy, byłoby to uważane za dziwne. Każdy na Bezpaństwie może wziąć notepad i dowiedzieć się, czy majątek wyspy skoncentrował się w rękach jednego syndykatu, został wysłany poza wyspę i tak dalej i zadziałać na podstawie tej wiedzy w sposób, który uważa za stosowny.

Byliśmy daleko poza zabudowanym centrum. Wzdłuż torów stały luźno rozrzucone budynki, które wyglądały na fabryki i magazyny, coraz częściej pojawiała się jednak naga skała, płaska, ale nieco nierówna. Wapień występował we wszystkich odcieniach, jakie widziałem w mieście,

pokrywał teren pasami w ewidentnie niegeologicznym porządku, zgodnie z rozproszeniem różnych gatunków bakterii litofilnych. Tutejszy teren nie nadawałby się do hodowli skał, gdyż rdzeń wyspy był za suchy i za twardy, zbyt mało unaczyniony. Skała była nadmiernie porowata i nasycona bogatą w wapń wodą; wytworzone bioinżynieryjnie organizmy musiałyby wypełnić zbyt wiele luk. Tramwaje nie docierały do samego brzegu, ponieważ grunt robił się za miękki, by unieść ciężar wagonów.

Włączyłem Świadka i zacząłem nagrywać. Przy tej proporcji będę miał więcej prywatnych zdjęć z podróży niż materiału do filmu, ale nie mogłem się oprzeć.

– Naprawdę przyjechał pan tu dla światła? – spytałem. Munroe pokręcił głową.

– Raczej nie. Po prostu musiałem się wynieść.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu hałasu, obłudnych frazesów. Ze względu na Zawodowych Australijczyków.

– O! – Po raz pierwszy usłyszałem ten termin, kiedy studiowałem historię filmu; został wymyślony na określenie reżyserów filmowych głównego nurtu z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. Jak powiedział jeden z historyków: „Nie wyróżniali się niczym poza narodowością, nie mieli nic do powiedzenia i pokazania poza narzucaniem widzom klaustrofobicznego języka wyświechtanych narodowych mitów i ikon, przy czym głośno ogłaszali, że »definiują charakter narodowy« i reprezentują »odnajdujący swój język naród«”. Uważałem, że to dość surowa ocena, dopóki nie obejrzałem kilku ich filmów. W większości były to albo okaleczone „końskie opery” – wiejskie melodramaty kolonialne – albo przesentymentalizowane historie wojenne. Dno stanowiła prawdopodobnie komedia, w której Albert Einstein był synem

australijskiego hodowcy jabłek; „rozbijał atomy piwa” i zakochał się w Marii Curie–Skłodowskiej. – Zawsze sądziłem, że sztuki wizualne dawno z tego wyrosły. Zwłaszcza w waszym wydaniu.

Munroe jęknął.

– Nie mówię o sztuce. Mówię o dominującym typie kultury.

– Niech pan da spokój, przecież nie ma już czegoś takiego jak „dominująca kultura”. Filtr jest silniejszy od nadawcy. – Tak przynajmniej brzmiała opinia, którą podniecała się moja stacja, ale nie byłem do końca pewien, czy to kupić.

Munroe ewidentnie tego nie kupił.

– Bardzo filozoficzne. Niech pan spróbuje wyeksportować australijską biotechnologię na Bezpaństwo, zaraz się pan dowie, kto rządzi.

Nie miałem na to odpowiedzi.

– Nigdy nie poczuł się pan zmęczony życiem w społeczeństwie, które stale gada o sobie – i zazwyczaj kłamie? Które definiuje wszystko warte zachodu – tolerancję, uczciwość, lojalność, szczerłość – jako zjawiska „wyjątkowo australijskie”? Które udaje, że zależy mu na różnorodności, ale nie jest w stanie przestać bełkotać o „tożsamości narodowej”? Nigdy nie zrobiło się panu niedobrze od nie kończącej się parady bufonów, którzy uzurpują sobie prawo do przemawiania w pańskim imieniu: polityków, intelektualistów, sław, komentatorów, definiujących i charakteryzujących pana w każdym szczególe, poczynając od pańskiego „szczególnego australijskiego poczucia humoru” po jakąś popieprzoną „kolektywną podświadomą ikonografię”... a którzy są po prostu złodziejami i kłamcami?

Przez chwilę byłem naprawdę zaskoczony, po zastanowieniu się musiałem jednak przyznać, że to dość dobry opis politycznej i akademickiej kultury głównego nurtu. Jeżeli nawet nie głównego, to najgłośniejszego. Wzruszyłem ramionami.

– W każdym kraju krążą także zaściankowe kretynizmy. Stany nie są wiele lepsze, prawie już tego jednak nie zauważam – zwłaszcza w domu. Podejrzewam, że nauczyłem się przez większość czasu separować.

– Zazdroszczę panu. Ja nie byłem w stanie.

Tramwaj sunął powoli, wzbity przez niego pył cicho opadał. Munroe w jednym miał rację: nacjoniści – zarówno polityczni, jak i kulturowi – twierdzący, że są głosem swego narodu, mogli tak skutecznie pozbawiać praw obywatelskich tych, których „reprezentowali”, jak seksiści, twierdzący, że są głosem swojej płci. Garść ludzi utrzymujących, że przemawia w imieniu czterdziestu milionów – albo pięciu miliardów – zawsze będzie miała nieproporcjonalnie dużą władzę, jedynie twierdząc swoje.

Jakie więc było rozwiązanie? Przeprowadzić się na Bezpaństwo? Zostać aseksem? A może wsadzić głowę w zbałkanizowany kąt sieci i próbować udawać, że nic się nie liczy?

– Moim zdaniem lot z Sydney wystarczy, by każdy chciał się na dobre wyprowadzić. Fizyczny dowód absurdalności istnienia narodów – stwierdził Munroe.

Roześmiałem się oschle.

– Prawie. Małostkowość i mściwość względem Timoru Wschodniego to zrozumiałe. Niech pan sobie wyobrazi – tyle lat ciągać wojsko naszych partnerów handlowych, a potem mieć czelność zrobić zwrot i podać nas do sądu... nie mam jednak pojęcia, na czym polega problem z Bezpaństwem. Przecież żaden z patentów EnGeneUity nie był własnością Australii, prawda?

– Nie był.

– Więc o co chodzi? Nawet Waszyngton nie karze Bezpaństwa tak... kompleksowo.

- Mam na ten temat pewną teorię – stwierdził Munroe.
- To znaczy?
- Niech się pan zastanowi. Jak brzmi największe kłamstwo, którym ogłupia się klasa rządząca politycznie i kulturowo? Jaki jest największy rozstęp między obrazem a prawdą? Jaką cechą pyszni się najbardziej szanujący się Zawodowy Australijczyk, choć najmniej jej posiada?
- Jeżeli to ma być tani freudowski dowcip, to już mi się nie podoba.
- Autorytet. Niezależność ducha. Nonkonformizm. Co więc mogą uważać za groźniejsze od wyspy pełnej anarchistów?

..13..

Poszliśmy ze stacji końcowej dalej na północ, przez podobną do marmuru szaro–zieloną płaszczyznę, miejscami jeszcze noszącą ledwie widoczne ślady krótkich, rozgałęziających się rurek: nie do końca strawionego korala z miejsc, które dziesięć lat temu były brzegiem. Jeśli znało się skalę czasu, widok był dość szokujący; przypominał nieco potykanie się o skamieniałe artefakty z lat czterdziestych – toporne, stare notepady, ciekawe buty, supermodne jeszcze w czasach, do których sięgamy pamięcią – wszystko zamienione w zmineralizowane kontury. Zdawało mi się, że czuję znacznie bardziej niż w przypadku zbitych, zakonserwowanych, miejskich nawierzchni, jak skała rozstępuje się pod moimi stopami, nie pozostawialiśmy jednak za sobą widocznych śladów. Stałem i przyklęknąłem, by pomacać grunt, ciekaw, czy będzie wilgotny. Nie był, ale podejrzewam, że tuż pod powierzchnią – dla zmniejszenia parowania – umieszczono warstwę plastiku.

W oddali, wokół budowli kilkumetrowej wysokości, przypominającej wyrzutnię raketową z wielką silnikową wyciągarką, stało mniej więcej dwadzieścia osób. Obok zaparkowano zielonego busa z potężnymi, balonowymi oponami. Na rusztowaniu zamocowano kilka pomarańczowych markiz – głośno trzepotały na wietrze. Z wyciągarki wychodziły pomarańczowe kable, biegły w górę, do wielokrążka, skąd opadały pionowo w dół – prawdopodobnie do dziury w gruncie. Niestety resztę zasłaniali ludzie.

– Będą spuszczeni do szybu inspekcyjnego? – spytałem.

– Tak.

– Czarujący zwyczaj. Witamy na Bezpaństwie, zmęczony i głodny podróżny... teraz sprawdź nam kanalizację.

– Błąd... – prychnął Munroe.

Kiedy podeszliśmy bliżej, stwierdziłem, że wszyscy w grupie uważnie wpatrują się w dziurę obok rusztowania. Kilka osób krótko spojrzało w naszym kierunku, jedna z kobiet uniosła dłoń w niepewnym powitaniu. Odwzajemniłem gest i nerwowo się uśmiechnęła, po czym znów skierowała uwagę na dziurę.

Choć byliśmy na tyle daleko, że na pewno nas nie słyszano, szeptałem: – Wyglądają, jakby byli w miejscu, gdzie coś wybuchło. Jakby czekali, aż ratownicy wydobędą ciała.

– To zawsze jest pełne napięcia, ale... niech pan będzie cierpliwy.

Z daleka wydawało mi się, że ludzie są ubrani przypadkowo, normalnie, z bliska jednak okazało się, że większość ma na sobie kombinezony nurkowe – choć kilka osób było w zwykłych T-shirtach.

– W czym nurkują? W rurach dostarczających wodę? – Woda oceaniczna była na Bezpaństwie odsalana w specjalnych basenach znajdujących się na rafach, a świeżą wodę przepompowywano do uzupełnienia ubytków w zamkniętym systemie oczyszczania ścieków.

– To byłoby wyzwanie... – odparł Munroe. – Żadna nie jest grubsza od ramienia mężczyzny.

Zatrzymałem się w pełnej respektu odległości od grupy, czułem się jak intruz. Munroe poszedł dalej i elegancko przebił się do zewnętrznego kręgu. Nikomu zdawało się to nie przeszkadzać, nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Markizy łopotały i drżały nieproporcjonalnie mocno w stosunku do delikatnego wietrzyku ze wschodu. Podeszedłem bliżej i poczułem silny, chłodny prąd powietrza, wylatujący z otworu w skale, niosący ze sobą zatechły, wilgotny, mineralny zapach.

Kiedy zjrzałem ponad ramionami tłoczących się przede mną ludzi, stwierdziłem, że ujście tunelu jest otoczone wysokim mniej więcej do kolan murkiem, przypominającym cembrowinę studni, zrobionym z ciemnej skały rafowej albo mocnego biopolimeru; w środku znajdowała się kłapa w tęczy kolorach, teraz otwarta. Stojąca w odległości kilku metrów wyciągarka wydawała się monstrualna, była za duża i wyglądała zbyt przemysłowo, aby mogła służyć jako sprzęt do lekkomyślnego sportu. Kabel był grubszy niż się spodziewałem, nie mogłem też ocenić jego długości, ponieważ boki bębna były zamknięte i nie dało się określić, ile nawinięto warstw. Pomijając posykiwanie powietrza wokół łożysk magnetycznych, silnik był cichy, ale zwijający się kabel trzeszczał, a rusztowanie skrzypiało w rytm przewijania się kabla przez blok wielokrążka.

Nikt nic nie mówił. Pora nie była dobra na zadawanie pytań.

Rozległ się dźwięk przypominający westchnienie, wręcz chlipnięcie. Przez grupę przebiegł dreszcz podniecenia i wszyscy pochylili się wyczekująco naprzód. Z tunelu wychynęła kobieta z butlami powietrza na plecach i podniesionymi na czoło okularami nurkowymi. Mocno ścisnęła kabel. Była mokra, ale nie kapała z niej woda, z czego należało wnioskować, że lustro znajduje się znacznie niżej.

Wyciągarka stanęła. Kobieta odpięła linkę zabezpieczającą łączącą jej kamizelkę wypornościową z kablem, ludzie pomogli jej wydostać się na skraj cembrowiny, potem zejść. Podeszedłem dwa kroki naprzód i ujrzałem w dole niewielką, okrągłą platformę – szorstką, jakby wykonaną z gęsto utkanej sieci plastikowych rurek – na której kobieta została wciągnięta na górę. Do kabla przymocowana była świecąca w dwóch kierunkach lampa, mniej więcej półtora metra nad platformą.

Kobieta sprawiała wrażenie oszołomionej. Odeszła, lekko się zataczając, od grupy, usiadła na skale i, ciągle jeszcze bez tchu, uniosła głowę ku górze. Powoli i metodycznie zdjęła butle i maskę, po czym położyła się na plecach. Zamknęła oczy i wyciągnęła ramiona na boki, dłonie z rozczapierzonymi palcami ułożyła wnętrzem do dołu.

Od grupy oddzielili się mężczyzna i dwie nastoletnie dziewczyny. Stanęli tuż przy kobiecie i z niepokojem ją obserwowali. Zaczynałem się zastanawiać, czy może potrzebuje pomocy lekarskiej. Mało brakowało, bym dyskretnie poprosił Syzyfa o odświeżenie mi pamięci, jak wyglądają objawy ataku serca i jak prowadzić pierwszą pomoc, kiedy kobieta skoczyła na nogi i promiennie się uśmiechnęła. Zaczęła podniecona coś mówić do swojej rodziny – moim zdaniem, po polinezyjsku. Nie rozumiałem słów, ale tonacja była taka, jakby była mocno rozradowana.

Napięcie zniknęło, wszyscy zaczęli się śmiać i rozmawiać.

– W kolejce jest przed panem osiem osób – powiedział do mnie Munroe – ale gwarantuję: warto czekać.

– Nie jestem przekonany. Bez względu na to, co jest na dole, moje ubezpieczenie tego nie pokrywa.

– Wątpię, by pańskie ubezpieczenie obejmowało jazdę tramwajem na Bezpaństwie.

Młody, chudy mężczyzna w jaskrawych szortach w kwiaty zakładał sprzęt do nurkowania, który zdjęła kobieta. Przedstawiłem się – wyglądał na zdenerwowanego, ale nie miał nic przeciwko rozmowie. Nazywał się Kumar Rajendra, był hindusko–fidżyjskim studentem wydziału inżynierii cywilnej i przebywał na Bezpaństwie niecały tydzień. Wyjąłem z portfela kamerę guzikową i wyjaśniłem, czego od niego chcę. Rozejrzał się po zgromadzonych wokół ludziach, jakby się zastanawiał, czy potrzebuje pozwolenia, po chwili jednak się zgodził. Kiedy umieszczałem kamerę na

jego masce, gdzie wyglądała jak trzecie oko, zauważyłem na przezroczystej szybce drobne pozostałości kredowobiałego pyłu.

Podeszła starsza kobieta w mokrym skafandrze i sprawdziła Rajendrze sprzęt, po czym zaczęła wyliczać mu zasady bezpieczeństwa. Słuchał z powagą. Cofnąłem się i sprawdziłem na notepadzie jakość przekazu. Kamera nadawała na falach ultradźwiękowych, radiowych i na podczerwieni, a na wypadek, gdyby żadnemu sygnałowi nie udało się przebić, miała czterdziestominutową pamięć.

Podszedł Munroe. Był zrozpaczony.

– Oszalał pan. To nie będzie to samo. Dlaczego nagrywać czyjeś nurkowanie, jeżeli można zrobić to samemu?

Oto i moje szczęście. Nawet na Bezpaństwie muszę natknąć się na kogoś, kto chce, żebym się zamknął, i robił, co mi się każe.

– Może i zanurkuję, ale w ten sposób dowiem się, co mnie czeka. Z drugiej strony jestem przecież tylko turystą, prawda? Uczestnictwo w ceremonii przeznaczonej dla nowych mieszkańców nie byłoby autentyczne.

Munroe przewrócił oczami.

– Autentyczne? Niech się pan zdecyduje – obsługuje pan Konferencję Einsteińską, czy robi pan *Osiągnięcie pełnoletności na Bezpaństwie!*

– To się jeszcze okaże. Jeśli zrobię dwa programy za cenę jednego... tym lepiej.

Rajendra wspiął się na szczyt cembrowiny, chwycił kabel i stanął na platformie. Przechyliła się, dopiero po chwili zmienił pozycję. Bryza wydymała mu szorty i powodowała, że włosy komicznie sterczały mu do góry, generalnie jednak widok był nie tyle zabawny, ile przyprawiał o zawrót głowy – chłopak wyglądał jak spadochroniarz bez spadochronu albo pomyleniec balansujący na krawędzi skrzydła samolotu. W końcu zapiął

linkę zabezpieczającą, ale wrażenie, że będzie spadał swobodnym lotem, pozostało.

Dziwiło mnie, że Munroe był tak entuzjastyczny wobec czegoś, co przypominało kolejny rytuał typu „wiązanie się przez odwagę” albo wręcz inicjację poprzez męczarnię. Choć nie istniał nacisk, by w tym uczestniczyć, a ryzyko było minimalne... to by było na tyle, jeśli chodzi o wyspę radykalnych nonkonformistów.

Ktoś zaczął odwijać kabel. Przyjaciele Rajendry, stojący – potem klęczący – na skraju „studni”, wyciągali ręce, poklepywali go i dodawali mu otuchy; on opadał, nerwowo się uśmiechając. Po chwili zniknął z widoku. Przepchnąłem się do przodu i przechyliłem z notepadem w rękę przez cembrowinę, by zachować bezpośredni kontakt z kamerą. Jej pamięć prawdopodobnie wystarczy, do tego z zapasem, trudno jednak uniknąć powabu oglądania wydarzeń w czasie rzeczywistym. Nie byłem sam – ludzie przepychali się, by rzucić okiem na ekran.

– To tyle, jeśli chodzi o autentyczność! – zawołał z tyłu Munroe. – Dociera do pana, że zmienia pan doświadczenie wszystkim obecnym?

– Nurkowi nie.

– Oczywiście, w końcu tylko to się liczy. Sfilmujmy ostatni skrawek prawdy, po czym zniszczmy ją na zawsze. Jest pan etnowandalem – stwierdził, ale nie całkiem poważnie. – Poza tym pan się myli. Dla nurka też zmienia to sytuację.

Tunel miał mniej więcej dwa metry średnicy, a o jego ścianach można było powiedzieć, że są cylindryczne, tak samo, jak o powierzchni wyspy dało się powiedzieć, że jest płaska. Inaczej mówiąc, ściany były zbyt gładkie, by tunel mógł być wynikiem działania jakiegokolwiek procesu geologicznego, a za chropawe, by został wywiercony. Morfogeneza Bezpaństwa była skomplikowanym procesem, którego nigdy szczegółowo

nie studiowałem, wiedziałem jednak, że w wielu szczegółach konieczna była zdecydowana interwencja ludzka. W każdym razie, niezależnie od tego, czy tunel powstał samoistnie, w miejscu krzyżowania się różnych poziomów gradientów markerów chemicznych, ponieważ bakterie litofilne odebrały sygnał i uruchomiły odpowiednie geny, czy zrobiono go z nieco większym użyciem siły, na przykład poprzez wylanie na powierzchnię wiadra środka gruntującego – efekt był lepszy, niż gdyby przez miesiąc albo dwa atakowano skałę wiertłem z diamentową głowicą.

Przyglądałem się podwójnym refleksom światła lampy, powoli schodzącym coraz głębiej, i widokowi przesuwającej się szarozielonej skały, widzianej jakby oczami nurka. Raz za razem pojawiały się szczegóły świadczące o prastarym pochodzeniu koralu, migały uwiecznione w sprasowanej skale rybie ości i znów odniosłem upiorne wrażenie, jak bardzo w tej wyspie został skondensowany czas. Idea pochodzenia głębin terenów lądowych z prastarych epok jest tak zakorzeniona, że stale zaskakuje nas, jeżeli znajdujemy tam plastikowe butelki albo opony samochodowe, a przecież podobne rzeczy mogły dostać się do materiału, z którego tworzone skałę, kiedy powstawała.

Zaczęły zanikać dekoracyjne pierwiastki śladowe – szkoda było je marnować, umieszczając je tam, gdzie nikt ich nie widywał. Rajendra coraz szybciej oddychał i raz za razem spoglądał ku górze. Kilku stojących tam ludzi machało mu wtedy i wołało do niego – na ekranie ich ręce zamieniały się w cienkie patyczki, jakby obgryzione przez oślepiający blask kręgu światła. Spuścił nieco wzrok, potem popatrzył prosto na dół: choć siatka platformy, na której stał, nie była wielką przeszkodą, nie przenikały przez nią ani słoneczne promienie, ani światło lampy. Wyraźnie się uspokoił. Zanim zaczął schodzić, zastanawiałem się, czy nie poprosić go o komentarz

na bieżąco, teraz jednak byłem zadowolony, że tego nie zrobiłem. Byłoby to dla niego nieuczciwe obciążenie.

Ściana tunelu stawała się wyraźnie wilgotna, Rajendra wyciągnął rękę i przesunął palcami przez kredowy płyn. Woda i środki odżywcze przenikały całą wyspę (nawet centrum, choć twarda warstwa powierzchniowa była tam najgrubsza). Nie miało znaczenia, że w okolicy, w której się teraz znajdowaliśmy, w skale nie miały nigdy powstać szyby kopalniane, a to, że tunel nie „zarósł”, oznaczało, iż rejon został zaprogramowany tak, by nie rósł dalej. Litofile w dalszym ciągu były niezbędne – nie wolno było pozwolić rdzeniowi skały umrzeć.

W płynie pokrywającym ściany tunelu zaczęły się pojawiać drobne pęcherzyki powietrza, po jakimś czasie – wyraźne musowanie. Za linią wyznaczaną przez wierzchołek podwodnej góry Bezpaństwo nie było od dołu niczym podparte, a czterdziestokilometrowy nawis wapiennej skały – niezależnie od tego, czy wzmocnionej biopolimerami, czy nie – złamałby się w mgnieniu oka. Podwodna góra była przydatnym zakotwiczeniem i podtrzymywała nieco ciężaru wyspy, której większa część musiała jednak po prostu pływać. Bezpaństwo było w trzech czwartych złożone z powietrza; rdzeniowa skała była niczym innym jak delikatną, zmineralizowaną pianką, lżejszą od wody.

Powietrze w piance było pod ciśnieniem: wytwarzały je skała powyżej, a pod powierzchnią oceanu woda próbująca wnikać w pory. Z powodu odbywających się w skale procesów dyfuzyjnych dochodziło stale do ubytku powietrza; dmący z tunelu wiatr był skutkiem wydobywania się cząsteczek powietrza na setkach metrów kwadratowych, ale to samo – choć z mniej dramatycznymi efektami – działo się wszędzie.

Litofile zapobiegały zapadnięciu się Bezpaństwa jak przekłute płuco i zatonięciu jak przesiąknięta gąbka. Mnóstwo naturalnych organizmów umie

znakomicie wytwarzać gazy, ale niestety takie, których nie chciałoby się uwalniać w dużych ilościach do atmosfery: na przykład metan czy siarczek wodoru. Litofile pożerały wodę i dwutlenek węgla (w większości rozpuszczony w wodzie), tworząc węglowodory i tlen (głównie nie rozpuszczony), a ponieważ tworzyły węglowodory „uboższe w tlen” (na przykład deoksyrybozę), uwalniały więcej tlenu, niż wchłaniały go w dwutlenku węgla, zwiększając w ten sposób ciśnienie w układzie.

Wszystko to wymagało zarówno energii, jak i surowców; żyjące w ciemności litofile musiały być odżywiane. Spożywane przez nie środki odżywcze i wydalane produkty były częścią cyklu, który odbywał się do granic rafy i jeszcze poza nią; w ostatecznym rozrachunku wszystko, co robiły litofile, napędzało światło słoneczne, padające na odległe wody.

Ściany tunelu pieniały się i kipiały, na kamerę pryskały wapienne kuleczki, jakby ściana chciała opluć nurka. Wreszcie dotarło do mnie, jak kompletnie się myliłem: to nurkowanie nie miało nic wspólnego z edenicką „nowoczesną plemiennością”. Niezależnie od tego, że wymagało odwagi, nie było jej sprawdzianem. Celem było przejście przez wyraźnie odczuwalny „oddech” skały i zobaczenie na własne oczy, czym naprawdę jest Bezpaństwo: zrozumienie ukrytego mechanizmu, który utrzymywał wyspę na powierzchni.

Na skraju obrazu pojawiła się dłoń Rajendry; włożył ustnik i włączył podawanie powietrza. Oczywiście przesączający się ze ścian tunelu płyn musiał zbierać się w jego górnej części. Rajendra spojrział w dół; wydawało się, że pod wpływem wulkanicznego gorąca kipiała tam siarkowa masa, choć prawdopodobnie płyn był chłodny i pozbawiony zapachu. Munroe miał rację w jednym: obraz nie oddawał wszystkiego, trzeba było znaleźć się na dole samemu. Na tej głębokości wiatr dął prawdopodobnie znacznie słabiej niż na powierzchni większość skał, z których wydobywało się

powietrze, choć widok gazu wydobywającego się pod ogromnym ciśnieniem sugerował coś wręcz przeciwnego.

Kiedy kamera zanurzyła się pod wodę, obraz zamigotał, po czym przełączył się automatycznie na mniejszą rozdzielczość. Choć woda wirowała i była dość mętna, raz za razem migały obrazy ściany tunelu, a przynajmniej gęstej warstwy wydobywających się z niej pęcherzyków. Był to dziwny, dezorientujący obraz, sprawiał niemal wrażenie, że woda jest tak zakwaszona, iż rozpuszcza wapień. Oczywiście wrażenie to natychmiast by zniknęło, gdybym był na dole i pływał na miejscu Rajendry.

Rozdzielczość znów spadła, następnie spadła prędkość następowania po sobie klatek – kamera walczyła o zachowanie przekazu, który stał się szybko następującymi po sobie nieruchomymi obrazami. Głos docierał wystarczająco wyraźnie, choć prawdopodobnie nie rozpoznałbym zakłóceń w dźwięku rozbijających się o szybę maski pęcherzyków gazu. Rajendra popatrzył w dół – na ekranie pojawiło się dziesięć tysięcy perełek tlenu, pędzących ku górze przez opalizującą wodę, widok kończył się na jego kolanach. Zdawało mi się, że słyszę głośny wdech, będący przygotowaniem do stanięcia na dnie, i o mało nie upuściłem notepadu.

Nieruchomy obraz ukazał zaskoczoną, jaskrawoczerwoną rybę, która patrzyła prosto w kamerę. W następnym kadrze już jej nie było.

Odwróciłem się do stojącej obok mnie kobiety.

– Widziała pani...?

Potaknęła, ale fakt ten zdawał się wcale jej nie zaskakiwać. Poczułem mrowienie na całym ciele. Jak gruba jest skała, na której stoimy? Jak długi jest kabel?

Kiedy Rajendra minął spód wyspy, wydał z siebie dźwięk, który mógł wyrażać wszystko – od entuzjazmu po przerażenie; plastikowa rura w jego ustach i komplikacje z przekazem sprawiły, że dało się odróżnić jedynie

zduszony odgłos. Kiedy opadał dalej, już przez wody oceanu, toń wokół niego zaczęła się klarować. Przez promień światła z jego lampy przepłynęła w oddali ławica małych, bladych ryb, za którymi sunęła szara manta o przynajmniej metrowej rozpiętości płetw – z rozdziawioną paszczą, by nawet na chwilę nie przestać połykać planktonu. Uniosłem wzrok znad ekranu. Byłem wstrząśnięty. To nie mogło się dzieć pod moimi stopami.

Wyciągarka stanęła. Rajendra spojrział w górę, ku Bezpaństwu, przechylił lampę na obrotowym uchwycie, migając światłem w tę i z powrotem.

Do warstwy przyczepionej do spodu wyspy wpływała mleczna woda. Drobin y wapienia? Dlaczego nie opadały? Nawet na nieruchomych obrazach widać było, że chmura nieustannie się porusza, rytmicznie podpływa do ukrytej skały. Można było zauważyć pęcherze gazu, ściągane kilka metrów w dół przez jakiś prąd, by w końcu wrócić do chmury. Rajendra machał lampą, z każdym ruchem lepiej nad nią panując. Najprawdopodobniej dokładne poruszanie lampą nie było łatwe i niemal czułem jego rozczarowanie – ale po kilku minutach jego wytrwałość przyniosła owoce.

Silniejszy prąd wprowadził płynącą ku górze czystą wodę do mlecznej chmury, na chwilę rozdzielając zasłonę. Promień światła i kamera uwieczniły ten moment, ukazując gruzłową skałę, skąpo obrośniętą pąklami i bladymi ukwiałami z otworami gębowymi przypominającymi z wyglądu liście. Następny obraz był zamazany, ale nie zasłonięty chmurą białych cząsteczek, lecz pomarszczony, zakłócony refrakcją. Z początku oglądaliśmy skałę przez czystą wodę, teraz – przez wodę i powietrze.

Spód wyspy był pokryty cienką warstwą powietrza utworzoną przez stałe wydzielanie się tlenu z piankowej skały.

Powietrze to osłaniało skałę warstwą, która mogła wytrzymać uderzenia fal. Każda fala, która uderzała w odległe rafy, powodowała bliźniaczą falę pod wyspą.

Nic dziwnego, że woda była mętna. Spód Bezpaństwa nieustannie był drapany wielkim, mokrym, poszarpanym pilnikiem. Fale erodowały brzegi, ale przynajmniej zatrzymywały się na linii przyływu. Impet każdej fali wchodził pod ląd – aż do miejsca jego zetknięcia z podwodną górą.

Odwróciłem się ponownie do kobiety obok, jednej z przyjaciółek Rajendry.

– Oderwane kawałki wapienia, drobiny jak te, które widzimy, muszą tracić tlen, a więc i pławność. Dlaczego nie... opadają?

– Opadają. Biały pył to bioinżynieryjnie przetworzone okrzemki. Wychwytyją z wody wapń, mineralizują go, po czym unoszą się do góry i kiedy uderzają w nie fale, przyklejają się do skały. Polipy koralowe nie mogą rosnąć w ciemności, więc okrzemki są jedynym mechanizmem naprawczym. – Uśmiechnęła się rozpromieniona. Była tu, by zobaczyć to na własne oczy. – To właśnie utrzymuje wyspę na powierzchni: cienka warstwa wapniowego pyłu opadająca w głąbiny oraz kilka bilionów mikroskopijnych stworków, których geny mówią im, co z tym zrobić.

Włączono ponownie wyciągarke. Nie było nikogo w jej pobliżu, więc nurek musiał mieć zdalne sterowanie, czego nie zauważyłem, może też – dla zmniejszenia ryzyka wystąpienia choroby dekompresyjnej – przebieg nurkowania był programowany z góry. Rajendra uniósł rękę i pomachał nam. Kiedy powracał, ludzie zaczęli się śmiać i żartować. W niczym nie przypominało to nastroju, jaki panował, kiedy tu przybyliśmy.

– Ma pani notepad? – spytałem kobietę obok mnie.

– W busie.

– Chce pani program komunikacyjny? Mogłaby pani wziąć kamerę...

Pokiwała głową z entuzjazmem.

– Świetny pomysł. Dziękuję! – Poszła po notepad. Kamera kosztowała jedyne dziesięć dolarów, ale okazało się, że opłata za skopiowanie programu wynosi dwieście; trudno mi było jednak wycofać się z propozycji. Kiedy kobieta wróciła, potwierdziłem transakcję i urzędnicy wymienili się danymi na podczerwieni. Za kolejne kopie musiałaby zapłacić, ale przekazywać program (kasując go u siebie) można było za darmo, dzięki czemu mogły go dostać kolejne grupy nurków.

Kiedy Rajendra się pojawił, zaczął krzyczeć z radości. Gdy odpiął linę zabezpieczającą, ruszył biegiem po równinie – z butlami na plecach – i gnał, aż zgiął się wpół i padł bez tchu na kolana. Trudno było ocenić, czy stracił panowanie nad sobą, czy nie – choć nie wyglądał na człowieka, któremu by to groziło – kiedy jednak zdjął butle, uśmiechał się jak zakochany wariat, był rozradowany i roztrzęsiony.

Oczywiście – adrenalina, ale nurkował po coś więcej. Wrócił na stały ląd, ale ponieważ widział, co jest pod spodem, kiedy przepłynął przez kruche fundamenty wyspy, chodzenie po niej już nigdy nie będzie dla niego tym samym.

To właśnie łączyło mieszkańców Bezpaństwa: nie sama wyspa, ale wiedza z pierwszej ręki, że stoją na skale, którą jej twórcy wykrystalizowali z wody morskiej i która stale się rozpuszcza, ale trwa dzięki tak samo stałemu procesowi naprawczemu. Nic wspólnego nie miała z tym wszystkim dobroczynna natura – Bezpaństwo zbudowały świadomy ludzki wysiłek i ludzka współpraca. Nawet bioinżynierijnie wykształconego życia, które tworzyło wyspę, nie można było traktować jako danego od Boga, nieomylnego – równowagę łatwo było zaburzyć na tysiąc sposobów: bakterie mogły zmutować, mogły się pojawić rywalizujące bakterie, mogły zostać zniszczone przez jakiś kataklizm, delikatną równowagę mogły

zakłócić zmiany klimatyczne. Cały skomplikowany mechanizm trzeba było nadzorować, a zwłaszcza rozumieć.

Na dłuższą metę niezgoda mogła dosłownie sprawić, że wszystko pójdzie na dno. Nawet jeżeli nie dawało to gwarancji pewności, że nikt na Bezpaństwie nie zechce doprowadzić do dezintegracji społeczeństwa, to przynajmniej pomagało pojąć, że ład pod stopami może zrobić to w każdej chwili.

Choć naiwne byłoby traktowanie rozumienia tego faktu jako panaceum na cokolwiek, miało ono jedną niewątpliwą przewagę nad wszystkimi sztucznymi mitologiami dotyczącymi narodowości.

To były fakty.

Przekopiowałem wszystko z pamięci kamery, by mieć całość w wysokiej rozdzielczości. Kiedy Rajendra nieco się uspokoił, poprosiłem go o pozwolenie na emisję materiału. Zgodził się. Nie miałem określonych planów, ale w razie czego będę mógł przemycić coś z tego do interakcyjnej wersji *Violet Mosali*.

Kiedy ruszyłem do stacji końcowej tramwaju, poszedł ze mną Munroe, niosąc na ramieniu złożone sztalugi i zwinięty „blejtram”.

– Kiedy konferencja się skończy, może sam spróbuję – powiedziałem głupkowato. – W tej chwili mam wrażenie, że to zbyt... poważne. Nie chcę się dekoncentrować, mam do wykonania konkretne zadanie.

Udał zdziwienie.

– To wyłącznie pańska decyzja. Tutaj nie musi pan nikomu niczego uzasadniać.

– Oczywiście. Po czym umrę i pójdę do nieba.

Kiedy znaleźliśmy się na przystanku, wcisnąłem klawisz informatora – czekanie miało potrwać dziesięć minut.

Munroe popadł na jakiś czas w milczenie, kiedy się odezwał, spytał: – Zakładam, że ma pan wszystkie informacje o wszystkich uczestnikach konferencji?

Roześmiałem się.

– Nie do końca, ale chyba niewiele mi brakuje. Opery mydlane z fizykami w rolach głównych są tak samo nudne jak wszystkie inne. Nie interesuje mnie, kto z kim się pieprzy ani kto komu ukradł błyskotliwy pomysł.

Zmarszczył uprzejmie czoło.

– Cóż... mnie też nie, nie zaszkodziłoby jednak sprawdzić plotek dotyczących Violet Mosali.

– O których plotkach pan mówi? Tyle ich przecież jest...

Zabrzmiało to żałościwie, równie dobrze mogłem od razu przyznać, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Tylko jedno zagadnienie jest istotne, prawda? Wzruszyłem ramionami. Munroe wyglądał na zirytowanego, jakby uważał, że jestem nieszczerzy, a nie niedoinformowany.

– Violet Mosala nie dzieli się ze mną swoimi sekretami – przyznałem szczerze. – Na razie sprawy mają się tak, że będę mógł się uważać za szczęściarza, jeżeli uda mi się być do końca konferencji na wszystkich jej publicznych wystąpieniach. Do tego dyskretnie. Nawet gdybym miał spędzić najbliższe pół roku na ściganiu jej między kolejnymi spotkaniami w Cape Town, próbując dobrać się do paru spraw.

Munroe skinął głową z ponurą satysfakcją, jak cynik, którego opinia właśnie została potwierdzona.

– Cape Town? Świetnie. Dziękuję.

– Za co?

– Nigdy w to nie wierzyłem i chciałem się upewnić, słysząc to z ust kogoś, kto wie więcej. Violet Mosala – laureatka Nagrody Nobla z fizyki, inspiracja dla milionów ludzi, Einstein XXI wieku, twórca TW o największej szansie na zaakceptowanie – „porzuca” ojczyznę, akurat w chwili, gdy pokój w Natalu zaczyna się stabilizować bardziej niż kiedykolwiek – nie dla Caltechu, nie dla Bombaju, nie dla CERN-u, nie dla Osaki, ale po to, aby dołączyć do... motłochu na Bezpaństwie?

– Mowy nie ma.

Po powrocie do hotelu, wspinając się po schodach, zapytałem Syzyfa: – Czy potrafisz wymienić grupę aktywistów politycznych – z inicjałami AK – która może być zainteresowana emigracją Violet Mosali na Bezpaństwo?

– Nie.

– Daj spokój! „A” oznacza „anarchię”...

– Są dwa tysiące siedemdziesiąt trzy organizacje, mające w nazwie słowo „anarchia” albo pokrewne, ale wszystkie nazwy składają się z więcej niż dwóch słów.

– W porządku. – Może AK było skrótem skrótu – jak US od USA. Jeśli jednak można było wierzyć Munroe, żaden poważny anarchista nie użyłby słowa na „a”.

Spróbowałem innego podejścia.

– A co z „A” jak „afrykańska”, a „K” jak „kultura”? Z dowolną ilością tych liter?

– Jest dwieście siedem możliwości.

Przejrzałem listę, ale AK nie wydawało się logicznym skrótem dla którejkolwiek z tych nazw. Jedno określenie wydało mi się znajome, odtworzyłem więc taśmę dźwiękową z porannej konferencji prasowej: „William Savimbi, Proteus Information. Mówiła pani z aprobatą o konwergencji idei, zjawisku będącym wyrazem braku szacunku dla starodawnych kultur, jakby nie liczyło się dla pani jej własne dziedzictwo. Czy to prawda, że po tym jak oświadczyła pani, iż nie uważa się za Afrykankę, Panafrykański Front Obrony Kultury groził pani śmiercią?”.

Mosala co prawda odniosła się do tej wypowiedzi, ale nie odpowiedziała na pytanie. Jeżeli tego typu komentarz wystarczał do grożenia jej śmiercią, ciekawe, co ściągną na nią – uzasadnione albo nie – plotki o „zdradzie”?

Nie miałem zielonego pojęcia, co to wszystko znaczy – o południowoafrykańskiej polityce kulturalnej wiedziałem jeszcze mniej niż o MWT. Mosala nie będzie pierwszym sławnym naukowcem zmuszonym do opuszczenia swojego kraju, ale na pewno byłaby jednym z najbardziej fetowanych – i pierwszym, który wyemigruje na Bezpaństwo. Praca w światowej klasy instytucie w pogoni za pieniędzmi i prestiżem to jedna strona medalu, trudno było jednak oczekiwać, by zinterpretowano jej przeniesienie się na Bezpaństwo (które nie oferowało ani pieniędzy, ani prestiżu) inaczej niż jako wyrzeczenie się narodowości.

Stałem w połowie schodów i zapatrzyłem się w mój bezużyteczny elektroniczny „smoczek”.

– AK? AK głównego nurtu? – Syzyf milczał. Czymkolwiek była ta organizacja, Sarah Knight zdołała ją znaleźć. Za każdym razem, kiedy myślałem o tym, co jej zrobiłem, czułem ból w dole brzucha. Starannie przygotowała się do roboty, przebadła każde zagadnienie związane z Mosalą, a ponieważ miała nawyki z branży politycznej, gdzie nic, co pojawia się w sieciach, nie jest prawdą – prawdopodobnie wyszła w teren i rozmawiała ze wszystkimi osobiście. Ktoś musiał powiedzieć jej o plotkach i pchnąć w kierunku prowadzącym do Kuwale, oczywiście nieoficjalnie. Ukradłem jej projekt, wszedłem w sprawę nieprzygotowany i nawet nie umiałem powiedzieć, czy robię reportaż o zamierzającej emigrować anarchistycznej fizyczce, obawiającej się o swoje życie, czy... gonię za cieniem, a jedyną osobą, której cokolwiek grozi na Bezpaństwie, jest Janet Walsh – usłyszenie prawdy o tym, czym powinna się zająć, na co dawno zresztą zasłużyła.

Kazałem Hermesowi zadzwonić do każdego hotelu i sprawdzić, czy zameldował się gość o nazwisku Akili Kuwale. Nie poszczyliło mi się. Po powrocie do pokoju zwiększyłem izolację akustyczną okien i spróbowałem się zmusić do pracy. Następnego dnia miałem filmować wykład Helen Wu, głównej rzeczniczki poglądu, że metodologia Mosali porusza się na skraju zamkniętej logiki. Zanim dałem się namówić Munroe do obejrzenia nurków, zamierzałem spędzić dzień na czytaniu artykułów Wu – musiałem sporo nadgonić.

Najpierw jednak...

Przejrzałem odpowiednie bazy danych (bez pomocy Syzyfa, co zajęło trzy razy tyle czasu). Panafrykański Front Obrony Kultury okazał się luźnym związkiem pięćdziesięciu siedmiu grup radykalnych tradycjonalistów z dwudziestu trzech krajów, posiadającym radę przedstawicieli zbierającą się raz do roku w celu ustalania strategii działania i wydawania oświadczeń. PFOK istniał dwadzieścia lat, powstawał podczas kolejnej tury debaty tradycjonalistycznej we wczesnych latach trzydziestych, kiedy część naukowców i aktywistów społecznych, głównie z Afryki, zaczęła mówić o potrzebie „ponownego stworzenia ciągłości” z przedkolonialną przeszłością. Polityczne i kulturalne ruchy poprzedniego wieku – od *negritude* Senghora, przez „autentyczność” Mobutu, po Czarną Świadomość we wszystkich jej postaciach – zostały zbyt jako skorumpowane, asymilacjonistyczne albo przesadnie przejmujące się kolonizacją i westernizacją. Zdaniem większości nowych tradycjonalistów, odpowiednią reakcją na kolonializm było usunięcie jej z historii – zachowywanie się, jakby nigdy się nie wydarzyła.

PFOK był najbardziej ekstremalną manifestacją tej filozofii; jego członkowie przyjęli bezkompromisową linię, daleką od populizmu. Okrzyknęli islam religią najeźdźców, nie lepszą od chrześcijaństwa czy

synkretyzmu. Przeciwwstawiali się szczepieniom, produkcji bioinżynieryjnie wytworzonych roślin, komunikacji elektronicznej. Nawet jeśli lista obcych (albo miejscowych, ale niedostatecznie starych) wpływów, których się wyrzekali, nie była jedyną rzeczą, jaką mieli do zaproponowania, bez tego „katalogu wrogów” mieliby duże trudności, by się wyróżnić w tłumie. Wiele działań, za którymi optowali – szersze oficjalne stosowanie miejscowych języków czy zwiększenie wsparcia dla tradycyjnych form kulturowych – stało wysoko na liście zadań większości rządów, o ich realizację starało się też sporo innych instytucji. Lecz PFOK wydawał się organizacją bardziej ekstremistyczną niż jakakolwiek inna. Kiedy w Nairobi – dzięki badaniom przeprowadzonym w imperialistycznym supermocarstwie, Kolumbii – wyprodukowano najskuteczniejszą w historii szczepionkę przeciwko malarii, potępianie jej stosowania jako „przestępczej zdrady tradycyjnych metod leczniczych” wydało mi się fundamentalistyczną perwersją.

Jeżeli Violet Mosala zdecydowała się wyemigrować na Bezpaństwo, na pewno się ucieszą, że się jej pozbyli. Na połowie kontynentu mogła być bohaterem, ale dla PFOK z pewnością była zdrajczynią. Nie umiałem jednak odnaleźć żadnych wskazówek, by grożono jej śmiercią, może więc za twierdzeniem Savimbiego nic się nie kryło – opierało się jedynie na anonimowym telefonie do jego redakcji.

Mimo to szukałem dalej. Może reprezentowany przez Kuwale odłam ujawnił się po drugiej stronie barykady? Nie brakowało głosów opozycyjnych do PFOK – ze strony umiarkowanych tradycyjistów, licznych organizacji zawodowych, pluralistycznych, także tych, którzy sami siebie określali mianem *technoliberateurs*.

Pomijając to, że inicjały nie pasowały, nie bardzo wyobrażałem sobie, by członek Afrykańskiej Unii Postępu Nauki napadał dziennikarzy na

lotniskach i prosił ich o to, by zostali nieoficjalnymi ochroniarzami światowej sławy fizyków. Afrykańska Liga Pluralistyczna organizowała na całym świecie programy wymiany studentów, tournée zespołów teatralnych i tanecznych, wystawy (zarówno w sensie fizycznym, jak i wykorzystujące demonstracje w sieciach) i prowadziła agresywny lobbing przeciwko izolacjonizmowi kulturalnemu oraz dyskryminowaniu mniejszości etnicznych, religijnych i seksualnych, więc wątpię, czy ma dość czasu, by zajmować się Violet Mosalą.

Pojęcie *technoliberation* ukuł zmarły Muteba Kazadi, a miało wyrażać zarówno zdobywanie przez ludzi większej władzy poprzez technologię, jak i „wyzwolenie” technologii z restrykcyjnych rąk. Muteba był inżynierem metod komunikacyjnych, poetą i autorem publikacji popularnonaukowych – i ministrem do spraw rozwoju Zairu w późnych latach trzydziestych. Widziałem kilka jego przemówień, pełnych pasji apeli o „wykorzystanie technologii w służbie wolności”. Wzywał do zakończenia patentowania bioinżynieryjnie przetwarzanych roślin uprawnych, przekazania do ogólnego użytku zasobów komunikacyjnych oraz do wprowadzenia prawa o uniwersalnym dostępie do informacji naukowej. Będąc orędownikiem oczywistego pragmatyzmu „liberalnej biologii” (choć Zair nigdy nie został renegatem i nie hodował nie licencjonowanych roślin uprawnych), Muteba mówił długoterminowej potrzebie uczestniczenia krajów afrykańskich w badaniach podstawowych w każdej głównej dziedzinie nauki, co było niezwykle postawą w okresie, gdy działanie w tym kierunku było bardzo niepopularne w najbogatszych krajach świata nie do pomyślenia jako priorytet rządu jego własnego kraju.

Trzech jego biografów zgadzało się co do tego, że Muteba miał kilka ekscentrycznych cech, w tym skłonność do metafizyki nietzscheańskiej, ekstremalnej kosmologii oraz dramatycznych teorii spiskowych – w tym

tej, że „El Nido de Ladrones”, port, zbudowany na granicy peruwiańsko-kolumbijskiej przez przemytników narkotyków przy użyciu metod bioinżynierii, nie został zbombardowany w 2035 roku za pomocą bomby wodorowej dlatego, że zmodyfikowany las wyrwał się spod kontroli i groził zaatakowaniem całego dorzecza Amazonki, ale dlatego, iż wymyślono tam „niebezpiecznie wyzwalający” neuroaktywny wirus. Bombardowanie było obrzydliwe, zginęły w nim tysiące ludzi, wywołało oburzenie opinii publicznej, co przypuszczalnie pomogło Bezpaństwu uniknąć podobnego losu, ale moim zdaniem bardziej prawdopodobne było prozaiczne wyjaśnienie.

Uczeni komentatorzy z całego kontynentu oświadczali, że dziedzictwo Muteby żyje, a dumni *technoliberateurs* działają w całej Afryce i poza nią. Nie bardzo umiałem określić jego bezpośrednich spadkobierców intelektualnych. Choć setki naukowców akademickich, grup politycznych i dziesiątki tysięcy pojedynczych osób cytowało Mutebę jako źródło inspiracji – a wielu ludzi, którzy wypowiadali się w dyskusjach w sieciach przeciwko PFOK, określało się jednoznacznie jako *technoliberateurs* – wyglądało na to, że każdy przyswoił sobie jego filozofię z nieco innego powodu. Bez najmniejszej wątpliwości każdy byłby przerażony możliwością, że coś się może stać Violet Mosali, ale nie dawało to żadnej wskazówki na temat tego, kto mógł wziąć na siebie zadanie jej pilnowania.

Około siódmej poszedłem na dół. Sarah Knight ciągle jeszcze nie odpowiedziała na telefon; trudno było mieć do niej pretensję o to, że mnie unika. Znów przyszło mi do głowy, czy nie zaoferować jej przejęcia projektu, uznałem jednak, że w tej chwili jest już raczej za późno i na pewno zajmuje się czym innym. Tak naprawdę, im bardziej sytuacja się komplikowała, tym trudniej było mi sobie wyobrazić wycofanie się. Uważałem za swój obowiązek spojrzeć w twarz rzeczywistości.

Szedłem właśnie w kierunku głównej restauracji, gdy dostrzegłem Indrani Lee kroczącą korytarzem prowadzącym do holu. Była z niewielką grupą ludzi, która właśnie się rozpraszała – rozmówcy wymieniali się refleksjami, jakby wyszli przed chwilą z długiego, nerwowego spotkania i nie mogli już znieść swojej obecności, ale nie umieli się też zmusić do zakończenia dyskusji. Podeszedłem, zobaczyła mnie i uniosła na powitanie dłoń.

– Zgubiłem panią w locie przesiadkowym. Jak się pani miewa?

– Świetnie, znakomicie! – Wyglądała na szczęśliwą i podnieconą, konferencja najwyraźniej spełniała jej oczekiwania. – Pan nie wygląda zbyt dobrze.

Roześmiałem się.

– Czy kiedy była pani studentką, nigdy nie zdarzyło się, że tematy na karcie egzaminacyjnej i tematy, do których przygotowywała się pani do świtu, mają tak niewiele wspólnego, że mogłoby się wydawać, iż pochodzą z dwóch różnych dziedzin?

– Nie raz. Co jednak spowodowało u pana *déjà vu*? Matematyka pana przerasta?

– Też, ale nie w tym problem. – Rozejrzałem się po holu. Nikt nie mógł nas usłyszeć, nie chciałem być jednak kolejnym źródłem plotek o Mosali. – Widzę, że się pani spieszy, może zanudzę panią moimi troskami podczas lotu powrotnego do Phnom Penh.

– Spieszę się? Nie, właśnie chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Jeżeli nie jest pan zajęty, zapraszam.

Zgodziłem się chętnie. Zamierzałem coś zjeść, choć w dalszym ciągu nie miałem apetytu, ale wydawało mi się, że Lee może coś sensownego wiedzieć o *technoliberation*.

Kiedy wychodziliśmy na zewnątrz, zrozumiałem, co miała na myśli, mówiąc o wyjściu na świeże powietrze: wreszcie postanowił się ujawnić Renesans Mistyczny, jego przedstawiciele zapełniali ulicę przed hotelem. Na transparentach widniały napisy: *WYJAŚNIĆ TO ZNACZY ZNISZCZYĆ!*, *SZANOWAĆ BÓSTWO!*, *NIE DLA TW!* Na koszulkach widać było podobizny C.G. Junga, Pierre’a Teilharda de Chardina, Josepha Campbella, Fritjofa Capry, zmarłego założyciela kultu Gintera Kleinera, grupy specjalizującej się w występach okolicznościowych Sky Alchemy, a nawet Einsteina wystawiającego język.

Nikt nie skandował haseł; po konfrontacyjnym wystąpieniu Janet Walsh Renesans Mistyczny opowiedział się za atmosferą karnawałową, z mimami i połykaczami ognia, Cygankami wróżącymi z ręki i kart tarota. Wirujące płonące pochodnie rzucały wszędzie oscylujące niebieskie blaski, nadając ulicy wygląd, jakby znajdowała się w głębi oceanu. Zdezorientowani mieszkańcy przeciskali się przez tor przeszkód z minami, jakby mieli wszystkiego dość – nie prosili, by karmiono ich na siłę cyrkiem. W tłumie byli jedynie nieliczni uczestnicy konferencji z plakietkami, korzystający z darmowej zabawy albo dający pieniądze artystom i wróżkom.

Jeden z kultystów, który przywłaszczył sobie Alberta, śpiewał piosenkę o Puffie, magicznym smoku, akompaniując na organach elektronicznych. Zarówno jego organy, jak i T-shirt były popularnej marki i miały porty podczerwieni. Zatrzymałem się przed nim, uśmiechnąłem z uznaniem, uruchomiłem w notepadzie program, który napisałem wieki temu, i dyskretnie wpisałem kilka instrukcji. Kiedy odchodziliśmy, organy zamilkły – głośność na wszystkich pasmach spadła do zera – a Einstein wypuścił z ust dymek, w którym pojawił się napis:

NASZE DOTYCHCZASOWE DOŚWIADCZENIE POTWIERDZA POGLĄD, ŻE NATURA JEST URZECZYWISTNIENIEM NAJPROSTSZYCH WYOBRAŻALNYCH IDEI MATEMATYCZNYCH.

Lee spojrzała na mnie karcąco.

– O co chodzi? – odparłem. – Aż się o to prosił. Kawałek dalej niewielka trupa teatralna pokazywała skróconą wersję *Komety człowieka z lodu*, napisaną na nowo w dialekcie Renesansu Mistycznego. Kobieta w stroju kłowna rwała sobie włosy i deklamowała: – Nie udało mi się przystosować psychicznie! Każdy w moim klanie sieciowym jest bliższy leczącego wszystko bóstwa, gdybym tylko uszanowała ich potrzebę dalszego karmienia się autonarracją napędzaną wyobraźnią! – Po jej policzkach zaczęły spływać projekcje łez.

Odwróciłem się do Lee.

– No cóż, jestem przekonany. Dołączam do nich jutro. Że też śmiałem zredukować kruche piękno zachodu słońca do paskudnego żargonu technicznego...

– Jeśli uważa pan, że to męczące, powinien pan wysłuchać ich pięciominutowej wersji *Mahabharaty* jako jungowskiego psychobełkotu. – Wzdrygnęła się. – Oryginał jednak pozostaje, prawda? Mają prawo do własnej... interpretacji... jak każdy. – Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Nie wiem, co ci ludzie chcieli osiągnąć, zjawiając się tutaj. Nawet jeśli planowali zakłócić przebieg konferencji, to wszystkie badania już zostały przeprowadzone i wyniki zostaną umieszczone w sieciach niezależnie od ich wysiłków. Jeżeli idea TW tak bardzo ich razi, przecież mogą przymknąć na nią oczy, prawda? Zamknęli oczy na każde inne odkrycie naukowe, które nie spełniało ich surowych „wymogów duchowych”. Lee pokręciła głową.

– To sprawa obrony terytorium. Musi pan spojrzeć na to w tym aspekcie. TW jest żądaniem władzy nad wszechświatem i wszystkimi, którzy się w nim znajdują. Gdyby konferencja prawników w Nowym Jorku ogłosiła się władcami kosmosu, nie miałby pan ochoty udać się tam i pokręcić nosem?

Jęknąłem.

– Fizyka nie żąda władzy. Szczególnie tutaj, gdzie celem jest odkrycie tego sedna wszechświata, którego zarówno fizycy, jak i technologowie nigdy nie będą mieli możliwości zmienić! Używanie prymitywnych politycznych metafor, takich jak „panowanie nad” czy „imperializm”, to pusta retoryka; nikt z uczestników tej konferencji nie zamierza wysłać oddziałów dla poparcia swych tez. Unifikacja nie jest narzucana prawnie ani wymuszana. Jest mappingowana.

– Paparap... siła map... – powiedziała ironicznie Lee.

– Niech pani przestanie, doskonale pani wie, o czym myślę. O mapie nieba, a nie... Kurdystanu. Bez wrysowywania konstelacji ani nazywania gwiazd. – Lee uśmiechnęła się chytrze, jakby miała na myśli znacznie dłuższą listę obciążonych kulturowo atrybutów i nie zamierzała dać mi spokoju, zanim nie wykluczę każdej z nich. – W porządku, zapomnijmy o tej metaforze! Faktem jest jednak, że niezależnie od tego, czy wstrętnym redukcjonistycznym fizykom pozwoli się odkryć TW, wszechświat jej podlega – i utrzymuje przy życiu tych kuglarskich, bluzgających bełkotem kultystów.

– Zdaniem antrokosmologów nie. – Lee uśmiechnęła się pojednawczo. – Oczywiście, prawa fizyki są tym, czym były zawsze – i połowa Renesansu Mistycznego jest gotowa to przyznać, choć w odpowiednio wymijającym i warunkowym żargonie. Większość z nich godzi się z tym, że wszechświat rządzi się jakimiś... systematycznymi prawami, ale jasne, matematyczne sformułowanie tego systemu mimo to byłoby dla nich afrontem. Powiedział pan, że powinni nie tyle próbować zapobiec temu, by TW dostała się do rąk ludzkości, ile zadowolić się indywidualną ignorancją. Oczywiście, będą dalej wierzyć w to, na co mają ochotę, nawet jeśli ogłoszona zostanie możliwa do przyjęcia TW, i nigdy nie pozwolą, by naukowa ortodoksja stanęła im na drodze, ale to, w co postanowili wierzyć, decyduje o tym, że

nie mogą zignorować faktu, iż fizycy, genetycy, neurobiolodzy i tak dalej drażą coraz głębszy tunel pod ludzkimi nogami i wydobywają na powierzchnię wszystko, co znajdują – a to, co znajdują, na dłuższą metę wpłynie na każdą ziemską kulturę.

– I to ma być powód, by przyjeżdżać tu i straszyć ludzi okaleczonymi zwłokami Eugene’a O’Neilla?

– Bądźmy fair: jeżeli przyznajemy im prawo do wiary w to, co chcą, musi to też obejmować prawo do czucia się zagrożonym.

Sztuka zbliżała się do końca – jeden z aktorów wygłaszał monolog o potrzebie współczucia biednym naukowcom, którzy stracili kontakt z duszą Gai.

– Więc co określi pani mianem boskiej woli Ziemi – powiedziałem – jeżeli nie żądanie generalnie równego korzystania z ziemi, choć ubrane w miłsze i mniej dosadne słowa?

Lee popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Oczywiście. Ludzie z RM są jak wszyscy inni – chcą zdefiniować świat na własny sposób. Chcą ustalić parametry, ustanowić wszystkie reguły gry. Jasne, że przyjęli strategię mającą ukryć ten fakt – na przykład opisując siebie takimi pojęciami, jak „szczodrzy”, „otwarci” czy „globalni” – i nie sugeruję, że są skromniejsi, bardziej cnotliwi czy tolerancyjniejsi od większości fanatycznych racjonalistów. Próbuję jedynie najlepiej, jak umiem, wyjaśnić panu ich przekonania.

– Za pomocą własnego uniwersalnego schematu wyjaśniającego?

– Oczywiście. To mój obowiązek: fachowo opowiadać o każdej subkulturze na świecie i ją wyjaśniać. Taki los socjologa. Kto inny miałby to robić? – Uśmiechnęła się uroczyście.

– W końcu jestem jedyną obiektywną osobą na Ziemi. Szliśmy przez ciepłą noc, wkrótce zostawiliśmy za sobą karnawał. Odwróciłem się. Z

daleka widok był dziwny – perspektywa jakby ścisnęła obraz, otaczające budynki też robiły swoje. Ekstrawaganckie jarmarczne przedstawienie w środku zajmującego się swoimi sprawami miasta, które wzniosło się prosto z oceanu, zbudowało się cząstka po cząstce z jego wody – i doskonale zdawało sobie z tego sprawę. Ulice obok wyglądały w porównaniu z tym pospolicie i bezbarwnie. Były pełne zwykłych przechodniów, nikt nie przebrał się za arlekinę, nie zonglował ogniem ani nie połykał mieczy, ale wspomnienie popołudniowego nurkowania i tego, co ujawniło na temat wyspy, wystarczyło, by wszystkie drętwe niezwykłości i rozpaczliwie radosna krzątanina kultu bladły i stawały się nieważne.

Nagle przypomniałem sobie, co powiedział Angelo – wieczorem, przed moim wyjazdem z Sydney. „Uświęcamy to, z czym jesteśmy związani”. Może z punktu widzenia Renesansu Mistycznego w tym kryło się sedno? Większość wszechświata była przez większą część historii ludzkości nie wyjaśniona i RM odziedziczył kulturę, która uparcie robiła z tego grzechu cnotę. Odrzucił – albo w ramach ironicznego pluralizmu wrzucił do kulturowego miksera – historyczny bagaż większości religii oraz innych systemów wiary, które swego czasu robiły to samo, po czym to, co zostało, rozdał, tworząc esencję wielkiego L. „Uświęcanie tajemnicy jest »w pełni ludzkie«. Nie robisz tego, stajesz się czymś mniej: »pozbawionym duszy«, »lewopółkulowym«, »redukcjonistą«... i trzeba cię »leczyć«”.

Powinien tu być James Rourke. Walka o słowa na L była w pełnym toku.

Kiedy ruszyliśmy w drogę powrotną, przypomniało mi się, że miałem zapytać Lee o coś i prawie wypadło mi to z głowy.

– Kim są antrokosmolodzy? Nazwa brzmi, jakby powinna coś dla mnie znaczyć, ale – pomijając niejasne skojarzenia etymologiczne – nic mi nie mówi.

Lee wahała się.

– Wątpię, czy naprawdę chce pan wiedzieć. Jeżeli Renesans Mistyczny pana tak...

– To Kult Ignorancji? Nigdy o nim nie słyszałem.

– To nie jest Kult Ignorancji. Oczywiście już samo słowo „kult” jest straszliwie obłożone znaczeniami i pejoratywne, choć ja – czego może nie powinnam robić – używam go w pierwotnym sensie.

– Dlaczego nie powie pani po prostu, w co ci ludzie wierzą, po czym wyrobię sobie własne zdanie, jak być wobec nich nietolerancyjnym i jak się wobec nich wywyższać?

Uśmiechnęła się, ale naprawdę cierpiała – jakbym prosił o zdradzenie tajemnicy.

– AK są niezwykle wrażliwi na punkcie tego, jak się ich przedstawia. Naprawdę trudno było ich namówić na rozmowę i nie pozwolili mi na publikację choćby fragmentu.

AK! Udałem obojętność, próbowałem ukryć radość.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „nie pozwolili”?

– Zgodziłam się z góry na szereg warunków i jeżeli chcę kontynuować współpracę, muszę ich dotrzymać. Obiecali, że nadejdzie moment, kiedy będę mogła umieścić wszystko w sieciach, do tego czasu jestem jakby na okresie próbnym. Ujawnienie czegokolwiek dziennikarzowi natychmiast spowodowałoby zerwanie umowy.

– Nie chcę nic na ich temat publikować. Przysięgam – to w stu procentach nieoficjalne. Po prostu jestem ciekaw.

– Więc nic się panu nie stanie, jeżeli poczeka pan kilka lat. Kilka lat?!

– No dobrze, jestem więcej niż ciekaw.

– Dlaczego?

Zastanowiłem się, co powiedzieć. Mogłem ujawnić wszystko o Kuwale i poprosić o dyskrecję, by nie mieszać Mosali w dalsze niepożądane

spekulacje. Tyle że... jak mogłem prosić ją o ujawnienie poufnych informacji, równocześnie żądając zachowania tajemnicy?

– Co właściwie mają przeciwko dziennikarzom? – spytałem. – Większość kultów da się pokroić za nowego członka. Jaki etos...

Lee podejrzliwie mi się przyjrzała.

– Nie dam się wciągnąć w dalsze niedyskrecje. Moja wina, że wymknęła mi się nazwa, temat jest zamknięty. Antrokosmolodzy nie są tematem.

– Proszę pani! – roześmiałem się. – To absurd! Jest pani jedną z nich, prawda? Nie trzeba tajemnych uścisków dłoni, wystarczy, by pani notepad nadał wiadomość: „Jestem Indrani Lee, kapłanka szacownego i świętego zakonu...”.

Zamachnęła się na mnie ręką, odsunąłem się w ostatniej chwili.

– Na pewno nie mają kapłanek – stwierdziła.

– Chce pani powiedzieć, że to seksiści? Sami mężczyźni? Jęknęła.

Ani kapłanów. I nie powiem więcej ani słowa. Szliśmy w milczeniu. Wyjąłem notepad i zacząłem rzucać znaczące spojrzenia Syzyfowi. Pełna nazwa nie otworzyła jednak worka danych, sprawdzanie hasła „antrokosmolodzy” nic nie dawało.

– Przepraszam – odrzekłem. – Koniec pytań, koniec prowokacji. Co by było, gdybym musiał się z nimi skontaktować, ale nie mógł powiedzieć, dlaczego?

Lee była niewzruszona.

– To brzmi nieprawdopodobnie.

– Próbował się ze mną skontaktować aseks o nazwisku Kuwale. Wysyłało mi przez kilka dni zaszyfrowane wiadomości. Nie pojawiło się wczoraj wieczorem w umówionym miejscu, więc chciałem się dowiedzieć, co się dzieje. – Niemal nic z tego nie było prawdą, nie zamierzałem jednak ujawniać, że schrzaniłem doskonałą okazję

samodzielnego odkrycia, o co chodzi z AK. Lee pozostała w każdym razie obojętna; jeżeli słyszała kiedyś to nazwisko, nic po sobie nie pokazała. – Mogłaby pani przekazać wiadomość, że chcę z nimi porozmawiać? Może niech sami zadecydują, czy mnie przyjąć, czy odrzucić?

Zatrzymała się. Przechodząca na szczydłach kultystka wyciągnęła ku niej rękę i rzuciła jej w twarz plik ulotek – robiony przez RM biuletyn Konferencji Einsteinowskiej w nieelektronicznym wydaniu. Lee ze złością machnęła ręką.

– O dużo pan prosi. Jeżeli się obrażą, stracę wynik pięciu lat pracy...

– Po raz pierwszy usłyszałem pojęcie „antrokosmologia” od Kuwale, nie od pani, więc nie musi pani wcale mówić, że przyznała, iż cokolwiek wie. Proszę im powiedzieć, że spytałem panią mniej lub bardziej przypadkowo; przepytywałem każdego uczestnika konferencji i przypadkiem zapytałem panią.

Wahała się.

– Kuwale sugerowało coś o... przemocy, więc co miałem robić? Zapomnieć o vim? A może zacząć przebijać się przez dziwaczny system Bezpaństwa, stworzony w celu zajmowania się „podejrzanyimi zniknięciami”?

Popatrzyła na mnie, chcąc wyraźnie dać do zrozumienia, że nie wzruszyło ją to, stwierdziła jednak z żalem: – Jeśli powiem, że biegał pan po okolicy, zdzierając sobie gardło, może mnie nie obwinia...

– Dziękuję.

– Przemoc? Wobec kogo? Pokręciłem głową.

– Nie powiedziało. Może to nic nie znaczyć, ale warto sprawdzić.

– Chciałabym wiedzieć o wszystkim, czego się pan dowie.

– Obiecuję.

Znaleźliśmy się ponownie przy trupie teatralnej, która wykonywała właśnie ciężki kawałek o dziecku z rakiem, którego życie dałoby się uratować jedynie wtedy, gdyby nie dopuszczono, by słyszało stresującą, powodującą obniżenie odporności, prawdę. Popatrz mamó – prawdziwa nauka! Tyle tylko, że od trzydziestu lat możliwa była farmakologiczna kontrola wpływu stresu na układ odpornościowy.

Przez chwilę obserwowałem, wbrew osobistemu wrażeniu udawałem adwokata diabła i próbowałem się przekonać, czy w opowieści jest może ukryta jakaś mądrość: wieczna prawda wykraczająca poza przestarzałe realia medyczne.

Jeżeli tam była, mimo najlepszych chęci nie umiałem jej znaleźć. Poważni kłowni mogli tak samo dobrze być wysłannikami z innej planety, choć ponoć mówili o miejscu, w którym wspólnie żyjemy.

A jeżeli oni mają rację, ja zaś się mylę? Jeżeli wszystko, co moim zdaniem, jest zwodniczym podstępem, tak naprawdę jarzy się mądrością? Jeżeli ta toporna, sentymentalna bajeczka ujawnia najgłębszą prawdę o świecie?

W takim razie nie tylko bym się mylił – byłbym całkowicie oszukany. Stracony bez możliwości odpokutowania – podrzutek kompletnie odmiennej kosmologii, całkowicie innej logiki, dla którego nie ma tu miejsca.

Możliwość kompromisu nie istniała, pytanie o przerzucenie pomostu było nie na miejscu. Renesans Mistyczny nieustannie ogłaszał, że odkrył „doskonałą równowagę” między mistycyzmem a racjonalizmem, jakby wszechświat czekał na to milutkie odprężenie przed podjęciem decyzji, jak się samemu dalej rozwijać, i naprawdę poczuł ulgę, że skonfliktowanym stronom udało się uzyskać polubowne porozumienie, które pozwala na poszanowanie wrażliwości kulturowej każdej ze stron i należyte docenienie

jej poglądów. Pomijając, oczywiście fakt, że głoszone przez ludzi ideały równowagi i kompromisu – choćby nie wiem jak chwalebne politycznie i społecznie – nie mają absolutnie nic wspólnego ze sposobem, w jaki zachowuje się wszechświat.

Skromna Nauka! mogła sobie denuncjować jako „tyrana scjentyzmu” każdego, kto reprezentował ten pogląd, Renesans Mistyczny mógł określać go mianem „ofiary odrętwienia psychicznego”, którą należy „leczyć”, ale nawet jeśli kulty miały rację, nie dało się rozmyć samej zasady, pogodzić jej z czymś przeciwnym, doprowadzić do upadku. Albo była to prawda, albo fałsz – albo prawda i fałsz nie miały znaczenia, a wszechświat był niemożliwą do ogarnięcia, rozmazaną plamą.

A jednak w końcu empatia, pomyślałem. Jeżeli cokolwiek było wzajemne – jeśli członkowie RM czuli się przynajmniej w połowie tak wyobcowani i wywłaszczeni perspektywą pojawienia się TW jak ja myślą o ich szaleńczych pomysłach kształtujących grunt pod moimi nogami, to nareszcie zrozumiałem, po co tu przybyli.

Aktorzy kłaniali się. Kilka osób, głównie inni kultyści w przebraniach, klaskało. Przestałem zwracać uwagę na to, co się działo, ale po reakcji można było uznać, że koniec był szczęśliwy. Wyjąłem swój notepad i przekazałem dwadzieścia dolarów do ich notepada, który postawili przed sobą na ziemi. Nawet zwolennicy Junga w kostiumach kłownów musieli jeść: pierwsze prawo termodynamiki.

Odwróciłem się do Indrani Lee.

– Niech pani powie uczciwie: naprawdę jest pani jedyną osobą, która może się odizolować od każdej kultury, każdego systemu wiary, każdego źródła tendencyjności i niejasności i dostrzec prawdę?

Kiwnęła skromnie głową.

– Oczywiście. A pan nie?

Po powrocie do pokoju zapatrzyłem się – nic nie widząc – w pierwszą stronę najbardziej kontrowersyjnego artykułu Helen Wu z „Physical Review” i próbowałem wydumać, jak Sarah Knight udało się w trakcie prac przygotowawczych do *Violet Mosali* natknąć na antropokosmologów. Może Kuwale dowiedziało się o planowanym programie i zagadało ją – tak jak mnie?

Jak się jednak dowiedziało o programie?

Sarah przyszła z działu politycznego, ale robiła jeden reportaż naukowy dla SeeNetu. Sprawdziłem terminy. Tytuł brzmiał: *Podprzeć niebo*, a tematem były ekstrema kosmologii. Miano go wyemitować nie wcześniej jak w czerwcu, ale został zmagazynowany w prywatnej bibliotece SeeNetu, do której miałem pełen dostęp.

Obejrzałem program. Przedstawiano w nim całą masę zjawisk: od niemal ortodoksyjnych (choć prawdopodobnie niesprawdzalnych) teorii o równoległych wszechświatach kwantowych (rozchodzących się po pojedynczym Wielkim Wybuchu), wielokrotnych Wielkich Wybuchach, pojawiających się z praprzestrzeni i tworzących różne stałe fizykalne, wszechświatach „reprodukujących się” via czarne dziury i przekazujących „zmutowaną” fizykę swoim potomkom, po bardziej wymyślne i uduchowione koncepcje: kosmosu jako komórkowego automatu, jako przypadkowego produktu ubocznego odcieleśnionej matematyki platońskiej, jako „chmury” przypadkowo uszeregowanych liczb, które nabierały kształtu przez fakt, że jedna z ich możliwych postaci przypadkowo zawierała świadomego obserwatora.

– Nie było żadnej wzmianki o antropokosmologach, ale może Sarah zachowała ich sobie na późniejsze programy? Na czas, kiedy jak miała nadzieję – zdobędzie ich zaufanie i zapewni sobie ich współpracę? A może zachowała ich sobie na *Violet Mosalę* jeżeli między AK a Mosalą istniał

związek i Kuwale nie tylko przez przypadek było oddane zarówno im, jak i jej.

Kazałem Syzyfowi posprawdzać wszystkie zakamarki interakcyjnej wersji *Podęprzeć niebo*, nie było tam jednak ani ukrytych odnośników, ani wskazówek, że dojdzie coś jeszcze. Żadna baza danych na Ziemi nie zawierała ani linijki tekstu o AK. Każdy kult zatrudnia speców od tworzenia wizerunku, którzy robią, co mogą, by mówiło się na ich temat w mediach... kompletna niewidoczność świadczyła nie o drogim rzeczniku prasowym, a o ogromnej dyscyplinie.

KULT ANTROKOSMOLOGII. Chodziło o wiedzę człowieka o wszechświecie? Etykieta nie była jednoznaczna. Renesans Mistyczny, Skromna Nauka! i Kultura Najpierw przynajmniej nie pozostawiały wątpliwości co do swoich priorytetów.

Zamknąłem oczy. Zdawało mi się, że słyszę, jak wyspa oddycha, nieustannie wydycha, a ocean pod nią szoruje skałę.

Otworzyłem oczy. Znajdowałem się blisko centrum wyspy, nad podwodną górą. Pod skałą rafową – do samego dna oceanu – była solidna skała: bazalt i granit. Sen łagodnie otoczył mnie ramionami.

Przyszedłem na wykład Helen Wu wcześniej. Aula była niemal pusta, ale Mosala już się zjawiała – studiowała coś, mocno skupiona, na ekranie notepada. Usiadłem fotel od niej. Nie podniosła głowy.

– Dzień dobry.

Spojrzała krótko na mnie, chłodno odparła: – Dzień dobry – po czym wróciła do swojego zajęcia. Gdybym ją tak sfilmował, widzowie uznaliby, że reportaż został zrobiony pod pistoletem.

Mowę ciała zawsze można było jednak odpowiednio przemontować.

Tyle że nie o to chodziło.

– Jak to brzmi? – zagałem. – Obiecuję, że nie użyję niczego, co powiedziała pani wczoraj o kultach, jeżeli da mi pani potem coś bardziej przemyślanego.

Zastanowiła się, nie podnosząc wzroku znad ekranu.

– Dobrze. Uczciwa propozycja. – Popatrzyła na mnie. – Nie chcę sprawiać wrażenia niegrzecznej, naprawdę muszę to dokończyć. – Pokazała mi notepad: była w połowie artykułu Helen Wu, opublikowanego mniej więcej pół roku temu w „Physical Review”.

Nie odpowiedziałem, musiałem jednak przez chwilę mieć zgorszoną minę.

– Dzień ma tylko dwadzieścia cztery godziny – powiedziała usprawiedliwiająco Mosala. – Oczywiście, powinnam była to przeczytać dawno temu, ale... – Machnęła niecierpliwie ręką.

– Mogę sfilmować, jak pani czyta?

Była przerażona.

– Żeby wszyscy się dowiedzieli?

– Laureatka Nagrody Nobla nadrabia prace domowe. Pokazałoby to, że ma pani coś wspólnego z nami, śmiertelnymi. – Niemal dodałem: to się nazywa „uczłowieczanie”.

– Może pan filmować, kiedy zacznie się wykład – odrzekła zdecydowanie. – Tak brzmi nasza umowa. Zgadza się?

– Zgadza.

Czytała dalej – teraz faktycznie mnie ignorowała, całe jej skrępowanie i wrogość zniknęły. Poczulem ulgę: w tej właśnie chwili prawdopodobnie uratowaliśmy reportaż. Trzeba będzie się zająć jej stosunkiem do kultów, miała jednak prawo wyrazić swoje poglądy w bardziej dyplomatyczny sposób. Był to prosty, oczywisty kompromis, szkoda tylko, że nie pomyślałem o nim wcześniej.

Zezowałem (bez filmowania) na notepad Mosali. Za każdym razem, kiedy dochodziła do równania, korzystała z pomocy jakiegoś programu – na ekranie wykwitwały okna pełne algebraicznych działań i szczegółowych analiz przejść między kolejnymi etapami argumentacji Wu. Zastanawiałem się, czy mając tego typu narzędzia, zdołałbym lepiej zrozumieć sens artykułu Wu. Prawdopodobnie nie: niektóre zapisy w oknach „wyjaśniających” wyglądały jeszcze bardziej tajemniczo niż oryginalny tekst.

Nadażałem za większością omawianych na konferencji tematów, tyle że w najszerszym, jakościowym sensie, ale Mosala, korzystając z odrobiny komputerowego wsparcia, mogła się przebić do poziomu, na którym matematyka albo wytrzymywała rygorystyczną analizę, albo okazywała się nic nie warta. Nie było tu kuszącej retoryki, przekonujących metafor, odwoływania się do intuicji: pozostawała jedynie sekwencja równań, w której każde nieuchronnie prowadziło albo nie prowadziło do następnego.

Przejście tego egzaminu nie było oczywiście dowodem na nic – jeżeli założenia były błędne, nieskazitelny łańcuch rozumowania prowadził jedynie do eleganckiej fantazji. Decydowała umiejętność zbadania związków, sprawdzenia każdej nitki w łączącej ze sobą dwie możliwości sieci logicznej.

Uważam, że każda teoria i jej logiczne konsekwencje, każdy zestaw ogólnych praw oraz specyficznych możliwości, jakie dyktują, to niepodzielna całość. Uniwersalne prawa ruchu i grawitacji Newtona, wyidealizowane eliptyczne orbity Keplera i dowolne szczegółowe (przedeinsteińskie) modele układu słonecznego – wszystko to było elementem tej samej plecionki idei, tej samej gęsto ze sobą splątanej warstwy rozumowania. Ponieważ żadna z tych teorii nie okazała się całkowicie prawidłowa, w poszukiwaniu czegoś głębszego zerwano całą warstwę kosmologii newtonowskich – i od tamtego czasu to samo wydarzyło się jeszcze kilka razy. Sztuka polegała na tym, by dokładnie wiedzieć, z czego składa się każda warstwa, i odrywać każdy tkwiący w niej zestaw idei oraz predykcji, które zostały sfalszowane – nie więcej, ale i nie mniej – aż dotrze się do jednolitej, będącej rzeczą samą w sobie, warstwy pasującej do wszystkich możliwych obserwacji dokonywanych w świecie realnym.

To właśnie różniło Violet Mosalę od połowy jej kolegów i trzeciorzędnych dziennikarzy, których nie zmieniałyby żadna „humanizacja”. Jeżeli proponowana TW nie była spójna z danymi eksperymentalnymi albo rozpadała się z powodu wewnętrznych sprzeczności, właśnie Mosala mogła dokonać ostatecznej logicznej analizy i zerwać piękne fiasko jak doskonałą warstwę martwej skóry.

A jeżeli nie będzie to „piękne fiasko”? Jeżeli proponowana TW okaże się nienaganna? Obserwując Mosalę, przeglądając skomplikowaną

matematyczną argumentację Wu, jakby została napisana w przejrzystej prozie, wyobrażałem sobie, jak będzie wyglądać, gdy nadejdzie dzień, w którym – niezależnie od tego, czy będzie to TW jej autorstwa czy nie – zacznę cierpliwie weryfikować teorię w każdej wyobrażalnej skali, dla każdej możliwej energii, na każdym poziomie złożoności, robiąc wszystko, co może, by utkać z wszechświata niepodzielną całość.

Aula zaczynała się zapełniać. Mosala skończyła czytać w chwili, gdy Wu stanęła na mównicy.

– Jaki wyrok? – szepnąłem.

– W zasadzie... ma rację... – powiedziała z namysłem. – Jeszcze nie udowodniła, co zamierzała, ale jestem prawie pewna, że podąża dobrą drogą.

Oświadczenie było zaskakujące.

– Ale czy to nie martwi... Przyłożyła palec do ust.

– Bądźmy cierpliwi. Posłuchajmy jej.

Helen Wu mieszkała w Malezji, od trzydziestu lat pracowała jednak na Uniwersytecie Bombajskim. Była współautorką przynajmniej kilkunastu bardzo ważnych artykułów, w tym dwóch z Buzzo i jednego z Mosalą, jakoś nie udało jej się jednak osiągnąć podobnego statusu półgwiazdy. Była prawdopodobnie tak samo pomysłowa i miała nie gorszą wyobraźnię niż Buzzo, może nawet nie mniej wymagająca i staranna jak Mosala, choć chyba wolniej docierała do granic dziedziny, którą się zajmowała (co widać dopiero przy spojrzeniu retrospektywnym) i nie miała tak wielkiego szczęścia w wyborze problemów, które pozwalały uzyskać spektakularne wyniki.

Większość wykładu przekraczała moje możliwości. Skrupulatnie zapisywałem każde słowo i każdy wykres, moje myśli wędrowały jednak w

kierunku pytania, jak sparafrazować przekaz, unikając szczegółów technicznych? Może za pomocą interakcyjnego dialogu?

Wybierz liczbę między 10 a 1000. Nie mów jej głośno.

[Wybiera... 575]

Dodaj do siebie cyfry, z których się składa.

[17]

Dodaj do siebie cyfry tak powstałej liczby.

[8]

Dodaj 3.

[11]

Odejmij powstałą liczbę od tej, którą pomyślałeś na początku.

[564]

Dodaj do siebie cyfry, z których się składa.

[15]

Jaka będzie reszta, jeżeli podzielisz tę liczbę przez 9?

[6]

Podnieś ją do kwadratu.

[36]

Dodaj 6.

[42]

Czy wyszło... 42?

[Tak jest!]

Spróbujmy jeszcze raz...

Końcowy wynik jest oczywiście zawsze taki sam, wszystkie „skomplikowane” kroki tej taniej sztuczki do użytku na przyjęciach były niczym innym jak zawiłym stwierdzeniem, że x minus x zawsze daje 0.

Wu sugerowała, że podejście Mosali przy tworzeniu TW ogranicza się w zasadzie do tego samego: wszystkie obliczenia likwidują same siebie. Rzecz jasna w większej skali i w mniej oczywisty sposób, ale tautologia zawsze pozostaje tautologią.

Wu spokojnie komentowała pojawiające się na ekranie za jej plecami równania. Aby wykazać szereg związków i połączyć jedne części pracy Mosali z innymi, musiała za pomocą czystej matematyki udowodnić szereg teorematów – w żadnym wypadku nie było to łatwe i każdy wynik miał znaczenie sam w sobie. (Nie była to moja niefachowa opinia; sprawdziłem bazy danych, by wyszukać cytaty z jej wcześniejszych prac, które stanowiły podstawę tej prezentacji). Dla mnie właśnie to było niezwykle: że w ogóle istnieje możliwość tak bogatego i skomplikowanego stwierdzenia, że „ x minus x równa się 0”. Jakby okazało się, że splątany kawał liny, zwijany i rozwijany kilkaset tysięcy razy, nie ma ani jednego węzła i jest jedynie pętlą – skomplikowaną, ale dającą się rozwinąć. Może właśnie to byłoby lepszą metaforą – w wersji interakcyjnej widzowie, mający specjalne rękawice siłowe, mogliby włożyć ręce w ekran i przekonać się, że „węzeł” jest jedynie pętlą...

Nie dało się ot tak złapać paru równań tensorowych Mosali i pociągnąć za nie, by sprawdzić, jak się łączą. Należało w myśli rozwiązać pozorny węzeł (za pomocą programu komputerowego, ale sam by tego nie załatwił). Subtelne pomyłki zawsze były możliwe. Sedno tkwiło w detalach.

Wu skończyła i zaczęła odpowiadać na pytania. Audytorium było ujarzmione; padło jedynie kilka ostrożnych próśb o doszczegółowienie, nie dało się jednak na ich podstawie ocenić, czy wyrażały akceptację, czy dezaprobatę.

Odwróciłem się do Mosali.

– W dalszym ciągu uważa pani, że jest na dobrej drodze? Zawahała się.

– T... tak.

Sala pustoszała, kątem oka widziałem, jak mijający nas ludzie przyglądają się Mosali. Wszystko odbywało się niezwykle kulturalnie – bez omdlewających nastolatek proszących o autografy – przebłyski zachwytu,

szacunku, podziwu były jednak ewidentne. Rozpoznałem kilku członków fanklubu Mosali, którzy tak ją wsparli podczas konferencji prasowej, lecz nigdzie nie dostrzegłem Kuwale. Jeżeli troszczyło się o Mosalę, dlaczego to nie było?

– Co to oznacza dla pani TW? – spytałem. – Jeżeli Wu ma rację?

– Może wzmacnia moją pozycję – odparła z uśmiechem.

– W jaki sposób? Nie rozumiem. Popatrzyła na notepad.

– To skomplikowane. Może omówimy to jutro? Środa popołudniu: termin pierwszego wywiadu.

– Oczywiście.

Zaczęliśmy wychodzić. Mosala najwyraźniej miała kolejne spotkanie, uznałem więc, że teraz albo nigdy.

– Chciałem coś pani powiedzieć... nie wiem, czy to istotne, ale...

– Proszę mówić.

– Kiedy przyleciałem, zagadał mnie na lotnisku aseks o nazwisku Akili Kuwale. – Nie zareagowała na nazwisko, mówiłem więc dalej. – Powiedziało, że jest „antrokosmologiem głównego nurtu” i...

Mosala cicho jęknęła, zamknęła oczy i zamarła w bezruchu. Po chwili odwróciła się do mnie.

– Chcę powiedzieć to jasno i wyraźnie: jeżeli w reportażu wymieni pan choćby raz nazwę „antrokosmologia”...

– Nie zamierzam tego robić! – wtrąciłem natychmiast. Przyglądała mi się zezłoszczona. Nie wierzyła.

– Uważa pani, że nawet gdybym chciał, pozwoliliby mi na to? – dodałem.

Nie uspokoiło jej to.

– Nie mam pojęcia, co tak naprawdę mogą. Czego chciała od pana ta... osoba, jeśli nie chodziło jej o rozpowszechnianie chorych poglądów?

– Najwyraźniej obawiało się, że może pani być w niebezpieczeństwie. – Rozważałem, czy nie zapytać o możliwości emigracji Mosali na Bezpaństwo, tak mało brakowało jej jednak do punktu zapalnego, że wolałem nie ryzykować.

– Cóż, to więc znaczą dla pana antropologowie, ich troska jest bardzo wzruszająca, ale nie jestem w niebezpieczeństwie. – Wskazała na pustą aulę, jakby chciała wskazać, że nie widzi czyhających skrytobójców. – Mogą się więc odprężyć, pan może o nich zapomnieć i oboje możemy się zająć swoimi sprawami. Mam rację?

Skinąłem głową. Poszła dalej, dogoniłem ją dopiero po kilku krokach.

– Nie szukałem tych ludzi – wyjaśniłem. – Zaraz po wyjściu z samolotu zagadała mnie tajemnicza osoba, która zaczęła robić dziwne uwagi na temat pani bezpieczeństwa. Uznałem, że powinna się pani o tym dowiedzieć – to wszystko. Nie wiedziałem, że ów osobnik był członkiem organizacji, której najbardziej pani nie lubi, ale jeżeli temat jest tabu... to świetnie. Nigdy więcej nie wypowiem w pani obecności tej nazwy.

Mosala zatrzymała się, jej mina złagodniała.

– Przepraszam. Nie zamierzałam odgryzać panu głowy, znam jednak ten typ zgubnego nonsensu... Nieważne. Powiedział pan, że temat jest zamknięty? Nie interesuje pana? – Uśmiechnęła się słodko. – W takim razie nie ma się o co kłócić, prawda? – Podeszła do drzwi, zatrzymała się przy nich i zawołała: – Do zobaczenia jutro po południu! Wreszcie porozmawiamy o czymś ważnym. Już się nie mogę doczekać.

Patrzyłem, jak odchodzi, potem wróciłem do pustej sali i usiadłem w pierwszym rzędzie. Ciekawe, jak mogłem dopuścić do siebie myśl, że uda mi się „wyjaśnić” Violet Mosalę światu. Nie wiedziałem nawet, co myśli moja kochanka, choć mieszkałem z nią długi czas – a jakich absurdalnie błędnych ocen dokonam w przypadku tej niezwykle wrażliwej, zmiennej,

obcej kobiety... której życie krąży wokół matematyki, dziedziny dla mnie tak mało zrozumiałej?

Natarczywie zabrzączał mój notepad. Hermes wydedukował, że wykład się skończył i głośny sygnał jest dozwolony. Miałem wiadomość od Indrani Lee. „Andrew, może to nie całkiem po pańskiej myśli, ale przedstawiciele ludzi, o których mówiliśmy wczoraj wieczór, zgodzili się z panem porozmawiać. Oczywiście nieoficjalnie. Chomsky Avenue 27. Dziś wieczorem o dziewiątej”.

Złapałem się za brzuch, by się nie roześmiać.

– Nie pójdę tam. Nie zamierzam ryzykować. A jeśli Mosala się o tym dowie? Oczywiście, że jestem ciekaw, ale nie warto ryzykować.

Hermes odczekał kilka sekund z reakcją.

– Czy to jest odpowiedź? Pokręciłem głową.

– Nie. Ani prawda.

Miejsce, którego adres dała mi Lee, znajdowało się kilka minut spacerem od północno-wschodniej linii tramwajowej. Okolica wyglądała niemal jak przedmieścia Sydney; poza tym, że nigdzie nie było roślin – ani demonstracyjnie ustawionych, ani żadnych innych – jedynie stosunkowo duże, wyłożone kostką podwórka i gdzieniegdzie kiczowate rzeźby. Nie było także widać, by płoty znajdowały się pod napięciem. Ochłodziło się dość znacznie; nawet tutaj jesień dawała znać o sobie. Olśniewający koral Bezpaństwa był kompletnie mylący; w takiej odległości od tropików naturalni kuzyni bioinżynierijnie wytworzonych polipów nie mieli szans przeżycia.

Sarah Knight skontaktowała się z antrokosmologami i Violet Mosala nie miała o tym pojęcia. Gdyby wiedziała, że Sarah i Kuwale zawarli jakąś umowę, nie mówiłaby raczej o niej w tak pozytywnych słowach. Była to oczywiście czysta spekulacja, ale nie pozbawiona sensu: badania do

Podprzeć niebo musiały zaprowadzić Sarah do AK, którzy przynajmniej po części musieli stanowić powód, że tak bardzo starała się dostać *Violet Mosalę*. Może antrokosmologowie postanowili zawrzeć ten sam układ ze mną. „Pomóż nam pilnować Violet Mosali, to dostaniesz materiał z wyłącznością na cały świat: pierwszy reportaż o najtajniejszym kulcie świata”.

Dlaczego uważali, że ich obowiązkiem jest ochrona Mosali? Jaka rolę specjaliści od TW grali w planach antrokosmologów? Byli ich guru? Oderwanymi od świata, świętymi głupcami, którzy potrzebowali ochrony przed wrogami? Uświęcanie fizyków byłoby czymś zupełnie innym od uświęcania ignorancji, bez trudu można było sobie jednak wyobrazić, że stwierdzenie, iż jest cennym (choć w sumie naiwnym i bezradnym) medium, dostarczającym mistycznej wiedzy, mogłoby jeszcze bardziej zirytować Mosalę niż twierdzenie, że powinna zostać upokorzona albo wyleczona.

Numer 27 okazał się parterowym domem ze srebrnoszarego granitu, przypominającym z wyglądu skałę rafową. Był spory, ale na pewno nie mieściła się tutaj niczyja rezydencja, było tu góra pięć sypialni. Logiczne, że chcący pozostać w cieniu AK wynajęli sobie coś na przedmieściach – zapewniało to większą dyskrecję niż pełen dziennikarzy hotel. Przez młeczne szyby prześwitywało ciepłe, żółte światło, wrażenie było wręcz zapraszające. Przeszedłem przez otwartą bramę, puste podwórko, przygotowałem się na najgorsze i zadzwoniłem do drzwi. Jeżeli *Renesans Mistyczny* mógł ubierać swoich ludzi w kostiumy kłownów i otwarcie mówić na ulicy o „napędzanej wyobraźni autonarracji”, nie byłem do końca pewien, czy jestem gotów na zetknięcie z kultem, którego praktyki musiały się odbywać za zamkniętymi drzwiami.

Mój notepad krótko, cicho pisnął, niczym dziecinna zabawka, w którą wbito nóż. Wyjąłem go z kieszeni. Ekran był pusty – po raz pierwszy coś takiego widziałem. Drzwi się otworzyły, stała w nich elegancka kobieta. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę.

– Andrew Worth, prawda? Amanda Conroy.

– Miło panią poznać.

Uścisnąłem jej dłoń, w drugim ręku ciągle trzymałem notepad. Popatrzyła na martwe urządzenie.

– Nie został zniszczony, ale sam pan rozumie... to spotkanie nieoficjalne.
– Mówiła z akcentem z Zachodniego Wybrzeża USA i miała bezwstydnie białą skórę, gładką jak polerowany marmur. Mogła mieć od trzydziestu do sześćdziesięciu lat.

Wszedłem za nią do domu i poszliśmy holem wyłożonym grubym, niemal pluszowym dywanem; weszliśmy do salonu. Na ścianach porozwieszano gobeliny – wielkie, kolorowe płachty materiału w abstrakcyjne wzory. Na moje oko wyglądały jak brazylijski pseudoprymityw – robota grupy modnych Irlandczyków – nie umiałem jednak ocenić, czy były to „oryginały”, czyli świadome „remiksy” sztuki z getta Sao Paulo z lat dwudziestych, obecnie setki razy droższe od oryginałów z Brazylii. Czterometrowy ekran na ścianie na pewno nie był tani – tak samo jak ukryty sprzęt, który zamienił mój notepad w cegłę. Nawet nie próbowałem włączać Świadka; mogłem być jedynie szczęśliwy, że przed wyjściem z hotelu przekazałem poranny materiał konsulecie redakcyjnej w domu.

Wyglądało na to, że w całym budynku jesteśmy tylko we dwoje.

– Proszę usiąść – powiedziała Conroy. – Ma pan na coś ochotę?

Podeszła do stojącego w rogu, niedużego automatu do napojów. Popatrzyłem na urządzenie i odmówiłem. Był to syntetyzer za dwadzieścia

tysięcy dolarów, praktycznie biorąc rozbudowane farmako, które mogło przygotować wszystko od soku pomarańczowego po koktajl neuroaktywnych amin biogennych. Obecność tego urządzenia na Bezpaństwie zaskakiwała – mnie nie pozwolono wwieźć przestarzałego farmako – ponieważ jednak nie pamiętałem dokładnie tekstu rezolucji ONZ, nie mogłem mieć pewności, jaka technologia była generalnie zakazana, a co dotyczyło jedynie eksportu z Australii.

Conroy siedziała naprzeciwko, skupiona i zamyślona.

– Akili Kuwale jest moim bardzo bliskim przyjacielem – odezwała się w końcu. – Jest wspaniałym, ale czasami nieco nieobliczalnym człowiekiem. – Uśmiechnęła się rozbijająco. – Wyobrażam sobie, co pan o nas myśli, po tym jak naopowiadał tych nonsensów spod znaku płaszcza i szpady. – Popatrzyła znacząco na mój notepad. – Podejrzewam, że nasze upieranie się przy pełnej prywatności tej rozmowy też nie sprzyja porozumieniu, ale zapewniam, że nie kryje się za tym żadna ponura tajemnica. Na pewno pan przyzna, iż media mają tyle władzy, że mogą zająć się dowolną grupą ludzi i ich ideami, i wypaczyć ich założenia tak, by służyło to... różnym instytucjom. – Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, w zasadzie przyznać jej rację, ale nie dopuściła mnie do głosu. – Nie chcę zniesławiać pańskiego zawodu, ale to się tyle razy zdarzało w przypadku innych grup, że nie powinno pana zaskakiwać, iż uważamy to za nieuchronny skutek upublicznienia. Dla zachowania autonomii dokonaliśmy więc trudnego wyboru i postanowiliśmy nie pozwalać, by reprezentowali nas ludzie z zewnątrz. Nie chcemy być opisani światu: uczciwie ani nieuczciwie, z sympatią albo z niechęcią. Jeżeli nie ma się wizerunku publicznego, problem wypaczania znika. Jesteśmy tym, czym jesteśmy.

– A jednak mnie zaprosiliście.

Conroy z żalem skinęła głową.

– Marnując pański czas i ryzykując, że sprawy jeszcze się skomplikują. Jaki mieliśmy jednak wybór? Akili wzbudziło pańskie zainteresowanie i trudno było oczekiwać, że zapomni pan o sprawie. Tak więc... wolę omówić nasze idee bezpośrednio z panem, niż pozwolić panu węszyć i składać do kupy nieprawdziwe plotki z trzeciej ręki. Oczywiście wszystko musi być nieoficjalne.

Poprawiłem się na fotelu.

– Chcecie, bym nie ściągał na was więcej uwagi, zadając pytania nie tym ludziom, co należy – dlatego zamierza pani odpowiedzieć na nie wprost. Po to, aby zatkać mi usta.

Spodziewałem się, że ta bezceremonialna ocena wywoła oburzone zaprzeczenia i kanonadę eufemizmów, ale Conroy odparła krótko: – Zgadza się.

Indrani Lee musiała potraktować moją radę dosłownie. „Proszę im powiedzieć, że spytałem panią mniej lub bardziej przypadkowo – wypytywałem każdego uczestnika konferencji i przypadkiem zapytałem panią”. Jeżeli AK sądzili, że zamierzałem każdemu dziennikarzowi i fizykowi na Bezpaństwie sprzedawać pospiesznie zaimprovizowaną na potrzeby Lee opowiastkę o „znikającym informatorze Kuwale”, nic dziwnego, że nie marnowali czasu, by do mnie zadzwonić.

– Dlaczego chce mi pani zaufać? Co powstrzyma mnie przed wykorzystaniem tego, co pani powie?

Conroy rozłożyła dłonie.

– Nic. Dlaczego jednak miałby pan chcieć to robić? Przejrzałam pańskie dotychczasowe reportaże i wynika z nich, że pseudonaukowe ugrupowania jak nasze nie interesują pana. Jest pan tu po to, aby kręcić materiał o Violet Mosali, co musi być tematem wystarczająco absorbującym nawet bez dygresji i zakłóceń. Może nie da się wyłączyć z kontekstu Renesansu

Mistycznego czy Skromnej Nauki!, bo pchają się na afisz przy każdej możliwej okazji, ale my nie. Nie mając o nas żadnego materiału wizualnego – chyba że spróbuje go pan sfałszować – co chciałby pan umieścić w programie? Pięciominutowy wywiad ze sobą, w trakcie którego zreferuje pan to spotkanie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć, miała rację w każdym punkcie. Dochodziła do tego antypatia Mosali i ryzyko, że odmówi dalszej współpracy, jeżeli się dowie, że wkraczam na ten teren.

Jeszcze jedno: nic na to nie mogłem poradzić, ale nieco sympatyzowałem z tym podejściem AK. Wyglądało na to, że niemal każdy, z kim spotkałem się w ostatnich kilku latach – od migrantów płciowych uciekających od istniejących definicji polityki płciowej, po uciekinierów od nacjonalistycznych frazesów, takich jak Bili Munroe – miał dość uzurpowania sobie przez różnych ludzi prawa do wypowiedzania się w jego imieniu. Nawet Kultury Ignorancji i specjaliści TW mieli wzajemne pretensje z podobnych powodów, choć zdecydowanie kontestowali definicję czegoś znacznie większego niż własna tożsamość.

– Nie bardzo mogę obiecać bezwarunkową dyskrecję – powiedziałem ostrożnie. – Choć spróbuję uszanować pani życzenie.

Zdawało się jej to wystarczać. Może przed spotkaniem rozważyła możliwości i uznała, że nawet jeśli nie uda jej się uzyskać gwarancji, krótkie wprowadzenie będzie mniejszym złem.

– Antrokosmologia to tak naprawdę jedynie współczesna postać starożytnej idei – zaczęła. – Nie będę jednak marnować pańskiego czasu i wyliczać, co nas łączy, a co nie z różnymi filozofami klasycznej Grecji, wczesnym islamem, siedemnastowieczną Francją czy osiemnastowiecznymi Niemcami... jeżeli bardzo panu na tym zależy, może

pan sam pogrzebać w historii. Zacznę od człowieka, o którym na pewno pan słyszał: od dwudziestowiecznego fizyka, Johna Wheelera.

Skinąłem na potwierdzenie głową, choć na poczekaniu umiałem sobie jedynie przypomnieć, że grał ważną rolę w stworzeniu teorii czarnych dziur.

– Wheeler był zwolennikiem teorii uczestniczącego wszechświata, czyli kształtowanego przez mieszkańców, którzy go obserwują i wyjaśniają – kontynuowała Conroy. – Miał ulubioną metaforę tej koncepcji... zna pan grę w dwadzieścia pytań? Jedna osoba myśli o jakimś przedmiocie, a druga zadaje pytania, na które można odpowiadać jedynie „tak” lub „nie”, by zgadnąć, o co chodzi. Jest inny sposób grania w tę grę. Na początek nie wymyśla się żadnego przedmiotu, jedynie raczej przypadkowo odpowiada „tak” lub „nie” – choć spójnie z dotychczasowymi stwierdzeniami. Jeżeli powiedziało się na przykład, że „to” jest niebieskie, nie wolno potem twierdzić, że jest czerwone, nawet jeśli nie ma się określonego zdania, co „to” jest. Im więcej pada pytań, tym jaśniejsze staje się jednak, co „to” może być. Wheeler zasugerował, że wszechświat zachowuje się jak niezdefiniowany przedmiot i zaistniał tylko dlatego jako coś określonego, bo postawiono w jego przypadku szereg podobnych pytań. Prowadzimy obserwacje, dokonujemy eksperymentów – czyli zadajemy pytania o „to”. Otrzymujemy odpowiedzi – część jest dość przypadkowa – ale nigdy nie są całkowicie sprzeczne. Im więcej zadajemy pytań, tym wyraźniejszych kształtów nabiera wszechświat.

– Ma pani na myśli... pomiary mikroskopijnych obiektów? Niektóre cechy cząstek subatomowych nie istnieją, dopóki nie zostaną zmierzone – a uzyskany pomiar ma przypadkową komponentę – ale jeżeli dokonamy ponownego pomiaru, wynik jest przecież taki sam. – Był to stary, bardzo

stary argument, dobrze uzasadniony i niekontrowersyjny. – Coś takiego Wheeler miał na myśli?

Conroy potaknęła.

– To ostateczny przykład, datowany oczywiście na czasy Nielsa Bohra, u którego Wheeler studiował w Kopenhadze w latach trzydziestych XX wieku. Pomiar kwantowy był oczywiście inspiracją tego modelu, ale Wheeler i jego następcy znacznie je rozwinęli. Pomiar kwantowy dotyczy pojedynczych, mikroskopowych zdarzeń, które zachodzą – albo i nie – przypadkowo, ale zgodnie z prawdopodobieństwami determinowanymi przez zestaw preegzystujących zasad. Dotyczą pojedynczych „orłów” i „reszek” przy serii rzutów, a nie kształtu monety ani sumy poszczególnych wydarzeń. Nietrudno dostrzec, że wirująca w powietrzu moneta nie jest ani „orłem”, ani „reszką”, co jednak, jeśli nie jest nawet konkretną monetą? Jeżeli nie istnieją preegzystujące zasady rządzące systemem, który zamierzamy mierzyć? Tak jak nie istnieją preegzystujące odpowiedzi na każdy pomiar?

– Niech mi pani powie.

Przyszedłem tu, spodziewając się od samego początku zwykłej kwiecistej kultowej gadki: paplania o archetypowych wojownikach i czarownicach albo konieczności jak najszybszego odkrycia na nowo utraconej wiedzy alchemików. Znacznie trudniej było określić, na ile kultowej filozofii służy strategia powoływania się na mechanikę kwantową i wypaczania ograniczeń jej antyintuicyjnej dziwaczności. Wygadany szarlatan mógł zrobić z mechaniki kwantowej absolutnie wszystko – od uznania jej za „naukową” podstawę telepatii, po uczynienie z niej „dowodu” na nieomyślność buddyzmu. Mimo wszystko nie miało większego znaczenia, czy dostrzegę dokładną granicę, kiedy Conroy opuściła obszar uznanej nauki i przeszła do antrokosmologicznej fantazji – będę mógł

określić to potem, gdy odzyskam elektroniczny smoczek, który dostarczy mi wiedzy fachowej.

Conroy zauważyła moją irytację i kontynuowała – w języku nauki: – Historycznie biorąc, fizyka zlała się z teorią informacji. Przynajmniej sporo ludzi przez jakiś czas badało to połączenie. Próbowano odkryć, czy jest sens mówić o tworzeniu nie tylko czasoprzestrzeni pojedynczych mikroskopijnych zdarzeń, ale także leżącej u podstaw mechaniki kwantowej i różnych – wtedy jeszcze nie zunifikowanych – równań pola... ze strumienia odpowiedzi „tak” i „nie”. Jak ujął to Wheeler: „o tworzeniu bytu z bitu”.

– Brzmi to jak jeden z tych wielu eleganckich pomysłów, które okazały się pudłem. Nikt na konferencji nie mówi o czymkolwiek to przypominającym.

Conroy przytaknęła.

– Fizyka informacji w zasadzie zniknęła z poważnych rozważań, kiedy z popiołów teorii superstrun wyrosła Standardowa Zunifikowana Teoria Pola. Co geometria dziesięciowymiarowej totalnej przestrzeni ma wspólnego z sekwencją bitów? Niewiele. Geometria wygrała i od tego czasu jest najproduktywniejszym podejściem.

– Więc gdzie tu miejsce na antrokosmologów? Macie własną, konkurencyjną, opartą na „fizyce informacji” TW, którą establishment mógłby potraktować poważnie?

Conroy roześmiała się.

– Raczej nie! Nie moglibyśmy rywalizować w tej dziedzinie – i nie chcemy. Buzzo, Mosala i Nishide mogą rozegrać to między sobą. Jestem pewna, że ktoś z tej trójki w końcu przedstawi pozbawioną wad TW.

– Więc?

– Wróćmy do modelu wszechświata starego Wheelera. Prawa fizyki wynikają ze schematów – stałości – w przypadkowych danych. Jeżeli jednak wydarzenie nie zachodzi do chwili zaobserwowania go, prawo nie istnieje, dopóki nie zostanie zrozumiane. Pojawia się w tym momencie pytanie: przez kogo? Kto decyduje, co oznacza „stałość”? Kto decyduje, jaką postać prawo może przybrać – albo co jest „wyjaśnieniem”? Gdyby wszechświat natychmiast uległ wszelkiemu wyjaśnieniu go przez człowieka, żylibyśmy w świecie, w którym dosłowną prawdą jest kosmologia epoki kamiennej, albo... byłby taki, jak w starych dowcipach o życiu po śmierci: zestawem oddzielnych rajów dla każdej osobnej religii – już przed śmiercią. Świat jednak taki nie jest. Bez względu na to, jak bardzo ludzie się ze sobą nie zgadzają, zbierają się i dyskutują o naturze rzeczywistości. Nie odpływamy w indywidualne wszechświaty, gdzie prawdą ostateczną są nasze prywatne teorie.

– To na pewno. – Wyobrażałem sobie trupę teatralną Renesansu Mistycznego, podążającą za C.G. Jungiem, ubranym w kostium Szczurołapa z Hameln, przez psychodeliczną dziurę do całkiem innego kosmosu, do którego nie mogliby podążać za nimi racjoniści. – Czy nie sugeruje to, że wszechświat wcale może nie być uczestniczący? Że prawa fizyki to stałe zasady, niezależne od odkrywających je ludzi?

– Nie – odparła łagodnie Conroy, jakby uderzyła ją naiwność tego stwierdzenia. – Wszystko w teorii względności i mechanice kwantowej aż protestuje przeciwko jakemukolwiek absolutnemu tłu: absolutnemu czasowi, absolutnej historii, absolutnym prawom. Uważam, że idea uczestnictwa musi być sformułowana rygorystycznie w matematyce teorii informacji, a różne możliwości powinny zostać przebadane z wielką starannością.

Trudno było z tym polemizować.

– W jakim celu? Jeżeli nie rywalizujecie o odkrycie TW...

– Chodzi o zrozumienie, w jaki sposób nauka wokół TW może doprowadzić do stworzenia aktywnej TW. W jaki sposób znajomość równań może zakotwiczyć opisywaną przez nie rzeczywistość – tak mocno, że nawet nie można będzie mieć nadziei na zajrzenie za nie i ujrzenie choć rąbka procesu, który utrzymuje je w tym miejscu.

Roześmiałem się.

– Jeżeli przyznaje pani, że nie ma na to nadziei, właśnie przeszła pani do metafizyki.

Conroy nie wybiło to w najmniejszym stopniu z konceptu.

– Oczywiście. Uważamy jednak, że da się tego dokonać w duchu naukowym: używając logiki, odpowiednich narzędzi matematycznych. Tym właśnie jest antrokosmologia: starą teorią informacji, ożywioną jako coś stojącego poza fizyką. Odkrycie TW może wcale nie jest konieczne, uważam jednak, że liczy się fakt istnienia TW.

Pochyliłem się ku niej. Chyba się uśmiechałem, mimowolnie – zafascynowany wbrew sceptycyzmowi. Jak na pseudonaukę, były to naprawdę wysokiej klasy bzdury!

– W jaki dokładnie sposób? Czy któraś z tych ewentualności, przeanalizowanych przez was „z dużą starannością”, może nadać teorii jakąkolwiek moc, która nie kryła się w naturze?

– Niech pan sobie wyobrazi taką kosmologię: zapominamy o zapoczątkowaniu wszechświata od odpowiednio ustawionego Wielkiego Wybuchu, potrzebnego do stworzenia gwiazd, planet, inteligentnego życia i kultury zdolnej nadać temu wszystkiemu sens. Zamiast tego przyjmijmy za „punkt startu” fakt, że istnieje istota żywa zdolna wyjaśnić wszechświat jedną teorią. Odwróćmy wszystko i przyjmijmy, że jedyną nadaną z góry rzeczą jest istnienie takiej osoby.

– Jak może to być czymś jedynym? – spytałem z irytacją.

– Nie można mieć żywej istoty... i niczego innego. Nawet jeśli założymy, że ta osoba potrafi wyjaśnić wszechświat, musi mieć wszechświat do wyjaśnienia.

– Dokładnie. – Conroy uśmiechnęła się spokojnie i rozumnie, ale kiedy dotarło do mnie, co teraz powie, najeżyły mi się włosy na karku. – Wszechświat „wyrasta” z tej osoby, z umiejętności jego wyjaśnienia: we wszystkich kierunkach, w dodatku do przodu i do tyłu w czasie. Zamiast eksplozji w przestrzeni – nieuchronnej na początku strumienia czasu – mamy wszechświat kształtujący się spokojnie wokół pojedynczej ludzkiej istoty. Z tego powodu wszechświat podlega pojedynczemu prawu – Teorii Wszystkiego. Wyjaśnia go jedna jedyna osoba. Nazywamy ją Zwornikiem. Wszyscy i wszystko istnieją, ponieważ istnieje Zwornik. Model kosmologiczny, opierający się na założeniu Wielkiego Wybuchu, może prowadzić do wszystkiego: wszechświata zimnego pyłu, wszechświata czarnych dziur, wszechświata martwych planet, ale Zwornik potrzebuje tego, co już zawiera wszechświat – gwiazd, planet, życia – aby wyjaśnić swą egzystencję. Nie tylko potrzebuje: może to wyjaśnić, nadać wszystkiemu sens – bez luk, bez wad, bez sprzeczności. Z tego właśnie powodu miliardy ludzi mogą się mylić. Dlatego nie żyjemy w okresie kosmologii epoki kamiennej ani w epoce fizyki newtonowskiej. Wyjaśnienia są w większości zbyt słabe, zbyt ubogie i niedostatecznie spójne, by mogły spowodować zaistnienie wszechświata – i opisać umysł zdolny do stworzenia takiego wyjaśnienia.

Wpatrywałem się milcząco w Conroy. Nie chciałem jej obrazić, ale brakowało mi jakiegokolwiek grzecznego słowa. W końcu cała jej przemowa okazała się czystą gadką kultową: tak samo dobrze mogła mi mówić, że Violet Mosala i Henry Buzzo są inkarnacjami zwalczających się

hinduskich bóstw albo że w chwili, gdy napisane zostanie Ostatnie Równanie, Atlantyda wypłynie z oceanu, a z nieba zaczną spadać gwiazdy.

Różnica była taka, że gdyby powiedziała to drugie, chyba nie czułbym na przedramionach i plecach niemiłego mrowienia. Na tyle blisko dotarła do granic nauki, by nieco mnie rozbroić.

– Nie możemy zaobserwować pojawiania się wszechświata mówiła dalej – bo jesteśmy jego częścią i jesteśmy uwięzieni w stworzonej przez akt wyjaśnienia czasoprzestrzeni. Możemy jedynie mieć nadzieję, że z biegiem czasu zostaniemy świadkami, jak w umyśle jednej osoby narodzi się TW, jak zrozumie ona jej konsekwencje i – w niewidoczny, niedostrzegalny sposób wrozumuje nas w byt. – Roześmiała się, przerywając zakłęcie. – To oczywiście teoria. Matematyka, na której oparto cały proces, jest rozsądna, ale rzeczywistość już z samej swej natury jest niestabilna. Może się więc okazać, że się mylimy. Czy rozumie pan teraz, dlaczego ktoś pokroju Akili – kto wierzy nieco zbyt namiętnie, że być może mamy rację – chce zyskać pewność, iż nic się nie stanie Violet Mosali?

Poszedłem na inny przystanek tramwajowy niż ten, na którym wysiadłem, i zawędrowałem nieco dalej na południe niż było konieczne. By powrócić na Ziemię, musiałem przez chwilę postać pod gwiazdami. Nawet jeśli Bezpaństwo nie do końca było stałym lądem.

Wieczne rewelacje przyniosły wielką ulgę – wyjaśniały niejasności, wreszcie sensowne stawało się wszystko, co przeszkadzało mi porządnie wykonywać moją pracę.

AK byli niegroźnymi wariatami i choć notka o nich w *Violet Mosali* mogła być zabawna, pominięcie ich raczej nie zakłóci spójności reportażu – a chcieli tego, chciała tego Mosala. Jaki sens miało obrażanie obu stron w imię nieustraszonego dziennikarstwa, a naprawdę po to, by wywołać krótki uśmiech na ustach widzów SeeNetu?

Kuwale – to zrozumiałe, choć niezbyt uzasadnione – miało kompletną paranoję. Życie potencjalnego Zwornika nie było sprawą, do której można podchodzić lekko. Nie chodziło o rozpad wszechświata – jeżeli Zwornik by zginął przed „wrozumowaniem wszystkiego w byt”, było oczywiste, że musiałby go zastąpić ktoś inny, czyli nie był jedyny. Nie oznaczało to, że nie należy mieć mimo wszystko wielkiego szacunku dla – jak na razie – kandydata na stwórcę, a plotki o emigracji Mosali musiały wystarczyć, by Kuwale zaczęło widzieć wrogów wypełzających ze szpar w skale rafowej.

Czekałem na tramwaj na kompletnie pustej ulicy i patrzyłem na olśniewające bogactwo gwiazd – i satelitów – podkreślane dzięki ogromnej klarowności zimnego powietrza. Po głowie chodziły mi perwersyjnie eleganckie fantazje Conroy. „Jeżeli Mosala jest Zwornikiem, to dobrze, że traktuje AK z taką pogardą. Jeżeli jej wyjaśnienie wszechświata będzie polegać na konwencjonalnej TW i niczym więcej, to wszystko w porządku”. Gdyby poważnie traktowała antropologię, to... czy wyrwałoby ją to z gęstej sieci wyjaśnień, którą miała upleść dla nas wszystkich? Teoria Wszystkiego nie byłaby Teorią Wszystkiego, gdyby istniał inny poziom, głębsza warstwa prawdy.

Już konieczność stworzenia własnego wszechświata, którym można się otoczyć, wydawała się wystarczająco trudnym zadaniem: trzeba by stworzyć sobie przodków (dla wyjaśnienia własnego pochodzenia), miliardy kuzynów (nieunikniona logiczna konsekwencja tego pierwszego, pociągająca za sobą także potrzebę stworzenia dalszych krewnych, zwierząt i roślin), własny świat, słońce, wokół którego będzie orbitował, inne planety, słońca i galaktyki – może niekonieczne dla przeżycia, ale prawdopodobnie pozwalające na stworzenie stosunkowo prostej TW (mieszczącej się w naszym umyśle), którą zamieni się na bardziej skomplikowaną wersję, ekonomiczniej obchodzącą się z obiektami

kosmicznymi. Wrozumowanie tego wszystkiego w byt byłoby trudne i trudno sobie wyobrazić, by ktoś miał jeszcze ochotę być zmuszanym do wymyślenia siły, która to wszystko stworzy, jak i rozumowego wprowadzenia w byt antrokosmologii, która pozwoli wrozumować obiekty w byt.

Mądry podział władzy. Pozostawmy metafizykę innym.

Wsiadłem do tramwaju. Uśmiechnęło się do mnie kilku pasażerów, pozdrowili mnie i przez chwilę pogadaliśmy. Nikt nie wyciągnął broni ani nie zażądał pieniędzy.

Kiedy szedłem z przystanku do hotelu, przejrzałem notepad – ot tak, by sprawdzić, czy wyłączenie nie zniszczyło urządzenia. Miałem listę pytań, które chętnie bym zadał antrokosmologom, i przejrzałem ją, by ocenić, jak sobie poradziłem. Ominąłem tylko jedno zagadnienie – nieźle jak na kogoś, kto stale używa elektronicznej podpórki.

Kuwale powiedziało, że jest członkiem „AK głównego nurtu”. Jeśli więc zwariowana metafizyka, którą właśnie nakarmiła mnie Conroy, była „głównym nurtem” antrokosmologii... to, w co wierzyli ekstremiści?

Przestałem być zachwycony sobą. Usłyszałem jedną wersję doktryny. Conroy mówiła za wszystkich, ale wcale nie dowiodła, że przedstawia ogólny pogląd. Powinienem znów porozmawiać z Kuwale... miałem jednak co innego do roboty, niż czekać pod willą Conroy, aż się pojawi.

W pokoju kazałem Hermesowi przejrzeć światowe książki komunikacyjne. Lista zawierała mniej więcej 7000 wpisów pod nazwiskiem „Kuwale”, z głównymi adresami w kilkunastu krajach – nie było jednak ani jednego Akili. Oznaczało to, że nie jest to imię, a przydomek, zdrobnienie lub nieoficjalna nazwa aseksów. Ponieważ nie wiedziałem, z jakiego kraju pochodzi, nie było możliwości zawężenia poszukiwań.

Nie sfilmowałem spotkania z Kuwale, zamknąłem jednak oczy i włączyłem Świadka, po czym stosując program identyfikacyjny, tak długo dobierałem elementy, aż uzyskałem wyraźną twarz – widziałem ją zarówno okiem wyobraźni, jak i zakodowałem cyfrowo w pamięci w moich trzewiach. Podłączyłem przewód pępkowy i przenieśliem obraz do notepada, po czym zacząłem przeszukiwać światowe bazy danych, by dopasować nazwisko albo znaleźć podobną twarz. Nie każdy ma piętnaście minut sławy, ale przy dziewięciu milionach net-zinów non-profit, dodanych do mediów komercyjnych, nie trzeba być sławą, aby dostać się do archiwów. Wygraj konkurs agrotechniczny na angolskiej wsi, strzel zwycięską bramkę dla najmniej znanej jamajskiej drużyny piłkarskiej i już...

Nie miałem szczęścia. Elektroniczny smoczek znów zawiódł – za trzysta dolarów.

Gdzie więc go szukać, jeśli nie w sieciach? W realnym świecie... tyle że nie mogłem przeczesać ulic Bezpaństwa.

Znów wezwałem Świadka i kazałem mu bez przerwy szukać stworzonej twarzy w realnym czasie. Wystarczy, że Kuwale pojawi się na skraju mojego pola widzenia – niezależnie od tego, czy akurat będę filmował, czy nie, czy dostrzegę go, czy nie – Świadek da znać.

..16..

Karin De Groot zaprowadziła mnie do apartamentu Mosali. Pomijając różnicę skali, była w nim ta sama słoneczna spartańskość, co w moim pokoju. Świetlik w suficie podkreślał przestrzenność i jasność, ale nawet on nie tworzył wrażenia przepychu, o co łatwo by było w innym budynku, w innej części świata. Choć Bezpaństwo miało wiele wspaniałych rzeczy, nic nie robiło tu na mnie wrażenia przesadnie bogatego – nie umiałem jednak określić, na ile ocena jest wynikiem architektury, a na ile świadomości, że pod każdą powierzchnią kryją się polityka i biotechnologia.

– Violet niedługo przyjdzie – powiedziała De Groot. – Niech pan usiądzie. Rozmawia z matką, przypominałam jej już o wywiadzie. Dwa razy.

W Afryce Południowej była teraz trzecia nad ranem.

– Coś się stało? Mogę przyjść później. – Nie chciałem się narzucać w środku rodzinnego kryzysu.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – zapewniła De Groot. – Wendy sypia w dziwnych godzinach, to wszystko.

Usiadłem w jednym z foteli ustawionych na środku pokoju. Sprawiały wrażenie, jakby zostały tak po jakimś spotkaniu. Po jakiejś nocnej burzy mózgów... między Mosalą, Helen Wu i kilkoma innymi kolegami? Niezależnie, co to było, powinienem był tu być i filmować. Musiałem mocniej przycisnąć ją w sprawie dostępności, inaczej do końca będzie utrzymywać mnie na dystans. Jakimś sposobem musiałem zdobyć jej zaufanie; samo naciskanie sprawi bowiem, że zostanę jeszcze bardziej

odsunięty. Mosali wyraźnie nie zależało na popularności, nie zauważyłem też rozpaczliwej potrzeby kontaktu z politykami czy pismakami.

Jedyne, co mogłem jej zaoferować, to możliwość przedstawienia swych dokonań.

De Groot stała, jedną dłoń trzymała na oparciu fotela.

– Jak pani ją poznała? – spytałem.

– Odpowiedziałam na anons w prasie. Przed podjęciem tej pracy nie znałam Violet osobiście.

– Ale ma pani także przygotowanie naukowe? Uśmiechnęła się.

– Także. Mój życiorys prawdopodobnie bardziej przypomina pański niż Violet – zdobyłam stopień naukowy i wykształcenie dziennikarskie.

– Pracowała pani kiedyś jako dziennikarka?

– Przez sześć lat byłam korespondentem naukowym Proteusa. Czarujący pan Savimbi jest moim następcą.

– Rozumiem. – Wysiliłem wzrok, w pokoju obok widać było kontur Mosali, ciągle jeszcze rozmawiała przez telefon. – Czy w tym, co Savimbi mówił w poniedziałek – o groźbie śmierci – coś jest?

De Groot popatrzyła na mnie znudzona.

– Niech pan nie porusza tego tematu. Proszę. Naprawdę chce pan wszystko maksymalnie utrudniać?

– Nie, ale niech się pani wczuje w moją sytuację! – zaprotestowałem. – Zlekceważyłaby pani sprawę? Nie chcę niczego zaogniać, ale jeśli grupa fundamentalistów kulturowych grozi śmiercią wiodącemu naukowcowi Afryki – nie sądzi pani, że to warte poważnej dyskusji?

– Nic takiego się nie zdarzyło – niecierpliwie powiedziała De Groot. – Cytat ze Sztokholmu został użyty i zniekształcony przez net-zin *Volksfrontu*, gdzie zaczęto rozpowszechniać niedorzeczny pogląd, jakoby Violet stwierdziła, że Nobel nie należy do niej, nie należy do Afryki, lecz

do „białej kultury intelektualnej”, dla której jest jedynie politycznie pasującą fasadą. „Wersja” ta została podjęta i odbiła się echem w innych miejscach, ale nikt poza tymi, do których była pierwotnie skierowana, nawet przez sekundę nie uważał, że to coś innego jak żalosna propaganda. PFOK właściwie nie dostrzega istnienia Violet.

– W porządku. W takim razie co sprawiło, że Savimbi wyciągnął błędne wnioski?

De Groot popatrzyła na drzwi do pokoju obok.

– Zniekształcone doniesienia z piątej ręki.

– O czym? Chyba nie uwierzył w propagandę net-zinu. Trudno przypuszczać, żeby był aż tak naiwny.

De Groot pochyliła się ku mnie z cierpiącą miną, w konflikcie między chęcią zachowania dyskrecji a ochotą naprowadzenia mnie na odpowiednią drogę.

– Było do niej włamanie, jasne? Kilka tygodni temu. Włamywacz, nastolatek z bronią.

– No i? Co się stało? Została raniona?

– Nie, miała szczęście. Włączył się alarm. Chłopak unieruchomił jeden obwód, ale zadziałał zastępczy – i niedaleko akurat przejeżdżał patrol. Włamywacz zeznał, że zapłacono mu za zastraszenie jej, choć oczywiście nie był w stanie wymienić nazwisk. Żalosna wymówka.

– W takim razie dlaczego Savimbi potraktował to poważnie? Dlaczego „doniesienia z piątej ręki”? Chyba zapoznał się z pełną wersją wydarzeń?

– Violet nie wysunęła oskarżenia. To idiotyczne, ale tak się zachowuje. Nie było sprawy sądowej, oficjalnej wersji wydarzeń. Ktoś w policji musiał jednak zrobić przeciek...

Weszła Mosala i przywitaliśmy się. Popatrzyła z zaciekawieniem na De Groot, która stała tak blisko mnie, że jasne było, iż robimy wszystko, by nas

nie podsłuchano.

Poruszyłem się, by przerwać ciszę.

– Jak matka?

– W porządku. Jest w trakcie negocjowania dużej umowy z Thought Craft, więc niewiele śpi. – Wendy Mosala prowadziła jedną z największych afrykańskich firm handlujących programami komputerowymi; tworzyła ją – od podstaw – przez trzydzieści lat. – Chce kupić licencję na klony Kaspara dwa lata przed wypuszczeniem ich na rynek i jeżeli to wypali... – Ugryzła się w język. – To oczywiście ściśle poufne, zgoda?

– Oczywiście.

Kaspar był następną generacją pseudointeligentnego programu i obecnie wydobywano go z przedłużonej fazy dziecięcej w Toronto. W odróżnieniu od Syzyfa i jego licznych kuzynów – stworzonych w pełnej, „dorosłej” postaci – Kaspar przechodził etap uczenia się i był znacznie bardziej antropomorficzny niż cokolwiek, czego próbowano dotychczas. Osobiście uważałem to za nieco niepokojące... i nie byłem pewien, czy chciałbym mieć w notepadzie klona – zredukowaną kopię zmuszoną do odwalania czarnej roboty, której oryginał spędził rok na powtarzaniu dziecięcych rymowanek i zabawie klockami.

De Groot wyszła. Mosala usiadła naprzeciwko mnie, gdzie niczym punktowcem była oświetlana słońcem wpadającym przez świetlik. Rozmowa z domem wyraźnie poprawiła jej nastrój, jaskrawe światło ukazywało jednak, jak jest zmęczona.

– Możemy zaczynać? – spytałem. Kiwnęła głową i niepewnie się uśmiechnęła.

Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będzie po wszystkim. Włączyłem Świadka. Słup światła przesunie się w trakcie wywiadu, ale w montażu

będzie można dowolnie ustawić, powstawić źródła światła, które poprawią jej wizerunek.

– Czy to matka zainspirowała panią do zajęcia się nauką?

– zacząłem.

Mosala jęknęła, po czym zde gustowanym tonem powiedziała: – Nie wiem! Czy pańska matka zainspirowała pana do zadania tak żałosnego... – Przerwała, udało jej się wyglądać równocześnie na skruszoną i urażoną. – Przepraszam. Możemy zacząć jeszcze raz?

– Nie ma potrzeby. Niech się pani nie przejmuję ciągłością, to nie pani problem. Proszę tylko mówić. Jeżeli będzie pani w połowie odpowiedzi i zmieni zdanie, proszę przerwać i zacząć od nowa.

– Dobrze. – Zamknęła oczy i przechyliła głowę, by na twarz padło jej słońce. – Moja matka. Moje dzieciństwo. Moje modele. – Otworzyła oczy. – Nie możemy tych głupot uznać za oczywiste i przejść do TW?

– Ja wiem, że to głupoty, pani wie, że to głupoty, ale jeżeli dyrekcja stacji nie zobaczy wymaganego procentu „formujących wpływów z dzieciństwa”... wsadzą panią w ostatniej chwili na trzecią rano, reklamując przedtem, że w tym miejscu ramówki zostanie pokazany specjalny program o lekoodpornych chorobach skóry.

SeeNet (która twierdzi, że ma prawo mówić w imieniu wszystkich swoich widzów) sporządziła listę, według której sprawdza się reportaże: tyle minut o dzieciństwie, tyle o polityce, tyle o obecnych związkach itd. – gładki przewodnik dla idiotów, ujednocający ludzkie istoty, jak i... szablon, pozwalający się łudzić, że się ich przedstawiło. Coś w rodzaju zewnętrznej strefy Lamonta.

– Trzecia rano? – spytała Mosala. – Mówi pan poważnie? – Zastanowiła się. – W porządku. Jeżeli tak, to... mogę się zgodzić.

– Więc niech pani opowie o matce. – Pohamowałem się, by nie powiedzieć: proszę odpowiadać mniej więcej przypadkowo, byle sobie nie przeczyć.

Improwizowała płynnie, bez widocznej ironii formułując zdanie za zdaniem, na modłę „moje życie jako fakty wpadające łatwo w ucho”.

– Matka zapewniała mi wykształcenie, nie mam jednak na myśli posyłania mnie do szkoły. Nauczyła mnie podłączać się do sieci; kiedy miałam siedem albo osiem lat, umiałam korzystać z wyszukiwarki wiedzy dla dorosłych. Otworzyła przede mną świat. Miałam szczęście – było nas na to stać i dokładnie wiedziała, co robi. Nie kierowała mnie jednak ku nauce. Ofiarowała mi klucze do gigantycznego placu zabaw i puściła wolno. Mogłam równie dobrze zainteresować się muzyką, sztuką, historią... wszystkim. Nie byłam popychana w żadnym kierunku, jedynie dostałam swobodę.

– A ojciec?

– Ojciec pracował w policji. Zginął, kiedy miałam cztery lata.

– To musiało być traumatyzujące. Uważa pani, że ta wczesna strata mogła dać pani pęd, niezależność...

Mosala spiorunowała mnie spojrzeniem bardziej współczującym niż złym.

– Mój ojciec został zastrzelony przez snajpera strzałem w głowę podczas wiecu politycznego, gdy pomagał chronić dwadzieścia tysięcy ludzi, których poglądy były dla niego odrażające. Był – to nieoficjalnie, niezależnie od tego, jak wpłynie na układ pańskiej ramówki – osobą, którą kochałam i ciągle jeszcze kocham. Nie jest zestawem brakujących trybów w moim mechanizmie psychodynamicznym. Nieobecny, którego brak należy skompensować.

Było mi wstyd. Popatrzyłem na notepad, by pominąć kilka kolejnych, nie mniej fatalnych pytań. Zawsze mogłem dopchać wywiad wspomnieniami przyjaciół z dzieciństwa, zdjęciami szkół Cape Town z lat trzydziestych i tak dalej.

– Powiedziała pani kiedyś, że w wieku dziesięciu lat była związana z fizyką; wiedziała pani, że tym chce się zajmować do końca życia, z czysto osobistych powodów, by zaspokoić swą ciekawość. Kiedy jednak zaczęła się pani zastanawiać nad szerszym kontekstem, w jakim porusza się nauka? Kiedy zaczęła pani uświadamiać sobie czynniki ekonomiczne, społeczne i polityczne?

– Mniej więcej dwa lata później. Wtedy zaczęłam czytać Mutebę Kazadięgo – odparła spokojnie, znów doskonale opanowana.

Nie wspomniała o tym w żadnym z dotychczasowych wywiadów, jakie widziałem, i było wielkim szczęściem, że badając PFOK, natknąłem się na to nazwisko, bo inaczej wyglądałbym w tym momencie dość głupio. Mutebę jak?

– Czy to znaczy, że wywarła na panią wpływ *technoliberation*!

– Oczywiście. – Zmarszczyła lekko czoło, rozbawiona, jakbym spytał, czy słyszała kiedyś o Albercie Einsteinie. Nie byłem pewien, czy odpowiada szczerze, czy jedynie cynicznie się dostosowuje, chcąc spełnić normy SeeNetu w zakresie banału – z drugiej strony, taką cenę musiałem zapłacić za poproszenie jej o uczestnictwo w grze. – Muteba mówił wyraźniej niż ktokolwiek inny w tym czasie o roli nauki. W kilku zdaniach umiał rozwijać wątpliwości, jakie mogłam mieć w kwestii plądrowania ziemskiego magazynu kultury i nauki, by wziąć sobie stamtąd dokładnie to, czego potrzebowałam. – Zawahała się, po czym zaczęła recytować:

Kiedy Leopold Drugi wstanie z grobu i powie: „Dręczy mnie sumienie, zabierzcie Tę niebelgijską kość słoniową, gumę i złoto!”, Wtedy wyrzeknę

się nieuczciwie osiągniętych, nieafrykańskich zysków.

I pobożnie porzucę różniczkę oraz jej potomstwo Na rzecz... nie wiem czyją, gdyż zarówno Newton, jak i Leibniz Nie mieli dzieci.

Roześmiałem się, ale Mosala powiedziała trzeźwo: – Nie ma pan pojęcia, co oznaczał ten jedyny zdrowy na umyśle głos, przebijający się przez cały ówczesny hałas. Antynauka, atak tradycjonalistyczny, tak naprawdę nie dotknął Afryki Południowej do lat czterdziestych, kiedy to jednak nastąpiło, wiele osób publicznych, które do czasu, gdy nauka nie stała się „własnością Zachodu”, której Afryka ani nie chce, ani nie potrzebuje i która nie była bronią stosowaną do asymilacji kulturowej i ludobójstwa, mówiły z sensem, nagle gwałtownie się ugięły.

– Ale przecież wykorzystywano naukę jako taką broń. Mosala złowrogo na mnie popatrzyła.

– Bez jaj. Nadużywano nauki w każdym możliwym celu pod słońcem. Co stanowi kolejny powód, by władzę, jaką daje, jak najszybciej rozdzielić na jak największą liczbę ludzi, a nie pozostawiać jej w rękach jednostek. Nie ma powodu, by uciekać w fantazmy i deklarować, że wiedza to odpad kulturowy, że nic nie jest uniwersalnie prawdziwe i zbawią nas jedynie mistycyzm, zamroczenie oraz ignorancja. – Wyciągnęła rękę i pokazała, że łapie kawał przestrzeni. – Nie ma męskiej albo żeńskiej próżni. Nie ma belgijskiej albo zairskiej czasoprzestrzeni. Zamieszkiwanie tego wszechświata nie jest przywilejem kulturowym ani wynikiem decyzji w kwestii stylu życia. Aby być fizykiem albo podejść do tematu z dowolnym narzędziem intelektualnym, nie muszę wybaczyć czy zapomnieć ani jednego aktu zniewolenia, kradzieży, imperializmu czy patriarchalizmu. Każdy naukowiec, który stoi na stercie trupów, widzi dalej – i uczciwie powiem, że nie interesuje mnie, jakie ludzie pod jego nogami mieli za życia narządy płciowe, kolor skóry albo jakim mówili językiem.

Próbowałem pohamować uśmiech – to było naprawdę świetne. Nie miałem pojęcia, które slogany były szczerze, a które stanowiły przemyślany teatr, gdzie kończyła się telegeniczna warstwa cukru, o którą prosiłem, a gdzie zaczynała się pasja Mosali, możliwe jednak, że sama nie do końca zdawała sobie sprawę z granic.

Zawahałem się. Następną notatka brzmiała: *Plotki o emigracji*. Z logicznego punktu widzenia teraz nadszedł czas, by o to zapytać, ale rozwój zagadnień można zmieniać w montażu. Wolałem nie ryzykować odmowy dalszej współpracy, zanim nie zdobędę większej ilości materiału.

Przeszedłem na bezpieczniejszy grunt.

– Wiem, że nie chce pani ujawniać szczegółów swojej TW przed wykładem osiemnastego, ale może mogłaby pani przedstawić szkic teorii – te części, które już zostały opublikowane.

Mosala wyraźnie się rozluźniła.

– Oczywiście, choć szczegółów nie przedstawię, bo ich nie znam. Wybrałam ramy matematyczne, wszystkie ogólne równania są ustalone, ale uzyskanie szczegółowych wyników wymaga mnóstwa obliczeń komputerowych, które w tej właśnie chwili jeszcze trwają. Jeżeli nie wydarzy się nic nieoczekiwanego, zostaną zakończone tuż przed osiemnastym.

– Świetnie. Niech pani opowie o ogólnych ramach.

– To bardzo proste. W odróżnieniu od Harry’ego Buzzo i Yasuko Nishide, nie szukam sposobu na wykazanie, że „nasz” Wielki Wybuch wygląda na „przypadek”. Buzzo i Nishide uważają, że z praprzestrzeni musiała powstać nieskończona liczba wszechświatów, materializując się z idealnej symetrii z różnymi zestawami praw fizyki. Oboje mają na celu ponowne przebadanie prawdopodobieństwa, z jakim w tej nieskończonej liczbie mógłby się znajdować wszechświat „mniej więcej taki jak nasz”.

Dość łatwo odkryć TW, w której nasz wszechświat jest możliwy, choć dziwnie nieprawdopodobny. Buzzo i Nishide definiują prawidłową TW jako coś, co gwarantuje istnienie tylu wszechświatów podobnych do naszego, iż wcale nie jesteśmy nieprawdopodobni – nie jesteśmy czymś w rodzaju cudownego, idealnego środka na metakosmicznej tarczy, ale tylko jednym, w niczym nie wyjątkowym punktem na znacznie większym celu.

– To trochę jak udowadnianie – na podstawie zasad astrofizyki – że tysiące planet w galaktyce powinno mieć życie na bazie węgla i wody, nie tylko Ziemia.

– Tak i nie. Ponieważ... tak, prawdopodobieństwo istnienia planet podobnych do Ziemi można obliczyć wyłącznie na podstawie teorii, ale zweryfikować za pomocą obserwacji. Możemy obserwować miliardy gwiazd, wydedukowaliśmy już istnienie kilku tysięcy planet krążących wokół słońc, kiedyś odwiedzimy niektóre z nich i stwierdzimy, że istnieje na nich życie oparte na węglu i wodzie. Choć jednak jest nieskończona ilość eleganckich ram, pozwalających przypisywać prawdopodobieństwa hipotetycznym, innym wszechświatom, nie ma widoków na ich obserwację ani odwiedzenie, nie ma metody na sprawdzenie teorii. Nie uważam więc, że powinno się wybierać TW na tej podstawie. Cały problem z wyjściem poza Standardową Zunifikowaną Teorię Pola polega na tym, że po pierwsze, robi się wtedy paskudny chaos, a po drugie, aby równania zadziałały, należy wprowadzić do nich dziesięć kompletnie arbitralnych parametrów. Stopienie całkowitej przestrzeni z praprzestrzenią – czyli przejście do Modelu Wszechtopologii – pozwala uniknąć obrzydliwości i arbitralnej natury SZTP, ale podążenie w tym kierunku poprzez majstrowanie przy sposobie integrowania wszystkich topologii praprzestrzeni – wyłączanie niektórych topologii bez uzasadnionego powodu, usuwanie jednych pomiarów, a uwzględnianie innych za każdym

razem, kiedy jakaś odpowiedź się nie podoba – dla mnie wygląda to na krok wstecz. Na dodatek zamiast „ustawienia zegarów” maszyny SZTP na dziesięć arbitralnych liczb, otrzymujemy smukłą czarną skrzynkę bez widocznych kontrolek, najwyraźniej samowystarczalną, ale w rzeczywistości jedynie ją otwieramy i wyrywamy każdy wewnętrzny element, który nam nie pasuje, z niemal takim samym skutkiem.

– Rozumiem. Jak pani to omija?

– Powinniśmy moim zdaniem przyjąć odmienną postawę i uznać, że prawdopodobieństwa się nie liczą. Zapomnieć o hipotetycznym zestawie innych wszechświatów. O konieczności dokładnego dostrojenia Wielkiego Wybuchu. Ten wszechświat już istnieje. Prawdopodobieństwo naszego istnienia w nim wynosi sto procent. Musimy przyjąć to za pewnik, a nie pochylać się do tyłu, próbując szukać założeń, które mają na celu zamącić jednoznaczność tego faktu.

„Zapomnieć o konieczności dokładnego dostrojenia Wielkiego Wybuchu. Uznać własne istnienie za pewnik”. Podobieństwa do argumentacji Conroy były uderzające, nie powinno mnie to jednak zaskakiwać. Cały modus operandi pseudonauki polegał na jak największym zbliżeniu się do języka i idei aktualnej ortodoksji, to bowiem zapewniało optymalny kamuflaż. AK z pewnością przeczytali każdy artykuł Mosali – tyle że podobne brzmienie tego, co mówili, wcale nie było gwarancją takiej samej zasadności ich idei. Jeśli nawet podzielali jej gwałtowną niechęć do fantazji, że każda kultura mogła jakimś sposobem zamieszkać w kosmosie własnego wyboru, ani przez chwilę nie wątpiłem w to, że Mosalę zdecydowanie bardziej odpychała ich koncepcja – pojedynczego specjalisty TW, grającego rolę władcy absolutnego. Kosmos Buzzo, Nishide albo Mosali był znacznie gorszą ewentualnością niż belgijska albo zairska czasoprzestrzeń.

– Tak więc przyjmuje pani wszechświat jako byt oczywisty stwierdziłem. – Jest pani przeciwko wykręcaniu matematyki w celu dostosowania się do potrzeby potwierdzenia, iż to, co widzimy wokół nas, jest „prawdopodobne”. Nie jest to jednak także cofanie się w celu ustawienia zegarów w maszynie SZTP.

– Zgadza się. Zamiast tego wprowadzam całkowite opisy eksperymentów.

– Wybrała pani najogólniejszy możliwy Model Wszechtopologii, ale złamała pani całkowitą symetrię, przyznając stuprocentowe prawdopodobieństwo istnieniu różnych planów eksperymentalnych?

– Też się zgadza. Czy mogłabym... – Wstała i poszła do sypialni, skąd wróciła po chwili z notepadem w ręku. Uniosła go tak, bym widział ekran. – Oto przykład. Chodzi o prosty eksperyment z akceleratorem: z określoną energią zderzają się ze sobą strumienie protonów i antyprotonów, a czujnik wychwytuje pozy trony emitowane w miejscu zderzenia pod określonym kątem i z określoną energią. Eksperyment taki prowadzi się w różnych postaciach, od osiemdziesięciu albo i dziewięćdziesięciu lat.

Animacja ukazała schemat akceleratora kołowego, po czym nastąpiło zbliżenie na kilka miejsc, w których krzyżowały się krążące w przeciwnych kierunkach strumienie cząstek, wypluwające „odpryski” do skomplikowanych detektorów.

– Nie próbuję nawet modelować tego urządzenia – ma dziesięć kilometrów średnicy – na poziomie subatomowym, atom po atomie, co byłoby konieczne przy „czystej”, „naiwnej” TW, która w jakiś sposób poinformowałaby mnie o tym, że wszystkie zamontowane tu magnesy nadprzewodzące wytwarzają określone pola powodujące określone mierzalne efekty, ściany tunelu zniekształcają się w określony sposób pod wpływem oddziałujących na nie sił, a protony i antyprotony krążą w

przeciwnych kierunkach. Już to wszystko wiem, więc przyznaję tym zjawiskom stuprocentowe prawdopodobieństwo. Te ustalone fakty traktuję jako kotwicę, po czym schodzę na poziom TW, poziom nieskończonych sum obliczanych przez wszystkie topologie. Szacuję konsekwencje moich założeń, po czym wracam tą samą drogą do poziomu makroskopowego, by przewidzieć ostateczne wyniki eksperymentu: ile razy na sekundę detektor pozytronów zarejestruje wydarzenie.

Grafika reagowała na jej słowa – notepad zrobił zbliżenie od schematu detektora, poprzecinanego śladami przelotu cząstek, do spienionej próżni, dziesięć do trzydziestej piątej potęgi poza zakresem widoczności, do chaosu wijących się dziur i zniekształceń wyższych wymiarów – wszystko było zakodowane kolorystycznie, zgodnie z klasyfikacją topologiczną, szalejąca płatanina jaskrawych linii, zlewających się na środku ekranu w białą, zamazaną plamę, tam bowiem poruszały się zbyt szybko, by oko mogło nadążyć. Te idealnie symetryczne konwulsje były jednak zmuszone brać pod uwagę istnienie akceleratora, magnesów i detektora, co sugerowała panchromatyczna biel, nabierająca specyficznego błękitnego odcienia, po czym obraz się cofnął i wrócił do normalnej, ludzkiej skali, ukazując wpływ submikroskopowej tendencyjności na ostateczne, widoczne zachowanie się obwodów detektora.

Animacja była oczywiście w dziewięćdziesięciu procentach metaforą, barwnym obrazowaniem *licentia poetica*, ale gdzieś istniał superkomputer, który przeżuwał poważne, niemetaforyczne obliczenia.

Choć jedynie pobieżnie przejrzałem niemożliwe do zrozumienia naukowe artykuły i z trudem przegryzłem się przez niemal hermetyczną matematykę MWT, wydało mi się, że wreszcie pojąłem sedno filozofii Mosali.

– Czyli zamiast traktować praprzestrzeń jako coś, z czego można wydobyć wszechświat za jednym zamachem... – powiedziałem niepewnie – ...traktuje ją pani raczej jako ogniwo łączące łańcuchy wydarzeń, które możemy obserwować nagimi zmysłami, jako coś, co skleja specyficzny zestaw wydarzeń makroskopowych, z jakimi mamy do czynienia w świecie. Gwiazda pełna gotującego się wodoru i ludzkie oko wypełnione zimnymi molekułami białka są połączone przestrzennie i energetycznie, mogą współistnieć i oddziaływać na siebie, ponieważ na najgłębszym poziomie w ten sam sposób łamią symetrię praprzestrzeni...

Opis ten chyba spodobał się Mosali.

– Ogniwo łączące, most... dokładnie. – Pochyliła się, wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń. Spuściłem wzrok i pomyślałem: jesteś teraz na ekranie, to nieużyteczne. – Bez pośredniczącej między nami praprzestrzeni – nieskończonej mieszaniny topologii zdolnych reprezentować nas pojedynczym przebłyskiem asymetrii – nie można by się nawet dotknąć. Na tym polega TW. Nawet jeśli mylę się we wszystkich szczegółach – myli się także Buzzo, myli się Nishide i przez tysiąc lat do niczego ostatecznego nie dojdziemy – wiem, że TW istnieje i czeka na odkrycie. Ponieważ musi istnieć coś, co pozwala nam się dotykać.

Przerwaliśmy na chwilę, Mosala zadzwoniła po kelnera. Mimo że minęły już trzy dni od przyjazdu na wyspę, w dalszym ciągu nie miałem apetytu, dla grzeczności zjadłem jednak kilka przekąsek, które przyjechały na tacy windą z kuchni. Mój żołądek zaczął protestować – głośno – zaraz po pierwszym kęsie, natychmiast mnie zdradzając.

– Wie pan, że Yasuko jeszcze nie przyjechał? Podejrzewam, że nie słyszał pan, co go powstrzymuje?

– Obawiam się, że nie. Zostawiłem jego sekretarce w Kioto trzy wiadomości, próbując umówić się na wywiad, i jedyną odpowiedzią, jaką

otrzymałem, była obietnica, że „wkrótce się ze mną skontaktuje”.

– Dziwne. – Mosala wyduła wargi; najwyraźniej była zatroskana, nie chciała jednak, by nasza rozmowa zeszła na ponure tory. – Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Podobno był chory na początku roku, ale zapewnił organizatorów, że przyjedzie, musiał więc uznać, iż wyzdrowieje na tyle, by móc podróżować...

– Przyjazd na Bezpaństwo to coś więcej niż... podróż.

– To fakt. Powinien udać, że wyznaje Skromną Naukę! i przylecieć jednym z wycarterowanych przez nich samolotów.

– Mógłby mieć więcej szczęścia z Renesansem Mistycznym. Uważa się za buddystę, więc niemal mu wybaczyli pracę nad TW. Dopóki nie przypomni im, że napisał kiedyś, iż tao fizyki ma się tak do zenu, jak biologiczne teksty nauki stworzenia do chrześcijaństwa.

Mosala złapała się za kark i zaczęła masować napięte mięśnie – jakby wspomnienie podróży na Bezpaństwo przywoływało ból.

– Gdyby lot był krótszy, przywiozłabym Pindę. Bardzo by się jej tutaj podobało. Pozwalałaby mi chadzać na nudne wykłady i wyciągała ojca na badanie rafy.

– Ile ma lat?

– Trzy z kawałkiem. – Popatrzyła na zegarek i stwierdziła z żalem: – W domu jest dopiero czwarta rano... mała szansa, by zadzwoniła wcześniej jak za dwie, trzy godziny.

Była to kolejna okazja, by napomknąć o emigracji, ale i tym razem się powstrzymałem.

Wróciliśmy do wywiadu. Padające przez świetlik światło przesunęło się na wschód, przez co Mosala była niemal czarnym konturem na tle okna i oślepiającego błękitem nieba. Kiedy znów włączyłem Świadka, wysłał

sygnał do moich siatkówek, bym mimo padającego z tyłu światła mógł dostrzec wszystkie szczegóły jej twarzy.

Przeszedłem do pytania o analizę Helen Wu.

– Mając dokładny opis urządzeń, moja TW przewiduje wyniki szeregu eksperymentów – powiedziała Mosala. – Chodzi o szczegóły „zdradzające” dane dotyczące mniej fundamentalnej fizyki, które – jak twierdzą niektórzy – TW ma wydobyć z niczego, sama z siebie. Ustalenie tych danych nie jest jednak wcale trywialne. Pan albo ja nie możemy spojrzeć do nieczynnego akceleratora cząstek i natychmiast przewidzieć wyniku dowolnego eksperymentu przeprowadzanego w urządzeniu, ale zaprogramowany TW superkomputer mógłby. Czy jest to złe, dobre czy obojętne... jest pan oskarżony o stosowanie logiki kołowej czy nie? – Mosala najwyraźniej nie miała na ten temat jednoznacznego poglądu. – Dyskutowałam o tym z Helen, próbowałyśmy dokładnie określić, co to oznacza. Muszę przyznać, że początkowo oburzało mnie to, co robi, potem ignorowałam jej pracę, ale teraz... cóż, zaczynam uważać, że jest bardzo ekscytująca.

– Dlaczego? Zawahała się.

– Było jasne, że jej podejście jest bardzo świeże, niezbyt ukształtowane... – Nie zamierzała mówić więcej. Czekałem jednak cierpliwie, nie naciskałem i w końcu się poddała.

– Zadajmy sobie następujące pytanie: Buzzo albo Nishide mogą proponować TW, w której cały wszechświat jest mniej lub bardziej zawarty w szczegółowym opisie Wielkiego Wybuchu – jego szczegóły są dedukowane, tu i teraz, na podstawie ilości helu, klastrowania galaktycznego, promieniowania kosmicznego i tak dalej – i nikt nie oskarża ich o logikę kołową. Bez wątplenia nic nie można zarzucić stosowaniu do obliczeń wyników dowolnej liczby „eksperymentów teleskopowych”, dlatego więc „bardziej kołowa” jest TW, w której wszechświat jest ukryty

w szczegółach dziesięciu współczesnych eksperymentów z zakresu fizyki cząsteczek?

– Zgoda, ale czy to nie Helen Wu twierdzi, że pani równania nie mają treści fizycznej? Żadna czysta matematyka nie mogłaby doprowadzić do sformułowania prawa grawitacji Newtona, ponieważ nie ma czysto matematycznego powodu, dla którego nie można by zastąpić czymś innym prawa odwrotnej proporcjonalności kwadratu odległości. Jego podstawą jest sposób, w jaki funkcjonuje wszechświat. Czy Wu nie próbuje wykazać, że pani TW nie opiera się na niczym, co zachodzi w tym świecie i zapada się w masę stwierdzeń dotyczących liczb, które muszą być prawdziwe?

– Tak, ale jeżeli ona ma rację, jeżeli te „stwierdzenia, które muszą być prawdziwe”, zostaną połączone z realnymi, namacalnymi eksperymentami, które jak najbardziej „zachodzą w tym świecie” – teoria przestanie być czysto matematyczna... w taki sam sposób, w jaki przestaje być symetryczna czysta symetria praprzestrzeni. Newton sformułował prawo o odwrotnej proporcjonalności kwadratu odległości, analizując istniejące obserwacje astronomiczne. Traktując układ słoneczny w taki sam sposób, w jaki ja traktuję akcelerator cząstek: mówiąc „to jest znanym faktem”. Później jego prawo zostało zastosowane do dokonywania przepowiedni, które okazały się prawidłowe. Ale... gdzie dokładnie mieści się w całym tym procesie treść fizyczna? Prawa odwrotnej proporcjonalności kwadratu odległości albo zaobserwowanych ruchów planet, z których prawo to wydedukowano? Jeżeli przestaniemy traktować prawo Newtona jako coś danego z góry, stojącego poza całym przedstawieniem jako wieczna prawda, i przyjrzymy się ogniwu łączącemu, pomostowi, między okrążającymi różne gwiazdy planetami współlegzystującymi w tym samym wszechświecie, zmuszonymi do wzajemnej zgodności... to nasza działalność zacznie się coraz bardziej zbliżać do czystej matematyki.

Zdawało mi się, że mniej więcej rozumiem, o co jej chodzi.

– To trochę tak, jakby powiedzieć, że... ogólna zasada, mówiąca: „ludzie tworzą klany rodzinne z ludźmi, z którymi coś ich łączy”, nie miała nic wspólnego z rodzajem łączących ich zjawisk. Ten sam proces łączy ze sobą... miłośników Jane Austen, studentów genetyki pszczoł i tak dalej.

– Zgadza się. Jane Austen „należy” do wszystkich ludzi, którzy ją czytali – nie do zasady socjologicznej, która twierdzi, że się zbiorą i będą dyskutować o jej książkach. Prawo grawitacji „należy” do wszystkich systemów, które mu podlegają – a nie TW, która przewiduje, że się połączą, by stworzyć wszechświat. Może Teoria Wszystkiego powinna się zapaść „w masę stwierdzeń dotyczących liczb, które muszą być prawdziwe”? Może praprzestrzeń musi się rozpuścić w prostą arytmetykę, prostą logikę, nie pozostawiając nam wyboru co do swej struktury?

Roześmiałem się.

– Myślę, że nawet widzowie SeeNetu będą mieli pewne trudności z pojęciem tego zagadnienia. – Mówiłem poważnie. Może jakiś czas zajmie pani i Helen Wu wyjaśnienie wszystkiego. Jeżeli ten wątek okaże się istotny, zawsze możemy go uaktualnić w Cape Town.

Mosala zgodziła się z ulgą. Rzucanie pomysłami to jedno, ale oficjalne zajęcie stanowiska to całkiem co innego. Wyraźnie nie chciała tego w tej chwili robić.

Zanim straciłem odwagę, spytałem:

– Sądzi pani, że za pół roku będzie pani jeszcze mieszkać w Cape Town?

Przygotowałem się na wybuch w podobnym stylu, jaki spowodowało słowo „antrokosmologia”, ale Mosala odpowiedziała całkiem spokojnie: – Cóż, nie sądziłam, że to się długo uchowa w tajemnicy. Podejrzewam, że mówi o tym cała konferencja.

– Ja się dowiedziałem od tutejszego mieszkańca. Skinęła głową, jakby wcale jej to nie zaskakiwało.

– Od miesiący prowadzę rozmowy z tutejszymi syndykatami akademickimi, więc prawdopodobnie cała wyspa o tym wie. – Uśmiechnęła się chytrze. – Anarchiści nie bardzo cenią dyskrecję, czego jednak oczekiwać po kimś, kto łamie prawa patentowe i kradnie cudzą własność intelektualną?

– W czym leży atrakcyjność tego wariantu? Wstała.

– Może pan przestać nagrywać? – Wyłączyłem sprzęt. – Kiedy dopracowane zostaną szczegóły, złożę publiczne oświadczenie, nie chcę jednak udzielać żadnych spontanicznych wypowiedzi na ten temat.

– Rozumiem.

– W czym leży atrakcyjność złodziei prawa patentowego i własności intelektualnej? Właśnie w tym. Bezpaństwo to renegaci świadomie łamiący biotechniczne prawa licencyjne. – Odwróciła się do okna i rozpostarła ramiona. – I proszę na nich popatrzeć! Nie są najbogatsi na Ziemi, ale nikt tu nie głoduje. Nikt. Czegoś takiego nie ma w Europie, Japonii, Australii, nie wspominając o Angoli czy Malawi. – Zamilkła i przez chwilę mnie obserwowała, jakby chciała ocenić, czy naprawdę przestałem filmować, czy może mi ufać.

Czekałem. Po chwili znów zaczęła mówić.

– Co to ma wspólnego ze mną? Mój własny kraj radzi sobie wystarczająco dobrze, nie grozi mi chyba niedożywienie? – Zamknęła oczy i jęknęła. – Powiedzenie tego nie przychodzi mi łatwo, ale... chcąc nie chcąc, Nagroda Nobla dała mi nieco władzy. Jeżeli przeprowadzę się na Bezpaństwo – i ogłoszę powody – trafi to na pierwsze strony gazet. Wywrze wrażenie, przynajmniej gdzieś.

Znów się zawahała.

– Umiem trzymać gębę na kłódkę – powiedziałem. Słabo się uśmiechnęła.

– Wiem. Chyba.

– Więc jakie wrażenie chce pani wyrzucić? Podeszła do okna.

– Chodzi o gest polityczny skierowany przeciwko tradycjonalistom w stylu PFOK?

Roześmiała się.

– Nie! Nie, nie! No, może też, ale nie jest to zamierzone. – Wyprostowała się, przygotowała. – Mam gwarancje. Ze strony szeregu ludzi na wysokich stanowiskach. Obiecano mi, że jeżeli przeprowadzę się na Bezpaństwo... nie dla samego faktu, ale dlatego, że wywoła to sensację i stworzy precedens – rząd Afryki Południowej w ciągu pół roku unilateralnie zniesie wszystkie sankcje względem wyspy.

Poczułem, że dostaję gęziej skórki. Jeden kraj nie czynił różnicy – tyle tylko, że Afryka Południowa była głównym partnerem handlowym trzydziestu innych państw afrykańskich.

– Schemat głosowania w ONZ nie ujawnia tego, ale frakcja przeciwników sankcji wcale nie jest mała – powiedziała spokojnie Mosala.
– Aktualnie istnieją różne bloki i pozorne porozumienia, każdy bowiem uważa, że nie może zwyciężyć i nie chce nikogo urazić.

– Ale jeżeli ktoś nieco popchnie sytuację prawną, może spowodować lawinę?

– Może. – Zaśmiała się, nieco zażenowana. – To jednak rozmowa o iluzji potęgi. Prawda jest taka, że robi mi się niedobrze za każdym razem, kiedy o tym myślę, choć nie sądzę, by mogło się wydarzyć coś dramatycznego.

– Jedna osoba, która zniszczy symetrię. Czemu nie? Zdecydowanie pokręciła głową.

– Były już próby przesunięcia rozkładu głosów, ale wszystkie spełzły na niczym. Warto próbować wszystkiego, ale muszę stać mocno na ziemi.

Po głowie chodziło mi kilka spraw naraz, choć perspektywa, co by się stało, gdyby załamało się – globalnie – ustawodawstwo dotyczące biotechnologicznych praw patentowych, była zbyt odległa, by ją rozpatrywać. Fakt pozostawał faktem, że Mosala więcej skorzysta z mojego reportażu niż kiedykolwiek sądziłem – mówiła mi to, co mówiła, aby dostarczyć mi dokładnie tyle sensacji, ile jej zdaniem zagwarantuje, że jej emigracja wywoła zamieszanie.

Było oczywiście jasne, iż całe przedsięwzięcie – choć donkiszoteryjne – w paru miejscach wcale się nie spodoba.

O to jej chodziło? Nie o Kultury Ignorancji, nie o fundamentalistów PFOK, nie o pronaukowych południowoafrykańskich nacjonalistów, wściekłych za „dezercję”, a o potężnych obrońców biotechnologicznego status quo? A jeżeli nastoletni włamywacz, któremu „zapłacono, by ją nastraszył”, nie kłamał?

Mosala podeszła do stolika i nalała sobie szklanek wody.

– Teraz zna pan wszystkie moje najskrytsze tajemnice, ogłaszam więc ten wywiad za zakończony. – Uniosła szklanekę i ironicznie powiedziała: – *Vive la technoliberation!*

– *Vive.*

– Zgoda, krążą plotki. Może pół Bezpaństwa wie, co się dzieje – w dalszym jednak ciągu nie chcę, by zostały potwierdzone, dopóki nie zapadną pewne konkretne ustalenia.

– Rozumiem. – Z niejakim zdziwieniem pojąłem, że w którymś momencie obdarzyła mnie zaufaniem. Oczywiście, że mnie wykorzystywała, ale musiała uznać, że mam serce w odpowiednim miejscu.

– Czy kiedy następnym razem będzie pani do późnej nocy omawiała z Helen Wu zagadnienie kołowości, mogłaby pani...

– Wezwać pana? – Perspektywa taka wydała jej się chyba dziwna, stwierdziła jednak: – Dobrze. Jeżeli obieca pan, że nie zaśnie, póki nie skończymy.

Odprowadziła mnie do drzwi i uścisnęliśmy sobie ręce.

– Niech pani będzie ostrożna.

Uśmiechnęła się pogodnie, wyraźnie rozbawiona moją troską – jakby nie miała na świecie ani jednego wroga.

– Niech się pan nie martwi. Będę.

Tuż po czwartej obudził mnie telefon. Dzwonek robił się głośniejszy i głośniejszy, aż sięgnął moich melatoninowych snów i wywrócił na drugą stronę ciemność w mojej czaszce. Przez chwilę sam fakt bycia świadomym szokował, nie dał się pojąć – byłem oburzony jak noworodek. Potem wyciągnąłem rękę i zacząłem macać na stoliku nocnym w poszukiwaniu notepada. Spojrzałem, mrużąc oczy, na ekran, przez chwilę oślepiony jasnością.

Dzwoniła Lydia. Mało brakowało, bym nie odebrał, uznając, że pomyliła strefy czasowe, na szczęście obudziłem się na tyle, by uzmysłowić sobie, że dla niej też był środek nocy. Sydney miało tylko dwie godziny opóźnienia wobec Bezpaństwa. Geograficznie, politycznie pewnie więcej.

– Andrew, przepraszam, że przeszkadzam, ale uznałam, że powinieneś usłyszeć to w realnym czasie – zaczęła. Wyglądała nietypowo ponuro i choć byłem jeszcze zbyt otumaniony, by spekulować, co powie dalej, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że nie będzie to miłe.

– W porządku – powiedziałem chrapliwie. – Mów. Starąłem się nie myśleć, jak wyglądam, jakie wrażenie robią moje zaczerwienione oczy. Lydia zdawała się siedzieć w zaciemnionym pomieszczeniu, sama, jej twarz rozświetlał jedynie obraz na ekranie... moją twarz oświetlał widok jej twarzy. Czy to możliwe? Nagle zauważyłem, że pulsuje mi głowa.

– *Śmieciowy DNA* trzeba będzie przeredagować, usunięta musi być część z Landersem. Gdybyś miał czas, poprosiłabym cię oczywiście, byś zrobił to sam, ale to chyba niemożliwe. Dam to więc Paulowi Kostasowi, kiedyś był jednym z naszych redaktorów wiadomości, teraz jest samodzielny. Poślę ci

ostateczną wersję i jeżeli z czymś nie będziesz się ewidentnie zgadzał, poprawimy to. Pamiętaj tylko, że program ma iść na antenę za niecałe dwa tygodnie.

– W porządku... nie ma... sprawy... – odparłem. Znałem Kostasa – nie okaleczy programu. – Dlaczego to konieczne? Były jakieś smrody prawne? Nie powiesz chyba, że Landers złożył pozew.

– Nie, wydarzenia nas przegoniły. Nie chcę ci teraz wyjaśniać, wysłałam ci z biura w San Francisco pilota – wszystko będzie opublikowane rano, ale... – Była zbyt zmęczona, by bawić się w zawilości, co doskonale rozumiałem. Nie chciała, bym dowiedział się o sprawie jak zwykły widz. Jedna czwarta *Śmieciowego DNA* i jakieś trzy miesiące mojej pracy zostały uznane za nieaktualne, ale Lydia robiła, co mogła, aby uratować resztę mojej godności zawodowej. Dzięki temu miałem przynajmniej kilka godzin przewagi nad masami.

– Doceniam to. Dzięki.

Pożegnaliśmy się i obejrzałem „pilota” – pospiesznie poskładany materiał filmowy i tekst dla agencji informacyjnych, pozostawiający im wybór, czy chcą czekać na poprawioną wersję, która wkrótce się pojawi, czy wolą sami zmontować surowy materiał i nadać własną wersję. Materiał składał się głównie z oświadczeń FBI oraz paru danych ukazujących tło wydarzeń.

Ned Landers, dwóch genetyków oraz trzech dyrektorów jego firmy zostało właśnie aresztowanych w Portland. Dziewięciu innych ludzi – pracujących dla zupełnie innej firmy – aresztowano w Chapel Hill w Karolinie Północnej. W trakcie przeprowadzonych tuż przed świtem rewizji skonfiskowano wyposażenie laboratoryjne, próbki biochemiczne i dane komputerowe. Cała piętnastka została oskarżona o złamanie federalnych ustaw o bezpieczeństwie biotechnologicznym, choć nie z powodu badań

nad neo-DNA i symbiontami, o których wszędzie trąbiono. Według oskarżenia pracownicy laboratorium w Chapel Hill manipulowali zakaźnymi, naturalnymi wirusami RNA – potajemnie, bez zezwolenia. Landers podpisywał rachunki.

Nieznany był cel produkcji wirusów – dane i próbki miano dopiero przeanalizować.

Oskarżeni nie złożyli oświadczeń, prawnicy zalecali im milczenie. Było kilka zdjęć budynku, w którym mieściło się laboratorium w Chapel Hill, zrobionych zza barierki policyjnych. Materiał dotyczący Landersa był stary, najnowsze fragmenty stanowiły kawałki wyrwane z mojego wywiadu z nim (a więc nie poszedł do końca na marne).

Brak szczegółów denerwował, ale implikacje wydawały się jasne. Landers i jego współpracownicy tworzyli dla siebie pełną odporność wirusową, przekraczającą możliwości jakiegokolwiek szczepionki albo dowolnego leku, wykluczającą obawę przed takim przemutowaniem dowolnego wirusa, by pokonał obronę – a równocześnie wytwarzali nowe wirusy, zdolne zarazić resztę ludzkości. Wpatrywałem się w ekran, na którym znieruchomiała ostatnia klatka materiału: ukazywała Landersa, jakiego widziałem w rzeczywistości, uśmiechającego się na myśl o swoim nowym królestwie. Choć wzdragalem się przed wyciągnięciem oczywistego wniosku, to... jakie miałyby zastosowanie dla nowego wirusa atakującego ludzi, poza czymś w rodzaju „przerzedzenia populacji”?

Pognałem do łazienki i wyrzuciłem z siebie mizerną zawartość żołądka. Ukląkłem przed sedesem, rozedrgany i spocony; wpadałem w mikrosen, mało brakowało, a straciłbym równowagę. Melatonina chciała mnie odzyskać, ale nie umiałem się przekonać, że skończyłem wymiotować. Jako rozpieszczony hipochondryk, gdybym mógł, natychmiast skonsultowałbym się z farmako, by uzyskać optymalną diagnozę oraz natychmiastowe,

doskonale rozwiązanie. Wyobrażając sobie, jak duszę się we śnie wymiocinami, zastanawiałem się przez chwilę, czy nie oderwać plastra z ramienia, ale potrwałoby kilka godzin, nim symboliczna próba poddania się naturalnemu rytmowi dobowemu przyniosłaby skutki, poza tym sprawiłoby to, że przynajmniej do końca konferencji zachowywałbym się jak żywe zwłoki.

Przez minutę albo dwie przymuszałem się do wymiotów, ale ponieważ więcej nie chciało się ze mnie wydobyć, zatoczyłem się do łóżka.

Ned Landers posunął się dalej niż wszyscy inni migranci płciowi, anarchiści, Dobrowolni Autyści. „Nikt nie jest wyspą? No to popatrz na mnie”. Najwyraźniej nie posunął się jednak wystarczająco daleko. Nadal czuł się ściśnięty w tłumie, zagrożony, miał wrażenie, że wpełza na niego robactwo. Biologiczne królestwo mu nie wystarczało – chciał mieć więcej miejsca na łokcie, a tego nie mogła mu dostarczyć nawet niezdojta genetyczna kryjówka.

Niemal osiągnął cel. To właśnie dała mu samoświadomość gatunkowa: dokładną, molekularną definicję słowa na L... którą mógł osobiście transcendować, a następnie obrócić przeciw wszystkim, którzy pozostawali w jej uścisku.

Vive la technoliberation! Dlaczego nie stworzyć miliona Nedów Landersów? Czemu nie dać tej samej władzy każdemu solipsystycznemu wariatowi i paranoikowi, każdej grupie etnicznej, samozwańczo określającej się mianem zbawicieli świata? Raj dla ciebie i twojego klanu, a apokalipsa dla pozostałych.

Tak wyglądał owoc pełnego zrozumienia.

Co, nie smakuje?

Złapałem się za żołądek i przysunąłem kolana do brody; choć nie usunęło to mdłości, zmieniło ich charakter. Pokój przechylił się, kończyły

mi odrętwiały, próbowałem osiągnąć stan całkowitej pustki...

Gdybym głębiej pogrzebał, lepiej wykonał pracę, może bym to odkrył, powstrzymał go...

Gina dotknęła mojego policzka i delikatnie mnie pocałowała. Byliśmy w Manchesterze, w laboratorium obrazowania. Ja byłem nagi, ona ubrana.

– Wejdz do skanera – powiedziała. – Możesz to dla mnie zrobić? Chcę, byśmy byli sobie znacznie bliżsi. Dlatego muszę zobaczyć, co się dzieje w twoim mózgu.

Zacząłem robić, o co prosiła, zawahałem się jednak – z obawy, co może odkryć.

Znów mnie pocałowała.

– Koniec sporów. Jeżeli mnie kochasz, zrobisz, co mówię.

Zmusiła mnie do położenia się, po czym zamknęła właz maszyny. Widziałem siebie z góry. Skaner był czymś więcej niż skanerem – przeczesywał mnie promieniami ultrafioletowymi. Nie czułem bólu, ale promienie z bezlitosną precyzją zdierały ze mnie warstwę po warstwie żywej tkanki. Skóra, potem ciało, kryjące wszystkie moje tajemnice, rozpuściło się w czerwoną mgłę, która zaczęła się rozdzielać...

Śniło mi się, że obudziłem się z krzykiem.

O wpół do ósmej przeprowadziłem w jednej z sal konferencyjnych hotelu wywiad z Henrym Buzzo. Był czarujący i elokwentny, miał naturalny talent aktorski, ale nie chciał rozmawiać o Violet Mosali – wolał powtarzać anegdoty o nie żyjących sławnych ludziach.

– Oczywiście, że Steve Weinberg próbował udowodnić, iż myliłem się w sprawie gravitino, ale szybko naprowadziłem go na dobrą drogę.

Sam SeeNet w ciągu kilku ostatnich lat poświęcił Henry'emu Buzzo trzy pełnometrażowe programy dokumentalne, ale wyglądało na to, że przed

śmiercią rozpaczliwie zależy mu na tym, by przed kamerami wymienić jeszcze więcej nazwisk.

Nie byłem w specjalnie dobrodusznym nastroju, trzy godziny snu po telefonie Lydii były tak odświeżające jak uderzenie pięścią w głowę. Przechodziłem przez standardowe etapy, udawałem fascynację i bez przekonania próbowałem tak kierować rozmową, by powstało nieco materiału, który da się wykorzystać.

– Jakie, pańskim zdaniem, miejsce w historii zdobędzie odkrywca TW? Nie będzie to ostateczna forma naukowej nieśmiertelności?

Buzzo zaczął pomniejszać swoją wartość.

– Dla naukowca nie ma czegoś takiego jak nieśmiertelność.

Nawet dla największego. Newton i Einstein do dziś są sławni – ale na jak długo? Szekspira prawdopodobnie będzie się pamiętać dłużej... Hitlera może też.

Nie miałem serca powiedzieć, że ani jeden, ani drugi nie był już powszechnie znany.

– Teorie Newtona i Einsteina zostały jednak połknięte. Włączone do większych całości. Wiem, że pańskie nazwisko przypisano do jednej TW, która okazała się prowizoryczna, ale wszyscy twórcy SZTP uważali wtedy, że była jedynie etapem. Nie sądzi pan, że następna TW będzie strzałem w dziesiątkę: ostateczną teorią, która przetrwa próbę czasu?

Buzzo znacznie bardziej niż ja przemyślał to pytanie.

– Możliwe. Jest to oczywiście możliwe. Jestem w stanie wyobrazić sobie wszechświat, w którym nie możemy więcej zbadać, w którym głębsze wyjaśnienia są dosłownie i fizycznie niemożliwe, ale...

– Pańska TW opisuje taki wszechświat, prawda?

– Zgadza się, ale być może nie w każdym szczególe. To samo dotyczy teorii Mosali i Nishide.

– Jak więc się dowiemy? – spytałem kwaśno. – Kiedy będziemy mieli pewność, że dotarliśmy do sedna?

– Cóż... jeżeli mam rację, nigdy nie będzie pewności, czy się nie mylę. Moja TW nie pozwala na udowodnienie, że jest ostateczna i pełna, nawet gdyby taka była. – Buzzo uśmiechnął się, zachwycony perspektywą tak perwersyjnej spuścizny. – Jediną TW, która pozostawiłaby mniej miejsca na wątpliwości, byłaby taka, która wymagałaby swej skończoności – czyniłaby ten fakt całkowicie centralnym. Newton został połknięty i przetrawiony, Einstein też, a z biegiem czasu to samo czeka starą SZTP. Wszystkie te teorie były systemami zamkniętymi, były podatne na zakwestionowanie. Jediną TW odporną na tego typu zabieg byłaby taka, która umiałaby się aktywnie bronić – skierowała spojrzenie na zewnątrz, by opisać nie tylko wszechświat, ale każdą wyobrażalną alternatywną teorię, która mogłaby ją w jakiś sposób wyprzeć, a następnie za jednym zamachem wykazałaby błędność ich wszystkich. – Pokręcił z radością głową.

Nic takiego nie zostanie tu jednak zaproponowane. Jeśli chce pan znać moje zdanie, przyjechał pan nie tam, gdzie trzeba.

„Tam, gdzie trzeba” znajdowało się pod hotelem: karnawał Renesansu Mistycznego wciąż trwał. I tak zamierzałem wyjść na ulicę – jeżeli chciałem nieco oprzytomnieć do wykładu o programach komputerowych dla MWT, w którym Mosala miała uczestniczyć o dziewiątej, potrzebowałem gwałtownie dawki świeżego powietrza. Niebo było olśniewające i już zdążyło się zrobić ciepło; Bezpaństwo zdawało się niezdecydowane co do tego, czy poddać się umiarkowanej jesieni, czy żądać jeszcze babiego lata. Słońce od razu poprawiło mi nastrój, nadal jednak czułem się okaleczony, pobity, pokonany.

Przebijałem się między straganami i niedużymi namiotami, omijałem magików żonglujących akwariami ze złotymi rybkami i artystów

chodzących na szczudłach. Na ogół te sztuczki mi się podobały; w zasadzie jedynie brzęczące piosenki, śpiewane przez krążących wszędzie grajków, wywoływały we mnie wrażenie, że spaceruję po nieprzyjaznym terytorium. Podczas gdy członkowie Skromnej Nauki! pojawiali się na każdej konferencji prasowej i robili, co mogli, aby naśladować Walsh z jej sporu z Mosalą, RM pozostawał w porównaniu z tym ujmująco nieszkodliwy. Zaczynałem podejrzewać, że była to przemyślana strategia – gra w zły kult i dobry kult, służąca sumarycznemu zwiększeniu atrakcyjności obu kultów. Skromna Nauka! nic nie traciła na ekstremizmie, a tych kilku członków, którzy opuścili ruch z niesmakiem w wyniku taktyki Walsh (najprawdopodobniej, aby dołączyć do RM), z nawiązką skompensuje napływ ludzi z takich grup, jak Celtycka Mądrość czy Saksońskie Światło – północnoeuropejskich odpowiedników PFOK, tyle że bardziej wpływowych.

Przypomniałem sobie scenę z jednej z biografii Muteby Kazadięgo, którą kiedyś oglądałem: kiedy dziennikarka BBC zapytała go pełnym wyrzutu tonem, dlaczego odmówił przyjęcia zaproszenia na tradycyjne święto płodności Lundy, grzecznie zaproponował, by pojechała do domu i skarciła paru członków gabinetu, że nie uczestniczyli w święcie przesilenia zimowego w Stonehenge.

Zatrzymałem się, by popatrzeć na trupę teatralną RM, gotową do odegrania odpowiednio zniekształconej wersji klasyki. Po kilku zdumiewających wersach, wzorowanych na języku zwolenników biotechnologii, ale kompletnie go przekraczających, włosy stanęły mi na karku. Wykorzystali wiadomość o Landersie i jego wirusach i przedstawiali pospiesznie zmaistrowaną własną wersję wydarzeń. Co gorsza, większość opisów zmodyfikowanej osobistej biochemii Landersa pochodziła żywcem z komentarza do *Śmieciowego DNA*; robiąc wersję ostateczną, redaktorzy

wiadomości SeeNetu musieli szybko zamienić odrzucony fragment reportażu na informacje techniczne.

Nie powinno mnie to zaskakiwać, ale prędkość, z jaką rozgrywające się w odległości dziesiątków kilometrów wydarzenia zostały natychmiast przetworzone na parabolę, była denerwująca; słuchanie własnych słów, uderzających we mnie w ramach zapętlenia zwrotnego, graniczyło z surrealizmem.

Aktor, grający jednego z agentów FBI przysłanych w celu zabrania danych z komputera Landersa, odwrócił się do widowni (trzech osób) i oznajmił: – Ta wiedza może zniszczyć nas wszystkich! Musimy odwrócić wzrok!

Jego towarzysz odparł na to smutno:

– Tak, ale to tylko szaleństwo pojedynczego człowieka! Te same święte misteria są zaklęte w dziesięciu milionach innych maszyn! Dopóki nie zostanie zniszczony każdy plik... nikt z nas nie będzie spał spokojnie!

Pulsowało mi w głowie i zaciskała mi się krtań. Nie dało się zaprzeczyć, że tej nocy – zdezorientowany i zbolący – całkowicie podzielałem ten pogląd.

I co teraz?

Ruszyłem przed siebie. Nie mogłem marnować czasu na Landersa albo RM; już utrzymanie się na bieżąco z Mosalą okazywało się niemal niemożliwe. Reportaż zmieniał się na moich oczach w coś innego, a niezależnie, jak wspaniale nieziemską była jej hermetyczna fizyka, Mosala była za wikłana w tyle politycznych komplikacji, że zaczynałem się gubić.

Czy Sarah Knight wiedziała o planie Mosali, by emigrować na Bezpaństwo? Jeśli tak, uczyniłoby to jej program tysiąc razy atrakcyjniejszym niż jakakolwiek umowa z antrokosmologami. Czy ukryłaby tak ważny aspekt przed SeeNetem? Może, gdyby chciała

zaoferować zrobienie tego programu innej stacji – gdyby jednak tak było, dlaczego jej tu nie ma i nie odpycha mnie ramieniem, robiąc *Violet Mosala* – *Technoliberateur*? Może Mosala kazała jej obiecać, że zachowa dyskrecję, a ona dotrzymała obietnicy, choć straciła przez to pracę?

Doprowadzałem się sam do szaleństwa: nawet nieobecna, Sarah cały czas była krok przede mną. Powinienem był przynajmniej poprosić ją o współpracę; podzielenie się honorarium i podarowanie jej stanowiska drugiego reżysera byłoby warte poznania tego, co wiedziała.

Nad moim polem widzenia zapalił się jasnoczerwony symbol – małe kółko w środku większego, przeciętego na krzyż – jak celownik. Zamarłem. Przesunąłem wzrok, ale oznakowanie trzymało się jednej twarzy w tłumie. Twarzy osoby w stroju kłowna, rozdającej literaturę RM.

Akili Kuwale?

Świadek uważał, że to ono.

Kłown miał maskę z aktywnego makijażu, w tej chwili twarz pokrywała biało–zielona krata. Z daleka można było przypisać do każdej płci, mogło być nawet aseksem. Miało odpowiednią budowę i pasujący wzrost, a o ile dało się ocenić przy tej biało–zielonej szachownicy, rysy nie odbiegały od rysów Kuwale. Niewykluczone, ale nie byłem przekonany.

Podszedłem bliżej.

– Czytaj „Dzienny Archetyp”! Poznaj prawdę o niebezpieczeństwach frankensteinonauki! – wołał kłown. Akcent – choć nie umiałem go przyporządkować geograficznie – trudno było pomylić, a zaśpiew domokrażcy brzmiał tak samo ironicznie jak uwagi Kuwale o Janet Walsh.

Stałem przy vim. Nie zareagowało.

– Ile? – spytałem.

– Prawda nic nie kosztuje... choć dolar pomoże sprawie.

– Czyjej? RM czy AK?

– Wszyscy gramy swoje role – odpowiedziało. – Ja udaję, że jestem RM, ty, że dziennikarzem.

Ukłuło mnie to.

– To prawda – stwierdziłem. – Przyznaję, że nie wiem jeszcze połowy tego, co Sarah Knight, ale... dowiem się. Z twoją pomocą prędeż.

Kuwale obserwowało mnie z wyraźną nieufnością. Szachownica na vego twarzy nagle przeszła w niebieskie i czerwone ostrosłupy. Obraz dezorientował, choć vego przebijający się przez to nieruchomy wzrok, sprawiał, że pogarda była tym wyraźniej sza.

– Dlaczego nie weźmiesz pisma i po prostu się nie odpiardolisz? – Wyciągnęło ku mnie gazetkę. – Przeczytaj ją i zjedz.

– Dość już się dziś najadłem złych wiadomości. A Zwornik...

Uśmiechnęło się sardonicznie.

– Och... Amanda Conroy wezwała cię do swego ogniska domowego i już ci się wydaje, że wiesz wszystko...

– Gdybym tak uważał, dlaczego bym cię prosił, żebyś powiedział, czego nie wiem?

Zawahało się.

– W niedzielę wieczorem – dodałem – poprosiłeś mnie o trzymanie oczu otwartych. Powiedz dlaczego i wyjaśnij, za czym mam się rozglądać, a zrobię to. Tak samo jak i ty, nie chcę, by cokolwiek złego stało się Mosali. Muszę jednak wiedzieć, co jest grane.

Kuwale przemyślało to, było jeszcze podejrzliwe, ale zaciekawione. Pomijając kolegów Mosali oraz Karin De Groot – po których trudno było się spodziewać współpracy – byłem prawdopodobnie jedyną osobą, która mogła podejść najbliżej jego idola.

– Gdybyś pracował dla drugiej strony, dlaczego miałbyś udawać tak niekompetentnego? – spytało Kuwale.

Zignorowałem obelgę.

– Chyba nawet nie wiem, kim jest ta „druga strona”.

Kuwale podjęło decyzję.

– Spotkajmy się za pół godziny pod tym budynkiem. – Wzięło moją dłoń i napisało na niej adres. Nie był to dom, w którym rozmawiałem z Conroy. Co prawda za pół godziny miałem filmować Mosalę na kolejnym wykładzie, ale reportażowi nic się nie stanie, jeśli trzeba będzie wybrać z mniejszej liczby ujęć, a Mosala na pewno się ucieszy z chwili spokoju.

Nim zdążyłem się odwrócić, Kuwale wetknęło mi w rękę zwinięte w rulon pisemko. Mało brakowało, a bym je wyrzucił, postanowiłem jednak tego nie robić. Na pierwszej stronie była podobizna Neda Landersa, z boku jego szyi wystrzeliwały pioruny, przechodzące, niczym na obrazach Eschera, w rękę, która go rysowała. Tytuł brzmiał: *MIT CZŁOWIEKA, KTÓRY SAM SIĘ STWORZYŁ*. Było to dowcipniejsze od wszystkiego, co mogliby wymyślić magnaci prasowi. Kiedy jednak zacząłem przeglądać artykuł... nie znalazłem w nim słowa o monitorowaniu albo ograniczaniu dostępu do danych o ludzkim genomie, nic o oporze USA i Chin przeciwko międzynarodowym inspekcjom miejsc, w których znajdowały się urządzenia do syntezy DNA, ani praktycznych propozycji, jak nie dopuścić do powtórzenia się incydentu z Chapel Hill. Poza wezwaniem o „zniszczenie w niemożliwy do odtworzenia sposób” map ludzkiego DNA – co byłoby tak samo skuteczne, jak poproszenie mieszkańców Ziemi o to, by zapomnieli, jakie kształty mają planety – nie było niczego poza kultomową: o niebezpieczeństwie grzebania w tajemnicach zasadniczej wagi, o „ludzkiej potrzebie” posiadania niemożliwej do opisanja tajemnicy życia, o technogwałcie dokonywanym na kolektywnej duszy.

Jeżeli Renesans Mistyczny naprawdę chciał przemawiać w imieniu wszystkich ludzi, zdefiniować „odpowiednie” granice wiedzy i dyktować –

albo cenzurować – najgłębsze prawdy wszechświata, to powinien się lepiej do tego zabrać.

Zamknąłem oczy i zaśmiałem się z ulgą i wdzięcznością. Teraz, kiedy to minęło, mogłem się przyznać: przez chwilę niemal zdawało mi się, że uda im się po mnie sięgnąć. Niemal widziałem, jak kończę na wpełzaniu na kolanach do ich namiotu rekrutacyjnego, ze zgiętym pokornie karkiem (przynajmniej), oświadczając: „Byłem ślepy, ale teraz widzę! Byłem psychicznie otumaniony, ale teraz jestem odpowiednio nastrojony! Byłem Jang bez Jin – lewopółkulowy, linearny i hierarchiczny, ale teraz jestem gotów zaakceptować Alchemiczną Równowagę między Racjonalnym a Mistycznym! Powiedzcie tylko słowo, a... będę wyleczony!”.

Pod adresem, który dało mi Kuwale, mieściła się piekarnia. Pomijając importowane luksusy, żywność na Bezpaństwie pochodziła z morza, z tym że białka i skrobie zawarte w pęcherzykach bioinżynierijnie przetworzonych wodorostów, rosnących na skraju rafy, były identyczne z tymi, które znajdowały się w pszenicy, identyczny więc był zapach przy ich pieczeniu. Znajoma woń sprawiła, że lekko zakręciło mi się w głowie z głodu, lecz sama myśl o przełknięciu kęsa świeżego chleba powodowała mdłości. Już wtedy powinienem był się domyślić, że coś jest nie tak z moim organizmem – dzieje się coś wykraczającego poza skutki lotu, przerwany melatoninowy sen, smutek z powodu utraty Giny i stres wynikający ze znalezienia się w centrum zagmatwanej sprawy niemożliwej do rozwikłania. Nie miałem jednak mojego farmako, które nazwałoby chorobę, nie ufałem tutejszym lekarzom, brakowało mi czasu, żeby chorować, powiedziałem więc sobie, że wszystko tkwi tylko w mojej głowie, a jedyną kuracją jest zapomnieć o problemie.

Pojawiło się Kuwale, bez stroju kłowna, akurat na czas, bym nie zemdlął ani nie zwymiotował. Przeszło obok, nawet na mnie nie patrząc, emanując

nerwową energią. Poszedłem za nim – i zacząłem filmować – opierając się chęci wykrzyczenia jego imienia i popsucia uroczystej atmosfery jak z filmu płaszcza i szpady.

Dogoniłem go i przez chwilę szliśmy obok siebie.

– Co właściwie oznacza „AK głównego nurtu”? – spytałem w końcu.

Kuwale popatrzyło na mnie kątem oka. Było napięte i zirytowane, ale raczyło odpowiedzieć: – Nie wiemy, kto jest Zwornikiem. Akceptujemy fakt, że może nigdy na pewno się tego nie dowiemy, ale szanujemy wszystkich ludzi, którzy wydają się prawdopodobnymi kandydatami.

Brzmiało to obrzydliwie skromnie i rozsądnie.

– Szanujecie czy czcicie? Przewróciło oczami.

– Zwornik to tylko człowiek. Pierwszy, który w pełni zrozumie TW, ale nie ma powodu, by po nim tego samego nie zrobiły miliardy innych ludzi. Ktoś musi być pierwszy i tyle. Zwornik pod żadnym względem nie przypomina „boga”, nawet nie musi wiedzieć, że stworzył wszechświat. Wszystko, co musi zrobić, to go wyjaśnić.

– Podczas gdy tacy jak ty będą stać w cieniu i mówić o akcie stworzenia?

Kuwale machnęło ręką, jakby nie zamierzało marnować czasu na metafizyczne szukanie dziury w całym.

– Dlaczego więc jesteście tak zaniepokojeni losem Violet Mosali – jeśli nie ma wielkiego, kosmicznego znaczenia?

Kuwale rozbawiło to pytanie.

– Czy po to, aby zasłużyć sobie na ochronę przed morderstwem, trzeba być kimś szczególnym? Czy aby martwić się tym, czy przeżyje, muszę paść przed tą kobietą na kolana i czcić ją jak Matkę Boską Wszechświata?

– Nazwij ją tak w jej obecności, a szybko pożałujesz, że żyjesz.

Kuwale uśmiechnęło się ironicznie.

– I dobrze. Wiem, że uważa AK za coś jeszcze gorszego od Kultów Ignorancji, jej zdaniem przez to, że nie mówimy o Bogu, jesteśmy bardziej zdradzieccy. Myśli, że jesteśmy pasożytami żywiącymi się nauką – śledzimy pracę teoretyków TW, kradniemy ją, nadużywamy jej... nawet nie mając na tyle uczciwości, by mówić językiem antyracjonalistów. – Wzruszyło lekko ramionami. – Gardzi nami. Ja ją jednak w dalszym ciągu szanuję. Niezależnie od tego, czy jest Zwornikiem, czy nie, jest jednym z najlepszych fizyków swego pokolenia, potężną siłą *technoliberation*. Dlaczego miałbym czynić z niej boga? Zwiększać wartość jej życia?

– W porządku. – Ta swobodna postawa była zbyt piękna, żeby była prawdziwa, choć nie sprzeczna z niczym, co powiedziała Conroy. – A więc na tym polega główny nurt AK. Opowiedz o heretykach.

Kuwale jęknęło.

– Permutacje są... nieskończone. Wyobraź sobie dowolną wariację i pewne, że na tej planecie znajdzie się ktoś, kto uzna ją za prawdę. Nie mamy patentu na antrokosmologię. Mieszka tu dziesięć miliardów ludzi i wszyscy mogą wierzyć we wszystko, w co chcą; choć metafizycznie będzie nam to bliskie, będzie bardzo odległe duchem.

Była to oczywiście taktyka wymijająca, nie miałem jednak okazji, by wo przycisnąć. Kuwale ujrzało ruszający z przystanku przed nami tramwaj i zaczęliśmy go gonić. Z trudem za nim nadążałem – udało nam się wsiąść, ale długo trwało, nim odzyskałem oddech. Jechaliśmy na zachód – ku wybrzeżu.

Miejsca były zajęte jedynie w połowie, ale Kuwale stało w drzwiach, trzymało się za poręcz i wychylało na wiatr.

– Jeżeli pokażę ci ludzi, których powinieneś rozpoznać, powiesz mi, kiedy znów ich zobaczysz? Dam ci numer kontaktowy i algorytm szyfrujący i wystarczy, jeżeli...

- Chwileczkę: o kogo chodzi?
- Violet Mosali grozi niebezpieczeństwo.
- Podejrzewasz, że coś jej grozi.
- Wiem o tym.
- W porządku. Co to za ludzie?
- Nic ci nie powiedzą ich nazwiska...
- Nie, ale możesz powiedzieć, dla kogo pracują. Dla którego rządu, której firmy biotech...

Jego twarz stężała.

- Powiedziałem Sarah Knight za dużo. Nie powtórzę tego błędu.
- Za dużo na co? Zdradziła cię? SeeNetowi?
- Nie! – zawył Kuwale. Nie rozumiałem, o co chodzi.
- Sarah powiedziała, co się stało w SeeNecie. Pociągnęła kilka nitek i wszystko, co zrobiła, przestało się liczyć. Była zła, ale nie zaskoczona. Stwierdziła, że stacje po prostu tak działają. Nie miała do ciebie tak naprawdę żalu, powiedziała, że jeżeli zrefundujesz jej koszty i zachowasz dyskrecję, przekaże ci wszystko, co wie.

– O czym ty mówisz?

- Zgodziłem się na to, by powiedziała ci wszystko, co wie o AK. Dlaczego, twoim zdaniem, zrobiłem z siebie na lotnisku głupka? Uważasz, że podszedłbym tak do ciebie, gdybym wiedział, że nie masz o niczym pojęcia?

– Nie. – To przynajmniej było logiczne. – Dlaczego jednak powiedziała ci, że mnie wprowadzi, i zmieniła zdanie? Nie usłyszałem od niej ani słowa. Nie odpowiada na telefony.

Kuwale wbiło we mnie wzrok. Było smutne i zawstydzone, ale nagle boleśnie szczere.

– Na moje też nie.

Wysiedliśmy z tramwaju na przystanku znajdującym się niedaleko niedużego kompleksu przemysłowego, po czym ruszyliśmy na południowy wschód. Gdyby śledził nas fachowiec, nieustanny ruch niczego by nie zmienił, jeżeli jednak Kuwale sądziło, że będziemy mogli dzięki temu rozmawiać swobodniej, mnie to nie przeszkadzało.

Jak na razie nie myślałem o tym, że coś mogło stać się Sarah – miała wszelkie powody, by zapomnieć o nas obojgu. Może mimo tego, co jej zrobiłem, przeżyła chwilowy napad wspaniałomyślności i zamierzała wprowadzić mnie w temat, ot z czystej dziennikarskiej solidarności – wszyscy się łączymy dla dobra historycznego zadania Mosali, o którym trzeba opowiedzieć... tararara – rano jednak, kiedy chemiczne pocieszenie przestało działać, zmieniła zdanie.

Znacznie bardziej liczyło się, że zaczynałem inaczej patrzeć na sprawę zagrożenia Mosali.

– Gdyby siły związane z biotechem zabiły Mosalę, byłaby od razu męczennikiem *technoliberation* – stwierdziłem. – Jako trup byłaby świetną maskotką, znakomitą wymówką dla rządu Afryki Południowej, by poprowadzić w ONZ kampanię przeciw bojkotowi.

– Może. Gdyby media powiedziały prawdę.

– Jak taka historia mogłaby nie trafić na pierwsze strony? Zwolennicy Mosali raczej by nie milczeli.

Kuwale ponuro się uśmiechnęło.

– Nie wiesz, kto jest właścicielem większości mediów?

– Wiem, więc nie karm mnie paranooidalnymi bzdetami. Sto różnych grup, tysiąc różnych ludzi...

– Sto różnych grup, z których większość posiada wielkie koncerny biotech. Tysiąc różnych ludzi, z których większość siedzi w zarządach przynajmniej jednego ważnego gracza – od AgroGenesis po VivoTech.

– Zgadza się, ale istnieją jeszcze inne siły, reprezentowane przez inne organizacje. To nie takie proste, jak uważasz.

Byliśmy teraz sami na wielkiej płaszczyźnie rafy nie pokrytej żadną nawierzchnią. Była przygotowana pod budowę, której jeszcze nie zaczęto – w oddali stało sporo maszyn budowlanych, ale chyba nie pracowały. Munroe powiedział mi, że nikt na Bezpaństwie nie mógł posiadać gruntu – tak jak nie mógł być właścicielem powietrza – nic jednak nie zdoła nikogo powstrzymać przed ogrodzeniem dużej przestrzeni i zmonopolizowaniem jej na własny użytek. To, że zdecydowano się tego nie robić, napawało mnie niejakim niepokojem – wyglądało to na nienaturalne samoograniczenie, gotowe zamienić się w gwałtowne przywłaszczanie sobie terenu, tworzenie tytułów własności *de facto* i wściekły prawdopodobnie pełen przemocy – odpór ze strony tych, którym nie udało się dostać nic na początku.

A mimo wszystko... „po co tu przyjeżdżać, by bawić się we »władcę much«?”. Żadne społeczeństwo nie podejmie decyzji, by się zniszczyć. Jeżeli turysta–ignorant może wyobrazić sobie, jak katastrofalna byłaby gorączka ziemi, to mieszkańcy Bezpaństwa musieli przemyśleć to zagadnienie tysięcy razy bardziej szczegółowo.

Rozłożyłem ramiona, jakbym chciał objąć całą renegacką wyspę.

– Jeżeli naprawdę uważasz, że firmom biotech mogłoby ujść na sucho morderstwo, powiedz, dlaczego nie zamieniły Bezpaństwa w kulę ognia?

– Zbombardowanie El Nido sprawiło, że powtórka była niewykonalna. Musi to zrobić rząd, w innym wypadku groziłoby to zbyt gwałtowną reakcją.

– No dobrze – nie dokonali sabotażu. Jeżeli EnGeneUity nie może wymyślić niczego, co sprawiłoby, że jej własny wytwór spłynie do morza, to Plażowe Chłopaki kłamały.

– Plażowe Chłopaki?

– „Kalifornijscy biotechnologowie są najlepsi na świecie”. Nie oni sami to wymyślili?

– EnGeneUity sprzedaje wersje Bezpaństwa na całym Pacyfiku. Dlaczego miałyby sabotować swój najlepszy model demonstracyjny, swoją najlepszą reklamę – niezależnie od tego, czy jest autoryzowana, czy nie? Może nie zaplanowała tego, ale prawda jest taka, że Bezpaństwo nic ich nie kosztuje – dopóki nikt więcej się od nich nie odwróci.

Nie byłem przekonany, ale spór prowadził donikąd.

– Chcesz mi pokazać swoją galerię domniemanych skrytobójców czy nie? Potem wyjaśnisz, bardzo dokładnie, co zamierzasz zrobić, jeżeli ci powiem, że widziałem którąś z tych osób. Jeżeli sobie myślisz, że dołączę do spisku mającego na celu morderstwo – nawet służące ochronie Zwornika, nawet na Bezpaństwie...

Ku wale przerwało mi.

– Tu nie chodzi o przemoc. Chcemy tylko, by ci ludzie byli pod obserwacją, zależy nam na informacjach, a kiedy będziemy mieli coś konkretnego, zawiadomimy ochronę konferencji.

Zapisał vege notepad. Kuwale stanęło, wyjęło aparat z kieszeni i przez kilka sekund patrzyło w ekran. Potem przeszło kilkanaście metrów na południe.

– Nie miałbyś nic przeciwko temu, że spytam, co robisz? Kuwale z dumą się rozpromieniło.

– Mój system zabezpieczania danych jest podłączony do Globalnego Systemu Nawigacyjnego. Najważniejszego pliku nie da się otworzyć, nawet mając hasło i próbkę mojego głosu, jeżeli nie stoi się w odpowiednim miejscu – które zmienia się z godziny na godzinę. Tylko ja wiem, jak się zmienia.

Niemal zapytałem: po co zapamiętywać listę miejsc, zamiast listy haseł, ale było to głupie pytanie. GPS istniał, więc należało go stosować, a im bardziej zawile były zabezpieczenia, tym lepiej – nie dlatego, by zwiększało to bezpieczeństwo, ale ponieważ kompleksowość systemu była celem samym w sobie. Technofilia jest jak każda inna estetyka i nie ma sensu pytać, czemu służy.

Kuwale było tylko pół pokolenia młodsze ode mnie i prawdopodobnie mieliśmy wiele podobnych poglądów na świat, vono jednak nieco ekstremalniej wierzyło we wszystko to, w co wierzyliśmy my. Nauka i technologia zdawały się dawać vu wszystko, czego chciało: ucieczkę od zatrutego pola wojny płciowej, ruch polityczny, o który warto było walczyć, nawet niby–religię. Choć była ona na swój sposób chora, to w odróżnieniu od innych przyjaznych nauce wiar, nie była żmudnie zmaistrowaną syntezą współczesnej fizyki i przestarzałych historycznie relików: ironicznym zawieszeniem broni jak absurdu buddyzmu kwantowego czy Kościół Zrewidowanego Standardowego Judeo–Chrześcijańskiego Wielkiego Wybuchu.

Obserwowałem, jak manipuluje programem i czeka na jakieś zgranie się satelitów i zegara atomowego. Czy byłbym szczęśliwszy, gdybym podjął takie same decyzje? Jako aseks uniknąłbym szeregu nieudanych związków. Jako *technoliberateur* miałbym ideę nadwartościową, która sprawiłaby, że nie miałbym wątpliwości co do Nagasaki i Neda Landersa. Jako antrokosmolog znalazłbym ostateczne wyjaśnienie wszystkiego, co wzniosłoby mnie do poziomu teoretyków TW i znieczuliło w moim podeszłym wieku na rywalizujące religie.

Czy jednak byłbym szczęśliwszy?

Może, ale szczęście to przereklamowane zjawisko.

Program Kuwale zapiszczał, ogłaszając sukces. Podszedłem i przejąłem dane. Między naszymi notepadami przesłany został zapakowany danymi strumień podczerwieni.

– Chyba się nie mylę, zakładając, że nie powiesz, skąd się dowiedziałeś o tych ludziach albo jak mam zweryfikować to, co powiedziałeś?

– O to właśnie poprosiła Sarah Knight.

– Nie jestem zaskoczony. Teraz ja proszę.

Kuwale zignorowało mnie, temat był zamknięty. Wskazało notepadem na mój brzuch.

– Wykorzystaj wszystko, co tam masz, przy pierwszej okazji, jaka ci się nadarzy. Doskonale bezpieczne. Jesteś szczęściarzem.

– Pewnie. Podczas gdy jeden zabójca EnGeneUity będzie biegał po Bezpaństwie z twoim notepadem, pozostali zaoszczędzą czas i rozprują mi brzuch.

Kuwale roześmiało się.

– To jest duch! Może nie jesteś zbyt dobrym dziennikarzem, ale jeszcze zrobimy z ciebie męczennika rewolucji.

Wskazało na płaszczyznę skały rafowej, połyskującą zielono i srebrno w porannym słońcu.

– Powinniśmy wracać do miasta osobno. Jeżeli pójdziesz tędy, za dwadzieścia minut dojdiesz do linii południowo–zachodniej.

– Niech będzie. – Nie miałem siły się spierać. Kiedy Kuwale odchodziło, powiedziałem jednak: – Zanim znikniesz, odpowiesz mi na jeszcze jedno pytanie?

Wzruszyło ramionami.

– Pytać nie boli.

– Dlaczego to robisz? W dalszym ciągu nie rozumiem. Powiedziałeś, że nie interesuje cię, czy Violet Mosala jest Zwornikiem, czy nie. Nawet

jednak jeśli jest tak wspaniałą osobą, że jej śmierć stałaby się ogólnoswiatową tragedią... co sprawia, że czujesz się odpowiedzialny? Przeprowadzając się na Bezpaństwo, doskonale wie, w co się pakuje. Jest dorosła, ma różne możliwości i więcej politycznej siły przebicia niż ktokolwiek z nas. Nie jest bezradna, nie jest głupia – a gdyby wiedziała, co robisz, prawdopodobnie udusiłaby cię własnymi rękami. Tak więc... dlaczego nie zostawisz jej własnemu losowi?

Kuwale zawahało się, po czym spuściło głowę. Chyba w końcu udało mi się go trafić w czuły punkt – wyraźnie szukało odpowiednich słów, by się wywnętrzyć.

Cisza trwała, ale czekałem cierpliwie. Sarah Knight wydobyła całą prawdę, czyż nie? Nie ma powodu, dla którego tobie też nie miałyby się to udać.

Kuwale podniosło głowę i obojętnie odrzekło: – No tak... pytać nie boli. Odwróciło się i odeszło.

..18..

Przejrzałem dane od Kuwale, czekając na tramwaj. Osiemnaście twarzy, żadnego nazwiska. Standardowe trójwymiarowe portrety: z usuniętym tłem, zhomogenizowanym światłem – jak fotki policyjne. Było dwunastu mężczyzn i sześć kobiet, w różnym wieku i o różnym pochodzeniu etnicznym. Liczba wydała mi się dziwnie duża – co prawda Kuwale nie sugerowało, że każda z tych osób znajduje się na Bezpaństwie, ale jak zdobyło wizerunki osiemnastu zabójców na usługach korporacji, którzy byliby tu przysłani jako pierwsi? Jakie źródło, jaki przeciek, jaka kradzież danych mogły dostarczyć aż tyle informacji – i nie więcej?

W każdym razie, gdybym ujrzał którąś z twarzy w tłumie, nie zamierzałem informować o tym AK – nie tyle ze strachu, że mógłbym wystawić się na niebezpieczeństwo, stając po stronie radykalnych *technoliberateurs* przeciwko potężnemu kapitałowi, ile z powodu podejrzenia, że Kuwale mogłoby się okazać całkiem nie z tej ziemi – tak paranoidalnym zwolennikiem Mosali, jak podejrzewałem na początku, a może nawet bardziej. Nie mając jakiegokolwiek potwierdzenia tego historyjki, nie bardzo mogłem uruchamiać nieznanego zakresu akcji, wymierzoną przeciwko obcej osobie, przypadkiem kręcącej się zbyt blisko Violet Mosali. Na moje oko, była to galeria niewinnych członków Kultów Ignorancji, pofotografowanych przy schodzeniu z pokładu samolotu czarterowego. To, że Mosala miała sporo potencjalnych wrogów, nie dowodziło, że Kuwale ich znało – albo że powiedziało mi prawdę o czymkolwiek.

Nawet wersja antrokosmologii, którą mnie nakarmiło, brzmiała zbyt spokojnie i rozsądnie, by była prawdziwa. „Zwornik jest zwykłą osobą, naprawdę – nasza troska o Violet Mosalę wynika z szeregu jej innych istotnych cech”. Po co trudzić się tworzeniem kultu wynoszącego kogoś na piedestał Naczelnej Przyczyny Wszystkiego – i traktować to potem jako nieistotny fakt? Poza tym Kuwale za często protestowało.

Kiedy dotarłem do hotelu, wykład o MWT niemal się kończył, usiadłem więc w holu i czekałem na pojawienie się Mosali.

Im bardziej się zastanawiałem, tym mniej chciało mi się wierzyć w to, co zaserwowali mi Kuwale i Conroy. Z drugiej strony – dowiedzenie się, czym naprawdę są antrokosmologowie, mogło zająć miesiące. Poza Indrani Lee istniała jeszcze tylko jedna osoba, która mogła znać odpowiedzi – a dość już miałem błędzenia w ciemności z głupiej dumy.

Zadzwoiłem do Sarah. Jeżeli była w Australii, na wschodnim wybrzeżu był teraz jasny dzień... ale tak jak poprzednio, odpowiedziała automatyczna sekretarka.

Zostawiłem kolejną wiadomość. Nie umiałem się przemóc i powiedzieć prosto: „Nadużyłem mojej pozycji w stacji. Ukradłem ci projekt i nie zasługuję na niego. To był błąd i przepraszam”. Zamiast tego zaproponowałem jej współpracę przy kręceniu Violet Mosali w takiej roli, jaka będzie jej pasowała, i na warunkach, które oboje będziemy w stanie uznać za uczciwe.

Rozłączyłem się, mając nadzieję, że ta spóźniona próba naprawienia sytuacji przyniesie mi nieco ulgi, zamiast tego poczułem jednak spory niepokój. Rozejrzałem się po jasno oświetlonym holu, wpatrywałem się w oślepiające plamy słonecznego światła na ułożonej z białych i złotych kafelków podłodze – choć jak wszystko na Bezpaństwie, i ona wyglądała

spartańsko – jakbym wierzył w to, że światło może wpłynąć do mojej głowy i rozproszyć zbierającą się tam mgłę.

Nic to nie dało.

Siedziałem, obejmując głowę rękoma, nie umiałem opanować strachu, który mnie ogarnął. Wszystko było tak rozpaczliwe... Ciągłe w zbyt wielu sprawach błądziłem po omacku – choć już mniej jak jeszcze cztery dni temu.

Robiłem postępy, nie?

Utrzymywałem się na powierzchni.

Ledwie.

Przestrzeń wokół zdawała się rozszerzać. Hol i rozświetlona podłoga jakby się cofnęły – ruch był minimalny, ale nie dało się go nie zauważyć. Spojrzałem na zegar na notepadzie, zakręciło mi się w głowie z lęku... wykład Mosali miał się skończyć za trzy minuty, czas jakby się jednak wydłużał, uciekał, tworząc niemożliwą do przeskoczenia otchłań. Musiałem nawiązać z kimś kontakt – albo z czymś.

Bez zastanowienia kazałem Hermesowi wywołać Kalibana, przykrywkę konsorcjum hakerów. Na ekranie pojawiła się androgyniczna, wyszczerzona w uśmiechu twarz, płynna i stale mutująca, zmieniająca z sekundy na sekundę rysy. Niezmienne pozostawały jedynie białka oczu, jakby patrzyły zza maski.

– Zła pogoda na wizytę, wnioskodawco. Na przewodach leży lód. – Wokół twarzy zaczął wirować śnieg, maska nabrała różnych odcieni szarości i niebieskości. – Nic nie jest jasne, nic nie jest proste.

– Oszczędź mi tej nawijki. – Przekazałem numer komunikacyjny Sarah Knight. – Co możesz mi o tym powiedzieć... za sto dolarów?

Kaliban wyszczerzył gębę w uśmiechu.

– Styks zamarzł. – Na zmieniających się wargach i rzęsach pojawił się szron.

– Sto pięćdziesiąt. – Kaliban wydawał się nieporuszony, ale Hermes pokazał okienko informujące o wniosku na przekaz. Niezbyt chętnie potwierdziłem przekaz.

Pojawił się zielony tekst, wyzywająco nieostry.

– Numer należy do Sarah Alison Knight, obywatelki Australii, główne miejsce zamieszkania Parade Avenue 17E, Lindfield, Sydney. En–kobieta, urodzona 4 kwietnia 2028.

– To wszystko już wiem, bezużyteczny śmieciu. Gdzie jest teraz – dokładnie? Kiedy ostatni raz przyjęła rozmowę – osobiście?

Zielony tekst zniknął i Kaliban się wzdrygnął.

– Wilki wyją na stepach. Podziemne rzeki zamieniają się w lodowce.

Powstrzymałem się przed kolejnymi inwektywami.

– Dodam pięćdziesiąt.

– Żyłły twardego lodu pod skałami. Nic się nie rusza, nic się nie zmienia.

Zazgrzytałem zębami.

– Sto. – Mój fundusz badawczy nikł w oczach; co gorsza, to co robiłem, nie miało nic wspólnego z *Violet Mosalq*. Musiałem się jednak dowiedzieć.

Po szarej twarzy przebiegły pomarańczowe symbole.

– Nasza Sarah po raz ostatni przyjęła telefon – osobiście, pod tym numerem – w śródeczku Kioto w Japonii, o 10:23 czasu uniwersalnego, 26 marca 2055 roku – oznajmił Kaliban.

– I gdzie jest teraz?

– Od wspomnianej rozmowy pod tym numerem nie podłączono do sieci żadnego urządzenia.

Oznaczało to, że nie użyła notepada ani w celu przeprowadzenia rozmowy, ani zamówienia usługi. Nie przeglądała biuletynu wiadomości

ani nie nagrała sobie trzyminutowego wideoklipu. Jeżeli...

– Pięćdziesiąt dolców – bierz albo nie – za jej nowy numer komunikacyjny.

Kaliban wziął pieniądze i uśmiechnął się.

– Błąd. Nie ma nowego numeru, nie ma nowego konta.

– To wszystko – stwierdziłem drętwo. – Dziękuję. Kaliban udał zdziwienie nieoczekiwaną uprzejmością i posłał mi na pożegnanie całusa.

– Zadzwoń ponownie. I pamiętaj, wnioskodawco: dane chcą być wolne!

Dlaczego Kioto? Jedyne związki, jaki mi się nasuwał, to Yasuko Nishide. Ale co to znaczyło? Czyżby mimo wszystko planowała zajmować się Konferencją Einsteirowską, przedstawiając konkurencyjny reportaż o rywalizującym teoretyku? A jedynym powodem, dla którego jeszcze jej nie ma na Bezpaństwie, jest choroba Nishide?

Po co jednak odcięła się od systemu komunikacyjnego? Ponury, niewypowiedziany wniosek Kuwale byt bez sensu. Dlaczego siły reprezentujące biotech miałyby chcieć zrobić krzywdę Sarah Knight, jeżeli wszystko wskazywało na to, że porzuca Violet Mosalę dla innego – kompletnie apolitycznego – fizyka?

W holu zaczęli się pojawiać rozemocjonowani ludzie. Podniosłem głowę. Sala w głębi korytarza pustoszała. Mosala i Helen Wu wyszły razem. Podszedłem do nich.

– Andrew! – rozpromieniła się Mosala. – Stracił pan całą zabawę! Serge Bischoff właśnie przedstawił nowy algorytm, który oszczędzi mi kilku dni pracy komputera!

Wu zmarszczyła czoło i poprawiła:

– Nam wszystkim...

– Oczywiście – odezwała się do mnie Mosala scenicznym szeptem. – Helen ciągle jeszcze nie dostrzega, że chce czy nie, stoi po mojej stronie.

Mam streszczenie wykładu. Chce pan przejrzeć?

– Nie... – odpowiedziałem bezbarwnie. Wiedziałem, że brzmi to bezceremonialnie, ale tak bardzo czułem się poza nawiasem, byłem tak oderwany od wszystkiego, że machnąłem ręką na zasady. Mosala z zainteresowaniem mi się przyjrzała – bardziej zaniepokojona niż zezłoszczona. Wu odeszła.

– Słyszała pani coś o Nishide? – spytałem.

– Ach... – Spowaźniała. – Wygląda na to, że nie uda mu się dotrzeć na konferencję. Jego sekretarka porozumiała się z organizatorami i powiedziała, że musiał iść do szpitala. Znow ma zapalenie płuc. Jeżeli jego stan się nie poprawi... to nie wiem. Może będzie musiał się wycofać...

Zamknąłem oczy; podłoga zaczęła się przechylać. Głos z daleka spytał: – Andrew? Nic panu nie jest? – Wyobrażałem sobie moją rozżarzoną do białości twarz.

Otworzyłem oczy. Chyba wreszcie zrozumiałem, co się dzieje.

– Mogę z panią porozmawiać? Proszę.

– Oczywiście.

Po policzkach zaczął mi spływać pot.

– Niech się pani nie denerwuje. Proszę mnie wysłuchać. Mosala pochyliła się do przodu. Zmarszczyła czoło, zawahała się, ale w końcu położyła mi dłoń na czole.

– Pan płonie! Musi pan natychmiast iść do lekarza.

– Niech pani posłucha! – wychrypiałem. – Proszę mnie posłuchać!

Ludzie wokół gapili się na nas. Mosala otworzyła usta, wściekła, gotowa mnie usadzić, ale zmieniła zdanie.

– Niech pan mówi. Słucham.

– Musi pani zbadać sobie krew... wszystkie badania... mikropatologię... wszystko. Nie ma jeszcze objawów, ale... nieważne, jak się pani czuje...

proszę to zrobić... nie wiadomo, jak długa jest inkubacja... – Lał się ze mnie pot i chwiałem się na nogach, każdy oddech był jak wciąganie do płuc płomienia. – Myśli pani... że przysłał oddział z karabinami maszynowymi? Wątpię... miałem zachorować, ale... to się musiało po drodze zmutować. Było przypisane do pani genomu, ale... zamek po drodze odpadł. – Roześmiałem się. – W mojej krwi. W moim mózgu.

Zapadłem się w sobie i osunąłem na kolana. Moje ciało przeszyły konwulsje, niczym perystaltyczny spazm, próbujący wypchnąć mi mięśnie poza skórę. Ludzie wokół krzyczeli, nie rozumiałem jednak słów. Starłem się podnieść głowę, lecz kiedy na chwilę mi się to udało, oczy zamglily mi czarne i szkarłatne plamy.

Przestałem walczyć. Zamknąłem oczy i położyłem się na chłodnych, przyjemnych kafelkach.

W szpitalu długo nie zwracałem uwagi na otoczenie. Szarpałem się w płątanie przepoconych prześcieradeł i pozwalałem światu łaskawie pozostawać poza mną. Nie szukałem odpowiedzi u otaczających mnie ludzi – w delirium uważałem, że znam je wszystkie.

Za wszystkim stał Ned Landers. Kiedy się spotkaliśmy, zaraził mnie którymś ze swoich tajnych wirusów. Teraz, ponieważ przebyłem taki kawał drogi, by przed tym uciec... choć Helen Wu udowodniła, że świat jest jedną wielką pętlą i wszystko wraca do punktu wyjścia... teraz atakowałem tajną broń Landersa Violet Mosalę, Andrew Wortha i wszystkich innych jego wrogów.

Dostawałem *STANU WYCZERPANIA*.

Wysoki Fidżyjczyk w bieli wbijał mi w łokieć igłę. Spróbowałem ją strząsnąć, ale mnie przytrzymał.

– Nie wiesz, że nie warto? – mruknąłem triumfalnie. – Nie ma na to leku! – Mój stan wyczerpania wcale nie był taki zły, jak sobie

wyobrażałem. Nie darłem się przecież jak kobieta w Miami, prawda? Miałem mdłości i gorączkę, ale nie było wątpliwości, że podążam w kierunku pięknego, bezbolesnego zapomnienia. Uśmiechnąłem się do mężczyzny. – Odszedłem na zawsze! Poszedłem sobie!

– Nie sądzę – odparł. – Chyba cały czas tu byłeś i właśnie wracasz.

Pokręciłem z uporem głową, zaraz jednak zawyłem z bólu i zaskoczenia. Doznałem gwałtownego skurczu jelit; opróżniały się samoistnie do umieszczonego pode mną naczynia, którego dotychczas nie zauważyłem. Próbowałem przestać, ale nie mogłem. Przeraziła mnie jednak nie długość wypróżnienia, a konsystencja. Nie miałem biegunki – leciała ze mnie woda.

Skurcze w końcu ustały, cały drżałem.

– Co się ze mną dzieje?

– Masz cholereę. Lekoodporną. Możemy opanować gorączkę i nawadniać cię, ale choroba musi przejść zwykły cykl. Dość długo u nas zostaniesz.

..19..

Kiedy minęła pierwsza fala delirium, spróbowałem beznamiętnie ocenić swoją sytuację, by uzbroić się w fakty. Nie byłem dzieckiem, nie byłem stary. Nie byłem niedożywiony, zarażony pasożytami, nie miałem uszkodzonego układu odpornościowego ani innego czynnika komplikującego leczenie. Byłem w rękach fachowców. Mój stan na bieżąco monitorowała skomplikowana aparatura.

Powiedziałem sobie, że nie umrę.

Gorączka i wymioty, nieobecne w „klasycznej” cholery, świadczyły o tym, że mam biotyp meksykański; po raz pierwszy odnotowano jego wystąpienie po trzęsieniu ziemi w 15. roku, od tego czasu szeroko rozpowszechnił się na całym świecie. Bakterie wnikały zarówno do krwiobiegu, jak i przewodu pokarmowego, tworząc liczne objawy i stanowiąc wielkie zagrożenie dla zdrowia. Miliony ludzi rocznie przeżywało jednak tę chorobę – często w znacznie gorszych warunkach: bez środków przeciwożarączkowych, dożylnego podawania elektrolitów, jakichkolwiek antybiotyków, co czyniło lekoodporność zagadnieniem akademickim. W największych szpitalach miejskich, na przykład w Santiago albo w Bombaju, można było dokładnie sekwensować konkretne szczepy *Vibrio cholerae* i w ciągu kilku godzin tworzyć i syntetyzować nowe leki. Większość ludzi – łapiących chorobę – nie miała jednak szansy na tego typu luksusowe, cudowne leczenie. Po prostu przeżywała wzrost i upadek bakteryjnego imperium w swoim wnętrzu. Likwidowała je.

Mogłem zrobić dokładnie to samo.

W tym jasnym, optymistycznym scenariuszu była tylko jedna skaza: większość ludzi nie miała powodu podejrzewać, że ich bebechy były wypełnione bronią genetyczną, która eksplodowała kawałek od celu. Bronią skonstruowaną tak, by jak najbardziej udawać szczep cholery, ale na tyle nasilić spodziewane objawy, by zabić zdrową dwudziestosiedmiolatkę, pod najlepszą opiekę medyczną, jaką mogło jej zapewnić Bezpaństwo.

Oddział był czysty, jasny, przestronny i spokojny. Większość czasu spędzałem oddzielony parawanem od innych pacjentów; białe, półprzeźroczyste zasłony przepuszczały jednak światło dzienne i choć moja skóra płonęła, delikatny dotyk ciepła był dziwnie pocieszający, niczym objęcia znajomej osoby.

Późnym popołudniem pierwszego dnia środki przeciwgorączkowe zaczęły działać. Obserwowałem wykres na stojącym obok łóżka monitorze: temperatura w dalszym ciągu była bardzo wysoka, ale bezpośrednie zagrożenie uszkodzeniem mózgu minęło. Próbowałem przełknąć nieco płynu, ale nic nie mogłem zatrzymać – zwilżyłem więc jedynie spieczone wargi i krtań i pozwoliłem wlewowi dożylnemu zająć się resztą.

Nic nie zdołało powstrzymać skurczów i spazmów jelit. Kiedy nadchodziły, czułem się jak opanowany przez demona, ujeżdżany przez bożka voodoo – coś potężnego i obcego brało w niedźwiedzi uścisk wewnątrz mojego brzucha. Nie potrafiłem uwierzyć, by jakikolwiek mięsień w moim przypominającym szmacianą lalkę ciele mógł jeszcze być tak mocny. Próbowałem zachować spokój – pogodzić się z każdą brutalną konwulsją jak z czymś nieuniknionym, by koncentrować się na oczywistej perspektywie, że i to minie – ale za każdym razem fala mdłości zmiatała mój starannie zmontowany stoicyzm jak fala przyboju domek z zapalek i robiła ze mnie drżący, chlipiący wrak, przekonany, że zaraz umrę i po części wręcz sądzący, że tego właśnie chcę: natychmiastowej ulgi.

Usunięto mi plaster z melatoniną; głęboki sen, który powodowała, był teraz zbyt niebezpieczny. Nie umiałem dostrzec różnicy między chaotycznymi rytmemi, spowodowanymi brakiem melatoniny, a „naturalnym stanem” całkowitej jasności, że zaraz popękają mi kiszki i zmyją mnie czerwono-szarą falą.

Przekonywałem się, że jestem silniejszy i bardziej cierpliwy od choroby. Pokolenia bakterii mogły się rozwijać i ginąć – ja musiałem tylko wytrzymać. Musiałem je przeżyć.

Rankiem drugiego dnia przyszły Mosala i De Groot. Wyglądały na podróżniczki w czasie; moje poprzednie życie na Bezpaństwie oddaliło się w nieokreśloną przeszłość.

Mosala była wyraźnie zaszokowana moim wyglądem.

- Skorzystałam z pańskiej rady – powiedziała delikatnie.
- Dokładnie się przebadalam. Nie jestem zarażona. Rozmawiałam z pańskim lekarzem i uważa, że musiał się pan zarazić jedzeniem w samolocie.
- Czy jeszcze ktoś z tego samego lotu... – wycharczałem.
- Nie, ale możliwe, że jedno opakowanie jedzenia nie zostało napromieniowane i wystarczająco wysterylizowane.

Nie miałem sił na spory. Teoria, którą przedstawiła, była oczywiście logiczna: przypadkowa pomyłka robi wyłom w barierze między Pierwszym a Trzecim Światem, na chwilę psując nieskazitelną logikę wolnego rynku, kazując korzystać z najtańszego na świecie cateringu, zaraz jednak usuwa ryzyko tak samo tanim strumieniem promieni gamma.

Wieczorem znów zaczęła mi rosnać temperatura. Michael – Fidżyjczyk, który powitał mnie, kiedy się po raz pierwszy obudziłem, i wyjaśnił, że jest „zarówno lekarzem i pielęgniarką, jeśli zależy ci na używaniu tu tych tak archaicznych obcych słów” – siedział przy moim łóżku niemal całą noc... a

przynajmniej był obecny ciałem w każdej krótkiej chwili, gdy odzyskiwałem przytomność.

Od świtu do przedpołudnia przespałem trzy godziny pod rząd – wystarczająco długo, aby mieć pierwszy spójny sen, w którym rozpaczliwie trzymałem się szczęśliwego zakończenia: „Choroba przeszła swój cykl i wypaliła się. Moje objawy zniknęły. Gina przyleciała w nocy, by zabrać mnie z powrotem, do domu”.

Obudził mnie silny skurcz. Wkrótce lała się ze mnie szara woda, pełna śluzu jelitowego; cicho dysząc, wyrzucałem z siebie przekleństwa, chciałem umrzeć.

Późnym popołudniem, kiedy słońce rozświetlało oddział, który przez parawan wyglądał niewyraźnie i jasno jak niebo – te sanie konwulsje zaczęły się po raz tysięczny, znów wysrywałem z siebie ostatnią kroplę tego, co wlano we mnie za pomocą kroplówki – zacząłem popiskiwać, szczyrzyłem zęby i drżałem jak pies, jak chora hiena.

Rano czwartego dnia gorączka niemal zniknęła. Wszystko do tej pory wydawało się podobne do koszmaru nocnego, pełnego przemocy i zatrwającego, choć niekonsekwentnego – sekwencją snu filmowaną przez gazetę.

Wszystko, co widziałem, było oblepione nieustępliwą szarą masą. Parawany wokół pokrywał kurz. Prześcieradła plamiła żółć wyschniętego potu. Moja skóra lepiała się od śluzu. Wargi, język, gardło były spękane i kłuły, oddzielały się od nich martwe komórki i rzadka wydzielina, która smakowała nie jak krew, a jak sól. Każdy mięsień od przepony po krocze bolał, nieużyteczny, wymęczony poza granicę wytrzymałości, ale napięty jak kulące się pod gradem ciosów zwierzę, gotowe przyjąć kolejny atak. Kolana rwały, jakbym przez tydzień pełzł po zimnym, twardym bruku.

Znów zaczęły się skurcze. Jeszcze nigdy od początku choroby nie byłem bardziej przytomny, jeszcze nigdy spazmy nie były tak silne.

Nie miałem już cierpliwości. Najchętniej wstałbym i wyszedł, zostawiając ciało na oddziale. Niech mięśnie i bakterie rozstrzygną sprawę między sobą, ja straciłem zainteresowanie.

Zamknąłem oczy. Próbowałem doprowadzić do oddzielenia się duszy od ciała. Nie byłem w delirium, ale ucieczka od bezsensownej, obrzydliwej rzeczywistości zdawała się właściwym wyborem, tak oczywistym rozwiązaniem, że na moment moja niewiara zniknęła.

Po chwili zrozumiałem, tak dokładnie jak nigdy przedtem – nie dzięki seksowi, nie dzięki jedzeniu, nie dzięki straconej, bujnej fizyczności dzieciństwa, nie dzięki ukłuciom setek drobnych ran i natychmiast leczonych chorób – że ta wizja ucieczki nic nie znaczy, jest błędną arytmetyką, snem idioty.

Schorowane ciało było całym moim ja. Nie była to chwilowa kryjówka dla maleńkiej, niezniszczalnej bosko-ludzkiej istoty. Od czubka czaszki po gniącą dupę był to instrument wszystkiego, co kiedykolwiek zrobię, co poczuję, czym będę.

Nigdy nie uważałem inaczej...

...choć nigdy tak naprawdę tego nie czułem, do końca nie wiedziałem. Nigdy przedtem nie zostałem zmuszony do spojrzenia w twarz obskurnej, wijącej się, pochodzącej prosto z trzewi prawdzie.

Czy to samo zrozumiał Daniel Cavolini, kiedy zerwał z oczu maskę? Wpatrywałem się w sufit, napięty i rozedrgany, ogarnięty klaustrofobią, a mdłości i ból rozchodziły się po całym brzuchu.

W południe temperatura znów zaczęła rosnać. Byłem zadowolony: chciałem wpaść w delirium. Czasami gorączka odsłaniała nerwy, nasilała i

wyostrzała każde odczucie, ale miałem nadzieję, że może zabierze to, co zrozumiałem, a co było gorsze od bólu.

Nie udało się.

Znów przyszła Mosala. Uśmiechałem się i kiwałem głową, nic nie mówiłem i nie byłem w stanie skoncentrować się na jej słowach. Parawany po obu stronach łóżka stały gdzie zawsze, trzeci jednak odsunięto i kiedy unosiłem głowę, widziałem leżącego naprzeciwko pacjenta: wymizerowanego chłopca z kroplówką. Ojciec cicho mu czytał, matka trzymała za rękę. Sceneria wyglądała, jak widziana z bardzo daleka, oddzielona niemożliwą do pokonania przestrzenią wody; nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że kiedyś jeszcze będę miał siłę wstać i przejść pięć metrów.

Mosala wyszła, ja odpłynąłem.

Potem zauważyłem, że ktoś stoi w nogach łóżka i moje ciało przeszyła błyskawica. Szok transcendentnego zdumienia.

Przez nic nie wybaczącą rzeczywistość płynął anioł.

Janet Walsh odwróciła się nieco do mnie, podniosłem się na łokciach i krzyknąłem do niej, przerażony, zachwycony: – Chyba już rozumiem... dlaczego to robicie. Nie... jak, ale dlaczego...

Popatrzyła prosto na mnie, lekko zdziwiona, ale nie zaniepokojona.

– Proszę... mów do mnie – powiedziałem. – Jestem gotów słuchać.

Walsh lekko zmarszczyła czoło. Jej skrzydła cierpliwie załopotwały.

– Wiem, że was obraziłem. Przepraszam. Wybaczycie mi? Chcę się wszystkiego dowiedzieć. Chcę zrozumieć, jak to robicie.

Milczała.

– Jak kłamiecie o świecie? Jak sprawiacie, że sami w to wierzycie? Jak możecie znać całą prawdę, pełną prawdę... i udawać, że nic z tego się nie liczy? Na czym polega tajemnica? Co to za sztuczka? Gdzie tu magia?!

Twarz płonęła mi białym żarem, ale podniosłem się jeszcze wyżej, w nadziei, że otaczająca ją aura ześle na mnie wielkie, odmieniające zrozumienie.

– Próbuje! Musicie mu uwierzyć, że próbuję! – Odwróciłem się, nagle zabrakło mi słów, byłem oszołomiony jej obecnością. Znów złapał mnie skurcz – nie mogłem dłużej udawać, że to zwinięty we mnie demoniczny wąż. – Jeśli jednak prawda, podziemny świat... TW... wyciągają dłoń, łapią was i ściskają... – Uniosłem rękę, chcąc zademonstrować, co mam na myśli, ale palce były już mocno zaciśnięte. – Jak możecie to ignorować? Dlaczego temu zaprzeczacie? Jak możecie dalej się ogłupiać, że byliście kiedykolwiek ponad, pociągaliście za nitki, kiedykolwiek kierowaliście przedstawieniem?

Pot ściekał mi do oczu, oślepiał. Starłem go zaciśniętą pięścią i roześmiałem się.

– Jeżeli każda komórka, każdy pieprzony atom w ciele, wypala na skórze wiadomość, że wszystko, co jest ważne, wszystko, co się ceni, wszystko, dla czego się żyje... jest jedynie oszustwem na powierzchni próżni głębokiej na dziesięć do trzydziestej piątej potęgi – jak możecie dalej kłamać? Jak możecie przymykać na to oczy?

Czekałem na odpowiedź. Miałem w zasięgu ręki pocieszenie, odkupienie. Wyciągnąłem ku niej w pokorze ramiona.

Walsh słabo się uśmiechnęła, po czym wyszła bez słowa.

Obudziłem się wcześniej. Znów płonąłem, oblewał mnie pot.

Na krześle obok siedział Michael i czytał coś na ekranie notepada. Oddział był ledwie oświetlony padającym z góry, słabym światłem, blask z ekranu notepada był jaśniejszy.

– Dziś próbowałem zostać tym, czym... gardzę... – szepnąłem. – Nawet i to mi się nie udało.

Odłożył notepad i czekał, aż powiem więcej.

– Jestem zagubiony. Naprawdę.

Michael popatrzył na monitor przyłóżkowy i pokręcił głową.

– Przejdiesz przez to. Za tydzień nawet nie będziesz w stanie wyobrazić sobie, jak się teraz czujesz.

– Nie mówię o cholrze. Mam... – Roześmiałem się, co zabolęło. – Mam coś, co Renesans Mistyczny nazwałby kryzysem duchowym. Nie mam się dokąd zwrócić po pocieszenie. Nie mam skąd czerpać sił. Nie mam kochanki, rodziny, narodu. Żadnej religii ani ideologii. Niczego.

– No to jesteś szczęśliwy. Zazdrozczę ci – stwierdził spokojnie Michael.

Wbiłem w niego wzrok, przerażony jego bezdusznością.

– Nie masz żadnego miejsca, by złożyć głowę. Jak struś na skale. Zazdrozczę ci. Może czegoś się nauczysz.

Nie znalazłem na to odpowiedzi. Zacząłem drzeć; pocilem się, a jednocześnie czułem ból i lodowaty chłód.

– Cofam to, co powiedziałem o cholrze. Jest pół na pół. Jedno i drugie zajebuje mnie po równo.

Michael splótł dłonie na karku, przeciągnął się i poprawił na krześle.

– Jesteś dziennikarzem. Chcesz usłyszeć historyjkę?

– Nie musisz kogoś poleczyć?

– Właśnie to robię.

W moich jelitach znów zaczęły się sensacje.

– W porządku, słucham. Jeżeli pozwolisz mi nagrywać.

– O czym jest ta historia?

Uśmiechnął się.

– Oczywiście o moim kryzysie duchowym. Powinienem był się domyślić. Zamknąłem oczy i włączyłem Świadka. Zrobiłem to odruchowo i po sekundzie było po wszystkim, ale kiedy się włączał, byłem zszokowany.

Czułem się, jakbym miał się rozpaść na kawałki, ale... urządzenie – tak samo będące częścią mnie jak cokolwiek organicznego – wciąż działało idealnie.

– Kiedy byłem dzieckiem – zaczął Michael – moi rodzice zabierali mnie do najpiękniejszego kościoła na świecie.

– Tę kwestię już słyszałem.

– Tyle że tym razem jest prawdą. Reformowany Kościół Metodystyczny w Suvie. Był to wielki, biały budynek. Z zewnątrz wyglądał skromnie – surowo jak stodoła, miał jednak szereg witrażowych okien, przedstawiających sceny z Biblii. Były wyrzeźbione przez komputer w błękicie, różu i złocie. Każda ściana była pełna setek rodzajów kwiatów – chińskich róż, orchidei, lilii – piętrzących się pod sufit. Ławki zawsze były pełne ludzi, a każdy ubierał się w najlepszy, najjaśniejszy strój. Wszyscy się uśmiechali i śpiewali. Było tam jak u wrót Raju. Nawet kazania były piękne – nic o ogniu piekielnym, jedynie o pocieszeniu i radości. Nie rzucano gromów o grzechu ani nie obkładano nikogo klątwą, dawano jedynie skromne rady na temat uprzejmości, dobroczynności, miłości.

– Brzmi doskonale. I co się stało? Bóg zesłał spowodowaną efektem cieplarnianym burzę i zakończył tę bluźnierczą idyllę?

– Kościołowi nic się nie stało. Stoi, gdzie stał.

– Ale ty się odłączyłeś. Dlaczego?

– Zbyt dosłownie brałem Pismo Święte. Kazano w nim odrzucić dziecinne sprawy, więc to zrobiłem.

– Teraz jesteś frywolny.

Zawahał się.

– Jeśli naprawdę chcesz znać moją drogę ucieczki... zaczęła się od przypowieści. Znasz opowieść o wdowim groszu?

– Znam.

– Jako chłopak, przez lata się nad nią zastanawiałem. Drobnny dar wdowy był bardziej wartościowy od znacznych sum wrzucanych do skarboxy przez bogaczy [*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Ewangelia według świętego Marka 12,38–44*]. W porządku. Świetnie. Rozumiałem przekaz. Dostrzegałem godność, jaką nadaje człowiekowi każdy akt dobroczynności, w przypowieści tej odczytałem jednak znacznie więcej ukrytych treści i nie dawały mi spokoju. Widziałem w niej religię, która bardziej dba o swoje dobre samopoczucie niż o czynienie dobra. Religię, która docenia przyjemność – albo ból – dawania bardziej niż konkretny skutek. Religię, która znacznie bardziej ceni zbawienie duszy przez dobre uczynki niż konsekwencje tych uczynków na tym świecie. Może dostrzegałem zbyt wiele, ale gdyby nie zaczęło się od tego, zaczęłoby się od czego innego. Moja religia była piękna, ale potrzebowałem więcej. Żądałem więcej. Musiała być prawdziwa, a nie była. – Uśmiechnął się smutno, uniósł ręce i pozwolił im opaść. Zdawało mi się, że widzę w jego oczach poczucie straty i sądziłem, że go rozumiem. – Dorastanie z religią to jak dorastanie o kulach.

– Ale odrzuciłeś kule i zacząłeś chodzić?

– Nie. Odrzuciłem kule i padłem na pysk. Cała siła poszła w kule – własnej nie miałem. Zanim wszystko ode mnie odpadło, skończyłem dziewiętnaście lat. Koniec dorastania to idealny wiek na kryzys egzystencjalny, nie sądzisz? Ty przeżyłeś swój strasznie późno.

Twarz płonęła mi z upokorzenia. Michael wyciągnął rękę i dotknął mojego ramienia.

– Miałem długą zmianę, tracę zdolność oceny. Nie chciałem być okrutny. – Roześmiał się. – Wysłuchaj mnie, bluzgającego jak edenici na spotkaniu z II Duce: „Sprawcie, by emocjonalne pociągi chodziły wedle rozkładu!” – Opadł na oparcie i przeciągnął palcami przez włosy. – Miałem

dziewiętnaście lat i nie da się tego zmienić. Straciłem Boga. Co mam powiedzieć? Zacząłem czytać Sartre'a, Camusa, Nietzschego... Jęknąłem. Michael zdziwił się.

– Masz problem z Friedrichem?

Skurcz nasilał się. Przez zaciśnięte zęby wydusiłem: – W żadnym wypadku. Najlepsi europejscy filozofowie wariowali i popełniali samobójstwa.

– Dokładnie. Czytałem wszystkich.

– I?

Pokręcił głową i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Przez jakiś rok... naprawdę wierzyłem w to, że: „Oto ja i wpatruję się w otchłań z Nietzschem”. Stałem na krawędzi szaleństwa, entropii, bezsensu: niewypowiedziane bezbożne racjonalne potępienie Objawienia. Jeden zły krok i zacząłbym spadać w przepaść.

Przerwał. Obserwowałem go uważnie, nagle coś kazało mi być podejrzliwym. Wymyślał wszystko w trakcie opowiadania? Chodziło o nieco zaimprovizowanej troski o pacjenta? Nawet jeśli nie był... nasze życiorysy bardzo się różniły.

Mimo wszystko słuchałem.

– Nie zacząłem jednak spadać, ponieważ nie ma otchłani. Nie istnieje ziejąca przepaść czekająca na to, by nas połknąć, kiedy dowiemy się, że nie ma Boga, że jesteśmy takimi samymi zwierzętami jak wszystkie inne, wszechświat nie ma celu, a nasze dusze zrobione są z tego samego materiału co woda i piasek.

– Na wyspie są dwa tysiące kultystów, którzy uważają inaczej. Michael wzruszył ramionami.

– A czego innego spodziewasz się po mieszkańcach nizin moralnych jak nie strachu przed spadaniem? Jeżeli rozpaczliwie, namiętnie chcesz spaść w

otchłań, jest to oczywiście możliwe – ale trzeba się mocno starać. Możesz spaść tylko, jeśli chcesz, by to nastąpiło. Tylko, jeśli w drodze na dół będziesz tworzyć sobie każdy centymetr przepaści. Nie sądzę, by prowadziło to do szaleństwa. Nie uważam, że dla zachowania zdrowia psychicznego potrzebujemy złudzeń. Nie uważam, że prawda jest pełna pułapek czyhających na każdego, kto myśli inaczej. Nie ma miejsca, w które można by spaść – chyba że ktoś zacznie sobie kopać dziurę.

– Ale ty upadłeś. Kiedy straciłeś wiarę.

– Tak, ale jak daleko? Kim się stałem? Seryjnym zabójcą? Specjalistą od zadawania tortur?

– Mam nadzieję, że nie, ale straciłeś więcej niż „dziecinne sprawy”, prawda? Co z tymi wzruszającymi kazaniem o uprzejmości, dobroczynności i miłości?

Michael cicho się zaśmiał.

– Nic z tego nie jest elementem wiary. Dlaczego uważasz, że straciłem wszystko? Przestałem udawać, że to, co jest dla mnie wartościowe, jest zamknięte w tajemniczej krypcie zwanej „bogiem” – ukrytej poza wszechświatem, poza czasem, poza mną. To wszystko. Aby podejmować decyzje, które chcę podjąć, i żyć w sposób, który uważam za dobry, nie potrzebuję już pięknych kłamstw. Jeżeli prawda odebrała mi te sprawy... to i tak nigdy bym ich nie zdobył. I w dalszym ciągu sprzątam po tobie gównem, prawda? Opowiadam ci o trzeciej nad ranem historyjki. Jeżeli spodziewasz się większych cudów, to nie będziesz miał szczęścia.

Niezależnie od tego, czy była to faktyczna autobiografia, czy zestawiony na poczekaniu kawałek psychoterapii, opowieść Michaela zaczęła pokonywać moją panikę i klaustrofobię. Jego argumenty były sensowne, cięły moje samoużalanie się jak rozżarzony drut tnie lód. Jeżeli wszechświat nie był konstruktem kulturowym, z pewnością był nim szary

terror, który odczuwałem, traktując się jako jego część. Nigdy nie miałem na tyle uczciwości, by spojrzeć w twarz molekularnej naturze własnej egzystencji, ale w końcu całe społeczeństwo, do którego należałem, było podobnie nieśmiałe. Zawsze tuszowano rzeczywistość, cenzurowano ją, ignorowano. Spędziłem trzydzieści sześć lat w świecie ciągle skażonym uporczywym dualizmem, milczącym tępym spirytualizmem, gdzie każdy film, każda piosenka wciąż opowiadały o nieśmiertelnej duszy... podczas gdy wszyscy zażywali narkotyki tworzące czysty materializm. Nic dziwnego, że prawda szokowała.

Otchłań – jak wszystko inne – była możliwa do zrozumienia. Straciłem ochotę, by kopać pod sobą dziurę.

Vibrio cholerae zaczął słabnąć, by iść za moim przykładem.

Leżałem zwinięty, na boku, notepad oparłem o dodatkową poduszkę, a Syzyf pokazywał, co się dzieje w moim wnętrzu.

„Podjednostka B cząsteczki choleragenu wiąże się z powierzchnią komórki śluzu jelitowego; podjednostka A odzepia się i przenika przez błonę komórkową. Katalizuje to zwiększoną aktywność cyklicznej adenylanowej, co zwrótnie powoduje wzrost cyklicznego AMP, stymulując wydzielanie jonów sodu. Odwrócony zostaje zwykły gradient koncentracji i płyn jest przepompowywany w nieodpowiednim kierunku: w przestrzeń pozajelitową”.

Patrzyłem, jak cząsteczki się łączą, obserwowałem bezlitosny, przypadkowy taniec. To jest tym, czym jestem – niezależnie, czy rozumienie tego pociesza, czy nie. Te same procesy fizyczne, które utrzymywały mnie przy życiu przez trzydzieści sześć lat, mogły, choć nie musiały, ot tak mnie zniszczyć, jeżeli jednak nie byłbym w stanie przyswoić sobie tej prostej, oczywistej prawdy, nie nadawałbym się do wyjaśniania komukolwiek, jak funkcjonuje świat. Kultury Ignorancji kusiły mnie – i może

po części rozumiałem teraz, co stanowiło ich siłę napędową – co jednak miały, koniec końców, do zaoferowania? Wyobcowanie z rzeczywistości. Wszechświat, którego należy się nieustannie wypierać, jest bowiem niewyobrażalnie przerażający, okryty sztucznymi jak sacharyna tajemnicami, a każda prawda podporządkowuje się podwójnej moralności i baśniom.

Pieprzyć to. Niedobrze mi się robiło nie od nadmiaru szczerości, a od jej niedostatku. Od zbyt wielu mitów o słowie na L, nie z ich braku. Znacznie lepiej byłbym przygotowany na moją gehennę przez życie pozwalające spokojnie patrzeć w oczy prawdzie, niż przez życie spędzone na wymyślaniu najbardziej kuszących wymówek.

Obejrzałem schemat „najgorszego wariantu”. „Jeżeli odpornemu na antybiotyki meksykańskiemu *V. cholerae* uda się przekroczyć barierę krew–mózg, środki immunosupresyjne mogą ograniczyć gorączkę, ale pozostaje prawdopodobieństwo, że toksyny bakteryjne spowodują nieodwracalne uszkodzenia”.

Zmutowane molekuly choleragenu psuły błony komórek nerwowych i komórki zapadały się w sobie jak przekłute balony.

W dalszym ciągu tak samo jak zawsze bałem się śmierci, ale prawda straciła ostrze. Jeżeli TW ujęła mnie w dłoń i ścisnęła, przynajmniej udowodniłem, że istnieje pode mną twardy grunt: ostateczne prawo, najprostszy schemat, utrzymujący świat ze wszystkimi jego dziwactwami.

Dotarłem do dna. Kiedy dotyka się skały macierzystej podziemnego świata, fundamentów wszechświata, nie ma dokąd spadać.

- Dość tego – stwierdziłem. – Teraz znajdź mi coś na rozweselenie.
- Co powiesz na poezję beatników? Uśmiechnąłem się.
- Doskonale.

Szyf przejrzał biblioteki, po czym pokazał nagrania, ukazujące ich czytających własne wiersze. Ginsberg wył: *Moloch! Moloch!*, a Burroughs chrapliwie deklamował *Boże Narodzenie ćpuna* – o poobcinanych kończynach w walizkach, robiąc sobie nieskazitelny strzał.

Najlepszy ze wszystkich był jednak Kerouac, dziki i melodyjny, naćpany i niewinny: *A jeżeli The Three Stooges byli prawdziwi?*

Popołudniowe słońce cięło skosem przez oddział i padało mi na policzki, przerzucając most w dal, ku energii, skali, złożoności. Nie był to powód, by czuć przerażenie. Nie był to powód, by czuć zachwyt. Była to najzwyczajniejsza rzecz na świecie.

Byłem gotów – jak zwykle. Zamknąłem oczy.

Ktoś dotknął mojego ramienia i po raz czwarty albo piąty powtórzył: – Obudź się, proszę.

Nie miałem wyboru. Otworzyłem oczy.

Stała obok mnie młoda kobieta, której nigdy przedtem nie widziałem. Miała poważne, ciemnobrązowe oczy, oliwkową skórę, długie, czarne włosy. Mówiła z niemieckim akcentem.

– Wypij to. – Trzymała w dłoni niewielką buteleczkę z przezroczystym płynem.

– Wszystko przelatuje przeze mnie jak przez sito. Nie powiedziano ci?

– To nie przeleci.

Było mi to obojętne, już dawno przekroczyłem granicę przejmowania się – wymioty były dla mnie czymś tak naturalnym jak oddychanie. Wziąłem buteleczkę i wlałem zawartość do gardła. Przetyk skurczył się i coś kwaśnego uderzyło w podniebienie, ale na tym był koniec.

Zakaszlałem.

– Dlaczego nie dano mi czegoś takiego wcześniej?

– Właśnie przyjechało.

– Skąd?

– Nie chciałbyś wiedzieć.

Zamrugalem. Lekko przejaśniło mi się w głowie.

– Przyjechało? Jakiego leku może nie być na składzie?

– A jak sądzisz?

U nasady kręgosłupa pojawił mi się lodowaty punktik.

– Śnię? A może umarłem?

– Akili przemyściło próbki twojej krwi do... pewnego kraju, gdzie przeanalizowali ją przyjaciele. Właśnie połknąłeś zestaw magicznych pocisków, przystosowanych do każdej fazy broni. Za kilka godzin będziesz na nogach.

Pulsowała mi głowa. BRONŃ. W tym jednym zdaniu potwierdzono i rozwiano moje największe obawy. Byłem zdezorientowany.

– Każdej fazy? Co byłoby następne? Coś straciłem?

– Nie chciałbyś się tego dowiedzieć.

– Chyba masz rację. – W dalszym ciągu byłem przekonany, że nie dzieje się to naprawdę. – Dlaczego? Dlaczego Akili wzięło na siebie trud ocalenia mnie?

– Musieliśmy się dowiedzieć, co dokładnie nosisz w sobie. Choć jeszcze nie ma objawów, Violet Mosala nadal może być zagrożona. Musieliśmy stworzyć dla niej lek i sprowadzić go na wyspę.

Przełknąłem to. Przynajmniej nie powiedziała: „Nie dbamy o to, kto jest Zwornikiem. Jesteśmy gotowi ryzykować życie, by ratować każdego”.

– Więc czego byłem nosicielem? I dlaczego eksplodowało przedwcześnie?

Młoda AK zmarszczyła czoło.

– Ciągłe jeszcze nie znamy wszystkich szczegółów, ale rozpadła się koordynacja w czasie. Wygląda na to, że bakteria wytworzyła szereg

sprzecznych wewnętrznych sygnałów, co wynikało z rozbieżności między wewnątrzkomórkowymi zegarami molekularnymi a biochemicznymi cechami gospodarza. Receptory melatoniny były przyduszone, nasycone. – Przerwała, zaniepokojona. – Z czego się śmiejesz?

Kiedy opuszczałem szpital we wtorek rano, siły mi wróciły – i byłem wściekły. Konferencja minęła półmetek, ale TW przestała być najważniejszym tematem, a jeżeli Sarah Knight – nieważne, z jakich niezgłębionych powodów – porzuciła wojnę o Mosalę po to, aby siedzieć przy łóżku Yasuko Nishide, nie komunikując się ze światem, to wreszcie nadszedł czas, bym zaczął sam wyjaśniać całą poplątaną prawdę.

Kiedy wróciłem do pokoju hotelowego, podłączyłem światłowód w pępku, przekazałem osiemnaście zdjęć od Kuwale Świadkowi i kazałem mu zacząć poszukiwania w czasie realnym.

Zadzwoiłem potem do Lydii.

– Potrzebuję dodatkowych pięciu tysięcy dolarów na badania: dostęp do baz danych i płacenie hakerom. Dzieje się tu więcej, niż mogę powiedzieć i jeśli w ciągu tygodnia nie przyznasz, że warto było wydać każdego centa, zwrócę z mojego honorarium.

Kłóciliśmy się przez kwadrans. Improwizowałem – rzucałem mylące sugestie o PFOK i nadchodzącej burzy politycznej, nie powiedziałem jednak słowa o szykującej się emigracji Mosali. W końcu Lydia się zgodziła. Byłem więcej niż zdumiony.

Użyłem programu od Kuwale, by wysłać wu zaszyfrowaną wiadomość.

– Nie, nie zauważyłem żadnego z twoich drabów. Jeśli oczekujesz ode mnie pomocy – poza służeniem jako chodząca pożywka – będziesz musiał podać mi szczegóły: kto to jest, kto ich zatrudnił, analizę broni... wszystko. Wóz albo przewóz. Spotkajmy się za godzinę w tym samym miejscu co poprzednio.

Usiadłem i zacząłem analizować, co wiem i co podejrzewam. Broń biotechnu, interesy biotechnu? Niezależnie, ile z tego było prawdą, bojkot o mało mnie nie zabił. Zawsze widziałem obie strony genetycznych praw patentowych, zawsze byłem tak samo nieufny zarówno wobec korporacji, jak i renegatów, teraz jednak symetria została złamana. Miałem za sobą długą historię apatii i przemocy – i wstydziłem się, że trzeba było aż tyle, aby mnie upolitycznić – ale teraz byłem gotów przejść na stronę *technoliberation* i zrobić wszystko, by zdemaskować wrogów Mosali i pomóc jej sprawie.

Plażowi Chłopcy jednak nigdy nie kłamali. Nie mogłem uwierzyć, by broń EnGeneUity i ich sprzymierzeńców mogła ponieść fiasko z tak prostego powodu, jak zaburzony cykl melatoninowy. Sugerowało to bardziej dzieło błyskotliwych, pomysłowych amatorów, dysponujących ograniczoną wiedzą i niewielkim zasobem narzędzi.

PFOK? Kultury Ignorancji? Raczej nie.

Inni *technoliberateurs*, którzy uznali, że teoria Mosali najbardziej skorzysta, jeżeli noblista zostanie męczennikiem? Nieświadomi faktu, że mierzą się z kimś, kto generalnie biorąc, ma takie same cele, ale nie stroni od traktowania ludzi jako zbędnych i nadał swej ofierze status twórcy wszechświata?

Była w tym jakaś ironia: chłodna, pragmatyczna frakcja *technoliberateurs*, opowiadających się za *Realpolitik*, zdawała się nieskończenie bardziej fanatyczna od pseudoreligijnych antrokosmologów.

Ironia albo nieporozumienie.

Odpowiedź Kuwale nadeszła, kiedy stałem pod prysznicem, ścierając z siebie martwy naskórek i kwaśny smrodek, którego nie mogłem się pozbyć w szpitalnej łazience.

– Dane, których się domagasz, nie mogą zostać odkodowane w miejscu, które wymieniłeś. Spotkajmy się na tych współrzędnych.

Obejrzałem mapę wyspy. Nie warto było się spierać.

Ubrałem się i ruszyłem w kierunku północnej rafy.

CZEŚĆ TRZECIA

..20..

Najprostszym sposobem dotarcia za linie tramwajowe okazała się jazda jednym z zaopatrzonych w balonowe opony samochodów, wożących towar w głąb wyspy. Ciężarówki były zautomatyzowane i poruszały się po z góry zaprogramowanych trasach; ludzie zdawali się je traktować jako środki publicznego transportu, a pracujący na morzu hodowcy wkalkulowały powodowane przez pasażerów opóźnienia załadunku i rozładunku. Powierzchnia ładowna każdej ciężarówki była podzielona krzyżującymi się niskimi barierkami; między nimi stawiano skrzynki, na których siadali pasażerowie.

Nie było śladu Kuwale, najwyraźniej wybrało inną trasę albo wyszło znacznie wcześniej na spotkanie. Siedziałem na ciężarówce z mniej więcej dwudziestoma ludźmi, jechaliśmy na północny wschód i hamowałem się, by nie spytać siedzącej obok kobiety, co by było, gdyby któryś z hodowców postanowił załadować tyle skrzynek, że nie zostałyby miejsca dla ludzi – albo co powstrzymywało jadących od podkradania żywności. Panująca na Bezpaństwie harmonia w dalszym ciągu wydawała mi się niepewna, coraz mniej jednak dopuszczałem do siebie pytań, które sprowadzały się do sformułowania: dlaczego nie dostajecie amoku i nie robicie sobie piekła ze wspólnego życia?

Nie wierzyłem ani przez chwilę, by reszta planety mogła w ten sposób funkcjonować – ani w to, że ktokolwiek na Bezpaństwie by sobie tego życzył – lecz zaczynałem rozumieć ostrożny optymizm Munroe. Czy

gdybym tu mieszkał, próbowałbym rozwalić to miejsce? Nie. Powodowałbym nieumyślnie zamieszki i masakry, dążąc do osiągnięcia bieżących celów? Miejmy nadzieję, że nie. Jaka absurdalna próżność pozwalała mi więc wyobrazać sobie, że jestem rozsądniejszy albo inteligentniejszy od przeciętnego mieszkańca wyspy? Jeżeli byłem w stanie dostrzec kryjące się w ich społeczeństwie ryzyko, to i oni umieli to zrobić – i odpowiednio się zachowywać. Była to aktywna równowaga, przeżycie dzięki samoświadomości.

Pakę ciężarówki chroniła z góry brezentowa płachta, ale boki były otwarte. Im bliżej byliśmy brzegu, tym bardziej zmieniała się okolica: pojawiały się wstawki częściowo sprasowanego koralu, wilgotne i gruzelkowate, błyszczące w słońcu niczym rzeki, dławiące się szarosrebrnym śnieżnym puchem. Entropia powinna działać w kierunku rozpuszczania się twardych skarp ze skały koralowej do konsystencji mułu i wypłukiwania go, ale silniej sprzyjała przepływowi energii słonecznej do bakterii litofilnych, atakujących koralowe odpadki, którym udawało się wpleść luźny wapienny zlepek w otaczającą go, gęstszą macierz polimerowo–mineralną. Chłodne, skuteczne ścieżki biologicznych procesów, katalizowane przez doskonale ukształtowane enzymy, takie jak wstrzykiwane pleśnie mające wielkość molekulek, zawsze były kpiną z dziewiętnaste – i dwudziestowiecznej wysokociśnieniowej i wysokotemperaturowej chemii przemysłowej. Były nawet kpiną z geologii. Subdukcyjny pas transmisyjny, dostarczający osad oceaniczny w głąb Ziemi, by został przez wieki zmielony i przemieniony, był na Bezpaństwie tak samo przestarzały, jak konwertorowy proces besemerowski do produkcji stali czy metoda Habera do syntezy amoniaku.

Ciężarówka jechała między dwoma szerokimi wałami pokruszonego koralu. W oddali widać było inne wały – poszerzały się i łączyły ze sobą,

palce biegnącej między nimi skały rafowej robiły się coraz cieńsze, po czym znikwały, aż ład wokół przekształcił się w muł. Nie do końca strawiony koral zrobił się bardziej gruboziarnisty, powierzchnia kanałów mniej równa, zaczęły się pojawiać błyszczące oczka wody. W wyblakłym wapieniu od czasu do czasu pojawiały się smugi koloru, któremu udało się jakoś zachować, nie były to jednak zgaszone barwy, obecne w miejskich budowlach, lecz jaskrawe, zaskakujące czerwienie i pomarańcze, zielenie i błękity. Ciężarówka od początku śmierdziała oceanem, ale bryza – dotychczas zwiewająca odór – zaczęła go teraz nasilać.

W ciągu kilku minut krajobraz się zmienił. Ogromne łachy żywego koralu, nasączonego oceaniczną wodą, otaczały wąskie, wijące się ścieżki. Rafa była oślepiająca, polichromatyczna, symbionty algowe, żyjące w różnych gatunkach budujących koral polipów, używały palety najróżniejszych fotosyntetycznych pigmentów i nawet na odległość dało się dostrzec szaloną zmienność morfologii zmineralizowanych szkieletów każdej kolonii: zbiorowiska jakby kamyków, płatanina porozgałęzianych, grubych rur, delikatne struktury o podobnych do paproci wachlarzach. Bez wątpienia chodziło o pragmatyczną różnorodność, służącą ekologicznej wytrzymałości, jak też o rozmyślną demonstrację bioinżynieryjnej wirtuozerii.

Ciężarówka stanęła i wszyscy wysiedli – z wyjątkiem dwóch ludzi, którzy na stacji końcowej tramwaju wstawiali skrzynki do wagonu towarowego. Chwilę się wahałem, podążyłem jednak za grupą. Musiałem iść dalej, a nie chciałem zwracać na siebie uwagi.

Ciężarówka ruszyła. Większość osób, które ze mną przyjechały, miała maski, rurki, płetwy. Nie wiadomo, czy byli to miejscowi, czy turyści, ale wszyscy skierowali się prosto ku rafom. Poszedłem z nimi, zatrzymałem się na chwilę, by popatrzeć, jak ostrożnie wchodzi na wystający koral, by

dotrzeć do głębszej wody, po czym odwróciłem się i poszedłem brzegiem na północ.

Ujrzałem ocean, kiedy byłem od niego o kilkaset metrów. W porcie na szczycie jednej z sześciu „macek rozgwiadzy” cumowało kilkanaście jednostek. Przypomniałem sobie widok z samolotu, dziwny i egzotyczny. Na czym właściwie stałem? Na sztucznej wyspie? Na napędzanej przez ocean maszynie? Na bioinżynieryjnie wytworzonym potworze morskim? Podział zamazywał się, stawał się nieistotny.

Dogoniłem ciężarówkę w porcie. Przesuwający skrzynki robotnicy z uwagą mi się przyjrzeni, ale nie pytali, co tu robię. To, że nie pracowałem, sprawiało, iż czułem się jak ktoś, kto wszedł nieuprawniony na cudzy teren – każdy nosił tu skrzynki albo sortował owoce morza. Mieli tutaj maszyny, ale proste: wózki podnośnikowe, żadnych dźwigów ani pasów transmisyjnych. Skała rafowa była prawdopodobnie za miękka, by utrzymać cokolwiek ciężkiego. Można by co prawda zbudować platformę na wodzie, która utrzymałaby dźwig, ale najwyraźniej nie uważano tego za sensowną inwestycję. Może farmerzy woleli prostotę.

W dalszym ciągu nie było Kuwale. Odszedłem od doku przeładunkowego i zbliżyłem się do skraju wody. Wysączające się ze skały biochemiczne sygnały sprawiały, że port nie zarastał koralowcem, a plankton przenosił osad do tych miejsc w rafie, gdzie był potrzebny; woda była tak ciemnoniebieskozielona, że można było sądzić, iż nie ma tu dna. W pianie delikatnego przyboju dostrzegłem nienaturalne musowanie – wszędzie wydobywały się bąble. Gaz, wypływający ze znajdującej się pod ciśnieniem skały, który widziałem – z drugiej ręki – pod spodem wyspy, tutaj uciekał na powierzchnię.

W porcie farmerzy wyciągali coś, co wyglądało jak pękająca od zdobyczy sieć. W słońcu błyszczwały galaretowate macki obejmujące łup.

Jeden z robotników wyciągnął się, czymś na długiej tyce dotknął góry „sieci” i zawartość wylała się gwałtownie na brzeg. Smukłe macki zadrgały, a kiedy po kilku sekundach z „sieci” wszystko wypadło, przezroczysty twór stał się ledwie widoczny. Musiałem wysilić wzrok, by podążyć za nim, gdy spuszczano go ponownie do oceanu.

– Wiesz, ile nierenegaci płacą Ocean Logic za takiego zbieracza? – spytało Kuwale. – Wszystkie jego geny pochodzą prosto z żyjących gatunków, firma jedynie je opatentowała i dokonała rearanżacji.

Odwróciłem się do niego.

– Oszczędź mi propagandy. Jestem po twojej stronie – oczywiście, jeżeli udzielisz mi kilku szczerych odpowiedzi.

Kuwale wyglądało na zmartwione, nic jednak nie powiedziało. Rozłożyłem ramiona w geście rozczarowania.

– Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyło – tak jak uwierzyłeś Sarah Knight? Mam najpierw umrzeć za sprawę?

– Przykro mi, że zostałeś zarażony. Ten typ wirusa jest paskudny; wiem, bo też go złapałem. – Miało na sobie ten sam T-shirt, w którym ujrzałem go po raz pierwszy na lotnisku, migoczący jasnymi kropkami. Nagle dostrzegłem, jak bardzo było młode: miało nie więcej niż połowę moich lat. Góra.

– To nie była twoja wina – stwierdziłem. – Dziękuję za to, co zrobiłeś. – Nawet jeśli ratowanie mojego życia nie było celem.

Kuwale zrobiło minę, jakby było mu niezręcznie. Jakbym obdarował go niezasłużoną pochwałą.

– Powiedz, że to nie była twoja wina.

– Nie bezpośrednio.

– Co to ma znaczyć? Broń była twoja?

– Nie! – Odwróciło głowę i powiedziało gorzko: – Ale nadal muszę po części brać na siebie odpowiedzialność za wszystko, co robią.

– Dlaczego? Ponieważ nie pracują dla firm biotech? Ponieważ są, tak jak ty – *technoliberateurs*? – Nie chciało mi patrzeć w oczy, co wywołało we mnie uczucie triumfu. Wreszcie w coś trafiłem.

– Oczywiście, że są *technoliberateurs* – niecierpliwie odparło Kuwale, jakby zamierzało powiedzieć: czyż każdy nie jest? – Ale nie dlatego chcą zabić Mosalę.

W naszym kierunku szedł mężczyzna ze skrzynką na ramieniu. Kiedy popatrzyłem w jego stronę, moje pole widzenia przecięły czerwone kreski. Odwracał od nas głowę, a twarz skrywał mu kapelusz z szerokim rondem, ale Świadek – rekonstruuje brakujące części za pomocą reguł symetrii i ekstrapolacji anatomicznej – ujrzał dość, by uzyskać pewność.

Zamilkłem. Kuwale zaczekało, aż mężczyzna oddalił się na tyle, by nas nie słyszeć.

– Kto to był? – spytało natarczywie.

– Nie pytaj. Przecież nie podałeś mi nazwisk. – Ustąpiłem jednak i sprawdziłem w programie. – Numer siedem na twojej liście, jeżeli cokolwiek ci to mówi.

– Jak dobrze umiesz pływać?

– Miernie. Dlaczego?

Kuwale odwróciło się i skoczyło do wody. Kucnąłem na krawędzi i poczekałem, aż wypłynie.

– Co robisz, wariacie?! – krzyknąłem. – Poszedł sobie!

– Jeszcze nie skacz za mną.

– Nie zamierzam... Kuwale podpłynęło do mnie.

– Zaczekaj, aż się wyjaśni, który z nas radzi sobie lepiej. – Wyciągnęło rękę w górę. Złapałem ją i zacząłem ją wyciągać, ale z niecierpliwością

pokręciło głową. – Zostaw mnie, chyba że zacznę słabnąć. – Poruszało nogami, by się utrzymać. – Natychmiastowe nawodnienie jest najlepszą metodą na usunięcie niektórych toksyn przezskórnych, ale w przypadku innych to najgorsza metoda: może sprawić, że hydrofobowe ostrza jeszcze szybciej wnikną do skóry. – Zanurzyło się, pociągnęło mnie w wodę do łokcia, o mało nie wyrywając mi ręki z barku.

Kiedy znów się wynurzyło, spytałem:

– A jeżeli to kombinacja?

– To mamy przesrane.

Popatrzyłem w kierunku doku przeładunkowego.

– Mógłbym iść po pomoc.

Wbrew temu, co tak niedawno przeszedłem – bez wątpienia dzięki przechodniowi z aerozolem – jakaś część mnie w dalszym ciągu nie mogła uwierzyć w istnienie niewidzialnej broni. Może jedynie wyobrażałem sobie, iż istnieje jakaś zasada, która mówi, że nic dwa razy się nie zdarza, a świat molekularny stracił władzę nade mną, nie ma prawa po raz drugi wyciągnąć po mnie ręki. Rzekomy napastnik spokojnie odchodził w dal, trudno było czuć się zagrożonym.

Kuwale z niepokojem mnie obserwowało.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Poza tym, że łamiesz mi rękę. To chore... – Zaczęła mnie swędzieć skóra. Kuwale jęknęło na znak, że spełniły się tego najgorsze oczekiwania.

– Robisz się siny. Wchodź do wody.

Twarz mi drętwiała, kończyny robiły się ciężkie.

– Szebym utoną...? Nie sąsę... – Moje słowa zaczynały się rozmywać, traciłem czucie w języku.

– Podtrzymam cię.

– Nie. Wyłaż i sprowadź pomoc.

– Nie masz czasu.

Zaczął krzyczeć w kierunku doku przeładunkowego, tego krzyk wydawał mi się bardzo cichy. Albo traciłem słuch, albo Kuwale nawdychało się dość toksyny, by zadziałała na tego głos. Spróbowałem odwrócić głowę, by sprawdzić, czy ktoś zareagował, ale mi nie wyszło.

Klnąc mój upór, Kuwale wydostało się z wody i zepchnęło mnie z krawędzi.

Zacząłem tonąć. Byłem sparaliżowany i odrętwiały, nie wiedziałem, czy mnie trzyma. Gdyby nie pęcherze powietrza, woda byłaby przezroczysta; odnosiłem wrażenie, jakbym spadał we wnętrzu pełnego szkła kryształu. Miałem nadzieję, że nie łykam wody, wyczuć tego nie umiałem.

Pęcherze powietrza przelatowały w różnych kierunkach, nie chciały zdefiniować pionu. Spróbowałem się zorientować po różnicy jasności, ale informacje były sprzeczne. Słyszałem jedynie łomot własnego serca – powolny, jakby toksyna blokowała ścieżki, które powinny doprowadzić je do sząlu. Miałem dziwne wrażenie *déjà vu*, nie czułem się bardziej mokry, niż kiedy stałem na suchym gruncie, obserwując to, co ukazuje kamera na masce nurka w tunelu.

Pęcherze powietrza nagle się rozmasały, przyspieszyły. Zawirowania wokół pojaśniały, moja głowa znalazła się nad wodą i widziałem błękitne niebo.

– Nic ci nie jest?! – wrzeszczało mi Kuwale w ucho. – Mam cię. Spróbuj się rozluźnić. – Tego głos dolatywał jakby z daleka, słyszałem jedynie niewyraźny pomruk. – Jeszcze kilka minut i powinniśmy być bezpieczni. Mam zaatakowane płuca, ale powinno przejść. – Patrzyłem w niezgłębione niebo, tonąłem ku górze.

Kuwale ochlapało mi twarz. Mój stan się poprawiał; mogłem teraz stwierdzić, że łykam wodę. Zakaszlałem ze złością. Zacząłem szczekać zębami, woda okazała się zimniejsza niż mogłem przypuszczać.

– Twoi przyjaciele są żałośni. Złodziej–amator zatrzymany przez zapasowy alarm. Cholera, która głupiej od plastra z melatoniną. Toksyny, które można zmyć morską wodą. Mosala nie ma się czego obawiać.

Ktoś złapał mnie za stopę i ściągnął pod wodę.

Naliczyłem pięć postaci w kombinezonach nurkowych – wszystkie były od stóp do głów ubrane w polimer, miały rękawice i kaptury. Ani kawałka gołej skóry. Dlaczego? Walczyłem słabo, ale dwóch nurków mocno mnie trzymało, próbowało wcisnąć mi na twarz coś metalowego. Odepchnąłem to.

Z przejrzystej oddali wychynął zbieracz. Był ledwo widoczny na tle oświetlonej słońcem wody, ale po raz pierwszy poczułem pierwotny lęk. Jeżeli zatruli macki – dali naturalne geny przetworzonym gatunkom – byliśmy martwi. Wyrwałem się na tyle, by odwrócić się i dostrzec trzech nurków wokół Kuwale, próbujących go utrzymać w bezruchu.

Jeden z porywaczy pomachał mi przed oczami metalowym urządzeniem. Był to automat oddechowy podłączony do przewodu. Popatrzyłem kobiecie w oczy i choć ledwie widziałem jej twarz przez szybę maski, Świadek natychmiast rozpoznał następny obiekt. Przewód biegł do drugiej butli na jej plecach. Nie miałem pojęcia, co jest w butli, ale jeżeli coś trującego, to i tak za parę minut będzie po mnie.

Oczy nurkującej obok kobiety mówiły: „Twój wybór. Bierz albo zostaw”.

Znów się rozejrzałem. Kuwale miało ręce związane za plecami, poddało się i przyjęło nieznaną gaz. Ciągle jeszcze byłem osłabiony toksyną i brakowało mi powietrza. Nie było szansy ucieczki.

Pozwoliłem im związać sobie ręce na plecach, potem otworzyłem usta i twardo wbiłem zęby w ustnik. Z wdzięcznością wciągnąłem powietrze. Gdyby chcieli nas zabić, dawno wsadziliby nam między żebra rybacki nóż – nadal jednak nie byłem gotów uwierzyć w nic innego.

Zbliżył się zbieracz i nurkowie podpłynęli ku niemu, ciągnąc nas za sobą. Chciałem osłonić twarz dłońmi, ale nie mogłem. Meduzowy węzeł z przezroczystych macek otworzył się wokół nas, końce wiły się niczym patologiczne topologie praprzestrzeni, jak ożywiona próżnia.

Sieć ciasno się zamknęła.

..21..

Toksyny zbieracza były denerwujące, ale nie bolesne. Jeśli już, to nawet czyniły podróż bardziej znośną: rozluźniały mięśnie, napięte z odrazy i klaustrofobii, przytępiając wrażenie, że jest się zjadanym żywcem. Stwór był prawdopodobnie jedynie gatunkiem komercyjnym, a nie zrobioną na indywidualne zamówienie bronią, jak sobie wyobrażałem. Zacząłem nagrywać zbyt późno; oczy piekły mnie od soli, ale kiedy je zamykałem, zaczynało mi się kręcić w głowie. Widziałem Kuwale i strzegących wo strażników, obraz był jednak zamazany, jakbym patrzył przez zmrożone szkło. Spacyfikowani toksynami, uwięzieni w kokonie przezroczystej galarety, płynęliśmy przez jasną wodę.

Wyobrażałem sobie, jak wyciągają nas w górę, po czym bezceremonialnie wyrzucają na pokład, tak samo jak zdobycz, której uzyskiwanie widziałem kilkanaście minut temu. Tak się jednak nie stało – ktoś rozluźnił za pomocą hormonów macki zbieracza, kiedy jeszcze byliśmy w wodzie, i nurkowie, wspinając się po sznurowych drabinkach, wyciągnęli nas na powierzchnię. Kiedy znaleźliśmy się na pokładzie, Świadek rozpoznał kolejne trzy twarze. Nikt się do nas nie odzywał, a ja byłem zbyt rozbity, by zadać inteligentne pytanie. Kobieta, która podała mi pod wodą automat oddechowy, skrępowwała mi nogi, po czym przywiązała – już związane ręce – do rąk Kuwale, tak że stykaliśmy się plecami. Drugi z nurków zabrał nam notepady, owinął nas (nie ożywioną) siecią rybacką, tak byśmy byli podwiązani pod pachami, założył sieć na hak wyciągarki i spuścił nas do pustej ładowni. Kiedy zamknął klapę luku, zawiśliśmy w kompletnej ciemności.

Czułem, że mija mi biochemiczne odrętwienie – w powrocie do przytomności pomógł smród gnijących wodorostów. Czekałem, aż Kuwale powie coś na temat naszej sytuacji, po kilku minutach ciszy postanowiłem jednak zacząć pierwszy.

– Znasz ich twarze, znasz ich kody komunikacyjne. Teraz mi powiedz, kto wygrywa wojnę wywiadowczą.

Kuwale poruszyło się zirytowane.

– Powiem ci tyle: nie uważam, że zrobią nam krzywdę. To umiarkowani, chcą nas tylko usunąć z drogi.

– W celu?

– Żeby zabić Mosalę.

Kręciło mi się w głowie od smrodu, otrzeźwiający wpływ wodorostów minęło bezpowrotnie.

– Jeżeli umiarkowani chcą zabić Mosalę, to co planują ekstremiści?

Kuwale nie odpowiedziało.

Wbiłem wzrok w ciemność. W dokach Kuwale twierdziło, że zagrożenie Mosali nie ma nic wspólnego z *technoliberation*.

– Mogłabyś mi wyjaśnić pewien szczegół doktryny antrokosmologicznej? – spytałem.

– Nie.

– Jeżeli Mosala zginie, zanim stanie się Zwornikiem... nic się nie zdarzy, nic się nie zmieni. Prawda? Ktoś zajmie jej miejsce – prędzej czy później – inaczej by nas tu nie było.

Nie odpowiedziało.

– W dalszym ciągu czujesz się odpowiedzialne za jej bezpieczeństwo? Dlaczego? – Skłamałem się w myśli; odpowiedź na to pytanie powinna mi się rzucić w oczy już podczas rozmowy z Amandą Conroy. – Ci ludzie nie są politycznymi wrogami kogoś, kto przypadkiem ma szansę zostać

Zwornikiem, prawda? Są chodzącą obrazą dla każdego antrokosmologa głównego nurtu, ponieważ ukradli wam wasze idee i rozwinięli je do logicznego końca. Są AK tak jak ty, tyle że postanowili, iż nie chcą Mosali jako stwórcy wszechświata.

– To nie jest „logiczny koniec” – odparło jadowicie Kuwale. – Próba dobierania Zwornika jest niebezpiecznie chora.

Wszechświat istnieje, ponieważ Zwornik został dany. Chciałbyś coś zmieniać w Wielkim Wybuchu?

– Nie, ale akt stworzenia jeszcze przecież nie nastąpił.

– To nieważne. Częścią tego, co jest tworzone, jest czas. Wszechświat istnieje – teraz – ponieważ Zwornik go stworzy.

– Ale przecież istnieje margines zmian? Jeszcze nie wiadomo, czyja TW jest prawdziwa.

Kuwale znów przeniosło ciężar ciała na bok, czułem, że w tego ciele gromadzi się złość.

– To złe podejście! Zwornik jest dany! TW jest stała!

– Nie męcz się, broniąc głównego nurtu. Moim zdaniem wszyscy jesteście tak samo pozbawieni mózgu; chcę tylko zrozumieć tę bardziej niebezpieczną wersję. Nie uważasz, że mam prawo wiedzieć, o co chodzi?

Oddychało powoli, wyraźnie próbowało się uspokoić. Potem, z wahaniem, zaczęło wyjaśniać: – Uważają, że tożsamość Zwornika jest determinowana, nakazana z góry... tak jak wszystko inne w historii, włącznie z zabijaniem „rywali”. Determinizm nie odbiera jednak iluzji posiadania władzy – słyszałeś kiedyś o pasywnym islamskim fataliście? Nie jest tak, że ręka Boga wyciągnie się z nieba, by zagwarantować oszczędzenie Zwornika, albo że nieprawdopodobny spisek lub los im zaszkodzi, jeżeli zabiorą się nie za tego fizyka, co trzeba. Jeżeli cały wszechświat i wszystko, co w nim się znajduje, jest jedynie spiskiem

mającym na celu wyjaśnienie istnienia Zwornika, nie ma potrzeby nadnaturalnej interwencji. Kogokolwiek zamordują, z jakiegokolwiek powodu – nie mogą się pomylić. Tak więc jeśli zabiją wszystkich rywali teoretyka, którego TW faworyzują, to właśnie ta TW będzie musiała stworzyć wszechświat. Niezależnie od tego, czy dokonali wyboru, czy nie, efekt będzie taki sam. TW, która im się podoba, i TW, którą dostaną, okażą się identyczne.

Dotarła do mnie spóźniona prawda.

– Czyli są też w Kioto? Sądzisz, że dorwali Nishide – że dlatego jest chory? Dotrą także do Sarah, zanim ich zdemaskuje?

– Bardzo prawdopodobne.

– Poinformowałeś policję w Kioto? Masz tam swoich ludzi?

– Przerwałem. Trudno, żeby Kuwale mówiło o zamierzonych działaniach, kiedy niemal pewne było, że jesteśmy obserwowani.

– A tak a propos, co jest tak wspaniałego w TW Buzzo? Odpowiedź Kuwale była szydercza.

– Uważają, że otwiera możliwość dostępu do innych wszechświatów, oddzielonych od przestrzeni podczas Wielkiego Wybuchu. Mosala i Nishide odrzucają w stu procentach tę ewentualność; choć uważają, że inne wszechświaty mogą istnieć, ich zdaniem są nieosiągalne. Czarne dziury, wygryzione dziury, w ich TW prowadzą zawsze do tego samego kosmosu.

– Chcą zabić Mosalę i Nishide, ponieważ jeden wszechświat im nie wystarcza?

– Pomyśl o nieograniczonych bogactwach, z jakich rezygnujemy, wybierając samowystarczalny kosmos – stwierdziło sardonicznie Kuwale. – Spójrz na to w perspektywie długoterminowej. Dokąd uciekniemy, kiedy dojdzie do Wielkiego Załamania? Jedna osoba albo dwie, to niewielka cena za przyszłość ludzkości, prawda?

Pomyślałem o Nedzie Landersie, próbującym wyjść poza nawias ludzkiej rasy, by nad nią zapanować. Nie można jednak wyjść poza wszechświat, a zakrzykiwanie każdego teoretyka TW za pomocą antrokosmologii, następnie bawienie się w wybieranie stwórcy wszechświata, trochę przypominało działania Landersa.

– Może Mosala ma rację, że nami gardzi, jeżeli nasze idee do tego doprowadziły – stwierdziło z przygnębieniem Kuwale.

Nie zamierzałem się spierać.

– Wie o tym? Że AK chcą ją zabić?

– Tak i nie.

– To znaczy?

– Próbowaliśmy ją ostrzec, ale tak bardzo nie cierpi nawet głównego nurtu, że nie wzięła ostrzeżenia poważnie. Moim zdaniem uważa... że złe idee nie są w stanie do niej przylgnąć.

Jeżeli antrokosmologia nie jest niczym innym jak zabobonem, nie zdoła jej zaszkodzić.

– Powiedz to Giordano Bruno. – Moje oczy przyzwyczajały się do ciemności, w oddali widziałem na dnie ładowni pasek światła. – Czegoś chyba nie zauważyłem, czy my naprawdę mówimy cały czas o ludziach, których określasz mianem umiarkowanych? – Kuwale nie odpowiedziało, poczułem jednak, że znów się poruszyło. Vego głowa opadła ciężko do przodu, jakby ostatecznie poddało się wstydowi. – Co uważają ekstremiści? Powiedz jak najdelikatniej, ale powiedz natychmiast. Nie życzę sobie więcej niespodzianek.

– Można powiedzieć, że... zhybrydyzowali się z Kultami Ignorancji – stwierdziło żałośnie Kuwale. – W dalszym ciągu są AK, w najszerszym znaczeniu tego słowa: uważają, że wszechświat zaistniał dzięki wyjaśnieniu, ale wierzą też, że możliwy jest – i pożądanym – wszechświat

bez TW: bez ostatecznego równania, ujednocniającego schematu. Nie ma najgłębszego poziomu, praw ostatecznych, nieprzekraczalnych zasad. Nie ma końca możliwości transcendencji. Jedyńm sposobem, by to zagwarantować, jest... zarznąć każdego, kto mógłby stać się Zwornikiem.

Moje ubranie zdawało się osiągać, na najmniej przyjemnym poziomie, równowagę z wilgotnym powietrzem ładowni. Chciało mi się sikać, ale powstrzymałem się dla zachowania godności – w nadziei, że będę umiał ocenić, kiedy problem zacznie zagrażać życiu. Myślałem o astronomie Tycho Brache, który zmarł po tym, jak na przyjęciu pękł mu pęcherz moczowy, ponieważ zbyt żenowało go poproszenie o możliwość wyjścia.

Pasek światła na podłodze nie poruszał się. Z początku robił się powoli jaśniejszy, po kilku godzinach zaczął ciemnieć. Docierające do ładowni dźwięki nic nie mówiły – były to przypadkowe poskrzypywania i pobrzękiwania, stłumione głosy i kroki. Z oddali dolatywało buczenie i odgłosy wibracji – niektóre dźwięki były stałe, inne przerywane. Każdy entuzjasta żeglarstwa na pewno rozróżniłby charakterystyczny odgłos magnetohydrodynamicznego silnika, wyrzucającego do tyłu strumień morskiej wody za pomocą nadprzewodzących magnesów, ja nie rozróżniałem jednak maksymalnego ciągu od odkręcenia przez marynarza prysznic.

– Cóż komu po antrokosmologii, o której nikt nie wie? Kuwale nie odpowiedziało, więc trąciłem je ramieniem.

– Nie śpię. – Głos brzmiał tak, jakby Kuwale znacznie bardziej podupadło na duchu ode mnie.

– To rozmawiaj ze mną, bo głupieję. Jak znajdujecie nowych członków?

– W sieciach są grupy dyskusyjne, zajmujące się pokrewnymi sprawami: ekstremalną kosmologią, metafizyką informacji. Uczestniczymy w nich, nie za dużo ujawniając; jeśli ktoś robi wrażenie sympatyzującego z nami albo

godnego zaufania, zagadujemy go indywidualnie. Dwa albo trzy razy w roku ktoś gdzieś wymyśla antrokosmologię na nowo. Nie próbujemy tych ludzi przekonywać, że się mylą – jeżeli dochodzą do tych samych wniosków, co my, mówimy im, że istnieją ludzie o podobnych poglądach.

– Ci spoza głównego nurtu robią tak samo? Wyszukują ludzi z sieci?

– Nie. Wszyscy są zdrajcami. Każdy był kiedyś z nami.

– O! – Nic dziwnego, że główny nurt czuł się tak bardzo zobowiązany chronić Mosalę. De facto z jego szeregów rekrutowali się kandydaci na jej zabójców.

– To smutne. Niektórzy z nich uważają się za jedynych prawdziwych *technoliberateurs*: biorą naukę w swoje ręce, bronią się przed tym, by przetoczyła się po nich jak walec drogowy czyjaś teoria – w sumie, nie zamierzają dopuścić, by pozbawiono ich głosu w tej sprawie.

– No, to bardzo demokratyczne. Czy pomyśleli kiedyś o tym, by zamiast zabijać wszystkich rywali swojego kandydata, przeprowadzić wybory Zwornika?

– I zrezygnować z władzy? Nie sądzę. Muteba Kazadi reprezentował „demokratyczny” wariant antrokosmologii, w którym nie przewidywano morderstw, ale nikt nie mógł tego zrozumieć. Nie sądzę też, by jego obliczenia kiedykolwiek się sprawdziły.

Roześmiałem się zaskoczony.

– Muteba Kazadi był AK?

– Oczywiście.

– Nie sądzę, by Violet Mosala o tym wiedziała.

– Violet Mosala nie wie o niczym, o czym nie chce wiedzieć.

– Hej hej... nieco szacunku dla bóstwa... Kuter lekko drgnął.

– Ruszyliśmy czy się zatrzymaliśmy?

Kuwale wzruszyło ramionami. Samoprzystosowujący się balast tak dokładnie łagodził kołysanie, że nie bardzo dało się określić, co się dzieje. Od chwili wciągnięcia nas na pokład nie poczułem w ogóle istnienia fal morskich ani tym bardziej przyspieszenia.

– Znasz osobiście któregoś z tych ludzi?

– Nie. Opuścili główny nurt, zanim się przyłączyłem.

– Więc tak naprawdę nie umiesz ocenić, jak bardzo są umiarkowani?

– Znam frakcję, do której należą. I że gdyby zamierzali nas zabić, już byśmy nie żyli.

– Są dobre i złe miejsca na pozbycie się zwłok. Miejsca, gdzie istnieje mniejsza szansa, by coś wyrzuconego za burtę zostało zniesione na brzeg; łatwo to obliczyć za pomocą dowolnego w miarę sensownego programu nawigacyjnego.

Kuter ponownie się zakołysał, po czym coś stuknęło w burtę. Tąpnięcie odbiło się wokół nas głośnym echem, aż zaboląły mnie zęby. Napiąłem mięśnie i zacząłem wyczekiwać. Odgłos ucichł, nic się dalej nie wydarzyło.

– Skąd jesteś? – spytałem, żeby przerwać ciszę. – Nie umiem umiejscowić twojego akcentu.

Kuwale parsknęło śmiechem.

– Nic dziwnego. Urodziłem się w Malawi, ale wyjechaliśmy stamtąd, kiedy miałem półtora roku. Moi rodzice są dyplomatami, zajmują się działalnością handlową, więc podróżowaliśmy po całej Afryce, Ameryce Południowej, strefie Karaibów.

– Wiedzą, że jesteś na Bezpaństwie?

– Nie. Rozstaliśmy się, pięć lat temu. Kiedy migrowałem. Do aseksu.

– Pięć lat temu? Ile wtedy miałeś?

– Szesnaście.

– To nie za młody wiek na zabieg?

– Nie w Brazylii.
– Ciężko to przyjęli?
– Nie rozumieli – powiedziało gorzko. – *Technoliberation*, a seks – wszystko, co dla mnie się liczyło, dla nich nie miało sensu. Traktowali mnie jak coś w rodzaju... znajdy z kosmosu. Oboje są bardzo wykształceni, mnóstwo zarabiają, są bywali w świecie, kosmopolityczni... i tradycyjni. Ciągłe czuli się związani z Malawi – i z określoną warstwą społeczną, jej wartościami i przesadami. Niezależnie od tego, dokąd podróżowali. Ja nie miałem ojczyzny, byłem wolny. – Roześmiało się. – Podróże ujawniają to, co niezmiennie: tę samą, powtarzającą się nieustannie hipokryzję. Nim skończyłem czternaście lat, żyłem w trzech różnych kulturach – i sądziłem, że seks jest dla tępych konformistów.

Niemal mnie to zatkało.

– Masz na myśli płęć czy stosunek seksualny? – spytałem ostrożnie.
– I to, i to.
– Niektórzy ludzie potrzebują obu rzeczy. Nie tylko ze względów biologicznych; ty możesz się bez tego obejść, ale... z powodów tożsamościowych... dla zachowania szacunku wobec siebie...

Kuwale prychnęło, bardzo rozbawione.

– Szacunek do samego siebie to towar wymyślony przez dwudziestowieczne kulty rozwoju osobowości. Jeżeli potrzebujesz szacunku do samego siebie – albo ośrodka emocjonalnego – jedź do Los Angeles i kup go sobie. Co się dzieje z wami, ludźmi Zachodu? Czasami mam wrażenie, że przednaukowa psychologia Freuda i Junga – i wszystkie ich służące biznesowi amerykańskie czknięcia – tak kompletnie zaatakowały waszą kulturę i język, że nie jesteście w stanie myśleć o sobie inaczej jak w kultomowie. Tak to jest zakorzenione, że nawet nie wiecie, kiedy to robicie.

– Może masz rację. – Zacząłem się czuć niesamowicie staro i tradycjonalistycznie. Jeżeli Kuwale było przyszłością, to pokolenie po vim będzie wykraczać poza granice mojego zrozumienia. Co prawda nie byłoby w tym nic złego – stwierdzenie tego faktu jednak bolało. – Czym chcesz zastąpić zachodni psychobelkot? Aseks i *technoliberation* niemal rozumiem – na czym jednak polega atrakcja antrokosmologii? Jeśli potrzebuje się pewnej dawki kosmicznego zabezpieczenia, dlaczego nie wybrać religii przewidującej życie po życiu? Jeśli uważasz, że możesz wybrać, co jest prawdą, a co nie, powinienes dołączyć do morderców na pokładzie.

Wbiłem wzrok w ciemność. Pasek światła szybko zniknął – wyglądało na to, że spędzimy tu, gdzie jesteśmy, lodowatą noc. Pęcherz prawie mi pękał, ale nie mogłem się zmusić do oddania moczu. Za każdym razem, kiedy sądziłem, że ostatecznie pogodziłem się z moim ciałem i wszystkim, co mogło mi zrobić, podziemny świat znów ciągnął za smycz. Nie godziłem się z niczym. Dane mi było krótko spojrzeć pod powierzchnię i chciałem jak najszybciej zakopać to, co ujrzałem, i żyć dalej, jakby nic się nie wydarzyło.

– Prawdą jest wszystko, co może człowiekowi ujść na sucho.

– Nie, to jest dziennikarstwo. Prawdą jest wszystko, przed czym nie da się uciec.

Obudziło mnie światło skierowanej w oczy latarki; ktoś zaczął pokrytym enzymami nożem ciąć łączącą mnie z Kuwale polimerową sieć. Panował taki chłód, że musiało być wcześniej rano. Zacząłem mrugać i drzeć, oślepiiony jaskrawością. Nie widziałem, ilu jest ludzi ani jak są uzbrojeni, kiedy mnie odcinali, nie ruszałem się jednak, zakładając, że w innym przypadku bardzo łatwo mogę zarobić kulkę w głowę.

Zostałem podciągnięty na prymitywnej pętli, po czym zawisłem w górze; trzech ludzi zaczęło wychodzić z ładowni po sznurowej drabinie.

Kuwale zostało w ładowni. Rozejrzałem się po rozświetlonym księżycowym światłem pokładzie i – na ile wzrok sięgał – otwartym oceanie. Myśl o opuszczeniu Bezpaństwa mroziła mi krew – jeżeli istniała jakakolwiek szansa na pomoc, to z pewnością na wyspie.

Zatrzasnęli klapę, opuścili mnie i rozwiązali mi nogi, po czym zaczęli prowadzić w kierunku kabiny w drugim końcu kutra. Po kilku prośbach pozwolono mi stanąć i wysikać się za burtę. Przez kilka sekund po tym, jak to zrobiłem, byłem tak przepełniony wdzięcznością, że gdyby mnie poproszono, byłbym gotów własnoręcznie udusić Violet Mosalę.

Kabina była zastawiona ekranami i sprzętem elektronicznym. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem na kutrze rybackim, ten wyglądał jednak zdecydowanie na przesadnie wyposażony. Przeciętą flotą rybacką dałoby się prawdopodobnie pokierować, używając jednego mikroprocesora.

Przywiązano mnie do krzesła stojącego na środku kabiny. Poza mną były obecne cztery osoby; Świadek rozpoznał dwie – numer trzy i pięć w galerii Kuwale – pozostałe dwie były mu jednak nieznane – dwie kobiety mniej więcej w moim wieku. Sfilmowałem ich twarze i nadałem im kolejne numery: 19 i 20.

– Co to był za hałas przed chwilą? – spytałem w przestrzeń.

– Zdawało mi się, że wpadliśmy na mieliznę.

– Zostaliśmy staranowani – odpowiedział Trójka. – Straciłeś całą zabawę. – Był to mocno umięśniony biały umęczony, na obu przedramionach miał wytatuowane chińskie symbole.

– Przez kogo?

Zignorował moje pytanie, nieco zbyt chłodno. Już i tak za dużo powiedział.

Dwudziestka czekała w kabinie, kiedy pozostali mnie sprowadzali. Przejęła dowodzenie.

– Nie wiem, jakie bajki opowiedziało ci Kuwale. Bez wątpienia przedstawiło nas jako oszalałych fanatyków. – Była wysoka, smukła, ciemnoskóra i miała frankofoński akcent.

– Nie, powiedziało mi, że jesteście umiarkowani. Nie podsłuchiwaliście?

Niewinnie pokręciła głową, rozbawiona, jakby było oczywiste, że podsłuchiwanie jest poniżej jej godności. Promieniowała aurą spokojnego autorytetu, który mnie denerwował. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że każe zrobić pozostałym dowolną rzecz, zachowując przy tym wrażenie stuprocentowego rozsądku.

– Umiarkowani, ale w dalszym ciągu heretycy.

– A spodziewasz się, że inni AK mogą określać was inaczej?

– Zapomnij o innych AK. Powinieneś wyrobić sobie własną opinię, kiedy poznasz wszystkie fakty.

– Straciliście okazję uzyskania przychylnej opinii z mojej strony, zarażając mnie cholerą domowej roboty.

– To nie my.

– Nie? A kto?

– Ci sami ludzie, którzy zarazili Yasuko Nishide złośliwą naturalną dwoinką zapalenia płuc.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Nie wiedziałem, czy jej wierzyć, choć pasowało to do oceny ekstremistów, jaką usłyszałem od Kuwale.

– Nagrywasz? – spytała Dziewiętnastka.

– Nie. – Była to prawda, choć sfilmowałem ich twarze. Ciągłe filmowanie wyłączyłem wiele godzin temu, w ładowni.

– Więc zacznij. – Dziewiętnastka wyglądała i mówiła jak Skandynawka. Najwyraźniej każda frakcja AK była wielonarodowa. Cynicy, twierdzący, że ludzie zawierający międzykontynentalne przyjaźnie za pomocą sieci

nigdy nie spotykają się w rzeczywistości, oczywiście się mylili. Wymagało to jedynie zdrowego rozsądku.

– Dlaczego?

– Jesteś tu po to, aby zrobić reportaż o Violet Mosali, prawda? Nie chcesz przedstawić całej historii? Aż do końca?

– Kiedy Mosala zginie, podniesie się wrzask i będziemy musieli się ukryć – wyjaśniła Dwudziestka. – Nie interesuje nas męczeństwo, ale po skończeniu misji nie będziemy się bać identyfikacji. Nie wstydzimy się tego, co robimy, nie mamy ku temu powodu. Chcemy, by ktoś obiektywny, nie partyzant, człowiek godny zaufania, przedstawił światu naszą wersję wydarzeń.

Wbiłem w nią wzrok. To, co powiedziała, zabrzmiało całkowicie szczerze – nawet po części przeprasząco, jakby prosiła o niewygodną przysługę.

Popatrzyłem na pozostałych. Traktowali mnie z wystudiowaną nonszalancją. Piątka bawił się elektroniką, Dziewiętnastka patrzyła na mnie, niezachwiana w solidarnej postawie.

– Zapomnijcie o tym – odparłem. – Nie kręcę dokumentacji morderstw.
– Był to ładny tekst. Gdybym natychmiast nie przypomniał sobie przesłuchania Daniela Cavoliniego, przez kilka godzin byłoby mi miło i ciepło w środku.

Dwudziestka grzecznie mnie skarciła.

– Nikt nie oczekuje po tobie, żebyś filmował śmierć Mosali. Byłoby to niepraktyczne, poza tym niesmaczne. Chcemy jedynie, byś mógł wyjaśnić swoim widzom, dlaczego jej śmierć była konieczna.

Rzeczywistość wymykała mi się z rąk. Wisząc w ładowni, czekałem na tortury. Wyobrażałem sobie ze szczegółami, jak oprawcy pracują nade mną, bym wyglądał na ofiarę ataku rekina.

Czegoś takiego jednak się nie spodziewałem.

Zmusiłem się do spokojnego mówienia.

– Nie jestem zainteresowany wywiadem z prawem wyłączności z mordercami osoby, o której kręcę reportaż. – Przeszła mi przez głowę myśl, że gdyby dyrekcja SeeNetu dowiedziała się, że powiedziałem coś takiego, połowa jej członków nigdy by mi nie wybaczyła tych słów. – Dlaczego nie kupicie płatnej reklamy w TechnoLalii? Jestem pewien, że widzowie wsparliby was, gdybyście podkreślili, że zabicie Violet Mosali było konieczne, aby zachować możliwość podróżowania do innych wszechświatów przez wygryzione w czasoprzestrzeni dziury.

Dwudziestka zmarszczyła czoło, oburzona niesprawiedliwym pomówieniem.

– Wiedziałam, że Kuwale karmiło cię jadowitymi opowieściami. To właśnie ci powiedziało?

Coraz bardziej kręciło mi się w głowie, coraz mniej wierzyłem w to, co się dzieje. Obsesyjna troska tej kobiety nie o to, co trzeba, była surrealistyczna.

– Nieistotne, jaki jest pieprzony powód! – wrzasnąłem. Próbowałem rozłożyć ręce, by zmusić ją do przejrzenia na oczy, niestety związali mi je z tyłu krzesła. – Nie wiem... może po prostu uważacie, że Henry Buzzo jest poważniejszy, ma bardziej dystyngowany styl, elegantsze równania... – Mało brakowało, a powiedziałbym im to, co powiedziała mi Mosala – że metodologia Buzzo jest niedoskonała i ich ulubiony kandydat nie może być Zwornikiem. Na szczęście się powstrzymałem. – Nieważne. To mimo wszystko morderstwo.

– Nie. To samoobrona. Odwróciłem się. Głos doleciał od drzwi.

Helen Wu popatrzyła mi w oczy i wyjaśniła ze smutkiem: – Dziury we wszechświecie nie mają z tym nic wspólnego. Buzzo nie ma z tym nic

wspólnego. Jeżeli nic nie zrobimy, Violet Mosala wkrótce posiada możliwość zabicia nas wszystkich.

..22..

Po wejściu Helen Wu zacząłem nagrywać. Nie dla SeeNetu. Dla Interpolu.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam, by skierować ją na bezpieczny grunt – stwierdziła z powagą Wu. – Sądziłam, że jeżeli zrozumie, dokąd podąża, zmieni swoje metody – z konwencjonalnych, naukowych powodów. Przez wzgląd na teorię o treści fizycznej, co większość kolegów oczekuje od jej TW. – Uniosła dłonie w geście rozpacz. – Nic nie powstrzyma Violet! Wie pan o tym. Wysłuchiła całej krytyki, którą przedstawiłam i... uznała ją za cnotę. Tylko pogorszyłam sprawę.

– Nie podejrzewam, by Amanda Conroy nawet zaczęła przedstawiać prawdziwy obraz bogactwa kosmologii informacji – powiedziała Dwudziestka. – Co ci przedstawiła? Tylko jeden model: Zwornik tworzy idealny, pozbawiony skaz wszechświat – bez obserwowalnych efektów przemawiających przeciwko TW? Bez perspektywy przebiccia się przez leżącą u podstaw metafizykę?

– Zgadza się. – Zrezygnowałem z okazywania oburzenia, uznałem, że najlepszą strategią będzie udawać, że się zgadzam, i mieć nadzieję, że pojawi się szansa, by ostrzec Mosalę.

– To tylko jedna możliwość spośród miliona, do tego tak samo upraszczająca jak najwcześniejsze modele kosmologiczne ogólnej teorii względności z lat dwudziestych XX wieku: doskonale homogeniczne wszechświaty, mdłe i puste jak gigantyczne balony. Zajmowano się nimi tylko dlatego, że matematyczna analiza czegokolwiek bardziej prawdopodobnego była zbyt trudna. Nikt nigdy nie uważał, że opisują rzeczywistość. Conroy i jej przyjaciele nie są naukowcami, jedynie pełnymi

entuzjazmu dyletantami. Uchwycili się pierwszego rozwiązania, jakie przyszło im do głowy, i uznali, że to wszystko, czego chcą.

Nie wiedziałem nic o reszcie, ale Wu robiła karierę naukową, prowadziła wygodne życie – i rwała to na moich oczach na kawałki. Może intelektualna energia, jaką poświęcała antropologii, kosztowała ją wiele – sukces, jaki mogła odnieść, formułując TW; teraz jednak poświęcała wszystko.

– Taki typ doskonałego, stabilnego kosmosu nie jest niemożliwy – zależy wyłącznie od struktury teorii. Obserwowalna fizyka i leżąca u jej podstaw metafizyka informacji mogą być uznane za niezależne i możliwe do rozdzielenia jedynie przy szeregu rygorystycznych ograniczeń. Praca Mosali wykazuje wszelkie cechy łamania tych ograniczeń, do tego w najniebezpieczniejszy możliwy sposób.

Wu przez chwilę się we mnie wpatrywała, jakby chciała ocenić, czy udało jej się wbić mi do głowy, jak poważna jest sytuacja. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na paranoję albo fanatyzm; choć była źle rozumiana, wydawała się tak trzeźwa jak naukowcy pracujący przy Projekcie Manhattan, przerażeni przed pierwszym testem bomby atomowej, że wybuch może wyzwolić w atmosferze reakcję łańcuchową, która obejmie cały świat.

Musiałem wyglądać na wystarczająco zaniepokojonego, gdyż odwróciła się do Piątki i powiedziała: – Pokaż mu. – Po czym wyszła. Straciłem nadzieję.

– Dokąd poszła? – spytałem. Popłynęła z powrotem na Bezpaństwo, innym statkiem? Nikt nie miał lepszej możliwości dostania się w pobliże Mosali od Helen Wu. Przypomniałem sobie, jak we dwie szły holem w hotelu, roześmiane, niemal trzymając się pod ramię.

– Helen już wie zbyt wiele o TW Mosali – i o kosmologii informacji – wyjaśniła Dziewiętnastka. – Nie wolno przesadzić z jej wiedzą, bo może powstać niebezpieczna mieszanka, dlatego nie uczestniczy w rozmowach, podczas których omawiamy nowe wyniki. Nie warto ryzykować.

Przeżuwałem to w milczeniu. Obsesja AK na punkcie dyskrecji wykraczała daleko poza kpiny Conroy z mediów czy potrzebę spiskowania na uboczu. Naprawdę uważali, że same ich idee są niebezpieczne jak broń.

Ocean wokół nas poruszał się łagodnie, okna odzwierciedlały jednak tylko scenę wewnątrz. Moje odbicie wyglądało jak wizerunek obcej osoby: włosy dziwnie odstające na wszystkie strony, oczy zapadnięte, nie ten kontekst. Widziałem okiem wyobraźni całkowicie nieruchomy kuter, jego kabina była maleńką wysepką światła w ciemności. Spróbowałem rozsunąć na boki nadgarstki, by sprawdzić siłę polimeru, zbadać topologię węzła. Nie ustąpił nawet na ułamek milimetra, nic się nie przesunęło. Od chwili, gdy mnie obudzono i wyciągnięto nad pokład, byłem chory ze strachu, związany i zeszmacony, ale przez chwilę myślałem, że powraca coś przypominającego klarowność ze szpitala. Świat utracił wszelkie pozory znaczenia: nie było pocieszenia, zniknęła tajemnica, skończyło się zagrożenie.

Piątka – Włoch w średnim wieku – przestał manipulować elektroniką. Odezwał się do mnie z taką pewnością siebie, jakbym kierował na niego tysiącwatowy reflektor i obiektyw kamery filmowej z lat pięćdziesiątych XX wieku.

– Oto ostatnia analiza dokonana przez nasz superkomputer, oparta na wszystkim, co Mosala dotychczas opublikowała. Świadomie uniknęliśmy ekstrapolacji materiału w kierunku TW, z oczywistych powodów – można jednak oszacować wyniki, jakie mogłyby zostać uzyskane, gdybyśmy dokończyli obliczenia.

Nagle pojaśniał największy w kabinie ekran, szeroki na mniej więcej pięć, a wysoki na trzy metry. Obraz, jaki się na nim ukazał, przypominał plecionkę kunsztownie połączonych cienkich, wielokolorowych nici. Na konferencji nic takiego nie widziałem, nie była to wijąca się, anarchiczna piana próżni kwantowej. Wyglądało to bardziej na zbitą kulę jarzącego się jak świetlówka szpagatu, spletaną na zmianę przez Eschera i Mandelbrota – z wielką ostrożnością, przez stulecia. Były tu symetrie wewnątrz symetrii, węzły w węzłach, ściągające wzrok szczegóły i wzory, wszystko jednak zbyt zawile i powykręcane, by stanowić zamkniętą całość.

– To nie jest praprzestrzeń? – spytałem.

– Raczej nie. – Piątka popatrzył na mnie z powątpiewaniem, jakby się spodziewał, że moja ignorancja okaże się bezgraniczna. – To bardzo szkicowa mapa przestrzeni informacyjnej w chwili, gdy Zwornik „staje się” Zwornikiem. Dla skrótów określamy tę początkową konfigurację „alef”. – Nic nie powiedziałem, więc dodał z niesmakiem, jakby zmuszono go do używania dziecięcego języka: – Pomyśl o tym jak o fotce Wielkiego Wybuchu.

– To jest punkt początkowy... wszystkiego? Przesłanka całego wszechświata?

– Tak. Dlaczego jesteś zaskoczony? Fizyczny, oryginalny Wielki Wybuch jest o wiele potęg prostszy – można go scharakteryzować jedynie dziesięcioma liczbami. Alef zawiera sto milionów razy więcej informacji, idea tworzenia z tego galaktyk i DNA jest znacznie mniej dziwaczna.

Była to oczywiście sprawa poglądów.

– Jeżeli to ma być zawartość czaszki Violet Mosali – odparłem – to nie wygląda jak jakikolwiek znany mi rodzaj mapy mózgu.

– Mam taką nadzieję – odparł sucho Piątka. – To nie jest obraz anatomiczny, funkcjonalna mapa neuronowa ani nawet symboliczna sieć

poznawcza. Neurony Zwornika – pomijając jego czaszkę – „jeszcze” nie istnieją. Jest to czysta informacja, logicznie wyprzedzająca istnienie każdego fizykalnego obiektu. Najpierw pojawiają się „wiedza” oraz „pamięć” Zwornika, zawierający to mózg przychodzi potem. – Wskazał na ekran i kłębowisko nici eksplodowało, wysyłając we wszystkich kierunkach jaskrawe łuki. – Zwornik jest, koniec końców, uzbrojony w TW i ma świadomość zarówno własnego istnienia, jak i kanonicznego ciała obserwacji wyników eksperymentalnych – własnych albo „z drugiej ręki” – które muszą zostać wyjaśnione. Gdyby zabrakło mu albo gęstości informacji, albo schematu organizacyjnego, pozwalającego na spójne z jego ja wyjaśnienie jego istnienia, całe przedsięwzięcie zaczęłoby się robić subkrytyczne: nie implikowałoby istnienia wszechświata. Mając jednak wystarczająco bogaty alef, proces nie zatrzyma się aż do chwili stworzenia całego fizycznego kosmosu. Proces ten oczywiście nigdy się nie „zaczyna” ani nie „kończy” w konwencjonalnym sensie, w ogóle nie odbywa się w czasie. Kolejne klatki w tej symulacji jedynie korespondują ze wzrostem jego logicznego rozszerzania się – jak etapy dowodu matematycznego, gdy do zestawu początkowych założeń dodają się kolejne warstwy konsekwencji. Historia wszechświata jest zawarta w tych konsekwencjach jak... sekwencja morderstwa odtworzona za pomocą dedukcji na podstawie pozostawionych na miejscu zbrodni śladów materialnych. Podczas gdy mówił, wzory na powierzchni alefa splatały się, rozplatały i splatały ponownie w otaczającej próżni informacyjnej. Przypominało to obserwowanie procesu, w którym co sekundę z jednego pełnego oślepiających barw gobelinu powstaje następny; wątki są luzowane na tyle, by dało się je szybko pociągnąć dalej, po czym są błyskawicznie przekładane przez miliony niewidocznych rąk. Tysiąc odrobinę odmiennych wariacji było jakby powidokiem oryginału, pojawiały się jednak także

zaskakujące nowe tematy, pozornie znikąd. Przeplecione fraktalne wyspy czerwieni i bieli odpływały i mieszały się ze sobą, jedna starała się wchłonąć drugą, po czym wszystkie rozpuszczały się w archipelagi hybryd. Huragany wewnątrz huraganów, fioletowe i złote, zwijały „nici” jeszcze ciaśniej, po czym pojawiały się wirujące w przeciwnym kierunku drobne wiry i cała hierarchia się rozplątała. Zarówno przez chaos, jak i przez regularne schematy powoli przesączały się małe, poszarpane kawałki krystalicznego srebra, infiltrując wszystko i wchodząc ze wszystkim w interakcję.

– Piękny technopornos – stwierdziłem. – Ale co ma ukazywać?

Piątka chwilę milczał, po czym raczył wskazać kilka konturów.

– To jest wiek Ziemi, precyzyjniej określony dzięki włączeniu do analizy szeregu wniosków geofizycznych i biologicznych. To jest powszechność kodu genetycznego, znajdującego się właśnie w drodze do stworzenia określonych prawdopodobieństw mogących umożliwić powstanie życia. Tutaj, ta regularność w chemii pierwiastków...

– Naprawdę się spodziewacie, że po jej apoteozie Violet Mosala zapadnie w trans i zacznie to wszystko przemyśliwać?

– Nie! – zawył. – To nie jest przewidywanie procesów myślowych Zwornika, a wynika logicznie z treści posiadanych przez niego informacji w momencie alef! Sądysz, że Zwornik będzie musiał liczyć od jednego do biliona – na głos – aby stworzyć wszystkie liczby po drodze i dopiero wtedy matematyka będzie mogła ich użyć?! Nie. Zero, jeden i dodawanie wystarczą, by implikować je wszystkie. I znacznie więcej. Wszechświat niczym się od tego nie różni. Jedynie wyrasta z innego nasienia.

Popatrzyłem na pozostałych obecnych. Obserwowali ekran z pełną niepokojem fascynacją, nie okazywali jednak niczego, co przypominałoby przerażenie religijnej natury. Mogliby tak samo dobrze obserwować model

ucieającego klimatu Cieplarni albo symulację uderzenia meteorytu. Utajnianie działań sprawiło, że ludzie ci zapobiegli wszelkim poważnym próbom zakwestionowania ich idei, starali się jednak nadal zachowywać pozory racjonalizmu. Rzekomej konieczności zabicia Mosali nie ustalili arbitralnie, potem zaś – dla uzasadnienia – wymyślili antrokosmologię. Naprawdę wierzyli w to, że jedynie logika narzuciła im ten trudny do akceptacji wniosek.

Może ta sama żelazna logika mogła zostać użyta, by zmienić ich poglądy? Byłem co prawda niedouczonego ignorantem i człowiekiem z zewnątrz, ale poprosili mnie o przyjrzenie się ich działaniom, by wyjaśnić je światu. Sprowadzili mnie nie wiadomo gdzie, by przedstawić swoją sprawę potomności, gdybym jednak przyjął ich system pojęciowy jako obowiązujący i zaczął argumentować ich językiem... może istniałaby możliwość, że uda mi się zasiać w nich na tyle wątpliwości, by dali się przekonać do oszczędzenia Mosali.

– W porządku... – powiedziałem ostrożnie. – Logiczna implikacja wystarczy, Zwornik nie musi przemyśleć każdego najdrobniejszego szczegółu, czy jednak nie powinien się zastanowić i naszkicować wszystkiego, co implikuje jego TW? Sprawdzić, czy nie ma w niej nie dogranych szczegółów? To praca na całe życie. Może wyścig o sformułowanie TW to dopiero pierwszy krok ku zostaniu Zwornikiem? Jak można cokolwiek stworzyć wyjaśnieniem, dopóki Zwornik nie wie, że może zostać wyjaśnione?

Piątka niecierpliwie mi przerwał: – Zwornik z TW jest niemożliwy do wyjaśnienia bez całej historii ludzkości i dotychczasowej wiedzy. Tak jak każdy przodek biologiczny albo kuzyn wymaga określonej przestrzeni i czasu niezbędnych do życia i prowadzenia obserwacji – ciała, jedzenia, powietrza, kawałka gruntu, by mieć na czym stać – tak samo każdy

intelektualny poprzednik albo współczesna nam osoba potrzebuje własnego cząstkowego wyjaśnienia kosmosu. Wszystko to do siebie pasuje, tworząc mozaikę sięgającą Wielkiego Wybuchu. Gdyby tak nie było, nie byłoby nas tutaj. Problemem Zwornika jest jednak znalezienie się w miejscu, w którym wszystkie wyjaśnienia zbiegają się w sedno wystarczająco zwarte, by objąć je pojedynczy umysł. Nie chodzi o rekapitulację całej nauki i historii, a raczej o ich zakodowanie.

To było daremne. Nie mogłem ich pokonać ich własną bronią – mieli lata na zastanowienie się nad wszystkimi oczywistymi zastrzeżeniami, znalezienie na nie odpowiedzi i wmówienie sobie, że je odparli. Jeżeli AK głównego nurtu nie zdołali zachwiać ich poglądami, jaką ja mogłem mieć nadzieję?

Spróbowałem z innej flanki.

– Nie przeszkadza wam założenie, że nie jesteście niczym więcej, jak pionkiem we śnie jakiegoś nadętego teoretyka TW? Że zostaliście zmuszeni do oszczędzenia mu wymyślenia sposobu na rozwój inteligencji u gatunku posiadającego tylko jednego przedstawiciela?

Piątka popatrzył na mnie z litością.

– Teraz mówisz oksymoronami. Wszechświat nie jest snem. Zwornik nie jest wcieleniem jakiegoś śpiącego bogo-komputera w rzeczywistości wyższego rzędu, który może się obudzić i o nas zapomnieć. Zwornik kotwaczy wszechświat od środka. Nie ma innego miejsca, skąd da się to zrobić. Kosmos nie może mieć pewniejszej podstawy od spójnego wyjaśnienia pojedynczego obserwatora. Co może być, twoim zdaniem, mniej eteryczne od tego? TW – po prostu prawdziwa, bez powodu? Czym wtedy bylibyśmy? Snem nieożywionej praprzestrzeni? Wytworami wyobraźni próżni? Nie – ponieważ wszystko jest dokładnie tym, na co wygląda, niezależnie od tego, co jest fundamentem. I niezależnie od tego,

kto jest Zwornikiem, ja w dalszym ciągu żyję, w dalszym ciągu mam świadomość – kopnął nogę mojego krzesła – świat, w którym mieszkam, jest stabilny. Liczy się dla mnie tylko to, aby takim go zachować.

Odwróciłem się do pozostałych. Trójka wpatrywał się w podłogę, sprawiał wrażenie zażenowanego niepotrzebnym uzasadnianiem czegokolwiek niewdzięcznemu światu. Dziewiętnastka i Dwudziestka obserwowały mnie z nadzieją, jakby oczekiwały, że w każdej chwili dotrze do mnie głupota tego, że nie chcę przyswoić sobie ich idei.

Jak można było spierać się z tymi ludźmi? Straciłem poczucie, co jest rozsądne, a co nie. Była trzecia rano, byłem przemoczony, zmarznięty, pojmany, odizolowany, a moi przeciwnicy mieli przewagę. To oni dysponowali fachowym żargonem, mocą komputerów, wymyślnymi grafikami, protekcyjną retoryką. Antrokosmologia posiadała wszystkie mogące zastraszyć bronie, potrzebne – przynajmniej tak twierdziła Kultura Najpierw – by zostać nauką tak samo dobrą jak każda inna.

– Wymień choć jeden eksperyment, jaki możecie przeprowadzić, by oddzielić tę kosmologię informacji od TW „prawdziwej bez powodu”.

– Proszę bardzo – odpowiedziała spokojnie Dwudziestka. – Oto test empiryczny: możemy pozwolić Violet Mosali dokończyć pracę. Jeżeli masz rację, nic się nie stanie. Dziesięć miliardów ludzi przeżyje osiemnastego kwietnia – większość nawet nie wiedząc, że skończono pracę nad Teorią Wszystkiego i ogłoszono ją światu.

– Ale jeżeli się mylisz... – dodał Piątka i wskazał na ekran. Ruch schematu zrobił się szybszy. – Z logicznego punktu widzenia, aby ustalić dziesięć parametrów Standardowej Zunifikowanej Teorii Pola i wyjaśnić całą historię Zwornika, proces musi wrócić do fizykalnego Wielkiego Wybuchu. Dlatego symulacja komputerowa tak długo trwa. W czasie

realnym obserwowalne konsekwencje zaczną się w ciągu kilku sekund od momentu alef i – przynajmniej lokalnie – potrwać kilka minut.

– Lokalnie? Masz na myśli na Bezpaństwie?

– Mam na myśli Układ Słoneczny. Powinien przetrwać jedynie kilka minut.

Kiedy to powiedział, na zewnętrznej warstwie gobelinu zaczęła rosnać mała, ciemna plamka. Wokół niej rozplątywała się nić wyjaśnień, rozwiązywały się węzły, które wcale nie były węzłami. Miałem paskudne, przyprawiające o zawrót głowy, *déjà vu* – moja wymyślna metafora kołowej logiki Violet Mosali paradowała przede mną jako dowód pomocniczy przy wydawaniu wyroku śmierci.

– Conroy i „nurt główny” uważają za oczywiste, że każda kosmologia informacji musi być symetryczna w czasie i ta sama fizyka będzie prawdziwa zarówno przed momentem alef, jak i po nim – stwierdził Piątka. – Mylą się. Po alefie TW Mosali zacznie podminowywać całą fizykę, którą uprzednio implikowała. Wykona cały wysiłek stworzenia przeszłości po to tylko, by dojść do wniosku, że nie ma przyszłości.

Ciemna plama na ekranie rozprzestrzeniała się szybciej – jakby na polecenie.

– To niczego nie dowodzi – odparłem. – Nie przetestowano niczego poza tą tak zwaną symulacją, prawda? Opieracie się wyłącznie na zbiorze równań z teorii informacji, nie mając żadnej pewności, czy opisują rzeczywistość.

– Nie ma sposobu na potwierdzenie tego – zgodził się Piątka. – Ale jeśli się wydarzy – nie udowodnione?

– Dlaczego miałyby się zdarzyć? – spytałem. – Jeżeli Mosala jest Zwornikiem, nie potrzebuje tego, by wyjaśnić własne istnienie! Jej TW nie przewiduje go, nie pozwala na to!

– Nie pozwala, ale jej TW nie może też przeżyć własnego sformułowania. Może uczynić z niej Zwornik, może dać jej jednolitą przeszłość, wyprodukować dwadzieścia miliardów lat kosmologii, ale kiedy zostanie wyrażona wprost, rozplynie się w czystą matematykę, czystą logikę. – Złożył dłonie i splótł palce, po czym powoli je rozsunął. – Nie da się spoić wszechświata systemem, który wyraża głośno, że brak w nim treści fizycznej. Znika... tarcie. W równaniach nie ma ognia.

Gobelin za jego plecami rwał się; kunsztownie splecione schematy wiedzy dezintegrowały się. Cały proces był pchany ku konkluzji oczywistej od samego początku. Każda możliwa rearanżacja znaczenia została usunięta z węzła alefa – z wyjątkiem ostatniego. Nie był to jednak wcale węzeł, a pętla – i prowadziła donikąd. Barwy tysiąca nici wyjaśniających okazały się kodem braku świadomości ukrytych związków, a wszechświat, który powołał się do istnienia poprzez splątanie tych właśnie wyjaśnień w miliard poplątanych hierarchii rosnącej kompleksowości... wreszcie się rozplątywał, by oznajmić własną tautologię.

W ciemności przez sekundę wirował biały krążek, po czym ekran się wyłączył.

Demonstracja została zakończona. Trójka zaczął mnie odwiązywać od krzesła.

– Muszę wam coś powiedzieć – odezwałem się. – Utrzymywałem to w tajemnicy przed wszystkimi: SeeNetem, Conroy, Kuwale. Sarah Knight nigdy się o tym nie dowiedziała. Nikt tego nie wie – poza mną i Mosalą. Musicie się jednak o tym dowiedzieć.

– Słuchamy – powiedziała Dwudziestka.

Stała przy ciemnym ekranie i cierpliwie mnie obserwowała.

Była to ostatnia szansa na zmianę ich myślenia. Starłem się skoncentrować, postawić na ich miejscu. Czy cokolwiek zmieni się w ich

planach, jeżeli dowiedzą się, że Buzzo się myli? Prawdopodobnie nie. Mosala będzie ich zdaniem tak samo niebezpieczna, niezależnie od tego, czy będą jacyś kontrkandydaci, czy ich nie będzie. Jeżeli Nishide umrze, dalej będzie można pielęgnować jego intelektualne dziedzictwo – i popędzą chronić jego następców, a wyrzynać następców Mosali.

– Violet Mosala skończyła pracę nad TW w Cape Town. Analizy komputerowe, które obecnie prowadzi, to jedynie sprawdziany – zasadnicza praca została zakończona kilka miesięcy temu. Tak więc... już została Zwornikiem. Nic się nie stało: niebo się nie zapadło, nadal jesteśmy, gdzie byliśmy. – Spróbowałem się roześmiać. – Eksperyment, o którym sądzicie, że jest zbyt niebezpieczny, już się zakończył. I wszyscy przeżyli.

Dwudziestka obserwowała mnie z kamienną twarzą. Nagle poczułem ogromną wrażliwość na bodźce – czułem każdy mięsień twarzy, rejestrowałem kąt, pod jakim mam przekrzywioną głowę, pochylenie ramion, kierunek spojrzenia. Odniosłem wrażenie, jakbym był kawałem gliny, z której uformowano coś z grubsza przypominającego ludzką postać, a co będzie potrzebowało jeszcze długiego modelowania, by zaczęło przypominać mówiącego prawdę człowieka.

Doskonale wiedziałem, że każda kość, każdy por mojej skóry, każda komórka zdradza, z jakim wysiłkiem próbuję udawać.

Zasada numer jeden: nigdy się nie zdradzaj, że istnieją jakiegokolwiek zasady.

Dwudziestka kiwnęła głową do Trójki, który odwiązał mnie od krzesła. Zaprowadzono mnie z powrotem do ładowni, opuszczono na wyciągarce i ponownie przywiązano do Kuwale.

Kiedy zaczęli się wspinać po sznurowej drabince, Trójka został z tyłu. Kucnął obok mnie i jak dobry przyjaciel dający bolesną, ale ważną radę

powiedział: – Nie można mieć do ciebie pretensji, że próbowałeś, ale nikt ci nigdy nie mówił, że jesteś najgorszym kłamcą na świecie?

..23..

Kiedy skończyłem opowiadać o pokazie zabójców, Kuwale odezwało się obojętnym głosem: – Nie próbuj sobie wmawiać, że miałeś jakąkolwiek szansę. Nikt by im tego nie wybił z głowy.

– Naprawdę? – Nie wierzyłem. Wmówili to sobie, co prawda robiąc to systematycznie i długo, ale musi istnieć jakiś sposób podważenia ich rzekomo wodoszczelnej logiki i zmuszenia ich do dostrzeżenia jej absurdalności.

Nie udało mi się go jednak znaleźć. Nie wpadłem na pomysł, jak wnikać do wnętrza ich głów.

Wezwałem Świadka i sprawdziłem czas. Zbliżał się świt. Nie mogłem przestać dygotać, przypominające rozlaną ropę algi na podłodze ładowni jeszcze bardziej nawilgotniały i kleiły się, a twardej polimer podłogi zrobił się zimny jak stal.

– Mosala będzie dobrze pilnowana. – Kiedy mnie od wiego zabierano, Kuwale było przygnębione, ale najwyraźniej odzyskało odrobinę buntowniczego optymizmu. – Posłałem kopię genomu twojej zmutowanej cholery firmie zajmującej się bezpieczeństwem konferencji, mają więc świadomość zagrożenia – nawet jeśli sama w nie nie wierzy. Na Bezpaństwie jest mnóstwo AK głównego nurtu.

– Ale nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że Wu jest w to zamieszana? Zresztą... mogła zarazić Mosalę dawno temu. Myślisz, że wyznaliby cokolwiek do kamery, gdyby zabójstwo nie było już faktem dokonany? Chcieli sprawić, by to im przypisano należną zasługę, więc musieli pojawić się szybko, zanim podejrzenie padnie na PFOK albo EnGeneUity, ale ich

występ przed kamerą miał być ostatnim działaniem przed stwierdzeniem, że Mosala nie żyje, i ucieczką z Bezpaństwa. – Czy to oznaczało, że niezależnie od tego, co bym powiedział na górze, nie zmieniłoby to sytuacji? Chyba nie do końca. Mogli tworzyć antidotum – swój magiczny pocisk.

Kuwale zamilkło. Nasłuchiwałem kroków w oddali albo innych odgłosów, ale słyszałem jedynie trzaski pracującego kadłuba i szum tysiąca fal.

To byłoby wszystko, jeśli chodzi o wspaniałe wizje ponownego narodzenia poprzez walkę w roli nieustraszonego przodownika *technoliberation*. Jedynym moim osiągnięciem było dostanie się między fronty wściekle się zwalczających, rywalizujących ze sobą zwariowanych „twórców bogów” – no i powrót do przynależnej mi pozycji: dostarczającego wiadomości posłańca.

– Myślisz, że nas teraz monitorują? – spytało Kuwale. – Na pokładzie?

– Kto wie? – Rozejrzałem się po ciemnej ładowni. Nie byłem nawet pewien, czy słaba szara poświata jest odbiciem od ściany ładowni, czy tylko pobudzeniem siatkówki i wyobraźnią. Roześmiałem się. – Co mielibyśmy zrobić? Skoczyć sześć metrów w górę, wybić dziurę w luku i przepłynąć sto kilometrów jako bliźnięta syjamskie?

Poczułem silne szarpnięcie liny, którą owinięto mi nadgarstki. Zirytowany, niemal krzyknąłem w proteście, na szczęście się pohamowałem. Wyglądało na to, że Kuwale dobrze wykorzystało godzinę, przez którą jego dłonie nie były ściśnięte między naszymi plecami. Rozciągnęło nieco swoje pęta, po czym schowało nadmiar linki w dłoniach, co... pozwoliło mu nieco się ode mnie odsunąć, kiedy nas ponownie związano? Niezależnie od tego, jakiej użyło sztuczki a la Houdini, po

kolejnych kilku minutach starannych manipulacji napięcie liny zniknęło. Kuwale wyciągnęło ręce spomiędzy naszych pleców i szeroko je rozłożyło.

Fala czystego, choć jednocześnie tępego rozradowania była oczywista, zacząłem jednak czekać, kiedy na pokładzie rozlegnie się łomot buciorów. Filmujące w podczerwieni kamery, połączone z działającym bez przerwy programem, na pewno zarejestrowały zmianę.

Cisza trwała.

Z drugiej strony decyzję pojmania nas musiano podjąć spontanicznie, kiedy podsłuchano moją rozmowę z Kuwale. Gdyby AK planowali to z wyprzedzeniem, mieliby przynajmniej kajdanki. Może technologia nadzoru, jaką dysponowali bez przygotowania, była tak samo kiepska jak ich liny i sieci?

Kuwale wzdrygnęło się z ulgą. Zazdrościłem vu, ramiona miałem bowiem boleśnie skurczone, na szczęście zaraz wcisnęło ręce za moje plecy.

Polimerowa lina była śliska i ciasno zawiązana, a paznokcie Kuwale krótkie (kilka razy wbiły mi się w ciało). Kiedy moje ręce zostały wreszcie rozwiązane, było to jak antyszczytowanie – radość dawno mi przeszła i wiedziałem, że nie mamy najmniejszej szansy na ucieczkę. Wszystko było jednak lepsze od siedzenia po ciemku i czekania, aż spotka nas zaszczyt ogłoszenia świata śmierci Mosali.

Sieć była zrobiona z inteligentnego tworzywa, które – prawdopodobnie dla łatwości naprawy – sklejało się wybiórczo ze swoją drugą stroną, a połączenie było tak mocne jak pierwotny materiał. Zostaliśmy nim ciasno owinięci (z rękami za plecami), ponieważ jednak mieliśmy je teraz wolne, powstało między nami jakieś pięć centymetrów luzu. Wstaliśmy niepewnie na nogi, ślizgaliśmy się na mazi z alg. Wypuściłem powietrze i wciągnąłem brzuch, zadowolony z przebytej głodówki.

Pierwszych kilkanaście prób było nieudanych. Z powodu ciemności jakieś piętnaście minut przypominających tortury zajęło nam takie przemieszczenie się, by stać i tworzyć bryłę o jak najmniejszym obwodzie (w każdym miejscu). Ktoś obserwujący nas z zewnątrz mógłby pomyśleć, że jesteśmy kandydatami do *game show* w piekle, ćwiczącymi żmudne i bezmyślne konkurencje. Kiedy sieć dotknęła podłogi, straciłem czucie w łydkach. Gdy zrobiłem pierwsze dwa kroki, o mało się nie przewróciłem.

Słyszałem trące i ślizgające się o plastik paznokcie; Kuwale walczyło z liną krępującą mu nogi. Za drugim razem nikt nie zadał sobie trudu, by związać moje. Przeszedłem w ciemności kilka metrów; pozbywałem się bólu, chciałem maksymalnie wykorzystać złudzenie wolności, dopóki trwało.

Wróciłem do Kuwale i pochyliłem się, aż ujrzałem białka jego oczu. Podniosło dłoń i pionowo przycisnęło mi palec do ust. Kiwnąłem głową. Wyglądało na to, że jak na razie mamy szczęście – żadnej kamery na podczerwień, gdzieś mógł być jednak mikrofon, trudno ocenić, jakiej jakości.

Kuwale wstało, odwróciło się i zniknęło; jego T-shirt, pozbawiony tak długo światła słonecznego, po prostu zdechł. Słyszałem jedynie od czasu do czasu piśnięcia mokrych podeszew jego butów, zdaje się, że powoli okrążało ładownię. Nie miałem pojęcia, co spodziewało się znaleźć – pęknięcie w kadłubie? Stałem i czekałem. Znów pojawiła się kreska światła na podłodze, choć ledwie widoczna. Zaczynało świtać, a nadejście dnia mogło oznaczać tylko jedno – więcej ludzi na pokładzie.

Wróciło Kuwale, dotknęło mojego ramienia, złapało mnie za łokieć. Poszedłem za nim do kąta ładowni. Przycisnęło moją dłoń do ściany, mniej więcej metr nad podłogą. Znalazło jakiś panel techniczny zasłonięty osłoną – drzwiczkami na sprężynie. Nie zauważyłem ich, kiedy spuszczano nas do

ładowni, ale ściany były poplamione i ochlapane grubo brudem, co stanowiło znakomity kamuflaż.

Zacząłem obmacywać panel. Znajdowało się tu gniazdo prądu stałego niskiego napięcia i dwa gwintowane metalowe króćce o średnicy kilku centymetrów – z dźwigniami sterowania przepływem. Niezależnie od tego, co zasilają – albo co miało z nich wypływać – nie widziałem dla nich przeznaczenia. Może Kuwale miało wizję, że zalejemy ładownię i wypłyniemy na górę?

Mało brakowało, a bym nie zauważył. Całkiem z prawej strony mieścił się okrągły otwór o średnicy sześciu, może siedmiu milimetrów, otoczony płaskim obramowaniem.

Gniazdo interfejsu optycznego.

Z czym się łączył? Z głównym komputerem kutra? Jeżeli łódź była skonstruowana do przewozu towarów, może port służył do tego, by członek załogi mógł z ładowni wpisywać dane dotyczące cargo. Jeśli jednak była to tylko łódź rybacka, którą wynajęli antrokosmologowie, nie miałbym wielkiej nadziei, że port z czymkolwiek się łączył.

Rozpiąłem koszulę, wzywając równocześnie Świadka. Program miał prymitywną opcję „wirtualnego terminalu”, która pozwalała mi przeglądać wszystkie docierające informacje i „pisać” w powietrzu jak na klawiaturze. Zdjąłem zewnętrzne zabezpieczenie portu w pępku i przycisnąłem się do ściany, próbując zetknąć oba gniazda. Musiałem wykonać masę dziwaczych ruchów, ale po wydobyciu się z sieci, nie było to dla mnie żadnym wyzwaniem.

Udało mi się jedynie przejść nieco chaotycznego tekstu, po czym program zgłosił błąd. Odbierał jakąś odpowiedź, ale sygnał był poszatkowany w sposób uniemożliwiający rozpoznanie. Oba porty były gniazdami przeznaczonymi do wpięcia „pępowiny” i identyczne ochronne

obramowania sprawiały, że nie mogły się dostatecznie zbliżyć – ich fotodetektory były o milimetr za ogniskową lasera.

Odsunąłem się od ściany, zaciskając zęby, by nie wykrzyknąć głośno rozpacz. Kuwale pytająco dotknęło mojego ramienia. Przysunąłem wego dłoń do mojej twarzy, pokręciłem głową, po czym przesunąłem wego dłoń do mojego pępka. Poklepało mnie w ramię: „Rozumiem. W porządku. Próbowaliśmy”.

Stałem ciężko oparty o ścianę. Jeżeli nie ujawnię wyznania AK, winę może przypisze się EnGeneUity. Gdyby Helen Wu i jej poplecznicy próbowali z ukrycia, po fakcie, przejmować na siebie odpowiedzialność, bardzo prawdopodobne, że uznano by ich za bliżej nieokreślonych świrów. Nikt nie słyszał o antrokosmologach. Męczeństwo Mosali w dalszym ciągu mogłoby przerwać bojkot.

Po głowie krążyła mi uspokajająca racjonalizacja: „Tak by chciała”.

Zdjąłem pasek i wbiłem bolec sprzączki w ciało wokół metalowego pępka. Na stali chirurgicznej znajdowała się cienka warstwa bioinżynieryjnie wytworzonej tkanki łącznej, zamykająca chroniczną ranę, by nie doszło do zapalenia. Dźwięk rozrywanego kolagenu sprawił, że zaboląły mnie zęby, ale nie było tu końcówek nerwów, które mogłyby zarejestrować zniszczenia. Kilka centymetrów niżej natrafiłem na metalowy flansz unieruchamiający port. Odsunąłem ciało i udało mi się wcisnąć metal pod krawędź flansza.

Wyglądało to jak zabieg chirurgiczny typu „zrób to sam”: istniejący w powłoce brzusznej otwór należało powiększyć o siedem albo osiem milimetrów. Mój organizm zaprotestował. Nie popuszczałem jednak, grzebałem pod flanszem, próbując go poluzować, podczas gdy z miejsca babrania się wypływały przeciwstawne fale nośników chemicznych, dostarczając na zmianę to ostrych jak brzytwa upomnień, to

znieczulających pieaszczot. Podeszło Kuwale i zaczęło mi pomagać, rozciągając otwór. Kiedy tego ciepłe palce powiodły po bliznach, które porobiłem sobie, tnąc się po brzuchu na oczach Giny, stwierdziłem, że dostałem wzrodu. Była to nieodpowiednia reakcja z tak wielu powodów, że niemal wybuchnąłem śmiechem. Ciekły mi łzy, krew skapywała w kierunku pachwiny a moje ciało, jak ślepe, informowało o pożądaniu. Prawda była taka, że gdyby Kuwale miało ochotę, z przyjemnością położyłbym się na podłodze i kochał w dowolny sposób. Tylko po to, aby poczuć na swojej skórze więcej tego skóry. Tylko po to, by uwierzyć, że nawiązaliśmy jakiś kontakt.

Pojawiła się zagrzebana w moim brzuchu stalowa rura, za nią kawałek zakrwawionego światłowodu. Odwróciłem głowę i wyplułem kwaśną ślinę. Na szczęście, nic więcej nie wyleciało.

Czekałem, aż przestaną mi drżeć palce, po czym wytarłem wszystko w koszulę i odkręciłem ochronną końcówkę, odsłaniając port. Bardziej przypominało to obrzezanie niż falloplastykę – sprawienie, by doszło do milimetra penetracji, przyniosło naprawdę masę kłopotu. Schowałem do kieszeni metalowy „napletek”, wymacałem ponownie gniazdo w ścianie i znów spróbowałem.

Pojawiły się przede mną wielkie, wesołe, niebieskie litery na białym tle. Choć nie oślepiały, były szokujące.

Mitsubishi Shanghai Marine Model Nr LMHDV-12-5600

Opcje alarmowe: F – wystrzelenie flar R – aktywacja radiolatarni

Zacząłem uruchamiać wszelkie możliwe kody, by odnaleźć ogólniejsze menu, ale to było wszystko – cała lista możliwości. Wspaniałe fantazje, których nie śmiałem do siebie dopuścić, krążyły wokół uzyskania dostępu do głównego komputera kutra, stamtąd natychmiast do sieci i zarchiwizowania nagranych wyznania AK w dwudziestu bezpiecznych

miejscach, z równoczesnym posyłaniem kopii na Konferencję Einsteinowską. Mieliśmy jednak do czynienia jedynie ze szczątkowym systemem alarmowym, prawdopodobnie wbudowanym tylko z powodu przepisów, po czym zapomnianym, kiedy ten, kto kupił jednostkę, wyposażał ją w odpowiedni sprzęt komunikacyjny i nawigacyjny.

Zapomnianym czy rozłączonym?

„Wpisałem” w powietrzu R.

Na wirtualnym ekranie pojawił się tekst prostego wezwania SOS. Wpisałem numer modelu kutra, numer seryjny, długość i szerokość geograficzną – jeżeli dobrze pamiętałem mapę Bezpieństwa, byliśmy bliżej wyspy niż początkowo sądziłem – i oświadczyłem, że „rozbitkowie” znajdują się w „głównej przestrzeni ładunkowej”. Nagle naszło mnie poważne podejrzenie, że gdybyśmy podjęli wysiłek przeszukania całej ładowni, znaleźlibyśmy drugi panel – z dwoma wielkimi jak pięść czerwonymi przyciskami, oznakowanymi *FLARY* i *RADIOLATARNIA* – nie chciałem się jednak nad tym zastanawiać.

Gdzieś na pokładzie zaczęła wyc syrena.

Kuwale było zaniepokojone.

– Co zrobiłeś? Ogłosiłeś alarm przeciwpożarowy?

– Nadałem SOS. Uznałem, że wystrzelenie flar może ściągnąć na nas kłopoty. – Zamknąłem panel i zacząłem zapinać zakrwawioną koszulę, jakby ukrycie dowodów mogło w czymkolwiek pomóc.

Po pokładzie biegł ktoś ciężki. Kilka sekund później syrena zamilkła. Po chwili uniesiono luk i w otworze pojawił się Trójka. Trzymał w dłoni broń, ale tak, jakby o niej zapomniał.

– Co chcieliście w ten sposób osiągnąć? Właśnie wysyłamy kod, że nastąpił fałszywy alarm, więc i tak nikt się nie zjawi. – Był nie tyle zły, ile rozbawiony. – Musicie jedynie siedzieć cicho i nie rozrabiać, a niedługo

będziecie wolni. Co powiecie na choćby minimalną współpracę? – Rozwinął drabinkę i zszedł na dół. Sam. Za jego plecami widać było pasmo bladego, porannego nieba, w którym zniknął satelita. Niestety nie miałem żadnej możliwości nadania mu sygnału. Trójka podniósł z podłogi dwa kawałki liny i rzucił je nam. – Siadajcie i zwiążcie sobie nogi. Jeśli dobrze to zrobicie, może dostaniecie śniadanie. – Ziewnął szeroko, po czym się odwrócił. – Giorgio! Anna! Pomóżcie mi!

Kuwale skoczyło na niego – jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś tak szybko się poruszał. Trójka uniósł broń i strzelił w udo. Kuwale zatoczyło się i ciągle w ruchu naprzód zrobiło piruet. Trójka celował prosto w niego, patrząc, jak zginają się pod nim kolana i opada głowa. Kiedy echo wystrzału opuściło moją czaszkę, dotarł do mnie chrapliwy oddech Kuwale.

Zacząłem obrzucać Trójkę przekleństwami, ledwie świadom, co wygaduję. Straciłem kontakt ze światem: chciałem wziąć ładownię, kuter, ocean i zmieść wszystko jednym ruchem ręki jak pajęczynę. Przyglądał mi się, zdziwiony, jakby nie umiał wyobrazić sobie, po co ten cały hałas. Zrobiłem jeszcze jeden krok i skierował na mnie pistolet.

Kuwale rzuciło się do przodu i przewróciło Trójkę. Zanim udało mu się wstać, Kuwale znów skoczyło i złapało go za rękę, walnęło jego prawą dłoń o podłogę. Przez chwilę stałem jak sparaliżowany, przekonany, że walka jest daremna, jednak rzuciłem się na pomoc.

Trójka musiał wyglądać jak pobłażliwy ojciec bawiący się z dwójką wojowniczych pięciolatek. Zacząłem szarpać za wystającą z jego potężnej dłoni lufę pistoletu, tak samo dobrze broń mogła być osadzona w marmurze. Zdawało się, że wstanie natychmiast po tym, jak odzyska oddech – z przyczepionym do siebie Kuwale albo i bez niego.

Kopnąłem go w głowę. Wściekle zaprotestował. Ponownie zaatakowałem to samo miejsce, zduszając w sobie odrazę. Skóra nad jego okiem pękła; z całej siły wbiłem obcas w ranę, równocześnie pchałem nogą i ciągnąłem za pistolet. Trójka zawył z bólu i puścił broń, po czym usiadł, odrzucając Kuwale na bok. Strzeliłem w podłogę za moimi plecami – w nadziei, że zniechęcę go do kolejnego jej użytku. Nad nami też strzelono. Uniosłem głowę. Dziewiętnastka – Anna? – leżała na brzuchu na skraju luku.

Wycelowałem w Trójkę, zrobiłem kilka kroków od tyłu. Wpatrywał się we mnie, zakrwawiony i rozzłoszczony – nadal jednak zaciekawiony; próbował zgłębić przyczynę mojej bezsensownej reakcji.

– Chcesz tego, tak? Rozplatania? Chcesz, by Mosala rozbiła świat. – Roześmiał się i pokręcił głową. – Już za późno.

– Nie ma potrzeby tego robić! – zawołała Anna. – Proszę... odłóż broń i za godzinę będziecie na Bezpaństwie. Nikt nie chce wam zrobić krzywdy.

– Przynieś mi działający notepad! – odkrzyknąłem. – Szybko! Masz dwie minuty, potem go zastrzelę. – Nie żartowałem, nawet jeśli to tylko przez chwilę, w której wypowiadałem te słowa.

Anna odpełzła od luku; kiedy rozmawiała z pozostałymi, rozległ się cichy, basowy pomruk.

Kuwale przykuśtykało do mnie. Z rany leciała wu krew; pocisk na pewno minął tętnicę udową, ale miało urywany oddech i wyraźnie potrzebowało pomocy.

– Nie zrobią tego – stwierdziło. – Będą wszystko przeciągać. Postaw się na ich miejscu.

– Ma rację – powiedział Trójka. – Niezależnie od tego, jaką wagę przykłada się do mojego życia... jeżeli Mosala zostanie Zwornikiem, i tak

wszyscy zginiemy. Próbując ją ratować, nie macie nic do zaoferowania, gdyż czemukolwiek zagroziecie, jest i tak stracone.

Spojrzałem w górę – w dalszym ciągu się spierali. Jeżeli mieli dość wiary w swoją kosmologię, by zabić Mosalę, poświęcić własne życie i zostać zadufanymi w sobie uciekinierami, ukrywającymi się na wiejskich terenach Mongolii albo Turkmenii bez praw do programu telewizyjnego, to groźba jeszcze jednej śmierci nie złamie ich przekonań.

– Wydaje mi się, że wasza praca aż się prosi o przeanalizowanie jej przez kogoś z zewnątrz.

Podąłem Kuwale broń, po czym zdjąłem koszulę i obwiązałem wu nogę. Sam przestałem już krwawić; rozerwana tkanka łączna wydzielala z siebie bezbarwną maść z antybiotyków i koagulantów.

Wróciłem do panelu i ponownie się podłączyłem. Systemu alarmowego nie dało się dezaktywować. Powtórzyłem więc SOS, po czym wystrzeliłem flary. Usłyszałem trzy głośne syki rozprężającego się gazu, po czym po przeciwległej ścianie zaczął się rozlewać bezlitosny, promieniujący blask, w którym zniknęło delikatne światło poranka. Brązowa patyna płam z alg straciła właściwości kamuflujące: pojawiły się krawędzie innego zagłębienia w ścianie, szpara między nim a zasłaniającą go pokrywą była kruczoczarna. Zajrzałem do środka; jak podejrzewałem, były tam dwa duże przyciski, do tego awaryjne źródło powietrza. Przy bliższym obejrzeniu na drzwiczkach, przez plamy, dał się dostrzec niewyraźny ślad dziwnego logo – kompletnie niezrozumiałego.

Rozmowa nad naszymi głowami ucichła. Miałem nadzieję, że nie spanikują i nie zaatakują nas.

Trójka wyraźnie zamierzał powiedzieć coś lekceważącego, trzymał jednak gębę na kłódkę. Nerwowo łypał okiem ku Kuwale – może uznał, że

to ono było fanatykiem chcącym Rozplatania, a ja jedynie zostałem wmanipulowany przez vu w całą sytuację.

Flara dotarła do najwyższego punktu, jej światło wypełniało ładownię.

– Nie rozumiem – odezwałem się. – Jak można chcieć zabić niewinną kobietę tylko dlatego, że komputer uznał, iż może ona sprowadzić Armagedon? – Trójka udął obojętność, jaką należy okazywać głupcom. – Sformułowaliście więc teorię, która może połączyć każdą TW. System, który może poprzez odpowiednią argumentację zlikwidować każdą fizykę, nie oszukujcie się jednak: to nie jest nauka. Tak samo dobrze moglibyście znaleźć sposób dodania kabalistycznych numerów symbolizujących *MOSALA*, by uzyskać 666.

– Spytaj Kuwale, czy to tylko kabalistyczna paplanina. Spytaj vo o Kinszasę w czterdziestym trzecim.

– To znaczy?

– To jedynie... apokryficzne pieprzenie w bambus – stwierdziło Kuwale. Było złane potem i zaczynało zdradzać pierwsze objawy wstrząsu. Wziąłem od niego pistolet i posadziłem vo pod ścianą.

– Spytaj vo, jak zmarł Muteba Kazadi – zaproponował Trójka.

– Miał siedemdziesiąt osiem lat – odparłem. Próbowałem sobie przypomnieć, co biografowie mówili o jego śmierci, ale wobec jego wieku nie zwróciłem przy czytaniu wielkiej uwagi na ten fakt. – Wydaje mi się, że słowa, których szukamy, brzmią: „udar mózgu”.

Trójka roześmiał się z niewiarą, a mnie przeszedł dreszcz. Oczywiście, że za ich przekonaniem kryło się więcej niż jedynie teoria informacji – dla uzasadnienia wszystkiego, dowiedzenia, że abstrakcja ma ręce i nogi, musieli mieć w zanadrzu przynajmniej jedną mityczną śmierć spowodowaną przez zakazaną wiedzę.

– W porządku, jeśli jednak Muteba nie zniszczył wszechświata... odchodząc... dlaczego miałyby to zrobić Mosala? – spytałem.

– Muteba nie był teoretykiem TW, nie mógłby zostać Zwornikiem. Nikt nie wie dokładnie, co robił, wszystkie jego notatki zaginęły, niektórzy z nas uważają jednak, że znalazł sposób połączenia się z informacją – a kiedy do tego doszło, wstrząs go pokonał.

Kuwale pogardliwie prychnęło.

– Co ma oznaczać „połączenie się z informacją”? – spytałem.

– Każda struktura fizyczna zawiera informację, ale w normalnym przypadku o jej zachowaniu się decydują wyłącznie prawa fizyki – odpowiedział Trójka i uśmiechnął się. – Zrzuć razem po egzemplarzu Biblii i *Matematycznych zasad* i będą przez cały czas spadać obok siebie. To, że prawa fizyki są równocześnie informacją, jest niewidoczne, nieistotne. Są tak absolutne jak czasoprzestrzeń Newtona – nie uczestnik, a stałe tło. Nic nie jest jednak czyste, niezależne. Przy dużej prędkości czas i przestrzeń mieszają się. Makroskopowe możliwości mieszają się na poziomie kwantowym. Cztery siły mieszają się w wysokiej temperaturze. A fizyka i informacja mieszają się... nie wiadomo jak. Grupa symetrii nie jest jasna – proces może być jednak wyzwolony bez trudu za pomocą czystej wiedzy, wiedzy z zakresu kosmologii informacji zakodowanej w ludzkim mózgu, tak jak przez każdy krańcowy bodziec fizyczny.

– I co wtedy?

– Trudno przewidzieć. – W świetle flary krew na jego twarzy przypominała błonę płodową, jaka zostaje noworodkowi na głowie zaraz po urodzeniu się, tyle że czarną. – Może... ukáže najgłębsze zjednoczenie: dokładnie ujawni, w jaki sposób wyjaśnienie tworzy fizykę – i vice versa. Zawiruje wektorem, obróci całą ukrytą maszynę tak, że stanie się widoczna.

– Naprawdę? Jeżeli Muteba doznał tak wielkiego kosmicznego objawienia, skąd wiesz, że nie przemieniło go tuż przed śmiercią w Zwornik? – Prawdopodobnie jedynie strzepiłem sobie język, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie próbować ratować Mosali.

Trójka skrzywił się w półuśmiechu z mojej ignorancji.

– Nie sądzę. Widziałem modele kosmosu informatycznego ze Zwornikiem, który się zmieszał, i wiem, że nie żyjemy w tym wszechświecie.

– Dlaczego?

– Ponieważ po momencie alef pociągnąłby wszystkich za sobą. W tempie wykładowym: jedna osoba by się zmieszała, potem dwie, cztery, osiem... gdyby to właśnie zaszło w czterdziestym trzecim, do dziś wszyscy byśmy podążyli śladami Muteby Kazadiego. Wszyscy wiedzielibyśmy z pierwszej ręki, co go zabiło.

Flara opadła, ponownie zatapiając ładownię w mroku. Wezwałem Świadka, natychmiast adaptując wzrok do zmienionych warunków.

– Andrew! Posłuchaj! – powiedziało Kuwale.

Przez poszycie kadłuba przebijało się basowe, rytmiczne pulsowanie, które coraz bardziej narastało. W końcu rozpoznałem silnik magnetohydrodynamiczny – nie był to nasz.

Czekałem, chory z niepewności. Ręce zaczęły mi drżeć tak samo silnie, jak drżało całe Kuwale. Po kilku minutach w oddali rozległy się krzyki. Nie dało się rozróżnić słów, ale doszły na pewno nowe głosy – z polinezyjskim akcentem.

– Trzymajcie gęby na kłódkę albo oni wszyscy będą musieli zginąć – spokojnie powiedział Trójka. – A może Violet Mosala jest dla was więcej warta od kilkunastu farmerów?

Wpatrywałem się w niego, kręciło mi się w głowie. Czy reszta AK myśli podobnie? Ile ludzi musieliby zabić, by dostrzec, że być może popełnili błąd? A może przyjęli rachunek moralny, w którym nawet najmniejsze prawdopodobieństwo Rozplatania stanowi przeciwwagę dla każdego przestępstwa, dowolnego okrucieństwa?

Głosy zbliżyły się, silnik przestał pracować – jakby łódź rybacka przybiła do naszej burty. W oddali słychać było zbliżanie się kolejnej jednostki.

Łapałem kawałki rozmowy: „Wypożyczyłam wam tę łódź, więc to moja odpowiedzialność. System alarmowy nie powinien błędnie zadziałać”. Mówiła to kobieta – jej głos był niski, przepełniony zdziwieniem, rzeczowy, uparty. Popatrzyłem na Kuwale – miało zamknięte oczy, mocno zaciskało zęby. Widok tego bólu mocno mną poruszał – nie ufałem w to, co zaczynam wobec tego czuć, ale nie było to istotne. Potrzebowało leczenia, musieliśmy się stąd wydostać.

Jeżeli krzyknę... ile osób narażę?

Zbliżał się trzeci kuter. SOS... fałszywy alarm... SOS... flary. Cała miejscowa flota zdawała się przekonana, że sprawa jest na tyle dziwna, by warto się było temu bliżej przyjrzeć. Nawet jeżeli przybysze byli bez broni, mieli znaczną przewagę liczebną nad AK.

Podniosłem głowę i krzyknąłem:

– Tutaj!

Trójka stężał, jakby zamierzał się poruszyć. Strzeliłem w podłogę tuż obok jego głowy i zamarł. Poczulem mdłości, zacząłem czekać na salwę z broni maszynowej. Chyba oszalałem – co ja zrobiłem?

O pokład załomotały ciężkie kroki, dołączyły się kolejne okrzyki.

W luku pojawiły się Dwudziestka i Polinezyjka w granatowym kombinezonie.

Farmerka popatrzyła na nas ze zmarszczonym czołem.

– Jeżeli grozili wam przemocą, zbierzcie dowody i przekażcie je sędziemu na wyspie. Bez względu jednak na to, co tu się zdarzyło, nie uważacie, że lepiej by było, gdyby strony zostały rozdzielone?

Dwudziestka udała oburzenie.

– Ukryli się na pokładzie, zaczęli nam grozić bronią palną, wzięli zakładnika! Myślicie, że wam ich oddamy, byście mogli puścić ich wolno?!

Farmerka popatrzyła prosto na mnie. Nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa, ale spojrzałem jej w oczy i opuściłem broń. Znów – najspokojniej w świecie – zwróciła się do Dwudziestki: – Z przyjemnością zeznam w waszej sprawie i powiem, co widziałam, jeżeli więc zechcą zwolnić zakładnika i pójść z nami, macie moje słowo, że sprawiedliwości stanie się zadość.

W luku pojawiło się jeszcze czterech farmerów. Kuwale, które siedziało cały czas pod ścianą, uniosło rękę i zawołało coś po polinezyjsku. Jeden z farmerów roześmiał się głośno i coś odkrzyknął. Nabrałem nadziei. Kuter był pełen ludzi, a wobec perspektywy masakry AK odpuścili.

Wsadziłem pistolet do kieszeni.

– Może iść wolno! – krzyknąłem. Trójka wstał. Miał bezczelną minę.

– Ona i tak już nie żyje – powiedziałem cicho do niego.

– Tak twierdziłeś. I tak już zostaliście zbawcami wszechświata.

– Dotknąłem brzucha. – Nie zapomnij o swoim miejscu w historii. Nie zszargajcie teraz waszego wizerunku.

Trójka wymienił się spojrzeniami z Dwudziestką, po czym zaczął się wspinać po sznurowej drabince.

Rzuciłem pistolet w kąt ładowni, po czym poszedłem pomóc Kuwale. Złapało się drabinki, a następnie zaczęło się powoli wspinać. Wspinałem się za vim, z nadzieją, że uda mi się go złapać, jeżeli straci chwyt.

Na pokładzie musiało być ze trzydziestu farmerów – i ośmiu AK, w większości z bronią, ale byli znacznie bardziej napięci od nie uzbrojonych anarchistów. Na myśl o tym, co mogło tu się zacząć dziać, ogarnęło mnie przerażenie. Rozejrzałem się za Helen Wu, nigdzie jej jednak nie było. Czyżby wróciła w nocy na wyspę, by dopilnować śmierci Mosali? Nie słyszałem odpływającej łodzi, ale mogła przecież założyć strój do nurkowania i odpłynąć na zbieraczu.

Kiedy ruszyliśmy do łączącego oba statki trapu, Dwudziestka zawołała: – Tylko nie myśl, że uda ci się odejść z ukradzioną cudzą własnością!

Farmerka traciła cierpliwość, odwróciła się do mnie.

– Możesz wyjąć wszystko z kieszeni i oszczędzić nam czasu? Twój przyjaciel potrzebuje lekarza.

– Wiem.

Dwudziestka podeszła do mnie. Rozejrzała się znacząco wokół, co mnie zmroziło. Jeszcze nie było po wszystkim. Mieli nadzieję, że cokolwiek zrobili Mosali, było to w tej chwili nieodwracalne... brakowało im jednak co do tego pewności i raczej woleliby zacząć strzelać, niż wypuścić mnie z nagraniem dowodzącym, że niebezpieczeństwo jest prawdziwe.

Znali Mosalę aż za dobrze. Nie miałem pojęcia, jak ją przekonam bez tego materiału – już raz uznała, że robię panikę.

Nie miałem wyboru. Wezwałem Świadka i wykasowałem wszystko.

– W porządku. Skasowane.

– Nie wierzę ci.

Wskazałem na wystający przewód.

– Podłącz notebook, zrób spis. Sprawdź sama.

– To nie dowód. Mogłeś wszystko sfalszować.

– W takim razie czego chcesz? Wsadzić mnie do pola mikrofalowego i usmażyć cały RAM?

Powoli pokręciła głową.

– Nie mamy tutaj odpowiedniego sprzętu. Popatrzyłem na łączący burty trap, poskrzypujący od kołysania się kutrów na łagodnej fali.

– W porządku. Puśćcie Kuwale, ja zostanę.

– Nie... – jęknęło Kuwale. – Nie możesz zaufać... Dwudziestka przerwała vu.

– To jedyny sposób. Masz moje słowo, że kiedy będzie po wszystkim, zostaniesz odwieziony cały i zdrowy na Bezpaństwo.

Spokojnie mi się przyglądała i o ile umiałem ocenić, mówiła to, co myślała. Kiedy Mosala zginie, będę wolny.

Jeżeli jednak przeżyje i dokończy TW – dowodząc, że ci ludzie są niczym innym jak mordercami i spiskowcami – co pomyślą o wybranym przez siebie posłańcu?

Opadłem na kolana. Im szybciej zacznę, tym prędzej będzie po wszystkim.

Owinąłem światłowód wokół dłoni i zacząłem wyciągać kości pamięci z brzucha. Rana pozostawiona po usunięciu portu optycznego była za mała, ale owalne kapsułki, w których poumieszczano pamięć, powiększyły otwór i zaczęły się pojawiać na zewnątrz, jedna po drugiej, niczym błyszczące segmenty dziwaczego cybernetycznego pasożyta, który walczył o pozostanie w organizmie gospodarza. Farmerzy cofnęli się, zaniepokojeni i zdziwieni. Im głośniej krzyczałem, tym mniej bolało.

Procesor pojawił się na końcu – najbardziej zagłębiona głowa robala; ciągnął za sobą cienki złoty przewód podłączony do mojego rdzenia kręgowego, a przez niego z mózgiem. Oderwałem drut tuż przy procesorze, wstałem i zgiałem się wpół, przyciskając pięść do poszarpanej dziury.

Pchnąłem zakrwawioną zdobycz stopą w kierunku Dwudziestki. Nie mogłem stać na tyle prosto, by spojrzeć jej w oczy.

– Możesz iść. – Była wstrząśnięta, ale nie skruszona. Ciekawe, jaki rodzaj śmierci wymyśliła dla Mosali. Bez wątpienia coś czystego i bezbolesnego: z szybkim przejściem do bajkowej śpiączki, bez kropli krwi, gówna ani rzygowin.

– Kiedy skończycie, przyślij mi to pocztą. Jeśli nie, znajdzie cię dyrektor mojego banku.

..24..

Skaning nogi Kuwale ujawnił poszarpane naczynia krwionośne i zerwane więzadła – ścieżka zniszczeń, niczym ślad po rozbitym samolocie, prowadziła do pocisku z tyłu tego uda. Obserwowało ekran z ponurym rozbawieniem, pot spływał wu po twarzy i czytało, jak antyczny program uzasadnia diagnozę, podając w ostatniej linii: „Prawdopodobnie rana postrzałowa”.

– Boże, postrzelono mnie!

Jeden z farmerów, Prasad Jwala, oczyścił i opatrzył nam rany i napompował nas (zdjętymi z półki) lekami, mającymi ograniczyć krwawienie, zapobiec zakażeniu i wstrząsowi. Jedynymi silnymi środkami przeciwbólowymi na pokładzie były prymitywne syntetyczne opiaty, które tak mnie nakręciły, że nawet gdyby zależała od tego przyszłość wszechświata, nie byłbym w stanie spójnie opowiedzieć o planach AK. Kuwale straciło przytomność; siedziałem obok tego i fantazjowałem o tym, jak zbieram myśli.

Na szczęście mocno mi obandażowano brzuch, bo miałem ogromną ochotę sięgnąć przez bramę, którą zrobiłem, do środka i zbadać maszynię, która we mnie została: ciasne, gładkie sploty jelit; demonicznego węża, którego ujarzmił magiczny pocisk podany mi przez Kuwale; ciepłą, przepelnioną krwią wątrobę; dziesięć miliardów mikroskopijnych fabryk enzymów wszczepionych w krwiobieg; nielegalne farmako wydzielające wszystko, co nakazała mu chemiczna intuicja. Chciałem wyciągnąć każdy ciemny, tajemniczy narząd, jeden po drugim, na światło dzienne i układać je

przed sobą w odpowiedniej konstelacji, aż stałbym się powłoką ze skóry i mięśni.

Po mniej więcej piętnastu minutach fabryki enzymów w moim wnętrzu zaczęły wreszcie rozkładać opiaty; powoli wracałem z cukierkowego raj. Poprosiłem o notepad – Jwala dał mi swój, po czym wyszedł na pokład.

Natychmiast udało mi się połączyć z Karin De Groot. Opowiedziałem wszystko jedynie w zarysie. Wysłuchała mnie w milczeniu – mój wygląd dodał opowieści nieco wiarygodności.

– Musisz namówić Violet na powrót do cywilizacji. Nawet jeśli nie jest przekonana o niebezpieczeństwie, co ma do stracenia? Może przecież przysłać końcowy artykuł z Cape Town.

– Uwierz mi, że poważnie podejdzie do każdego twojego słowa – odparła. – Wczoraj zmarł Yasuko Nishide. Na zapalenie płuc – w końcu był bardzo słaby – ale Violet jest wstrząśnięta. Widziała analizę genomu cholery zrobioną przez renomowane laboratorium w Bombaju, mimo to...

– Wylecisz z nią? – Śmierć Nishide zasmucała, ale utrata pewności siebie przez Mosalę było doskonałą wiadomością. – Wiem, to ryzykowne, może zachorować w samolocie, ale...

– Posłuchaj – przerwała mi De Groot. – Kiedy was nie było, mieliśmy kilka problemów. Nikt nigdzie nie polec.

– Dlaczego? O jakie problemy chodzi?

– Statek pełen... najemników, nie wiem... pojawił się w nocy na wyspie. Opanowali lotnisko.

Jwala wrócił sprawdzić, co z Kuwale, i usłyszał ostatni fragment rozmowy.

– *Agents provocateurs* – wtrącił drwiąco. – Raz na kilka lat banda małych w skrojonych przez kreatorów mody strojach kamuflujących pojawia się, by narobić kłopotów... ponosi fiasko i odlatuje. – Był tak samo mały

przejęty jak mieszkaniec demokracji parlamentarnej skarżący się na okresowe zakłócenia kampanii wyborczych. – Widziałem ich wczoraj wieczór, jak wpływali do portu. Byli uzbrojeni po zęby, więc musieliśmy ich przepuścić. – Uśmiechnął się. – Czeka ich jednak kilka niespodzianek. Daję im góra pół roku.

– Pół roku? Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie trwało to dłużej.

Statek pełen najemników próbujących narobić kłopotów – ten sam, który staranował AK? W każdym razie Dwudziestka i jej kumple musieli rano wiedzieć, że lotnisko jest zamknięte, a moje zeznanie niewiele zmieni los Mosali.

Nie mogło to nastąpić w gorszym czasie, ale niezbyt mnie zaskakiwało. Konferencja Einsteinowska podniosła prestiż Bezpaństwa, a planowana emigracja Mosali stworzyłaby jeszcze bardziej kłopotliwą sytuację; EnGeneUity i ich sojusznicy nie próbowaliby jednak jej zabić, by nie uczynić z niej męczennicy – tak samo nie rozpuściliby wyspy, powodując jej spłynięcie do oceanu, bo wystraszyliby legalnych klientów płacących im corocznie miliardy dolarów. Mogli jedynie spróbować – po raz ostatni – doprowadzić do załamania systemu społecznego Bezpaństwa i udowodnić światu, że cały naiwny eksperyment od początku był skazany na porażkę.

– Gdzie jest teraz Violet? – spytałem.

– Rozmawia z Henrym Buzzo. Próbuje go przekonać, by pojechał z nią do szpitala.

– Dobry pomysł. – Zaabsorbowany planami umiarkowanych, zapomniałem, że Henry Buzzo też był zagrożony, a Mosala na dwóch frontach. Ekstremiści właśnie odnieśli zwycięstwo w Kioto i bez względu na to, kto zaraził mnie cholerą podczas lotu z Sydney, był teraz

prawdopodobnie w Bezpaństwie i szukał szansy naprawienia pierwszej, nieudanej próby.

– Natychmiast przekazę im naszą rozmowę – powiedziała De Groot.

– I daj kopię ochronie.

– Dobrze, choć wątpię, czy to cokolwiek zmieni. – Wydawała się znacznie lepiej znosić stres ode mnie. Dodała sarkastycznie: – Jak na razie nie ma śladu Helen Wu w stroju pławonurka, ale będę cię informować na bieżąco.

Umówiliśmy się w szpitalu. Rozłączyłem się i zamknąłem oczy, walcząc z chęcią odpłynięcia z powrotem w kojącą mgłę opiatową.

Kiedy lotnisko było otwarte, AK potrzebowali pięciu dni na przemycenie leku dla mnie. Po tym, co przeszedłem, nie miałem ochoty ot tak pogodzić się z faktem, że Violet Mosala jest chodzącymi zwłokami; jeżeli jednak w ciągu dnia albo góra dwóch nie dojdzie do kontraktaku afrykańskich *technoliberateurs*, znajdujących się dziesiątki kilometrów stąd... nie widziałem nadziei, by przeżyła.

Kiedy kuter zbliżał się do północnego portu, siedziałem i pilnowałem Akili. Miałem wielką ochotę wziąć go za rękę, bałem się jednak pogorszyć sytuację. Jak mogłem poczuć coś do kogoś, kto chirurgicznie usunął sobie nawet możliwość pożądania?

Najwyraźniej nie było to takie trudne: wspólnie przeżyty ciężki uraz, intensywne doświadczenie, mącący w głowie brak sygnałów płciowych... żadna tajemnica. Ludzie ciągle zadurzali się w aseksach. Bez wątpienia wkrótce mi przejdzie – kiedy zaakceptuję prosty fakt, że nic, co czuję, nie może być odwzajemnione.

Po chwili stwierdziłem, że nie jestem w stanie dłużej patrzeć na tego twarz – zbyt mnie to bolało. Zacząłem obserwować linie na monitorze przy

łóżku, słuchać każdego płytkiego wydechu i próbować zgłębić, dlaczego ból, który czuję, nie chce słabnąć.

Podobno tramwaje nadal jeździły, ale jedna z farmerek zaproponowała, że podwiezie nas do miasta.

– Będzie szybciej niż czekać na karetkę – stwierdziła. – Na wyspie jest tylko dziesięć. – Była młodą Fidżyjką i nazywała się Adelle Vunibobo, przypominałem sobie, że była jedną z osób, które zaglądały do ładowni kutra będącego naszym więzieniem.

Kuwale siedziało między nami w kabinie ciężarówki, w pół przebudzone, ale w dalszym ciągu otumanione. Obserwowałem, jak rozrzucone wokół jasne fragmenty koralu znikają, co przypominało pokazywany na szybkim podglądzie film ze sprasowywania się raf.

– Ryzykowałeś życie – powiedziałem.

– SOS na morzu jest traktowane bardzo poważnie – odparła. Mówiła nieco drwiąco, jakby chciała zbagatelizować sprawę.

– To szczęście, że nie byliśmy na lądzie – stwierdziłem.

– Widzieliście jednak, że kuter nie jest w niebezpieczeństwie. Załoga powiedziała wam, byście się zwijali i zajęli własnymi sprawami. Podkreśliła to machaniem bronią.

Przyjrzała mi się z zaciekawieniem.

– Uważasz, że to było lekkomyślne? Głupie? Nie ma tu policji. Kto by wam pomógł?

– Nikt.

Skoncentrowała się na nierównym terenie przed nami.

– Pięć lat temu płynęłam kutrem rybackim, który się przewrócił. Złapał nas sztorm. Byłam z rodzicami i siostrą. Rodzice stracili przytomność i natychmiast utonęli, z siostrą spędziłyśmy dziesięć godzin w oceanie, kopiąc wodę i podtrzymując się na zmianę.

– To straszne. Sztormy cieplarniane zabrały tyle ofiar... Jęknęła.

– Nie oczekuję współczucia, chcę tylko wyjaśnić. Zamilkłem. Po jakimś czasie znów zaczęła mówić: – Dziesięć godzin. Do dziś mi się to śni. Dorastałam na kutrze rybackim, widywałam sztormy zmywające całe wsie i sądziłam, że wiem, co czuję do oceanu, ten czas z siostrą w wodzie wszystko jednak zmienił.

– W jaki sposób? Czujesz większy respekt, bardziej się boisz? Vunibobo niecierpliwie pokręciła głową.

– Mam więcej kamizelek ratunkowych, ale nie o to chodzi.

– Skrzywiła się, po czym dodała: – Mógłbyś coś dla mnie zrobić? Zamknij oczy i spróbuj wyobrazić sobie świat. Całe dziesięć miliardów ludzi naraz. Wiem, że to niemożliwe, ale spróbuj.

Byłem zaskoczony, nie protestowałem jednak.

– W porządku.

– Teraz opisz, co widzisz.

– Widok Ziemi z kosmosu. Raczej szkic niż zdjęcie. Północ jest na górze. W środku Ocean Indyjski, ale widok rozciąga się od Afryki Zachodniej po Nową Zelandię, od Irlandii po Japonię. Wszędzie są tłumy ludzi – oczywiście nie w skali – stoją na wszystkich kontynentach i wyspach.

Otworzyłem oczy. Usunąłem z mapy jej stary i nowy dom, nie było to jednak chyba ćwiczenie uświadamiające, polegające na marginalizacji potęgi geograficznych reprezentacji.

– Sama też kiedyś coś takiego widziałam, ale od wypadku to się zmieniło – stwierdziła Vunibobo. – Teraz, kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie świat, widzę tę samą mapę, te same kontynenty, ale ląd nie jest lądem. To, co wygląda na ląd, jest zbitą masą ludzi, lecz suchy teren nie istnieje, nie ma gdzie stać. Wszyscy tkwimy w oceanie, kopiemy wodę,

podtrzymujemy się nawzajem. Tak się rodzimy i tak umieramy. Walcząc o utrzymanie się nad falami. – Roześmiała się, nagle zawstydzona, zaraz jednak stwierdziła: – No cóż, proszę o wyjaśnienie...

– Zgadza się.

Olśniewające fragmenty korała zmieniły się w rzeki wyblakłego wapiennego mułu, skała rafowa wokół nas połyskiwała delikatnymi zieleniami i srebrnymi szarościami. Ciekawe, jak na to samo pytanie odpowiedzieliby pozostali farmerzy. Prawdopodobnie otrzymałbym kilkanaście różnych odpowiedzi – istnienie Bezpaństwa zdawało się opierać na zasadzie ugody co do reguł, choć z różnych powodów. Powstawała w ten sposób suma wzajemnie sprzecznych topologii, sprawiająca, że całkowanie praprzestrzeni można było odłożyć ad acta. Nie było narzuconej z góry polityki, filozofii, religii, idiotycznego zachwytu flagami i symbolami – a mimo to wyłaniał się porządek.

Wciąż nie umiałem zdecydować, czy jest to cud, czy wręcz odwrotnie – nie ma w tym nic tajemniczego. Porządek pojawia się i utrzymuje jedynie wtedy, gdy odpowiedni odsetek ludzi do niego dąży. Każda demokracja jest czymś na kształt anarchii w zwolnionym tempie: przy odpowiedniej ilości czasu mogą zostać zmienione wszystkie statuty, wszelkie konstytucje, zerwany może zostać każdy – pisany lub niepisany – kontrakt społeczny. Ostatecznie bezpieczne sieci oznaczają inercję, apatię i zamroczenie. Na Bezpaństwie mieli – prawdopodobnie szaleńczą – odwagę rozplatania węzła politycznego do najprostszej postaci, spojrzenia na pozbawione ozdobników struktury władzy i odpowiedzialności, tolerancji i ugody.

– Uratowałaś mnie przed utonięciem. Jak mogę się odwdziżyć? – spytałem.

Vunibobo popatrzyła na mnie, by oszacować, na ile poważnie pytam.

– Kiedy pływasz, bardziej się staraj. Pomóż nam utrzymać się na powierzchni.

– Spróbuję. Jeżeli będę miał szansę. Uśmiechnęła się, słysząc tę warunkową obietnicę.

– Właśnie płyniemy prosto w sztorm – odparła. – Chyba będziesz miał szansę.

Spodziewałem się, że ulice w centrum wyspy będą opustoszałe, na pierwszy rzut oka niewiele się jednak zmieniło. Nie widziałem objawów paniki, kolejek ludzi robiących zapasy, zabitych deskami witryn sklepowych. Kiedy mijaliśmy hotel, okazało się, że skończył się festiwal Renesansu Mistycznego; nie byłem jedynym turystą cierpiącym na nagłą potrzebę stania się niewidzialnym. Po moim powrocie na kuter przekazano mi, że podczas zajmowania lotniska jedna kobieta została lekko ranna, ale większość obsługi po prostu poszła sobie do domu. Munroe mówił co prawda, że na wyspie istnieje milicja, która bez wątpienia przeważała liczebnie nad siłami inwazyjnymi, nie miałem jednak pojęcia, jak wygląda jej uzbrojenie, wyszkolenie i dyscyplina. Jak na razie najemnicy wydawali się zadowoleni, że udało im się zająć pozycje na lotnisku; lecz jeżeli ich celem był nie tylko pokaz władzy, a wywołanie na Bezpaństwie „anarchii”, miałem nieprzyjemne podejrzenie, że wkrótce dojdzie do czegoś mniej miłego od bezkrwawego zajęcia strategicznych miejsc.

W szpitalu panowała spokojna atmosfera. Vunibobo pomogła mi zaprowadzić Kuwale do budynku. Uśmiechało się z rozmarzeniem i próbowało kuśtykać, ale musieliśmy się oboje starać, by nie poleciało na pysk. Prasad Jwala przesłał do szpitala skan rany postrzałowej Kuwale i kiedy przybyliśmy, czekała przygotowana sala operacyjna. Patrzyłem, jak wwożą go na łóżku do środka i próbowałem się przekonać, że czuję ten sam

niepokój, jaki bym czuł w przypadku każdej innej osoby. Vunibobo pożegnała się.

Po odstaniu w kolejce na oddziale urazowym zostałem zszyty przy znieczuleniu miejscowym. Wyciągając kostki pamięci, zniszczyłem stworzony bioinżynieryjnie wszczep, który przyspieszyłby gojenie się i utworzył dobre zamknięcie, ale medyczka, która się mną zajmowała, zapakowała do rany gąbczasty antybakteryjny polimer węglowodorowy, który miał się powoli rozkładać pod działaniem czynników wzrostu uruchamianych przez ciało wokół. Spytała, co spowodowało ranę. Powiedziałem prawdę i wyraźnie jej ulżyło.

– Zaczynałam się zastanawiać, czy coś nie wygryzło się na zewnątrz.

Wstałem ostrożnie i choć byłem odrętwiały w okolicy brzucha, czułem, że ściągnięta wokół dziury skóra i mięśnie szarpia każdy, nawet najodleglejszy kawałek mojego ciała.

– Próbuj unikać wszystkich gwałtownych ruchów brzucha. I śmiechu.

De Groot i Mosala czekały w pomieszczeniu przylegającym do oddziału obrazowania medycznego. Mosala wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną, ciepło się jednak ze mną przywitała, uścisnęła moją dłoń i klepnęła mnie w ramię.

– Wszystko w porządku, Andrew?

– Da się żyć, ale w reportażu będzie niewielka dziura. Uśmiechnęła się.

– Właśnie skanują Henry’ego. Moje dane ciągle jeszcze są w trakcie analizy, trochę może to trochę potrwać. Szukają obcych białek, jest jednak nieco wątpliwe, czy uda im się uzyskać odpowiednią rozdzielczość. Tutejszy sprzęt jest kupiony z drugiej ręki i ma dwadzieścia lat. – Objęła się ramionami i spróbowała roześmiać. – Jeżeli zamierzam tu mieszkać, lepiej będzie, jeżeli przyzwyczaję się do tutejszych możliwości.

– Nikt, z kim rozmawiałam, nie widział Helen Wu od wczorajszego wieczora – powiedziała De Groot. – Ochroniarze sprawdzili jej pokój – był pusty.

Mosala ciągle zdawała się zaskoczona faktem zdemaskowania Helen Wu.

– Dlaczego się zbratała z antrokosmologami? Jest błyskotliwym teoretykiem, a nie pseudonaukowym pieczeniarem! Mogę pojąć, że pewni ludzie, stwierdzając, iż nie bardzo rozumieją szczegóły, uznają pracę nad TW za nieco mistyczną działalność, ale Helen rozumie to, co robię, niemal lepiej ode mnie! – Powstrzymałem się z komentarzem. Nie była to najlepsza chwila na wykazywanie, iż to jedynie połowa problemu. – Jeśli chodzi o zbirów, którzy zabili Yasuko, to na popołudnie zwołałam konferencję prasową, w trakcie której podkreślę problemy wynikające z obliczeń Henry’ego Buzzo i co to oznacza dla TW. Powinno to pomóc im się skupić, choć mają małe umysły. – Mówiła z pozoru spokojnie, krzyżowała jednak ramiona na piersi, jedną ręką ścisnęła nadgarstek drugiej, próbując zamaskować drobne drżenie. – A kiedy ogłoszę w piątek rano moją TW... będą się mogli pożegnać ze swoją transcendencją.

– W piątek rano?

– Algorytmy Serge’a Bischoffa działają cuda. Obliczenia zostaną zakończone jutro wieczór.

– Jeżeli okaże się, że zostałam zakażona biobronią – i nie będziesz mogła pracować – czy ktoś inny może zinterpretować wyniki i zebrać wszystko do kupy?

Mosala wzdrygnęła się.

– O co mnie prosisz? O wskazanie następcy, który stanie się kolejnym celem?

– Nie, ale jeżeli twoja TW zostanie dokończona i ogłoszona, umiarkowani będą musieli przyznać, że to dowód, iż nie mają racji – i wtedy pojawi się szansa, że przekażą antidotum. Nie proszę o ogłaszanie nazwiska, ale gdybyś mogła zadbać o to, by ktoś dokończył...

– Nie muszę tym ludziom niczego udowadniać – powiedziała lodowatym tonem Mosala. – Nie będę także ryzykować niczyjego życia, próbując to zrobić.

Zanim zdążyłem coś odrzec, zapiszczał notepad De Groot. Szef ochrony konferencji, Joe Kępa, obejrzał kopię mojego telefonu z kutra rybackiego i chciał ze mną rozmawiać. Osobiście i natychmiast.

W niewielkiej sali konferencyjnej na najwyższym piętrze hotelu – w towarzystwie dwóch potężnych umęczonych – Kępa dręczył mnie przez niemal trzy godziny, pytając o wszystko aż do chwili, gdy wyżebrałem od SeeNetu przydzielenie mi reportażu. Widział już zeznania kilku farmerów dotyczące wydarzeń na kuznie AK (umieścili je bezpośrednio w lokalnych sieciach wiadomości) i analizę cholery, ale nadal był wściekły i podejrzliwy, nadal starał się poszarpać moją opowieść na kawałki. Byłem urażony wrogim traktowaniem, trudno było jednak się dziwić. Do chwili zajęcia lotniska, jego największym problemem byli uliczni grajkowie w strojach kłownów; teraz wokół hotelu mogło się zdarzyć wszystko, aż po pełne działania militarne. Gadka o teoretykach informacji uzbrojonych w amatorskiej roboty biobroni skierowaną przeciwko najważniejszemu fizykom konferencji musiała brzmieć dla niego jak chory żart.

Kiedy powiedział, że przesłuchanie skończone, miałem wrażenie, że go przekonałem. Był bardziej wściekły niż przedtem.

Moje zeznanie nagrano zgodnie z międzynarodowymi standardami wymiaru sprawiedliwości: każdą kłatkę ostemplowano centralnie generowanym kodem czasowym, a zakodowaną kopię wysłano do

Interpolu. Poproszono mnie o przejrzenie protokołu dla sprawdzenia, że nic nie zostało zmanipulowane, po czym elektronicznie się podpisałem. Nie zamierzałem przeglądać całych trzech godzin – rzuciłem okiem jedynie na kilka przypadkowo wybranych miejsc.

Wróciłem do pokoju i wziąłem prysznic. Odruchowo osłaniałem świeżo zabandażowaną ranę, choć nie trzeba jej było chronić przed wilgocią. Luksus ciepłej wody i solidność prostej, acz eleganckiej dekoracji, zdawały się całkowicie surrealistyczne. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej planowałem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc Mosali złamać bojkot, głównie tak montując reportaż, aby centralnym punktem stała się jej emigracja, co mogłem jednak zrobić dla *technoliberation* teraz? Kupić zewnętrzną kamerę i kręcić aż do chwili bezsensownej śmierci Mosali, podczas gdy Bezpaństwo waliłoby się w gruzy? Tego chciałem? Odrzucić iluzję obiektywizmu i spokojnie rejestrować?

Przyjrzałem się sobie w lustrze. Komu mogłem się jeszcze do czegokolwiek przydać?

W pokoju był telefon, zadzwoniłem do szpitala. Nie było problemów z operacją, ale Akili jeszcze odsypiało narkozę. Postanowiłem tak czy siak go odwiedzić.

Kiedy szedłem holem, akurat kończyły się poranne sesje. Konferencja trwała dalej zgodnie z planem – choć ekrany informowały o zaplanowanym na popołudnie nabożeństwie żałobnym za Nishide – ale uczestnicy byli wyraźnie zdenerwowani i przygaszeni, rozmawiali cicho w małych grupkach albo rozglądali się ukradkowo, jakby mieli nadzieję usłyszeć coś ważnego o okupacji, nawet nie sprawdzonego.

Dostrzegłem grupę dziennikarzy, ludzi, których trochę znałem. Dołączyłem do nich w celu wymiany najświeższych plotek. Wyglądało na to, iż panuje zgoda co do perspektywy ewakuacji obcokrajowców – przez

marynarke USA (Nowej Zelandii albo Japonii) – co winno nastąpić w ciągu kilku dni, choć nikt nie miał na to dowodu.

– Jest tutaj troje amerykańskich laureatów Nagrody Nobla – powiedział z wielką pewnością siebie David Connolly, fotograf Janet Walsh. – Uważacie, że pozwoli się im tkwić tu w nieskończoność, podczas gdy Bezpaństwo będzie się rozpadać?

Kolejna zgodność poglądów dotyczyła przekonania, że lotnisko zostało zajęte przez „rywalizujących anarchistów” – sławetnych „uciekinierów” spod amerykańskiego nowego prawa o posiadaniu broni. Nie wspomniano ani razu o interesach branży biotech, a jeżeli plan Mosali, dotyczący zamieszkania na wyspie, był powszechnie znany, ani jeden z obecnych dziennikarzy nie zadał sobie trudu porozmawiania na tyle długo z mieszkańcami wyspy, by się o tym dowiedzieć.

Ludzie ci powinni donosić światu o wszystkim, co rozgrywa się na wyspie, a żaden nie miał zielonego pojęcia, co tak naprawdę się dzieje.

W drodze do szpitala natknąłem się na sklep z elektroniką. Kupiłem nowy notepad i niewielką, montowaną na ramieniu kamerę. Wpisałem do notepada osobisty kod; przechowywana w pamięci satelity ostatnia kopia tego, co było w poprzednim urządzeniu, została rozmrożona z głębokiego snu i zaczęła doganiać czas rzeczywisty. Przez kilka sekund ekran był burzą zamazanych pasm, po czym Syzyf oznajmił: – Liczba zarejestrowanych przypadków *STANU WYCZERPANIA* przekroczyła trzy tysiące.

– Nie chcę tego wiedzieć. – Trzy tysiące? Sześciokrotny wzrost w dwa tygodnie. – Pokaż mapę przypadków.

Zachorowania były rozrzucone przypadkowo na całym świecie, nie miały związku z czynnikami społecznymi i środowiskowymi, jedynie z gęstością zaludnienia.

Jak liczba zachorowań mogła tak wzrosnąć bez zlokalizowanych ognisk? Modelom opartym na założeniu rozprzestrzeniania się przez powietrze, kontakt seksualny, wodę i pasożyty nie udało się wyjaśnić mechanizmu epidemiologicznego.

– Jest w sprawie coś nowego?

– Oficjalnie nie, ale materiał filmowy, zdeponowany w bibliotece SeeNetu przez twojego kolegę Johna Reynoldsa, zawiera pierwsze doniesienia o spójnej mowie chorych.

– Ktoś wyzdrowiał?

– Nie, ale niektórzy chorzy demonstrują nieregularne zmiany obrazu choroby.

– Zmiany czy osłabienie?

– Mowa jest spójna, ale tematyka nieodpowiednia kontekstowo.

– Chcesz powiedzieć, że mają psychozę? Kiedy przestają się wydzierać i uspokajają na dość długo, by sklecić dwa słowa, można się jedynie dowiedzieć, że zwariowali?

– Opinia w tym względzie wymaga fachowca. Byłem niemal pod szpitalem.

– No dobrze, pokaż mi trochę tego... zmienionego obrazu chorobowego. Niech zobaczę kilka radosnych obrazów, które mi umknęły.

Szyyf przeszukał bibliotekę i wyświetlił klip. Oglądanie czyjejś niedokończonej pracy było niezbyt eleganckie, ale gdyby Reynolds chciał uniemożliwić kolegom dostęp do materiału, to by go zaszyfrował.

Obserwowałem scenę, jadąc w pojedynkę szpitalną windą, i czułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Nie było na to wyjaśnienia... to nie mogło mieć żadnego sensu...

Reynolds sfilmował trzy przypadki „spójnej mowy” w wydaniu osób chorych na *STAN WYCZERPANIA*. Obejrzałem wszystkie, korzystając ze

słuchawek, by móc słuchać, idąc zatłoczonym, szpitalnym korytarzem. Słowa, których używali pacjenci, były różne, ale wszystkie implikowały to samo.

Postanowiłem nie wyciągać wniosków. Mogłem być w szoku albo pod wpływem leków otrzymanych na kutrze. Może dostrzegałem związki tam, gdzie ich nie było.

Kiedy dotarłem na oddział, Akili nie spało. Widząc mnie, uśmiechnęło się smutno – i już wiedziałem, jak bardzo wsiąknęłam. Nie chodziło jedynie o to, że vego twarz wypaliła się tak głęboko w moim umyśle, aż nie dało się uwierzyć, iż kiedykolwiek pociągał mnie kto inny. W końcu uroda to najpłytsza rzecz, ale w vego ciemnych oczach była taka głębia namiętności, humoru i inteligencji, jakiej nie posiadał nikt, kogo kiedykolwiek znałem...

Skarciłem się. To było absurdalne. Dla całkowitego aseksa były to sentymenty nakręcanej hormonami zabawki, żalosego biologicznego robota. Jeżeli kiedykolwiek się dowie, co czułem, w rewanzu mogłem się spodziewać jedynie litości...

– Słyszałeś o lotnisku? – spytałem.

Kiwnęło głową.

– Nishide nie żyje. Jak Mosala sobie z tym radzi?

– Trzyma się, ale nie jestem pewien, czy logicznie myśli.

– W odróżnieniu ode mnie. Streściłem moją rozmowę z nią.

– Co ty na to? Czy sądzisz, że gdyby udało się ją utrzymać przy życiu do chwili, aż ktoś w jej imieniu ogłosi TW, to umiarkowani by się pokajali i przekazali antidotum?

Kuwale nie wyglądało na przekonane.

– Może. Gdyby przedstawiono jednoznaczny dowód na skompletowanie TW, bez marginesu wątpliwości. Teraz jednak uciekają i nie mogą nic przekazać.

- Mogliby przetransmitować strukturę cząsteczki.
- Mogliby. Wtedy pozostawałaby tylko nadzieja, że na Bezpaństwie istnieje jakieś urządzenie, które zdołałoby ją na czas zsyntetyzować.
- Jeżeli wszechświat jest spiskiem, mającym na celu wyjaśnienie, kto jest Zwornikiem, nie sądzisz, że mogłaby mieć szczęście? – Nie wierzyłem w ani jedno słowo tego zdania, ale wydało mi się odpowiednie na tę okazję.
- Wyjaśnienie momentu alef nie pociąga za sobą cudownego ułaskawienia. Mosala nie musi być Zwornikiem, nawet wobec śmierci Nishide i obalenia TW Buzzo. Jeżeli przeżyje, będzie tak wyłącznie dlatego, że ci, którzy walczyli o jej życie, walczyli energiczniej od tych, którzy starali się ją zabić. – Roześmiało się słabo.
- To właśnie oznacza Teoria Wszystkiego: że nie ma cudów, nawet dla Zwornika. Wszyscy żyją i umierają wedle tych samych zasad.
- Rozumiem... – odparłem z wahaniem. – Muszę ci coś pokazać. Ogłoszono właśnie nowe informacje o *STANIE WYCZERPANIA*.
- O stanie wyczerpania?
- Rozwesel mnie. Może to nic nie znaczy, ale muszę wiedzieć, co o tym sądzisz.

Winien byłem Reynoldsowi zawodową lojalność, toteż nie mogłem wszem i wobec pokazywać jego nie publikowanego materiału. Oddział był pełen ludzi, po obu naszych stronach ustawiono jednak parawany, a mężczyzna na łóżku naprzeciwko chyba spal. Podałem Kuwale notepad i kazałem urzędzeniu puścić klip na ściszym głosie.

Z ekranu patrzyła blada, rozmemłana kobieta w średnim wieku z długimi, czarnymi włosami – przywiązana do łóżka. Nie sprawiała wrażenia, że jest pod wpływem leków uspokajających i najwyraźniej nie miała typowych objawów, obserwowała Reynoldsa z ogromną, pełną przerażenia fascynacją.

Mówiła:

– Ten schemat informacji, ten stan świadomości i dysponowania możliwościami postrzegania owija się w coraz więcej warstw następstw: neurony służące odkodowywaniu informacji, krew odżywiająca neurony, serce przepompowujące krew, trzewia, które ją wzbogacają, usta do zaopatrywania trzewi, jedzenie, które przez nie przechodzi, pola uprawne, ziemię, światło słoneczne, miliardy gwiazd. – Przesuwała powoli wzrok i badała kolejne części twarzy Reynoldsa. – Neurony, serce, trzewia, komórki białka i jony i woda, otoczone lipidowymi błonami, różnicujące się w trakcie rozwoju tkanki, geny włączane poprzez przecinające się gradienty hormonów markerowych, milion splecionych ze sobą kształtów molekuł, węgiel czterowartościowy, jednowartościowy wodór, elektrony dzielące się wiązaniami między jądrami protonów, neutrony równoważące odpychanie elektromagnetyczne, kwarki o zmiennym spinie, by partnerować leptonom w hierarchii wzbudzenia pola, wspierająca to dziesięciowymiarowa różnorodność... definiująca złamaną symetrię przestrzeni wszystkich topologii. – Mówiła coraz szybciej. – Neurony, serce, trzewia, morfogeneza zbiegająca się z powrotem do pojedynczej komórki, zapłodnione jajo w innym ciele. Diploidalne chromosomy wymagające osobnego dawcy. Pochodzenie się powtarza. Mutacje rozdzielające gatunki z wcześniejszych linii rodowodowych, życie bezkomórkowe, samoreplikujące się fragmenty, nukleotydy, cukry, aminokwasy, dwutlenek węgla, woda, azot. Skondensowana protogwiezdna chmura – bogata w elementy ciężkie zsyntetyzowane w innych gwiazdach, rzucona przez grawitacyjnie niestabilny kosmos, który zaczyna się i kończy na syngularyzmach.

Zamilkła, ale jej oczy dalej się poruszały, na podstawie ruchów niemal dało się zrekonstruować obrys twarzy Reynoldsa. Jeżeli z początku uznała go za coś dziwnego, teraz przez jej zdziwienie zdawały się przebijać

przebłycki głębokiego zrozumienia – jakby docierała do granicy kosmologicznego pojmowania i wplatała obcego, logicznie niezbędnie odległego kuzyna, w ten sam zunifikowany schemat.

Nagle coś przerwało chwilowy powrót do normalności i fala przerażenia zniekształciła jej rysy. Znów wziął ją w objęcia *STAN WYCZERPANIA*. Zanim zaczęła się rzucać i krzyczeć, zatrzymałem film.

– Są jeszcze trzy przypadki, w większości podobne, więc wydumałem to sobie, czy dla ciebie oznacza to też to samo? Co za szaleństwo może sprawić, by ludzie uważali się za... Zworniki?

Kuwale odłożyło notepad i odwróciło się do mnie.

– Andrew, jeśli to jest sfingowane...

– Skąd! Dlaczego miałbym...?

– Aby ocalić Mosalę. Jeżeli to fotomontaż, nigdy ci się nie uda...

Jęknąłem.

– Gdybym chciał wymyślać Zwornika, by ją ocalić, zrobiłbym symulację Yasuko Nishide mającego objawienie na łożu śmierci, a nie jakiegoś nic nie znaczącego psychiatrycznego przypadku. – Opowiedziałem o Reynoldsie i reportażu dla SeeNetu.

Kuwale obserwowało mnie uważnie, zastanawiając się, czy mówię prawdę. Odwzajemniałem spojrzenie, byłem zbyt zmęczony i zbyt mieszało mi się w głowie, bym mógł cokolwiek ukryć. W vego oczach pojawił się błysk zaskoczenia, potem... rozbawienia? Nie umiałem tego określić, a niezależnie, co czuło, nie odzywało się.

– Może sfingował to inny AK głównego nurtu, który podłączył się do biblioteki SeeNetu... – powiedziałem. Chwytałem się brzytwy, ale tak czy owak, nic nie miało sensu.

– Nie. Wiedziałbym o tym.

– W takim razie?

– To oryginał.

– Jak to możliwe?

Kuwale znów popatrzyło mi w oczy, nie wstydziło się okazać strachu.

– Ponieważ wszystko, co myśleliśmy, było prawdą, ale pomyliliśmy się co do szczegółów. Wszyscy pomylili się w szczegółach. Nurt główny, umiarkowani, ekstremiści: wszyscy przyjęliśmy odmienne założenia i wszyscy się pomyliliśmy.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Wszyscy rozumieją.

Nagle przypomniała mi się apokryficzna opowieść AK o śmierci Muteby Kazadiego.

– Uważasz, że *STAN WYCZERPANIA* jest wynikiem... połączenia się z informacją?

– Tak sądzę.

– Jeżeli dokona tego Zwornik, pociągnie wszystkich za sobą? W tempie wykładowym? Tak jak rozprzestrzenia się epidemia?

– Dokładnie.

– Ale... w jaki sposób? Kto był Zwornikiem? Kto zaczął? Muteba Kazadi – przed laty?

– Nie! – krzyknęło Kuwale i wariacko się roześmiało. Mężczyzna w łóżku naprzeciwko obudził się i słuchał uważnie każdego naszego słowa, nie interesowało mnie to jednak. – Miller nie powiedział ci najdziwniejszej rzeczy dotyczącej tego modelu kosmologicznego.

Miller – umęczony, którego dotychczas nazywałem Trójką.

– To znaczy?

– Jeżeli dokona się odpowiednich obliczeń, efekt sięga wstecz w czasie. Niedaleko, gdyż wzrost wykładowy oznacza w drugą stronę spadek wykładowy, ale całkowita pewność tego, że Zwornik połączył się z

informacją w momencie alef, oznacza niewielkie prawdopodobieństwo, że inni ludzie zostali „pociągnięci” przypadkowo jeszcze przed samym wydarzeniem. To warunek ciągłości – w żadnym systemie nie ma natychmiastowego skoku z zera na jeden.

Pokręciłem głową. Nic nie rozumiałem, nie mieściło mi się to w głowie.

Akili wzięło moją dłoń i ścisnęło ją – mocno, bez zastanowienia; przekazało mi cały swój strach i przyprawiające o zawrót głowy podniecenie.

– Zwornik jeszcze nie jest Zwornikiem. Moment alef jeszcze nie nastąpił, ale już odczuwamy wstrząs.

Kuwale pożyczyło mój notepad i szybko naszkicowało szczegóły przepływu informacji, który naszym zdaniem był przyczyną *STANU WYCZERPANIA*. Spróbowaliśmy nawet dopasować wstępny model komputerowy procesu do danych epidemiologicznych, skończyło się to jednak krzywą znacznie mniej stromą niż wyznaczał obecny przyrost liczby przypadków (większy od wykładniczego – „co prawdopodobnie wynikało z początkowo zaniżonego notowania liczby przypadków”) oraz umiejscowieniem momentu alfa między 7 lutego 2055 a 12 czerwca 3070 roku. Nie odstraszeni tym, staraliśmy się udoskonalić model. Uruchamiane błyskawicznymi ruchami palców Kuwale po ekranie latały grafiki, diagramy sieci i równania – wyglądały tak samo imponująco jak wszystko, co widziałem w wykonaniu Violet Mosali, i tak samo do mnie docierały.

Z jednej strony porywała mnie tego logika, kiedy jednak minął pierwszy wstrząs spowodowany rozpoznaniem, znów zacząłem się zastanawiać, czy po prostu nie winterpretowaliśmy w dziwaczne monologi czwórki pacjentów własnych założeń. Antrokosmologia jeszcze nigdy nie dokonała konkretnej predykcji, którą dałoby się następnie przetestować. Nie wątpiłem, że może być eleganckim matematycznym poparciem każdej TW, jeśli jednak pierwszy wyraźny dowód samej teorii opierał się na tyradach czterech osób cierpiących na nową i rzadką chorobę psychiczną, była to wątpliwa podstawa do odrzucenia wszystkiego, co sądziłem o wszechświecie.

Jeżeli Kuwale miało rację co do świata opanowanego przez *STAN WYCZERPANIA*, był to kataklizm tak samo niewyobrażalny jak Rozplatanie postulowane przez umiarkowanych...

Zachowałem wątpliwości dla siebie, kiedy jednak wychodziłem z oddziału – zostawiając Kuwale pogrążone w rozmowie z innymi AK głównego nurtu – znów stałem obydwoma nogami na ziemi. Całą gadkę o „echach momentu alef z przyszłości” należało uznać za mniej sensowną od wszystkich, nawet najbardziej naciąganych możliwości konwencjonalnych.

Zwykłe objawy *STANU WYCZERPANIA* – oraz lawinę maniakalnych, choć dokładnych uwag u czterech z trzech tysięcy przypadków – mógł powodować atakujący określony region mózgu, neuroaktywny patogen militarny, z którym stało się coś złego. Rozumowanie, tak samo jak każdy inny proces poznawczy, jest wytworem przebiegających w mózgu zjawisk organicznych i jeśli schizofrenik paranoidalny umiał odnaleźć dotyczące go znaczenie w każdej planszy reklamowej, chmurze, w każdym drzewie, to może kombinacja odpowiedniego wykształcenia z bardzo specyficznym uszkodzeniem spowodowanym przez broń wirusową mogła wyzwolić tak samo niekontrolowaną – choć znacznie bardziej rygorystyczną – lawinę znaczeń. Jeżeli pierwotnym celem broni było zaburzenie logicznego myślenia, nie było aż tak nieprawdopodobne, że wersja „zdziczała” nadmiernie pobudzała te ścieżki przebiegu impulsów, które miała niszczyć.

Poszedłem do tego samego sklepu z elektroniką co poprzednio i kupiłem kolejny notepad. Zadzwoniłem z ulicy do De Groot – wyglądała na zdenerwowaną, nie chciała jednak rozmawiać przez sieć.

Spotkaliśmy się w hotelu, w apartamencie Mosali. De Groot dała znak milczącym gestem, że mam wejść.

– Czy Violet...?

Pod świetlikiem unosiły się drobiny kurzu; kiedy się odezwałem, mój głos odbił się głuchym echem.

– Przyjęto ją do szpitala. Chciałam z nią zostać, ale mnie odesłała. – De Groot stała naprzeciwko, dłonie złożyła przed sobą, spuściła oczy. –

Dostawaliśmy pogroźki niemal od każdego. Każdy kult, każdy wariat na planecie chciał przekazać Violet swoje wspaniałe kosmiczne objawienia... albo powiedzieć, że bezcześci ich cenną mitologię i spali się za to w piekle, zniszczy naturę Buddy albo swoją męską, zachodnią, redukcjonistyczną arogancją zamieni najwspanialsze światowe cywilizacje w nihilistyczne śmieci. Antrokosmologowie byli jedynie... kolejnym źródłem hałasu. – Popatrzyła mi w oczy. – Wybrałyś ich spośród reszty jako szczególne zagrożenie? Nie fundamentalistów. Nie rasistów. Nie psychotyków dokładnie opisujących, co zamierzają zrobić z jej zwłokami. Ludzi przysyłających długie rozprawy dotyczące teorii informacji z dopiskiem na dole: „bylibyśmy szczęśliwi, gdyby pani stworzyła wszechświat, ale są tacy, którzy mogą próbować panią powstrzymać”.

– Nikt by ich nie wybrał.

De Groot przeciągnęła dłonią po skroni, po czym zasłoniła oczy i stała bez słowa.

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową i roześmiała się, ale nie było w tym wesołości.

– Boli mnie głowa, to wszystko. – Wciągnęła głęboko powietrze, zbierając siły, by mówić dalej. – Znalezione w jej krwiobiegu, szpiku kostnym i węzłach chłonnych ślady obcych białek. Nie zdołano odtworzyć ich struktury; ona jak na razie nie ma objawów. Podają jej mieszankę silnych środków przeciwwirusowych i do chwili, aż coś zacznie się dziać, mogą ją jedynie obserwować.

– Czy ochrona...

– Jest pilnowana. Choć wątpliwe, by miało to sens.

– A Buzzo?

– Skaning nic nie wykazał. – De Groot prychnęła, zła i skonsternowana.

– To wszystko go... nie wzrusza. Uważa, że Nishide zmarł z przyczyn

naturalnych, Violet ma w organizmie niewinny związek zanieczyszczający powietrze, a analiza twojej cholery to fałszerstwo służące narobieniu hałasu w mediach. Jediną rzeczą, jaka zdaje się go niepokoić, jest fakt, czy wróci po konferencji do domu, jeżeli lotnisko będzie w dalszym ciągu zamknięte.

– Ale ma ochronę?

– Nie wiem, sam musiałbyś go o to spytać. Aha – Violet poprosiła go, by wystąpił na konferencji prasowej i poinformował o niedostatkach swojej TW. Leki przeciwwirusowe mają skutki uboczne i Violet jest tak niedobrze, że ledwie może mówić. Buzzo obiecał coś bliżej nieokreślonego, potem zaczął mruzczyć, że nim z czegokolwiek się wycofa, musi się temu bliżej przyjrzeć, więc nie mam pojęcia, co zrobi.

Poczułem ukłucie złości i rozczarowania, starałem się jednak zachować spokój.

– Poznał wszystkie dowody i decyzja należy do niego – stwierdziłem. Nie chciało mi się za bardzo rozmyślać nad wrogami Buzzo. Jeszcze nie znaleziono ciała Sarah Knight, ale możliwość, że jej zabójca mógł się znajdować na Bezpaństwie, bardzo mnie denerwowała. Umiarkowani pozwolili mi odejść, kiedy uznali, że nadal mogą dostać to, co chcą, a ekstremiści już raz niemal mnie zabili, choć nie próbowali na poważnie. – Nawet jeśli ta broń może w każdej chwili zadziałać, to na Bezpaństwie nie da się chyba zrobić nic ponad to, co byłoby wykonalne w samolocie sanitarnym? Z pewnością wasz rząd byłby gotów przysłać w pełni wyposażony samolot szpitalny...

De Groot głucho się zaśmiała.

– Czyżby? Brzmi to tak prosto... Violet ma nieco przyjaciół na wysokich stanowiskach – i kilku zazartych wrogów – ale większość to pieprzeni pragmatycy, którzy bez mrugnięcia okiem wykorzystaliby ją w sposób pasujący do ich celów. Wyważenie wszystkich za i przeciw, opowiedzenie

się po którejkolwiek ze stron, wywalczenie czegokolwiek i podjęcie decyzji, do tego w jeden dzień, granczyłoby z cudem – nawet gdyby na Bezpaństwie panował spokój, a samolot mógł wylądować na lotnisku.

– Daj spokój! Wyspa jest płaska jak pas startowy! Zgoda, na krawędziach jest miękka, ale wystarczająco twarde musi być koło o promieniu przynajmniej dwudziestu kilometrów!

– Czyli w zasięgu wystrzelonej z lotniska rakiety.

– Tak, ale dlaczego najemnicy mieliby się martwić ewakuacją z powodów medycznych? Muszą się przecież spodziewać, że obce okręty zaczną wkrótce podpływać do wyspy po swoich obywateli.

De Groot ze smutkiem pokręciła głową. Chciała, by ją przekonano, ale moja argumentacja była zbyt słaba.

– Niezależnie od tego, co sądzymy o ryzyku, to jedynie przypuszczenia i myślenie życzeniowe. Rząd musi ocenić sytuację z własnego punktu widzenia, a nie podejmie decyzji w pół minuty. Dziesiątki tysięcy dolarów na lot ratunkowy to jedno, ale zestrzelony nad Bezpaństwem samolot to całkiem co innego. Ostatnią rzeczą, na jakiej zależałoby Violet – czy komukolwiek przy zdrowych zmysłach – jest zestrzelenie bez powodu trzy- albo czteroosobowej załogi.

Odwróciłem się i podszedłem do okna. Sądząc po widoku na dole, na Bezpaństwie jeszcze panował spokój. Niezależnie od tego, jakie krwawe spustoszenia planowali najemnicy, ich mocodawcy z pewnością nie chcieli stworzyć światowej sławy męczennika sprawy *technoliberation*. Z tego właśnie powodu bezsensowne było zakładanie, że na życie Mosali dybie EnGeneUity: jej śmierć byłaby dla nich tak samo niekorzystna, jak roztrąbiona na cały świat wiadomość o emigracji.

Mimo wszystko sprawa była delikatna. Do czego by się przyznali, robiąc dla niej wyjątek? Jaki scenariusz uznaliby za najbardziej szkodliwy dla

ruchu antybojkotowego: ostrzegawczą baśń o tragicznej śmierci Mosali wynikłej z lekkomyślnego flirtu z renegatami czy rozgrzewającą serce opowieść o przeżyciu dzięki przeprowadzeniu lotu ratunkowego, który sprowadził ją z powrotem do owczarni (gdzie każdy gen należał do prawowitego właściciela i dało się stworzyć dla każdej choroby natychmiast działającą kurację)?

Jak na razie, prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy ze stojącego przed nimi trudnego wyboru – od tego, kto ogłosi wiadomość, zależało więc nakłonienie ich do podjęcia odpowiedniej decyzji.

Odwróciłem się do De Groot.

– A gdyby udało się namówić najemników do zezwolenia samolotowi ratunkowemu na swobodny przelot? Gdyby złożyli w tej sprawie oświadczenie? Sądysz, że na tej podstawie mogłabyś zacząć działać? – Zacisnąłem pięści, walcząc z napadem paniki. Czy w ogóle miałem pojęcie, co gadam? Jeżeli się zobowiązę, nie będę miał wyboru.

De Groot szarpały sprzeczne emocje.

– Jak na razie Violet o niczym nie powiedziała ani Wendy, ani Makompo i kazała mi przysiąc milczenie. Wendy jest w podróży służbowej w Toronto...

– Jeżeli może lobbować z Cape Town, może i z Toronto, a Violet nie myśli jasno. Powiedz jej matce całą prawdę, tak samo mężowi. Jeżeli będzie trzeba, powiedz o wszystkim Marian Fox i MSFT.

De Groot zawahała się, po czym niepewnie skinęła głową.

– Warto spróbować. Wszystkiego warto spróbować; jednak w jaki sposób, twoim zdaniem, uzyskamy od najemników jakiegokolwiek gwarancje?

– Plan A to mieć nadzieję, że odbierają telefony, bo naprawdę nie mam ochoty iść na lotnisko i negocjować osobiście.

Większa część centrum wyspy zdawała się w dalszym ciągu nie dotknięta inwazją, ale cztery przecznice od lotniska wszystko się zmieniało. Nie było barykad ani znaków ostrzegawczych, ani ludzi. Zbliżał się wieczór i na ulicach za moimi plecami roił się tłum, oddalone pięćset metrów od zajętych budynków sklepy i restauracje działały normalnie, po przejściu niewidzialnej linii można było jednak odnieść wrażenie, że Bezpaństwo nagle stworzyło własne Ruiny – miniaturową imitację martwych serc uśmierconych przez sieci miast.

Nie latały kule ani nie była to strefa walki, nie mogłem się jednak kierować doświadczeniem, nie miałem pojęcia, czego się spodziewać. Zawsze trzymałem się z daleka od pól walki – wybrałem dziennikarstwo naukowe, sądząc, że nie każe mi się nigdy filmować nic bardziej niebezpiecznego od konferencji o bioetyce.

Wejście dla pasażerów było wielkim prostokątem ciemności. Skrzydła przesuwanych drzwi leżały dziesięć metrów dalej, w kawałkach. Porozbijano szyby, porozrzucano rośliny i rzeźby, ściany były dziwnie podrapane – jakby zniszczone przez mechaniczne pazury. Miałem nadzieję dostrzec wartownika, oznaki hierarchii wojskowej, dowody spójnej struktury dowodzenia, ale wyglądało tu tak, jakby w ciemności czekała na przybysza banda grabieżców.

Sarah Knight by to zrobiła – choćby tylko dla nakręcenia czegoś ciekawego.

No tak... tyle że Sarah Knight nie żyła.

Podchodziłem powoli, nerwowo rozglądałem się po placu, który przekraczałem, i żałowałem, że czternaście lat temu kazałem Syzyfowi wyrzucać wszystkie wiadomości przysyłane przez producentów broni szukających zamiłowanych w technice dziennikarzy, którzy za darmo opisaliby ich wspaniałe, nowe miny przeciwpiechotne. Tyle tylko, że...

prawdopodobnie w ich oświadczeniach dla prasy nie było zbyt wielu wskazówek przydatnych dla potencjalnej ofiary, której nie stać na wydanie pięćdziesięciu tysięcy dolarów na odpowiednie detektory.

Wnętrze budynku było ciemne jak najczarniejsza noc, ale stojące na zewnątrz reflektory sprawiały, że skała wydawała się biała jak kość. Zajrzałem w czarną czeluść, licząc na to, że Świadek zaadaptuje mi siatkówki. Kamera na moim ramieniu niemal nic nie ważyła, ale czułem się przez nią wypaczony – tak źle skomponowany, nieodpowiednio wyważony i mało funkcjonalny, jakby narządy płciowe przemieściły mi się do kolana. Może to irracjonalne, ale niewidzialne połączenia nerwowe i RAM w moim brzuchu zawsze sprawiały, że czułem się osłonięty, zabezpieczony. Kiedy wszystkie dane do cyfrowego nagrania szły przez moje oczy i uszy, byłem do chwili oślepienia albo wypatroszenia uprzywilejowanym obserwatorem – urządzenie na moim ramieniu można było strząsnąć jak płatek łupieżu.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak nagi.

Zatrzymałem się dziesięć metrów od pustego wejścia; rozłożyłem szeroko ramiona i uniosłem dłonie do góry.

– Jestem dziennikarzem! Chcę porozmawiać! Czekałem. Zza moich pleców dolatywały odgłosy tłumu, ale lotnisko spowijała cisza. Znów krzyknąłem i czekałem dalej. Mój strach zaczął przechodzić w zażenowanie – może terminal był opuszczony, najemnicy rozbili obóz na najdalszym końcu pasa startowego, a ja robiłem z siebie głupka przed pustą przestrzenią?

Poczułem lekkie drżenie wilgotnego powietrza i ciemność wejścia wypluła maszynę.

Wzdrygnąłem się, ale nie cofnąłem – gdyby urządzenie chciało mnie zabić, nie zauważyłbym, jak nadchodzi. Kiedy automat się poruszał, tworzył migoczące sekwencje fragmentarycznych konturów – słabych, choć

stałych zakłóceń powietrza, które oko identyfikowało jako krawędzie – kiedy się jednak zatrzymał, pozostało jedynie wpatrywanie się w powidoki oraz zgadywanie. Sześciopięciorobot, wysoki na trzy metry? Przetwarzający obraz swego otoczenia – widzianego z mojej perspektywy – i programujący optycznie aktywną warstwę dopasowującą się do luminancji poszczególnych obiektów? Nie – robił znacznie więcej. Wystawał do połowy na zalany światłem plac, nie rzucając najmniejszego cienia, co oznaczało, że holografował w czasie rzeczywistym blokowane źródła światła, a jego polimerowa powłoka tworzyła doskonale dopasowane laserowe promienie zastępcze – i emitowała je fala za falą. Nagle dotarło do mnie, z kim mają do czynienia mieszkańcy Bezpaństwa. To była kosztująca miliony technologia militarna klasy alfa. Tym razem EnGeneUity nie bawiło się w tanie sztuczki. Chciało odzyskać swoją własność intelektualną i nietkniętą reputację produktu – a wszystko, co stanie mu na drodze, będzie zrównane do poziomu skały.

– Już wybraliśmy dziennikarzy, Andrew Worth – powiedział owad. – Nie jesteś na liście przebojów inwazji. – Mówił po angielsku, idealnie modulując głos, by zasugerować rozbawienie, ale z denerwującą neutralnością geograficzną. Nie dało się ocenić, czy przemawia samodzielnie, czy rozmawiam w czasie rzeczywistym z najemnikami albo ich rzecznikiem prasowym.

– Nie chcę robić sprawozdania z wojny. Chcę zaproponować okazję uniknięcia nieco... niepożądanego rozgłosu.

Owad przesunął się wściekle do przodu; z zakamuflowanej powierzchni jego kadłuba znów wykwitły (po czym zaraz zniknęły) delikatne jak gnieciony jedwab frędzle interferencji. Stałem jak zamurowany – instynkt kazał uciekać, ale kolana miałem jak z waty. Twór zatrzymał się dwa albo trzy metry ode mnie – i znów nie było go widać. Nie miałem najmniejszej

wątpliwości, że mógł unieść przednie odnóża i w ułamku sekundy obciąć mi głowę.

Uspokoilem się i zacząłem mówić do powietrza.

– Na wyspie jest kobieta, która umrze, jeżeli nie zostanie w ciągu kilku godzin ewakuowana. A jeśli umrze, SeeNet jest gotowa wyemitować program pod tytułem *Violet Mosala: męczennik technoliberation*.

Była to prawda, choć Lydia początkowo nieco się opierała. Posłałem jej fałszywy materiał, ukazujący Mosalę, która przedstawia powody planowanej emigracji. Choć nie filmowałem jej, kiedy to mówiła, materiał pokazywał z grubsza to, co naprawdę powiedziała. Trzech redaktorów SeeNetu ciężko pracowało, by włączyć film – i część prawdziwego materiału, jaki przesłałem – w aktualny nekrolog. Odmówiłem tylko włączenia czegokolwiek o antrokosmologach. Mosala miała zostać sztandarową postacią buntu przeciwko bojkotowi, została jednak zakazana wirusową bronią, a Bezpaństwo znajdowało się pod okupacją. Lydia wyciągnęła własne wnioski i redaktorzy zostali z pewnością odpowiednio poinstruowani.

Owad przez kilka minut milczał, a ja stałem bez ruchu, ciągle z podniesionymi rękami. Wyobrażałem sobie, jak informacja o groźbie szantażu przesuwa się w górę łańcucha służbowego. Może sojusz firm biotech sprawdzał możliwość kupienia SeeNetu i zduszenia groźby w zarodku? Gdyby to zrobili, musieliby jednak oprzeć się na innych sieciach – dalej płacić, by wszystko odpowiednio się kręciło. Gdyby pozwolili jej przeżyć, mieliby to samo, tyle że za darmo.

– Jeżeli Mosala przeżyje, będziecie mogli powstrzymać ją przed powrotem tutaj, ale jeśli umrze... przez następne sto lat będzie kojarzona w opinii publicznej z Bezpaństwem.

Poczułem ukłucie na ramieniu. Kamera została spalona i z niewielkiej, czarnej plamki na mojej koszuli spadały płatki sadzy.

– Samolot może lądować. Możesz z nią odlecieć. Kiedy niebezpieczeństwo dla niej minie, nakręć w Cape Town nowy materiał o jej planach emigracji – i co się z nimi stało. – Był to ten sam głos, co poprzednio, ale władza, która kazała wypowiedzieć słowa, znajdowała się daleko od wyspy.

Nie musiał dodawać: „Jeżeli wszystko będzie się odpowiednio kręcić, zostaniesz nagrodzony”. Skłoniłem głowę na znak zgody.

– Zrobię to. Owad zawahał się.

– Naprawdę? Nie sądzę. – Brzuch przeszył mi ostry ból. Wrzasnąłem i opadłem na kolana. – Wróci sama. Ty możesz zostać tutaj i zrobić dokument o upadku Bezpaństwa. – Podniosłem głowę i kiedy stwór się cofał, dostrzegłem w powietrzu słabe zielone i fioletowe błyski, jakie widzimy, kiedy patrzymy na słońce przez przymknięte powieki.

Podniesienie się zajęło mi chwilę. Błysk lasera wypalił mi na brzuchu poziomą kreskę, promień zatrzymał się jednak na całe kilka mikrosekund przy istniejącej ranie; węglowodorowy polimer został skarmelizowany i z pępka wysączał mi się brązowawy płyn. Wymamrotałem w stronę pustych drzwi kilka przekleństw, po czym kuśtykając, ruszyłem przed siebie.

Kiedy znalazłem się z powrotem w tłumie, podeszło dwóch nastolatków i spytało, czy potrzebuję pomocy. Chętnie skorzystałem z ich usług. Podtrzymywali mnie całą drogę do szpitala.

Zadzwoiłem do De Groot z oddziału urazowego.

– Byli bardzo cywilizowani – poinformowałem. – Mamy zgodę na lądowanie samolotu.

De Groot była wycieńczona, rozpromieniła się jednak natychmiast.

– To fantastycznie!

– Wiadomo coś nowego o locie?

– Jeszcze nie, ale kilka minut temu rozmawiałam z Wendy, czekała na telefon od prezydenta. – Zamilkła na chwilę. – Violet dostała gorączki. Na razie to nic groźnego, ale...

A więc broń wybuchła. Teraz każdy krok będzie wyścigiem z wirusem. Czego innego należało się spodziewać? Kolejnej pomyłki w koordynacji czasowej? A może magicznej odporności u Zwornika?

– Jesteś u niej?

– Tak.

– Przyjdę do was za półtorej godziny.

Zajmowała się mną ta sama lekarka co poprzednio. Miała za sobą długi dzień i z irytacją stwierdziła: – Nie chcę słyszeć twoich wymówek. Poprzednie były wystarczająco nieprzyjemne.

Rozejrzałem się po czyściutkim boksie, szafkach z porządnie ułożonymi instrumentami i poustawianymi lekami i ogarnęła mnie rozpacz. Nawet jeśli uda się na czas ewakuować Mosalę... na Bezpaństwie mieszkało milion ludzi, którzy nie mieli dokąd uciec.

– Co zrobicie, kiedy zacznie się wojna?

– Nie będzie wojny.

Próbowałem wyobrazić sobie odbywający się w głębi hangarów lotniska montaż maszyn bojowych.

– Chyba nie macie wyboru – stwierdziłem łagodnie.

Lekarka przestała nakładać maść na moje oparzenia i przyjrzała mi się, jakbym powiedział coś niewybaczalnie agresywnego i poniżającego.

– Jesteś tu obcy i nie masz zielonego pojęcia, jaki nam pozostał wybór. Co ty sobie wyobrażasz? Że spędziliśmy minione dwadzieścia lat w blasku utopijnego odrętwienia, zadowolając się wiedzą, że pozytywna energia

karmiczna ochroni nas przed najeźdźcami? – Znów zaczęła rozsmarowywać krem, znacznie jednak brutalniej.

Byłem zdezorientowany.

– Nie i uważam, że jesteście w pełni przygotowani do obrony, tyle że tym razem chyba macie do czynienia z kimś znacznie lepiej uzbrojonym. Znacznie.

Odwinęła kawał bandaża i ostro na mnie spojrzała.

– Dobrze posłuchaj, bo nie będę powtarzać: kiedy nadejdzie czas, lepiej nam zaufaj.

– W co?

– W to, że wiemy więcej od ciebie. Roześmiałem się ponuro.

– To nie będzie trudne.

Kiedy skręciłem w korytarz, który prowadził do pokoju Mosali, zobaczyłem De Groot; rozmawiała cicho, ale z wyraźną ekscytacją, z dwoma ochroniarzami. Kiedy mnie zauważyła, pomachała. Przyspieszyłem kroku.

Kiedy doszedłem do niej, bez słowa uniosła notebook i wcisnęła klawisz. Pojawił się lektor wiadomości.

„Z ostatnich doniesień z renegackiej wyspy, zwanej Bezpaństwem, wynika, że anarchistyczna grupa odpryskowa, która przemocą zajęła lotnisko, przychyliła się do prośby dyplomatów południowoafrykańskich i pozwoliła na szybką ewakuację Violet Mosali, dwudziestosiedmioletniej laureatki Nagrody Nobla, która uczestniczyła w kontrowersyjnej konferencji Stulecie Einsteinowskie”. W tle stylizowany globus obracał się obok zdjęcia Mosali, kamera najpierw zrobiła zbliżenie, ukazując Bezpaństwo, następnie Afrykę Południową. „Z powodu prymitywnego stanu opieki medycznej na wyspie, miejscowi lekarze nie byli w stanie dokonać odpowiedniej diagnozy, stan Mosali jest jednak uważany za

zagrożający życiu. Źródła w Mandeli informują, że prezydent Nchabaleng wysłała osobisty apel do anarchistów i kilka minut temu otrzymała od nich odpowiedź”.

Objąłem De Groot, uniosłem ją i zacząłem wirować, aż zakręciło mi się z radości w głowie. Ochroniarze patrzyli, szczerząc się jak dzieci. Może w obliczu inwazji zwycięstwo było mikroskopijne, ale mimo wszystko wyglądało na pierwszą dobrą rzecz, jaka wydarzyła się od dawna.

– Dość – powiedziała De Groot. Odstawiłem ją i rozdzieliliśmy się. – Samolot ma lądować o trzeciej nad ranem. Piętnaście kilometrów na wschód od lotniska.

Złapałem oddech.

– Wie o tym?

De Groot pokręciła głową.

– Jeszcze jej nie mówiłam. Śpi teraz, gorączka jest ciągle wysoka, ale od jakiegoś czasu stan jest stabilny. Lekarze nie umieją powiedzieć, co wirus zrobi dalej, mogą jednak przyszykować na czas przejazdu do samolotu zestaw leków, które zabezpieczą ją przed najważniejszymi problemami.

– Martwi mnie tylko jedno...

– To znaczy?

– Kiedy Violet się dowie, że załatwiliśmy wszystko za jej plecami, prawdopodobnie odmówi wyjazdu – z czystego uporu.

De Groot popatrzyła na mnie dziwnie, jakby chciała ocenić, czy żartuję.

– Jeżeli tak uważasz, to wcale jej nie znasz – stwierdziła w końcu.

..26..

Umówiłem się z De Groot, że wrócę o 2:30, i poszedłem się przespać. Chciałem się pożegnać z Mosalą. Poszedłem do Akili, by przekazać vu dobre wieści, okazało się jednak, że zostało wypisane ze szpitala. Posłałem vu wiadomość, po czym wróciłem do hotelu, by umyć twarz i zmienić nadpaloną laserem koszulę. Oparzone miejsca były odrętwiałe, jakby nieobecne; znieczulenie miejscowe sprawiło, że zniknęły jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki. Byłem poobijany, ale pełen poczucia triumfu – i zbyt nakręcony, by spokojnie ustać, nie wspominając o spaniu. Zbliżała się jedenasta, ale sklepy ciągle były pootwierane, wyszedłem więc i kupiłem następną kamerę naramienną, po czym zacząłem spacerować, filmując wszystko, co się dało. Ostatnia noc pokoju na Bezpaństwie? Nastrój na ulicach w niczym nie przypominał atmosfery oblężenia panującej wśród fizyków i dziennikarzy w hotelu, wyczuwało się jednak napięcie oczekiwania podobne do tego, jakie pojawia się w Los Angeles po ogłoszeniu zagrożenia trzęsieniem ziemi (raz to przeżyłem, na szczęście alarm okazał się fałszywy). Kiedy ludzie spotykali mój wzrok, wydawali się zaciekawieni – wręcz podejrzliwi – nie okazywali jednak najmniejszej wrogości. Zachowywali się, jakby sądzili, że mogę być szpiegiem najemników; trudno mi było mieć im to za złe.

Zatrzymałem się na środku jasno oświetlonego placu i przejrzałem w sieci wiadomości. Buzzo nie złożył oświadczenia, że przyznaje się do błędu, ale ponieważ u Mosali pojawiły się objawy chorobowe, mógł teraz poważnie potraktować groźby ekstremistów i przemyśleć swoją decyzję. Sposób przedstawiania sytuacji na Bezpaństwie śmierdział z daleka, ale

SeeNet wkrótce miała wszystkich zaskoczyć, ujawniając prawdziwy powód inwazji. Nawet gdyby Mosala przeżyła, prawda mogła się okazać niemiła dla sojuszu probojkotowego.

Powietrze było wilgotne, ale chłodne. Spojrzałem w górę, ku satelicie łączącemu Bezpaństwo ze światem, i próbowałem znaleźć jakiś sens w tym, że stoję – w przeddzień wojny – na sztucznej wyspie na południowym Pacyfiku.

Czy całe moje życie jest zakodowane w tym momencie – wspomnienia i okoliczności, w jakich się znajdowałem? Przyjmując to – i nic więcej – za coś narzuconego z góry... czy dałoby się zrekonstruować resztę?

Nie miałem takiego wrażenia. Moje dzieciństwo w Sydney było niemożliwe do wyobrażenia, dalekie i hipotetyczne jak Wielki Wybuch, a nawet czas, który spędziłem w ładowni kutra rybackiego, oraz spotkanie z robotem na lotnisku odpłynęły jak fragmenty snu.

Nigdy nie miałem cholery. Nie posiadałem narządów wewnętrznych.

Gwiazdy migotały lodowato.

O pierwszej w nocy ulice ciągle jeszcze były pełne ludzi, sklepy i restauracje pootwierane. Nikt nie robił tak posępnego wrażenia, jak powinien – może wszyscy nadal sądzili, że mają do czynienia z atakiem w typie tych, jakie już przeżywali?

Wokół fontanny na placu stała grupa roześmianych i żartujących młodych mężczyzn. Spytałem, czy ich zdaniem milicja wkrótce zaatakuje lotnisko – nie mogłem sobie wyobrazić innego powodu tak radosnego nastroju. Może mieli wziąć udział w ataku i dodawali sobie otuchy?

Wbili we mnie zdumione spojrzenia.

– Atakować lotnisko? I dać się zabić?

– Może to być wasza jedyna szansa.

Wymienili rozbawione spojrzenia. Jeden z nich położył mi rękę na ramieniu i poważnie powiedział: – Wszystko będzie dobrze. Słuchaj uważnie, co się dzieje, i mocno się trzymaj.

Ciekawe, na jakich byli narkotykach.

Kiedy wróciłem do szpitala, De Groot powiedziała: – Violet się obudziła. Chce z tobą rozmawiać.

Wszedłem sam. Światło w pokoju było przyciemnione, monitor przy wezglowiu łóżka jarzył się zielonymi i pomarańczowymi danymi. Mosala miała słaby głos, ale była przytomna.

– Chcesz jechać ze mną ambulansem?

– Jeżeli tak sobie życzysz.

– Chcę, żebyś wszystko nagrywał. Jeśli będzie trzeba, zrób z tego dobry użytek.

– Zrobię. – Nie za bardzo wiedziałem, co ma na myśli. Nie dopytywałem się o szczegóły, miałem dość martyrologicznej polityki.

– Karin powiedziała, że byłeś na lotnisku i rozmawiałeś z najemnikami w mojej sprawie. Dlaczego?

– Odwzajemniałem przysługę.

Cicho się roześmiała.

– Cóż takiego zrobiłam, by sobie na to zasłużyć?

– Długo by opowiadać. – Nie byłem pewien, czy próbuję się odwdzińczyć Adelle Vunibobo, czy robię to dla *technoliberation*, działam z szacunku i podziwu dla Mosali czy mam nadzieję zrobić wrażenie na Akili poprzez „uratowanie Zwornika” – nawet jeśli zaczynał coraz mniej wyglądać na szacownego twórcę, a bardziej na coś w rodzaju Tyfusowej Mary [nowojorska kucharka, pierwsza osoba w USA, u której stwierdzono dur brzuszny; zaraziła przynajmniej 53 osoby, ponieważ nie chciała

przestać pracować jako kucharka; władze przymusowo umieściły ją w szpitalu, gdzie spędziła ponad 20 lat i zmarła] teorii informacji.

Weszła De Groot z najnowszymi informacjami o locie – wszystko odbywało się zgodnie z planem i musieliśmy opuszczać szpital. Dołączyło do nas dwóch lekarzy. Cofnąłem się, by filmować kamerą na ramieniu, jak przenoszą Mosalę na łóżko na kółkach, ze wszystkimi monitorami i pompami infuzyjnymi.

W garażu, przez który przejeżdżaliśmy w drodze do ambulansu, ładowano kilka pojazdów na balonowych oponach sprzętem medycznym, bandażami i lekami. Może zamierzano przewieźć nieco rzeczy do innych części miasta – na wypadek zajęcia szpitala? Podnosiło na duchu, że nie wszyscy traktują inwazję jak zabawę.

Jechaliśmy powoli przez miasto, bez włączania syreny. Na ulicach było znacznie więcej ludzi, niż widziałem kiedykolwiek za dnia. Mosala poprosiła De Groot o notepad, położyła go obok siebie i przekreśliła się na bok, by móc pisać. To, co robiła, wymagało najwyraźniej najwyższej koncentracji, mówiła jednak do mnie bez odwracania się od ekranu: – Andrew, zaproponowałeś, bym wyznaczyła następcę. Kogoś, kto zagwarantuje, że moja praca zostanie dokończona. Właśnie to robię.

Nie widziałem w tym sensu, ale nie spierałem się. W Cape Town wysokiej rozdzielczości skaner niemal natychmiast ustali strukturę białek wirusa i w ciągu kilku godzin stworzy się i zsyntetyzuje środki blokujące ich działanie. Udowodnienie umiarkowanym, że się pomylili, i prośenie ich o lek niczego nie przyspieszy.

Mosala popatrzyła na mnie i zaczęła mówić do kamery: – Program pracuje nad dziesięcioma eksperymentami kanonicznymi. Pełna ich analiza określi to, co uważano za dziesięć parametrów totalnej przestrzeni – szczególnie dziesięciowymiarowej geometrii leżącej u podstaw wszystkich

cząsteczek i sił. Mówiąc pojęciami współczesnymi: te dziesięć eksperymentów dokładnie określi, między innymi, w jaki sposób złamana jest symetria przestrzeni. Co dokładnie jest wspólne dla wszystkiego w tym wszechświecie.

– Rozumiem.

Pokręciła niecierpliwie głową.

– Daj mi skończyć. To, co właśnie w tej chwili jest opracowywane w sieciach superkomputerowych, to obliczenia sił silnych. Chciałam, by program pozostawił mi ten zaszczyt – sprawdzanie krzyżowe, zebranie całości, przedstawienie wyników w sposób, który będzie coś dla wszystkich znaczył, ale to trywialne. Już dokładnie wiem, co należy zrobić z wynikami, kiedy będą dostępne. Z tym że... – wykonała kilkanaście błyskawicznych ruchów po klawiaturze, przyjrzała się efektom, po czym odłożyła notepad – ...wszystko zostało zautomatyzowane. Matka dała mi w zeszłym tygodniu przedprodukcyjną wersję Kaspara i prawdopodobnie zapisze wyniki znacznie zgrabniej, niż byłabym w stanie zrobić to sama. Tak więc niezależnie od tego, czy o szóstej rano w piątek umrę, będę żyła czy znajdę się w jakimś stanie pośrednim, artykuł zostanie napisany – i umieszczony w sieciach z darmowym, ogólnym dostępem. Kopie zostaną wysłane do wszystkich pracowników i studentów wydziałów fizyki wszystkich uniwersytetów na planecie. – Uśmiechnęła się, demonstrując czystą, buntowniczą radość. – I co zrobią antroposkologowie? Zabiją każdego fizyka na świecie? – Popatrzyłam na De Groot, która stała blada, z zaciśniętymi ustami. – Nie patrzcie z takim przerażeniem! Dbam o wszystkie ewentualności.

Zamknęła oczy; oddech miała przerywany, ale uśmiechała się. Popatrzyłam na monitor – jej temperatura doszła do 40,9°C.

Zostawiliśmy miasto za sobą, w oknach ambulansu widać było jedynie nasze odbicia. Jazda szła gładko, choć silnik głośno pracował. Po jakimś czasie zaczęło mi się wydawać, że słyszę skałę rafową, oddychającą przez odległy otwór, okazało się jednak, że to wycie zbliżającego się samolotu.

Mosala straciła przytomność i nikt nie próbował jej cucić. Dotarliśmy do miejsca spotkania i wysiadłem szybko z samochodu, by nakręcić lądowanie – nie tyle jednak z resztek profesjonalnego zapału, ile z powodu obietnicy danej Mosali. Samolot opadał pionowo, nie więcej jak pięćdziesiąt metrów od nas, szary kadłub oświetlał jedynie księżyc, silniki pionowzlotowe wydmuchiwały z macierzy skały drobny, żrący wapienny pył. Chciałem uwiecznić tę zwycięską chwilę, ale widok lądującej na środku pustkowiecia smukłej, wojskowej maszyny odebrał mi resztę optymizmu. Tak samo wyobrażałem sobie ewakuację przez marynarkę: zewnętrzny świat wpada cicho na paluszkach, zbiera swoich ludzi i zwiewa, a anarchiści przyjmują na siebie impet uderzenia, które na nich spadnie.

Dwójka ludzi, która wysiadła najpierw, miała na sobie mundury oficerskie i broń osobistą, mogli to być jednak równie dobrze lekarze. Odeszli na bok z personelem medycznym, który przywiózł Mosalę, i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami; dodatkowo zagłuszał ich pomruk silników, obracających się powoli, by chłodziło je przedmuchiwane powietrze. Po chwili pojawił się szczupły młodzieniec w pomiętym cywilnym ubraniu – wycieńczony i dezorientowany. Kilka sekund zajęło mi rozpoznanie go – był to mąż Mosali, Makompo.

Podeszła do niego De Groot, objęli się w milczeniu. Kiedy prowadziła go do ambulansu, trzymałem się z tyłu. Odwróciłem się i popatrzyłem w dal, za szaro-srebrną skałę rafową. Ślady rozproszonych pierwiastków migotały w świetle, błyszcząc jak piana na nieprawdopodobnie spokojnym oceanie. Kiedy odwróciłem się znów w stronę samolotu, żołnierze wnosili

do niego przywiązaną do noszy Mosalę. Makompo i De Groot weszli za nimi do środka. Nagle poczułem się niesamowicie zmęczony.

De Groot zeszła po schodkach i podeszła do mnie.

– Lecisz z nami?! – krzyknęła. – Mówią, że jest masa miejsca!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Co mnie tu trzymało? Kontrakt z SeeNetem obejmował reportaż o Mosali, nie dokumentację upadku Bezpaństwa. Niewidzialny owad zakazał mi odlotu z wyspy, ale czy najemnicy mieli możliwość się o tym dowiedzieć? Głupie pytanie: satelity wojskowe mogły w podczerwieni odczytać odciski palców dowolnej osoby i czytywać z ust, co mówi. Czy jednak zestrzeliliby samolot – narażając na szwank cały pokaz, siebie na odwet – by ukarać nieposłusznego dziennikarza? Na pewno nie.

– Chciałbym – odparłem – ale jest tu ktoś, kogo nie mogę zostawić.

De Groot skinęła głową. Nie potrzebowała dalszych wyjaśnień. Uśmiechnęła się i uścisnęła mi rękę.

– W takim razie życzę wam szczęścia. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy się w Cape Town.

– Ja też.

Kiedy wracaliśmy do szpitala, obaj lekarze milczeli. Czułem, że chcieliby porozmawiać o wojnie, ale nie w obecności turysty. Przejrzałem materiał filmowy, który nakręciłem kamerą naramienną, nie bardzo bowiem ufałem nieznannej technice, po czym posłałem go do mojej domowej konsoli.

Ulice były jeszcze bardziej zatłoczone, choć zmniejszyła się liczba pieszych. Bardzo dużo ludzi biwakowało na ulicach – ze śpiworami, składanymi krzeselkami, przenośnymi piecykami, a nawet niewielkimi namiotami. Nie wiedziałem, czy traktować to jako optymistyczny znak czy sygnał żalnego optymizmu. Może anarchiści postanowili robić cnotę z

grzechu na wypadek załamania się infrastruktury miejskiej. W dalszym ciągu nie było oznak paniki, rozruchów ani grabieży. Czyżby więc Munroe miał rację i ich edukacja w zakresie przyczyn oraz dynamiki tych szacownych zjawisk kulturowych wystarczyła, by umieli przemyśleć ich konsekwencje i zrezygnować z ich rozpętywania?

W obliczu sprzętu wojskowego wartości miliardów dolarów potrzebowali jednak czegoś więcej niż piecyków, namiotów i socjobiologii, by uniknąć rzezi.

Obudziła mnie kanonada. Łoskot dolatywał z daleka, ale łóżko drżało. Ubrałem się w kilka sekund, po czym zamarłem na środku pokoju, sparaliżowany niemożnością podjęcia decyzji. Nie było tu piwnic ani schronów – gdzie więc będzie najbezpieczniej? Na parterze? Na ulicy? Wzdragałem się przed perspektywą wystawiania się na ostrzał, ale czy pięć pięter nad głową dawało osłonę, czy oznaczało jedynie większą stertę gruzu?

Było tuż po szóstej, dopiero robiło się widno. Ostrożnie podszedłem do okna, walcząc z absurdalnym strachem przed snajperami – gdyby któraś ze stron uważała za warte zachodu z nich korzystać. W pewnej odległości wznosiło się pięć kolumn białego dymu, wzlatującego z niewidocznych miejsc niczym leniwe tornada. Kazałem Syzyfowi przejrzeć lokalne sieci i znaleźć przekazy z mniejszych odległości; okazało się, że dziesiątki ludzi umieściły w nich materiały własnej roboty. Skała rafowa była odporna i niepalna, ale pociski musiały zostać załadowane jakimś środkiem chemicznym powodującym uszkodzenia przekraczające oddziaływanie uderzenia i gorąca, efektem nie były bowiem wypalone ruiny, a kupy gruzu. Nie wyobrażałem sobie, by ktokolwiek w takim budynku mógł przeżyć; sąsiednie ulice też poważnie ucierpiały – były na kilka metrów zasypane wapiennym pyłem.

Biwakujący pod hotelem ludzie nie robili wrażenia, by sytuacja ich zaskoczyła; połowa była spakowana i już się przenosiła, reszta składała namioty, zwijała koce i śpiwory, rozkładała piecyki. Słysząc było płacz dzieci i panował wyraźnie napięty nastrój, nikt jednak nie został stratowany.

Jeszcze. W głębi ulicy widać było wolno, ale nieustannie przesuwaną się ludzki strumień – udawano się na północ, byle dalej od centrum.

Właściwie spodziewałem się czegoś śmiercionośnego, ale cichego – w końcu EnGeneUity to bioinżynierowie – powinienem jednak być mądrzejszy. Grad eksplozji, przerobione na pył budynki i strumień uciekinierów byłyby doskonałą ilustracją do filmu *Anarchia wkracza na Bezpaństwo*. Najemnicy nie zamierzali opanowywać wyspy z „kliniką precyzją” – zamierzali udowodnić, że wszystkie renegeckie społeczeństwa są skazane na upadek w burzy telegenicznego szaleństwa.

Na wschód od hotelu – jak do tej pory najbliższej – eksplodował kolejny pocisk. Z sufitu posypał się biały pył, jeden róg polimerowego okna wypadł z okiennicy i zwinął się jak martwy liść. Padłem płasko na podłogę, zakryłem głowę rękami i zacząłem kląć na siebie, że nie odleciałem z De Groot i Mosalą oraz na Akili – za ignorowanie moich wiadomości. Dlaczego nie umiałem pogodzić się z tym, że nic dla tego nie znaczę? Przydałem się do ochrony Mosali przed heretyckimi AK i dostarczyłem im informacje, które prawdopodobnie obnażały prawdę o stanie wyczerpania, ale i to się nie liczyło, kiedy zbliżała się wielka zaraza informatyczna.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła starsza Fidżyjka; personel hotelowy nie nosił uniformów, ale wydawało mi się, że już ją kiedyś widziałem, jak robiła coś w hotelu.

– Ewakuujemy miasto – oznajmiła zdawkowo. – Proszę zabrać to, co może pan unieść.

Podłoga przestała się poruszać, wstałem jednak ze sporym trudem, niepewny, czy dobrze usłyszałem.

Byłem już spakowany, złapałem więc walizkę i wyszedłem na korytarz. Mój pokój był tuż przy schodach i kobieta szła do następnych drzwi.

Wskazałem na drugą połowę korytarza, gdzie było jakieś dwadzieścia pokoi.

– Sprawdzala pani...?

– Nie. – Przez chwilę zdawała się wahać, czy mi zaufać i pozwolić się tym zająć, w końcu uniosła swoją kartę do otwierania drzwi, by mój notepad sklonował kod.

Zostawiłem walizkę przy schodach i ruszyłem. Pierwsze cztery pokoje były puste. Ekspłdowały kolejne pociski, większość na szczęście w oddali. Machałem przy zamkach notepadem i równocześnie obserwowałem ekran: ktoś zestawiał wszystkie raporty o stratach i aktualizował mapę miasta. Jak na razie, zniszczono dwadzieścia jeden budynków – głównie mieszkalnych. Nie było wątpliwości, że gdyby wybrano cele strategiczne, zostałyby zniszczone; może oszczędzano infrastrukturę miasta – chciano ją zachować dla marionetkowego rządu, który przybędzie z drugą falą najeźdźców, by „uratować” wyspę przed „anarchią”? Może celem było zniszczenie jak największej liczby domów mieszkalnych, by wypędzić na pustkowie jak największą liczbę ludzi?

Lowell Parker – dziennikarz „Atlantiki”, którego widziałem na konferencji prasowej Mosali – leżał skulony na podłodze i trząsł się jak... ja, kiedy znalazła mnie pracownica hotelu. Szybko wrócił do normy i z wdzięcznością przyjął wiadomość o ewakuacji, jakby jedyną rzeczą, na którą czekał, był ostateczny plan. Nieważne, że poinformował go o nim ktoś, kto też o niczym nie miał pojęcia.

W następnych dziesięciu albo dwunastu pokojach znalazłem czwórkę ludzi – prawdopodobnie naukowców albo dziennikarzy, których jednak nie rozpoznawałem. Większość była spakowana i czekała, by im powiedziano, co mają robić. Nikt nie zakwestionował wieści, którą przekazywałem. Choć sam bardzo chciałem oddalić się od strefy bombardowania, perspektywa

wylewającego się z miasta miliona ludzi zaczynała przepęknąć mnie przerażeniem. Wszystkie największe katastrofy ostatnich pięćdziesięciu lat wydarzały się wśród uciekinierów próbujących oddalić się od stref wojny. Może lepszym wyjściem byłoby zagranie z ostrzałem artyleryjskim w rosyjską ruletkę?

Ostatnim pokojem był apartament; symetria budynku wymagała, by był lustrzanym odbiciem tego, w którym mieszkały Mosala i De Groot. Kod, który dostałem, otworzył drzwi, łańcuch nie pozwalał uchylić ich jednak więcej jak na kilka centymetrów.

Zawołałem głośno, ale nikt nie odpowiedział. Spróbowałem pchnąć barkiem i choć mocno się obiliśmy, nic to nie dało. Klnąc, kopnąłem drzwi w okolicy łańcucha – było to dwa razy boleśnieszce i rozerwało mi szwy, ale zadziałało.

Tuż pod oknem leżał na plecach Henry Buzzo. Podeszedłem zaniepokojony, wątpiąc, czy uda mi się cokolwiek zdziałać przy panującym wokół chaosie. Był ubrany w czerwony aksamitny szlafrok, włosy miał mokre, jakby dopiero co wyszedł spod prysznic. Czyżby wreszcie zadziałała biobronń ekstremistów? A może dostał zawału od huku bomb?

Ani jedno, ani drugie – szlafrok był przesiąknięty krwią. Zrobiono mu wielką dziurę w klatce piersiowej. Sprawcą nie był snajper, szyba była bowiem cała. Kucnąłem i przycisnąłem dwa palce do tętnicy szyjnej. Nie żył, choć był jeszcze ciepły.

Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby, próbując nie wrzasnąć z rozpaczcy. Po korowodach, by wywieźć Mosalę z wyspy, Buzzo tak łatwo mógł się uratować... kilka słów przyznania się do niedostatków swej teorii i jeszcze by żył.

Nie duma go jednak zabiła. Pieprzyć dumę! Miał prawo być uparty i bronić swojej teorii, niezależnie od jej wad. Zginął z bardzo konkretnego

powodu: jakiś oszalały AK poświęcił go dla mirażu transcendencji.

W pokoju obok znalazłem dwóch umęskich ochroniarzy. Jeden był ubrany, drugi musiał zginąć we śnie. Obaj wyglądali, jakby strzelono im z bliska w twarz. Byłem zszokowany – bardziej oszołomiony niż opanowany obrzydzeniem – na szczęście zachowałem na tyle przytomności umysłu, by zacząć filmować. Może dojdzie do procesu i gdyby hotel został zrównany z ziemią, nie byłoby innych dowodów. Sfilmowałem ciała z bliska, potem przeszedłem się po pokojach, poruszając kamerą na boki w nadziei, że uda mi się nakręcić tyle, by umożliwić rekonstrukcję wydarzeń.

Drzwi do łazienki były zamknięte. Poczujęm idiotyczną nadzieję – może świadkiem zbrodni był ktoś, komu udało się schować w łazience. Szarpnąłem za klamkę i właśnie miałem krzyknąć coś uspokajającego, kiedy przez moją tępotę przebiło się znaczenie łańcucha założonego od wewnątrz drzwi wejściowych.

Przez kilka sekund stałem jak zamurowany; z początku nie mogłem uwierzyć, potem za bardzo się bałem, by się poruszyć.

Słyszałem, jak w środku ktoś oddycha. Cicho i płytko – ale niewystarczająco cicho. Walczył o panowanie nad sobą. Kilka centymetrów ode mnie.

Nie mogłem puścić klamki, palce mi zeszywniały. Przyłożyłem lewą dłoń płasko do chłodnej powierzchni drzwi, na wysokości, na której powinna być twarz zabójcy – jakbym miał nadzieję wyczuć jej kontury, oszacować odległość skóry od skóry za pomocą rezonansu sygnałów wysyłanych przez końcówki każdego nerwu.

Kto to był? Kim był zabójca? Kto miał okazję zarazić mnie przetworzoną cholera? Ktoś obcy, kogo minąłem w sali tranzytowej w Phnom Penh albo na zatłoczonym bazarze w terminalu w Dili? Polinezyjski

biznesmen, który siedział obok mnie na ostatnim etapie podróży? Indrani Lee?

Trząśłem się z przerażenia, przekonany, że za kilka sekund czaszkę przeszyje mi pocisk, a jednak coś we mnie bardzo chciało wyłamać drzwi i zobaczyć.

Mogłem przekazać tę chwilę na żywo do sieci – i zgasnąć w ogniu objawienia.

Niedaleko eksplodował kolejny pocisk, a fala podmuchu z taką siłą odbiła się rezonansem w całym budynku, że drzwi o mało nie wyleciały z futryny.

Odwróciłem się i uciekłem.

Opuszczanie miasta w kolumnie uchodźców było męczarnią. Z mojego punktu widzenia – przypominającego widzenie węża – wszyscy robili wrażenie tak samo jak ja przerażonych i zdesperowanych, by gnać przed siebie, pozostawali jednak uparci, buntowniczo cierpliwi i szli powoli jak początkujący adepci chodzenia po linie – kalkulując każdy ruch, pocąc się z napięcia spowodowanego działaniem sprzecznych impulsów: strachu i nakazu zachowania powściągliwości. Gdzieś płakały dzieci, a dorośli wokół rozmawiali ostrożnym szeptem między kolejnymi, wstrząsającymi rafą eksplozjami. Czekałem, aż obok zawali się następny budynek, grzebiąc setkę ludzi i zmuszając kolejną grupę do panicznego odwrotu, jakoś jednak nic takiego się nie działo i po dwudziestu straszliwych minutach zostawiliśmy kanonadę za sobą.

Kolumna sunęła dalej. Przez długi czas pozostawaliśmy stłoczeni, zbici ramię w ramię, zmuszeni dotrzymywać kroku, kiedy jednak wydostaliśmy się z zabudowanych przedmieść i dotarliśmy do rejonu przemysłowego, gdzie fabryki i magazyny stały na otwartych, nagich, skalnych przestrzeniach, nagle zrobiło się miejsce na swobodne poruszanie. Kiedy

zbity tłum zrzedł, dostrzegłem w przodzie kilkanaście czterokołów i posuwającą się razem z ludzką masą elektryczną ciężarówkę.

Szliśmy od mniej więcej dwóch godzin, słońce nadal stało nisko, a kiedy ludzie poodsuwali się od siebie, owionęła nas przyjemna, chłodna bryza. Mimo skali exodusu nie dochodziło do aktów przemocy, najjaskrawszym incydentem była głośna kłótnia wściekłej pary, niosącej we dwoje owinięty w pomarańczową płachtę tobołek i wykrzykującej do siebie oskarżenia o niewierność.

Było jasne, że całą operację próbowano – a przynajmniej szczegółowo omawiano – na długo przed inwazją. Plan obrony cywilnej D: udać się na wybrzeże. Zaplanowana ewakuacja – z namiotami, kocami, piecami zasilanymi przez ogniwa słoneczne – nie musiała tu oznaczać katastrofy, choć gdziekolwiek indziej praktycznie by się z tym wiązała. Zbliżaliśmy się do raf i farm oceanicznych stanowiących źródło zaopatrzenia wyspy w żywność. Stosunkowo łatwo można było się tu podłączyć zarówno do rur ze słodką wodą, jak i do kanalizacji. Jeżeli największymi zabójcami współczesnych wojen były nadmiar słońca, głód, odwodnienie i choroby, to mieszkańcy Bezpaństwa wyglądali na wyjątkowo dobrze wyposażonych, by stawić temu czoło.

Jedyną rzeczą, która mnie martwiła, była oczywistość faktu, że najemnicy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jeżeli celem ich ostrzału było wygnanie nas z miasta, musieli wiedzieć, jak niewiele cierpienia to spowoduje. Może uważali, że wybiórcze doniesienia z exodusu wystarczą, by udowodnić większości ludzi polityczne fiasko Bezpaństwa, a nie dało się zaprzeczyć, że pozycja państw opowiadających się przeciwko bojkotowi już została osłabiona – i to niezależnie od tego, czy wybuchnie czerwotka i dojdzie do głodu. Miałem dziwne podejrzenie, że EnGeneUity wystarczy samo wypędzenie miliona ludzi do miasteczek namiotowych.

Przekazałem do FBI i kierownictwa firmy ochroniarskiej w suwie nagranie z apartamentu Buzzo, razem z krótkim wyjaśnieniem nadającym zdarzeniu kontekst. Uznałem, że na miejscu będzie spowodowanie, by zawiadomiono rodziny całej trójki o śmierci bliskich i uruchomienie śledztwa. Nie posłałem kopii do SeeNetu – nie tyle z szacunku dla rodzin, ile z niechęci dokonania wyboru między przyznaniem się Lydii, że ukryłem fakty o Mosali i AK a komplikowaniem przestępstwa poprzez udawanie, że nie mam pojęcia, dlaczego zamordowano Buzzo. Na dłuższą metę było prawdopodobnie nieistotne, co zrobię, i tak miałem przesrane, chciałem jednak przynajmniej na kilka dni odwlec to, co nieuniknione.

Po mniej więcej trzeciej godzinie marszu dostrzegłem w oddali coś wielokolorowego i rozmazanego – ukazała się gigantyczna szachownica rozrzuconych kilka kilometrów przed nami jaskrawych zielonych i pomarańczowych kwadratów. Zostawiliśmy za sobą centralny płaskowyż i teren łagodnie opadał ku wybrzeżu. Nie wiem, czy wynikiem był spadek terenu czy zbliżanie się końca marszu, ale nagle szło mi się znacznie łatwiej. Pół godziny później ludzie wokół stanęli i zaczęli rozbijać namioty.

Usiadłem na walizce i chwilę odpocząłem, potem znów przystąpiłem do filmowania. Może i ćwiczono ewakuację, ale niezależnie od tego wyspa zdawała się współpracować ze stawiającymi namioty uciekinierami tak doskonale, że cały proces wyglądał nie jak rozpaczliwa improwizacja w obliczu zagrożenia, a jak logiczne dokończenie czegoś, do czego naga skała zawsze była przygotowana. Kropla sygnalizacyjnego peptydu wystarczyła, by rozpocząć kaskadowy proces, który kazał litofilom otworzyć szyb prowadzący do rury ze świeżą wodą i kiedy zainstalowano trzecią pompę, nauczyłem się rozpoznawać charakterystyczny wir niebieskich i zielonych pierwiastków śladowych znakujących miejsca, gdzie można było budować studnie. Dostanie się do kanalizacji potrwało nieco dłużej – rury miały

większą średnicę i zostały umieszczone głębiej, a punkty dostępu były rzadziej rozrzucone.

Była to druga strona szalonego, opartego na zjadaniu opon koszmaru przeżycia Neda Landersa: autonomia dzięki biotechnologii, ale bez ekstremizmu i paranoi. Miałem nadzieję, że założyciele i twórcy Bezpaństwa – kalifornijscy anarchiści, którzy tyle dziesięcioleci temu pracowali dla EnGeneUity – jeszcze żyją i mogą zobaczyć, jak dobrze ich wynalazek spełnia swe zadanie.

W południe – granatowe markizy osłaniały pompy wodne, nad latrynami wznosiły się jaskrawoczerwone namioty, powstał nawet prosty punkt pierwszej pomocy – wydało mi się, że zaczynam pojmować, co miała na myśli zajmująca się mną lekarka, kiedy mówiła, bym nie sądził, że rozumiem coś lepiej od tutejszych mieszkańców. Obejrzałem mapę zniszczeń miasta; nie aktualizowano jej, ale w ostatnim meldunku podawano, że zrównano z ziemią ponad dwieście budynków – w tym hotel.

Może *technoliberation* nigdy nie przemieni nieustępliwej skały kontynentów w coś tak gościnnego jak Bezpaństwo, ale w świecie przyzwyczajonym do widoku nędznych obozów dla uchodźców, gdzie ludzie albo duszą się kurzem, albo toną w błocie, widok wioski renegatów mógł symbolizować plusy końca genetycznych praw patentowych znacznie bardziej przekonująco niż kiedykolwiek zrobiła to wyspa w czasie pokoju.

Filmowałem wszystko i przekazywałem do redakcji wiadomości SeeNetu, z komentarzem, który mógł, moim zdaniem, nieco rozjaśnić ciemną stronę sytuacji: im mniej dramatycznie przedstawi się sytuację anarchistów, tym mniejsza była szansa politycznego protestu przeciw inwazji. Nie chciałem, by zdyskredytowano Bezpaństwo, a komentatorzy, mądrze kiwając głowami, powtarzali, że przecież wyspa od początku była skazana na zagładę; jeżeli jednak do ściągnięcia uwagi przeciętnego widza

trzeba by tysiąc trupów na dzień, przy nazbyt optymistycznym obrazie exodus nie stałyby się godnym przedstawiania tematem.

Pierwsza jadąca od brzegu ciężarówka, jaką zauważyłem, rozdała całe jedzenie na długo, zanim do nas dojechała. O trzeciej po południu, przy szóstej dostawie, niedaleko jednej z pomp wodnych zaczęto rozbijać dwa namioty i budować „restaurację”. Czterdzieści minut później siedziałem na składanym krzeselku w cieniu fotowoltowego daszku i trzymałem na kolanach miskę parującego gulaszu z jeżowca morskiego. Jadło ze mną kilkanaście osób zmuszonych do ucieczki bez własnego sprzętu do gotowania; podejrzliwie lustrowali moją kamerę, przyznali jednak, że – oczywiście – istniał plan opuszczenia miasta. Pierwsza wersja powstała dawno temu, ale dyskutowano ją i udoskonalano co roku.

Byłem pełen optymizmu – i bardzo odbiegałem od nastroju mieszkańców. Zdawali się uważać sukces ucieczki za oczywisty (co w moich oczach było niemałym cudem), ale teraz, kiedy (jak zawsze się spodziewali) wyszli z miasta bez szwanku i musieli czekać, aż najemnicy zrobią następny ruch, wszystko stało się mniej pewne.

– Co, pani zdaniem, wydarzy się w ciągu następnej doby? – spytałem kobietę z małym chłopcem na kolanach. Objęła syna i nie odpowiedziała.

Na zewnątrz ktoś zawył, wyraźnie z bólu. Restauracja opustoszała w kilka sekund. Udało mi się przebić przez tłum zebrany na placyku między namiotami, zaraz jednak musiałem się cofnąć, gdyż ludzka fala odsunęła się w panice.

Jakaś niewidzialna maszyna uniosła w górę młodego Fidżyjczyka, oczy miał rozszerzone przerażeniem i wołał o pomoc. Walczył w żalosny sposób, ale obie ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała; były zakrwawione i zmasakrowane, z jednego łokcia wystawała kość. To, co go porwało, było zbyt silne, by z tym walczyć.

Ludzie zawodzili i krzyczeli – i próbowali uciec. Opierałem się zbyt długo sparaliżowany przerażeniem, w końcu pchnięto mnie i upadłem na kolana. Zakryłem głowę dłońmi i skuliłem się, ale w dalszym ciągu stanowiłem przeszkodę dla ludzkiej fali. Ktoś ciężki potknął się o mnie, dźgnął mnie kilka razy kolanami i łokciami, po czym oparł się o mnie, by odzyskać równowagę, omal nie łamiąc mi kręgosłupa. Kuliłem się, znosząc kolejne poszturchiwania, i choć żałowałem, że nie mogę wstać, było jasne, że każda próba skończy się przewróceniem na plecy i podeptaniem mi twarzy. Rozpaczliwe prośby nieszczęsnego mężczyzny były niczym dodatkowa fala ciosów; wcisnąłem głowę głębiej w ramiona, by odciąć się od dźwięku. Niedaleko cicho przewrócił się namiot.

– Mijały długie sekundy, nikt więcej na mnie nie wpadał. Podniosłem głowę – placyk był pusty. Mężczyzna żył, ale oczy obracały mu się ku górze, a szczęka lekko drżała. Miał zmiażdżone obie nogi. Na jego niewidocznego oprawcę kapąła krew każda kropla zatrzymywała się w połowie lotu i na chwilę zamieniała się w krążek, wskazując, gdzie znajduje się powierzchnia, po czym znikwała w ukrytym pancerzu. Rozejrzałem się za moją kamerą, która wydawała z siebie ciche, wściekłe pokaszływania. Gardło miałem zaciśnięte, klatkę piersiową jak zgniecioną każdy oddech, każdy ruch był torturą. Znalazłem kamerę i ponownie ją przymocowałem, potem wstałem niepewnie na nogi i zacząłem filmować.

Mężczyzna patrzył na mnie z niewiarą. Spojrzał mi w oczy i jęknął: – Pomóż... mi...

Bezradnie wyciągnąłem dłoń w jego kierunku. Owad zignorował mnie – nie byłem w niebezpieczeństwie, chciał bowiem by wszyscy widzieli, co się dzieje – dygotałem jednak z wściekłości i rozpacz, po twarzy i piersi spływały mi zimne strużki śmierdzącego potu.

Kiedy robot uniósł mężczyznę wyżej, wokół jego sylwetki zamigotała delikatna aureola interferencyjnych frędzli. Kamera podążała za moim wzrokiem ku górze, aż ukazała jedynie połamane ciało na tle nieba.

– Gdzie ta wasza pieprzona milicja?! – wrzasnąłem. – Gdzie macie broń? Gdzie wasze bomby? Zróbcie coś!

Głowa mężczyzny opadła, miałem nadzieję, że stracił przytomność. Niewidoczne szczypce złamały mu kręgosłup, po czym odrzuciły trupa na bok. Ciało tępo uderzyło w markizę nad studnią, po czym się po niej zsunęło.

Dziesięcioletni obóz wył w mojej głowie i wykrzykiwałem coś bez sensu, wpatrywałem się jednak w miejsce, gdzie musiał być robot.

W przestrzeni przede mną coś głośno zachrobotło. W alejkach wokół placu zapadła obrzydliwa cisza. Owad bawił się światłem, rysował dla nas swoje kontury: na tle nieba – w szarości rafowej skały, na tle skały – błękitem. Korpus, zwisający z sześciu nóg ułożonych w odwrócone V, był długi i składał się z kilku segmentów, znajdujące się na obu końcach toporne łby nieustannie się poruszały i wachały powietrze, ze skorupy wysuwały się i chowały w niej cztery giętkie odnóża, zakończone ostrymi szponami.

Stałem bez słowa i chwiałem się na boki, czekałem, aż coś się wydarzy – aż spomiędzy namiotów wybiegnie ktoś opasany plastikiem i rzuci się na stwora, by objąć go uściskiem kamikaze... choć na pewno nie udałooby mu się dotrzeć na odległość mniejszą jak dziesięć metrów, skąd zostałby odrzucony w tłum, by zabić kilkunastu przyjaciół.

Stwór wygiął cielsko w łuk, uniósł dwa odnóża i rozłożył je w geście triumfu.

Skoczył między namioty, każąc ludziom wpadać na nie i rozpaczliwie się wspinać, by uciec przed potworem.

Maszyna pognała alejką i zniknęła. Podążała na południe, w kierunku miasta.

Siedziałem na ziemi między latrynami; nie miałem ochoty patrzeć na zdemoralizowanych ludzi z obozu i posłałem film o morderstwie do SeeNetu. Próbowałem dodać komentarz, ale nie mogłem się skoncentrować z powodu szoku. Przyszło mi na myśl, że korespondenci wojenni widują znacznie gorsze rzeczy, do tego dzień po dniu. Ile potrwa, aż się uodpornię?

Przejrzałem doniesienia międzynarodowe. Wszyscy mówili o „rywalizujących anarchistach” – z SeeNetem włącznie, który nie pokazał niczego, co wysłałem.

Przez pięć minut próbowałem się uspokoić, po czym zadzwoniłem do Lydii. Pół godziny zajęło mi dotarcie do niej – przez ten czas słyszałem wokół siebie jedynie pochlipywanie. Jak będzie wyglądała sytuacja po dziesiątym ataku? Po setnym? Zamknąłem oczy i zacząłem fantazjować o Cape Town, Sydney, Manchesterze. Dowolnym miejscu daleko stąd.

Wreszcie zgłosiła się Lydia.

– Jestem tutaj i filmuję – co się dzieje z materiałem? – zacząłem.

Nie była odpowiedzialna za wiadomości, ale jako jedyna mogła udzielić mi szczerzej odpowiedzi.

Lydia miała kamienną twarz i była lodowata ze złości.

– W swoim „nekrologu” Violet Mosali wysłałeś z palca szereg ugrupowań. Nie było tam słowa o organizacji, która zabiła Yasuko Nishide – i teraz Henry’ego Buzzo. Widziałam materiał, który przesłałeś firmie ochroniarskiej – o cholery, o kutrze. W co pogrywasz?

Zacząłem szukać wymówek, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że nie wystarczy powiedzieć: gdybym was nie wykorzystał, Mosala by zginęła.

– Wszystko, co sfigowałem, powiedziała naprawdę. Nieoficjalnie. Sama ją spytaj.

– To w dalszym ciągu nie do zaakceptowania. – Lydia była nieporuszona. – Poza tym nie możemy jej o nic zapytać. Jest w śpiączce.

Nie chciałem tego słuchać – jeżeli Violet dozna uszkodzenia mózgu, wszystko było na nic.

– Nie mogę powiedzieć więcej, ponieważ... nie chcę dawać wskazówek antrokosmologom. – Była to bzdura, antrokosmologowie doskonale wiedzieli, ile powiem mediom.

Mina Lydii złagodniała – jakbym posunął się tak daleko, że nie należało mnie karcić, a żałować.

– Posłuchaj, mam nadzieję, że uda ci się dotrzeć bezpiecznie do domu, ale reportaż jest anulowany. Złamałeś warunki kontraktu, a dział wiadomości nie jest zainteresowany, byś zajmował się donoszeniem o politycznych problemach na wyspie.

– O politycznych problemach?! Tkwią w środku wojny wywołanej przez największy koncern biotechnologiczny świata i jestem jedynym dziennikarzem na wyspie, który ma jako takie pojęcie, co tu się dzieje. Jestem też jedynym dziennikarzem SeeNetu i kropka. Jak stacja może nie być zainteresowana?

– Negocjujemy z kimś innym.

– Tak? Z kim? Z Janet Walsh?

– Nie twój interes.

– To nie do wiary! EnGeneUity morduje ludzi, a... Lydia uniosła dłoń, by mnie uciszyć.

– Nie chcę słyszeć więcej tej... propagandy. Zgoda? Przykro mi, że przeszedłeś tyle nieprzyjemności, a anarchiści wybijają się nawzajem. – Chyba naprawdę było jej smutno. – Jeśli jednak stanąłeś po którejś stronie i

chcesz zajmować się polemiką z bojkotem i prawami patentowymi, fingując materiał, to... twój problem. Nie mogę ci pomóc. Bądź ostrożny, Andrew. Do widzenia.

Kiedy zaczął zapadać zmrok, ruszyłem w obchód obozu. Filmowałem i przekazywałem sygnał w czasie rzeczywistym do konsoly w domu. Chciałem zebrać cały materiał niezależnie od tego, czy było warto.

Modelowa wioska uchodźców była w dalszym ciągu cała, pompy wodne pracowały, sanitariaty lśniły. Wszędzie świeciły się światła, otoczone pomarańczowymi i zielonymi aureolami w miejscach, gdzie przebijały się przez materiał namiotów, z co drugiego namiotu dochodziły zapachy gotowania. Elektryczności zebranej przez materiał namiotów wystarczy jeszcze na kilka godzin. Nie doszło do wielkich zniszczeń i nie stracono źródła komfortu fizycznego.

Ludzie, których mijałem, byli jednak napięci, pełni strachu, cisi. Robot mógł wrócić w każdej chwili, w dzień lub w nocy, i jeszcze kogoś zabić – albo tysiąc osób.

Wysyłając roboty poza miasto, by uderzały przypadkowo, najemnicy mogli szybko podkopać morale ludzi i wygnać ich jeszcze bliżej brzegu. Uciekinierzy z Ciepłarni, którzy przybyli na Bezpaństwo po to, aby uniknąć czepiania się brzegu i czekania na następny sztorm, mogli w efekcie zechcieć opuścić wyspę.

Nie umiałem się domyślić, co jest z tak zwaną milicją; może została zniszczona, kiedy podjęła w mieście jakiś idiotyczny akt bohaterstwa. Przejrzałem lokalne sieci; były raporty o kilkunastu podobnych atakach robotów, w stylu tego, którego doświadczyłem, ale niewiele więcej. Trudno było oczekiwać, by anarchiści publikowali w sieciach wszystkie swoje tajemnice wojskowe, dziwne wrażenie robił na mnie jednak zarówno brak hałaśliwej propagandy, jak i mających podnieść morale twierdzeń o

szybkim zwycięstwie. Może cisza coś znaczyła, nie umiałem jej jednak zrozumieć.

Robiło się coraz zimniej. Nie chciałem prosić o miejsce w czyimś namiocie – nie z obawy odmowy, ale wbrew słabym gestom solidarności nadal czułem się autsajderem. Ludzie ci przeżywali stan oblężenia i nie mieli powodu mi ufać.

Siedziałem więc w restauracji i popijałem gorącą, choć cienką zupkę. Inni klienci rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami. Choć przyglądali mi się nie tyle z otwartą wrogością, ile z umiarkowaną ostrożnością, wykluczali mnie ze swego grona.

Zniszczyłem sobie karierę – dla Mosali, dla *technoliberation* – niczego nie osiągając. Mosala była w śpiączce, Bezpaństwo na skraju długiego i krwawego upadku.

Byłem odrętwiały, dostawałem paranoi i czułem się kompletnie bezużyteczny.

Wtedy nadeszła informacja od Akili. Uciekło z miasta, nie odnosząc żadnych ran, i było w innym obozie, znajdującym się mniej więcej kilometr dalej.

..28..

– Siadaj. Gdziekolwiek, gdzie będzie ci wygodnie.

W namiocie nie było niczego poza plecakiem i rozwiniętym śpiworem; przezroczysta podłoga wyglądała na suchą, pomijając odrobinę rosy na zewnątrz, warstwa była jednak tak cienka, że przez plastik bez trudu dało się wyczuć żwirek pod spodem. Czarna łąta na ścianie emitowała łagodne ciepło – zasilaną ją energia słoneczna, zmagazynowana w polimerach wplecionych w każde włókno materiału, z którego uszyto namiot.

Usiadłem na końcu śpiwora. Akili siedziało naprzeciwko, ze skrzyżowanymi nogami. Rozejrzałem się z uznaniem; choć wewnątrz było skromne, stanowiło znaczną poprawę w stosunku do nagiej skały.

– Gdzie to znalazłeś? Nie wiem, czy na Bezpaństwie strzela się do szabrowników, ale... warto było ryzykować.

Akili prychnęło.

– Nie musiałem tego kraść. Jak myślisz, gdzie mieszkałem przez ostatnie dwa tygodnie? Nie stać nas na „Ritza”.

Wymieniliśmy się najnowszymi wieściami. Akili już wiedziało o większości tego, co miałem do powiedzenia: o śmierci Buzzo, ewakuacji Mosali, jej niepewnym stanie. Nie wiedziało jednak o dowcipie, jaki zrobiła antrokosmologom – automatycznym rozpowszechnieniu TW po całym świecie.

Kiedy to usłyszało, mocno zmarszczyło czoło i przez długi czas milczało. Od dnia, kiedy widziałem go po raz ostatni w szpitalu, coś zmieniło się w jego twarzy; poważny wstrząs, wynikły ze zrozumienia wiadomości o zarazie łączenia się z informacją, ustąpił czemuś w rodzaju

miny świadczącej, że na coś czeka – jakby było przygotowane, że lada chwila ogarnie *vo STAN WYCZERPANIA* i niemal czeka na to doświadczenie, niezależnie od tego, jak wielkie cierpienie i przerażenie okazywały ofiary choroby. Nawet u tych kilkorga, którzy na krótko się uspokajali i byli w dziwny sposób przytomni, doszło do nawrotu choroby – gdybym uważał, że choroba czeka wszystkich, nie chciałbym dalej żyć.

– Nadal nie możemy dopasować naszych modeli do danych – przyznało Akili. – Nikt, z kim się kontaktowałem, nie jest w stanie określić, co się dzieje. – Wyglądało na pogodzone z faktem, że zaraza nie da się na krótką metę dokładnie zanalizować, ale w dalszym ciągu na przekonane, że tego podstawowe wyjaśnienie jest prawidłowe. – Nowe przypadki pojawiają się zbyt szybko, znacznie szybciej niż przy przyroście wykładniczym.

– Więc może się mylisz, że chodzi o łączenie się z informacją. Przewidziałeś przyrost wykładniczy, założenie okazało się jednak błędne. Może widzisz zbyt wiele antrokosmologii w majakach czterech poważnie chorych osób?

Pokręciło głową, odrzucając tę ewentualność.

– Siedemnastu osób. Twój kolega z SeeNetu nie był jedynym świadkiem czegoś podobnego, inni dziennikarze donieśli o identycznym zjawisku. Da się też wyjaśnić różnicę w ilości przypadków.

– Jak?

– Istnieniem wielokrotnych Zworników. Roześmiałem się.

– Jak będzie brzmiało określenie tej grupy? Na pewno nie Arka Zworników. Panteon? Jedna osoba, z jedną teorią, doprowadzająca do zaistnienia wszechświata poprzez jego wyjaśnienie – czy to nie zasadnicze założenie antrokosmologii?

– Na pewno „zjedna teorią”. Istnienie jednej osoby wydawało się wersją najbardziej prawdopodobną. Zawsze wiedzieliśmy, że TW zostanie

przekazana światu. Zakładaliśmy, że wszystko zostanie do ostatniego szczegółu najpierw dopracowane przez odkrywcę, jeśli jednak Mosala zapadła akurat w śpiączkę, a TW zostanie równocześnie przekazana dziesiątkom tysięcy ludzi...

tego nie rozpatrywaliśmy. Nie ma także nadziei, że da się to wymodelować: matematyka takiego procesu jest nie do opanowania. – Rozłożyło ręce w geście pogodzenia się. – Nieważne. Wkrótce wszyscy poznamy prawdę.

Dostałem gęziej skórki. W obecności Akili nie wiedziałem, w co naprawdę wierzyć.

– Jak się tego dowiemy? TW Mosali nie przewiduje związku telepatycznego ze Zwornikiem – albo Zwornikami – tak samo jak nie przewiduje Rozplatania wszechświata. Jeżeli ona ma rację, wy musicie się mylić.

– To zależy, w czym ma rację.

– We wszystkim. W końcu to Teoria Wszystkiego.

– Wszystko może się ujawnić jeszcze dziś wieczór, a większość TW nic na ten temat nie mówi. Zasady gry w szachy nie mówią, czy szachownica jest na tyle wytrzymała, by utrzymać wszystkie dopuszczalne kombinacje ustawienia figur.

– Ale każda TW ma sporo do powiedzenia o ludzkim mózgu, prawda? Jest to bryła normalnej materii, przedmiot działania zwykłych praw fizyki. Nie zaczyna się „łączyć z informacją” tylko dlatego, że ktoś na drugim końcu planety sformułował do końca Teorię Wszystkiego.

– Dwa dni temu zgodziłem się z tobą – stwierdziło Akili. – TW, które nie radzą sobie z własnymi podstawami informatycznymi, są jednak tak niepełne jak... ogólna teoria względności, wymagająca istnienia Wielkiego Wybuchu, ale natychmiast się przy tym załamująca. Wyglądzenie

wyjatkowości wymagało unifikacji wszystkich czterech sił i wygląda na to, że dla zrozumienia wyjaśniającego Wielkiego Wybuchu będzie konieczna jeszcze jedna unifikacja.

– Ale dwa dni temu...

– Myliłem się. Główny nurt zawsze podejrzewał, że niekompletna TW jest potrzebna. Zwornik wyjaśniłby wszystko, poza tym, jak TW może zacząć działać. Na to pytanie odpowiedziałyby antrokosmologia, ta strona równania nigdy jednak nie stałaby się widoczna. – Akili wyciągnęło do przodu ręce złożone wewnątrzami dłoni i ułożone poziomo. – Fizyka i metafizyka: uważaliśmy, że zostaną oddzielone na zawsze. Tak było w przeszłości, wydawało się to więc rozsądnym założeniem. Tak samo jak pojedynczy Zwornik. – Splotło palce i przesunęło ramiona czterdzieści pięć stopni w bok. – Tak się jednak składa, że to nieprawda. Może dlatego, że TW unifikująca fizykę z informacją – łącząca oba poziomy i opisująca, że obowiązuje – jest czymś przeciwnym do Rozplatania. Jest stabilniejszym wariantem niż cokolwiek innego.

Nagle przypomniała mi się wizyta u Amandy Conroy, kiedy wywnioskowałem żartem, że rozdział władzy między Mosalą a antrokosmologami to dobra rzecz. Później Henry Buzzo zaproponował żartem teorię, która sama się potwierdza, sama się broni, wyklucza rywali i nie da się przełknąć.

– A czyja teoria unifikuje fizykę z informacją? – spytałem.

– TW Mosali nie zawiera możliwości „opisania własnego obowiązywania”.

Akili nie widziało problemu.

– Nigdy nie zamierzała tego robić, ale albo nie dostrzegła wszystkich implikacji własnej pracy, albo ktoś w sieci zamierza przywłaszczyć sobie

jej czysto fizyczną TW i rozwinąć ją tak, by objęła teorię informacji. Za kilka dni, może godzin.

Wbiłem wzrok w podłogę namiotu. Przyziemne, straszliwe wydarzenia minionego dnia opadły mnie i nagle się zezłościłem.

– Jak możesz tu siedzieć i pieprzyć takie głupoty? Co się stało z *technoliberation*! Gdzie solidarność z renegatami? Rozbiciem bojkotu?! – W obliczu inwazji moje marne umiejętności i koneksje okazały się nic nie warte, ale jakimś sposobem wyobrażałem sobie, że Akili ma tysiącrotnie więcej możliwości: zajmuje ważną rolę w ruchu oporu, tworzy błyskotliwy kontratak.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytało spokojnie. – Nie jestem żołnierzem, nie wiem, jak wygrać dla Bezpaństwa wojnę. Wkrótce będzie więcej przypadków *STANU WYCZERPANIA* niż ludzi na tej wyspie, a jeżeli AK nie spróbują analizować zarazy łączenia się z informacją, nikt inny tego nie zrobi.

Gorzko się roześmiałem.

– Jesteś teraz gotów uwierzyć, że zrozumienie wszystkiego doprowadzi nas do szaleństwa? Że Kulty Ignorancji miały rację? Że TW pośle nas – krzyczących i kopiących – w przepaść? Akurat teraz, kiedy doszedłem do wniosku, że nic takiego nie nastąpi?

Akili pokręciło się nieswojo.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie podchodzą do tego tak poważnie. – Po raz pierwszy w tego głosie był strach i przebijał się przez pełne determinacji pogodzenie się z sytuacją. – Ale... połączenie z informacją przed momentem alef musi być niedoskonałe, zaburzone – gdyby nie było bowiem w jakiś sposób skażone, pierwsza ofiara *STANU WYCZERPANIA* wyjaśniłaby wszystko i została Zwornikiem. Nie wiem, na czym polega skaza, czego brakuje, co sprawia, że częściowe zrozumienie jest tak

traumatyczne, ale kiedy TW zostanie dokończona... – Przerwało. Jeżeli moment alef nie zakończy *STANU WYCZERPANIA*, wojna na Bezpaństwie będzie niczym. Jeżeli nie można przeciwstawić się TW, czeka nas wszechświatowe szaleństwo.

Zamilkliśmy. W obozie panowała cisza, jedynie gdzieś w oddali krzyczały dzieci, a z okolicznych namiotów dolatywał szczeł naczyń kuchennych.

– Andrew?

– Tak?

– Popatrz na mnie.

Po raz pierwszy od wejścia do namiotu popatrzyłem wprost w twarz. Vego ciemne oczy błyszczały bardziej niż zwykle: inteligencją, ciekawością, pasją. Niczym nie skrępowane piękno jego twarzy wyzwoliło we mnie głęboki, zadziwiający oddźwięk – dreszcz przypomnienia, który odbił się echem od ciemności w mojej głowie po podstawę kręgosłupa. Na tego widok bolało mnie całe ciało, każde włókno nerwowe, każde ścięgno. Był to jednak miły ból – coś podobnego musi czuć człowiek, którego pobito i pozostawiono, by umarł, a nagle, nieoczekiwanie czuje, że się budzi.

Tym właśnie było Akili: moją ostatnią nadzieją, moim zmartwychwstaniem.

– Czego chcesz? – spytało.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Daj spokój. Nie jestem ślepy. – Obserwowało mnie uważnie, lekko marszczyło przy tym czoło, zdziwione, choć bez chęci oskarżania. – Coś zrobiłem? Coś cię zwiodło? Nasunęło błędny pomysł?

– Nic. – Chciałem, by ziemia mnie pochłonięła, a równocześnie bardziej pragnąłem go dotknąć niż żyć.

– Neuronowy aseks może sprawić, że ludzie nieodpowiednio interpretują wysyłane przez vego sygnały. Zdawało mi się, że stawiałem wszystko jasno, ale jeżeli zamieszałem ci w głowie...

Przerwałem vu.

– Zrobiłeś tak. Stuprocentowo jasno. – Słyszałem, jak mój głos się rozplywa. Oczekałem kilka sekund, zmuszając się do spokojnego oddychania, zmuszając krtań do rozluźnienia się, po czym powiedziałem spokojnie: – To nie twoja wina. Przepraszam, że cię obraziłem. Chyba lepiej sobie pójdę. – Zacząłem wstawać.

– Nie idź. – Akili położyło mi dłoń na ramieniu i powstrzymało mnie. – Jesteś moim przyjacielem, cierpisz i musimy coś z tym zrobić.

Wstało, zaraz jednak pochyliło się i zaczęło rozwiązywać buty.

– Co robisz?

– Czasami wydaje ci się, że coś wiesz, sądzisz, że coś dociera do ciebie, ale tak nie jest, dopóki nie ujrysz tego na własne oczy. – Ściągnęło luźny T-shirt przez głowę. Vego pierś była szczupła, nieco umięśniona i idealnie gładka – bez piersi, sutek, bez niczego. Odwróciłem głowę, zaraz jednak wstałem, zdecydowany wyjść – natychmiast, gotów porzucić vo tylko dlatego, by zachować w sobie żądzę, która – o czym zawsze wiedziałem – prowadziła donikąd, lecz zamarłem jak sparaliżowany, wirowało mi w głowie, czułem się, jakbym zaraz miał zemdleć.

– Nie musisz tego robić – stwierdziłem drętwą.

Akili podeszło do mnie i stanęło obok. Patrzyłem prosto przed siebie. Wzięło moją prawą dłoń i przyłożyło ją sobie do brzucha – płaskiego, miękkiego i bezwłosego – po czym pociągnęło moje spocone palce między swoje nogi. Nie było tam nic poza gładką skórą, chłodną i suchą, na końcu maleńkie ujście moczowodu.

Wyrwałem rękę, czując, że płonę z upokorzenia, akurat na czas połykając zjadliwą uwagę o „afrykańskich tradycjach”. Odsunąłem się na tyle, na ile pozwalał namiot, w dalszym ciągu nie patrząc na vego – ogarnęła mnie fala żalu i złości.

– Dlaczego? Jak mogłeś tak bardzo nienawidzić swojego ciała?

– Nigdy go nie nienawidziłem. Nigdy jednak go także nie czciłem. – Powiedziało to łagodnie, starając się zachować cierpliwość, ale wyraźnie znudzone potrzebą usprawiedliwiania się.

– Nie wybrałem cię zamiast Edenity. Wszystkie Kultury Ignorancji czczą najmniejsze klatki, jakie są w stanie znaleźć: dotyczące przyjscia na świat, biologii, historii, kultury... po czym wrzeszczą na każdego, kto śmie pokazać im pręty klatki sto milionów razy większej. Moje ciało nie jest świątynią ani kupą nawozu. Wybór między tymi dwoma możliwościami to wybór mitologii idiotów, nie *technoliberation*. Najgłębszą prawdą o ciele jest to, że wszystko, co je hamuje, jest w końcu fizyką. Możemy przekształcić te siły w cokolwiek, na co pozwala TW.

Ta chłodna logika odrzucała mnie jeszcze bardziej. Zgadzałem się z każdym słowem, ale czepiałem się odruchowego przerażenia jak liny ratunkowej.

– Najgłębsza prawda w dalszym ciągu by nią była, gdybyś nie poświęcił...

– Niczego nie poświęcałem. Z wyjątkiem kilku schematów zachowań umieszczonych głęboko w moim układzie limbicznym, wyzwalanych przez określone bodźce wzrokowe i feromony... i potrzebę przeżywania drobnych eksplozji opiatów endogennych w mózgu.

Odwróciłem się i popatrzyłem na vego. Buntowniczo odwzajemniało spojrzenie. Zabieg został przeprowadzony dobrze – Akili nie wyglądało na zdeformowane, pozbawione równowagi. Nie miałem prawa żałować straty,

która tkwiła jedynie w mojej głowie. Nikt nie okaleczył wo siłą – podjęło samodzielną decyzję z otwartymi oczami. Nie miałem prawa życzyć sobie, by zostało „wyleczone”.

Mimo wszystko byłem roztrzęsiony i zły. Nadal chciałem wo ukarać za to, co mi zabrało.

– I dokąd cię to prowadzi? – spytałem sardonicznie. – Czy wyrznięcie sobie podstawowych, zwierzęcych instynktów zapewniło ci wielką, elitarną wiedzę? Nie mów tylko, że jesteś w stanie odtworzyć utraconą wiedzę średniowiecznych świętych żyjących w cnocie.

Akili skrzywiło się rozbawione.

– Raczej nie. Seks też jednak nie daje wiedzy – tak jak wstrzykiwanie sobie heroiny – niezależnie od tego, ile kultyści będą paplać o „tantryjskich misteriach” i „wspólnocie dusz”. Daj komuś z Renesansu Mistycznego magicznego grzybka, to powie ci z pełnym przekonaniem, że właśnie rypał się z bogiem. Seks, narkotyki i religia są zależne od tego samego rodzaju prostych zdarzeń neurochemicznych: uzależniających, euforyzujących, wycieńczających – i tak samo pozbawionych znaczenia.

Była to znana prawda, ale w tej akurat chwili mocno mnie ubodła. Dlatego, że w dalszym ciągu wo pożądałem, a narkotyk, od którego byłem uzależniony, nie istniał.

Akili nieco uniosło ręce, jakby proponowało rozejm: nie miało ochoty mnie ranić, jedynie broniło swej filozofii.

– Jeżeli większość ludzi godzi się na uzależnienie od orgazmu – jej wybór. Nawet najbardziej radykalny aseks nie zmuszałby nikogo, by go naśladował, ale nie mam zamiaru pozwalać na to, by moje życie krążyło wokół kilku tanich biochemicznych sztuczek.

– Nawet nie w imię tego, by być stworzonym na podobieństwo twojego ukochanego Zwornika?

– Nadal nie rozumiesz, prawda? – Roześmiało się ze znużeniem. – Zwornik nie jest jakimś... teleologicznym punktem końcowym, kosmicznym ideałem. Za tysiąc lat ciało Zwornika będzie tak samo przestarzałym żartem jak moje i twoje. Skończył mi się zapas złości i powiedziałem po prostu: – Nie dbam o to. Seks ciągle może być czymś więcej od wyrzutu endogennych opiatów.

– Oczywiście. Może być formą komunikacji. Może być jednak czymś całkiem przeciwnym – przy tych samych zjawiskach biologicznych. Jediną rzeczą, z jakiej zrezygnowałem, jest to, co łączy najlepszy i najgorszy seks. Nie dostrzegasz tego? Jedynie wyłączyłem hałas.

Nie miało to sensu. Pobity, odwróciłem głowę. Dotarło do mnie, że ból, który uważałem za cierpienie pożądania, nie był nigdy niczym więcej jak siniakiem, który zrobił mi uciekający przed robotem tłum, i pulsowaniem rany w moim brzuchu – i ciężarem porażki.

– Nigdy nie miałeś ochoty na... fizyczne pocieszenie? – spytałem bez nadziei. – Jakiś kontakt? Nigdy nie miałeś ochoty być... jedynie dotykany?

Akili podeszło do mnie i łagodnie odrzekło: – Oczywiście. To właśnie cały czas próbuję ci powiedzieć. – Położyło mi dłoń na ramieniu, drugą ujęło mnie pod brodę i uniosło mi głowę tak, bym popatrzył w oczy. – Jeżeli też tego chcesz i nie będzie dla ciebie rozczarowaniem... i jeżeli rozumiesz, że nie może się to zamienić w żaden rodzaj seksu, to...

– Rozumiem – odparłem szybko.

Szybko się rozebrałem, by nie zmienić zdania. Drżałem jak nerwowy nastolatek, na siłę próbowałem sprawić, by wzwód zniknął, ale mi nie wychodziło. Akili podkręciło panel ogrzewający i położyliśmy się na śpiworze naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy, nie stykając się ciałami. Wyciągnąłem rękę i ostrożnie dotknąłem jego ramienia, boku szyi, pleców.

– Dobrze tak?

– Tak.

– Mogę cię... pocałować?

– To chyba niedobry pomysł. Odpręż się. – Pogłaskało mój policzek chłodnymi palcami, po czym przeciągnęło grzbietem dłoni w dół mojej klatki piersiowej, ku obandażowanemu brzuchowi.

Zadrzałem.

– Noga ciągle cię boli?

– Czasami. Odpręż się.

– Robiłeś to już kiedyś z... nieaseksem?

– Tak.

– Z mężczyzną czy kobietą?

– Z kobietą. – Akili cicho się zaśmiało. – Powinieneś zobaczyć teraz swoją minę. Jeżeli przeżyjesz orgazm, nie będzie to koniec świata. Ona przeżyła. Nie wyrzucę cię z niesmakiem z namiotu. – Przesunęło dłoń na moje biodro. – Chyba nawet byłoby lepiej, gdybyś go miał, wtedy może byś się rozluźnił.

Vego dotyk sprawiał, że drżałem, ale wzwód powoli zanikał. Pogłaskałem gładkie miejsce na jego klatce piersiowej, gdzie mógłby być sutek, ale pod palcem nie czułem śladu po bliźnie. Akili leniwie się przeciągnęło. Zacząłem wu masować bok szyi.

– Jestem zagubiony – stwierdziłem. – Nie mam pojęcia, co robimy. Nie wiem, dokąd podążamy.

– Donikąd. Jeżeli chcesz, możemy przestać. Możemy tylko rozmawiać albo rozmawiać, nie przestając. To się nazywa wolność – prędzej czy później się do niej przyzwyczaisz.

– To bardzo dziwne. – Patrzyliśmy sobie w oczy i Akili wyglądało na zadowolone, ja jednak w dalszym ciągu usiłowałem wymyślić sposób, by zintensyfikować wszystko po tysiącokroć. – Wiem, dlaczego jest w tym coś

nie tak, jak należy. Przyjemność fizyczna bez seksu jest generalnie uważana za...

– Mów dalej.

– Nie spodoba ci się. Pchnęło mnie dłonią w żebra.

– Wyduś z siebie...

– Infantylną.

Akili westchnęło.

– No dobrze. Czas na egzorcyzmy. Powtarzaj za mną: wujku Zygmuncie, wyrzekam się ciebie jako szarlatana, tyrana i fałszerza danych. Jako człowieka dokonującego nieuczciwych praktyk z językiem i osobę odpowiedzialną za niszczenie ludzkiej egzystencji.

Zrobiłem, co kazało, po czym objąłem vo mocno i leżeliśmy ze splecionymi nogami, ja trzymałem głowę na vego ramieniu, ono na moim i delikatnie gładziliśmy się po plecach. Całe daremne seksualne napięcie, jakie czułem od pobytu na kutrze, wreszcie odpływało, a przyjemność wynikała z ciepła vego ciała, niezwykłych jego konturów, tekstury skóry i wrażenia vego obecności.

Nadal uważałem vo za tak samo piękne jak zawsze. Wciąż tak samo mi na vim zależało.

Tego właśnie zawsze szukałem? Aseksualnej miłości?

Była to niepokojąca myśl, ale przeanalizowałem ją w spokoju.

Może całe życie wierzyłem w edenickie kłamstwo, że wszystko w doskonałych, harmonijnych współczesnych związkach emocjonalnych w jakiś sposób magicznie wypływa z dobroczynnej natury? Monogamia, równość, uczciwość, szacunek, czułość, bezinteresowność – pomijając, że wszystkie te kryteria doskonałości gwałtownie się zmieniały ze stulecia na stulecie i od kultury do kultury, wszystkie były czystym instynktem, czystą biologią płci niemożliwą do zmiany. Edenicy oświadczaali, że komu

brakowało tego jarzącego się jasnym światłem ideału albo umyślnie walczył z Matką Rodzicielką, albo został zepsuty traumatyzującym wychowaniem, manipulacją ze strony mediów lub głęboko nienaturalnymi strukturami władzy współczesnego społeczeństwa.

Faktem było, że prastary popęd do rozmnażania się został przykrócony przez siły cywilizacyjne, zahamowany przez ograniczenia kulturowe i zmuszony do tego, by służyć na niezliczone sposoby do tworzenia spójności społecznej, nie zmienił się jednak od dziesiątków tysięcy lat i tak samo często pozostawał w sprzeczności z obecnymi obyczajami albo był względem nich obojętny. Trudno określić niewierność Giny mianem przestępstwa skierowanego przeciwko biologii... i cokolwiek zrobiłem, co sprawiło, że ciągnęło ją gdzie indziej, było to fiaskiem w stu procentach świadomego działania – braku uwagi będącej drugą naturą każdego naszego przodka z epoki kamiennej. Niemal wszystko, co współcześni ludzie cenią w związkach – poza i ponad aktem seksualnym oraz pewną opiekuńczością – jest wynikiem działania siły woli. Wokół maleńkiego jądra zachowania instynktownego owinięto grubą otoczkę konstruktów moralnych i społecznych – a perła ma niewiele wspólnego z ziarnem piasku, wokół którego się tworzy.

Nie miałem ochoty pozbyć się ani jednego, ani drugiego, jeśli jednak to, w czym tak bardzo ponosiłem fiasko, raz za razem, godziło obie strony...

Jeżeli wybór brzmiał: biologia albo cywilizacja...

Zrozumiałem, co najbardziej ceniłem.

Aseksy mogły być blisko. Mogły dotykać.

Po jakimś czasie wsunęliśmy się do śpiwora, by nie zmarznąć. Ciągle byłem odrętwiały z rozpaczy wynikającej z tragedii Bezpaństwa, bezsensownego losu Mosali, zawalenia się w gruzy mojej kariery. Akili pocałowało mnie jednak w czoło i robiło, co mogło, by rozluźnić mi bolące

mięśnie na plecach i barkach. To samo robiłem dla vego – w nadziei, że nieco łatwiej pozwoli mu to znieść strach przed zarazą informacyjną, która moim zdaniem nas czekała.

Obudziłem się zdezorientowany; tuż obok oddychało Akili. Namiot był skąpany w szaro–niebieskim świetle, pozbawionym cieni jak w południe. Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem w górze tarczę księżycą – reflektor, którego białe światło, otoczone na brzegach plamkami we wszystkich kolorach tęczy, przebijało się przez tkaninę namiotu.

Akili zagadało mnie przed lotniskiem. Mogło zarazić mnie wtedy cholera, wiedząc, że zaniosę ją Mosali.

Kiedy broń źle wypaliła, zrobiło antidotum, aby zdobyć moje zaufanie, licząc na to, że da się mnie wykorzystać ponownie... Umiarkowani porwali nas jednak, a potrzeba kolejnego zaatakowania Mosali zniknęła...

Była to jawna paranoja. Zamknąłem oczy. Dlaczego ekstremista udawałby, że wierzy w zarazę informatyczną? Gdyby naprawdę w nią wierzył, po co zabijać Buzzo – jeżeli moment alef był nieunikniony? Tak czy owak – wraz z powrotem Mosali do Cape Town i kontynuacją jej pracy przez nią albo bez niej – jaki użytek mogłem przynieść ekstremistom?

Wyplątałem się i wyszedłem ze śpiwora. Kiedy się ubierałem, Akili się obudziło i sennie wymamrotało: – Namiot z latryną jarzy się na czerwono. Nie można go nie zauważyć.

– To długo nie potrwa.

Ruszyłem przed siebie bez celu, szedłem, by rozjaśniło mi się w głowie. Było wcześniej niż sądziłem, tuż po dziewiątej, do tego panowało przeraźliwe zimno. W większości namiotów paliły się światła, ale alejki były puste.

Akili jako zabójca przysłany przez ekstremistów? To nie miało sensu (dlaczego walczyłyby o wydostanie nas z kutra?), ale ziarno wątpliwości,

które zakiełkowało we mnie, kiedy się obudziłem, rzucało cień na wszystko. Przeszliśmy razem tak wiele tylko po to, żebym obudził się obok vego i zastanawiał, czy nie zostałem oszukany?

Doszedłem do południowego skraju obozu. Znajdujący się tutaj ludzie musieli należeć do ostatniej fali uciekinierów kierujących się na północ, za namiotami widać było jedynie ciągnącą się po horyzont, nagą skałę.

Zawahałem się i niemal zawróciłem, ale krążenie po alejkach sprawiało, że czułem się jak szpieg, a nie byłem przygotowany na powrót do namiotu Akili, do ciepła vego ciała, nadziei, jaką zdawało się oferować. Pół godziny wcześniej poważnie rozważałem migrację do całkowitego aseksu – za pomocą wyrwania sobie narządów płciowych i paru części materii szarej – co ukołoby wszelkie moje bóle. Teraz potrzebowałem długiego spaceru – samotnego.

Ruszyłem w kierunku oświetlonej światłem księżycy pustyni.

Wszędzie migotały poskręcane w spirale żyły pierwiastków śladowych. Ponieważ wiedziałem, jak odcyfrowywać niektóre z tych hieroglifów, grunt wydawał mi się przemieniony, pełen znaczenia, choć z tego, na ile się orientowałem, większość wzorów mogła być jedynie przypadkową dekoracją.

Opuszczone miasto albo zaciemniono, albo zasłaniała je nierówność gruntu – na południu nie było żadnego światła. Wyobrażałem sobie, jak kolejny rój niewidocznych owadów wylatuje z bazy w sercu wyspy... z tym że w obozie wcale nie byłbym bezpieczniejszy. Maszyny zabijały jedynie na pokaz, po to, aby wywołać panikę. Sam, byłem znacznie mniej prawdopodobnym kandydatem na cel.

Wydało mi się, że poczułem drżenie pod nogami – tak lekkie, że natychmiast uznałem je za złudzenie. Czyżby dalej bombardowano miasto? Wyobrażałem sobie, że wszyscy je porzucili, pozostawiając swe siedziby na

pastwę najemników, ale może kilku odszczepieńców zignorowało plan ewakuacji, wyszła z ukrycia milicja i wreszcie rozpoczęła się prawdziwa konfrontacja... Perspektywa była jednak ponura – nie miałoby najmniejszej szansy.

Znów grunt zadrżał pod moimi nogami. Nie umiałem ocenić kierunku, skąd nadszedł wstrząs, nie było bowiem żadnego towarzyszącego dźwięku – jedynie wibracja. Zatoczyłem wzrokiem pełen krąg, szukając dymu. Może zaczęli bombardować obozy? Białe słupy dymu z rana były widoczne na kilometry – z tym że bomby przeznaczone dla stojących na nagiej skale namiotów zostałyby inaczej uzbrojone i powodowałyby inne skutki.

Szedłem dalej na południe w nadziei, że ujrzę miasto – i sygnały mówiące o tym, jakie pirotechniczne działania się w nim prowadzi. Próbowałem wyobrazić sobie siebie – podczas wojny, po której – jeśli uda mi się wyjść z niej bez szwanku – oferuję stacjom reportaże z miejsc walk, opatrzone fachowym komentarzem o „charakterystycznym dźwięku wrażliwego na bodźce pocisku chińskiej produkcji, który właśnie trafia w cel” albo „niemożliwym do pomylenia sposobie wybuchu nad otwartym terenem 40–milimetrowego pocisku Peace–Tech”.

Poczułem, jak ogarnia mnie fala rezygnacji. W ostatnich trzech dniach musiałem pozbyć się zbyt wielu marzeń: o *technoliberation*, o zmierzchu ustaw o patentach genetycznych, o osobistym szczęściu, o olśnieniu asekssem... nadszedł czas, by się obudzić. Zwyczajne szaleństwo świata wreszcie dotarło na Bezpaństwo, dlaczego więc nie zrobić kilku kroków do tyłu, ujrzeć wszystko w odpowiedniej perspektywie i spróbować jakoś się w tym ustawić? Inwazja nie była tragedią większą od dziesięciu tysięcy najazdów przed nią, a każda była nie do uniknięcia. Wojny ogarniały – w ten czy inny sposób – każdą znaną ludzką kulturę.

Niezbyt przekonany, szepnąłem głośno: – W dupie mam każdą znaną kulturę.

Grunt pod moimi nogami ryknął i rzucił mną jak piłką.

Skała rafowa była miękka, ale upadłem twarzą w dół. Zacząłem krwawić z nosa, być może był złamany. Wijąc się z bólu, bezgranicznie zdziwiony, uniosłem się na tyle, by oprzeć się na kolanach i rękach, ponieważ jednak grunt ciągle drżał, nie odważyłem się wstać. Rozejrzałem się w poszukiwaniu oznak uderzenia bomby, lecz nie było żarzenia się, dymu, krateru – niczego.

Czyżby zaczął się nowy etap terroru? Po niewidzialnych robotach – niewidzialne bomby?

Kłęczałem i chwilę odczekałem, po czym niepewnie wstałem. Skała rafowa ciągle dudniła zanikającym echem; kręciłem się w kółko jak pijany, przepatrywałem horyzont, nadal nie mogąc uwierzyć, że brakuje oznak wybuchu.

Powietrze cały czas było jednak spokojne... odgłos został przeniesiony przez skałę. Przeprowadzono wybuch podziemny?

A może podwodny – pod wyspą?

Nie było detonacji...

Grunt znów wierzgnął. Padłem ciężko na skałę, skręcając sobie ramię, przerożenie zatarło jednak wszelkie wrażenia, odsunęło wszystko w dal, poza granicę znaczenia. Wbijałem palce w grunt i próbowałem zwalczyć każdy odruch każący mi leżeć plackiem i nie ryzykować poruszania się, wiedziałem bowiem, że jeśli nie wstanę i nie rzucę się biegiem przez martwy koral, do tego szybciej niż kiedykolwiek w życiu – będę stracony.

Najemnicy zabili litofile dające wyspie płynność. Dlatego wypędzili nas z miasta: utrzyma się jedynie centrum wyspy. Nawis znajdujący się poza granicą podparcia przez szczyt podwodnej góry miał zaraz zatonać.

Odwróciłem się, by zobaczyć, co się dzieje w obozie. Patrzyły na mnie błękitne i pomarańczowe prostokąty; większość namiotów jeszcze stała. Na pustkowiu nie widziałem ani jednego człowieka – od wybuchu upłynęło zbyt mało czasu – ale powrót i ostrzeżenie ludzi nie wchodziło w rachubę. Nawet zawiadomienie Akili. Ci, którzy nurkowali pod wyspę, z pewnością zrozumieli, co się dzieje, do tego szybciej ode mnie. Nie mogłem zrobić nic poza ratowaniem własnej skóry.

Wstałem i zacząłem biec. Udało mi się pokonać góra dziesięć metrów, gdy skała znów się przemieściła i ponownie walnąłem o grunt. Wstałem, zrobiłem trzy kroki, skręciłem kostkę, znów upadłem. Głowę wypełniał mi nieustanny odgłos pękania, ciało przenosiło go ze skały do kości, rezonans przenosił się od żywego minerału do innego żywego minerału – świat podziemny wyciągał ku mnie dłoń, przekazywał wieść o rozpadzie.

Zacząłem pełznąć na kolanach i dłoniach, bezgłośnie wrzeszcząc, niemal sparalizowany wizją oceanu wpadającego na tonące rafy, zalewającego ludzi i pchającego ciała przed sobą w głąb lądu, rzucającego nimi o rozłupujące się skały. Spojrzałem za siebie: miasteczko namiotowe było tak samo spokojne jak poprzednio, tak samo bezużytecznie nienaruszone – w mojej czaszce ryczała jednak cała wyspa, potop nie mógł być oddalony o więcej jak kilka minut.

Znów wstałem i choć gwiazdy bujały się na niebie, biegłem przez kilka sekund, po czym zwałem się ciężko na skałę, rozrywając sobie szwy. Ciepła krew natychmiast nasączyła bandażę. Odpoczywałem, zakrywając uszy, po raz pierwszy odważyłem się zastanowić, czy nie lepiej się zatrzymać i poczekać na śmierć. Jak daleko miałem do podwodnego wierzchołka? Jak daleko wpłynie woda oceanu – nawet jeśli uda mi się dotrzeć do bezpiecznego środka wyspy? Sięgnąłem do kieszeni z notepadem – jakby możliwe było uzyskanie danych GPS, sprawdzenie map,

podjęcie decyzji. Przewróciłem się na plecy i zacząłem się śmiać. Gwiazdy dygotały, zataczały spirale, jakby odgrywano przede mną robiony poklatkowo film.

Wstałem i spojrzałem kolejny raz przez ramię – ktoś biegł za mną po miękkiej skale. Opadłem na kolana – po części z wyboru – nie spuszczałem jednak wzroku z poruszającej się sylwetki. Osobnik był ciemnoskóry i szczupły, jednak nie Akili – miał za długie włosy. Wysiliłem wzrok. Nastolatka. Jej twarz rozświetlało światło księżyca, oczy miała rozszerzone strachem, ale zaciskała ze zdecydowaniem usta. Grunt znów się wzniósł i oboje upadliśmy. Krzyknęła z bólu.

Czekałem, ale nie wstawała.

Zacząłem pełznąć w jej kierunku. Jeśli została ranna, będę mógł jedynie przy niej usiąść i czekać, aż pochłonie nas ocean, mimo to nie mogłem iść dalej i jej zostawić.

Kiedy dotarłem do dziewczyny, leżała na boku ze zgiętymi w kolanach nogami, masowała sobie udo i wściekle pomrukiwała. Kucnąłem obok i krzyknąłem: – Myślisz, że uda ci się wstać? Pokręciła głową.

– Lepiej przeczekajmy to, siedząc tutaj! Tu jesteśmy bezpieczni!

Wbiłem w nią wzrok.

– Nie wiesz, co się dzieje?! Zabili litofile!

– Nie! Zostały przeprogramowane, teraz aktywnie pochłaniają gaz. Zabicie ich byłoby zbyt wolne, poza tym byłoby zbyt wyraźnym ostrzeżeniem!

To było kompletnie surrealistyczne. Grunt tak dygotał, że nie mogłem skoncentrować wzroku na dziewczynie.

– Nie możemy tu zostać! Nie rozumiesz?! Zaraz utoniemy! Znów pokręciła głową. Uśmiechała się do mnie, jakbym był dzieckiem przestraszonym burzą.

– Nie martw się! Nic nam nie będzie!

Co miało nas ochronić przed nadlatującym z rykiem oceanem? Mamy się... podtrzymać? Milion tonących uciekinierów złapie się za ręce i zaczną kopać nogami wodę, by utrzymać się na powierzchni?

Bezpaństwo doprowadziło swoje dzieci do szaleństwa.

Spadła na nas chmura drobnusieńkich kropli. Skuliłem się i zakryłem głowę dłońmi, wyobrażając sobie, jak woda w głębinach wnika w skałę, której pory opróżniono z powietrza, i wznosząc się ku górze, tworzy pęknięcie za pęknięciem. Kiedy uniosłem głowę, moje przewidywanie właśnie się spełniło: prosto w niebo wzlatywał gejzer, straszliwy srebrny strumień pnący się do księżyca. Znajdował się kilkaset metrów od nas na południe, co oznaczało, że odcinek między miejscem, gdzie byliśmy, a podwodnym wierzchołkiem, jest już zaatakowany od spodu i nie ma drogi ucieczki.

Padłem ciężko obok dziewczyny.

– Dlaczego pobiegłeś w złym kierunku?! – wrzasnęła na mnie. – Pomyliłeś drogę?

Złapałem ją za ramię, by lepiej ujrzeć jej twarz. Przyglądaliśmy się sobie, oboje nic nie rozumiejąc.

– Miałam wartę! Powinłam cię była zatrzymać na granicy obozu, ale pomyślałam sobie, że chcesz odejść kawałek, aby mieć lepsze ujęcie dla kamery.

Kamerę naramienną schowałem do portfela. Nawet nie pomyślałem o tym, by ją zamontować, skierować na zalewany wodą obóz i zaprezentować światu ludobójstwo.

Na sekundę lub dwie deszcz się nasilił, potem jednak ustał. Spojrzałem na południe – trzy gejzery opadały.

Po raz pierwszy zauważyłem, że drżą mi ręce.

Grunt się uspokoił.

Co to oznaczało? Czyżby część wyspy, na której się znajdowaliśmy, oderwała się od reszty tak, jak się to dzieje, gdy „rodzi się” góra lodowa, odpadając z hukiem od lodowca szelfowego – i płyniemy stosunkowo spokojnie, zanim zaleje nas woda?

Dzwoniło mi w uszach, moje ciało dygotało, spojrzałem jednak w niebo. Gwiazdy były nieruchome jak skała – a może na odwrót?

Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie krzywo, niepewnie, przepełniona adrenaliną, ale jej oczy błyszczały od ulgi. Uważała, że gehenna się skończyła, a ostrzegano mnie, bym nie myślał, że wiem lepiej. Popatrzyłem na nią z zaciekawionym; serce w dalszym ciągu waliło mi z przerażenia, nadzieja i niewiara raz za razem ścisnęły mi klatkę piersiową. Zauważyłem, że wydaję z siebie długie, jęczące pochlipywania.

Kiedy odzyskałem głos, spytałem:

– Dlaczego nie zginęliśmy? Nawis nie może się unosić na wodzie bez litofili. Dlaczego nie toniemy?

Uniosła się i usiadła, krzyżując nogi, po czym zaczęła masować uda. Przez chwilę jakby mnie nie dostrzegała, potem jednak przyjrzała mi się, oceniła poziom mojej niewiedzy, pokręciła głową i cierpliwie wyjaśniła.

– Nikt nie tknął litofili w nawisie. Milicja wysłała nurków na skraj podwodnego wierzchołka i wpompowali środek, by litofile usunęły gaz ze skały tuż nad poziomem bazaltu. Wpłynęła do niej woda – i w środku wyspy skała zrobiła się cięższa od wody. – Uśmiechnęła się promiennie. – Ja to widzę tak: straciliśmy miasto, ale zyskaliśmy lagunę.

CZĘŚĆ CZWARTA

..29..

W obozie panował radosny nieład. W świetle księżycy kręciły się tysiące ludzi – oglądali swoje rany, stawiali poprzewracane namioty, świętowali zwycięstwo, opłakiwali miasto i trzeźwo przypominali sobie nawzajem, że być może wojna jeszcze się nie skończyła. Nikt nie wiedział na pewno, jakie siły i jaka broń mogły zostać ukryte dalej od miasta i ocalały mimo zapadnięcia się środka wyspy – albo mogły wypełznąć z laguny.

Akili było całe i zdrowe, znalazłem go przy markizie, która spadła na studnie i którą pomagało na nowo ustawiać. Objęliśmy się. Byłem cały posiniaczony, twarz miałem pokrytą zaschniętą krwią, a po raz trzeci otwarte rany wysyłały impulsy bólu, przypominające łuki elektryczne, jeszcze nigdy przedtem nie czułem jednak tak intensywnie, że żyję.

Akili delikatnie się ode mnie uwolniło.

– O szóstej wieczór TW Mosali zostanie umieszczona w sieciach. Usiądziesz ze mną i zaczekasz? – Popatrzyło mi w oczy, niczego nie ukrywając: bało się zarazy, bało się samotnej z nią konfrontacji.

Uścisnąłem jego ramię.

– Oczywiście.

Poszedłem do latryn się umyć. Na szczęście przewody kanalizacyjne cały czas były otwarte i fale uderzeniowe trzęsienia ziemi nie wyrzuciły na powierzchnię nie przetworzonych ścieków. Zmyłem z twarzy krew, po czym ostrożnie odwinąłem bandaż na brzuchu.

Rana lekko krwawiła. Cięcie owadziego lasera było głębsze niż sądziłem – kiedy pochyliłem się nad umywalką, poczułem, jak ciało po obu stronach długiego na siedem, może osiem centymetrów przecięcia, stykające się jedynie na końcu, ociera się o siebie.

Rozejrzałem się – byłem sam. Przyszło mi do głowy, że to nie najlepszy pomysł, ale przecież byłem napompowany antybiotykami mającymi zapobiec zakażeniu...

Zamknąłem oczy i wsadziłem trzy palce głęboko w ranę. Pomacałem jelito cienkie, nie zimne jak żmija, ale ciepłe jak krew, sprężyste i wyslizgujące się pod palcami. Ta właśnie część o mało mnie nie zabiła – zaatakowana cichcem przez obce enzymy, powodujące, że byłem bezlitośnie drenowany do sucha. Ciało nie jest jednak zdrajcą – jedynie słucha praw, których musi słuchać, by istnieć.

Przeszył mnie ból i niemal zamarłem – wyobraziłem sobie, że spędzam życie jako Bonaparte albo przynajmniej niewierny Tomasz; wyrwałem dłoń i oparłem się o umywalkę. Kilka razy wałnąłem w nią pięścią.

Miałem ochotę spojrzeć w lustro i oznajmić: „To jest właśnie to. Wiem teraz, kim jestem, i całkowicie akceptuję to, że moje życie jest maszyną napędzaną krwią, tworem komórek i molekuł, więźniem TW”.

Nie było jednak luster. W latrynie i w całym obozie nie było ani jednego lustra – tak jak na całym Bezpaństwie.

Jeżeli zaczekam jeszcze kilka godzin, słowa te nabiorą właściwego ciężaru, o świcie bowiem miałem wreszcie poznać całą prawdę o TW, która umożliwiła mi ich wypowiedzenie.

Kiedy wracałem do Akili, wyjąłem notepad i przejrzałem międzynarodowe sieci. Wszędzie, ze wstrzymanym oddechem, mówiono o ataku anarchistów na najemników.

Najlepszy był reportaż SeeNetu.

Zaczynał się od widoku laguny, wielkiej i upiornie spokojnej w świetle księżyca, niemal idealnie okrągłej – jak zalany wodą, antyczny krater, odbicie znajdującego się pod wodą szczytu góry.

Mimo wszystko poczułem ukłucie żalu z powodu śmierci najemników, których twarzy nigdy nie widziałem, oszukanych przez skałę, tonących w przerażeniu jedynie w imię pieniędzy i praw akcjonariuszy EnGeneUity.

Komentowała kobieta, niewidoczna na ekranie, zawodowiec z kamerą podłączoną do nerwu wzrokowego: „Być może potrzeba będzie dziesięcioleci na dokładnie ustalenie, kto zainicjował atak na Bezpaństwo i dlaczego. W chwili, kiedy to mówię, nie jest nawet jasne, czy desperackie poświęcenie, jakim wykazali się mieszkańcy wyspy, uratowało ich przed napastnikami, ale wiem, że tak jest: Violet Mosala, ewakuowana z wyspy niecałą dobę temu w stanie krytycznym, laureatka Nagrody Nobla, zamierzała uczynić z tej wyspy swoją nową ojczyznę. Miała nadzieję, że podniesie to prestiż Bezpaństwa w stopniu wystarczającym, by grupa krajów przeciwstawiających się bojkotowi ONZ przynajmniej mogła wypowiedzieć swoje zdanie. Jeżeli inwazja była próbą uciszenia niewygodnych głosów, została skazana na fiasko. Violet Mosala leży w śpiączce i walczy o życie zagrożone atakiem organizacji kultowej, która zastosowała przemoc, a ludzie na Bezpaństwie będą przez najbliższych kilka lat jeszcze mocniej niż zwykle walczyć o przetrwanie – nawet jeśli dziś zagościł tu pokój. Nie da się tak łatwo zapomnieć o zadziwiającej odwadze zarówno Violet Mosali, jak i mieszkańców Bezpaństwa”.

Było jeszcze więcej materiału, w tym trochę moich zdjęć Mosali, które wykonałem na konferencji, i zdjęcia bombardowania nakręcone przez komentującą dziennikarkę – ukazywały godne wyjście z miasta, budowę obozów, atak jednego z robotów.

Wszystko było nieskazitelnie nakręcone i zmontowane. Była w tym siła, ale nie było przesady. Od początku do końca była to także bezwstydna – choć całkiem szczerą – reklama renegatów.

Nie zrobiłbym tego nawet w połowie tak dobrze.

Najlepsze miało jednak dopiero nastąpić.

Kiedy znów pokazano ciemne wody laguny, dziennikarka pożegnała się: „Bezpośrednio z Bezpaństwa mówiła dla SeeNetu Sarah Knight”.

Jeśli chodziło o osobiste sieci komunikacyjne, Sarah Knight nadal znajdowała się – bez możliwości skomunikowania się z nią – w Kioto. Lydia nie odebrałaby mojego telefonu, znalazłem jednak asystentkę produkcji SeeNetu gotową przekazać Sarah wiadomość ode mnie. Zadzwoiła pół godziny później i razem z Akili wydarliśmy z niej prawdę.

– Kiedy Nishide zachorował w Kioto, powiedziałam japońskim władzom, co moim zdaniem, się dzieje, jego pneumokoki wysekwencjonowano jednak jako szczep nie poddany ingerencji bioinżynieryjnej i nie chciano uwierzyć, że został zarażony przez konia trojańskiego. – Mianem koni trojańskich określano bakterie, mogące reprodukować zarówno siebie, jak i swój ukryty ładunek bez wywoływania objawów ani reakcji immunologicznej; trwało to przez pokolenia, po czym bakteria ulegała samozagładzie, pozostawiając bardzo silne, choć najwyraźniej naturalne zakażenie, atakujące bezlitośnie układ odpornościowy organizmu. – Po tym jak narobiłam tyle hałasu i nikt mi nie chciał uwierzyć – nawet rodzina Nishide – uznałam, że mądrzej będzie nieco przycichnąć.

Nie mogliśmy długo rozmawiać, Sarah bowiem musiała robić wywiad z jednym z milicyjnych nurków; zanim jednak się rozłączyliśmy, powiedziałem: – Ten film dokumentalny o Mosali... zasłużyłaś na niego. Powinnaś była go dostać.

Wykonała gest, jakby chciała zbyć sprawę jako coś prastarego, lecz powstrzymała się i spokojnie odrzekła: – To prawda. Pół roku pracowałam, by przygotować się lepiej od kogokolwiek, a mimo to zjawileś się i ukradłeś mi program w jeden dzień. Ponieważ byłeś błękitnookim ulubieńcem Lydii i chciała twego szczęścia.

Nie mogłem uwierzyć, jak trudno wypowiedzieć te słowa. Niesprawiedliwość była widoczna nawet dla ślepego – przyznawałem to sam przed sobą tysiąc razy – odprysk dumy i zadufania w sobie przeszkadzał mi jednak zrobić to, co należało.

– Nadużyłem władzy – stwierdziłem w końcu. – Przepraszam.

Sarah powoli skinęła głową, wydymała przy tym wargi.

– W porządku. Przeprosiny przyjęte. Pod jednym warunkiem: ty i Akili zgodzicie się na wywiad. Inwazja to tylko pół sprawy i nie zamierzam pozwolić na to, by gnojom, którzy wprowadzili Violet w stan śpiączki, uszło to na sucho. Chcę dokładnie usłyszeć, co wydarzyło się na kutrze.

Odwróciłem się do Akili.

– W porządku – stwierdziło.

Wymieniliśmy współrzędne – Sarah była po przeciwległej stronie wyspy, objeżdżała jednak wszystkie obozy, podwożona przez milicję.

– O piątej rano? – zaproponowała.

Akili roześmiało się i popatrzyło na mnie konspiracyjnie.

– Czemu nie? Na Bezpaństwie i tak nikt dziś nie śpi.

Obóz przepełniały odgłosy świętowania. Obok namiotu sunął strumień roześmianych i krzyczących ludzi. Na głównym placu ryczała muzyka z satelitów – z Tongi, z Berlina, z Kinszasy – i ktoś jakimś sposobem znalazł albo zrobił petardy. Byłem pijany adrenaliną, ale także wyczerpany – nie wiedziałem, czy wolę dołączyć do zabawy, czy zwinąć się i zahibernować na dwa tygodnie. Zwłaszcza że obiecałem nie robić tego drugiego.

Siedzieliśmy z Akili na śpiworze – ciepło ubrani, przy zamkniętym wejściu do namiotu, bo zaczynało nam brakować prądu. Zabijaliśmy czas, rozmawiając, przeglądając sieci, milcząc. Bardzo chciałem znaleźć jakiś sposób, by wciągnąć wo w krąg otaczającej mnie aury nietykalności, którą czułem, przeżywszy wyobrażoną przez siebie apokalipsę. Chciałem na każdy możliwy sposób pocieszyć wo. Moja zdolność oceny była jednak sparaliżowana – tego język ciała stał się dla mnie nieprzejrzysty i straciłem wycucie, czy i kiedy wo dotknąć. Jeszcze niedawno leżeliśmy nadzy obok siebie, ale nie umiałem sprawić, by pamięć tej chwili, jej wyobrażenie, nie stało się dla mnie ważniejsze niż kiedykolwiek mogłoby stać się ważne dla tego. Tak więc siedzieliśmy osobno.

Spytałem wo, dlaczego nic nie powiedziało Sarah o zarazie połączenia się z informacją.

– Ponieważ mogłaby potraktować to na tyle poważnie, że zaczęłaby rozpowszechniać informację i wywołałaby panikę.

– Nie uważasz, że ludzie mniej by panikowali, znając przyczynę?

Akili prychnęło.

– Możesz nie wierzyć w to, co mówiłem o przyczynie, ale czy uważasz, że ludzie zareagowaliby na tę wiadomość jedynie niewiarą albo histerią? Po momencie alef „ofiary” będą wiedziały znacznie więcej niż mogłby im kiedykolwiek powiedzieć ktokolwiek, kto się nie połączył. Nie będzie powodu do paniki – *STAN WYCZERPANIA* zniknie. – Stwierdziło niemal z całkowitym przekonaniem, zawahało się nieco jedynie przy ostatnim zdaniu.

– Więc dlaczego umiarkowani źle to zrozumieli? – spytałem ostrożnie. – Mieli superkomputery, wydawali się wiedzieć o antrokosmologii nie mniej od wszystkich innych. Jeżeli mogli się pomylić w sprawie Rozplatania...

Akili długo, ostro mi się przyglądało – jakby oceniało, na ile można mi ufać.

– Nie wiem, czy pomylili się w sprawie Rozplatania. Mam nadzieję, że tak jest, ale pewności nie mam.

Zastanowiłem się nad tym.

– Chcesz powiedzieć, że zakłócenie w łączeniu się z informacją przed momentem alef mogło, jak na razie, wystarczyć do zapobieżenia Rozplataniu, ale kiedy TW zostanie skończona...

– Zgadza się.

Przeszył mnie zimny dreszcz, nie tyle ze strachu, ile z niewiary.

– I mimo to próbowałaś chronić Mosalę? Wierząc w to, że istnieje prawdopodobieństwo, iż skończy wszystko?

Akili wpatrywało się w podłogę, próbowało znaleźć odpowiednie słowa.

– Jeżeli do tego dojdzie, nie będziemy mieli nawet czasu, by się o tym dowiedzieć – mimo to uważam, że zabicie jej byłoby złe. Chyba że Rozplatanie byłoby stuprocentowo pewne i nie istniał inny sposób zapobieżenia mu. Nikt nie wie, co robić w obliczu końca wszechświata, którego prawdopodobieństwa nie znamy. Ilu ludzi można w imię tego zabić? Jednego? Stu? Milion? To jak z... próbą podniesienia nieskończenie wielkiego ciężaru za pomocą nieskończenie długiej dźwigni. Niezależnie od tego, jak precyzyjnie ocenisz możliwości, nie robisz tego dostatecznie dobrze. Możesz się jedynie przyznać i... odejść.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, zgłosił się Syzyf.

– Sądzę, że zechcesz rzucić na to okiem.

Kuter z umiarkowanymi na pokładzie został przejęty u wybrzeży Nowej Zelandii. Materiał filmowy ukazywał grupę skutych kajdankami ludzi, sprowadzaną z łodzi patrolowej na oświetlone nabrzeże. Wszyscy mieli spuszczone głowy. Piątka – Giorgio, który zrobił mi wykład o Rozplataniu.

Dwudziestka, która nie pozwoliła mi zejść z pokładu z nagraniem jej przyznania się do winy w moim brzuchu. Kilko brakowało.

Potem pojawili się marynarze – nieśli ciała na noszach. Zakryto je kocami, ale umęczoną, Trójkę, dało się rozpoznać bez trudu. Dziennikarz mówił o samobójstwach. Wymieniono z nazwiska Helen Wu, która zginęła, połykając truciznę.

Pierwsze sceny aresztowania przepełniły mnie „słuszną” euforią, wynikającą z perspektywy, że fanatyków spotka sprawiedliwość, potem jednak, kiedy próbowałem zrozumieć, co działo się w ostatnich chwilach w ich umysłach, czułem tylko męczące przerażenie. Może obejrzeni doniesienia ukazujące rozgadane ofiary *STANU WYCZERPANIA* i jedni doszli do wniosku, że Rozplatanie jest nieuniknione a inni, że niemożliwe. Może przeraziła ich pokręcona logika własnych działań i dostrzegli niczym nie upiększoną prawdę tego, co zrobili?

Nie mogłem ich osądzać. Nie miałem pojęcia, jak mocno czepiałbym się swego, gdybym zapadł się w koszmar wiary w to, w co oni wierzyli. Może i starałem się z całych sił rozumowo wyprzeć istnienie antrokosmologii, gdyby mi się to jednak nie udało – czy miałbym na tyle pokory (albo ludobójczej nieodpowiedzialności), by odsunąć się od groźących implikacji, odmówić interwencji?

Na zewnątrz ludzie ryczeli ze śmiechu. Na placu ktoś na sekundę tak rozkręcił muzykę, zniekształcił ją w basowy łomot, aż zadrżał grunt pod nogami.

Akili konferowało z innymi antrokosmologami głównego nurtu. Ktoś włamywał się właśnie do komputera WHO, by zdobyć ostatnie, nieoficjalne dane o zanotowanych przypadkach *STANU WYCZERPANIA*.

– Dziewięć tysięcy dwadzieścia. – Odwróciło się do mnie, wciągając gwałtownie powietrze. Nie wiedziałem, czy był to wynik przerażenia, czy

wyczerpania świadomością, że spada się bez siatki zabezpieczającej. – Potrojenie w dwa dni. W dalszym ciągu uważasz, że to wirus?

– Nie. – Nawet bez tego niemożliwego do wyjaśnienia wybuchu czynnika zakażającego moja teoria zmutowanej neuroaktywnej broni biologicznej nie wytrzymałaby jakiegokolwiek krytyki. – Możemy się jednak obaj mylić, prawda?

– Możemy.

– Jeżeli już teraz rozchodzi się w takim tempie, to po momencie alef...

– Nie wiem. Może zalać planetę w tydzień. Albo w godzinę. Im szybciej, tym lepiej; ci, którzy dostrzegają nadejście plagi, ale jej nie rozumieją, będą mniej cierpieć. – Akili zamknęło oczy, zaczęło zakrywać twarz dłońmi, zamarło jednak w pół ruchu i zacisnęło pięści. – Jeżeli nadejdzie, to na dobre. Prawda, że nie da się uciec, powinna być słodka.

Przysunąłem się do veگو i objąłem go ramieniem. Zacząłem delikatnie kiwać naszymi ciałami na boki.

Sarah zjawiała się niecałą minutę później, niż się umówiliśmy. Usiadła na mojej walizce i mówiliśmy do jej kamerowych oczu. Czasami, by się porozumieć, musieliśmy krzyczeć, nie było z tym jednak problemu – program ściszy odgłosy świętowania do ledwo słyszalnego pomruku.

Znaliśmy się z Sarah jedynie przelotnie – jak na razie, osobiście rozmawiałem z nią tylko kilkanaście razy – przybywała jednak spoza Bezpaństwa, z czasu sprzed konferencji, była żywym dowodem epoki normalności. Wystarczyło to, bym wrócił na ziemię i kolejny raz nabrał pewności, że Akili nie ma racji. *STAN WYCZERPANIA* był przyziemnym strachem – niczym nie różnił się od cholery. Wszechświat nigdy nie zostanie wyjaśniony przez człowieka. Prawa fizyki istnieją od zawsze i będą po wsze czasy trwałe – czy zostaną zrozumiane, czy nie.

Choć nie mieliśmy być pokazani w realnym czasie, Sarah przyprowadziła ze sobą widzów. Przy spodziewanej analizie przez dziesięć milionów ludzi, co miałem robić innego niż myśleć tak, jak się tego po mnie spodziewano, ustąpić konformistycznie wobec ich jednomyślności?

Akili też wyglądało na odprężone, nie byłem jednak w stanie określić, czy to obecność Sarah daje wu takie oparcie jak mnie, czy jest jedynie miłym urozmaiceniem.

Sarah zręcznie poprowadziła nas przez role, jakie mieliśmy zagrać w programie: *Violet Mosala: Ofiara antropologii*. Zobowiązanie, jakie złożyłem Joemu Kepie, dotyczyło faktów znaczeniu prawnym, ale ten wywiad miał udowodnić moralną filozoficzną głębię spisku AK. Mówiliśmy z Akili o kutrze rybackim i chorych poglądach umiarkowanych, jakbyśmy nie mieli wątpliwości, że ich pogląd na świat – tak samo jak i ich gwałtowne metody działania – zasługują jedynie na pogardę; jakby w ciągu tysiąca lat nic podobnego nie mogło przejść nam przez głowę.

Wszystko poszło na czołówki wiadomości i natychmiast stało się historią. Sarah robiła swoją robotę nienagannie, ale my podczas nagrania świadomie omijaliśmy każdy niewypowiedziany lęk, wszelki niepokój, jakikolwiek ślad wątpliwości, że świat mógłby w czymkolwiek się różnić od oferowanej przez sieci bladej imitacji.

Niemal kończyliśmy – właśnie zamierzałem opowiedzieć o wydarzeniach z karetki – kiedy zapiszczał mój notepad, sygnałem oznajmiającym informację tylko dla mojej wiadomości. Gdybym odebrał, program komunikacyjny przeszedłby na tajny szyfr, ale gdyby notepad wyłapał głosy innych ludzi, odmówiłby utrzymania połączenia.

Przeprosiłem i wyszedłem. Na niebie tuż nad gwiazdami widać było lekką szarość. Z placu za namiotami nadal dolatywały muzyka i śmiechy,

wszędzie było pełno ludzi, udało mi się jednak znaleźć nieopodal odosobnione miejsce.

Dzwoniła De Groot.

– Andrew? Nic ci nie jest? Możesz mówić? – Wyglądała na wymęczoną i napiętą.

– Wszystko w porządku. Jestem tylko nieco posiniaczony od wstrząsów.
– Wahałem się, nie umiałem się zmusić do zadania decydującego pytania.

– Violet zmarła. Jakies dwadzieścia minut temu. – Głos De Groot załamał się, wzięła się jednak w garść i kontynuowała: – Jak na razie, nikt nie wie, dlaczego. Któryś ze środków antywirusowych mógł otworzyć pułapkę, spowodować wydzielenie się enzymu w koncentracji zbyt niskiej do wykrycia, który zamienił lek w truciznę. – Pokręciła z niewiarą głową. – Przerobili jej ciało w pole minowe. Co takiego uczyniła, by na to zasłużyć? Próbowала jedynie odkryć kilka prostych prawd, kilka schematów, jakimi rządzi się świat.

– Złapano ich – odparłem. – Zostaną osądzeni, a Violet będzie się pamiętać... na wieki. – Była to próżna pociecha, nie wiedziałem jednak, co innego powiedzieć.

Zdawało mi się, że jestem na tę wieść przygotowany od chwili, gdy się dowiedziałem, że leży w śpiączce, ale okazała się gwałtowna jak cios pięścią w twarz... jakby nagły powrót szczęścia dla anarchistów i cudowne pojawienie się Sarah zmieniło szansę.

Zakryłem na chwilę oczy przedramieniem i ujrzałem ją – siedziała w pokoju hotelowym pod świetlikiem, w blasku słońca, i wyciągała rękę, by mnie dotknąć. „Nawet jeśli się mylę... musi coś istnieć. Inaczej nie moglibyśmy się dotykać”.

– Jak szybko możesz się wydostać z wyspy? – spytała De Groot z dziwną, ale szczerą troską.

– Dlaczego? Anarchiści wygrali, najgorsze za nami. Jestem tego pewien.
– De Groot nie wyglądała na przekonaną. – Słyszałaś coś? Z... kręgów politycznych? – Nagle poczułem w głębi brzucha dreszcz podobny do niewiary, jaką czułem przed każdym kolejnym spazmem cholery: to nie może się znów zdarzyć...

– Nie chodzi o wojnę, ale o to, że utknąłeś... prawda?

– Jak na razie tak. Możesz mi powiedzieć, co to ma...

– Dostaliśmy wiadomość. Zaraz po śmierci Violet. Groźbę od antrokosmologów. – Jej twarz wykrzywiła się ze złości. – Najwyraźniej nie od tych z kutra, musi więc pochodzić od tych, którzy zabili Buzzo.

– Co w niej było?

– Mamy przerwać wszystkie obliczenia Violet. Przedstawić im jej zweryfikowane konto komputerowe dowodzące, że cała dokumentacja pracy nad TW została skasowana bez kopii i czytania.

Prychnąłem szyderczo.

– Tak? Co ich zdaniem w ten sposób osiągną? Wszystkie jej metody i pomysły są już opublikowane. Ktoś wszystko powtórzy... góra za rok.

De Groot zdawały się nie interesować motywy antrokosmologów, chciała jedynie zakończenia przemocy.

– Pokazałam wiadomość tutejszej policji, stwierdzili jednak, że nikt nie może nic zrobić, dopóki na Bezpaństwie dzieje się to, co się dzieje. – Wzięła się w garść, by wyrzucić z siebie decydujące zdanie: – Groźba jest taka, że jeżeli w ciągu godziny nie przekazemy potwierdzonych dowodów spełnienia ich żądań, zabiją cię.

– Świetnie. – Było to logiczne. De Groot i rodzinę Mosali zbyt dobrze chroniono, by grozić im bezpośrednio, po tym jednak, jak pomogłem wyjechać Violet z wyspy, trudno było oczekiwać, że pozwolą ekstremistom mnie zabić.

– Kiedy się załogowałam, obliczenia były właśnie zakończone, na szczęście Violet zaprogramowała publikację w sieciach tak, by nastąpiła dopiero w odpowiednim momencie. – De Groot cicho się roześmiała. – Chciała uczynić z tego oficjalne wydarzenie. Oczywiście zrobimy, co kazali. Policja poradziła mi, bym do ciebie nie dzwoniła, i wiem, że usłyszeć coś takiego jest mało przyjemnie, pomyślałam jednak, że masz prawo się dowiedzieć.

– Nic nie rób, nie kasuj ani jednego pliku. Wkrótce do ciebie zadzwonię.
– Przerwałam połączenie.

Stałem przez kilka sekund w alejce, słuchałem dzikiej muzyki, chłodziłem twarz na wietrze i zastanawiałem się.

Kiedy wszedłem do namiotu, Sarah i Akili głośno się śmiali. Chciałem wymyślić jakiś pretekst, by wyciągnąć Sarah po cichu i odejść z nią, nagle wydało mi się, że to nic nie da. Buzzo zabito strzałem z pistoletu, ale ulubioną bronią ekstremistów była biologia. Jeśli ucieknę, istniało ryzyko, że wyniosę tę broń w sobie.

Pochyliłem się, złapałem Akili za przód kurtki i pchnąłem go z całej siły na podłogę. Patrzyło na mnie, udając zaskoczenie, cierpienie, konsternację. Ukląknę obok vego i uderzyłem go nieporadnie w twarz – zdumiony, że udało mi się aż tyle. Nie jestem dobry w stosowaniu przemocy i spodziewałem się, że zanim go tknę, zacznie się bronić z taką samą energią, jaką wykazało na kutrze.

Sarah była oburzona.

– Co ty wyprawiasz?! Andrew!

Akili jedynie wbijało we mnie wzrok – milczące, zranione, dalej udające głupka. Uniosłem go kawałek w górę – wcale się nie broniło – po czym ponownie uderzyłem.

– Chcę antidotum – stwierdziłem spokojnie. – Natychmiast. Rozumiesz? Koniec z grożeniem De Groot, niszczeniem plików, koniec negocjacji – po prostu daj mi ten środek.

Akili obserwowało mnie, nie rezygnowało z szarady, oczami demonstrowało niewinność jak niesłusznie oskarżony kochanek.

Przez chwilę miałem ochotę bardzo go zranić – oświadczyła mną idiotyczna wizja krwawej katharsis, zmycia bólu zdrady, ale powstrzymała mnie myśl, że Sarah wszystko rejestruje. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyśmy byli sami.

Moja wściekłość powoli mijała. Zaraziło mnie cholera, zabiło troje ludzi, manipulowało moimi żalnymi potrzebami emocjonalnymi, wykorzystało mnie jako zakładnika... ale nijak mnie nie zdradziło. Od początku był to teatr – między nami nigdy nie było niczego, co trzeba by poświęcić dla sprawy. Jeżeli pocieszenie, które zdawało mi się, że sobie daliśmy, było jedynie wynikiem mojej wyobraźni, tak samo była nim pokora.

Będę żył.

– Andrew! – ostro krzyknęła Sarah. Popatrzyłem przez ramię, była sina z wściekłości, musiała uznać, że oszalałem.

– Dzwoniła Karin De Groot... – wyjaśniłem niecierpliwie – Violet nie żyje, a ekstremiści zagrozili, że jeżeli De Groot nie skasuje obliczeń TW, zabiją mnie. – Akili wykrzywiło twarz, udając ponurą konsternację; roześmiałem się prosto w twarz.

– Rozumiem, ale dlaczego uważasz, że Akili pracuje dla ekstremistów? Może to być dowolna osoba w obozie...

– Jest jedyną osobą poza mną i De Groot, która zna żart Mosali o AK.

– Jaki żart?

– Z ambulansu. – Niemal zapomniałem, że nie opowiedziałem Sarah historii do końca. – Violet zaprogramowała komputer, żeby skończył

obliczenia, wyczyścił TW i rozpowszechnił ją w sieciach. Praca została zakończona, De Groot wyłapała wszystko tuż przed wysłaniem.

Sarah zamilkła. Odwróciłem się do Akili, ciągle się spodziewając, że ruszy się, kiedy przestanę uważać. Sarah miała w ręku broń.

– Dalej mi nie wierzysz? Wolisz wierzyć temu kawałkowi gówna, tylko dlatego, że było twoim informatorem?

– Wiem, że to nie ono wysłało wiadomość do De Groot.

– Tak? Skąd?

– Bo ja ją wysłałam.

Zacząłem powoli wstawać, odwracać się w kierunku Sarah; nie chciałem przyjąć do wiadomości tego absurdalnego twierdzenia. Muzyka z placu znów buchnęła jak szalona, sprawiając, że cały namiot zahuczał.

– Wiem, że trwały obliczenia, ale sądziłam, że zajmą jeszcze kilka dni. Nie miałam pojęcia, że tak świetnie się wstrzeliliśmy.

Dzwoniło mi w uszach. Sarah obserwowała mnie spokojnie, celując we mnie z niezachwianą pewnością. Musiała nawiązać kontakt z ekstremistami, kręcąc *Podprzeć niebo*. Prawdopodobnie zamierzała ich zdemaskować po zebraniu całego materiału, musieli zrozumieć, że może być dla nich cenna, i zanim postanowili ją zabić, uczynili wszystko, by przeciągnąć ją na swoją stronę.

Udało im się i przekonali ją, by połknęła wszystko, jak leci: „TW byłaby okrucieństwem, przestępstwem przeciwko ludzkiej duchowości, niemożliwą do zniesienia klatką dla duszy”.

Dlatego tak ciężko pracowała, by dostać *Violet Mosalę*, a kiedy straciła program, kazała komuś zarazić mnie cholerą tak zmodyfikowaną, by zrobiła swoje nie wprost. Okazało się jednak, że nie dopracowano szczegółów koniecznych do zmiany planu w ostatniej chwili.

Nishide i Buzzo zajęła się osobiście.

A ja właśnie zniszczyłem ostatnią szansę na zaufanie, przyjaźń i miłość, jaką mógłbym uzyskać od Akili. Osobiście każdą z tych rzeczy wbiłem butem w ziemię. Zasłoniłem twarz dłońmi i stałem, otoczony mrokiem samotności, ignorując rozkazy Sarah. Nie obchodziło mnie, co postanowi; nie miałem po co czegokolwiek robić.

– Andrew... – powiedziało Akili. – Zrób, co ci każe. Nic mi nie będzie.

Popatrzyłem na Sarah. Trzymała broń w górze i ze złością powtarzała: – Dzwon do De Groot!

Wyjąłem notepad i zadzwoniłem. Powiodłem kamerą wokół, by przedstawić sytuację. Sarah wydawała De Groot precyzyjne instrukcje dotyczące przekazania dyspozycji kontem komputerowym Mosali.

Z początku De Groot wyglądała na zszokowaną, przerażoną poznaniem prawdziwej tożsamości Sarah, ale nie zaprotestowała słowem. Potem jednak złość w niej zakipiała i przerwała sardonicznie: – Dysponujesz takimi możliwościami i wiedzą, a nie umiesz włączyć się do konta akademickiego?

– Nie powiem, że nie próbowaliśmy – Sarah niemal przepraszała. – Ale Violet miała paranoję i dobrze się chroniła.

De Groot nie mogła w to uwierzyć.

– Próbowaliście lepiej niż Sztuka Myśli?

– Że co?

De Groot zwróciła się do mnie.

– Kiedy Wendy była w Toronto, zrobili dziecinny numer. Włamali się do pamięci Kaspara i kazali mu wypływać ich idiotyczne teorie. W imię czego? Zastraszenia? Programiści musieli zamknąć urządzenie i przejść na kopie zapasowe. Wendy nawet nie wiedziała, co to wszystko znaczyło – do chwili, aż musiałam jej powiedzieć, kto próbował zabić jej córkę.

Leżące ciągle na podłodze u mych stóp Akili głośno wciągnęło powietrze. W tym momencie zrozumiałem. Spadanie bez siatki zabezpieczającej. Sarah zmarszczyła czoło, zirytowana niepokojem.

– Ona kłamie. – Wyjęła swój notepad, coś sprawdziła. W dalszym ciągu celowała we mnie. – Przerwij połączenie, Andrew.

Zrobiłem, co kazała.

– Sarah? – spytało Akili. – Śledziłaś *STAN WYCZERPANIA*?

– Nie. Byłam zbyt zajęta. – Popatrzyła na ekran notepada, jakby urządzenie było bombą, którą trzeba rozbroić. Miała w rękach całą pracę Mosali i musiała zyskać pewność, że zniszczyła ją starannie i nieodwołalnie, by nie być przez nią zbrukana.

– Przegrałaś, Sarah – powiedziało Akili. – Moment alef minął.

Spojrzała na mnie.

– Możesz vo uciszyć? Nie chcę vo ranić, ale...

– *STAN WYCZERPANIA* to zaraza polegająca na łączeniu się z informacją. Sądziłem, że to wirus organiczny, ale Kaspar twierdzi, że to niemożliwe – odparłem.

Sarah zawyła.

– Że co?! Myślisz, że De Groot przeczytała artykuł Mosali i stała się Zwornikiem? – Uniosła triumfująco notepad, pokazując kod kontrolny. – Nikt nie przeczytał artykułu. Nikt nie zna wyniku.

– Z wyjątkiem autora. Wendy posłała Violet klona Kaspara. To on napisał artykuł, on zebrał obliczenia do kupy. I on stał się Zwornikiem.

Sarah nie mogła uwierzyć.

– Kawalek programu?!

– Znajdź w sieciach nagrania ofiar *STANU WYCZERPANIA* – rzekło Akili. – Posłuchaj, co mają do powiedzenia.

– Jeżeli to jakiś idiotyczny blef, to marnujesz...

Przerwał jej radośnie Syzyf.

– Ten schemat informacji wymaga kodowania w kryształach fosforu germanu, sztucznym tworze wykonanym w połączeniu z organicznymi...

Sarah otworzyła usta w niemym krzyku i pomachała pistoletem nad głową, rzucając na ściany namiotu dzikie, wojownicze cienie. Wcisnąłem przycisk *MUTE* i wyłączyłem dźwięk, dalsza część oświadczenia szła po cichu, jako płynący po ekranie tekst. Kręciło mi się w głowie od możliwych implikacji, ale nabrałem chęci do życia i koncentrowałem całą uwagę na Sarah.

Akili mówiło spokojnie, ale sugestywnie: – Posłuchaj mnie: liczba przypadków *STANU WYCZERPANIA* musi rosnąć lawinowo. Ponieważ Zwornikiem jest program – maszynowy pogląd na świat – mieszanie się z informacją będzie niszczyć ludzkie umysły aż ktoś przeczyta artykuł o TW.

Sarah była nieporuszona.

– Mylisz się. Nie ma Zwornika. Wygraliśmy, sprawiliśmy, że pytanie pozostało bez odpowiedzi. – Nagle promienne się do mnie uśmiechnęła, zatracona w jakimś wewnętrznym ubóstwieniu. – Nieważne, jak mała jest luka, margines niepewności, z biegiem czasu dowiemy się, jak ją powiększyć. Dopóki istnieje nadzieja na przemienienie, nie będziemy prymitywnymi maszynami, jedynie fizykalnymi bytami.

Patrzyłem na nią obojętnym wzrokiem. Muzyka jeszcze się nasiliła. Dwie wysokie Polinezyjki – członkinie milicji? – które skradały się za plecami Sarah, uniosły pałki i jednym ruchem uderzyły. Padła na podłogę jak kłoda.

Jedna uklękła, by zbadać Sarah, druga uważnie mi się przyjrzała.

– I jaki miała problem? – spytała.

– Czegoś się naćpała – odparło Akili i wstało.

– Wpadła tu jak oszalała i ukradła vego notepad – powiedziałem. – Nie mogłem nijak zrozumieć, o co jej chodziło.

– To prawda?

Akili potulnie kiwnęło głową. Milicjantki patrzyły na nas podejrzliwie. Zabrały – z wyraźnym niesmakiem – broń, oddały Akili notepad.

– W porządku. Zabierzemy ją do pierwszego namiotu sanitarnego. Niektórzy ludzie nie wiedzą, jak się bawić.

– Powinniśmy zacząć na nowo procedurę wysyłkową Mosali. Roześlij TW po sieci. – Akili siedziało obok mnie, napięte, z notepadem w dłoni.

Próbowałem skupić myśli. Sytuacja przyćmiła wszystko, co się między nami wydarzyło – mimo to ciągle nie mogłem spojrzeć w oczy. Poszukiwacz faktów Akili przez pięć minut znalazł sto nowych przypadków *STANU WYCZERPANIA*, sprawdzając doniesienia mediów o przewracających się na ulicy ludziach.

– Nie możemy tego zrobić, przynajmniej do czasu, póki się nie dowiemy, czy nie pogorszy to sytuacji. Wszystkie wasze modele i przewidywania nie sprawdziły się. Może Kaspar dowodzi, że mieszanie się jest faktem, ale reszta to przypuszczenia. Chcesz, żeby każdy teoretyk TW na planecie zwariował? Akili odwróciło się do mnie ze złością.

– Nie chcę! Jest w tym zarówno leczenie, jak i przyczyna. Potrzebny jest ostatni krok – interpretacja przez człowieka. – Nie zabrzmiało to przekonująco. Może prawda była jeszcze gorsza od zniekształconego obrazu, którego ujście prowadziło do *STANU WYCZERPANIA*? – Chcesz, żebym to udowodnił? Mam to przeczytać jako pierwszy?

Uniosło notepad, ale złapałem go za ramię.

– Nie bądź głupi! Jest zbyt mało ludzi, którzy choćby co nieco się w tym wszystkim orientują, by pozwolić sobie na stracenie ciebie! – Siedzieliśmy jak sparaliżowani. Zerknąłem na swoją dłoń, którą trzymałem Akili,

widziałem, gdzie rozerwałem wu skórę, kiedy biłem wo po twarzy. – Myślisz, że podejście Kaspara jest za trudne do przełknięcia dla ludzi? Ktoś powinien wkroczyć i zinterpretować wyniki? Połączyć ze sobą różnice perspektyw? Jeśli tak, nie potrzeba specjalisty – od TW, od antropologii. Potrzeba dziennikarza zajmującego się nauką.

Akili pozwoliło mi wyjąć sobie notepad z ręki.

Pomyślałem o wrzeszczącej kobiecie z Miami, bezradnie walącej rękami w podłogę, i o ofiarach, które jedynie na krótkie minuty odzyskiwały kontakt ze światem. Nie zamierzałem pójść ich śladem.

Jeżeli mojemu życiu przyświecał jeszcze jakiś cel, tkwił właśnie w tym: udowodnieniu, że prawdzie zawsze da się spojrzeć w oczy – wyjaśnić ją, zdemistyfikować, zaakceptować. Na tym polegała moja praca, takie było moje powołanie. Miałem ostatnią szansę je spełnić.

Wstałem.

– Muszę wyjść z obozu. Nie skoncentruję się przy tym hałasie. Zrobię to.

Akili kulilo się na ziemi, z pochyloną mocno głową. Nie podnosząc jej, powiedziało: – Wiem. Ufam ci.

Szybko wyszedłem z namiotu i ruszyłem na południe. Gwiazdy świeciły słabo na blednącym niebie, wiatr od raf był zimniejszy niż kiedykolwiek.

Sto metrów dalej stanąłem i uniosłem notepad.

– Pokaż mi Wstępną Teorię Wszystkiego Violet Mosali. Zdjąłem przepaskę z oczu.

Czytając, szedłem dalej, nieświadomie powtarzając trasę, którą pokonałem osiem godzin temu. Skała rafowa nie popękała od trzęsienia, ale tekstura podłoża była jakby inna. Może fala uderzeniowa przestawiła łańcuchy polimerów i doszło do pierwszej na wyspie metamorfozy geologicznej.

Na pustkowiu, daleko od antrokosmologicznych frakcji, pozbawionej uzasadnienia radości anarchistów, doniesień o narastaniu fali *STANU WYCZERPANIA*, nie wiedziałem, w co wierzyć. Gdybym czuł wokół siebie ciężar dziesięciu miliardów ludzi dostających choroby psychicznej, na pewno by mnie to sparaliżowało. Po części musiał mnie uratować uporczywy sceptycyzm, po części zwykła ciekawość. Gdybym w obliczu wspaniałości tego, co ponoć leżało na szali, poddał się „prawidłowym ludzkim impulsom” – ślepej panice i przepełnionej zachwytem pokorze – wyrzuciłbym zatruty kielich notepadu.

Wyrzuciłem jednak wszystko z mego umysłu i pozwoliłem, by władzę przejęły słowa i równania. Klon Kaspara wykonał kawał dobrej roboty – bez trudu rozumiałem artykuł.

Pierwszy rozdział nie zawierał niczego zaskakującego. Streszczał dziesięć kanonicznych eksperymentów Mosali oraz metodę, za pomocą której obliczyła ich łamiące symetrię właściwości. Kończył się równaniem TW, łączącym dziesięć parametrów złamanej symetrii, zsumowanych przez wszystkie topologie. Miara, którą Mosala wybrała do nadania ciężaru każdej topologii, była najprostsza, najelegantsza i najbardziej oczywista ze wszystkich możliwych. Jej równanie nie mogło zapewnić wszechświatowi „nieuniknioności” zmaterializowania się z praprzestrzeni, co próbowali

wykombinować Buzzo i Nishide, demonstrowało jednak, w jaki sposób owe dziesięć eksperymentów – i przez rozszerzenie, wszystko od chrapaszczą po zderzające się gwiazdy – było ze sobą związanych, mogło współistnieć. W wymyślonej przestrzeni wielkiej abstrakcji wszystko zajmowało dokładnie to samo miejsce.

Związane były ze sobą także przeszłość i przyszłość. Aż do poziomu przypadkowości kwantowej, równanie Mosali kodowało powszechny porządek, zawarty w każdym znanym procesie – od składania się białek po rozkładanie skrzydeł przez orła. Określało wachlarz łączących każdy system prawdopodobieństw – w każdej chwili ze wszystkim, czym wszystko mogło się stać.

W drugim rozdziale Kaspar przedstawił wyniki przeglądu baz danych w poszukiwaniu innych odniesień dla tej samej matematyki, innych oddźwięków tych samych abstrakcji. Dzięki niezwykle skrupulatnym, kompletnym poszukiwaniom odnalazł wystarczająco dużo analogii z teorią informacji, by pchnąć TW krok naprzód. Wszystko, co Mosala by odrzuciła, a Helen Wu bałaby się ze sobą połączyć, Kaspar spokojnie zebrał w całość.

Nie ma informacji bez fizyki. Wiedza zawsze musi być zakodowana jako jakiś byt: znaki na papierze, węzły na sznurku, ładunek w półprzewodniku.

Nie ma jednak także fizyki bez informacji. Nawet „wszechświat” stuprocentowo przypadkowych wydarzeń nie może tworzyć wszechświata jako takiego. Podstawą istnienia są głębokie schematy i regularności potężnej mocy.

Tak więc – po ustaleniu, jakie systemy fizyczne mogą mieć swój udział we wszechświecie – Kaspar zadał pytanie: które schematy informacji mogą kodować te systemy?

Z tych samych obliczeń – niemal bez wysiłku – wyłoniło się drugie, analogiczne równanie. Informatyczna TW była drugą stroną TW fizycznej – nieuniknionym jej następstwem.

Z kolei Kaspar zunifikował obie TW, łącząc je jak splecione ze sobą lustrzane odbicia (wbrew wszystkiemu, miałem wrażenie, że Mistrz Symetrii byłby dumny) i... uzyskał wszystkie predykcje antrokosmologii. Terminologia była inna – nieświadom nie publikowanych precedensów, Kaspar niewinnie ukuł nowy żargon – ale koncepcje były ewidentnie te same.

Moment alef był tak samo niezbędny jak Wielki Wybuch. Wszechświat nie mógłby bez niego zaistnieć. Kaspar nie przypisywał sobie zaszczytu bycia Zwornikiem – nawet nie przyznawał wyjaśniającemu Wielkiemu Wybuchowi nadrzędności nad fizycznym – i artykuł jednoznacznie oznajmiał, że aby TW mogła zadziałać, należy ją POZNAĆ i ZROZUMIEĆ.

Nieuniknione było także łączenie się z informacją. Utajona znajomość TW zarażała cały czas i całą przestrzeń, zawierał ją każdy system w tym wszechświecie. Kiedy jednak została poznana *explicite*, ukryta informacja wykryształizowywała się wszędzie tam, gdzie pojawiała się ku temu możliwość, przesączała się przez pianę kwantowej przypadkowości. Było to bardziej jak wywoływanie deszczu przez bombardowanie chmur kryształami lodu niż jak telepatia – nikt nie odczytałby nic z umysłu Zwornika, ale wszyscy podążyliby za nim w sczytywaniu TW własnymi umysłami i własnym ciałem, które zawierałyby kody TW.

Zmieszanie się z informacją nastąpiłoby już przed momentem alef, aczkolwiek niedoskonałe.

Ale nie na długo.

W ostatnim rozdziale Kaspar przewidywał Rozplatanie. Po momencie alef – w skali sekundowej – miała nastąpić degeneracja fizyki w czystą matematykę. Tak jak Wielki Wybuch implikował istnienie przed nim praprzestrzeni – nieskończenie symetrycznej, zmaćconej abstrakcji, w której nic nie istnieje ani nie wydarza się naprawdę – moment alef miał wprowadzić informatyczne lustrzane odbicie, kolejną nieskończoną pustynię bez czasu i przestrzeni.

Te słowa, przewidujące koniec wszechświata, zostały napisane pół godziny przed momentem, w którym zacząłem je czytać.

Kaspar nie stał się Zwornikiem.

Opuściłem notepad i rozejrzałem się. W oddali ukazała się laguna – srebrnoszara, odbicie światła sugerowało świt. Na zachodnim niebie wisiało jeszcze kilka jasnych gwiazd. Z obozu dolatywała muzyka, choć w zasadzie przypominała niemelodyjne buczenie.

Połączenie z informacją odbyło się tak łagodnie, że ledwie zauważyłem, kiedy się zaczęło. Słuchając ofiar *STANU WYCZERPANIA*, które sfilmował Reynolds, wyobrażałem sobie, że mają wizje przypominające prześwietlanie promieniami rentgenowskimi i innymi, spada na nie kłęb obrazów cząsteczek i galaktyk, wszechświat wiruje nimi w każdym ziarnie piasku. Przygotowałem się na najgorsze – że niebo się rozerwie i ukaze się jakieś erotyczne marzenie Renesansu Mistycznego, przedstawiające oszałamiającą, narkotyczną podróż przez bramę do gwiazd, kraniec istnienia myśli, kandyzowane, spalone szczątki rozumu.

Rzeczywistość nie mogła się bardziej różnić. Jak zakodowane znaczniki skały rafowej, powierzchnia świata zaczęła mówić o znajdującej się pod nią głębi i ukrytych tam wiązaniach. Było to jak nauczenie się w kilka sekund nowego języka i przeżycie, jak piękna, choć dotychczas głównie dekoracyjna, kaligrafia obcego alfabetu zmienia się przed oczami –

uzyskując znaczenie, lecz bez jakiegokolwiek zmiany wyglądu. Znikające gwiazdy opisały odbywający się w ich wnętrzu pożar fuzji jądrowej, łamanie się grawitacji kontrolowanej przez wyzwolenie energii wiązań. Blade powietrze, czerwieniejące na wschodzie, zgrabnie portretowało swój tendencyjny rozrzut fotonów. Lekkie zmarszczki na wodzie wskazywały grę sił międzycząsteczkowych, siłę wiązania wodorowego i delikatną elastyczność powierzchni próbującą minimalizować kontakt z powietrzem.

Wszystkie te przekazy były napisane powszechnie zrozumiałym językiem. Na pierwszy rzut oka widać było, że tworzą jedność.

Nie było kół wewnątrz kół, żadnej oślepiającej kosmicznej technopornografii, piekielnych diagramów.

Żadnych wizji, jedynie zrozumienie.

Wsadziłem notepad do kieszeni i zawirowałem, śmiejąc się. Nie było przeciążenia, wyniszczającego zalewu informacji. Przekazy zawsze istniały, mogłem je przyjąć albo pozostawić same sobie. Z początku wyglądało to jak przeglądanie tekstu szklistymi oczami, wymagające świadomej zmiany miejsca, na którym skupia się wzrok, po kilku chwilach i przyzwyczajeniu się, stało się czymś naturalnym.

Oto był świat, jaki zawsze chciałem widzieć: majestatycznie piękny, zawiły i dziwny, ale w najgłębszym rdzeniu harmonijny i dzięki temu całkowicie pojmowalny.

Nie był powodem do przerażenia. Nie był powodem do bezbrzeżnego zachwyty.

Łączenie się z informacją zaczęło działać na głębszym poziomie.

Coraz bardziej uświadamiałem sobie własną cielesność, wpisaną w TW moją naturę. Powiązania, które widziałem w świecie, sięgały w głąb mnie i łączyły ze wszystkim, co było widać. Choć w dalszym ciągu nie miałem

rentgenowskich wizji ani snów o podwójnej helisie, czułem w kończynach, w krwi, w ciemnych zakrętach świadomości niezmienną gramatykę TW.

Powtarzała się lekcja spowodowana cholera, tyle że silniej i wyraźniej: byłem materią – jak wszystko inne.

Czułem powolny rozkład ciała, całkowitą świadomość śmierci. Każde uderzenie serca było nowym dowodem śmiertelności, każda chwila przedwczesnym pogrzebem.

Wciągnąłem głęboko powietrze, analizując procesy odbywające się po wniknięciu powietrza do płuc. Mogłem śledzić słodczy zapachu i schładzanie się przegrody nosowej, czułem przyjemne wypełnienie płuc, przepływ krwi, dostarczaną do mózgu jasność... wszystko sprowadzało się do TW.

Zniknęła klaustrofobia. Aby zamieszkiwać ten wszechświat – współistnieć ze wszystkim – muszę być materią. Fizyka nie jest klatką, jej określenie się między tym, co możliwe, a tym, co niemożliwe, było całkowitym minimum wymaganym przez istnienie. Złamana symetria TW – wyrąbana z nieskończenie paraliżujących wyborów praprzestrzeni – była skałą macierzystą, na której stałem.

Byłem umierającą maszyną z komórek i cząsteczek – już nigdy nie będę w stanie w to zwątpić.

Wiedza ta nie prowadziła jednak ku szaleństwu.

Łączenie się z informacją miało jeszcze więcej do pokazania; wynikające z introspekcji komunikaty gęstniały. Czytałem wyrastające z TW i wiążące mnie ze światem, tropy wyjaśniające, teraz jednak nitki, które wyjaśniały moje myśli, zaczynały kierować się z powrotem ku swemu źródłu. Podążyłem za nimi i w ten sposób zrozumiałem, co mój umysł tworzył poprzez zrozumienie: Symbole interakcyjne, zakodowane w ścieżkach nerwowych jako schematy pobudzeń.

Reguły wzrostu i łączenia się dendrytów, ustalania wag połączeń synaptycznych, dyfuzji neuroprzekaźników.

Chemię błon komórkowych, pomp jonowych, białek, amin.

Wszelkie szczegóły zachowania się cząsteczek i atomów, prawa rządzące ich niezbędnymi składnikami.

Warstwę po warstwie zbiegającej się regularności...

...aż do TW.

Nie istniało miejsce dla nie zainteresowanej fizyki. Nie istniała warstwa obiektywnych praw, jedynie krążący głęboko konwekcyjny prąd wyjaśnień, przypadkowa magma wypływająca z podziemnego świata i spadająca zaraz ponownie w mrok, zamieniająca się z TW w ciało, w umysł, w TW – utrzymywana wyłącznie przez mechanizm zrozumienia.

Nie było skały macierzystej, stałego punktu, miejsca, gdzie dałoby się spocząć.

Po wsze czasy miałem kopać wodę.

Opadłem na kolana, walczyłem z zawrotami głowy. Opadłem na twarz i objąłem ramionami skałę rafową. Chłodna masywność nie obalała niczego.

A powinna? Utrzymywana przez powściągliwe, ponadczasowe reguły – albo przez program instalacyjny zrozumienia... tak czy owak, trwała.

Pomyślałem o nurkach, którzy zanurzali się, przechodząc przez wszystkie warstwy sztucznego ekosystemu utrzymującego tę wyspę na wodzie, i oglądali na własne oczy ocean, bezlitośnie zżerający skałę od spodu.

Uchodzili z życiem – oszołomieni, ale wniebowzięci.

Ja też mogłem.

Wstałem niepewnie. Zdawało mi się, że już po wszystkim, sądziłem, że przeszedłem łączenie się z informacją – nietknięty. Kaspar nie mógł zostać Zwornikiem i jakimś sposobem moment alef minął bezpiecznie, usuwając

zakłócenie, skazując na banicję *STAN WYCZERPANIA*. Może dowiedziawszy się o śmierci Mosali, jakiś AK głównego nurtu włamał się do jej konta i nim przeczytałem jedno słowo, dostrzegł w analizie Kaspara istotny błąd.

Nadchodziło Akili – niewyraźna postać w oddali, nie mógł to być jednak nikt inny. Uniosłem niepewnie dłoń, po czym zacząłem triumfalnie machać. Postać odpowiedziała tym samym; rzucany przez vege cień rozciągał się na dziesiątki metrów po pustkowiu.

Wszystko, czego się dowiedziałem, złączyło się nagle w całość – jak strzał pioruna, jak trzask zamykającej się pułapki.

Byłem Zwornikiem. Sprawilem, że dzięki wyjaśnieniu wszechświat zaistniał – owinąłem go wokół nasienia tej chwili, warstwę po warstwie przepięknej, zagmatwanej konieczności. Strzelisty płomień pustyni galaktyk, dwadzieścia miliardów lat ewolucji kosmosu, dziesięć miliardów spokrewnionych ze sobą ludzi, czterdzieści miliardów gatunków żywych stworzeń – całe, tak skomplikowane drzewo genealogiczne świadomości, wypływało z tej jedności. Nie musiałem wyciągać ręki i wyobrażać sobie każdej cząsteczki, planety, twarzy. Ten moment zawierał wszystko.

Moi rodzice, przyjaciele, kochanki... Gina, Angelo, Lydia, Sarah, Violet Mosala, Bili Munroe, Adelle Vunibobo, Karin De Groot, Akili, nawet szcękający beznadziejnie obcy, ofiary tego samego objawienia, odbijali jedynie zaburzone echo mojego przerażenia, wynikającego ze zrozumienia faktu, że to ja ich wszystkich stworzyłem.

Na tym polegało solipsystyczne szaleństwo odzwierciedlające się w twarzy pierwszej chorej biedaczki, którą ujrzałem. Na tym polegał *STAN WYCZERPANIA*: nie był strachem przed wspaniałą maszyną TW, ale dostrzeżeniem, że jestem sam w ciemności – razem z setkami miliardów olśniewających pajęczyn, owiniętych wokół oczu, których nie mam...

...a ponieważ teraz o tym wiedziałem, dmuchnięcie zrozumienia sprawy, że odleczę w niebyt.

Nic nie dało się stworzyć bez pełnej wiedzy o tym, jak przebiega proces tworzenia: bez zunifikowanej TW – fizycznej i informatycznej. Żaden Zwornik nie mógłby działać w niewinności, stworzyć wszechświata, nie zdając sobie z tego sprawy.

Ta wiedza była jednak niemożliwa do opanowania. Kaspar miał rację. Umiarkowani mieli rację. Wszystko, co dołało ognia do równań, miało się teraz okazać pustą tautologią.

Uniosłem głowę ku pustemu niebu, gotów na rozsunięcie ogarniającej świat zasłony i stwierdzenie, że niczego za nią nie ma.

W tym momencie Akili zawołało mnie po imieniu i zamarłem. Popatrzyłem na vego – było piękne jak zawsze i tak samo jak zawsze nieosiągalne.

Tak samo niemożliwe do poznania.

Przejrzałem wszystko do końca.

Dostrzegłem wadę rozumowania Kaspara, która sprawiła, że nie stał się Zwornikiem: nie zbadał jednego założenia, nie zadał jednego pytania – dlatego nie było wiadomo, czy jest prawdziwe czy błędne.

Czy jeden umysł – samotnie – może poprzez wyjaśnienie powołać do bytu inny umysł?

Równania TW nie odpowiadały na to pytanie. Tak samo eksperymenty kanoniczne. Odpowiedź tkwiła wyłącznie w moich wspomnieniach, w moim życiu.

Aby wyrwać się z centrum wszechświata, aby zapobiec Rozplataniu, musiałem zrobić jedno: zrezygnować z ostatniej iluzji.

..EPILOG..

Kiedy koła samolotu dotykają pasa startowego, zaczynam zapis. Świadek potwierdza: *Cape Town, środa, 15 kwietnia 2105. 7:12:10 GMT.*

Karin De Groot przyszła na lotnisko. Wygląda zadziwiająco zdrowo, zwłaszcza fizycznie, choć tak samo jak w przypadku nas wiekowych straty są głęboko wryte na jej twarzy. Wymieniamy pozdrowienia, po czym rozglądam się, próbując wchłonąć obfitość typów anatomicznych i ubrań – nie jest ich tu więcej niż gdziekolwiek indziej, ale każde miejsce ma własną mieszankę, inny zestaw mód. W całej Afryce Południowej szczególną popularnością zdają się cieszyć imponujące, wyciągane kaptury, pełne ciemnofioletowych fotosyntetycznych symbiontów. W domu powszechne są smukłe imitacje narządów, wytwarzanych w ramach adaptacji przez płazy, do oddychania i jedzenia pod wodą.

Po momencie alef ludzi ogarnął strach, że połączenie z informacją spowoduje jednorodność. Nie doszło do tego – nie bardziej niż identyczne myślenie i działanie spowodowały w Epoce Ignorancji brutalne, nieuniknione prawdy, takie jak to, że woda jest mokra, a niebo błękitne. Istnieje nieskończenie dużo sposobów zareagowania na pojedynczą prawdę TW. Niemożliwe oczywiście stało się utrzymanie opinii, że każda kultura mogłaby stworzyć własną rzeczywistość – podczas gdy wszyscy oddychają tym samym powietrzem i chodzą po tej samej ziemi.

De Groot nad czymś się zastanawiała.

– Nie przyleciałeś prosto z Bezpaństwa?

– Nie. Z Malawi. Chciałem się z kimś spotkać. Pożegnać się.

Zjeżdżamy do metra, gdzie pociąg czeka na nas, a światło rysuje ścieżkę do drzwi przedziału. Minęło niemal pięćdziesiąt lat, odkąd ostatni raz byłem w tym mieście, i większość infrastruktury jest całkiem inna. W nieznanym otoczeniu TW wystrzeliwuje z każdej powierzchni – nieproszone, jak rozbuchane dziecko, szczyjące się nowymi rzeczami, które zrobiło. Nawet najprostsze unowocześnienia – na przykład bezpoślizgowa, zjadająca brud warstwa na kafelkach podłogi czy świecące się pigmenty żywych pomników – ściągają moją uwagę, wypowiadając swe niepowtarzalne sposoby współistnienia.

Nic nie jest niepojęte. Niczego nie da się uznać za magię.

– Kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że budują pomnik Violet Mosali *Przedszkole*, pomyślałem sobie, że byłaby urażona. Co tylko dowodzi, jak mało ją znałem. Nie wiem, dlaczego mnie zaproszono.

De Groot roześmiała się.

– Cieszę się, że nie przyjechałeś tylko na ceremonię. Mogłeś wziąć udział przez sieć, nikt nie miałby nic przeciwko temu.

– Nie istnieje nic lepszego od pobytu tutaj.

Pociąg przypomniiał nam, że mamy wysiadać, otworzył dla nas drzwi. Poszliśmy przez eleganckie przedmieścia, niedaleko od miejsca, gdzie Mosala spędziła dzieciństwo – choć ulice były teraz obsadzone drzewami, których by nie rozpoznała. Na Bezpaństwie też nie widziała drzew. Mijali nas ludzie, spoglądając na elegancką logikę bezchmurnego, błękitnego nieba.

Przedszkole jest niedużym budynkiem, rekonfigurowanym na dzisiejszą okazję w aulę. Kilku mówców będzie przemawiać do pięćdziesięciorga dzieci. Pogrążam się w marzeniach, aż jedna z wnuczek Violet, pracująca przy *Halcyonie*, wyjaśnia napęd statku międzygwiazdowego. Zasada bliska TW jest łatwa do pojęcia. Karin De Groot mówi o Violet, rzuca anegdotami

o jej szczodrości i nieprzejednaniu. Jedno z dzieci robi inscenizację dla mnie, opowiadając pozostałym o Epoce Ignorancji.

– Zwisa z Kosmosu Informatycznego jak stalaktyt. – Czas terazniejszy jest koniecznością, nie błędem stylistycznym, wymaga go relatywizm. – Nie jest autonomiczna, nie wyjaśnia się sama, aby istnieć, musi zostać dołączona do Kosmosu Informatycznego. My też jej potrzebujemy. To niezbędna historia, logiczna narośl, kiedy próbuje się rozszerzyć czas przed momentem alef.

Dzieciak wyczarowuje w powietrzu bardzo wyraźne diagramy i równania. Doskonały klaster gwiazdny Kosmosu Informatycznego, otoczony ciasno nitkami wyjaśnień, trzymał w górze prosty, szary stożek Epoki Ignorancji, sięgający wstecz do Wielkiego Wybuchu. Widownia, złożona z mniej rozwiniętych czterolatków, walczyła o zrozumienie koncepcji. Czas przez momentem alef? Dziadkowie dziadkami, ale to niemal nie do wiary.

Wstałem i wyrecytowałem przygotowaną wcześniej wersję wydarzeń sprzed pięćdziesięciu lat – wywołując we wszystkich przewidzianych miejscach śmiechy niedowierzania. Własność genów? Scentralizowana władza? Kultury Ignorancji?

Historia starożytna zawsze brzmi ciekawie (zakładając, że odnosiło się zwycięstwa), próbowałem jednak jakoś im uzmysłwić, jak długo i jak ciężko ich przodkowie walczyli o poznanie tego, co teraz jest uważane za oczywiste: że prawo i moralność, fizyka i metafizyka, czas i przestrzeń, przyjemność, miłość, znaczenie... to brzemień uczestniczących w tym ludzi. Że nie ma niezmiennych ośrodków rozdających wszystko jak mannę – nie ma Boga, nie ma Gai, nie ma dobroczynnych władców. Że nie ma rzeczywistości poza wszechświatem powołanym do bytu poprzez

wyjaśnienie. Że nie ma sensu życia, dopóki go nie stworzymy – wspólnie albo samotnie.

Ktoś zapytał o chaos po momencie alef.

– Prawda była dla wszystkich trudna do przełknięcia – odparłem. – Dla ortodoksyjnych naukowców, ponieważ TW okazała się oparta jedynie na swej mocy wyjaśniającej. Dla Kultów Ignorancji, ponieważ nawet wszechświat uczestniczący, najsubiektywniejsza możliwa rzeczywistość, nie okazał się syntezą ich ulubionych mitów – które nigdy nie byłyby w stanie stworzyć czegokolwiek – a produktem uniwersalnego naukowego zrozumienia, co naprawdę oznacza współistnienie. Nawet antrokosmologowie byli w błędzie – tak byli ogarnięci ideą pojedynczego Zwornika, że właściwie nie brali pod uwagę możliwości, iż każdy może grać tę rolę w równym stopniu. Nie dostrzegli najstabilniejszego, do tego symetrycznego, rozwiązania: w którym każdy umysł przestrzega TW, ale tworzą ją wszystkie, wspólnie.

Jeden przebiegły słuchacz dostrzega, że unikam sedna – dziecko, które w dniach przed wybuchem słowa na L i ostatecznego jego zrozumienia: że wszystkich nas łączy TW nazwałbym „ludzkim”.

– Większość ludzi nie była jednak naukowcami, kultystami ani antrokosmologami, prawda? Nie brała udziału w ścieraniu się tych idei – dlaczego więc była taka smutna?

SMUTNA...

Popełniono dziewięć milionów samobójstw. Kiedy zniknęła ostatnia iluzja trwałości, nie udało nam się ocalić dziewięciu milionów ludzi. Do dziś nie jestem przekonany, że nie było innego wyjścia – że odkryłem jedyny możliwy pomost prowadzący do Kosmosu Informatycznego. Czy gdybym pozwolił sobie zapaść w szaleństwo *STANU WYCZERPANIA*, ktoś inny zadałby inne ostatnie pytanie i znalazł inną drogę?

Nikt mnie nie oskarżył, nikt mnie nie osądził. Nigdy nie potępiono mnie jako przestępcy ani nie ogłoszono zbawcą. Pomysł, że pojedynczy Zwornik mógł za pomocą wyjaśnienia powołać w byt dziesięć miliardów ludzi, jest obecnie absurdalny. Patrząc retrospektywnie, *STAN WYCZERPANIA* jest uważany za tak samo naiwną iluzję, jak ta, że każda galaktyka ucieka od nas – jeżeli nie ma (i nie może być) żadnego centrum.

Niezbyt chętnie opowiadam o strefie Lamonta.

– Sprawiała, iż ludzie sądzili, że znają się nawzajem, mogą przemawiać w swoim imieniu, rozumieć się – znacznie bardziej niż było to możliwe. Niektórzy z was być może też mają tę strefę w swoich mózgach, ale wobec dowodów łatwo ignorować jej działanie.

Próbuję wyjaśnić iluzję intymności i ile w nią kiedyś inwestowano. Słuchają grzecznie, ale widzę, że nie dostrzegają w tym żadnego sensu, wiedzą bowiem doskonale, że niczego nie stracili. W obliczu prawdy miłość okazała się jeszcze dziwniejsza niż zwykle. Szczęście nigdy tak naprawdę nie zależało od starych kłamstw.

Nie dla tych dzieci, urodzonych bez kul.

W vego domu, w wytworzonej z wielką szczodrością, olśniewającej dżungli Malawi, powiedziałem Akili, że umieram. „Po tobie nie było nikogo”. Dotknęliśmy się po raz ostatni.

Kontynuuję szybko.

– Jeszcze inni ludzie lamentowali z powodu końca misterium. Tak jakby po zrozumieniu, co znajduje się pod naszymi stopami, nie pozostało już nic więcej do odkrycia. To prawda, że nie ma więcej „głębokich” niespodzianek – nie pozostało nic do dowiedzenia się o przyczynach TW albo własnego istnienia, nie będzie jednak końca odkryć, co może zawierać wszechświat, będą ciągle nowe historie wpisane w TW – nowe systemy, struktury, tworzone poprzez wyjaśnienie. Mogą nawet istnieć inne umysły

w innych światach, współtwórcy, których natury jeszcze nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Violet Mosala powiedziała kiedyś: „Dotarcie do fundamentów nie oznacza dotarcia do dachu”. Pomogła nam dotknąć fundamentów i żałuję, że nie mogła obserwować, jak na nich budujemy – wyżej niż ktokolwiek dotychczas.

Siadam. Dzieci grzecznie klaszczą, ale mówiąc im o tym, że ich przyszłość nie ma granic, czuję się jak stary głupiec.

Same to wiedzą.

..Od Autora..

Spośród wielu prac, które mnie zainspirowały do napisania tej powieści, muszę wymienić: *Sen o teorii ostatecznej* Stevena Weinberga, *Culture and Imperialism* Edwarda W. Saïda i *Out of the Light, Back Into the Cave* Andy'ego Robertsona (*Interzone* 65, listopad 1992). Wyjątek z wiersza *Technoliberation* jest wzorowany na fragmencie poematu *Powrót do rodzinnego kraju* Aime Cesairego.